

Slav 7153, 3, 100

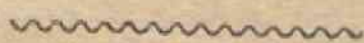
Harvard College
Library



FROM THE FUND OF
HARRIET J. G. DENNY
OF BOSTON

KARA BOŻA

IDZIE PRZEZ OCEANY.



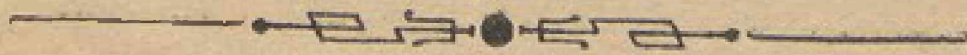
HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY.

POWIEŚĆ

na tle stosunków polskich w Ameryce.

≧ NAPISAŁ ≦

HENRYK NAGIEL.



CHICAGO.

DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICTWA POLSKIEGO W AMERYCE
(The Polish Publishing Co.)

1896.

✓ Slav 7 15 3.3.100

KARA BOZA

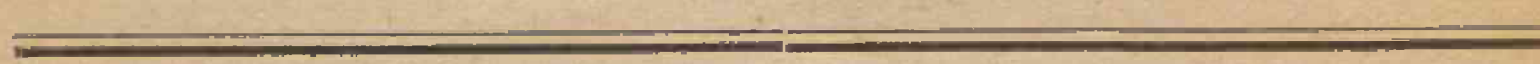
HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
AUG 28 1944

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY

Daring fund



COPYRIGHTED BY
THE POLISH PUBLISHING CO.,
CHICAGO, ILL.



F

Sen — zamiast wstępu.

Jedna z osób występujących w tej powieści miała sen taki przykry i straszny:

„... W kamieniołomach, położonych tuż obok więzienia karnego (State Prison) w jednym ze Stanów Ameryki północnej, w gronie przestępców, zatrudnionych ciężką pracą, znajduje się starzec.

Ubrany jest w bawełniany kaftan i spodnie kryminalisty, w czarne i białe paski; do nogi przykuta kula żelazna.

Dłoń jego ujęła ciężki, żelazny drąg — i rozbija skałę. Pyskają odłamy kamienia z pod żelaza. Starzec siwy, ale widocznie silny, wykonywa swą pracę z regularnością maszyny. Pot leje się mu z czoła.

To praca przestępcy. Zarobek z niej nie da mu szczęścia, zadowolenia, spokoju.

Nie czeka on niczego — i niczego się nie spodziewa. Na zawsze już pozostanie wśród tych murów kamiennych, uwiązany do żelaznego drąga i młota.

Beznadziejna apatya leży w zmarszczkach pięknej niegdyś twarzy starca.

Jego towarzysze, pomimo surowych spojrzeń dozorca, przerzucają się drwinami lub

przekleństwami. Co chwila, któryś z nich zmęczony, zatrzymuje się w ciężkiej pracy, ociera pot, prostuje stwardniałe ramiona. Starzec pracuje wciąż, z ciągłością i regularnością automata. Nigdy słowo nie wypadnie z jego ust.

Oczy starca patrzą w świat, nie widząc, co się na świecie dzieje.

„Old dumb Joe” — tak go za jego mru-kostwo przezwali towarzysze kaźni. W rege-strach zaznaczony jest, jako numer 697... Zre-sztą — niekiedy, bardzo rzadko — nawet i ten „dumb Joe”, ten numer bez nazwiska, ma chwi-le pewnego ożywienia.

Taka chwila przyszła na starca teraz.

Nie objawia się to niczem prawie — na zewnątrz.

Ruchy starego Joe są równie miarowe, jak przed chwilą. Od uderzeń żelaznego drąga od-łamy kamienia pryskają, jak zwykle. Na twa-rzy żaden muskuł nie zadrga.

Tylko w oczach — zmiana.

Rozszerzają się one, błękitnieją, pogłębia-ją.... Budzi się w nich wspomnienie. Na zmęczonym mózgu starca rysują się, jak fata morgana, dawno niewidziane obrazy. Wzrok jego ogląda je w promienistych barwach mło-dości. Ucho słyszy dziwne szmery....

Do twarzy przywarła kamienna maska; w oczach budzi się — niebo szczęścia.

I widzi przed sobą w promieniach słońca lipcowego: zielone pola kraju ojczystego i szaro-błękitne fale Wisłoki, igrającej z gałęzmi wierzb nadbrzeżnych — i tratwy flisacze, posuwające się zwolna po rzece — i dworek wiejski, na pół schowany pośród lip i topól odwiecznych, a obok studnię z żurawiem w podwórzu — i czubate stogi siana w polu — i chłopskie zagrody i kwitnące przed niemi czeremchy — i wreszcie lud roboczy, pracujący w znoju na roli....

Widzi — Polskę.

Do uszu jego dochodzi plusk fal Wisłoki, klekotanie bociana, senne pomruki bydełka, odgłos fujarki pastuszej z wiklin nadbrzeżnych — a po chwili dźwięk sygnaturki z poblizkiego kościołka. To „Anioł Pański”. Dźwięk srebrzysty milknie.... Aż naraz — co to? — trąbka wojenna, capstryk, burza, bicie w bębny.... grzmot.

Oczy starca ogniem teraz tryskają.

W uszach mu brzmi pieśń bojowa. Zmienia się ona.... Huczy tryumfem; rozwesela zuchowatą radością i nadzieją; przechodzi pod koniec w potężną, pełną boleści i siły modlitwę do Pana — o ojczyznę.

„Boże, coś Polskę!” — huczy w uszach staremu.

To chwila nateżenia najwyższego. Od dźwięków, które teraz, po latach, przysły mu

na pamięć myśli, dusza jego, tak dawno zastygła w kamiennej martwocie, roztajała. Nagle miarowy ruch jego żelaznego drąga ustał. Oskard wypadł mu z rąk. . . . Żelazo zadzwoniło o skałę.

Wszyscy więźniowie spojrzeli po sobie. Stało się coś, czego się nie spodziewał nikt.

— Co takiego! Co! Stary Joe się rusza! — odezwało się kilkanaście głosów zdziwionych.

W tym chórze, pełnym zdziwienia i szyderstwa, jeden tylko głos brzmiał złością.

— *You, dirty pig!* (ty brudny wieprzu) — syczał sąsiad starca, Irlandczyk (Ajrysz), któremu upadające żelazo otarło się o niekształtny trzewik — *you, goddam Polack!* (ty, przekłety Polaku.)

Te ostatnie słowa były kroplą, która przepełniła czarę cierpliwości starca. Ta obelga nie dla niego, ale dla imienia Polaka, spaliła mu ostatni szczątek zeskorupiałego serca. „Ajrysz” była to postać olbrzymia, której „old Joe” nie dorastał do ramion. Pomimo to, nie mówiąc słowa, jak zelektryzowany, rzucił się nań, podniósł pięść — i uderzył.

— Masz! — było jedyne słowo, które wymówił, słowo polskie.

Ogromny „Ajrysz” zachwiał się i upadł. . . Cios ogłuszył go. Starzec musiał być kiedyś siłaczem.

Sceny podobne rzadko się zdarzały w tym karnym zakładzie, w którym surowość była przysłowiową. Wszyscy zdumieli się. Przybiegli dozorca. Zaświstał bat. Starcowi, już znowu bezwładnemu, narzucono na ręce kajdanki — i powleczono go ku gmachom więziennym.

Za chwilę spoczywał na słomie w kamiennej celi — i marzył.

W półmroku celi znów przychodziły doń wonie od Wisły, klekoty bocianów, sylwetki lip i topól ojczystych, napływały mu do uszu fale ojczystych melodyj....

„Jeszcze Polska nie zginęła!” — brzmiało mu w uszach.

Łzy grube, jak groch, spływały po wywiedłej, oddawna nie znającej uśmiechu twarzy.

Był w tej chwili pomimo wszystko szczęśliwy, raz pierwszy od lat....”

.....

Na tem się skończył sen, fantazya rozluźnionej i udręczonej życiową walką wyobraźni... Sen mara! Choć zresztą czyż sny są zawsze tylko obłądem zmysłów, wyjętych z pod kontroli uspiętego rozsądku i woli? Kto wie....



CZĘŚĆ I.

Dramat z przed lat 17tu.

I.

Jadwiga Śląska, młode dziewczę lat 20tu, była w chwili, kiedy się opowieść nasza zaczyna — w r. 1884 — jedną z najpiękniejszych Polek w Poznaniu.

Miała oczy szare, duże, pełne wyrazu. Rysy były skończenie regularne. Podbródek, nieco wysunięty naprzód, znamionował siłę woli. Twarz przemawiała wyrazem inteligencji i stanowczości. Przytem wszystkim wiał od niej urok dziewiczy, promieniała jasność słoneczna. Postać jej była wysoka, wspaniale rozwinięta, jak kwiat w pełni rozkwitu.

Koleżanki na pensyi nazywały ją — „mądrą Jadzią”.

Bo też umiała być nad wyraz i wiek poważną. Nauczyciele, opiekunowie, znajomi, uczennice — bo teraz już od lat dwóch z górą pracowała, jako nauczycielka — nie mogli się dość nachwalić jej przedwczesnej inteligencji, taktu i zdolności; towarzyszki i uczennice uwielbiały ją zawsze, niby małą mateczkę.

Dusza to była anielska, pełna słodyczy, ale i siły i pogody.

Przez życie, nie zawsze różami usłane, potrafiła iść z powagą, płynącą z głębokiego poczucia obowiązku.

Obowiązek ten umiała pełnić bez szemrania, z poddaniem się. Głębokie poczucie religijne służyło jej za pancerz w przeciwnościach.

Była sierotą i to oddawna.

Ojca swego nie znała. Stefan Ślaski był niegdyś obywatelem ziemskim z Kaliskiego, z Kongresówki. W r. 1863 wezwał go do walki z Moskalami głos ojczyzny. Poszedł do powstania. Stworzył pod pseudonimem Ordegi jedną z dzielniejszych partyj. Bił i szarpał Moskala; sam bity, zapadał w lasy, organizował się na nowo — i znowu walczył... Ranny był dwukrotnie. Raz wskutek zdrady o mało co nie wpadł w ręce nieprzyjaciela; został poznany — i wtedy właśnie majątek jego obłożono aresztem rządowym. Gdy nadszedł wreszcie straszny początek r. 1864, gdy krew zalała całą Polskę, a szubienice moskiewskie sterczały po całym jej obszarze — jak sztandary! — i Ślaski, chcąc uniknąć śmierci haniebnej, musiał uchodzić za granicę. Przed ucieczką chciał się zobaczyć raz jeszcze z uwielbianą swą żoną; chciał ucałować jej dłonie. Pośród tysiącznych niebezpieczeństw, przez lasy, mrozem usrebrzone, przedarł się do pogranicznego majątku dalekich krewnych, gdzie żona jego oczekiwała właśnie przyjścia na świat

pierwszego ich dziecięcia — i tam w ciągu niecałej godziny (na dłuższe pożegnanie nie pozwalał Moskał, gęsto snujący się w okolicy) zamienił ostatnie uściski z najśłodsza towarzyszką życia. Tak jest! — były to uściski ostatnie. Nigdy już potem jej nie ujrzał.... Nigdy odtąd nie stanowczego o nim nie słyszano. Że nie żył, głuche tylko nadchodziły wieści.

Tymczasem w kilka godzin po opuszczeniu dworu dalekich krewnych przez powstańczego dowódcę, przyszło na świat oczekiwane dziecko — Jadzia. Wzruszenia, jakim uległa jej matka, przyśpieszyły chwilę stanowczą....

Tak więc Jadzia nie знаła nigdy własnego ojca.

I postać matki przypominała sobie, jak przez mgłę. Niekiedy tylko w chwilach zadumy, zdawało się, że widzi twarz bladą i przejrzyste rysy jakiejś szlachetnej, wysokiej postaci, która się chyliła nad jej kołyską — i krzyż pański kreśliła nad jej blond główką. Kiedyindziej widziała tę postać, tulącą ją w pieścotach. Przypominała sobie jej uśmiech łagodny, choć jakiś bolesny....

Matka jej umarła w lat coś trzy i pół po wyjeździe ojca.... Zostawiła dziecinę na opiece krewnych w Poznaniu, dokąd się przed szykanami władz moskiewskich — za to, że była żoną powstańca — schronić musiała.

O tych wczesnych dniach swego życia Ja-

dwiga Ślaska wiedziała to i owo tylko z opowiadania owych krewnych, państwa Biechońskich.

Oni zastępowali jej rodziców.

Byli to ludziska wielkiej zacności. Stanisław Biechoński pełnił obowiązki urzędnika skarbowego pruskiego — bo w owych czasach Polakom pozwalano jeszcze zajmować w Prusach korzystniejsze stanowiska urzędowe. W r. 1865, kiedy do Biechońskich schroniła się nieboszczka pani Ślaska z maleńką Jadzią, on urzędował jeszcze w Poznaniu. Tam również w końcu roku 1867 zakończyła życie, dotknięta jakimś nagłym ciosem, żona powstańca. Wkrótce potem, jeszcze przed wojną francuzką 1870 r. władze przerzuciły Biechońskiego — na lepszą nawet posadę — na północ państwa do Szlezwigu, po r. 1871 aż do Hamburga.

Tam już pozostał do zgonu, który nastąpił przed trzema laty.

W mimowolnej tej wędrówce po obszarach państwa niemieckiego, towarzyszyła Biechońskim najpierw Jadzia, potem gdy podrosła, zwana panną Jadwigą. Sami bezdzietni, umiłowali ją, jak dziecię własne. Stary radca Biechoński kochał ją nad życie — pieścił — i nie inaczej nazywał, jak „swoim małym ministrem”. Bo też mała Jadzia, nad wiek swój była zawsze rozumną i pojętną. Uczyła się łatwo — i w 17ym roku życia, po ukończeniu pensyi

wyższej oraz specjalnych kursów handlowych w Hamburgu, stanowiła kompletne cudo wiedzy, jak na kobietę. Władzała dobrze pięciu językami, w tej liczbie angielskim — i znała z grubsza prawie każdy odłam wiedzy. Rozwagę miała wielką. Przed śmiercią starego Biechońskiego mówiono o tem, że miała pojechać z ciotką do Szwajcaryi na medycynę; ale śmierć jego zmieniła wiele.

Zmieniła przedewszystkiem warunki majątkowe obiedwu kobiet.

Radca Biechoński nie pozostawił po sobie majątku. Pochodził z dość zamożnej rodziny szlacheckiej — i wstąpił w życie, jako młodszy syn, wyposażony jakimś niewielkim kapitałem. Przejadał go raczej po trochu, aniżeli zwiększał. Był na to zbyt wiele polskim szlachcicem, ażeby miał co kapitalizować. Urzędnikiem zresztą był wybornym. Szedł naprzód i coraz wyższą zyskiwał pensyę. Po śmierci pani Śląskiej, która u Biechońskich umieściła swe fundusze, ocalone z rozbicia majątkowego i z kontrybucyj moskiewskich w Królestwie, przyszły do tego procenta od tegoż kapitału, rzetelnie zresztą na potrzeby i wykształcenie Jadzi wydawane. Żyło się tedy jakoś. Naturalnie, główną osią, około której wszystko się obracało, była dość wysoka pensya radcy.

Z jego śmiercią wszystko skończyło się, jak uciał.

Po osuszeniu łez i boleści po zgonie najpoczciwszego z ludzi, dwie kobiety, starsza, nieporadna, nie wiedząca co czynić i młoda, energiczna, jasno patrząca w przyszłość, odbyły naradę. Jadzia, dziecko zaledwo 17letnie, odrazu przekonała ciotkę, że sposób i stopę życia zmienić muszą. Skromna emerytura zastępowała wysoką pensję. Kapitalik Biechońskich był już w $\frac{3}{4}$ zjedzony. Skromny fundusz Jadzi ruszonym być nie mógł, bo przecież na nim opierała się jej przyszłość.

— Pracować musimy! — rzekła tedy Jadzia.

A ciotka jej, stare dziecko, nieopatrzne, niedoświadczone, nie rozumiejące twardych walk życia, aż ręce załamano.

— Jakże to będzie? — pytała z trwogą.

— Ot tak, cioteczko — wołała w odpowiedzi Jadwiga, pokrywając pocałunkami siwą głowę Biechońskiej — Wyjedziemy ztąd najprzód.... Porzucimy ten obrzydliwy, brudny, szwabski Hamburg, osiadziemy wśród swoich, w Poznaniu.... Ja zostanę tam nauczycielką, a nie, to sklepową lub buchalterką. Dorobię w ten sposób to, co nam zbraknie do budżetu... a ciocia będzie gospodarowała w domu.

I stało się, jak powiedziała.

Zamieszkały w Poznaniu. Pracowały, a właściwie mówiąc, pracowała Jadwiga. Stara ciotka — złote serce — bezradną była w naj-

prostszych trudnościach życia.... Jadwiga za to zyskała sobie świetną renome, jako wyborna nauczycielka prywatna. Poszukiwano jej w domach zarówno polskich, jak i niemieckich. Jej piękność olśniewała młodych, ba! — i starszych także.

Życie było znośne w ten sposób.

Szło monotonnie nieco, było zbyt poważne. Ale takie właśnie miało urok dla Jadzi, która pracowała nad sobą coraz więcej, myślała. Marzyła niekiedy o uniwersytecie w Szwajcaryi, ale na teraz było to niemożliwe.

Upłynął rok.

W tej epoce spotkała Jadwigę rzecz niespodziewana.... Przebudziło się w niej serce. Tak było istotnie. W jednym z domów, gdzie dawała lekcye, u jakichś radcowctwa czy prezydentostwa niemieckich, u łoża chorej uczennicy spotkała się z młodym lekarzem. Była to postać wybitna i ciekawa. Miał lat 30. Wysoki, szczupły, o przybladej twarzy ascety lub marzyciela, uderzał on wyrazem zadumy i inteligencyi. Nosił nazwisko niemieckie; ze słów i uczuć zdawał się być Polakiem. Konrad baron Felsenstein, jak zapewniono, był potomkiem wielkiego i bogatego rodu szlacheckiego z Niemiec. Nie wiedział zresztą w chwili, gdy się z nim Jadwiga poznała, że wkrótce będzie jedynym tego rodu spadkobiercą, sukcesorem ogromnego majoratu ro-

dowego, przyszłym właścicielem dóbr, rozrzuconych po Pomeranii, Westfali, na Śląsku i w Poznańskim.

Żył zawsze skromnie i prosto, jak niestrudzony pracownik, jak człowiek wiedzy. Leczył chorych i uczył się. Pomimo nazwiska niemieckiego i rodowych tradycyj, czuł się, jak rzekliśmy, Polakiem.

Niezwykłą też była jego historia.

Konrad był trzecim z kolei synem potężnego i milionowego Alberta barona v. Felsensteina, którego pomimo wieku już podeszłego, stolica Niemiec, Berlin, uważała za przywódcę mody i dobrego smaku. Oprócz dwóch braci Konrad miał jeszcze siostrę, zamężną księżną Oderwitz. Było to rodzeństwo z innego, pierwszego małżeństwa barona Alberta.

Konrad czuł się w obec tych braci i siostry — obcym.

Trzeba wiedzieć, że matka Konrada była Polką. Hrabina Z.... z domu, zaślubiła ona przed laty 30tu Alberta, naówczas już wdowca. Związek to nie był szczęśliwy z przyczyn majątkowych i innych.... Zmarnowawszy znaczną część ulokowanego w dobrach ziemskich w Poznańskim majątku drugiej żony, baron Albert, naówczas ubogi, młodszy syn wielkiej rodziny, znikł nagle.... Mówiono, że wywędrował gdzieś do Ameryki. Nie było go lata całe. Wrócił do Europy dopiero wtedy,

gdy mały Konrad liczył lat 11. Starsi jego bracia i siostra wychowywali się na łasce krewnych pierwszej żony Alberta.

Wkrótce po powrocie do Europy, baron Albert został naczelnikiem rodu v. Felsensteinów. Brat jego starszy zmarł; ztąd spadły nań majątki i godności rodowe. Staął tedy u szczytu fortuny.

Jednocześnie prawie zakończyła życie w historycznym pałacu Strojowy jego druga żona, hrabianka Z. . . . Konała z tęsknoty i żalu, że wyszła za Niemca i za człowieka, który jej nigdy nie kochał. Przez 6 czy 7 lat nieobecności męża, włóczącego się po świecie, przywykła uważać małego Konrada za swą własność wyłączną. Matce Boskiej Częstochowskiej ślubowała wychować go na Polaka. Tę misję przekazała bratu swemu, zdziwaczemu w starokawalerstwie patryocie polskiemu, o sercu ze szczerego złota. Ona do lat 11tu, on po jej śmierci kształtował serce i umysł Konrada. Ojciec, baron Albert, mało dbał o tego syna najmłodszego, zrodzonego z Polki, do której zawsze żywił niechęć starożytnego arystokraty germańskiego. Pierwsze miejsca w sercu barona Alberta zajmowali dwaj synowie i córka z 1go małżeństwa. Konrad był Kopciuszkiem.

Wyrósł tak, pod okiem wuja, na Polaka — i pomimo podwójnie arystokratycznej paranteli, na demokratę. Został lekarzem; nauczył się pracować.

Był to charakter wysoce szlachetny, pełen entuzjazmu bez granic. Nie miał w sobie nic z wielce dumnych Felsensteinów. Nie znał się prawie z nimi. Żył w Poznańskim, swoją głową, swoją pracą i dworem. Od czasu ukończenia uniwersytetu w Berlinie, widywał się z dumnym ojcem raz na rok. Bracia nim pogardzali; szlachetni Oderwitze (z linii austriackiej), w rodzinę których weszła jego siostra przyrodnia, znać go nie chcieli.

I oto w owym czasie ujrzał on po raz pierwszy Jadwigę Śląską. Pokochał ją od pierwszej chwili. Był jednak nieśmiały. Nie potrafił na nią patrzeć, myśleć o niej.

Zdawało mu się, że od jej twarzy biją promienie, które go oślepiają.

Spotykali się jednak od czasu do czasu. Dom prezydenta X., gdzie oboje byli przyjaciółmi, służył im za łącznik. Rozmawiali ze sobą. Uczyli się oboje cenić wzajem. Ona, nie manifestując się z tem na zewnątrz, była Polką sercem i duszą — patryotką bardzo gorącą... Brała go najpierw, z rodu i nazwiska, za Niemca. Zdziwienie było ogromne, gdy znalazła w nim — serce polskie.

Sympatya rosła pomiędzy dwojgiem młodych powoli.

Ani się opatrzyli, jak się stali parą narzeczonych w wobec Boga i siebie. Dwa skromne pierścionki, zamienione przez młodą parę,

świadczyły o tem, że mieli związać swe przeznaczenia na życie całe. Byli szczęśliwi i nie spieszyli się ze zrealizowaniem tego szczęścia.

On o swojej miłości, o swej narzeczonej nie pisał oddalonym ojcu ani rodzeństwu.. Czuł, że to ich nie obchodzi. Ona raczej domyślać się tego pozwoliła ciotce Biechońskiej, aniżeli powiedziała wyraźnie.

Niebo ich było bez chmur. Aż naraz zaczęły zeń wypadać gromy.

Były to właściwie gromy, które uderzały w odwieczną rodzinę Felsensteinów. Pierwszym była wieść o śmierci najstarszego brata Konrada. Herbert, świetny i pełen przyszłości dyplomata, padł przeszyty szpadą w pojedynku o aktorkę w Paryżu.... Nie upłynęło jednak dwóch tygodni, gdy padł grom drugi.... Siostra Konrada, księżna Oderwitz i jej jedyne dziecko, utracili życie w strasznej, opisywanej przez wszystkie gazety świata, katastrofie z uniesionym przez rozhukane rumaki powozem w Praterze, w Wiedniu.

I to jeszcze nie wszystko.

W 2 miesiące potem nadszedł żałobny telegram, donoszący o śmierci drugiego brata, Ottona. Piękny oficer huzarów, pełen życia młodzieniec, utonął podczas wesołej wycieczki na jezioro Gmunden.

Stało się to w niecałe 3 miesiące.

Konrad został nagle jedynym spadkobiercą mienia i imienia Felsensteinów. A ród to potężny i wielki. . . . Od towarzyszków Barbarossy szedł, od krzyżowców, z najświetniejszego rozkwitu czasów *raubritterskich*.

Rozpaczliwy telegram ojca wzywał Konrada do Berlina.

Wyjeżdżając, przybrany w żałobny strój, zegnał Jadwigę pełnym czci pocałunkiem, złożonym na jej dłoni — i mówił:

— Wracam za dni kilkanaście. . . . Wszystkie straszne wypadki w naszej rodzinie nie zmieniły i nigdy nie zmienią nic pomiędzy nami. . . . Ty, Jadwigo! jesteś jedyną kobietą, dla której biło i bić będzie kiedykolwiek moje serce. Kocham cię!

I wyjechał.

I wtedy w jej egzystencję spadł grom straszny, nieoczekiwany, rujnujący dotąd słoneczne i pełne spokoju jej życie.

II.

Było to jasne popołudnie lipcowe. Upłynęło zaledwie 8 dni od wyjazdu Konrada.

Słońce zalewało skromny pokoik Jadwigi. W głębi białe łóżeczko z muślinowemi firankami. Cacka — i kwiaty. Stolik założony książkami i kajetami. Na ścianach parę sztychów i obraz Matki Boskiej.

Obrazek to idealnej dziewiczej komnaty, pełnej spokoju i ciszy.

Jakaż jednak straszna burza panuje w sercach dwóch kobiet, znajdujących się w tej chwili w owej słonecznej izdebce!

Te dwie kobiety to Jadwiga — i ciotka Biechońska.

Jadwiga siedzi przy stoliku. Twarz jej w tej chwili blada, jak marmur; zdaje się, że zastygła w ciężkiej boleści, która inną, mniej silną duchem i ciałem, złamałaby. Oczy jej spoglądają nieruchomo w przestrzeń. Usta zacisnęły się i od czasu do czasu drgają konwulsyjnie.

Starsza kobieta stoi przy krześle, pochylona troskliwie ku młodej dziewczynie. Objęła ją jedną ręką — i patrzy w twarz Jadwigi z głębokim niepokojem. Na twarzy jej widać ślady łez nieosuszonych.

Staruszka szepce wyrazy pociechy — i całuje Jadwigę w czoło. Dziewczę maie w ręku jakiś list.

— A więc to prawda, ciociu?.... prawda? — pyta wreszcie Jadwiga głosem suchym i bezdźwięcznym.

Staruszcze znów świeża fala łez przyplęwa do oczu.

— To jest.... tak.... niby.... widzisz.... — płacze się biedna ciotka.

Jadwiga podniosła teraz do góry blade, jak marmur czoło.

— Ciociu! — rzekła głosem, który naraz odzyskał zwykłą równość. — Cios ten był zbyt niespodziewany.... Ugięłam się pod nim na chwilę. Ale tylko na chwilę. Nie godzi się to.... Obie, jesteśmy Chrześcijanki. Zniesiemy, co Bóg da. Nikt w świecie nam udzielić nie może pomocy. Radzić sobie musimy same.

Oczy jej pałały energią. Ruchliwa twarz staruszeki, na ten widok, mimowoli uśmiechnęła się przez łzy. Głową skinęła na znak zgody.

— A więc powiedz mi wszystko, ciociu.

— Wszystko?.... — zaczęła drżącym głosem staruszka — wszystko ... Ja wiem tak niewiele.... To już tak dawno. Ja myślę, że musi być tak, jak pisze ten tam baron.... Od tego przecież umarła twoja anielska matka, Józieńka moja kochana....

Oczy jej znów napełniły się łzami. I w oku Jadwigi, na myśl o matce, zaszklila się łza.

— Mów! — rzekła znów do ciotki.

— Ty miałaś wtedy może trzy latka ... może więcej.... było to, myślę, na jesieni r. 1867. U nas, w Poznaniu, mateczka twoja bawiła już od pewnego czasu. Pisała na wszystkie strony, ażeby się dowiedzieć coś o mężu... Wieści nie było żadnych. Aż tu naraz przybył list dość gruby, opatrzony mnóstwem pieczęci. Długą musiał odbyć wędrówkę ... Szukał jej po Warszawie.... Paryżu.... Bóg wie gdzie. O! ten list był przyczyną wszystkiego złego.

Pamiętam, jak dziś. Drżąca nerwowo i niespokojna, rozcięła zółkłą i już na rogach podartą kopertę.... Przeczytała parę wierszy — i naraż stała się bladą, jak płótno. Jeszcze czytała.... czytała.... aż padła.... na moje ręce. W parę godzin skonała. Ten cios ją zabił!

Twarz Jadwigi znów podczas tego opowiadania staruszki zdawała się zastygać w bóleści.

— A więc to prawda.... prawda.... — wyszeptała żałośnie, sama do siebie raczej, aniżeli do ciotki.

Słabość trwała tylko chwilę. Podniosła znów czoło, a choć z oczu, woli nieposłusznych, sączyły się łzy, głos jej był silny i stanowczy, gdy mówiła:

— Bądź co bądź, łzy nie pomogą.... Działać trzeba.

Zlekka odsunęła, obejmujące jej głowę ramie ciotki i rzekła:

— Siądź, ciociu.... Przeczytamy raz jeszcze list pana barona Felsensteina. Potem zdecydujemy, co czynić.

Rozprostowała zmięty papier, trzymany w ręku — i zaczęła czytać powoli, głosem równym:

List pisany po niemiecku, brzmi, jak następuje:

Berlin, 16 lipca 1884 r.

Sz. Pani: —

Przed 4ma dniami syn mój dr. Konrad v. Felsenstein zawiadomił mnie, iż zamienił z panią pier-

ścionek zaręczynowy. Syn mój jest pełnoletnim i, jakkolwiek kocham go serdecznie, potrafił wyemancypować się zupełnie z pod mojej władzy ojcowskiej.

Mamy inne przekonania polityczne i społeczne, różnimy się nieledwie co do narodowości. Dla tego, pomimo różnic rodu i położenia majątkowego, pomimo, że pani jesteś nauczycielką, a mój syn jedynym potomkiem rodu starożytnego, nie ważyłbym się nigdy protestować przeciwko jego wyborowi i z całego serca przyjąłbym, przez miłość dla niego, synową, jakąby mi dać uważał za właściwe....

Gdyby....
To „gdyby” niewymownie przykro mi tutaj skreślić, ale skreślić je muszę....

Gdyby — powiadam — nie istniała stanowcza przeszkoda, usuwająca wszelką możebność związku małżeńskiego pomiędzy nim a panią. Serce mi się rozrywa, gdy wydobywam tę rzecz na jaw, gdy uderzam w serce pani brutalnie, bez litości, ale uczynić to muszę.... muszę, dla tysiąca przyczyn, dla mojego własnego i syna mego honoru, dla pani i jego przyszłości.

Tą straszną przeszkodą jest to, że ojciec pani, o czem wie nie wiele tylko osób tu w Europie i co zapewne tu przed panią ukrywano — *został stracony przez kata*, jako winny morderstwa i kradzieży. Nastąpiło to d. 13go marca 1867 r. w m. Nowym Orleanie (Louisiana), w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

W owym czasie — traf zdarzył! — znajdowa-

łem się tam. Załączam wycinek gazety z „New Orlean” z opisem faktu.

Błagam Boga o przebaczenie za ciężką krzywdę, jaką pani tem mimo chęci wyrządzam.

Walczyłem ze sobą strasznie, wreszcie postanowiłem.

Wiem ze słów listu mego syna, że choć bardzo młoda, jesteś pani silną duchem. Przedstawiam rzecz całą, Tobie samej, pani.

Osądź, co masz uczynić. . . . Osądź, czy straszna tajemnica, która w każdej chwili spaść może z kąds, jak piorun, w środek waszego przyszłego pożycia, pozwala na wasz związek? Czy będziecie mieli oboje dość sił do jej zniesienia? Synowi memu nie mówię — nie nie powiem. Nie chcę krępować twego postanowienia. Uczynisz, co uznasz za dobre. Powiesz mu o tem lub rzecz zachowasz w wiecznej tajemnicy; uznasz, że związek wasz jest w tych warunkach możebnym lub ulega zerwaniu; wskażesz mu te lub inne, fałszywe czy prawdziwe powody zerwania — rzecz to Twoja pani.

Pozostawiam ją Twemu taktowi i uczciwości.

Ja wszystko przyjmę, choć śmierć mi patrzy w oczy, na myśl, że moje wnuki, spodkobiercy rodu Felsensteinów, miałyby być także wnukami tego, który. . . . Wybacz pani te gorzkie słowa starcowi, którego długie lata doświadczeń życiowych nie potrafiły pozbawić pewnych wyobrażeń, pewnych przesądów, jak mniemają niektórzy. — Te przesady są dla niego treścią życia.

Piszę te słowa do pani z ciężkim bólem, ale napisać je muszę. Inaczej nie mogę.

Sługa pokorny

Albert bar. v. Felsenstein“.

Jadwiga skończyła czytać.

Czytała powoli, spokojnie, jak gdyby wyrazy, rozbijające jej całe szczęście, nie ją nie obchodziły. Dopiero przy końcu rzuciła ruchem nerwowym list na stół.

— A jednak jest w tem jakiś fałsz, jakaś przebijająca z pod spodu nikczemność.... — rzekła stłumiony głosem.

Staruszka, bezradna, wzruszyła tylko ramionami.

— A teraz co? — zapytała Jadwiga więcej siebie, aniżeli swej towarzyszki.

— Teraz, najpierw należy spełnić obowiązek — była własna jej odpowiedź.

Wzięła, na pozór spokojna, arkusz papieru listowego i pisała bez wzruszenia. Wyrazy listu były niemieckie.

„Wny baron von Felsenstein

w Berlinaie.

List pański odebrałam. Syn pański mężem moim nie będzie nigdy.

Sługa

Jadwiga Śląska.”

To był list pierwszy.

Należało teraz napisać i drugi. Ten przyszedł jej nie tak łatwo. Nie upłynęło przecież

minut piętnastu — a i drugi list leżał już przed nią gotowy.

Był to list polski. Brzmiał, jak następuje:
„Wny Konrad v. Felsenstein.

Sz. Panie: — Losy rządzą nami niekiedy w sposób fatalny.... Znasz pan mnie o tyle, o ile znać musi człowiek serca, honoru i inteligencyi kobietę, z którą związać pragnął swą egzystencyę na całe życie. Wiesz pan tedy, że pisząc ten list, działałam z zupełną rozwagą — i tak, jak mi każe najwyższe prawo życia, obowiązek. Jestem zmuszoną oświadczyć panu, iż związek małżeński pomiędzy nami do skutku przyjść nie może. Zmienić tego nikt i nie jest w stanie. W imię szacunku, jaki pan miałeś dla mnie zawsze, w imię względności, jaka należy się kobiecie, zmuszonej w bólu serca (przyznaję to bez fałszywego wstydu) wyrzec fatalne słowo rozstania, zaklinam pana, ażebyś nigdy nie starał się, nie tylko dowiedzieć się, jakie przyczyny spowodowały to rozbicie naszych planów na przyszłość, ale nawet — nie próbował nigdy mnie widzieć. Tak być musi. Znam pana dobrze — i wiem, że postąpisz tak, jak proszę. Żegnaj pana na zawsze. Zachowaj dla mnie przyjaźń. Szacunku twego zawsze będę godną.

Przed chwilą jeszcze pańska narzeczona
Jadwiga.“

„P.S. Pierścionek zaręczynowy zwracam panu jednocześnie.

Napisała te dwa listy — i na chwilę zatopiła się w zamyśleniu, nieruchoma.

To przecież ją zmęczyło. Bądź co bądź, w jej życie, dotąd tak spokojne, spadł piorun. Spadł niespodziewanie. Przyjęła go z podniesionem czołem i otwartą piersią. Nie zachwiała się. Ale nie mniej piorun był piorunem, Zburzył, jak sądziła, całą jej przyszłość. Oderwał od nadziei życia, które marzyła sobie tak prostem — i słodkiem.

Przed chwilą, ukochana narzeczona, przyszła małżonka człowieka bez zarzutu, kobieta, która, jak sądziła, miała prawo iść przez życie z podniesionem czołem, żądając od świata czci i szacunku, czuła się teraz — niczem, istotą bez oparcia, z piętnem niezasłużonej hańby, palącym jej twarz.

— Córka skazańca i złodzieja! — huczało jej w uszach.

Musiała przywołać całą siłę woli, ażeby otrząsnąć się z bólu.

Podniosła głowę.

— Posłuchaj, ciociu! — rzekła i odczytała staruszce, ciągle drżącej z żalu, obydwie listy. — Idę teraz — dodała po chwili — wrzucić to na pocztę. . . . Gdy powrócę, pomyślimy, co dalej.

III.

Przygładziła włosy przed lustrem, włożyła na głowę kapelusz — i chciała wyjść. W ostatniej chwili myśl jakaś przemknęła jej przez głowę.

— Ale.... ale.... — rzekła nagle zwracając się do pani Biechońskiej.

— Co, dziecko moje? — pytała staruszka.

— Mówiła ciocia o liście jakimś, który przed laty, gdym była mała, przyszedł zdaleka do mojej matki.... o tym liście fatalnym — zatrzymała się przez sekundę, a głos jej łzami nabrzmiął i jak gdyby się przerwał — który.. który.... ciosem ostatnim.... był dla mojej mateńki ukochanej.... ciosem tak ciężkim... jak ten oto list dla mnie — wskazała na pismo barona Felsensteina, leżące na stole — Co się z tym listem stało?! Zniszczony, czy istnieje?

Ciocia Biechońska aż skoczyła z krzesła na równe nogi.

— Boże mój, Boże! Jakaż ja głupia... — wołała.

Jadwiga spoglądała na nią zdziwiona.

— Tak.... głupia.... stara.... nierozgarnięta.... List istnieje!

— Gdzie?

— Tu.... tu gdzieś.... w papierach nieboszczyka Stasia — staruszka znów się zachłysnęła łzami — Tak jest.... I dla tego jestem niepoprawnie głupią.... z bólu czy ze starości.... że ten list powinnabym ci oddać już dawno.

— Jakto?

— A tak.... — zaczęła ciotka, a łzy znów jej na oczy nabiegły — Gdy twoja mateczka,

Józia najdroższa, umierała, to w chwili ostatniej, przed samą śmiercią ocknęła się z nieprzytomności — i do nas dwojga, do mnie i do Stasieczka, czuwających u jej łoża, rzekła.... pamiętam to, jak dziś.... tak rzekła: „Zagadkę mojej śmierci znajdziecie tam, w tamtej kopercie... i zagadkę mojej i mojego dziecka hańby!.... Nie chcę, ażeby o tem kiedykolwiek wiedziało moje dziecko.... moja Jadzia. Spalcie to!” A ręce jej w przedśmiertnej agonii darły koronki kołdry.... Boże, mój Boże, co to była za chwila okropna! Głowa biedaczki pochyliła się na bok; myślałam, że już nie żyje. Lecz ona zdawała się tylko namyślać. Głowę podniosła — i szeptała dalej: „.... Albo nie... nie palcie tego! Przymknijcie mi.... że nigdy tego.... nigdy! nie pokażecie mojej córce.... chyba... chyba... że zkażąd o tem się dowie.... To może jej posłużyć za broń... za ślad....” Tu szept jej się urwał. Za kilka minut już nie żyła. My, Stasieczek i ja, w obec jej zwłok przysięgliśmy....

Staruszka na chwilę, zmęczona, zatrzymała się.

— I co? i co? — pytała gorączko Jadwiga, która tymczasem upadła na krzesło przy stole i słuchała niecierpliwie bezładnego opowiadania staruszki.

— Nic.... Papiery te z kopertą leżą tam gdzieś, w biurku Stasieczka.... pod pyłem...

od jego zgonu, może jeszcze od tej chwili pamiętnej nietykane.

Jadwiga namyślała się przez chwilę.

I tę niespodziewaną wiadomość przyjęła ze spokojem.

— Dobrze! — rekła — Ja idę do miasta. Wrzucę listy i odetchnę trochę świeżem powietrzem. Za półgodziny będę z powrotem. Jeśli można, droga cioteczko, znajdź tymczasem ten list fatalny.... Po powrocie przejrzymy go obie.

Ucałowała siwe włosy pocziwej ciotki — i skierowała się ku wyjściu.

Staruszka zatrzymała ją gestem.

— Czy....czy — pytała nieśmiało, wskazując na listy, trzymane przez Jadzię w ręku — czy nie mogłabyś się wstrzymać z tem.... aż przeczytasz tamto?

— Nie — była odpowiedź Jadwigi — jedno z drugim nic wspólnego nie ma. Listy trzeba wrzucić zaraz. Tak być musi!

Wyszła.

Gdy wróciła, zastała w pierwszym pokoju, przy biurku nieboszczyka radcy, ciotkę Biechońską pośród papierów. Pokrywały one krzesła, biurko, leżały nawet na podłodze. Staruszka powitała ją okrzykiem:

— Mam.... mam!

Za chwilę siedziały obie przy stoliku w po-

koju Jadwigi. Przed dziewczyną leżała duża, wyżółkła koperta, okryta różnemi stęplami, napisami i szeregiem marek pocztowych dziwnej barwy, z adresem skreślonym dużemi literami, jak następuje: „Mrs Stephen Slaskey— Miodowa Str. — Warsaw — Poland.” Na poprzek tego napisu szły następujące słowa, po polsku ręką nieboszczyka radcy Biechońskiego skreślone:

„Dnia 17 listopada 1867 r. przysięgłem razem z żoną moją, umierającą Józji Śląskiej, że nigdy zawartości tej koperty dziecięciu jej jedynemu, Jadwidze, ani przed, ani po dojściu jej do rozumu nie komunikuję, chyba gdyby w jakikolwiek inny sposób o tem strasznem nieszczęściu się dowiedziała. W takim razie tylko kopertę ową ja lub żona moja doręczyć jej powinniśmy. W tym celu koperta do końca życia tego z nas, które drugie przeżyje, ma być zachowana. Przed zgonem starać się ją spalić trzeba. Tak mi, Panie Boże, dopomóż! zlecenie umierającej z bólu i żalu, najnieszczęśliwszej i najszlachetniejszej w świecie z kobiet, co do joty wykonać.

Stanisław Biechoński.“

Foznań.

Rozdarty bok koperty był na nowo zamknięty przepaską z mocnego niebieskiego papieru i dwiema herbowemi pieczęciami na lakku zapieczętowany.

Jadwiga podniosła cenny dokument do ust i z czcią złożyła na nim pocałunek. Potem

rozdania przepaskę. Z koperty wypadło kilku zwitków szarego papieru, arkusik listowego papieru i połowa mosiężnego, o ile się zdaje, pierścionka z miniaturowym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, jakie często u ludu naszego widzieć można. Była to połowa z wizerunkiem, obok niej metal był zaraz odcięty, czy też prędzej odłamany, bo przekrój był nierówny.

Jadwigę ten niezwykły przedmiot zacieka-
wił. Wzięła go do ręki i uważnie mu się przy-
glądała.

— Co to? — zapytała staruszki.

— Nie pamiętam dobrze.... To już siedm-
naście lat temu. Objasnienie znajdziesz w pa-
pierach.

Dziewczę wzięło do ręki jeden z papierów,
które wypadły z koperty, ale po chwili zatrzy-
mało się.

— Nie.... — rzekła do siebie sama, a usta
jej skrzywiły się gorzkim uśmiechem — Mamy
wystudyować historję zbrodni z przed lat 17tu;
idźmy po porządku.

Obok znanego nam już listu barona Fel-
sensteina leżał zmięty i wyżółkły wycinek z
gazety angielskiej. Był to właśnie ten wy-
cinek, o którym wspominał w swym fatalnym
liście ojciec Konrada.

Napis ręką barona u góry wskazywał, że
to był wycinek z gazety „Louisiana News” z
d. 13 marca 1867 r.

Jadwiga podniosła ten wycinek do oczu— i czytała, tłumacząc odrazu dla nieznaającej obcego języka ciotki, z języka angielskiego na polski.

Artykuł, zawarty w wycinku, brzmiał, jak następuje:

„Zakamieniały zbrodniarz powieszony!

Do ostatniej chwili nie chciał się przyznać do winy. —

Przed śmiercią odbył Spowiedź.

Dziś rano o godz. 6 m. 30 w murach naszego więzienia odegrał się ostatni akt krwawego dramatu, którego początkiem było obrabowanie banku „Merchant's Loan & Trust Co.” i morderstwo, spełnione przy tej okazji na służącym bankowym, Filipie Casey.

Winny tej podwójnej zbrodni, szlachcic polski i były asystent kasyera tegoż banku, Stefan Ślaski, (Slaskey), dziś o godzinie 7 m. 30 rano, z wyroku sądu, został powieszony, jak powiada prawo, za szyć, aż dotąd, dopóki nie nastąpiła śmierć.

Sprawca zbrodni aż do ostatniej chwili twierdził, że jest niewinnym.

A jednak nasi czytelnicy, którzy przez tygodnie całe z najżywszem zaciekawieniem śledzili przebieg tej sensacyjnej i zawiłej sprawy, wiedzą dobrze, iż co do winy zbrodniarza nie może być żadnej wątpliwości. Musiałby to być chyba niewidziany nigdy dotąd w dziejach sądów amerykańskich wypadek omyłki sprawiedliwości! . . .

Sądzić raczej należy, iż skazany jest najzakamienialszym w świecie złoczyńcą.

Wysoka jego inteligencya, przeszłość pozornie bez skazy, waleczność, okazana w szeregach wojska podczas ostatniej naszej wojny, są jawnymi dowodami, jak umiejętnie potrafił się on maskować, jak podwójną potrafił żyć egzystencyą. Do zbrodni, pomimo namacalnych dowodów, nigdy się nie przyznał. Wczoraj po południu wezwał spowiednika, kapłana. Owoce kradzieży, mówiąc nawiasem, sięgające do pół miliona dolarów, ukrył bez śladu.... Jeszcze na kilka godzin przed śmiercią z hypokryzyą niesłychaną zapewniał o swej niewinności — i kreślił na czole znak Krzyża św.“

Jadwiga skończyła czytanie.

Podczas ostatnich słów czuć było silne drżenie w jej głosie.... Urwała nagle — i zakryła oczy rękoma.

— A więc to prawda.... prawda! — wyjęknęła.

Staruszka podbiegła do niej — i całowała ją w czoło. Ale Jadzia już odzyskała siłę i przytomność.

— Nic to, ciociu.... — rzekła — czytamy dalej.

Drżącą ręką sięgnęła do papierów, które wypadły z koperty.

Rozwinęła jeden z nich; był to papier listowy. Ta sama ręka, która zaadresowała kopertę, skreśliła na nim po angielsku słów parę.

Brzmiały one, jak następuje:

„*New Orleans*, 11 marca 1867 r.

„... Te zapiski, skreślone przez skazanego na śmierć Stephena Slaskey w obcym dla mnie języku, na jego usilną prośbę, po odbytej przezeń Spowiedzi, i po solennem pod przysięgą przezeń zapewnieniu, że nie zawierają nic występnego, karygodnego, ani nieuczciwego, przesyłam, w przeddzień wykonania wyroku, jego żonie w Polsce.

† *Ks. Malachiusz, S. J.*“

A więc tamte żółte kartki papieru to były zapiski.... to były ostatnie słowa.... to był testament jej nieznanego ojca, straconego na rusztowaniu przez kata.

Cała krew zbiegła Jadwidze do serca.

Porwała kawałki papieru — i cisnęła je do ust. Jednocześnie, po raz pierwszy od początku tortur moralnych, które przechodziła tego pamiętnego w życiu dnia, wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem.

O! ona wie, ona to czuje dobrze.... Ojciec jej nie mógł być winnym. Umarł na rusztowaniu, ale umarł ofiarą fatalnej omyłki sądowej... Jest męczennikiem!....

Myśl rwała się w głowie Jadwigi.

Siedziała nieruchoma w krześle, wsparta o stół, bezwładna, ściskając w dłoni żółte kartecki. Tymczasem mrok zapadał zwolna na jej białą komnatkę. W szarych jego konturach,

jak dwa posągi boleści, majaczyły postacie dwóch kobiet, które dzień ten chłostał cierniami i serca im palił ogniem.

IV.

Gdy po pewnym czasie obie kobiety zdołały się nieco uspokoić, Jadzia przy świetle lampy, wniesionej przez ciotkę, przystąpiła do czytania zapisek ojca, pisanych gdzieś daleko za lądami i morzami, w przeddzień haniebnego zgonu na szubienicy.

Było tych kartek kilkanaście.

Pisane były ołówkiem i wyblakłym dziś atramentem, widocznie w różnych datach. Niektóre wyrazy były nieczytelne, inne zamazane łzami.... Gdzieniegdzie litery były stawiane pewno i silnie, gdzieindziej gięły się w załamy, kreślone ręką drżącą od wzruszenia.

Kartki te, uporządkowane przez Jadzię, brzmiały, jak następuje:

New Orleans, La, w więzieniu.

„..... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Środa. — Stało się. Dziś padło ostatnie słowo.

.... Rano — była pewno godzina ósma, a wreszcie, czy ja wiem która — przyszedł do mej żelaznej klatki adwokat. To człowiek z sercem. Ten jeden wierzy mi, że niewinny.... on jeden tylko. Powiedział mi, że wszystkie moje skargi odrzucone.... Wszystkie argumenta na nic.

Wyrok zatwierdzono ostatecznie.

Jestem więc winnym morderstwa i kradzieży. Tak powiedzieli ludzie i ich sądy. Boże! Ty widzisz jeden w mojej duszy. Ty wiesz, że to nieprawda.

....Okropność! okropność!

....Wyrok będzie wykonany za dni 8. Tak powiedział mój adwokat. Nie!... nie żał mi życia, nie boję się śmierci. Tyle razy ją widziałem na polu walk; tyle razy byłem gotów zajrzeć jej w twarz na moskiewskiej szubienicy.... A dłoń mi nie zadrgała, nie zastygła krew w żyłach. To było dla Ojczyzny, dla Polski ukochanej. Ale dziś.... dziś.... drzę cały.... łzy mi z oczu tryskają, jak fontanna. Zębami zgrzytam.... widzę tę rzecz potworną.... szubienicę. Czuję strach, strach śmiertelny. Krew mi w łód się obraca.

Czemu? czemu?.... Wiem już.... To hańba mnie przeraża. Hańba mnie dusi. Precz z hańbą!

....O, Panie, Panie! Czemu mnie tak strasznie dręczysz? Czyż mam Ci zacząć bluźnić?!

....Adwokat mi radził, ażeby wniesć do gubernatora prośbę o ułaskawienie. Odpowiedziałem:

— Nie, nigdy!

Kto prosi o łaskę, przyznaje się do winy. A ja jestem niewinny.... Nie, nigdy!

On odszedł.... Ostatni to człowiek, który patrzył na mnie z wiarą i litością.... Ostatni! Teraz już nie ma nikogo.... Mrok w koło mnie i wszędzie serca dzikie.... nienawistne.

Za 8 dni.

....O, Boże! Za co mnie przekląłeś?

....Siedziałem skulony, jak zwierz dziki w swem legowisku. Nagle ktoś dotknął mnie palcem w ramię

przez kratę. Otrzymałem się. To był strażnik. Powiedział mi: „Za 8 dni twój czas. Podług zwyczajów więziennych przez tych dni parę możesz mieć lepszy pokarm, trochę tytoniu i wina, wreszcie ołówek, pióro i papier. Chcesz czego?“ Nie odpowiedziałem mu zrazu. Po co mi to? myślałem. — Czyż źdźbło tytoniu oddali ode mnie straszną hańbę? Czy wino całego świata zmyje ze mnie piętno złodzieja i mordercy? Pisać... do kogo i co?

Ale po chwili przebiegła mi nowa myśl przez głowę. — Pióra i papieru! — rzekłem. — I jeszcze jedno... W liczbie przedmiotów, odebranych mi w kancelaryi więziennej znajduje się książka, mała książeczka w zniszczonej oprawie, z krzyżem złotym na grzbiecie. To książka do modlitwy. Oddajcie mi ją na te dni kilka.

Strażnik ruszył surowo wąsami.

— Nie wiem, czy to dozwolone — rzekł i odszedł.

....A ja zostałem z piekłem w duszy, z rozpaczą bez granic.

Czwartek. — Już tylko 7 dni.

Wczoraj zaraz dostałem ołówek, pióro i papier. Później przynieśli mi moją książeczkę do nabożeństwa. Pisałem.... potem modliłem się. Czuję nieco ulgi. Nerwy moje nie są dziś tak rozprężone.

Chwilami zresztą obejmuje mnie szal.

Otwieram wtedy książeczkę.... Modliłem się na niej, będąc jeszcze uczniem gimnazjum. Znam każdą jej kartką, każde zagięcie, każdą plamkę.

Oto psalmy pokutne.

„Dla głosu wdychania mego, przyschły kości moje do ciała swojego.“

„Stałem się podobny pelikanowi na puszczy — i stałem się, jako kruk szary w pustkach.“

„Nie spałem, i stałem się, jako wróbel, który sam zostaje na dachu.“

„Przez cały dzień urągali się nieprzyjaciele moi; — a ci, którzy mnie chwalili, przeciwko mnie przysięgali.“

....Przymknąłem oczy.

Kto.... kto to mówi?!.... To Pan sam włożył te słowa w moje usta.... Czyż kości moje nie zeschnięte na popiół? Czy nie jestem, jako kruk nocny i wróbel samotny? Czy nie urągano się ze mnie? i nie przysięgano przeciw mnie?

....O, Panie! Tyś znalazł słowa, w które najlepiej wcieliła się moja rozpacz? Czyż od Ciebie nie spłyną mi słowa nadziei?

....Przewracam kartki mojej małej książeczki.

„Dni moje zeszyły, jako cień, — a jam, jako siano usechł.“

„Ale, Ty, Panie! trwasz na wieki — a pamiątka Twoja od rodzaju do rodzaju.“

„Ty, powstawszy, zmiłujesz się nad Syonem....“

....O, Panie! dzięki ci za słowa nadziei. Padam na kolana — i w Twoje ręce oddaję ból hańby, co mię piecze, jak żar, jak potępienie.

....*Sobota*. — Już tylko 5 dni.

Wczoraj cały dzień przetrwałem na modlitwie. Nie pisałem nic. Niech się dzieje wola Boża!

Dziś jam już prawie spokojny.

Przypomniałem sobie: po co właściwie żądałem papieru i pióra? Tak.... nie szło mi o próżny wylew bóleści na martwy papier. Miałem cel inny.

Za 5 dni stanę się ofiarą kata.

Imię moje w tym kraju pozostanie na zawsze
wstrętne nie żałowane w czarnych regestrach
hańby. Ta wieść o niesławie nie dziś, to za lata całe
dolecieć może do Polski. A jednak ja nie chcę nie
chcę, ażeby ze świata całego dwie istoty uwierzyły w
tę hańbę

. . . . Nie chcę — nie chcę!

. . . . Te dwie istoty — to moja żona, święta ukocha-
na żona i dziecię moje pierworodne. Boże! jakież ja
nieszczęśliwy Czyż oni żyją? Gdzie są? Co robią?
Los nie dał mi nawet widzieć własnego dziecka. Jeśli
żyje, nie wiem, kto ono: dziewczynka czy chłopczyk.
Nie słyszałem nigdy głosu niemowlęcia. Pieścić go już
nigdy nie będę!

Nigdy

. . . . Trzy lata upływa, jakem wyszedł z Polski.
Wicher wydarzeń miotał mną, jak liściem. Blokada
podczas wojny amerykańskiej nie pozwalała na stosunki.
Potem wieść mi o nich zaginęła,

Nie było odpowiedzi na listy.

Czy oni żyją tylko czy żyją?

. . . . Tak czy inaczej, winienem im parą słów obja-
śnienia. Dla nich napiszę krótko, co za fatalny zbieg
okoliczności zaprowadził mnie pod szubienicę. Do nich
z grobu zawołam głosem potężnym:

— Jam niewinny! Krew i złoto skradzione rąk
moich nie splamiły

Bóg wielki sprawi, że te kartki, krwią serca moje-
go pisane, dojdą do nich. I oni mi uwierzą Głos z

za grobu silny! Uwierzą — i pomszczą może.... Uwierzą — i hańbę z mej pamięci zdejmą.

Dla sprawiedliwości Bożej nie ma przegród i przeszkód. Oceany, które nas dzielą w tej chwili, dla niej — niczem.

....Już zmierzcha się. Jestem zmęczony. Pióro wypada mi z rąk. Jutro więcej,

Niedziela. — Modliłem się.

Powtarzałem dzień cały z mych psalmów pokutnych te słowa:

„Wybaw mię ze krwi, Boże! Boże zbawienia mego! — a język mój z radością będzie wystawiał sprawiedliwość Twoją!”

....W Panu wszystko.

Poniedziałek — tylko 3 dni....

....Jestem zupełnie spokojny. Czas wreszcie opisać dla mojej żony i mojego dziecka historię mego strasznego procesu, moich win niepopelnionych, za które teraz krwią płacę.

Historia to krótka.

Przybyłem po dziwnym szeregu wypadków, o których tu ani czas, ani miejsce pisać, w połowie r. 1864 do New Orleans, w Stanach Zjednoczonych, zkad dziś te słowa piszę. Przyjechałem bez grosza, głodny. Zastałem wojnę Południa z Północą.... Jestem żołnierzem; zaciągnąłem się do szeregów, walczyłem — i z końcem wojny wyszedłem z wojska, lekko ranny, ze stopniem kapitana.

Nie wiele znaczył ten stopień.... My, Południowcy, zostaliśmy pobici.

Ale znaczyły coś stosunki na polu bitwy zawarte. Gdym wrócił do New Orleans, zastałem tu dziesiątki dłoni pomocnych i serc bijących życzliwie.

Kilka miesięcy temu, za wpływem jednego z towarzyszków broni, którego ojciec jest milionerem, dano mi posadę klerka w banku „Merchant's Loan & Trust Co.” — a w trzy miesiące potem posunięty zostałem na pomocnika kasyera,

Było mi dobrze. Miałem nadzieję na przyszłość.

Zarła mnie tylko tęsknota za Polską, niepokój o żonę i dziecko. Nie miałem od nich, pomimo wszelkich poszukiwań, żadnej wieści.

Tak nadszedł straszny dzień 17 grudnia r. 1866.

Poprzedniego dnia byłem w gronie paru przyjaciół w „saloonie”.... Wypiliśmy po parę szklaneczek „cocktail'u”. Po drugiej szklance zrobiło mi się niedobrze. Obok mnie stał przyjaciel, szczególnie mi życzliwy, także kolega z wojska, baron Adalbert. Prosiłem go, ażeby odprowadził mnie do domu.

Inni towarzysze śmieli się jeszcze ze mnie. Wiedzieli zresztą, że niechętnie piłem trunki.

Baron odprowadził mnie. Załedwie w mieszkaniu zdążyłem się rozebrać, upadłem na łóżko — i zasnąłem... Co było dalej? — nie wiem. Spałem długo. Jak długo? — nie wiedziałem sam. Straszne sny przechodziły mi przez głowę. Aż obudziło mnie silne wstrząśnienie. Otworzyłem ciężkie, jak ołów, powieki. Nademną, nad moim łóżkiem, stało ludzi kilku.... Jeden trzymał mnie za ramię. Był to, jak się dowiedziałem później, naczelnik policyi.

— Ty okradłeś bank i zabiłeś woźnego Caseya? — spytał.

Nie rozumiałem pytania.... Byłem jeszcze nieprzytomny. Ubrano mnie i włożono mi na ręce kajdanki. Detektywi przewrócili do góry nogami mój pokój, a potem zawieziono mnie do więzienia.

....Zaczął się mój proces.

Zostałem skazany. A jednak jam niewinny.... Tak mi bądź świadkiem, Boże wszechmogący!

....Dowody, jak twierdzili adwokaci i prokuratorzy, były jasne.

Od nich się dopiero dowiedziałem, że w tę noc fatalną (jak się okazało, przespałem wtedy martwy, jak kamień, blisko 24 godzin) okradziono nasz bank. Ktoś — jakiś szatan! — moim własnym kluczem otworzył podręczną kasę ogniotrwałą, w której naówczas znajdowało się przypadkiem ze 150,000 dolarów gotówki i za drugie tyle, złożonych tego dnia do depozytu kosztowności.... Pieniądze i brylanty skradł — a mieszkającego obok woźnego Filipa, który nadbiegł widocznie zaalarmowany światłem — zamordował.

....Straszne! Ty, Panie, wiesz, że ja tego nie jestem sprawcą.

....Zresztą dowodów nie brakło.

W pokoju moim znaleziono surdut mój z plamami od krwi na przodzie, zakrwawiony sztylet, 5 banknotów studolarowych, skradzionych z kasy bankowej i pierścień brylantowy, W drzwiczkach kasy ogniotrwałej znajdował się mój klucz. Zresztą ja znałem tylko kombinację kasy. Zamknąłem ją (to było często moim zwyczajem) imieniem najdroższej mojej żony, (kiedy indziej zamyka-

łem ją nazwiskiem mojego kochanego Bronowa, gdzie się urodził). To nie jeszcze! Trzech czy czterech ludzi widziało mnie — mnie — idącego do banku o 11tej w nocy. W tej liczbie jeden był moim przyjacielem..... Zeznał to z wahaniem, widocznie chcąc mnie oszczędzić.... ale zobowiązywała go przysięga — musiał.

....Co chcecie więcej?! Skazano mnie. Ja sam, gdybym był sędzią przysięgłym, skazałbym winnego.

....A więc umrę na szubienicy!

... Świat cały będzie wierzył, że jestem zbrodniarzem i złodziejem. Ale wy — wy obydwójce — ty, Józeczko moja najdroższa, przy której sercu przeżyłem najśłodsze i najuroczystsze dni mojego żywota, ty moja żono i kochanko — i ty, dziecię moje, którego los nie da mi poznać nigdy — wiercie.... wiercie, proszę i na wszystko zaklinam, że ja — niewinny.

Któryś, adwokat czy sędzia, rzucił myśl, iż, być może, zbrodnię spełniłem we śnie hipnotycznym.... To nieprawda.

— Jam niewinny.... niewinny! — wołam, konając z rozpaczą — choć na śmierć skazany.... Duch mój biały, jak skrzydło anioła.... Zbrodnia na nim nie ciąży — nie!

Wtorek. — jeszcze 2 dni.

....Dziś rano modliłem się gorąco. O książeczko moja maleńka, świadku mej wiary dziecięcej! — ilem ci chwil szczęścia i spokoju winien.

Wyczytałem w niej te słowa: „Wiele jest biczów na grzesznika, ale ufającego w Panu miłosierdzie ogarnie” — i rozradowałem się.

....Wziąłem się potem do skromnego śniadania.

Rozłamałem chleb. Wtem — dłoń moja zadrżała!... — w środku chleba ujrzałem coś białego — to papier. Wstrzymałem oddech.... Obwiodłem moje kraty oczyma.... Strażnika nie było. Na moim lichym stoliku ułożyłem bułkę chleba tak, ażeby zasłaniała mój skarb, mój papier przed oczyma strażnika, gdyby nadszedł. Ruchem szybkim wyrwałem papier z ośrodka — i zacząłem czytać.

Była to kartka, pisana po polsku.

Pisana ręką nieumiejącą i z błędami; pisana widocznie w chwili głębokiego wzruszenia; upstrzona plamami od atramentu; prawie niezrozumiała, Zawierała ledwo słów kilkanaście.... Ale dla mnie ta brudna kartka była jak gdyby objawieniem anielskim.

Zniszczyłem ją zaraz, w obawie przed strażnikami. Odtworzyć dosłownie chaos bezładnych wyrazów, które się na nią składały, niepodobna.

Krótko mówiąc, piszący wyraził przekonanie, że ja jestem niewinnym — i że stałem się ofiarą czyjejś intrygi. Kazał mi oczekiwać nazajutrz drugiego listu w tej samej drodze i dowodów mej niewinności.... On właśnie o tem najwięcej wiedział. Z kartki widać było zresztą, że autor czegoś się lęka, jest pod jakąś groźbą, pod jakimś przymusem.

Było to wszystko podpisano literą „M“.

Z trudem to wszystko odcyfrowałem.

.... Wrażień, które przechodziłem stopniowo w miarę, jak pojmowałem, o co szło piszącemu, nie jestem w stanie odtworzyć. Było to tak, jak gdyby szereg sprzecznych prądów elektrycznych przenikał me ciało i mózg. Przechodziłem z nadziei do rozpacz i odwro-

tnie. Nareszcie zatryumfowała we mnie myśl jedna, myśl radości i nadziei.

Rozbrzmiewa mi ona w tej chwili w mózgu.

A więc nie jestem sam na świecie. Jest ktoś, co wierzy w moją niewinność, kto troszczy się o mnie — i chce mi podać dłoń pomocną.

O, niechaj stokroć będzie błogosławiony!

....I kto to?

Natężyłem myśl. Tak jest.... Ja znam zkadś to pismo niekształtne, to pismo człowieka nieprzywykłego do trzymania pióra. Zkad?... Chwila namysłu — już wiem. To pismo Millera.

....Miller — to ten chłopak, który służył w mojej kompanii. Jedyny Polak, którego spotkałem w wojsku Południowców. Pamiętam, uratowałem mn życie pod Oak Hill. Zawierucha!.... ale w gruncie rzeczy serce niezłe. Tak mi się zawsze zdawało. Opowiadał mi nieraz, jakim to dziwnym zbiegiem wypadków znalazł się na drugiej półkuli, zdala od swego rodzinnego Cieszyna, w obcym wojsku. Słuchałem go z przyjemnością, nie dla tego, co mówił, ale dla tego, że mówił po polsku.

Po skończeniu wojny wyrobiłem mu miejsce wóźnego w banku. Wydalono go zresztą za jakieś drobne przekroczenie.... To właśnie jego następcą był nieszczęsny, zamordowany Filip.

Tak, to on.

....Dla czegoż on właśnie?

Jakąż rolę gra w tym dramacie? Co znaczą jego słowa?

....Pióro wypada mi z ręki.... Ten promień światła uczynił mrok mojego ducha jeszcze gęstszym.

Przestaję pisać. . . . Modlić się pragnę.

Sroda. — A więc jutro — szubienica.

. . . . Ostatnia, złudna nadzieja rozbita. Promyk światła, który mi wczoraj zabłysnął — już zagaśł. Mimo to chcę być spokojnym.

Chcę podać do wiadomości mojej żony i dziecka to, co mi się dziś znowu zdarzyło, jak najbardziej przedmiotowo; chcę z tego dla nich wyprowadzić wnioski, jak najbardziej logiczne.

. . . . Przyciskam głowę do zimnej, żelaznej kraty — i myślę.

. . . . Tak jest. Ja sam obrony mojego życia i czei już podjąć nie jestem w stanie. Choćbym zakomunikował drugą kartkę Millera memu adwokatowi — cóż ztąd? Czy wznowią mój proces? czy ten świstek niezrozumiały, pisany w obcym języku przez obcego człowieka — i to przez człowieka, który dziś znajduje się niewiadomo gdzie — czyż ten świstek zaważy w obec zebranych przeciwko mnie dowodów, choć tyle, co proch waży w porównaniu z górą? — Nie. — A więc po co zaczynać na nowo beznadziejną walkę?

Po co narażać się raz jeszcze na chłostę pogardy, na szyderstwo?

. . . . A więc nie. Ja sam z tego użytku nie zrobię. Ale przekazuję to wszystko, tę broń, te dwa dowody dziwne, mojej żonie i mojemu dziecku. . . . Jeśli Bóg zechce, oni po zgonie moim staną się mścicielami czei mojej.

. . . . Wierzę, że to nastąpić może i powinno.

Pan, bez którego wiedzy żadna gwiazda nie gaśnie na niebiosach, ani żaden proch nie przelatuje przez pu-

stynię sprawi, że i te moje słowa, testament mej rozpacz, znajdą się kiedyś w ręku wykonawców woli Bożej.

....Przystępuję do rzeczy. Spokoju!

....Dziś od rana byłem, jak na żarzących się węglach. Całą noc nie zmrużyłem oka. Myślałem. Pragnąłem znaleźć rozwiązanie zagadkowego listu Millera — i nic nie znalazłem. Wreszcie powiedziałem sobie: „Poranek przyniesie rozwiązanie.”

I przyniósł jeszcze większą zagadkę.

Nerwy zdawały się pękać mi w głowie, gdy strażnik, zimny i milczący, jak zawsze, położył przedemną zwykłą bułkę chleba. Nareszcie odszedł. Rozłamałem chleb.

W środku znalazłem dwa przedmioty: połowę miesięcznego pierścionka z wizerunkiem Matki Boskiej — i drugą kartkę.

Była (jeśli to możebne) jeszcze bardziej zmięta i wyplamiona, niż pierwsza.... Odczytałem ją z trudem. Była ona ciosem śmiertelnym dla zrodzonej wczoraj nadziei.

Jest przecież zarówno, jak i ów odłamek pierścionka, dowodem, początkiem dowodu dla tych, którzy pamięć moją pomszczą.

....Załączam dla nich obydwie te dowody.

A ponieważ mogłyby im być niezrozumiałe zygzaki Millera, streszczam tu tę drugą jego zapiskę.

M. oświadcza w niej, że wbrew obietnicy, teraz nie dla mnie zrobić nie może. Za chwilę wyjeżdża z New Orleans, wyjeżdża daleko. Boi się, ażeby go nie zamordował *on* (wyraz trzy razy podkreślony)!! Radzi mi prosić o „pardon“ u gubernatora — i wierzy, iż zostanę

ułaskawiony. A wtedy chce, ażeby się z nim ktoś w mojem imieniu skomunikował. Dowody mojej niewinności ma w ręku. . . . Połowę pierścionka załącza, jako dowód dla osoby trzeciej, że ta w samej rzeczy przyjdzie odemnie. Ten pierścionek trzeba okazać Julii Cybik jego ciotce, zamieszkałej w Cleveland, w Stanie Ohio (śródm gromadki tam osiadłych Polaków ze Ślązka znają ją wszyscy), a ona już do niego samego doprowadzi.

Na tem urywała się kartka, bezładna, ledwo rozumiała, zakończona wielkim kleksem, pod którym, o ile mi się zdaje, ukrywa się wyraz „Miller“ — nazwisko autora listu.

. . . . Długo myślałem nad tym listem. Skupiłem całą siłę mej myśli — i rozumiem go teraz dobrze.

To nawet dość proste.

. . . . Ten człowiek, ten Miller — co do którego mój sąd, gdym go nazywał poczeiwcem, musiał być mylnym — jest widocznie wtajemniczonym w sprawę rabunku i morderstwa. Był może współwinnym; może nawet głównym winowajcą; może tylko ukrywał zbrodnię za pieniądze. . . . ze strachu. . . . bo ja wiem. W ostatniej chwili ruszyło go sumienie. Chciał wyjawić zbrodnię. Ale stanęło mu coś na przeszkodzie: strach przed kimś. . . obawa kary może. Uciekł. W ostatniej chwili przecież sumienie znów mówi. Stawia tedy moją głowę na loteryę ułaskawienia. Mówi sobie: „Niech probuje prosić o łaskę. . . . Może wygra! A jeśli wygra, ja mu dopomogę.“

Widzę jasno jego walkę z sobą samym — jego wahanie się — jego umysł bez woli i duszę mizerną, dostępną różnym z różnych stron podszeptom.

....I to jest jedyny człowiek; który mógłby mnie uratować! Jedyny....

Niczem on dla mnie.

O łaskę prosić nie będę.... Już rzekłem dla czego. Do hańby — nie z mojej winy, nie chcę dołączać własnowolnego upodlenia. Umrę więc, ale tym, którzy — wierzę w to głęboko — będą mścicielami mojego ducha, przekazuję ten spadek.

....Niech idą i szukają tego człowieka. Niech wydobędą od niego dowód, że jestem niewinny. Niechaj, jeśli to możebne, cześć umarłemu przywrócić.

....To mój testament.

....Żegnaj ich — żegnaj na zawsze. W duchu, na czoło mej małżonki najdroższej kładę ten ostatni pocałunek, pocałunek śmierci. W duchu przyciskam do serca to moje niewiadome niemowlę, którego nigdy, nigdy już tu na świecie nie poznam.

Żegnaj ich.

....Po tem pożegnaniu ze śmiertelnymi, czas porachować się z Panem.

Prosiłem już od paru dni o spowiednika.

Dziś ma przybyć po południu. Czekam go. Tymczasem za książeczką moją powtarzam:

„Ofiara Bogu jest duch strapiony; serca skruszonego i uniesionego, Boże! nie wzgardzisz....“

Środa, godzina 6ta wieczorem.

....Stał się cud. Stało się, czego pragnęło moje serce. Te moje kartki, kreślone w ciężkiej męce i bólu, nie zaginą dla nich.... nie.

Dojść do nich mogą.

Brak mi czasu — wyjaśniam to w paru słowach.

Po odbyciu Spowiedzi, gdy serce stało się lekkie, jak ptak, i jasność w oczy patrzała, przyszła mi myśl. Zapytałem kapłana, który mi ostatnią oddał przysługę, czy nie mógłby tych kartek (wraz z pierścionkiem) przesłać mojej żonie.

Po namyśle, kazał mi przysiąc, że nic w tem niema zdrożnego. Wtedy obiecał, że będzie próbował przesłać je, gdzie należy. Dałem księdzu dawny warszawski twój adres, moja Józeczko.

....Czy jednak papiery te was dojdą? — Bóg wie jeden.

....Kończę. Kapłan czeka.... Jeszcze ostatnia łza dla was. Nie płaczcie, czytając ostatnie słowa tego, który jutro umrze śmiercią hańby.

Wasz

Stefan Ślaski."

.....
Czytanie zostało nareszcie skończone.

Dwie kobiety, w migocącym świetle lampy, zmęczone wrażeniami i bólem, blade były, jak dwa posągi z marmuru. Przez długą chwilę milczały, a w oczach obiedwu szkliły się łzy.

Wreszcie Jadwiga się podniosła.

— Ciociu! — rzekła — To był męczennik.... Dusza bez skazy i serce wielkie. Czcic go należy. Pomódlmy się za niego!

Wzięła staruszkę za rękę — i poprowadziła do obrazu Matki Boskiej. Klękły i modliły się.

Gdy wstały od modlitwy, twarz Jadwigi była prawie pogodna.

— A teraz — rzekła — przedemną jest do spełnienia obowiązek. Wola mego ojca musi być wykonaną. Wdzięczną jestem baronowi Felsensteinowi za jego brutalny cios, który sprawił, że te kartki dla mnie święte dostały się do moich rąk... Nie czas mi teraz myśleć o sobie. Spełnić trzeba, co każą wyroki niebios. Nie darmo po latach doszły do mnie te słowa z za grobu, słowa z poza Oceanów.... Pojadę do Ameryki. Głos ojca męczennika mnie woła. Sił mam dość; trudy mnie nie przerażają.... Znajdę tego człowieka — i spełnię obowiązek. Bóg pozwoli, że pamięć męczennika czystą się stanie, jak łza....

CZĘŚĆ II.

W Ameryce.

I.

Jesteśmy pośród Oceanu.

Olbrzymi parowiec oceanowy linii bremeńskiej mknie przez ciemno-błękitne otchłanie fal. Zwawy wietrzyk przelatuje nad odmętami. Nie jest to zresztą burza. Bałwany, jakieś podłużne, podnoszą się niewysoko, podskakują, jak olbrzymie, białe ptaki, i uderzając zlekka w boki okrętu, rozpryskują się na tysiące pian srebrzystych, zielonkawych, lazurowych i popielatych.... Po chwili otwiera się czarny odmęt i chłonie w siebie te wszystkie piany-skry, piany-gwiazdy i czeka potem, falując lekko, aż nowy atak Oceanu nie nadbiegnie. A olbrzym okręt pruje fale, jak gdyby nożem; walczy zwycięzko z wiatrem i wodą; od wysiłków maszyny, żelazne jego boki drżą, jak w febrze. Precz mu z drogi żywioły! Ten wytwór ludzkiej wynalazczości, to dziecię mózgu i rąk człowieka, dziś panem odmętów i huraganów.

Mknie szybko przez Ocean olbrzym z żelaza.

Celem jego podróży — Ameryka.

Niesie on ze sobą od starych lądów Europy cały ludzki świat. Małem społeczeństwem można to nazwać raczej, a nawet — dwoma społeczeństwami. . . . Jedno z nich, to obsługa olbrzymiego okrętu, ludzi kilkuset, mniej lub więcej stale do jego bytu przywiązanych. Rozmaitość wśród nich wielka, począwszy od wiecznie czarnych palaczy, żyjących w głębi okrętu, w ognistych kręgach machin parowych i wśród półmroku wielkich kamer z węglem, aż do opalonych przez słońce majtków, wspinających się zręcznie na szczyty masztów; od pomywaczki, obierającej kartofle w niezbyt wonnej atmosferze kuchni klasy trzeciej, aż do eleganckiego *chefa* (głównego kucharza) klasy I, tłu- stego Francuza, którego biały fartuch bez plamki promienieje, jak słońce. . . . Na jednym końcu tej hierarchii służbowo-społecznej: kapitan, pan losów okrętu olbrzymia, jegomość wygolony, o siwych, przystrzyżonych bakenbardach, *correct*, grzeczny dla dam, żartujący z panami, ale przytem pełen powagi oraz poczucia praw i obowiązków, płynących z zajmowanego przezeń stanowiska, jegomość opłacany dziesiątkami tysięcy marek, niby jaki minister; na drugim, wiecznie brudny, napół zidyocony Duńczyk, posługacz, używany do najcięższej roboty.

To świat służbowy na okręcie.

Jest przecież na nim i świat drugi, o wielekroć ciekawszy. To podróżni. Tych liczy okręt do tysiąca.

Jakaż pośród nich różnorodność stanowisk warstw społecznych, obyczajów, narodowości ras nawet. Jak szeroką skalę sprzeczności, od błyszczącego przepychu do brudu najwstrętniejszego, od milionowego bogactwa do nędzy beznadziejnej, zawiera w sobie ta łódź oceanowa, będąca w obec bezmiaru wszechświata i wód olbrzymich tylko — łupiną. I ile w tem zbiorowisku sprzecznych pożądań i nadziei; ile cierpień i ambicyj; ile walk i kierunków!

Obok spekulanta z pugilaresem, wypchanym czekami na miliony dolarów, złodziej bankowy, unoszący swą hańbę i cudze pieniądze za Ocean; obok artystki, pragnącej zdobyć złoto i laury w Ameryce, hrabia, który chce sprzedać tam swą mitrę za miliony amerykańskiej „heiress”, lub uczonego, którego ambicyą zbadać skały i pokłady geologiczne gdzieś w dalekiej Alasce; oto turyści angielscy, okrążający świat z uśmiechem znudzenia na ustach i nie wiedzący dobrze, czego chcą sami — a obok nich kapłan, pełen poświęcenia i ognia duchowego, idący za Ocean dla pełnienia służby Bożej; komiwojażerowie i wygnańcy polityczni; zaschłe w staropanieństwie *misses* amerykańskie, które powracają z jakiejś biblijnej konferencji w Anglii — i wesołe aktorki z Berlina; bogaci fabrykanci z Manchestru — i chłopcy polscy w sukmanach; żydzi i Słowianie; Niemcy, szukający chleba, którego im brak w ojczyźnie — i Armeńczycy, uciekający

przed krwawem prześladowaniem i śmiercią męczeńską z rąk Turków; niemowlęta przy piersi — i starcy nad grobem, którzy jadą do swych synów lub córek, ażeby wśród obcych, ale przy swoich, złożyć do grobu na drugiej półkuli usniezione życiem i pracą głowy....

Co za przedziwny kalejdoskop!

Ten światek czy społeczeństwo, zawiera w swem łonie cały szereg walk, namiętności, dramatów. Zgon i urodziny — nawiedzają je nieraz w krótkim okresie jazdy przez morze. Pękają tam serca z bólu — i rodzą się uczucia: nienawiści — miłości — rozpaczy.... Wiążą się węzły, które łączą następnie ludzi na życie i na pokolenia.

Takim parowcem oceanowym jechała do Ameryki Jadwiga Ślaska.

Nie upłynęło jeszcze półtora miesiąca od scen, opisanych w rozdziale poprzednim, gdy oto Jadwiga po uregulowaniu swych spraw majątkowych i zrealizowaniu niewielkiego funduszu spadkowego, wsiadała na okręt w Bremen.

Najcięższą dla niej chwilą było pożegnanie z bezradną staruszką, którą ukochała od dzieciństwa, jak matkę drugą, z Biechońską. Wyperswadować najpierw musiała ciotce, że nic nie jest w stanie przeszkodzić jej wyjazdowi do Ameryki, a potem urządzić tak interesa biednej emerytki, ażeby niedostatek w oczy jej

nie zajrzał (a na to poświęciła nawet Jadwiga kawałek własnego fundusiku). Nic to jeszcze!... Dopiero gdy nadeszła ostatnia, ostateczna chwila rozstania, kiedy na dworcu Lertejskim w Berlinie, bo aż tam odprowadziła ją staruszka, uderzył przedostatni dzwonek, a siwa głowa ciotki upadła jej na piersi i te okolone zmarszczkami, te dobre, stare usta wykrzywił płacz spazmatyczny, — wtedy dopiero zrozumiała Jadwiga, jak czasem trudno w obec konieczności rozerwać sąsiedztwo dwóch dusz, które się z sobą zżyły; ile niekiedy boleści leży — w spełnieniu obowiązku.

Odjechała przecież.

W drodze z Berlina do Bremy myśl jej bez ustanku powracała do ciotki — i troska o tę starą sierotę, stokroć więcej sierotę, niż ona sama, była Jadwidze palącym wyrzutem. Ale zwolna harmonia układała się w jej duszy. Ponad uczuciem górował rozum, a bóle wszystkie serce jej składało na ofiarę — Panu.

Gdy przybyła do Bremy, była prawie spokojna.

Zalatał ją duch od morza; błękitniały z dala przestrzenie mórz, do których przywykła przez lata pobytu w Hamburgu z Biechońskimi; uśmiechały się setki masztów i żagli, wiejących, jak mewy — i dymy parostatków w porcie; przestrzeń nieujęta i przyszłość niezbadana wabiły młodą duszę.

Zdawało się, że potrzebuje tylko wzrok nateńczyć, aby spostrzedz w dali, po za mgłą oceanów, brzegi tajemniczego lądu Ameryki, gdzie na szubienicy skonał jej ojciec — i dokąd ją wołała wola przeznaczeń.

Wsiadła na okręt.

Zakupiła bilet klasy trzeciej; nic w tem dziwnego....

Postanowiła być jak najoszczędniejszą. Nie łudziła się co do trudności zadania, które wzięła na barki. Rozumiała, że będzie ono za sobą pociągało znaczne wydatki — i znała wartość pieniędzy. Gdy opłaciła koszta przejazdu, pozostało jej coś około czterech tysięcy marek, na pieniądze amerykańskie — mniej niż tysiąc dolarów.... A Bóg wie, jak długo będzie musiała żyć w obcym kraju, w nieznanym stosunkach za te pieniądze? jakie ponieść wydatki?

To też w woreczku ceratowym, zawieszonym na szyi, na dziewiczym łożnie, chowała z troskliwością przekazy, w których był zawarty jej skarb.

Pozostawiła sobie na wydatki bieżące tylko parę sztuk złota.

W chwili, gdy ten rozdział się rozpoczyna, znajdujemy Jadwigę na pokładzie parowca, w najmniej arystokratycznym jego oddziale.

Wpół do siódmej nad wieczorem.

Dopiero co skończono bardzo mizerną i

niezbyt smaczną kolacyę, przeznaczoną dla pasażerów trzeciej klasy. Z jadalni międzypokładowej, położonej głęboko w przedniej części kadłuba okrętu, wysypała się teraz na odgrodzoną specjalnie część pokładu masa podróżnych klasy trzeciej, brudnych, nie pachnących, o twarzach chorowitych i wysuszonych biedą, rzadko tylko przetykana pyzată buzią zadowolonego z życia dzieciaka lub bądź co bądź, kokieteryjną i uśmiechniętą twarzą młodą dziewczyny.

Jadwiga nie była wcale na kolacyi.

Chorowała od pierwszej chwili wejścia na okręt. Cóż robić! Duch był silny, ale ciało słabe. Teraz po czterech dniach podróży znacznie się jej polepszyło, nie o tyle jednakowoż, ażeby mogła z apetytem spożywać ciężką strawę trzeciej klasy. Żyła więc herbatą i lekkim bulionem, który sama sobie przyrządzała.

Znajdowała się już od piątej popołudniu na pokładzie.

Na pół leżąc na ławce, opierała się blada, z oczętami, podkrążonemi sino od cierpienia, na ramieniu drugiego dziewczęcia, stanowiącego rażący z nią kontrast. O ile Jadwiga odznaczała się kształtami posągowemi i wyrazem twarzy pełnym powagi, o tyle tamta była uosobieniem dziecięcej wesołości i trzpiotowstwa. Różowitka, niewielka, złocista blondynka, z dołeczkami na pulchnej, świeżej twarzyczce,

grała wszystkimi barwami wesela. Wszystko się w niej śmiało — i szszebiotało.

Mania Horodyńska (takim jest imię drugiego dziewczęcia) była przyjaciółką Jadwigi już coś — od dni 4ch i pół.

Spotkały się w porcie i na okręcie — i od razu do siebie przystały. W szkołach i w życiu Jadwiga miała wiele koleżanek i przyjaciółek, nigdy przecież nie widziała takiej chichotki i „przylepki”, jak Mania. Z tą zbliżyła się w jednej chwili. Stało się to może na zasadzie prawa kontrastów, a w każdym razie pod wpływem okoliczności. W pstrym tłumie pasażerów międzypokładowych zbliżyły się od razu dwie Polki, zbliżone młodością i pewną wspólnością cywilizacyjną, choć trzeba przyznać, duży jeszcze istniał pomiędzy nimi przedział.

Mania, dziecko Warszawy, była tylko szwaczką.

Wykształcenie miała takie, jakie dać jej mógł bruk wielkiego miasta. Domyślała się wszystkiego, niczego dobrze nie wiedząc. W innych warunkach o zbliżeniu pomiędzy nią a Jadwigą nie mogło być mowy. Tu, na okręcie — co innego.

Najpierw, Jadwiga, chora, potrzebowała pomocy.

Znalazła ją u chętniej, przyjacielskiej Mani. Ta, czując instynktem wyższość umysłową Jadwigi, garnęła się do niej sama. Mania co

więcej wniosła do tej spółki towarzyskiej — jeszcze dwie osoby. Byli to dwaj młodzi mężczyźni: jeden Polak, drugi Litwin, obydwaj o tyle przynajmniej ogładzeni, że z towarzystwem ich w danem położeniu Jadwiga potrafiła się godzić.

Jan Połubajtys, młody Litwin, maszynista kolejowy z profesyi, był nawet kuzynem Mani. Jechali do Ameryki oboje, wezwani w ważnej sprawie spadkowej przez dalekiego krewnego z Pensylwanii. Jeszcze na wyjeździe z Warszawy, spotkali Szczepana Homicza, urodzonego Warszawiaka, ostatnio technika, pracującego w zakładzie elektrycznym.

On także wybierał się do Ameryki. Poznajomili się — i wyjechali razem.

Oto w tej chwili na schodach, prowadzących z podziemnych klatek międzypokładu, ukazali się dwaj młodzi chłopacy.

Żaden z nich nie ma więcej nad lat 26. Obaj są wysokiego wzrostu, pełni siły i życia. Na twarzy Połubajtysa, oświeconej dużemi, niebieskiemi oczyma, widnieje wrodzona poczciwość; niezręczny jest i trochę ciężki. Inna zupełnie postać ów Szczepan. Białe czoło, oczy pełne życia, usta otwarte do uśmiechu o świecących, jak kość słoniowa, zębach, włosy ciemno-blond, z wdziękiem wijące się dookoła głowy — oto postać zręczna i miła.

Obydwaj młodzi skierowali się ku ławce, zajętej przez dziewczęta.

Widocznie, pomimo tak krótkiej znajomości, zapanowała pomiędzy nimi pewna poufałość. I istotnie. Nie dalej, jak na dzień przedtem, w chwili, gdy chora Jadwiga schodziła po wązkich schodach, prowadzących w głąb okrętu, osunęła się jej noga — i już narazić się miała na upadek i ciężkie potłuczenie, gdy oto Homicz, zwawy i silny, rzucił się ku niej — i sam narażając się na skręcenie karku, uratował Jadwigę od niebezpiecznych następstw. A gdy ją przez chwilę, na półnieprzytomną, trzymał w objęciu, na twarz jego, zazwyczaj przypominającą krew z mlekiem, wystąpiły gorące rumieńce, niby smugi ognia. Odtąd patrzył w nią, jak w tęczę, a gdy ona nań spojrzała, nawet — przestawał się śmiać.

Jadwiga była mu za ową pomoc, prawie bohaterską, szczerze wdzięczna.

Szczepan już zdaleka uśmiechał się (nie do Jadwigi wszelako, ale do Mani) — i wołał wesoło:

— Pędzimy do pań na wyścigi... — a po chwili dodał, zwracając się do powolnego Połubajtysa — Cóż, Litwinku, kiedyż tutaj przyżeglujecie?!

Litwin tylko sapał, idąc ostrożnie po chwiejącym się pokładzie. Siadł wreszcie na ławce, obwiodł wzrokiem dwie młode kobiety — i odrzekł, przeciągając wyrazy:

— Jestem już... Co się pali?

— Moje serce.... najdroższy niedźwie-
dziu z Kiejstutowych lasów! Zakochany je-
stem po wszystkie uszy, ile ich tylko mam —
żartował dalej wesoły Warszawiak.

Litwin się zamyślił.

— A w kim, jeżeli łaska? — pytał pół
żartem, pół seryo.

— Takiś ciekaw.... Litwiaszku najdroż-
szy! — śpiewał, przedrzeźniając go z litewska,
Homicz — Otóż.... nie powiem ci. Chyba —
dorzucił po chwili do Mani Horodyńskiej — że
pani odgadnie.

Dziewczę zarumieniło się, niby piwonia.

— Proszę.... tylko bez takich żartów.
Za krótka znajomość! — mówiła nadąsana.

A Szczepan, zwawy, jak skra, śmiał się
bez opamiętania.

— Nie do mnie pretensya.... — wołał —
nie do mnie. To wina litewskiego niedźwie-
dzia, pani opiekuna legalnego. On pytał; on
winien wszystkiemu.

Ruchliwa twarzyczka Mani już się rozpo-
godziła.

I tak przekomarzali się dalej, głównie
Mania i Homicz. Pocziwy Połubajtys naj-
więcej tylko pomrukiwał, nie mogąc nadażyć
szybkemu biegowi ich żartów. Jadwiga słu-
chała ich tylko napół. Ciężki oddech machin
okrętowych, odgłosy fal, uderzających w bok
parowca, rozmowa tych dwojga, wreszcie po-

dmuchy zwolna wzrastającego wiatru, mieszały się Jadwidze w jedną melodyę.... Czuła się wzruszoną — i patrząc w czerwony krąg słońca, zbliżający się zwolna ku krańcom horyzontu, myślała sobie:

— Dzięki Ci, Panie, że od samego początku drogę mi prostujesz i ułatwiasz.... Za jedno serce, które zostawiłam tam po za wodą, dałeś mi odrazu, może na krótko, na dni parę, serc trzy.... Szorstkie są — ale czuję, że — — życzliwe.

A krąg słońca zapadał zwolna w głąb Oceanu.

Pokład opróżniał się z emigrantów trzecioklasowych. Godzina regulaminowa zbliżała się.

Mania śmiała się głośno z jakiegoś żartu Homicza.

Powolny Połubajtys zabrał teraz głos. Mówił z powagą:

— Ta.... to.... śmieszki, chiszki.... wszystko jakoby dobrze. Tylko że kuzyneczka nic nie jadłszy. Trzeba wrócić na dół i zrobić chociaż trocha herbatki.... Ta, później gorącej wody nie dostanie.

— Istotnie — rzekła Jadwiga — Pani, panno Maryo, przezemnie nie poszła na kolacyę....

— Och.... taka kolacya!

— Proszę nie żartować, proszę iść ... Ja jeszcze zostanę — spojrzała na zegarek — mamy przed sobą coś pół godziny do dzwonka... Chciałabym zobaczyć zachód słońca.

— Ja mogę być tymczasem pani kawalerem-opiekunem — wtrącił żartobliwie Homicz.

— O! kobiety, które same puszczają się przez Ocean, nie potrzebują opiekunów....

Zaśmieli się wszyscy.

Wreszcie Litwin z Manią odeszli po schodach w głąb. Jadwiga i Homicz siedzieli długi czas w milczeniu. Zmierzchało; zapalono latarnie. Jadwiga rozmyślała. Szczepan kręcił niełitościwie wąsa. Teraz pod nieobecność Mani i Litwina odeszła go jakoś ochota do żartów.

Naraz odezwał się odgłos dzwonka.

— Pani! — rzekł nieśmiało młodzieniec — już dzwonią....

— Ach! więc trzeba iść.... — rzekła.

Podniosła się.

Szczepan czekał, ażeby Jadwiga oparła się na jego ramieniu. Ona zrozumiała jego wyczekujące spojrzenie.

— O — rzekła — jestem teraz dość silna. Sama pójdę. Nie chcę pana niepokoić.

Podniosła się.

Skłoniła się — i poszła naprzód.

On nagle posmutniał.

Czuł tak samo, jak i dwoje tamtych, więcej nawet, że to poważne dziewczę jest o całe niebo od nich różne i wyższe, że pomiędzy nią a nimi, pomimo chwilowej tu poufałości, istnieje cała przepaść różnic umysłowych i cywilizacyjnych, która się okaże — tam, poza okrętem. I niewiadomo dla czego ból przejął mu serce.

Była dość późna już godzina.

Pokład opustoszał.... Panował półmrok. Jadwiga, opierając się od czasu do czasu, to o ławki, to o baryerę, posuwała się zwolna ku schodom. Szczepan szedł za nią w pewnem oddaleniu, jak gdyby czuwając nad jej bezpieczeństwem.

Ona zeszła ze schodów i powoli skierowała się w korytarz, prowadzący do oddziału kobiet samotnych. On wstępował dopiero na schody. Milczący, zegnał wzrokiem jej sukienkę, która mu mignęła na zakręcie.

Był już na połowie schodów. Naraz do uszu jego doszedł ostry okrzyk.

Był to głos Jadwigi. Brzmiało w nim przerażenie rozpaczliwe. Szczepan, jak tknięty prądem elektrycznym, rzucił się naprzód. W kilku susach przeskoczył resztę schodów — i znalazł się w wązkim korytarzyku. W niejasnem oświetleniu latarni ujrzał obraz, na widok którego wszystka krew zagrała mu w żyłach. Jadwiga szamotała się z jakimś drabem,

o głowę od niej wyższym. Usiłował ją objąć uściskiem, a pośród brunatnej twarzy oczy jego świeciły, jak karbunkuły. Ona odpychała go z całej siły, a z piersi jej, spartych przerażeniem, wrywały się urywane okrzyki.

— Ratunku.... Boże mój.... *help*....
help....

Szczepan poznał tego człowieka. Był to Duńczyk o ponurej twarzy i rudo-szarej rozczochranej brodzie, na pół idyota, posługacz z trzeciej klasy. Przesuwał się on pośród pasażerów międzypokładu, wiecznie brudny, wiecznie milczący, błyskając z podełba białkami wywróconych oczu, szczególnie w stronę kobiet. Nazywano go Lars.

Szczepan na widok napaści miał jedną tylko myśl.

Zacisnął pięści i runął na olbrzyma. Wyrwał Jadwigę, bladą, z rozszerzonymi źrenicami, z rąk brutala, a jego samego z siłą, której trudno by się spodziewać od chłopaka o kształtach wcale nie atletycznych, odepchnął tak, że olbrzym, uderzywszy o ścianę kurytarza, runął ciężką masą na podłogę....

Duńczyk podniósł się wnet, a w pół-idyotycznych jego oczach paliła się wściekłość.

— Panno Jadwigo.... panno Jadwigo! — wołał Szczepan — proszę się schronić do oddziału pań.

Ale ona, czy to sparaliżowana przeraże-

niem, czy widząc nowe, straszne niebezpieczeństwo dla swego obrońcy, stała nieruchomo, oparta o ścianę.

Duńczyk sięgnął teraz szybkim ruchem do kieszeni.

Podniósł rękę. Błysnęło światło.... zabrzmiał głuchy dźwięk. To strzał z rewolweru.

Szczepan zrozumiał.... Czuł, że pierwsza kula go nie trafiła. Ale druga?... Śmierć jego pewna wśród tej strzelaniny na parę kroków w ciasnej przestrzeni. Jego przeciwnik ma jeszcze pięć kul. Jeśli nie ubezwładni tamtego, za sekundę będzie trupem.

Ta myśl przeszła mu przez głowę z szybkością błyskawicy.

Prędzej niż skończył myśleć, zgiął ciało w pół — i runął na wściekłego Duńczyka.... Nad jego plecami świsnęła druga kula i utkwiała w ścianie. Ale w tej chwili Duńczyk padł na wznak, ugodzony w pierś głową Polaka. Rewolwer wyleciał mu z ręki. Szczepan był na nim.... Ramiona ich splotły się razem w strasznym napięciu. Muskulary ich rwały się. Duńczykowi z ust wychodziła piana; ryczał, jak zwierzę ranione....

II.

Nazajutrz rano cały okręt — nie wyłączając dwóch arystokratycznych klas — był zaniepokojony jakimiś ponuremi legendami.

Podawano sobie niesłychane rzeczy.

W trzeciej klasie była podobno straszna bójka.... Dwóch emigrantów pozabijało się na śmierć. Majtek zastrzelony. Dano kilkanaście wystrzałów. Poszło o kobietę.... Bezpieczeństwo podróżnych były zagrożone. Śród tłumem międzypokładowego może wyniknąć krwawy bunt itd. itd.

Najodważniejszym z Amerykanek z pierwszej kajuty drżał głos, gdy opowiadały te wypadki. A nawet jedna z pań, ściskając rączkę małego rewolweru, istnego bawidełka w prześlicznej oprawie ze słoniowej kości, oświadczyła:

— Pięć trupów padnie, zanim mnie wezmą!

Że coś w tem być musiało, dowód ten, iż oficerowie chodzili, jak powarzeni, a dostęp do kajuty kapitana i oddziałów służbowych był wzbroniony. On sam był zamknięty u siebie. Pasażerom z 3ej klasy nie pozwolono wychodzić na pokład. Gospodarz okrętu biegał wciąż to do 3ej klasy, to do kajuty kapitana, to coś szeptał z niektórymi z pasażerów.

Dopiero około godziny 12ej wszystko się wyjaśniło.

Do salonu pierwszej klasy wszedł elegancki i pulchny kapitan z siwemi, pięknie przystrzyżonemi bakenbardami — i głosem poważniejszym, niż kiedykolwiek, oświadczył:

— Wczoraj wieczorem zdarzyło się na naszym okręcie pewne przykre zajście. Jeden z podróżnych 3ej klasy stoczył walkę z jednym z naszych posługaczy. Dano dwa strzały. Obydwaj zostali przytrzymani i umieszczeni na noc w zamkniętych celach. Dziś, na zasadzie przysługującego mi prawa — tu kapitan wydał mocniej, niż zwykle pulchne swe policzki — zbadalem sprawę, wysłuchałem świadków — i wydałem moją decyzję. O tej decyzji jestem obowiązany powiadomić sz. panów i panie. Rzecz miała się tak, iż na kurytarzu, prowadzącym do oddziału kobiecego w 3ej klasie, jeden z naszych posługaczy, Lars Larsen, napadł niespodziewanie na pasażerkę tejże klasy, pannę (tu kapitan podniósł do oczu jakąś notatkę) Hedwig Slaski.... pokazuje się, że uczynił to w przystępie nagłego obłędu (w tem miejscu kilkanaście pań zaczęło się uśmiechać dwuznacznie). W chwili najdrażliwszej (znów uśmiech pań) ukazał się na schodach młody pasażer tejże klasy („Ach... młody!” — wykrzyk jednej z pań; kapitan podnosi znów do oczu swą notatkę) Szczepan Homitsch - dziwne nazwiska mewają ci panowie Polacy! — otóż ten pan pośpieszył na pomoc napadniętej. W rezultacie, jak zeznaje panna Slaski, Larsen dał dwa strzały z rewolweru do Homitscha, strzały szczęściem bezskuteczne. Homitsch powalił strzelającego — i w owym właśnie czasie znaleźli ich nasi majtkowie, tarzających się w

strasznej walce. Rozdzielono ich, gdy Homitsh o mało co nie został zaduszonym przez silniejszego Larsena. Sledztwo wyjaśniło fakta, jak wyżej, a ostatecznie przyznał to i sam Larsen. Faktycznie p. Homitsh narażał się na niechybną niemal śmierć, ratując swą piersią rodaczkę przed zamachem brutala („Boże mój!“ — okrzyk jednej z pań). W obec tego uważałem za właściwe przeprosić najserdeczniej, w imieniu naszej kompanii, pannę Slaski, a przede wszystkim pana Homitscha, który w skutek swego szlachetnego poświęcenia dla płci pięknej („Słuchajcie! słuchajcie!” — głosy męskie z pośród grona pasażerów) nietylko poniósł uszkodzenia fizyczne, ale nawet przez pewien czas był uwięzionym, jako sprawca brzydkiego zaburzenia („Ach, ach!“ — ze strony pań). P. Homitsch zresztą oświadczył i dobrowolnie podpisał deklarację, że nie będzie miał z tego powodu żadnej pretensyi do naszej kompanii i nie wytoczy procesu o *damages* po przybyciu do Ameryki („Idyota!” — woła gruby bankier). Co do Larsena — kończył kapitan — ten zostanie do końca podróży w zamknięciu, a po przybyciu do portu zdecydujemy, co z nim robić: oddać do domu obłąkanych, do sądu, czy wprost wypuścić go, wydalając ze służby?

Kapitan skończył.

Podróżni byli zachwyceni, szczególnie p. nie. Tajemnicza sprawa została wyjaśniona — i to w sposób bardzo romantyczny („Zapewne

ci dwoje się kochają!” — myślały panie). Będzie o czem rozmawiać przez wszystkie pozostałe dni podróży. („Ten młody Polak jest *charmant!*” — zauważyła hrabina Z.)

Szczep anglo-amerykański lubi objawiać swe zadowolenie czynem.

Wystąpił lord Carrington, długi, żółty, sztywny, jak kij, Anglik — i zaproponował, ażeby wznieść na cześć pana... („Homitscha”, — odpowiedział kapitan) trzy razy: „Hip, hip ... hurrah!”.

Przyjęto — i wykonano.

Następnie bankier S. F. Hutchinson, Sr. (z firmy Hutchinson & Clark z New Yorku) zaproponował, ażeby zebrać składkę dla bohatera tej awantury, zapewne człowieka niezamożnego. Przyjęto projekt z niesłychanym zapalem. Zebrano ogółem: 107 dol. 35 c., 150 franków, 11 funtów szterl. — i 222 marek pruskich. Wyznaczono delegację dla doręczenia tej sumy bohaterowi dnia.... Nastąpić to miało po południu dopiero.

W tej chwili uderzył dzwonek na obiad. Wszyscy udali się do jadalni.

W godzinę potem, po posiłku, szan. kapitan okrętu wygłosił tę samą lub podobną mowę w obec pasażerów klasy drugiej (zebrano tam dla bohatera „Homitscha” coś około 300 marek).

Podobny mityng odbył się wreszcie i w trzeciej klasie, na pokładzie. Przemawiał krótko po niemiecku kapitan; po szwedzku pasażer tej kajuty, pan Swanson z Chicago i wreszcie p. Bolo L. Kaliski, dystyngowany jego mość z klasy 2ej — po polsku.

Wszyscy zrozumieli, o co idzie. Oczywiście wszystkich skierowały się z sympatją ku grupie, w której stali Jadwiga z Manią i Połubajtyś z Homiczem (ten ostatni miał rękę obandażowaną, oko zapuchłe i na twarzy ślady paznogci dzikiego Duńczyka).

Kapitan zbliżył się do tej grupy i po niemiecku przeproszał dwoje bohaterów tak przykryj awantury. Na zakończenie uścisnął dłoń Homicza.

Rehabilitacya była kompletna.

Nastąpiła teraz chwila nagrody dla pokrzywdzonej cnoty. Do Homicza zbliżyła się delegacya, złożona z pięciu „gentlemanów“ z dwóch wyższych klas. Dystyngowany p. Bolo L. Kaliski zabrał głos w imieniu delegacyi. Mówił po niemiecku, ponieważ ten tylko język znał nieco bohater chwili. P. Bolo oświadczył zdumionemu Warszawiakowi, iż panowie i panie z grona pasażerów, lepiej uposażonych przez Opatrzność w złoto i srebro, uznali za właściwe, w uznaniu jego dzielności, z jaką stanął w obronie jednej z pasażerek, ofiarować mu skromną „purse“ (sakiewkę) z pewną ilo-

ścią marek, dolarów, funtów szterlingów itd. itd. „Nie powinno to nikogo żenować — dodał na zakończenie p. Bolo L. Kaliski — a tem bardziej bohatera chwili, taki bowiem sposób nagradzania zasług najzupełniej jest zgodny z duchem rasy anglo saskiej, a specyjalnie ze zwyczajami amerykańskimi.“

Wykwintna przemowa p. Kaliskiego wywołała ogólny poklask zarówno u tych, którzy ją zrozumieli — jak i u tych, którzy się jej treści domyślali.

Tylko sam bohater chwili, Homicz, zdawał się niezupełnie rozumieć, o co idzie. Na bladą twarz wystąpił mu rumieniec. . . . Słowa wykwintnej przemowy p. Kaliskiego nie były mu dość jasne.

Chciał pytać. . . .

Gdy oto wystąpił naprzód jeden z „gentlemanów“ z pierwszej kajuty. Trzymał w ręku małą srebrną tackę, na której leżała wykwintnie haftowana sakiewka, a z jej wnętrza przeglądały sztuki złota.

Szczepan zrozumiał. . . . Chciano mu rzuć jałmużnę.

Krew uderzyła mu do głowy. Twarz zachmurzyła się nagle; brwi ściągnęły; wzrok stał się ostry i zuchwały. Zdawało się, jak gdyby w tej chwili chciał na obelgę (bo za taką ją uważał!) odpowiedzieć obelgą, plunąć im w twarz ostrem słowem — i brutalnie odtrącić

ową „purse“ od siebie. Trwało to przecież tylko sekundę.

Wysiłkiem woli pomiarkował się i po polsku rzekł do Kaliskiego:

— To ma być dla mnie?

— Tak....

— A więc oświadczyć im pan, że ja tego nie przyjmę.... Biedny jestem, ale mam ręce do pracy. Jałmużny nie potrzebuję!

Twarz mu promieniała w tej chwili wyrazem szlachetnej dumy.

Kaliski aż za głowę się chwycił z podziwu. Wszystkich zastanowiła gra fizyognomii Homicza. Mówiła ona prawie tak wyraźnie, jak słowa. Pytano jeszcze Kaliskiego. Ten powiedział.

— Czy podobna?! — wołano — Wytłumacz mu pan... powiedz!

Sam kapitan okrętu nie wiedział, co robić. Kaliski tłumaczył chłopcu, że nieprzyjęcie ofiary byłoby ciężką obelgą dla ofiarodawców, ale Homicz stał przy swoim. Rzekł wreszcie po namyśle:

— Dla mnie tego nie przyjmę... Ale, jeśli już ofiary cofnąć nie można, proponuję inne wyjście. Proszę, naturalnie jeśli się na to zgodzą pp. ofiarodawcy, przeznaczyć pieniądze na wsparcie istotnej nędzy, krórej nie brak na tym okręcie.... — tu obwiodł oczyma i wskazał na

tłoczących się dokoła: chłopów w zniszczonych sukmanach; chudych i wiecznie głodnych wyrostków; dziewczęta w dziurawych trzewikach; wychudłe i pomarszczone żydówki, u obdartych sukienek których wisiały brudne bachory różnego wzrostu; niedokrewne matki, karmiące blado żółte i nędzne niemowlęta, — słowem całą szarą masę najbiedniejszych emigrantów napiętnowaną cechami ubóstwa i umęczenia.

Zrozumiano go odrazu.

A gdy jeszcze Kaliski przetłumaczył polskie słowa Homicza na język angielski i niemiecki, entuzjazmowi nie było końca.

Propozycję młodego Polaka przyjęto. Była to najbardziej sensacyjna chwila w tej podróży. Kapitan nieraz jeszcze potem, w następnych podróżach, opowiadał swym pasażerom o tem zdarzeniu.

III.

Odtąd już dalsza podróż oceanowego olbrzyma niczem niezwykłym się nie zaznaczyła.

Życie naszej polskiej czwórki było pełne spokoju. Wypadki, ostatnio opisane, zbliżyły ją jeszcze bardziej. Szczególniej zbliżenie nastąpiło pomiędzy Szczepanem a Jadwigą. Dziewczę nie mogło nie czuć głębokiej wdzięczności dla chłopca, który w ciągu dwóch dni z takim poświęceniem i odwagą dwukrotnie ratował ją w ciężkich przygodach; a istotny podziw i szacunek dla Szczepana wywołało od-

krycie pod trywialną powierzchownością warszawskiego łobuziaka — szlachetnej ambicyi i serca poczciwego.... Czuła dłoń życzliwość i przyjaźń. On spoważniał — i patrzył w Jadvigę, jak w tęczę.

Mówili do siebie niewiele.

Za to kuzynek Połubajtys stał się jakoś bardzo mownym — i wciąż droczył się z wesołą kuzynką Manią. Niepokoiły ich wszystkich z początku wizyty panów i pań z pierwszej kajuty, który chcieli ujrzeć na własne oczy bohatera i bohaterkę przygody — lecz i te ustały.... Zachodził tylko do nich od czasu do czasu i był dla swego charakteru Polaka dość mile przyjmowany p. Bolo L. Kaliski, ów pasażer z drugiej klasy, który, wyjaśnić należy, w czasie pierwotnego śledztwa, prowadzonego przez kapitana okrętu, służył za tłumacza, a i potem tak wybitną rolę odegrał w wypadkach.

Ciekawa to była figura ów p. Bolo.

Szczupły, niewysoki brunet już nieco siwiejący, miał on nos orli i małe, szare, biegające dokoła oczka — typ prawie semicki. Ubierał się bardzo wykwintnie i nosił mnóstwo pierścieni. Mówił prawie wszystkimi językami... z jakimś zresztą dziwnym akcentem. Mówił prędko; ruchy jego były nerwowe. Mógł mieć lat 40 lub może więcej. Nowym swoim znajomym przedstawiał się, jako Polak, który przez długie lata przebywał w Peters-

burgu, w Berlinie, Londynie i innych miastach za granicą.

Najchętniej zagadywał Jadwigę; ale ta trzymała się w obec niego zimno. On zresztą był zawsze uprzedzająco grzeczny i usłużny.

W tem tak zbliżonem teraz kółku znajomiono się coraz lepiej. Opowiadano sobie wzajem o swej przeszłości; mówiono o planach na przyszłość.

Dzieje Mani Horodyńskiej i kuzyna Połubajtysa były wcale nieskomplikowane. Matka Mani pochodziła z Litwy, a do Warszawy przybyła jeszcze dzieckiem. Tam wyszła za mąż za jakiegoś rzemieślnika, spędziła całe życie i owdowiała.... Mania, urodzona w Warszawie, razem z braćmi i siostrami, pracowała na utrzymanie swoje i starej mateczki. Z rodziną matki na Litwie lata całe nie komunikowali się. Wiedzieli tylko, że istnieją i żyją tam, gdzieś pod Święcianami, dość rozgałęzione pokolenia Połubajtysów i Miszkicińskich, pochodzące od przyrodnych braci starej Horodyńskiej. Aż tu naraz, zaledwie na jakie dwa miesiące przed wypadkami, o których tu mowa, przybył do Warszawy młody Jan Połubajtys — i oświadczył, iż na Połubajtysów, Miszkicińskich i Horodyńską, przypadł w Ameryce, w Stanie Pennsylvania, znaczny spadek. Umarł tam jeden ze starszych Połubajtysów, który przed kilkudziesięciu laty wyemigrował za

Ocean i umierając, pozostawił coś \$20,000 majątku. Połubajtysowie z pod Święcian już od pół roku korespondowali z adwokatami amerykańskimi w tej kwestyi, a obecnie młody Jan Połubajtys, opatrzony legitymacyami i plenipotencyami litewskich współsukcesorów, wyjeżdżał po odbiór spadku. Był jednak w tem konieczny udział i starej Horodyńskiej. Podobno nawet ów amerykański nieboszczyk pozostawił jakiś rodzaj testamentu, w którym coś o niej wspominał. Wieść to była niesłychanie ciekawa i ważna dla rodziny Horodyńskich. Postanowiono na naradzie familijnej, że ktoś z nich razem z Janem udać się musi do Ameryki. Ale kto?.. Braciom nie pozwalały zajęcia, to znów trudność uchylenia się od służby wojskowej. O wyjeździe starej, chorej matki ani podobna było myśleć. Ostatecznie wybór padł na Manię, najstarszą z dziewcząt, pełnoletnią, a więc do spełnienia funkcji prawnych zdatną, a przy tem rezolutną i najinteligentniejszą bodaj z rodziny.

Stało się, jak uchwalono. Litewski kuzynek Jan dostarczył funduszu na wyjazd. Zebrano odpowiednie dokumenta i plenipotencye i oto para krewnych wyruszyła na drugą półkulę — po złote runo.

Jeszcze prostsza była historia Homicza.

Jego ojcem był skromny urzędnik administracyjny. Chłopiec osierocony przez oboje

rodziców coś w 10tym roku życia, dostał się na ręce niezbyt sumiennych opiekunów, którzy go hodowali, jak dziką płonkę. Przeszedłszy kilka klas gimnazyalnych, poszedł do terminu do ślusarza, potem do szkoły techniczno-rzemieślniczej kolejowej, wreszcie pracował samodzielnie, jako elektryk i technik. Po dojściu do pełnoletności, przez pewien czas trwonił resztki funduszu po ojcu pozostałego, który mu przy rachunku podwójną kredką skreślonym zdali opiekunowie — i wtedy to nabrał ochoty do hulanki. Lekkomyślny był, zaplątał się trochę w długi lichwiarskie, należał nawet do jakiegoś rewolucyjno-robotniczego kółka, którego sobie na seryo zbyt nie brał.... Skutek był taki, że pewnego pięknego poranku poaresztowano jego towarzyszków z kółka, a on nie miał ani pracy, ani złamanego grosza w kieszeni. Groziła i jemu lada chwila cytadela.... Co było robić?

Postanowił, jak sam mówił, „machnąć się” do Ameryki.

W New Yorku Szczepan miał koleżkę, ślusarza, który mu cuda pisał w listach o swoich powodzeniach na amerykańskim gruncie. Na niego liczył. Weźmie się do pracy — i będzie wszystko dobrze.... O pieniądze na wyjazd troszczył się nie bardzo. Nie uważał swoich z opiekunami rachunków za zamknięte. Wiedział, że nieźle go „wykierowali” i że miał przeciwko nim drogę skargi sądowej.... Niech

tylko pójdzie do nich i zażąda kilkuset rubli na wyjazd do Ameryki, dadzą mu chętnie, ażeby się raz wreszcie od niedogodnego pupila odczepić. . . . Rachuba ta okazała się słuszną.

Pojechał tedy, a właściwie „prysnął“ (zuów jego własne wyrażenie) z Warszawy.

Gdy tę swoją historję opowiadał na swój żwawy sposób, językiem zabarwionym żargonami warszawskimi wyrażeniami, Jadwiga uśmiechała się mimowoli. . . . Widziała w chłopcu tym serce złote, szlachetną naturę, słowem materiał surowy, a nieociosany. Czuła, że to serce w głębi chowało dla niej cześć wielką. I brała ją ochota pomódz temu charakterowi do ukształtowania się, brała ją chęć odegrania w obec tej polotnej duszy młodzieńczej — roli mistrzyni i kierowniczk.

— Brylant tam, w jego piersi tkwi surowy! — mówiła do siebie sama nieraz — Co też zrobi z niego życie: drogi kamień czy brukowiec?

Raziła ją trochę jego lekkomyślność i brak pewnych pojęć moralnych, patryotycznych, religijnych. Ale w obec niej stawał się poważnym. Gdy ona dawała mu niekiedy popularne lekcyje o obowiązku, o ojczyźnie, o Bogu — zdawał się słowa jej pochłaniać. . . . Widocznie brał je do serca głęboko.

O sobie samej najmniej mówiła Jadwiga. Parę słów wyjaśnienia, w obec szerokich wy-

znań tamtych trojga było konieczne. A więc powiedziała im, że jest sierotą i jedzie do Cleveland. Oto i wszystko.

Zbliżał się czas rozstania.

Powiedziano im, że jutro okręt przybędzie do New Yorku. Tych czworo, tak blizkich sobie przez dni kilka, miało rozstać się... może na zawsze. Mania z Litwinem jechali do Nanticoke, a potem do Pittsburga; Szczepan miał pozostać w New Yorku; a Jadwiga udawała się wprost do Cleveland. Losy, połączywszy ich na chwilę, rozmiatały teraz w różne strony....

Czy się kiedykolwiek jeszcze zobaczą?

Szczepan przez cały dzień był smutny, a w nocy nie mógł spać. Nazajutrz rano przed 5tą wstał, ubrał się, przygotował swoją walizkę — i wyszedł na pokład.

Było jeszcze ciemnawo. Oto i New York.

W dali siniały we mgle i w półmroku kontury wielkiego miasta.... Bliżej, wysoko w powietrzu promieniało jeszcze światło pochodni olbrzymiego posągu „Bogini wolności”, wolności, oświetlającej świat. Na wschodzie poczynał się różowieć świt.... Z drugiej strony, zdaleka, z sinawych konturów olbrzymiego miasta, czy miast świeciły, jak świętojańskie robaczki, tysiączne, drobniutkie, migotliwe światełka....

— To nowy świat! — szepnął Szczepan.

Jeszcze sześć, siedm dni temu, ten wyraz byłby dla niego niemal cudownem objawieniem.... Grałby na jego ruchliwej wyobraźni, jak na strunach czarodziejskiego instrumentu. Teraz to prawie dźwięk pusty. Jego świat cały jest dziś tam, pod pokładem. Tym światem — ona.

Szczepan przestał się łudzić; zrozumiał, że ją kocha; czuł, że to była jedna z tych miłości fatalnych, stanowiących przełom w życiu — i zapełniających całą istność człowieka. Nie był on, dziecko bruku warszawskiego, nowicyuszem w obec kobiet.... bynajmniej! Znał je, igrał z niemi, jak z ogniem nieparzającym. Teraz dopiero ogień go sparzył.... Czuł, że spali się w nim doszczętnie. Rozumiał, jak daleko jemu do niej. Czuł dobrze, iż jest sobie lekkim, wesołym, trochę nieokrzesanym chłopcem, któremu dotąd ani na myśl nie przychodziło mnóstwo rzeczy, spraw, kwestyj, o jakich ona mówiła z łatwością, wiarą, przekonaniem i głębokim poglądem.... Złość go niekiedy brała na tę jej wyższość, ale po chwili, gdy sobie przypomniał jej spojrzenie, powagi i jasności pełne, gdy zabrzmiał mu znowu w uszach jej głos dziwnie melodyjny, którym mówiła mu jeszcze wczoraj, iż życie ludzkie, to nie igraszka — to splot cierpień — to szereg obowiązków i poświęceń — to wiara w Boga, dobro i prawdę — to wreszcie ciągle doskonalenie się; — wtedy znów w duchu padał przed

nią na kolana i modlił się do niej, jak do nie-
doścignionego nigdy ideału.

— I czemu m ja taki w obec niej mizerny?
taki głupi i ograniczony? — pytał — Czemu?

Słońce tymczasem wschodziło jaskrawo....
Ciemno-sine mgły błękitniały. Pochodnia Bo-
gini wolności gasła. Zasnana mroku spadała,
gdy okręt pruł ciągle z szumem wodne prze-
strzenie; niejasne sylwetki domów i wież me-
tropolii nowego świata przybierały więcej okre-
śloną formę. Wyrastały one ciemno błękitne,
aż czarne z pośród szaro-błękitnych i szaro-
zielonych, z cicha szemrzących mórz.

Ten widok dodał siły młodemu chłopcu.

Ukląkł na stosie lin — i wyciągając ręce,
mówił:

— Panie Boże! Ty, o którym ona nau-
czyła mnie myśleć, przysięgam ci tutaj, w obli-
czu nowego świata i nowych jego cudów, przy-
sięgam, że nowym tam się stanę człowiekiem....
Na nowo myśleć się nauczę i czuć i rozumieć....
pracować będę nad sobą i dla ludzkości z żela-
zną energią i wolą kamienną.... podniosę się
nietylko tak wysoko, ażeby jej sprostać, ale
nawet, jak ona mówi, aby być jednym z orłów,
bujających wysoko ponad ludzkością i tej ludz-
kości dostarczających soków bytu.... Ale
wtedy.... wtedy.... pamiętaj, Boże, że ona
musi być moją.... ją jedną chcę mieć za na-
grode wszystkich walk, prac, cierpień i po-
święceń.

Zakrył twarz i czuł na palcach łązy gorące.

To jego wezwanie było bluźniercze, było naiwne; ale miało w sobie siłę ogromną. Potęga woli, gorąco uczucia były z niej, jak promienie od słońca.

IV.

Upłynęło znów kilkanaście godzin.

Wieczór tego samego dnia. Mrok okrył ziemię amerykańską. Przez równiny i wzgórza, przez doliny i lasy mknie, drżąc i hucząc, pociąg, wiozący Jadwigę ku Cleveland, O.

Już od godziny leciała tak w przestrzeń nieznaną.... W wagonie było podróżnych niewiele. Atmosfera senna. Pół leżąc, Jadwiga opierała głowę na poduszeczkę. Oczy miała przymknięte; nie spała jednak, myślała.

Jutro będzie nareszcie w Cleveland, w miejscu, gdzie wypadnie jej odszukać nie wypadków, przerwanych przed laty 17tu.

Należy raz więc skupić myśli i zastanowić się nad sposobem działania. Zamierzała to uczynić już dawniej, na okręcie, ale najpierw choroba, potem wypadek z Duńczykiem i dalsze jego następstwa nie dały jej na to czasu.

Dziś miała dzień męczący, choć dość ciekawy.

Zaraz po przybyciu do Castle Garden i załatwieniu formalności, nastąpiło rozstanie się z Manią i jej kuzynem. Tamci pojechali do

swej Pennsylvanii, nie zatrzymując się wcale w New Yorku i wprost z Castle Garden odwieziono ich na właściwy dworzec kolejowy. Jadwiga postanowiła choć przez chwilę rzucić okiem na olbrzymie, a tak ciekawe miasto drugiej półkuli, ra New York. Homicz radził jej, ażeby odpoczęła w hotelu dni parę. Nie zgodziła się na to: sprawa, która ją prowadziła do Cleveland zbyt była ważną.... Przyjęła zresztą, bez żadnej fałszywej pruderyi, pomoc i towarzystwo Homicza na kilka godzin, które zamierzała spędzić w New Yorku. On jej pomógł najpierw wyekspedycować skromne pakunki na dworzec, z kąd miała odjechać w głąb kraju. Potem zjedli razem obiad w jakiejś restauracyi na dolnym Broadwayu, niedaleko Parku Battery (całe 2 dolary Jadwiga pozwoliła na to wydać Homiczowi, na jego usilną zresztą prośbę!); potem zwiedzali miasto w tramwajach i pieszo.... W zwiedzaniu przewodniczył im młody żydek polski, już w Ameryce zaaklimatyzowany, którego Szczepan wynalazł i ugodził zaraz w pobliżu Castle Garden. Przewodnik ten zawiózł ich wreszcie nad wieczorem na dworzec kolejowy, z kąd miała odjechać Jadwiga.

Dzień ten pomimo wszystko był dla Jadwigi miłym.... Chwilami, pomimo ciężkich udręczeń, niepokojących jej ducha, czuła się niemal wesołą.

Nowe miasto, olbrzymie budynki, potężny

ruch uliczny, to wszystko zadziwiało i ogłuszało ją i jej towarzysza. Czyniło im niemal wrażenie samotności. Nie przeszkadzała im nawet natrętna gadatliwość żydka przewodnika. Dzielili się wrażeniami na widok tych obrazów tak nowych i wspaniałych.... Mówili o przyszłości. Homicz żartobliwie twierdził, że musi zostać w Ameryce — wielkim człowiekiem. Na usilne jego nalegania Jadwiga obiecała, że po przyjeździe do Cleveland zakomunikuje mu swój adres (w tym celu zapisała sobie adres owego ślusarza, przyjaciela Homicza, z którym, mówiąc nawiasem, ten, zajęty Jadwigą, dotąd ani się jeszcze widział.)

Argumenta Homicza, gdy prosił o jej adres, były przekonujące.

— Ja wiem — mówił jej na dworcu kolei — że ja w obec pani znaczę tyle, co robaczek w obec słońca.... Ale i słońce oświeca robaka ziemnego. Zresztą pani jest głową, ale przecież i najlepszej głowie przydać się kiedyś może para silnych rąk, jak moje.... — tu zarumienił się, bo przypomniał sobie przysługi, już jej wyświadczone; mówił dalej ze smutkiem w głosie: — Być może, iż nigdy się nie zobaczymy.... Wypadki rządzą nami.... Ale może być i inaczej. Szczególniej, jeśli by pani potrzebowała kiedykolwiek pomocy w jakiej ważnej sprawie, ręki wyprobowanej i serca wiernego, to proszę o mnie pamiętać.... Słówko

tylko do mnie, a stawię się, jeśli żyw będę, jeśli to tylko w ludzkiej będzie mocy!

Mówił to powoli, spokojnie, a ze słów jego czuć było szzerość nieprzepartą.

Jadwiga pomyślała sobie w tej chwili, że istotnie w sprawie, która ją powołała do Ameryki, przydałaby się jej może niekiedy taka pomoc mężka.... Miętko się jej zrobiło przez chwilę na sercu, ale wnet otrząsnęła się z wrażenia. Uśmiechnęła się poważnie — i rzekła:

— No.... no.... zobaczymy.... na teraz do widzenia!

Tłum tymczasem przewijał się dokoła nich. Po za peronem rozbrzmiewały sygnały, w dali na szynach migotały kolorowe światełka, buchała para i biły dzwony lokomotyw, syczały światła elektryczne i turkotały taczki z pakunkami... Żydek przewodnik gapiowato przyglądał się tej tak niezwykłej parze.

— Musi być, narzeczeni!...— mruknął pod nosem, splunął i odszedł na bok.

Wreszcie nastąpiła chwila rozstania.

Homicz ujął za rękę Jadwigę i uścisnął ją silnie... Przez chwilę trzymał tę rączkę w swej dłoni, a w oku jego zabłysła tymczasem — gruba łza. Ona patrzyła na niego z życzliwością i smutkiem, jak na dziecko. Wreszcie łagodnie, rzekła raz jeszcze „Do widzenia!“ — i skierowała się ku kratce, oddzielającej ją od pociągu.

Za chwilę uderzył dzwon. . . .

Pociąg ruszył z miejsca, sapiąc i sycząc. Jadwiga wyjrzała raz jeszcze przez okno. Homicz stał na platformie, powiewając chustką.

Ta chustka niepokoiła ją cokolwiek.

Otrząsnęła się wreszcie z wrażeń.

Ułożyła swe pakuneczki i przygotowała sobie dogodne miejsce. Zaczęła teraz myśleć... Wyrozumowała sobie, iż należy jak najprędzej wyrugować z głowy pamięć o tym sielankowym epizodzie z podróży. Czuła instynktownie, że chłopiec był w niej rozkochany na śmierć; ale czemuż tak niefortunnie ulokował swoje uczucia? Czy ona temu winna?

Wszakże on dla niej nigdy niczem być nie może. Życie jej teraz ma cel inny, aniżeli folgowanie uczuciom własnym... Zresztą uczucia swoje, zdawało się jej, rozbiła na zawsze, tam w Poznaniu, gdy przed dwoma miesiącami pisała list do Konrada.

Dość o tem myśleć. . . .

Będzie teraz myślała tylko o swem zadaniu, o strasznym dramacie z przed lat 17tu.

Tym razem jednak wola odmawiała posłuszeństwa umysłowi. Przed oczyma jej coraz to stawała strapiona, a tak wymowna twarz Szczepana, a w oku jego łza, duża, czysta, jak brylant. . . . Czuła, że cierpiał — i bolała nad nim.

A pociąg tymczasem leciał w przestrzeń, siał skry.

Dopiero po godzinie takiej monotonnej jazdy, gdy w wagonie zapanowała cisza pośród na pół uspiionych pasażerów, myśli dziewczęcia zdołały się skupić na przedmiocie, który ją prowadził do Cleveland.

Co ją tam czeka? co tam ma czynić? — oto pytania, które sobie postawiła.

Odpowiedź na to była prosta.

Celem jej będzie: odnaleźć w Cleveland Julię Cybik, ową kobietę, o której wspominała kartka Millera i rękopism nieboszczyka jej ojca, a od tej kobiety dowie się za okazaniem pierścionka lub w inny sposób, gdzie znaleźć Millera.

„Odnaleźć“, „dowiedzieć się!“ — myślała Jadwiga — to powiedzieć łatwo, ale w wykonaniu jakież to przedstawiać może trudności!

Przed wyjazdem do Ameryki starała się zyskać jak najobszerniejsze informacye o stosunkach amerykańskich wogóle i o stosunkach Polaków, zamieszkałych w Ameryce, w szczególności.... Przeczytała w tym celu wszystko, co tylko znaleźć mogła, postarała się o gazety polskie, wychodzące w Ameryce—i zapytywała osoby, które powróciły do starego kraju z drugiej półkuli.... Wiedziała tedy, jak wielką jest ruchliwość ludności polskiej w Ameryce. Nie

ładziła się więc bezwzględna nadzieją, że Julię Cybik znajdzie na miejscu.

— Nic to!... — mówiła sama do siebie — Choćbym cały kontynent amerykański przebiecz musiała wszereż i wzdłuż, odnaleźć ją muszę....

Lecz oto nowa trudność przedstawiała się mścicielce honoru swego ojca. A jeśli Cybikowa nie powiedziec nie zechce? Jeśli o owym złamanym na pół pierścionku i o tem, co było przed laty 17tu, zapomniała? Jeśli zdzieciniała na starość — lub wreszcie tajemnicę zabrała ze sobą do grobu? Ile pytań, tyle nadziei straconych....

Na tydzień przed wyjazdem odwiedziła Cieszyn (na Ślązku austryackim), z kąd według rękopismu skazanego na śmierć, miał pochodzić Miller, a zapewne i jego krewna Cybikowa — i starała się zebrać tam o obydwójgu jakieś informacye. Rezultat był bardzo niewielki, ale przecież był.... Dowiedziała się tam np., iż nazwisko owego Millera było przybrane w Ameryce — i że właściwie nazywał się Morski.... Sądzone także, iż prawdopodobnie żył jeszcze gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

To też Jadwiga postanowiła, jeśli ją zawiedzie Cybikowa, pójść za wskazówkami, zyskanemi w Cieszynie.

Pojedzie nadto do New Orleans. Tam

zbada sprawę na nowo. Jeśli będzie potrzeba, zaangażuje najlepszych detektywów. Poruszy kamień na kamieniu, a rzecz całą wyjaśni....

Bóg, który ją tutaj cudownym sposobem przywiódł, da jej siłę i zwycięstwo.

Modlitwą gorącą, wzniesioną w duchu do Pana nad Pany, zakończyła swe rozmyślania.

Oczy jej kleiły się do snu....

Głowa kołysała się lekko przez chwilę, aż opadła na poduszkę.... Miarowo, zwolna turkotały koła pociągu. Od świateł elektrycznych, rozjaśniających wnętrze wagonu, szły owalne, białe, pół matowe, pół przejrzyste opary mgły, tworzące, jak gdyby z topionego srebra ramę do jakiegoś dziwnego, fantastycznego obrazu.... W tym obrazie Jadwiga widziała siebie samą w takiej postaci, w jakiej nieraz malują archaniołów, walczącą z wężem, który oplątał jej stopy; ten wąż podnosił się w górę, wyrastał, potężniał i z pośrodką okalających go krwawych płomieni ukazywał twarz kameleonową, niby ludzką, mieniającą się, kolejno podobną.... rzecz dziwna.... to do rysów Konrada Felsensteina.... to do jakiegoś starca o siwych włosach i siwej brodzie.... to wreszcie — zkadże znowu? — do ruchliwych rysów pana Bolo Kaliskiego, owego dystyngowanego jegomości z okrętu z kajuty 2ej.... Ta twarz, coraz to zmieniająca wyraz i charakter, coraz to była ohydniejszą.... Dech jej wstrętny czu-

ła na swej twarzy Jadwiga. Już ta twarz piekielna zbliża się do jej ust.... Boże, Boże! kto ją uratuje od potwora?! Wtem z oparów ramy zaczęła się wywijać nowa, srebrzysta postać.... Pancerz ma srebrny, a miecz ognisty. Uderza w łeb potwora i oto wąż, krwawym wymiotując potopem, maleje.... kurczy się... zanika. Ów rycerz w łuskach srebrnych zwyciężył.... Kto to? Obraz cały w mgle się zaczyna roztopiać. Blednie... za chwilę już zniknie. Kto to? kto? — powtarzała Jadwiga z upartym, gorączkowym niepokojem — kto?

.... Naraz w ostatnich błyskach srebrnych postać rycerska z obrazu okazuje swą twarz tryumfującą.... To twarz Szczepana Homicza....

Miarowy turkot pociągu ustaje. Jadwiga się budzi.

To był sen tylko.... Co za sen niedorzeczny!

W okna wagonu wpada półmrok świtu... Pociąg stanął w polu, opodal stacyi — i sapiąc ciężko, pompuje wodę ze zbiornika.

.....
Tę samą noc inaczej przepędził Szczepan Homicz, inaczej i weselej.

Około godz. 11ej wieczorem znajdujemy go na 5ej ul. w New Yorku, w restauracyjce polskiej u „Matki”.

Kto z młodzieży polskiej, przez lata całe rozbijającej się o port New Yorku, z tej cygarneryi inteligentnej i półinteligentnej, przybywającej tu z Europy i do starego kraju wracającej, nie znał osobiście lub ze słyszenia „Malki” i jej jadłodajni!? Była to ostatnia ucieczka głodnych, a i miejsce, gdzie w razie potrzeby można było znaleźć „pajnt” piwa, zafundowany przez jakiego uczynnego koleżkę.

Nad wejściem do dość wysokiego „basementu” — szyld: „Restauracya Polska”.

Żadnych napisów angielskich ani niemieckich — bo i po co? — każdy i tak wiedział, że tu bywają sami Polacy, mówią po polsku, klną po polsku, jedzą po polsku, kłócą się po polsku i po polsku.... kredytują. Wewnątrz w niewielkiej, podłużnej izdebce mieściło się pięć czy sześć stołów obiadowych, okrytych dość wątpliwej czystości serwetami, obok krzesła różnego kalibru i rodzaju.... całe, dziurawe i kulawe. W dzień czy późno w noc obsiadały te krzesła różnobarwne postacie młodzieży i starszych. Rano pito tutaj kawę, herbatę lub mleko; od 10ej do 3ej obiadowano; od 5ej do 10ej jadano kolację; a zawsze gadano o polityce, patryotyzmie, zreformowaniu społeczeństwa z gruntu — i o tem, zkądby tak pożyczyć — trzy „kwodry”.... na boom.

„Restauracya Polska”, niegdy założona przez „pape” B...., teraz pod kierunkiem jego wdowy istniejąca, szeroki miała rozgłos.

O adres jej najpierw dowiadywał się każdy polski, biedak, który przez losy zawistne znalazł się na twardym bruku nowojorskim — i tu dążył, jak w dym.... O miłosierdziu „Macki” szły legendy przez Amerykę całą — i sięgały aż po za Ocean. Wiedziano, że poczciwa „Mateczka“ nie była w stanie odpędzić od swoich skromnych progów nędzarza, głód cierpiącego; że tym, którzy czekali, jak zbawienia, „floty“ od krewnych z poza mórz, kredytowała do najdalszych granic i po za wszelkie granice; że dla pozbawionych chwilowo dachu, na ostatni przytułek miała izdebkę oddzielną, w której zawsze kilku „chłopców“ znajdowało schronienie; że wreszcie tu zawsze znaleźć można było wesołe, a liczne towarzystwo rozbitków, wyrzuconych przez falę życia za Ocean.

Było tu zawsze — wesoło.... Prawdziwie — choć bieda, to hoc!

Dokoła tych stołów, na których dymił się najczęściej barszcz zabielały (z rurą) i sterczały zrazy, zasiadała cała galerya ciekawych postaci, istna galerya wykolejonych. Zbankrutowani hrabiowie potracali łokciami o kantorzystów, których „record“ weksłowy pozostawiał wiele do życzenia; sfiksowany wynalazca „perpetuum mobile“ pił w ręce artysty-malarza, nigdy wielkich nadziei, dziś niestety utopionych w „trzęsionce“; doktor praw z Galicyi ocierał się o doróżkarza z Warszawy; znajdowali się tutaj b. kasyerowie i poeci o wiecznie

dziurawej garderobie; uczciwi rzemieślnicy i obok wisielcy najgorszego gatunku; bywała też i płeć piękna, naturalnie o odcieniu mocno emancypowanym. Jedną cechę wspólną miała ta różnobarwna gromada: prawie każdy z tych ludzi (oprócz chyba przejezdnych, dla ciekawości tu zagląających) miał na swej przeszłości jakąś plamkę: ból ciężki, nałóg przykry, winę jakąś, niezdolność do życia praktycznego, jakąś ciężką omyłkę życiową, a niekiedy (rzadko zresztą) nawet i zbrodnię...

W jaki sposób Homicz dostał się pomiędzy tę gromadę?

W sposób bardzo prosty. Pod wskazanym adresem, dokąd go zaprowadził ów żydek-przewodnik, nie znalazł swego przyjaciela ślusarza — i idąc za jego śladem, znalazł się u „Matki“. Ów ślusarz już przed miesiącem z górą wyprowadził się ze swego mieszkania. Dokąd? — Gospodyni, Niemka, z którą widocznie rozstał się w nienajlepszy sposób (powodem... komorne niezapłacone), ani o tem wiedziała, aniby chciała powiedzieć. Rzuciła tylko Homiczowi od niechcienia adres restauracyi polskiej, w której ów, jak go nazywała, „Kerl“ miał całemi dniami przesiadywać, zamiast pracować.

Nie było jeszcze późno, Szczepan skierował się do restauracyi.

Tu odrazu znalazł się na przyjaznym i swojskim gruncie. Przyjęto go, jak swojego.

Koleżki swego nie znalazł. Objasniono mu tutaj, że Adolf (tak się nazywał ów koleżka) już od paru dni gdzieś się podział: pojechał do Brazylii, mówili jedni; poszedł pieszo do Buffalo, zapewniali inni.... Mniejsza zresztą o niego! Ubytek jednego z gości „Matki” nie robił różnicy, skoro pozostało ich jeszcze tylu, a wszystko — dobre chłopaki.... Adolf był przyjacielem przybyłego, a oni przyjaciółmi Adolfa, dla czego by się nie mieli zaraz na miejscu poprzyjaźnić?

Tak się też stało.

Nastąpiły prezentacje, przy czem wielki respekt u Szczepana wywołał dobór głośno brzmiących tytułów i wysokich godności, jakie przyznawała sobie większość obecnych. Posłano (naturalnie na koszt przybyłego) po parę „pajntów” piwa — i za chwilę w towarzystwie zapanowała harmonia i poufałość.

Wesoło było i gwarno.... Dowcipy i żarty padały, jak grad.

Każdy radził Szczepanowi, co ma robić, gdzie i jak postarać się o robotę, gdzie zamieszkać, jak żyć.... Trzech burszów zrobiło mu zaraz propozycję podzielenia z nim łóżka na tę noc. Słowem nie było się o co troszczyć, tylko pić — i bawić się.

Program ten wykonywano z zapałem.

Szczepanowi z początku jakoś niezręcznie było wśród tego — dość dziwnego towarzystwa,

— ale kilka kieliszków i szklanek zatarło to pierwsze wrażenie. W parę chwil odkrył pomiędzy obecnymi kilku Warszawiaków, jak on rzemieślników — i to go z nimi zbliżyło.

W godzinę po przybyciu był, jak u siebie.

Gdyby nie to, że przedmiotem rozmowy były zupełnie odmienne stosunki amerykańskie, gdyby nie niezrozumiałe dlań wyrazy angielskie, które często przeplatały polską gawędę, — zdawałoby mu się, że siedzi sobie wśród wesołych koleżków, przy kuflu piwa, gdzieś „Pod Gwiazdą” lub „Pod zdechłym zającem” w Warszawie.

Do słowa, wśród tego gwaru, Homicz nie bardzo mógł się dorwać....

Inni za to krzyczeli, jak opętani.

W miarę, jak trunek rozgrzewał głowy, scena stawała się coraz bardziej malowniczą... W kącie na pół uśpiony, na pół pijany, kiwał się wynalazca „perpetuum mobile”. „Professor” Bombaliński, który łączył profesję malarza pokojowego z dyrektorstwem przygodnej orkiestry, huczał potężnym basem jakiś marsz pogrzebowy. Młody stolarczyk, zwany „Trusią” piał, jak kogut, a wysoki kantorzysta Łeosz usiłował namalować czerwonym ołówkiem na lśniącej łysinie siedzącego przed nim dra Gryzińskiego (adwokata z Galicyi) — promieniejące słońce.

Gruby jegomość w złotych okularach (sta-

nowiły one właśnie cały jego majątek), noszący w koleżeńskim kółku przydomek „Jumby”, wskoczył na krzesło — i wywijając kapeluszem, wołał na cały głos:

— Niech żyje szlachetny „grynhorn”, który funduje piwo! Hurrah!

Rozgardyasz był ogromny, aż „Mateczka”, siedząca w kuchni z jakimiś znajomymi, musiała wyjść do przedniej izby.

— Moglibyście też się uciszyć, moje robaczki! — krzyknęła — Czy chcecie do licha, żeby mi moją budę zamknęli?.... Jeśli tak, to lepiej wynoście się gdzieindziej.

Ten argument poskutkował.

Uciszyło się cokolwiek.

Obudził się teraz dr. adwokat Gryziński (przy której to sposobności można było dostrzedz, że jedną połowę wąsa miał niedawno ogoloną i teraz dopiero zwolna odrastającą — skutek zakładu!) i zaproponował, ażeby w sz. zgromadzeniu zaprowadzić reguły parlamentarne, obrać prezydenta i sekretarza — i w ogóle prowadzić cały „byznes” w sposób godny tak poważnego zgromadzenia.

Kantorzysta Łeosz oświadczył uroczyście:

— Podporuję!

Ale wniosek ten znalazł opozycję. Przepadł.

Natomiast „szlachetny grynhorn”, czyli inaczej mówiąc nasz Szczepan wniósł, ażeby nowego

ofiarowanego przezeń w tej chwili dolara (rzucił go na stół!) obrócić — na wódkę i piwo.

Wniosek przyjęty z entuzjazmem. „Trusia” w dowód uznania gwizdże w tem miejscu, jak kos.

Rozmowy i dysputy znów się rozpoczęły, ale szły w bardziej umiarkowanym tempie. Do Szczepana zbliżył się teraz dość młody, wysoki blondyn, o długich, białych prawie wąsach i poczciwym wyrazie twarzy. Przyglądał mu się przez długą chwilę, wreszcie wyciągnął doń rękę.

— Znajomiliśmy się — rzekł — i powiedziałem już panu moje nazwisko.... Ale go pan pewno nie pamiętasz!

Ten wstęp zmieszał Szczepana.

— W samej rzeczy... — bąkał — to jest.... właśnie....

Blondyn roześmiał się do niego.

— No... no... nie martw się pan tem — mówił głosem równym i mile brzmiącym — To tylko naturalne. Pan jesteś jeden... a przedstawiono panu tych tam — wskazał ręką na towarzyszków — całą bandę. Salomonem czy tam jakim innym mędrcom musiałbyś pan być, ażeby zapamiętać ich wszystkie nazwiska.... ba! gdyby to tylko nazwiska, ale i godności.

I twarz Szczepana okraślił teraz uśmiech. Czuł, że budzi się w nim odrazu sympatya ku temu nieznanemu.

— Otóż — ciągnął dalej blondyn — nie od rzeczy będzie, jeśli po tej ogólnej prezentacji przedstawię się panu na nowo.... prywatnie. Jestem Cierzan.... Piotr Cierzan.... ślusarz — tutaj pracuję przy elektryczności.

— A! to kolega... — wyrwało się Szczepanowi.

— Tem lepiej. Widzi pan tedy, kochany panie Szczepanie — ciągnął dalej blondyn — Ja niezupełnie może jestem panu obcy.

— Czy być może?

— Tak, tak.... może być — i jest. Znałem pana najpierw z widzenia w Warszawie....

Szczepan szeroko otworzył oczy. Nie przypominał sobie tej postaci, tych oczu poczciwych, ale jak gdyby przez jakiś ból wewnętrzny zaćmionych. Cierzan uśmiechał się smutno.

— Tak.... tak.... pan może sobie nie przypominasz.... przypomnieć nie możesz.... A jednak pan znałeś... dobrze znałeś.... kogoś dla mnie bardzo drogiego.

Blondyn urwał, a Szczepan spoglądał nań pytająco.

— Tym kimś... — ciągnął tamten — była... Stefcia.

— Ach!

— To... moja żona.

Przez chwilę zapanowało między nimi am-

barasujące milczenie. Przerwał je Cierzan (a w głosie jego czuć było drżenie) — i rzekł:

— Nie o to zresztą idzie w tej chwili... O tem pomówimy kiedyindziej. Chciałem panu tylko wyjaśnić, z kąd pana znam... Powtóre — ciągnął dalej — znałem też dobrze pańskiego przyjaciela Adolfa. Szałaput był, ale chłopiec dobry. Listy mi pańskie pokazywał — i nawet kiedy po waryacku gdzieś wyruszył w świat, mówił mi coś, ażebym się panem zajął, jeśli tu przyjedziesz....

— A....

— No, i widzi pan, chcę zrobić to, co obiecałem. Nie patrz pan na mnie tak z ukosa. O tamtem — machnął ręką — co było w Warszawie, nie myśl pan. Ja nie jestem zły człowiek.... a zresztą za dużo już przez nią cierpiałem....

Przez chwilę znów pomiędzy nimi zapanało milczenie.

— Czy pan wiesz, że ona jest tu.... w Ameryce? — zaczął naraz Cierzan.

— Kto?

— No.... któż?! Stefka....

Dr. Gryziński, który siedział z boku, zwrócił naraz swój gruby kark do nich — i rzekł do Homicza:

— Aha! Już panu opowiada o Stefce... To jego zwykła „piła!”

Cierzan się zmieszał. Bolesny uśmiech zaigrał mu na ustach.

— A.... — skinął ręką — doktor, jak zwykle, głupstwa gada.... Otóż, o czym mówiliśmy? Ja pana tak, prawie, jak znam — i choć nie wysuwałem się naprzód, jak tamci, to przecież mogę być panu bardziej, niż oni, użytecznym.... Mieszkam w swoich meblach — nie tak, jak oni. Nie bój się pan. Stefcu u mnie niema. Pojechała. Bóg ją raczy wiedzieć, gdzie... Mogę też panu być pomocnym przy wyszukaniu roboty. Ludzi tu znam.... No i jakże?

Wyciągnął do Homicza rękę. Ten wahać się przez chwilę zdawał; ale dr. Gryziński, którego widocznie interesowała grupa dwóch młodych ludzi, zainterweniował:

— No.... no — zwrócił się do Szczepana — nie masz, co czekać. Przyjmuj i nie ociągaj się. Lepiej trafić nie możesz....

Homicz położył dłoń na ręku blondyna — i uścisnął ją serdecznie.

— Ot i pakt zawarty! — zauważył żartobliwie Gryziński.

Milczeli przez chwilę, a potem odezwał się Cierzan:

— Niedługo pan zapewne zechce pójść spać.... Zmęczenie z podróży zawsze czuć się daje. I ja też długo siedziećbym nie chciał.

— Naturalnie! — odrzekł Homicz.

Ale w tej chwili wynikła burza. Do-
słyszano ostatnie słowa.

— Co! — ryknął tragiczny „Jumbo” w
złotych okularach — Cierzan chce nam upro-
wadzić szlachetnego „grynhorna”....

— Porwać!

— „Kidnapować!” — dorzucił Antek,
zwany „Bubkiem”, który już od 6ciu lat stu-
dyował medycynę — bez skutku.

— Na pohybel mu! — wydeklamował
„prof.” Bombaliński, dyrektor orkiestry *in*
partibus infidelium, a „Trusia” udawał teraz
(podług własnego komentarza) chrząkanie
wściekłego nosorożca, któremu dopiero co wy-
piłowano ząb.

Burzę tę wnet uspokoił „szlachetny gryn-
horn“ (inaczej Homicz), oświadczywszy publi-
cznie, że towarzystwa w tej jeszcze chwili opu-
szczać nie myśli.

Przyniesiono piwo.

Rozmowa potoczyła się na nowo. Dr.
Gryziński pytał Homicza o szczegóły podróży.
Naturalnie głównym przedmiotem opowiada-
nia Szczepana była przygoda z Duńczykiem.
Wywoływała ona głośnie okrzyki zdumienia.
Wreszcie Szczepan wspomniał o owym dystyn-
gowanym podróżnym z 2iej klasy, który nosił
dźwięczne imię „Bolo L. Kaliski“.

— Co!.... ten stary łobuz znów przyje-
chał do Ameryki? — zawołał ktoś z obecnych.

— Alboż go państwo znacie? — odpowiedział pytaniem Homicz.

— Jak zły szeląg.

— Może to inna osoba — protestował Homicz — Ten pan z okrętu, to bardzo elegancki jegomość....

— Naturalnie! Pachnie, jak cały skład perfumeryi, szwargoce wszystkimi językami świata i obwiesza się brylantami, dyabli zresztą wiedzą, czy prawdziwemi.... Wyjeżdża z Ameryki obdarty, ale wraca tu z powrotem, wysztafirowany, jak kokietka. Znamy to ziółko aż za bardzo!

— A więc któż to jest w rezultacie ten pan? — pytał nieco skonfundowany Szczepan.

Tu dr. Gryziński nachylił się mu do ucha i rzekł głosem przyciszonym:

— To szpicel polityczny.... policyjna sztuka. Trzeba się go strzedz!

Wszyscy inni to potwierdzili.

Niemile to wywarło wrażenie na Homiczu.

Polak każdy wrodzony ma wstręt do szpiegów, tem bardziej Homicz, trochę spiskowiec. Niemile mu się zrobiło, gdy pomyślał, że „szpiegowi“ jeszcze poprzedniego dnia podawał rękę. Jakże to powierzchowność może mylić! I mimowoli wstrząsł się na myśl, że niejeden z tych ludzi, z którymi tak mu dziś wesoło, jest może także skończonym łotrem. Odszedł mu smak od całej tej kompanii.

Poszukał teraz oczyma smutnych, pocziwych oczu Cierzana. O! ten nie może być chyba złym człowiekiem. Zrozumieli się oczyma.

Trzeba już pójść do domu.

Lecz nie zawsze się tak czyni, jak się zamierza. W tej chwili nastąpił wypadek, który zmienił plany kompanii na noc całą.

Do izby restauracyjnej wpadł jeden z „chłopców”, który wyszedł przed chwilą na ulicę, aby wypalić swobodnie papierosa. Machał ogromnie rękoma — i wołał:

— Morski!... Stary Morski idzie. Będzie biba!

Słowa te zelektryzowały całe towarzystwo. Wszyscy powstawali z miejsc... Na twarzach zapanowało ożywienie. „Trusia” kwiczał teraz rozpaczliwemi jękami prosięcia, któremu (jak objaśniał) ciotka z trojgiem dzieci — umarła na cholere.

V.

Kto był ów Morski, powód tak ogromnej sensacyi?

Zaraz odpowiemy.

Była to postać istotnie niezwykła. Od lat dziesiątka znano go już w New Yorku. Zwykły był tu ukazywać się raz lub dwa na rok w odstępach nieregularnych. Niekiedy bywał częściej; kiedy indziej zniknął na czas dłuższy.

Przyjeżdżał, mieszał się w wir wesołego życia tutejszej hulaszczey Polonii, pieniądze rzucał całemi garściami, pił, hulał, wszystkich prowadził na *boom*, wreszcie wycieńczony, złobuzowany — zniknął.

Legendowe opowiadania chodziły o nim po New Yorku, a szczególnie u „Matki“.

Jedni mówili, że był bogatym farmerem i posiadaczem tysięcznych stad owiec i bydła rogatego na dalekim Zachodzie; inni zapewniali najbardziej stanowczo, iż własnością jego są ogromne i nadzwyczaj obfite kopalnie złota w Kalifornii czy też może w Colorado. Jeszcze inni (ci największą obdarzeni fantazją) mniemali, że mógł on być z równą szansą uczestnikiem bandy, łupiącej pociągi kolejowe w New Mexico, jak i *moonshiner*'em w Arizonie.

Nikt nic pewnego o nim nie wiedział.

To fakt niewątpliwy, że gdy przyjeżdżał do New Yorku, pierwszy jego krok był do „Matki“.

A tam już 5ciodolarówki zaczynały fruwać, jak wróble....

To też łatwo zrozumieć sensację, jaką wywoła wieść o ukazaniu się Morskiego, pośród hrabiów, którzy potrafili żyć po pięć lat na kredyt u „Matki“ i galicyjskich doktorów prawa, w których egzystencyi butelka mrożonego szampana stanowiła — początek nowej epoki.

Oto i Morski.

Ukazał się teraz w progu basamentu „Polskiej Restauracyi”. Jest to człowiek wysoki o atletycznej postaci. Ma wygląd dawnego żołnierza. Może mieć lat 50 lub więcej. Twarz czerwona, oczy podkrążone fałdami zmarszczek, nos purpurowy prawie (widocznie od nadużycia trunków); nosi siwe wąsy i siwą brodę w formie wachlarza. Twarz, a szczególnie oczy bardzo ruchliwe. Wogóle w wyrazie twarzy coś niemiłego i niepokojącego.

Szedł, utykając; na jedną nogę był kulawy.

Morski stanął pośrodku izdebki restauracyjnej — i wzniósłszy sękaty kij do góry, wywinął nim młynka. Potem salutował tym samym kijem do ramienia.

Widocznie był już niezupełnie trzeźwy.

— Jak się mata, chłopcy? — wołał.

— Zdrowo, ojczeniu... — odpowiadali wszyscy.

— A pójdziwa na *boom*?

— Co nie mamy iść!...

Morski znów wywinął młynka w powietrzu.

— A no to pójdziwa... A na rozgrzewkę najpierw ponczyku... Gdzie sa ta „Matula”?

„Matka” tymczasem już i sama pokazała się w progu kuchni.

Zbliżała się godzina jedenasta. Czas było wyprawić „robaczków” precz. Godziny wydawania wieczerzy dawno się już skończyły. Godzina 11ta była kresem wszelkich hec.

„Mateczka”, ujrawszy Morskiego, aż za głowę się wzięła.

— A z jakimże to deszczem spadliście, stary wisusie? — pytała — Znowu mi tu na parę dni poburzycie moich wszystkich robaczków.

Stary tylko się śmiał na tę apostrofę i pokręcał siwego wąsa z uciechy.

— Jo... jo — mówił — rychtyg mówicie, mateczko.... Poburzyć nie poburzę, a że ich dziś na całą noc na *boom* wezmę.... *that's the fact*. A przedtem ino prośba do mateczki... nie odmówicie, prawda?!

Ale „Mateczka” protestowała.

— Znam ja wasze prośby.... nie z tego! Pewno jaka hulanka. Już późno.... Idźcie sobie gdzieindziej.

Protest ten nie był skuteczny.

Przybyły hulaka wyprostował się — i huknął:

— A no, jakem Morski, tak tego nie będzie.... Musi być wszystko po porządku. Dziesięć lat znamy się z mateczką i nigdy mnie ztąd nie odpędzono jeszcze ode drzwi!

„Matka” już się uśmiechała. Morski z całą siłą uderzył się w piersi.

— Będzie poncz... będzie poncz!— wołał — a mateczka też z nami jedną szklanusię wypiją... A nie, to kwita z przyjaźni!

I na zakończenie przemowy stary birbant ucałował rękę „Mateczki” kilkakrotnie. To ostatecznie przekonało poczciwą kobietę.

— Ha... to niech już będzie, jak chcecie... Tylko sprawiajcie się się prędko — i cicho.

— *Sure... sure...* — odpowiadał Morski.

Zaczął się teraz dopiero ruch. Jedni poleceli po wino, inni po cukier, jeszcze inni po cytryny. Stała pośrodku stołu waza ogromna.

Stary Morski szastał się po izbie, jak młodziak.

Znajomił się z nowymi gośćmi od „Matki“, pytał o zdrowie i powodzenie dawniej znajomych, żartował, dawał rozporządzenia co do przyrządzenia ponczu. Homicz i Cierzan teraz ani myśleć mogli o opuszczeniu kompanii.

I oto dla czego, o godz. 11ej w nocy, w chwili, gdy Jadwigę, zadumaną i rozmarzoną, unosił w dal, przez lądy amerykańskie, pociąg ku Cleveland, Szczepan siedział w restauracyjce „Matki” przy wazie ponczu.

Zagaszono gazy.

Siny płomień buchał z wazy — i dziwnym blaskiem oświetlał twarze obecnych... Rysy starego Morskiego w tem oświetleniu zdawały

się Homiczowi dziwnie nieprzyjemne... trupie jakieś.

Zresztą Morski dotrzymał słowa danego „Matce“.

W pół godziny poncz był wypity, a „Restauracya“ zamknięta.

Pod przewodnictwem Morskiego, który kij, jak pałasz, trzymał przed sobą i komendował to po niemiecku, to po polsku, to po angielsku, maszerowało przez 5tą ulicę ku Bowery dwudziestu chłopców — dwójkami. Pochód zamykał dr. Gryziński.

„Trusia“ trąbił tak, jak gdyby miał w brzuchu ze cztery puzony.

Homicz napróżno chciał się wyrwać z tego wojska razem z Cierzanem.

Poszli tedy na „Bowery“, potem gdzieś jeszcze dalej na dół miasta, jeszcze gdzieś w górę; odwiedzili moc saloonów, hal koncertowych i nocnych restauracyj, byli nawet na jakimś balu maskowym i w dwóch szulerniach. Ostatecznie, gdzie byli i co robili, dokładnie nikt z nich nie wiedział.

Wreszcie, już po piątej rano, o świcie, znajdujemy ową hulaszczą gromadkę, która po drodze stopniała do sześciu czy siedmiu osób, w bogato urządzonej, a przez całą noc otwartym „saloonie“ na 3ej Avenue.

Gości tu już niewielu.

W wielkiej sali po za barą, oprócz nich i

kelnerów, niema już prawie nikogo — tylko z sąsiedniego gabinetu odzywa się piskliwy głos jakiejś zapóźnionej nocnej piękności.

„Dr.“ Gryziński oparł się łokciami o stół — i mówi:

— Życie jest podłe. . . . *yes, sir*. . . . podłe!
Długi Łeosz, kantorzysta, stojąc pośród sali, deklamuje z zapałem (i z czkawką) „Czarny szal”. Przy fortepianie siedzą „Trusia“ z „profesorem“ Bombalińskim — i dysputują nad bardzo ważną kwestyą: czy kura, mająca znieść jajko, gdacze z tonu *cis* czy też przeciwnie z *fis*.

W kącie siadł Morski z Homiczem.

Stary birbant jest strasznie pijany. Homicz (mówiąc nawiasem, uważano go nawet w Warszawie za jedną z głów „najteższych” pod względem trunku) — dość mocno podniecony.

Morski przyczepił się do Homicza, jak oset; prawie nie puszcza go od siebie. Poczul, jak powiadał, „wielkie upodobanie” do „grynhorna”.

I teraz bełkoce mu coś, czego Homicz nie jest w stanie zrozumieć, jakieś napomnienie czy też uwagę.

Homicz myśli sobie:

— A jednak to wszystko dyabelnie nudne. . . . Co oni widzą w tem za zabawę?

I przed oczyma jego ducha staje idealna, zadumana, a tak poważna i rozumna twarzyczka Jadwigi.

W tej chwili Morski zrywa się z miejsca, jak na sprężynach.

— Do piekła z tem wszystkim! — woła.

I jednym zamachem ręki zmiotł stojące na stole butelki piwa oraz kieliszki z wódką i sherry....

Brzęk tłuczonego szkła wywołuje sensację.

Trunki rozlały się po podłodze. Szczątki butelek i kieliszków zaścielają ziemię.... Przybiegli kelnerzy. „Dr.” Gryziński podniósł głowę.

— Co to? — pyta.

A stary Morski do kelnerów:

— Sprzątnąć to.... płacę. A teraz szampana mrożonego.... dla wszystkich szampana!

Twarz ma wykrzywioną; oczy — szeroko rozwarte.

Kelnerzy stanęli, niepewni, co robić. Morski tymczasem jest coraz więcej podniecony. Woła:

— Co!.... Myślicie, że stary Mill.... — ogląda się dokoła i pyta: — Kto powiedział Miller?... kto?.... ja jestem Morski... Morski! rozumiecie, do stu tysięcy szatanów.... Czy myślicie, że stary Morski nie ma pieniędzy? Patrzcie....

Prawie rozdarł surdut na piersiach — i wyjął grubo naładowany pugilares.

Rzucił dwie studolarówki na stół.

— Oto dolary.... Hej, szampana!

Kelnerzy na widok pieniędzy stali się usłużni. Ruszają się szybko. Szampan ukazuje się na stole.

I wtedy nastąpiła scena, na widok której wszystkim krew na chwilę zastygła w żyłach.... Widocznie jakaś myśl straszna przyszła do głowy pijanemu aż do obłądu Morskiemu, ukazał mu się jakiś obraz ponury.

Gdy puknął korek pierwszej z butelek szampana, Morski pochwycił butelkę i nie czekając na kieliszek, pił z jej gardziela. Oczy mu krwią zasły. Ścisnął konwulsyjnie złoczoną szyję butelki.

Wszyscy zgromadzili się dookoła niego.

Chwiał się na nogach i spoglądał z przerażeniem w lustro, wiszące naprzeciwko, jak gdyby tam widział jakieś widmo ohydne.... Zaczął mówić sam do siebie.

Mówił po polsku, a wyrazy jego zaledwie zrozumieć podobna.

—....Boże! znów to samo widowisko... Znów.... Okropność! — szeptał ponuro — Ta szubienica.... ten niewinny.... — głos jego podniósł się do rozpaczliwego krzyku:— Krew, krew, krew!

Homicz i Gryziński probowali go uspokoić — napróżno.

Morski szeptał znowu:

—....I kto temu winien? kto? To on....

ten szatan ten potrójny morderca Potwór!

Głos mu się przerwał.

W rysach twarzy widać było niesłychaną trwogę Chwiał się na nogach, aż Homicz podtrzymał go silnem ramieniem, ażeby nie upadł.

Morski znów się porwał z miejsca. Wskazywał palcem w lustro — i trząsał się cały.

— Idzie idzie Ratunku!

Bił rękoma powietrze, jakby odpychając jakieś straszne widmo.

Naraz jego ręka lewa, w której trzymał niedopitą butelkę z szampanem, napreżyła się. Butelka wyleciała w powietrze i uderzyła z brzękiem w szybę lustrzaną.

Lustro pękło w samym środku.

Morski padł teraz na ręce Homicza i Gryzińskiego — nieprzytomny. Kelnerzy zgłupieli. Z „barroom’u” przybył właściciel saloonu. Chciał posyłać po policję, ale Gryziński go uspokoił.

— Policji nie potrzeba — rzekł — doktora tylko przyprowadźcie — i dajcie mu spokojny pokoik. Będzie *all right*. „Gentleman” ma trochę burzliwą „spree”, ale to nic: ma pieniądze — i za wszystko zapłaci.

To poskutkowało.

Gospodarz saloonu oświadczył, że „gentleman’a” można przenieść do sąsiedniego gabinetu. Tak też uczyniono

Niósł go Homicz z jednym z kelnerów, a starzec, niesiony, darł piersi, rzucał się — i zdawał się czegoś szukać przy sobie.

Wkrótce też przybył i doktor.

Dopiero o 8ej czy 9ej rano, wyekspedycy-
wawszy przytomnego już, ale ciężko chorego
Morskiego powozem do hotelu, Homicz i „dr.”
Gryziński opuszczali wspaniałą „saloon” na
3ej Avenue.

— Odprowadzę pana teraz do mieszkania
pańskiego przyszłego szlafkamrata, Cierzana —
mówił „dr.” do Homicza — Czas się wyspać....

Szczepan był blady i milczący. Odpowie-
dział tylko skinieniem głowy.

Szli tak przez chwilę.

— Ale jednak, co za niezwykła scena! —
zauważył nagle Homicz.

„Dr.” pokiwał głową.

— Niezwykła, to niezwykła ... Widzę
u niego coś podobnego trzeci raz. Sens mo-
ralny: albo obłąd pijacki... *delirium tremens*...
albo ten człowiek.... ma coś strasznego na su-
mieniu. Niech go tam! nie my będziemy za
niego odpowiedzialni, a kompan dobry jest i jak
funduje, to.... dycht.

.....
Około tego samego czasu, pociąg wiozący
Jadwigę przybył do celu.

— Cleveland! — odezwały się wołania.

Ostatnie jęki dzwonu umilkły z lokomotywy. Syknęły ostatnie strumienie wypuszczonej na zewnątrz pary.... Pociąg stanął.

Jadwiga ukazała się na galeryjce wagonu.

Błada była i zmęczona, ale oczy jej promieniały ogniem woli. W ręku niosła małą tylko walizkę i parasol; przewieszony miała przez ramię pakuneczek jakiś na rzemieniach. Zeszła powoli po schodach wagonu — i skierowała się na peron.

Tu postawiła walizkę na podłodze i namyślała się przez chwilę.

Chwila czynu się zbliżała.

Była teraz sama ostatecznie.... Sama rażać sobie musiała. Nikogo z nią i przy niej. I w tej chwili mignęła jej przed wzrokiem myśli żwawa i dzielna postać Homicza.

— Ha.... coś zrobić... — westchnęła.

Nie zginie przecież!

Język to grunt. Szczęściem, zna język angielski — i ta znajomość języka już jej wiele oddała usług. Nie myślała sama, ucząc się go nigdy w Hamburgu, że tak to ważna rzecz; a cioteczka Biechońska nieraz z niej z tego powodu żartowała, twierdząc, że zamierza chyba wyjść za mąż za jakiego „królewicza angielskiego!”

Na myśl o ciotce — ileż tysięcy mil od niej oddalonej! — gardło Jadwigi ścisnęło spazmatyczne łkanie.

Ale siła woli zatryumfowała. Już po chwili była spokojna.

Skierowała się ku drzwiom, na których spostrzegła napis „lunch” — i myślała o tem, kogo, po napiciu się kawy, zapytać o najtańszy i najprzyzwoitszy hotel.... Gdy oto zatrzymał ją w drodze głośny polski wykrzyknik:

— A! co za miłe spotkanie....

Podniosła głowę — i ujrzała postać p. Bolo L. Kaliskiego, owego eleganckiego jegomości z 2ej kajuty okrętu, który ją przywiózł do Ameryki.

Drgnęła mimowoli na myśl o śnie, prześnionym niedawno w wagonie.

Pan Bolo L. mówił dużo — i mówił szybko.

Niespodzianka, jakiej doznał na widok bohaterki sensacyjnych wydarzeń z bremeńskiego okrętu, dodała mu jeszcze wymowy. Obracał językiem, jak śrubą oceanowego parowca: „Boże mój! co za zdarzenie!.... Więc jednym pociągami jechali z New Yorku do Cleveland. Nigdyby się tego nie domyślił. Zna zrestą Cleveland, jak własną kieszeń.... Bardzo ładne miasteczko! Nadzwyczaj malownicze.... Był tu już nieraz. Czy nie mógłby czem służyć szan. rodaczce: radą.... wskazówką? Oddaje się cały na jej usługi” itd. itd.

Jadwidze wprawdzie ani trochę nie przypadał do gustu elegancki p. Bolo L. Kaliski; czuła w nim jakiś fałsz; ale rozumiała, że w

danej chwili ten człowiek może jej być istotnie pożytecznym.

Nie pozwoli mu zresztą zbyt się narzucać.

W krótkich, a spokojnych wyrazach podziękowała Kaliskiemu za życzliwość. Oświadczyła, że nadużywać jej nie będzie.

Zapytała wreszcie o przyzwoity, a tani hotel w Cleveland.

P. Bolo L. Kaliski był zachwycony. Poleciał podróżniczce „Hotel National”.

— To istna perełka! — wołał zachwycony — Ja się tam zawsze zatrzymuję.... I nie drogi przytem. Oto jego omnibus.

Razem wsiedli do omnibusu.

Czy jednak Jadwiga pojechałaby razem z eleganckim panem Bolo, gdyby wiedziała o opinii, jaką o nim poprzedniego dnia wieczorem wygłoszono w „Restauracyi Polskiej“ w New Yorku? — wątpić należy.

VI.

Trzy obrazki, z trzech różnych stron wielkiego kontynentu amerykańskiego (fotografie momentalne).

.....

Rzecz w New Yorku na E. 7ej ulicy.

Mieszkanie poddaszne. Izdebka i sypialnia. W obiedwu sufit ścięty — i okienka małe. Umeblowanie nadzwyczaj proste, ale schludne.

Zmrok wpada przez zbrudzone okienka do *bedroom*'u.

Szczepan Homicz na pół uniósł się na szerokim, podwójnym łożku. Jest rozebrany. Ziewnął szeroko — i obejrzał się. Gdzie jest u licha? Co to za izba? Nie znajduje się już przecie na okręcie.... A więc, gdzie?

Zuów ziewnął szeroko....

Spojrzał. *Bedroom* był wąski. Oprócz łożka, znajdowała się tu tylko umywalnia. Nad łożkiem obraz Chrystusa na krzyżu; nad umywalnią fotografia kobiety, której rysów w półmroku rozróżnić niepodobna.

Na karpecie (dywanie) obok łożka leży jakaś ciemna masa. Chrapie ona strasznie.

To widocznie śpiący człowiek.

Homicz wydobywa z kieszoni zapalniczkę. Pociera ją — i oświetla postać chrapiącą na podłodze.

— Ach! to „dr.“ Gryziński.

Teraz Homiczowi wraca pamięć wypadków. Już wie. Jest w gościnie u Cierzana. Przyprowadził go tutaj, dziś rano, po całonocnej hulance z Morskim, Gryziński. Cierzana nie zastali, poszedł do roboty. Ale „dr.“, który, o ile się zdaje, z zasady nigdy nie miał swojego własnego mieszkania, i znajdował najczęściej przytułek u znajomych „chłopców“, wiedział dobrze, gdzie szukać klucza.

Zakwaterowali się tedy w łóżku i na karpacie Cierzana.

— Aha! — powiedział do siebie Homicz.

Przeciągnął się i pochylił ku leżącemu na podłodze Gryzińskiemu.

Apoplektyczna twarz „dra“ zabarwiona była wszystkimi kolorami tęczy.... Jeden wąs (nieogolony) sterczał wysoko, jak bujne kłosa szaro-siwego żyta, a drugi (ten odcięty o zakład!) zaledwo się ukazywał, jak ruń świeża.... Usta były szeroko roztwarte, a na grubych wargach spoczywało kilka much.

Nic sobie nie robiły ze świstania, rzechotania, rżenia, które wychodziło z głębi gardła „dra“.

— Trzeba starego obudzić — mruknął Homicz — nie wiem, gdzie tu się ruszyć.... A umyć i ubrać się trzeba.

Wstrząsnął „dra“ za ramię. Ale ten gwizdnął tylko głośniej przez nos:

— Fiu...fiu...fiu....

Wprawił w ruch energiczny głowę, ręce i nogi śpiącego. Trząśł go gwałtownie. Lecz „dr.“ rzucił się tylko, jak szczupak — i mruknął:

— Apeluję!

Poczem zaczął znowu wygrywać dziwne melodye na swym nosowym instrumencie.

Homicz nie wiedział, co robić. Jakże takiego słonia obudzić?! Lecz oto przyszła mu myśl.

Ścisnął Gryzińskiemu nos, tamując mu dostęp powietrza do cenionego instrumentu. To poskutkowało. „Dr.“ zachłysnął się całą siłą płuc; dmuchnął, sapnął, kichnął, jak gdyby strzelał z armaty; odrzucił od siebie dłoń Szczepana — i już siedział na karpecie na pół rozbudzony.

— Gdzie? co? którądy? — pytał — Kto tu strzelał?!

W sekundę zresztą zorientował się. Wiedział, gdzie jest i co się dzieje; był w wybornym humorze. W paru słowach porozumiał się ze Szczepanem.

Zapalili lampę naftową — i ubierali się.

Toaleta Cierzana nie była bardzo wykwiniona, ale posłużyła im wybornie (szczególniej „drowi“, który nie tak znów bardzo dbał o zewnętrzną powierzchowność. — „Dusza grunt — mawiał — no i sznaps także!“)

Zamieniali przytem pojedyncze wyrazy — i ziewali.

Szczepan stoi właśnie w tej chwili w kamizelce przy umywalni — i pucuje sobie pachnącem mydłem twarz. Wtem promień światła od lampy pada na fotografię, wiszącą na ścianie.

Szczepan przygląda się.

— Ach! — woła — to Stefka....

Co za spotkanie, tu po drugiej stronie Oceanu... A — prawda! przypomina sobie....

Cierzan mówił, że to jego żona. Szczepan głęboko się zamyślił.... Przygląda się twarzy pełnej życia, obfitym włosom, spadającym w nieładzie na plecy i przybranym w wieniec kwiatów — poza jakaś teatralna! — wargom pełnym, jak gdyby rozchylony do pocałunku kwiat.

— Ach... ach... ach! — powtarza.

A „dr.“ Gryziński, który się do niego zbliżył, i zaglądając mu przez ramię na fotografię, dodaje:

— Psia kość.... baba! Krew z mlekiem. Widziałem ją tu coś przed 6ciu miesiącami, kiedy jeszcze była razem z Piotrkiem. Niech jej nóżka spuchnie!

Szczepan pochylił się jeszcze więcej ku fotografii. Pragnie sprawdzić, czy w rysach tej twarzy, w którą lubił niegdyś spoglądać, znajdzie uśmiech, który tak mocno go czarował.

Wtem.... słyszy brzęk. Coś upadło na karpety — dzwoni oddźwiękiem szkła i metalu.

Tak — to „coś“ wypadło jemu samemu z kieszeni od kamizelki. Niema wątpliwości. Lecz zkadże znów z jego kamizelki? O ile sobie przypomina, w kieszeniach nic nie miał.

I co to?

Pochyla się ku ziemi i podnosi błyszczący przedmiot.

Zdziwienie i półuśmiech ukazują mu się na twarzy.... Coś niezwykłego!.. Czyżby ja-

kaś czarodziejka wróżka postanowiła mu dzisiaj w ten sposób uprzyjemnić przebudzenie? To znów wizerunek kobiety... Coś staroświeckiego! Metalowa ramka, bodaj ze złota, a w środku miniatura na kości słoniowej; wyblakła, zapewne już dość dawno malowana.

Homicz zwrócił się do Gryzińskiego.

— Patrz pan, co znalazłem — mówi.

„Dr.“ przygląda się miniaturze z miną znawcy — i powiada:

— Robota artystyczna i twarzą „fajn“. Oprawa szczerozłota; w „pfandszapie“ to można zastawić. I gdzież pan to, u licha, znalazł?

— W mojej własnej kieszeni....

„Dr.“ zaczyna się śmiać na cały głos.

— Pyszne miejsce do znajdowania różnych przedmiotów... Jabym, będąc na pańskim miejscu, poszukał, czy nie znajdę tam jakiego nieoczekiwanego czeku (uważaj pan na grę słów!) na \$100,000.

A Homicz przygląda się tymczasem miniaturze.

Widocznie jest to wizerunek kobiety z przed lat. Widać to choćby z uczesania głowy i kołnierzyka u szyi. Twarzą kobiety, odtworzonej na miniaturze, jest prześlizną... Dziwna słodycz i zaduma bije od niej. Te rysy, ten uśmiech budzą w mózgu Szczepana przypomnienie..... Znał tę twarzą i

uśmiech, widział ją kiedyś... a może tylko... coś podobnego.

Tak! — ta twarz podobna jest do twarzy-
czki Jadwigi....

Zamyśla się.

— Ah! czyż to być może? — mówi sam do
siebie — zaczynam miewać halucynacye. Wszę-
dzie widzę jej twarz.

A jednak... — przygląda się znów mi-
niaturze — to rysy i uśmiech Jadwigi. Zkąd-
że znowu? i zkąd ten dziwny przedmiot w kie-
szeni od kamizelki?

To samo pytanie zainteresowało także
Gryzińskiego. Kręci on głową; naraz pyta
Homicza:

— A popatrzyłeś pan, czy niema tam nie
więcej w tej kieszeni?

Homicz sięga do kamizelki i wydobywa
zamtąd jakiś zmięty papier. Gryziński oglą-
da to uważnie — i woła:

— Zagadka wyjaśniona.... W ten papier
musiała być owinięta miniatura. Jest tu napis,
patrz pan. Napisano „Morski”.... Znam je-
go pismo: bazgrze, jak kura nogą. Wniosek
ztałd prosty: miniatura jest własnością Mor-
skiego.

— Ale zkąd się wzięła w mojej kieszeni?

— Przecież jej pan nie ukradłeś!.. Wyja-
śnienie może być tylko jedno. W chwili, kie-

dy pan niosłeś nieprzytomnego Morskiego lub później, gdy się około niego krzątałeś, musiał ci ją sam włożyć do kieszeni. . . Uczynił to bezwiednie, będąc nieprzytomnym; może zdawało mu się, że gdzieś chowa przedmiot szczególnej dla niego wartości lub też przedmiot, którego nie chciał, ażeby przy nim znaleziono. To bardzo patrzy na człowieka, na pół obłąkanego od pijaństwa.

Objaśnienie starego wygi było zupełnie wystarczające.

Homicz zamilkł. Ale nie przestawała go niepokoić myśl: — Dla czego i z kąd stary Morski mógł mieć w posiadaniu miniaturę kobiety, tak podobnej do Jadwigi?

W tej chwili szcęknał we drzwiach klucz. To Cierzan wracał z roboty.

— Gotowi jesteście panowie? — rzekł — pójdziemy do „Matki” na kolację.

.....

Obrazek nr. 2gi.

Rzecz dzieje w Nanticoke, Pa. Jest to niewielkie miasteczko górnicze, położone pośród gór i kopalń w środku Pensylwanii. Ludność bardzo mieszana: złożona z Polaków, Słowaków, Litwinów, Rusinów; są też Niemcy, Czesi, Irlandczycy, (Ajrysze), żydzi itd. itd. Najtrudniej tu chyba o Amerykanów czystej krwi.

Do tego to Nanticoke udała się prosto z

Castle Garden (z New Yorku) młoda para, mająca pretensye do spadku po Walentym Połubajtysie. Z Castle Garden telegrafowali o swem przybyciu do kuzyna Bogusza. Była to właśnie osobistość, która zawiadomiła litewskich Połubajtysów o spadku, daleki ich krewny, sam zresztą nie posiadający żadnych praw do owego majątku.

Bogusz powitał Manię Horodyńską i Połubajtysa na dworcu kolei, wsadził ich w „buggy” (powozik) — i zaraz zawiózł do siebie.

Ów Bogusz, trzeba przyznać, nie jest to figura zbyt przyjemna.

Krępy i gruby, głowę miał ogromną, a rysy grube; twarz pokryta jest piegami; obfita ryża czupryna i duże rude wąsy, zakrywające usta, dopełniają całości. Przy swej tuszy jest nadzwyczaj ruchliwy; mówi dużo, śmieje się głośno.

Bogusz (inaczej, po litewsku Boguszas, a dla obcych, z którymi miewał interesa, Bogge) był jednym z zamożniejszych polskich „byznisistów” w miasteczku. Utrzymywał hotel, połączony z saloonem, spekulował na gruntach, prowadził sprawy sądowe, załatwiał wszelkie interesa. Mówiono o nim, że jest — głowacz nielada. On to wyszukał ów spadek po zmarłym aż w Pittsburgu Walentym i cały interes puścił w ruch.

Dwoje przybyłych przyjął, jak mógł, najserdeczniej.

Nakarmił ich, poznał ich ze swą rodziną, złożoną z żony i pół tuzina dzieciarni, ulokował w swoim „hotelu” (mówiąc nawiasem, ów hotel składał się z kilku i to niezbyt schludnych izdebek), wreszcie pozwolił się im wypocząć po podróży.

Na drugi dzień dopiero przystąpiono do interesu.

W „ofisie” byznesowym p. Bogusza — jest to duża izba, umeblowana dwoma biurkami, wielkim żelaznym piecem, szafą, prasą kopiową, fotelami i tuzinem krzeseł — znajdujemy dwoje przybyłych z Europy, gospodarza i jeszcze jednego jegomości. Jest to Amerykanin, długi, kościsty, o twarzy zaschłej, jak pergamin. Bogusz przedstawił go przed chwilą Mani i Połubajtysowi, jako adwokata Langa.

Teraz objaśnia w paru słowach rzecz całą, najpierw po polsku dla wiadomości Mani i Połubajtysa, potem po angielsku — adwokatowi.

Rzecz się ma tak, iż przed 9ciu miesiącami w m. Pittsburgu, w tymże Stanie, zmarł, nie pozostawivszy żony i dzieci, Walenty Połubajtys (inaczej Polubaytis), współwłaściciel fabryki wozów i kół. Przybył on do Ameryki przed laty 35ciu, młodym jeszcze będąc chłopcem, pracował najpierw, jako kowal, a potem stopniowo przez pracę i oszczędność doszedł do współwłasności znacznego zakładu przemysłowego. Udział jego w fabryce ceniono na

\$20,000. Suma odpowiednia została złożona do depozytu sądowego przez współników zmarłego, dwóch Niemców. Zmarły nie pozostawił formalnego testamentu, tylko jakąś kartkę bez daty, w której wyraża życzenie, aby jego majątek przeszedł w ręce dzieci po braciach i siostrze, mieszkających na Litwie, a szczególnie, ażeby nie zapomniano o sierocie po bracie Józefie, Frani, która podobno wyszła za mąż w Warszawie za jakiegoś Horodyńskiego.

— *All right...* — odpowiada adwokat po wysłuchaniu objaśnienia.

Dalej Bogusz przedstawia adwokatowi Jana Połubajtysa, jako bratanek zmarłego, a więc współsukcesora i zarazem pełnomocnika wszystkich litewskich Połubajtysów, Manię zaś, jako pełnomocniczkę swej matki, owej sieroty Frani, o której mówi kartka, pozostawiona przez nieboszczyka. — *All right...* Gdzie są dokumenta? Wyjmują je z zanadrza Jan i Mania. Adwokat przegląda takowe przez czas dłuższy. Wybornie! Są wszystkie i w porządku, przetłumaczone, jak należy, na język angielski w konsulacie Stanów Zjednoczonych w Warszawie.

Teraz zabiera głos adwokat. Mówi coś długo do Bogusza, coś, czego naturalnie ani Mania, ani Połubajtys nie rozumieją — i pokazuje na jakieś akta, znajdujące się na biurku.

Rzecz tę krótko objaśnia po polsku Bogusz.

Adwokat Lang twierdzi, że w ciągu miesiąca, na zasadzie tych dokumentów, zdoła odebrać kapitał spadkowy. Uda się w tym celu zaraz do Pittsburga — i pozostanie tam aż do skutku swych zabiegów. Trzeba załatwić mnóstwo formalności prawnych. Będą duże koszty.... Te koszty on gotów jest wyłożyć z własnej kieszeni. Naturalnie, musi być za swą pracę odpowiednio wynagrodzony. I dla tego proponuje, ażeby *lady* i *gentleman* zawarli z nim formalną umowę, przyznającą mu, jako honorarium, 5 procent od wywindykowanej sumy i nadto zwrot wszystkich niezbędnych kosztów. Umowa leży tam już na biurku spisana. Trzeba ją podpisać. Nadto trzeba podpisać akt drugi, pełnomocnictwo wspólne dla adw. Langa — i doręczyć mu wszystkie przywiezione z Europy dokumenta.

To mówiąc, rudy kuzynek Bogusz wyciąga dłoń ku stołowi — i wskazuje papiery, atrament i pióro. Nie pozostaje nic, tylko sięgnąć i podpisać.

Ale Połubajtys, powolny Litwin, nie przywykł do takiego amerykańskiego sposobu załatwiania interesów. Pyta: czy nie możnaby całej tej sprawy odłożyć na pewien czas? Zresztą chciałby zobaczyć papiery, zanim je podpisze.

Powiada to Boguszowi.

Na ustach grubego hotelisty zabłysnął — przez jedną chwilę — zły uśmiech; ale zaraz

przepadł. Poszwargotał parę słów po angielsku z długim, jak tyka, adwokatem.

Ten podniósł się z krzesła. Zebrał leżące na biurku swoje papiery, związał w skórzaną opaskę, włożył kapelusz na głowę i skierował się ku drzwiom mówiąc:

— *Good bye, ladies and gentleman*

Bogusz zaś objaśnił zdumionym Mani i Litwinowi, że adwokat jest rozgniewany z racji takiego „grynhornowskiego” traktowania rzeczy — i że gotów jest zrobić interes, albo teraz albo nigdy.

— *Time is money! . . .*

Połubajtys jest przerażony głupstwem, które zrobił; a Mani aż łzy w oczach stanęły.

Biegnie ku drzwiom i za klapę tużurka przytrzymuje znakomitego adwokata Prosi go bardzo grzecznie, bardzo ładnymi słowy, ażeby nie odchodził — ma się rozumieć, prosi po polsku. Sztywny, jak tyczka, adwokat słów nie rozumie; ale za to rozumie — jej śliczniętkie spojrzenia.

Oświadcza tedy, że gotów czekać na decyzję dwojga kuzynów — całe pięć minut.

Kuzynek Bogusz tłumaczy im to ultimatum na język polski.

Wtedy Mania i Połubajtys usuwają się w drugą stronę pokoju i zaczynają się naradzać szeptem.

Ostatecznie Litwin wyraża pewne wątpliwości, — ale co mają robić?! — Nie wiedzą nawet, gdzie i w jakim sądzie znajduje się spadek. Zresztą, gdyby kto chciał zagrabieć pieniądze, nie wzywałby ich tutaj... Wszak o spadku nie wiedzieli, i nigdyby się bodaj nie dowiedzieli, gdyby nie kuzynek Bogusz. On przecież listownie z góry zastrzegł sobie 2 procent od sumy spadkowej; w jego interesie będzie tedy leżało, ażeby pieniądze odebrali. Wogóle upoważniono ich do wydatkowania na honorarya i koszta nawet do 10ciu lub 15tu procent sumy.... A więc umowa nie sprzeciwia się ich instrukcyom. Co do treści aktów, zawieżyć trzeba kuzynkowi Boguszowi. Nie oszuka ich przecież!

Narada skończona. Jan Połubajtys występuje naprzód i oświadcza krótko:

— Podpiszemy!

Rudy kuzynek Bogusz jest jeszcze tyle grzeczny, że tłumaczy (za zgodą patrzącego na zegarek adwokata) znaczenie obu aktów

Następuje wreszcie ceremonia położenia podpisów.

A gdy Połubajtys kreśli na pierwszym papierze sąznisty swój podpis, Mania zaś pochylona nad nim, czeka swej kolei, grube wargi rudego Bogusza rozchylają się szatańskim uśmiechem.

Podpisy wreszcie są położone i poświadczone przez Bogusza, jako notaryusza publicznego

Adwokat Lang zbiera metodycznie papiery i kładzie je do kieszeni. Żegna obecnych, a gdy otwiera drzwi, z jego twarzy spada na chwilę sztywna maska obojętności.

— Do widzenia za miesiąc! — mówi, krzywiąc twarz uśmiechem pogrzebowego, którego w tej chwili zawiadomiono, że w kraju ukazała się — zaraza.

.....

Obrazek nr. 3ci.

Rzecz w Cleveland, Ohio.

Toż samo popołudnie. Niebo zawlokły ołowiane chmury. Powietrze jest bardzo ciężkie.... Na horyzoncie ukazują się od czasu do czasu błyskawice. Wicher zrywa się. Lada chwila spadną grube krople deszczu.

Przez ulice, prowadzące do odległej dzielnicy miasta, w której ma zamieszkiwać gromadka polskich osadników, biegnie, dzwoniąc głośno, otwarty wagon tramwaju konnego.

W tramwaju znajduje się Jadwiga; obok niej siedzi jakiś młody mężczyzna, wygolony, w złotych okularach. Jest to reporter miejscowej gazety „Leadera”.

Służy on w tej chwili Jadwidze za przewodnika w wyprawie do polskiej dzielnicy. Objasnić należy w paru słowach, jak doszedł do tej godności.

Pozostawiliśmy Jadwigę, jadącą razem z dystyngowanym p. Kaliskim do wskazanego

jej przez niego hotelu. Już w omnibusie nie traciła ona czasu. Zadała ugrzeczniionemu jegomości cały szereg pytań, które ją interesowały. Czy tu mieszkają Polacy? gdzie? czy istnieje kościół polski? czy wychodzi polska gazeta? Jakie są najlepsze biura detektówów prywatnych? czy w sprawie poszukiwań jakiejś osoby można się udać do policji miejskiej? itd. itd. P. Bolo L. Kaliski na wszystkie pytania odpowiadał bardzo chętnie, gotów był do wszelkiej pomocy, obiecywał nastęrczyć zaufanego detektywa i był nawet o tyle dyskretnym, że nie pytał o cel poszukiwań; ale co do jednej rzeczy przyznał się do kompletnej niewiadomości. Czy tu, w Cleveland, mieszkają Polacy? Nie wie.... Nie sądzi, aby mieszkali. Był tu parokrotnie, raz nawet przez czas dłuższy — i nigdy o Polakach nie słyszał.

Twierdzenie to, szczególnie w obec informacji, zebranych przez Jadwigę jeszcze przed wyjazdem z Europy, zdawało się Jadwidze podejrzaniem. Zamilkła tedy....

Po przybyciu do hotelu — takowy istotnie okazał się przyzwoitym i tanim — młoda kobieta najpierw odpoczęła parę godzin. Dopiero po południu wyszła na miasto, z planem działania już gotowym. Otrzymawszy odpowiednie wskazówki w hotelu, podążyła wprost do położonej w środku miasta redakcji najpoczytniejszego miejscowego dziennika (był to właśnie

„Leader”) — i dała do niego następujące krótkie ogłoszenie:

„*Julia Cybik* z Cieszyna (Śląsk austriacki) lub jej krewni, gdziekolwiekby się znajdowali, w Cleveland lub w innem mieście, proszeni są o porozumienie się w ważnej sprawie z Miss H. S. w hotelu „National”. Godziny od 8 do 10 rano. Za wiadomość o nich, w razie żądania, nagroda pieniężna do \$15.”

Po oddaniu ogłoszenia, Jadwiga poprosiła o wskazanie jej biura redaktora głównego. Zaprowadzono ją. Redaktor był to poważny, stary jegomość z siwą brodą i trzęsącemi się rękoma.

Złożyła na jego biurku swój bilet wizytowy.

W paru słowach wyjaśniła mu, że przybywa dla poszukiwań w pewnej ważnej sprawie familijnej; idzie jej o znalezienie pewnej Polki, od lat tu już zamieszkałej. Dała w tej chwili odpowiednie ogłoszenie do gazety, ale zamierza oprócz tego czynić poszukiwania na własną rękę. Słyszała, że w Cleveland istnieje dzielnica czy dzielnice, w których Polacy mieszkają gromadnie, lecz, jako cudzoziemka i obca w mieście, naturalnie, o położeniu tych dzielnic wiedzieć nie może.... Otóż, mniemając, że tu najprędzej znaleźć potrafi informację w swej sprawie, i licząc na przysłowiową grzeczność Amerykanów dla kobiet, ośmiela się zaniepo-

koić sz. redakcyę prośbą o dwa słowa wskazówki.

— Prasa jest potęgą — zakończyła z uśmiechem — i do tej potęgi udaję się o pomoc...

Starego redaktora zainteresowała ta tak piękna i inteligentna młoda kobieta, oraz oryginalny sposób poszukiwania informacji.

Uśmiechnął się i odrzekł:

— *Yes...* Ta potęga pani nie zawiedzie. Istotnie mamy tu w Cleveland Polaków, Czechów, Węgrów.... Nasi reporterzy pani powiedzą — gdzie? Oni wiedzą wszystko. Proszę sięś.

Za chwilę przed obliczem redaktora stał najlepszy reporter „*Leaders*”, p. Littlejohn. Otrzymał on polecenie nietylko udzielenia pani wszelkich objaśnień o Polakach w Cleveland, ale nadto towarzyszenia jej na miejsce, w celu ułatwienia poszukiwań danej osoby.

Reporter skłonił się na znak, że jest gotów. Audyencya była skończona. Redaktor odprowadził Jadwigę do progu swego biura i na zakończenie pożegnał ją temi słowy:

— *Yes, miss....* My w Ameryce staramy się być grzeczni dla dam.

To nam wyjaśnia dostatecznie, dla czego znajdujemy Jadwigę Śląską w tramwaju. Udaje się ona do polskiej dzielnicy (zwanej już naówczas „*Warszawą*”), razem z najznakomi-

tszym reporterem „Leadersa”, p. Francisem Littlejohnem.

W drodze zaskoczyła ich burza.

Reporter, nie ze względu na siebie, bynajmniej! ale z względu na *lady*, zaniepokoił się... Zapytał, czy nie wypadałoby powrócić do miasta następnym tramwajem, idącym z powrotem — i wogóle odłożyć wyprawę do jutra? Ale Jadwiga prosiła o prowadzenie dalej przedsięwzięcia. Mają przecież parasole i burzy się nie boją.... Burza zresztą przejdzie (reporter, znający się trochę na meteorologii, uśmiechnął się przytem z niedowierzaniem). Nareszcie wszak mogą w dzielnicy polskiej prowadzić swe poszukiwania gdzieś pod dachem.

— *O, yes....* — odrzekł.

Zaraz tuż przy linii tramwaju znajduje się grocernia *Mra Dzi.... dzi.... si.... wi.... czyń....sky* (*hard name to pronounce!*), którego on zna. Widywał go nieraz na mityngach. *Very nice fellow!* Jest on *leaderem* Polaków w polityce.... Krócej nazywają go „Big Johnny”. U niego można się będzie dowiedzieć wszystkiego.

Jadwiga skinęła głową na znak zgody.

Zbliżali się teraz ku polskiej dzielnicy. Było tu dość pusto. *M. Cleveland* położone jest na wzgórzach, poprzedzielanych kotlinami; pełno tu łączących je, przerzuconych przez wąwozy lekkich żelaznych mostków.... Gdzie-

niegdzie drzewa, wśród nich domki. Obraz malowniczy, szczególnie w oświetleniu migających z niebios błyskawic, szczególnie w podmuchach zrywającego się z szaloną potęgą wichru.... Tramwaj jechał teraz bardzo szybko, jak gdyby uciekając przed burzą. Wzdłuż ulicy, którą się posuwał, domy już były rzadkie.... Tylko w dali, nieco na uboczu, widniała kępka drzew, a pośród niej sterczały dachy.

Reporter rozchylił oponę, zasłaniającą bok wagonu tramwajowego przed deszczem -- i rzekł:

— Tam mieszkają Polacy!

Za siedem czy osiem minut wysiadali z tramwaju przed grocernią p. Dżyczyńskiego, zwanego „Big Johnny”. Panował tu właśnie mały popłoch.... Dopiero co zaczęły spadać pierwsze, grube krople deszczu, a nieco opodal na tej skromnej, głównej uliczce polskiej osady ukazała się masa szarego kurzu, podobna nieomal do trąby powietrznej.... Grzmot zahuczał. P. Dżyczyński, kiedyindziej wielki polityk miejscowy, dziś zwyczajny sobie grocernik przy białym, wątpliwej zresztą czystości fartuchu, krzątał się wraz z całą rodziną około przenoszenia do „sztoru” warzywa i różnych innych produktów, zwyczajem amerykańskim spoczywających przez cały dzień przed „grocernią”.

Reporter z Jadwigą weszli do składu.

Była to dość długa izba sklepowa, opatrzona z jednej strony kontuarem, a ze wszystkich stron mnóstwem szaf i szafeczek do ściany przymocowanych, koszów, beczek, pak i pudełek.... Wszystko to było na sprzedaż: od sardynek do dzbanków szklanych, od szuwaksu do konfitur. W głębi imponował swem wielkiem kołem żelazny młynek od kawy.

W chwili rozgardyaszu nikt nie zwrócił uwagi na przybyłych. Dopiero, gdy wszystko się uspokoiło, Dzięczyński zapytał ich: — czego chcą?

Mr. Littlejohn przypomniał mu swe nazwisko — i dodał, że przybywa w imieniu „Leadersa”.

— Ach, „Leader”.... to co innego!

Nasz polityk wardowy zrzucił w tej chwili fartuch grocernika.... On codziennie czytuje to zuakomite pismo! Czerwona barwa jego twarzy przeszła aż w purpułę z zadowolenia, że redakcyja „Leadersa” wie onim i ma do niego interes. Naturalnie poprosił w tej samej chwili dwoje przybyłych do promieniejącego wiśniowym pluszem mebli — „parloru”.

Tu zapuszczono rolety, ażeby błyskawice nie przeszkadzały w rozmowie, zapalono gaz i przystąpiono do rzeczy.

Reporter objaśnił Dzięczyńskiemu, iż główny redaktor „Leadersa” (w tem miejscu pod

niósł brwi o ćwierć łokcia w górę) prosi go bardzo o łaskawą pomoc dla panny Ślaski, jejgo rodaczki, w pewnych jej poszukiwaniach. Następnie zabrała głos Jadwiga. Mówiła po polsku, a nasz Dzięczyński mocno się zdziwił, że tak dystyngowana osoba mówi — tak wulgarnym językiem. W paru słowach wyjaśniła mu, o co jej idzie. Chce znaleźć Julię Cybik

— Cybik, Cybik? — powtarzał Dzięczyński -- ach. Toć to będzie, pewnikiem, nasza stara Cybiczka.... I co pannusia może mieć za interes do tej głupiej baby?

— Więc mieszka tu kobieta tego nazwiska? — pytała głęboko wzruszona.

— *O yes, mie....*

W tej chwili wichur, szalejący na zewnątrz, z nową gwałtownością wstrząsnął domem grocownika, aż w „parlorze” na kominku zabrzęczały stojące tam drobnostki; zarzechotał znowu grom — i nagle padł z głośnym trzaskiem, widać nieopodał, piorun. Wyraz „mieszka” przerwał się w połowie na ustach Dzięczyńskiego, zbladł on i skreślił na czole znak Krzyża św. Reporter i Jadwiga siedzieli także nieruchomi.

Dopiero po chwili wrócono do przerwanej rozmowy.

— Piekielne powietrze! — zauważył Dzięczyński, a potem dodał: — Tać prawda.... prawda.... Najstarszą chyba babusią jest pośród nas ona Cybiczka.... Mieszka ztąd o dwa

bloki, w swoim własnym domu. Bogate babsko, a skąpe! Tak mi się patrzy, że ma na imię Jula.... Przywędrowała tutaj z kądciś, jakby ze Ślązka i to tak dawno, że tego już nikt nie zapamięta. Mąż jej umarł, dwóch synów umarło, córka wyszła za mąż podobno aż do St. Paul, gdzieś ta w Minnesocie... A ona tu fort mieszka.... sama, jak palec. Ma rentników w swym domu; ma inne „property“.... Żyje z dochodu. Nie nie robi, tylko „dycht” się modli.... Pobożna babina, a może i nagrzeszyła za młodu....

Grocernik-polityk rozgadał się teraz na dobre. Trzeba było pewnego wysiłku, ażeby go powstrzymać. Uczyniła to wreszcie Jadwiga, pytając:

— I czy można ją zobaczyć?

— Dla czegożby nie? — była odpowiedź Dzięczyńskiego....

Chociaż, przypomniał sobie, klektały mu coś kobiety, że w ostatnich dniach Cybiczka mocno niedomaga. Na śmierć się jej, musi, zbiera. Podobno nawet posyłała po księdza. Stare bo też babsko!

— Posyłano po księdza! — powtórzyła Jadwiga, a na twarzy jej wybiła się trwoga.

Zerwała się z miejsca.

— Panie, na miłość Boga! prowadź mnie pan do niej.... — prosiła.

— Tak zaraz.... podczas burzy? — pytał stropiony grocernik.

— Zaraz, panie.... to sprawa niesłychanej wagi. Gdybym tej kobiety nie zastała przy życiu, to byłoby straszne....

Wyjaśniła w paru słowach reporterowi „Leadersa”, o co jej idzie, a ten poparł prośbę. Dziczyński rad nie rad wdział surdut, wziął wielki parasol — i wyszedł z Jadwigą. Reporter, szczęśliwy, że *Polish lady* odrazu znalazła pożądaną ślad i zapewniony przez nią, iż sama już trafi do hotelu, pożegnał się — i wsiadł do nadchodzącego właśnie tramwaju.

Jadwiga i grocernik poszli w uliczkę na prawo.

Burza już przechodziła... Deszcz na chwilę ustał. Odgłosy gromów pomrukiwały zdaleka. Tylko wichur miotał się jeszcze pomiędzy domami polskich kolonistów i wyginał topole. Od czasu do czasu migotały błyskawice. Dziczyński szedł naprzód po rozklekotanych deskach drewnianego chodnika, omijając kałuże wody, powstałej od deszczu. Poczował się do obowiązku udzielania niektórych objaśnień Jadwidze.

— To nasz kościółek.... — mówił — a tu saloon ob. Wypychalskiego. Najbogatszy „sytizen” na całą okolicę.... Tam mieszka organista.

Skręcili teraz na lewo... Uliczka niebru-

kowana, przedstawiała po środku całe jezioro błota. Drewniane chodniki ruszały się, jak klawisze pod stopami. Nieopodal leżała wpoprzek ulicy topola, widocznie świeżo przez wicher złamana.

— Ot, tam — objaśnił Dzięczyński, wskazując dość duży piętrowy domek o zielonych okiennicach za sztachetkami.

Frontowe drzwi domu były na rozcież otwarte. Przy sztachetkach, pomimo burzy, stała, coś rozprawiając, gromadka ludzi, głównie kobiet i dzieci.

— Co to? — zapytał sam siebie Dzięczyński, a Jadzi serce zaczęło bić silnie.

Przyśpieszyli kroku.

Za chwilę byli przed domkiem. Z okien frontowej izby biła jakaś światłość. Jadwiga pierwsza, tamując dech, weszła w otwarte drzwi izdebki. Uderzyła ją przejmująca woń kadzi-dła; ujrzała ponury obraz. W izdebce, pełnej bab, na łożku, stojącym w rogu, pod krzyżem i palmami, zatkniętymi za obrazy, leżała kobieta — nieżywa. . . Ręce miała złożone na piersi; w ręku krzyżyk; z pod białego, czystego czepca wymykały się jej siwe kosmyki włosów; a małeńka, pomarszczona, zdaje się, jak gdyby z wosku wyrzeźbiona jej twarz, odbijała dziwnym kontrastem żółtej barwy od białych szlerek czepca. Dwie kobiety, trzymając w ręku zapalone gromnice, klęczały przy łożku.

Obraz ten, oświetlony z zewnątrz migotliwym światłem błyskawic, które w tej chwili znów całym splotem zapaliły się na horyzoncie, czynił niezwykle i fantastyczne wrażenie.

Jadwiga czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

— A więc z tej strony wszystko stracone — nie przecięta! — mówiła do siebie.

Tymczasem Dziczyński pytał po cichu jednej z kobiet:

-- I co to się stało z babusią?

— Zmarło się biedaczce. Już od rana było z nią źle.... Żyła jeszcze parę minut temu.... Aż ci tu, jak ten piorun nie trzaśnie, — ino zipnęła.... oczy stanęły jej kołem — i po wszystkim. Musi ze strachu skonała.

W tej chwili Dziczyński spojrział na Jadwigę. Błada była, jak płótno — i chwiała się na nogach.... Zaledwo zdołał nadstawić jej ramion, gdy ciężko w nie upadła.

Zemdlała.

Zaciekawione nową sensacją, baby skupiły się koło nieznajomej.... A niezwykłą tę scenę, scenę rozbicia wszystkich nadziei Jadwigi, oświetlały podwójne zorze: — gromnic blade-żółtych i sinych błyskawic.

.....

Sceny opisane w tych trzech obrazkach, działy się prawie jednocześnie, nad wieczorem drugiego dnia po przybyciu naszych bohaterów do Ameryki.

VII.

Nazajutrz — dnia trzeciego — około godz. 5ej po południu, Homicz i dr. Gryziński, siedzieli skwaszeni w kawiarni polskiej w New Yorku.

Ta kawiarnia była obok opisanej już „Restauracyi”, drugim punktem zbornym Polaków w New Yorku. Nie robiła zresztą „Matce” żadnej konkurencyi. Reputacya jej była trochę zaszargana. W dzień dawano tu kawę i herbatę, a za szafami nawet po cichu szynkowano ostrzejszemi trunkami; wieczorem zamykało się drzwi frontowe — i najczęściej grano w karty.

Właśnie wczoraj wieczorem Szczepan został wprowadzony do tej prywatnej szulereńki przez dra Gryzińskiego, z którym zdołał się już zaprzyjaźnić na dobre (wypili nawet „bruder-szaft” i byli ze sobą na „ty”). W kawiarence „obębniiono” ich należycie. Homicz zostawił tu blisko dwadzieścia dolarów, całą czwartą część pozostałego mu kapitału. Stary wygalwowski przegrał pożyczone zkadś dwa dolary — i pamiątkowy, srebrny zegarek. Obydwaj przestali grać o 5ej rano.

To też obecnie oddają się przykrym rozmyślaniom.

Wstali ze snu coś około południa. Poszli na obiad do „Matki”, a potem przywlekli się tutaj, na miejsce swej nocnej porażki. Szczepan kazał dać dwie kawy z koniakiem.... Sie-

dzi teraz i marszczy brwi. Głupstwo zrobił, przegrawszy tyle pieniędzy.... Łobuzuje się... Gdzie jego zamiary i przysięga?... Staje mu teraz przed oczyma idealna i pełna powagi postać Jadwigi; ta postać jest mu gorzkim wyrzutem. Co zrobił dotąd, ażeby znaleźć pracę? poznać stosunki, obmyśleć plan kształcenia się i doskonalenia. Co?... Nic. Prowadzi się, jak lampart ostatni. Wartoż było po to tylko wyjeżdżać z Warszawy. Do stu tysięcy szatańców! Nigdy.... nigdy nie będzie jej godnym.

Zmarszczył jeszcze więcej brwi, a na źrenicy zaszklila mu się mimowoli łza.

„Dr.” siedział także sfrasowany. Głowę oparł, swoim zwyczajem, na obiedwu rękach — i patrzył z podełba na Homicza. Naraz podniósł głowę, łyknął kawy z koniakiem i niespodziewanie zapytał Homicza:

— No.... i jak myślisz, brateńku, co będzie tutaj z tobą w Ameryce?

Homicz, zaskoczony z nienacka, milczał przez chwilę, wreszcie odrzekł:

— Dyabli wiedzą.... chyba zejde na psy.

— *Yes sir*.... Masz „recht”, chłopaku — mówił teraz tonem mentorskim Gryziński — Chociaż jest jeszcze przed tobą wóz i przewóz... Życie łobuzowskie, jakie prowadzą wszystkie prawie „robaczki” z „matczynej” restauracyi i z tej tu kawiarenki (naturalnie i ja w ich liczbie), ma swoje powaby, pociąga ono nie-

jednego; ale też u niejednego wstręt wywołać musi... Ty jesteś bardzo młody i hulaka z natury, ale masz w sobie coś, co mówi, że mógłbyś jeszcze być człowiekiem. — Z oczu ci nieraz patrzy coś... coś... — tu zatrzymał się na chwilę — co i ja kiedyś miałem...

Westchnął i przerwał, a Homicz bawił się łyżeczką od kawy.

— *Yes...* miałem — powtórzył z siłą stary adwokat — Zdawało mi się nieraz, że orłem jestem, że skrzydła mam i pioruny w ręku trzymam. Świat rozbić, albo przerobić z gruntu pragnąłem... Zapałem moim, tak mi się zdawało, zło całe gotówbym spopielić, a z krzemienia iskry wykrzesać. Niech prawda zatryumfuje, niech wszyscy ludzie będą szczęśliwi.... Słysz, bratku! I czy widzisz, co z tego wszystkiego zostało?

Wykrzywił się najpocieszniej, oko jedno przymknął — i język wystawił.

— Ruina .. ruina, mój braciszku. Moralna i fizyczna ruina. Nędza i wstręt. A kto to zrobił? kto?.. Pijaństwo najpierw — liczył teraz na palcach — karteczki potem, szastanie się za sukienkami, brak woli, nierachowanie się z warunkami życia. O pierwszą podłość najtrudniej, a potem to już jakbyś znalazł. *Vom Stufe zu Stufe...* rozumiesz po niemiecku, co?

Homicz skinął głową twierdząco. Gryziński splunął.

— Tfy... hańba takie życie. A jednak... co chcesz... przywykłem do niego. Możebym już inaczej żyć nie potrafił. Świnia jestem, świnia i basta — pamiętaj o tem!

Zsunął i nachmurzył siwe brwi.

Wynurzenia starego zaczęły już robić przykrość Szczepanowi. Wzrok jego zdawał się pytać, do czego to dąży. Zrozumiał to „dr.” Gryziński — i zaraz na pytanie odpowiedział.

— Pamiętaj — i staraj się, ażebyś czemś podobnem nie został... Nie wytrzeszczaj oczu na mnie. Myślisz sobie: „Stary pijak, zkad mu do morałów prawienia?” A ja ci ich nie prawię, tylko powiadam: „Patrz na mnie — i brzydź się mną!” Może przez to będziesz lepszy. I takie odstrasżające przykłady coś warte.

W głosie jego czuć było szczerłość — i nawet rozrzewnienie. Szczepan to zrozumiał. Wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję ci, doktorze.... Czuję, że masz serce.

— *Yes, yes....* to jedno mi bestyjstwo zostało — i czasem się tam odzywa z pod tego kurzu i błota i kału...

Naraz urwał. Gdy zaczął na nowo, mówił z cicha, poważnie, a oczy miał, jak gdyby zaciągnięte wilgocią.

— Znam się trochę na ludziach... A szczególnie złych i przewrotnych zdaleka nosem

przewącham. Taki już mam psi talent... A w tobie, mój drogi chłopcze, widzę przeciwnie serce, duszę i energię... widzę materiał. Ale za to widzę i pewną lekkość. To cię mogę zabić, szczególnie w tych naszych łajdackich stosunkach, wśród tej naszej cyganeryi nowojorskiej... Zginać tu możesz i zmarnieć z kretesem. Jedyne ci radzę lekarstwo.... Zmykaj ztąd, pókiś cały i póki masz za co.

— Jakże to? — pytał Szczepan zdziwiony — Do Europy mam jechać z powrotem?!

— O, nie... Przyjechałeś tu, musiałeś więc mieć przyczyny... Siedź więc. Zresztą tu w Ameryce, jest pole dla tych, którym sił nie brak i woli. Ale na New York rzuć kamieniem... Opuść go, jeśli chcesz żyć wśród Polaków, bo pomiędzy nami zginiesz. Jedź gdzie na Zachód, na Południe, na Północ, gdzie chcesz. Obierz sobie za miejsce pobytu farmę czy olbrzymie miasto fabryczne, kop węgle w Pennsylvanii, albo pal w piecu pod pokładem parowca, żeglującego po jeziorze Michigan, ale tylko tu nie zostawaj...

Szczepan czuł, że z ust tego człowieka, na pozór tak nędznego moralnie, otrzymuje jedną z najważniejszych przestroóg życiowych. Słuchał bardzo uważnie.

— Nie radziłbym ci tego — ciągnął dalej Gryziński — gdybyś nie był Polakiem... Dla Niemca, Francuza, Włocha, nasz New York nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, o

jakiem mówię... Dla Polaka tak. Trzeba ci wiedzieć, chłopcze — a pewno już o tem piąte przez dziesiąte słyszałeś — jest tu nas, Polaków w Ameryce, pewno z jaki milion. Rozrzuceni jesteśmy wszędzie: od Oceanu do Oceanu. Kilkotysięczne lub kilkadziesiąt-tysięczne kolonie polskie znajdziesz prawie we wszystkich Stanach, więcej ku północy posuniętych, szczególnie w okolicach wielkich jezior. Polskie ręce kopią żelazo i węgiel w górach Pennsylvanii, węgiel w Stanie Illinois i miedź w północnym Michiganie; Polacy hodują bawełnę w dalekim Texasie; oni pracują, jako wyrobnicy i robotnicy, w ognistych czeluściach fabryk w Chicago, Detroit, Pittsburgu, Milwaukee, Cleveland, Buffalo i innych wielkich miastach; uprawiają rolę i karczują bory w Wisconsinie; spławiają „logsy” w lasach Michiganu; poławiają łososie w Columbia river, w dalekim Washingtonie i dostarczają rąk do zbioru poziołek w okolicach Baltimore. Oni swym potem i pracą użyźniają Amerykę, jak długa i szeroka. A wszędzie czują się Polakami i katolikami. Gromadzą się około krzyża Pańskiego i stoją pod sztandarem, na którym promienieje orzeł biały. Budują kościoły i szkoły; łączą się w towarzystwa; uczą się patriotyzmu; zaczynają rozumieć, co to swoboda i obywatelstwo. Oto jest tu, na drugiej półkuli, Polska pracująca i wojująca; Polska, która masy ludowe dla idei zdobywa. . .

Oczy starego wygi zabłysły zapalem.

— A my w New Yorku, co w porównaniu z tamtą Polską?.. Pasożyty, łobuzy, chwast. My potrafimy się włóczyć po nocach z Morskimi — i przegrywać tu w kawiarni pieniądze, których nie mamy — i oto wszystko. Tamci to przczoły, my tu — szerszenie. Oni robią, my marnujemy siebie i dary Boże. Niech dyabli wezmą taką zabawę!

Uderzył ręką w stół i zamilkł. Szczepan milczał i czekał.

— I co, jak myślisz — ciągnął po chwili Gryziński — robią tamte pszczoły, to chłopstwo nasze, przybyłe tutaj, za Ocean, gromadnie, Bóg sam wie jakimi już rządzeniami?... Czy tylko miód dla siebie? Czy tylko miód i chleb i to, co im do jedzenia i picia i wygodnego spania potrzeba? Nie, nie tylko.... Oprócz tego chłopstwo zdobywa tutaj i świadomość narodową i cywilizację i trochę oświaty. *Yes, sir*.... Największą naszą klęską była i jest szczególnie od lat stu, od czasu rozbiorów — ciemnota ludu.... To kwiat trujący, który wrogi nasze w ciemnicach despotyzmu hodują najtroskliwiej.... to stygmat piekielny, którym ducha ludu znaczą! Cóż że mamy jednostki świetne, inteligentne, promieniejące na wszystkich polach życia umysłowego, gdy masa ludowa grzęźnie w nędzy umysłowej?! Europa idzie naprzód; nasz chłop stoi na poziomie zeszłego stulecia... Tyle wart, co Chińczyk

śmierdzący lub Hotentot afrykański. Otóż, powiadam ci, Opatrzność — tak jest, Opatrzność! — widziała to, widziała tę nędzę ciemnoty, której ofiarą nie z własnej winy, lecz z winy zaborców, jest nasz lud — i otworzyła mu ze stęchłych izb uciemnienia lufcik na świeże powietrze, do Ameryki... I oto przychodzi tu nasz chłopina, biedny, nędzny, obtargany, ciemny, jak tabaka w rogu; przychodzi i widzi nowe światy, nowych ludzi, nowe stosunki. Dostrzega, że niema tu nad nim ani żandarma z knutem, ani pana z jego fanaberyami — i baranieje... Niedługo przecież życie realne przywołuje go do przytomności. Zaczyna pracować, jako najnędzniejszy i najbrudniejszy wyrobnik; ale powoli podnosi się i z brudu otrząsa. Zalatuje go duch swobody, w głowie świtać mu zaczyna.... Budzą się potrzeby umysłowe. Kościół, szkoła, sztandar narodowy — oto jego nowe hasła. Uczy się wszystkiego i przygotowuje tu nowe pokolenie, którego zadań nie probujemy teraz sądzić. Niekiedy wraca do starego kraju i nową cywilizację tam niesie.... Taką jest Polska nasza amerykańska tam po za New Yorkiem, taką jej praca, takie jej zadania....

Rozgadał się Gryziński, i był prawie wymowny. Szczepan słuchał go z wyteżoną uwagą. Słowa „dra” otwierały mu niemal nowe horyzonty. Gdy stary zatrzymał się, zapytał go:

— Czyż jednak w tym New Yorku wszyscy już tacy źli i nieprodukcyjni?

— O nie — była odpowiedź — Są i tu jednostki dzielne, ale tylko jednostki. Tam, w wielkich koloniach polskich, praca produkcyjna jest regułą, tu wyjątkiem.... Fatalne jakieś powietrze zepsucia ciąży tu nad nami. I dla tego właśnie te nasze lepsze jednostki odsuwają się od swoich, żyją z obcymi i na obcym gruncie, często nawet wynaradawiają się....

Gryziński znów urwał; szybkim ruchem pochwycił filiżankę i wypił resztki zimnej kawy z koniakiem, wreszcie kończył z energią:

— *Summa summarum*, co tu długo gadać?... Rzucaj, chłopcze, jak najprędzej naszą zapowietrzoną zgniliznę — i jedź gdzieindziej do pracy. Tu nauczysz się być pasożytem. Tam wmieszaj się w szeregi tych, którzy pracują, a zyskasz wszystko. Jeśliś przemarnował swoją karierę tam po drugiej stronie Oceanu, to ją odbudujesz. I będziesz pożyteczny.... Czy ty myślisz, że wśród naszego ludu, który, Bóg widzi! oprócz zalet ma i przywar także kupę, czy tam nie potrzeba ludzi o głowie jaśniejszej, a sercu świeżem, jak twoje? Czy nie jest twoim obowiązkiem pomagać temu ludowi w wywijaniu się z powijaków ciemnoty, a strzedz od ekscesu namiętności, od nadużycia swobód tutejszych, wreszcie od podszeptów intrygantów? He?.... Tak, synu, to twój obowiązek. A więc idź i pełń go....

Skończył. Głowę oparł na rękach i z po-
dełba patrzył na Szczepana.

Ten rozmyślał przez długą chwilę. Nie
mógł się ochronić zdziwieniu: zkad w tym czło-
wieku, tak na pozór zepsutym, tyle prawdy i
wiary. Ale przypomniał sobie to, co mu przy
jakiejs sposobności powiedziała Jadwiga, że
„prawda niekiedy wytryska i z ust najbru-
dniejszych” i że „niema serca tak złego, na
którego dnie nie możnaby znaleźć nieraz źdźbła
dobra” — i oto na myśl o Jadwidze, odrazu
powziął postanowienie. Powiedział sobie:

— A więc posłucham go.... Pójdę po-
między tych, którzy pracują....

Zastanawiał się teraz, w jaki sposób ma
to uczynić. Zapyta dcktora. On mu poradzi.
Pojedzie więc.... dla czego by nie do Cleve-
land? Tam przecież także są i pracują Po-
lacy....

Schylił głowę ku stołowi, na którym leża-
ła świeża jeszcze od farby drukarskiej popołu-
dniowa gazeta niemiecka, którą przed chwilą
rzucił na stół chłopiec-roznosiciel. Był to „He-
rald”. Myśli Homicza znajdowały się w tej
chwili daleko; oko tylko machinalnie wodziło
po nagłówkach artykułów i telegramów, któ-
rymi była upstrzona pierwsza stronnica gazety.

Naraz zadrżał....

Wzrok jego zatrzymał się na dwóch czar-
nych liniach u góry szóstej szpalty. Brzmiały
one (w przekładzie), jak następuje:

Zbrodnia w Clevelandzie.

Młoda Polka ofiarą napadu.

Coś, jak gdyby rój mrówek, przeszło przez plecy Homiczowi. Przecztał odrazu, że ten artykuł będzie miał dla niego specjalną wagę... Jeszcze chwila — rzucił oczyma o parę wierszy niżej, gdzie wymieniono nazwisko ofiary. Tak jest! — artykuł mówił o Jadwidze Śląskiej (Hedwig Slaski).

Wzrok zaćmił się Homiczowi plamami czarnemi i białemi.

Podniósł gazetę niemiecką do oczu i usiłował czytać, napróżno.... Wyciągnął rękę do Gryzińskiego i podał mu dziennik. Rzekł do niego, wskazując telegram:

— Przeczytaj mi to, a lepiej przetłumacz.

Twarz jego była blada, głos głuchy; to też „dr.“ spytał go ze zdziwieniem:

— Co ci jest? co się stało?

Ale Szczepan odrzekł krótko:

— Później.... później.... Wszystko powiem. Teraz tłumacz!

W głosie jego był rozkaz i prośba, to też Gryziński, wzruszywszy tylko ramionami, uśmiechnął za właściwe uczynić zadość żądaniu.

Telegram brzmiał w tłumaczeniu, jak następuje:

„*Cleveland, O., 29 września.* — Dziwny i niezwykły wypadek zaniepokoił nasze miasto. Jest

to zuchwały rabunek, połączony z zamachem na życie.

Rabunek został spełniony około godz. w pół do 10ej wieczorem na ulicy, którą co pięć minut przebiegają tramwaje, w miejscowości, wprawdzie dość pustej, ale bądź co bądź oświetlonej gazem — i położonej niedaleko polskiej osady, „Warsaw“.

Ofiarą napadu padła młoda cudzoziemka, zaledwo tego samego poranku przybyła do Cleveland, O. Sprawdzono jej osobistość. Zapisła się w „Hotelu National“, dokąd po przybyciu zajęła, jako Polka Jadwiga Ślaska z Poznania, z Europy.

Zbrodnię wykryto w sposób następujący:

W chwili, gdy wagon tramwajowy nr.195 wracał do miasta, około godz. 10ej wieczorem, jeden z nielicznych pasażerów zwrócił uwagę konduktora na jakiś przedmiot, podobny do ciała ludzkiego, leżący na stoku sąsiedniej kotliny.... Światło było niedość silne i ów pasażer mógł się mylić. Z początku też konduktor nie zwracał na jego słowa uwagi, ale gdy na zakręcie drogi na ów przedmiot padły promienie ukazującego się z po za chmur księżyca, wątpliwość była więcej niedopuszczalna. W kotlinie istotnie leżało ciało kobiece. Pierwotnie sądzono, że kobieta jest nieżywą; na szczęście później się to nie sprawdziło. Miała na sobie suknię letnią, gustowną i dość wykwitną. Rękawy tej sukni były porozrywane, jak gdyby w walce. Cały przód stanika i bielizna były rozdarte, i pierś obnażona. Na szyi, pokaleczonej i posiniaczonej, pozostał czarny sznurek, od którego widocznie

została gwałtem oderwana niewielka torebka z ceraty; części ceraty pozostały jeszcze u sznurka.

Widocznie był tu dokonany napad w celu rabunku.

Naturalnie, tramwaj zatrzymano i dano alarm na ambulans, który niezwłocznie odwiózł nieprzytomną kobietę do szpitala. Tam lekarze zaopiniowali, że jest to wypadek zatrucia zewnętrznego, najprawdopodobniej przy pomocy chloroformu.

Chora żyła jeszcze — i otrzymała pomoc jak najenergiczniejszą.

Zanim policja miała czas rozpocząć śledztwo, traf zrządził, że można było identyfikować ofiarę prawdopodobnego napadu. W chwili, gdy telefon przyniósł do głównej kwatery policyjnej wiadomość o wypadku, — znajdował się tam, notując wiadomości policyjne, jeden z najlepszych reporterów gazety „Leader“, p. Francis Littlejohn; ten odrazu wpadł na myśl, że jest to właśnie cudzoziemka, której, z polecenia redaktora pisma, on sam towarzyszył po południu tegoż dnia do dzielnicy polskiej, zwanej „Warsaw“, dla pewnych specjalnych poszukiwań. Naprowadził go na tę myśl opis młodej damy. P. Littlejohn w parę chwil potem był w szpitalu — i identyfikował pannę Ślaską.

Opinia lekarzy o stanie zdrowia ofiary napadu jest bardzo wątpliwa. Dotąd nie przyszła ona do przytomności — i nie może objaśnić, co się z nią stało.

Sprawa to bardzo zagadkowa.

Charakterystycznym jest to, że napastnik czy napastnicy, rabując gwałtem torebkę ceratową, ukrytą na piersi ofiary, pozostawili jej cenny, złoty zegarek u pasa i kilkadziesiąt dolarów w złocie w portmonetce, którą miała w kieszeni.

Najlepsi detektywi z głównej kwatery policyjnej prowadzą śledztwo. „Leader“ ze swej strony wyznaczył nagrodę w sumie \$250 za odkrycie napastników.“

W miarę, jak „dr.“ Gryziński czytał, a właściwie tłumaczył powyższy telegram, głos jego poważniał.

Spoglądał z pod oka na Homicza i widział, jak twarz jego mieniła się, to wielkim bólem, to nadzieją. Zrozumiał, że osoba, o wypadku której donosił dopiero co odczytany telegram, była istotą, drogą Szczepanowi nadewszystko. Z twarzy Szczepana czytać to można było, jak z książki.

„Dr.“ umiał uszanować boleść.

Nic już nie pytał. Podniósł się z krzesła, uścisnął silnie rękę Szczepana, jak gdyby chciał mu dodać pociechy — i zapytał:

— Jedziesz, synu, do Cleveland?..

— Dziś jeszcze.

— Pomogę ci — odprowadzę cię na kolej.

Wyszli. Szczepan leciał w kierunku mieszkania Cierzana, jak szalony. „Dr.“ Gryziński zaledwo mógł za nim podążyć. Dyszał ciężko — i pod nosem mruczał:

— Ot, i masz, dyable kaftan. Chciał nieborak pojechać pośród tych, którzy pracują, a nie myślał, że pojedzie tak prędko.... Tylko, jeżeli go tam ciągnie jakaś kobiecina, licho co będzie i z onej pracy.



CZĘŚĆ III.

Pośród tych, którzy pracują.

I.

Upłynęło 10 miesięcy.

Jest to dzień niedzielny. Lato, słoneczne i upalne lato amerykańskie. Dzwony dopiero co wydzwoniły zakończenie nabożeństwa w polskim kościółku osady górniczej, zapadłej pomiędzy skały pennsylwańskie, dokąd zaprowadziły nas losy naszej powieści. Tłum ludu dopiero co wysypał się z kościółka na ulice miasteczka, ocienione drzewami i woniejące od kwiecia — i niknął powoli w małych domkach, dwoma rzędami stojących wzdłuż ulicy.

Wejdźmy do jednego z takich domków.

Nie jest on większy, niż inne. Bielutki, tonie w zieleni drzew i krzewów. Na parterze ma zaledwo dwa większe pokoje, parę sypialń (bedrooms) i w tyle kuchenkę; na facyatce, na pierwszym pięterku, dokąd prowadzą z boku drabiniaste schodki, jeden pokoik i sypialnię.

— Przy frontowych drzwiach domku wisi elegancki szyldzik z następującym napisem:

Mrs. PotubaŃtys,
Krawczka.

W drugim z kolei większym pokoju tego małego domku, który widocznie służy zarazem za pracownię szwaczki (świadczą o tem dwie maszyny, manekin do sukien i parę innych przedmiotów) i jadalnię (dowodem cztery nakrycia i waza na stole), znajdujemy w tej chwili cztery osoby: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Wszystkie cztery już znamy.

Są to Mania i Połubajtys, Szczepan i Jadwiga.

Szczepan i Jadwiga dopiero co przybyli z kościoła. Połubajtys siedzi pod oknem, kończąc czytać jakąś gazetę, a kwiatki bzu, ciekawie zagładające z poza okna, trącają go w czoło i w płowe włosy, jak gdyby mu chciały na coś zwrócić uwagę. Mania, weselsza i miłsza, niż kiedykolwiek, o kształtach pełnych i zaokrąglonych, w domowej sukience, przy białym fartuszkun, krząta się żwawo około obiadu.

Nie jest już zresztą panną Manią Horodyńską: od 8miu miesięcy nosi nazwisko pani Połubajtys.

Ztąd pewne zmiany.

I w postaci Jadwigi, od czasu, gdy ją widzieliśmy po raz ostatni w Cleveland, O., nastąpiła zmiana wewnętrzna i zewnętrzna. Strój jej, czyściutki zresztą i gustowny, nie jest teraz tak wykwinnym i eleganckim, jakim był dawniej; rzekłbyś dama przebrała się za robotnicę. I twarz sieroty była przeobrażona. Ze-

szczupłała i jakby pociemniała. Oczy, zdaje się, zapadły w głąb policzków i świecą jakimś przykrym blaskiem. Przeszła ciężką chorobę, a cierpienie wypisało na jej twarzy swe ślady. Uśmiech teraz bardzo rzadkim jest na jej ustach gościem; jakaś myśl smutna i poważna, rozsiadła się na jej czole gładkiem i białem, jak alabaster.

Na Szczepanie najmniej może znać wpływ tych kilku miesięcy.

Rozrósł się tylko i zmężniał. Ręce, pomimo że to niedziela, ma jakieś aż brunatne od pracy. Zresztą jest to ta sama twarz otwarta i uśmiechnięta, usta purpurowe, młodzieńcza energia i siła tryska mu z oczu; tylko więcej w nich powagi i myśli.

Szczepan, gdy wszedł, wyjął z kieszeni żakieta cztery czy pięć kopert, popieczętowanych i okrytych markami — i rzucił je na stół.

— Przed nabożeństwem byłem na poczcie po listy — rzekł — jest tego cała kupa. Hurra! Będzie co czytać całe popołudnie.

Obie kobiety i niedźwiedziowaty Połubajtys zbliżyli się do stołu. Oglądali i przerzucali listy. Litwin odłączył trzy z nich i rzekł, uśmiechając się do żony:

— Te.... to dla nas, Manieczko.... Jeden z Warszawy, drugi od moich ze Święcian, trzeci z Pittsburga.

Jeden z pieczęcią pocztową z NewOrleans, La., wzięła z pośpiechem Jadwiga. Trzeci odłożył na bok Szczepan, mówiąc:

— To z New Yorku, od Gryzińskiego dla mnie.

Połubajtysowie mieli najwięcej do czytania. To też Litwina brała ochotę do odłożenia obiadu i wzięcia się do lektury listów, ale Manieczka ze świętem oburzeniem młodej gospodyni, której zupa już stygnie, a pieczeń schnąć zaczyna, zaprotestowała głośno przeciwko wszelkim tego rodzaju zamiarom.

— Najpierw obiad, później dopiero czytanie!

Przywykła tu sobie rządzić despotycznie, a źródłem tego despotyzmu była miłość przyjaźń tych, którzy ją otaczali.

Wezwanie jej poskutkowało.

Jadwiga zdjęła czarny, zaledwo paru kwiatkami przystrojony kapelusz — i przygładziła włosy. Homicz postawił w kącie pokoju laskę. Wszyscy odłożyli na bok listy. Zajęto miejsca przy stole. Połubajtys położył na szerokich ramionach znak Krzyża św.; odsapnął, siadł — i wszyscy zaczęli jeść.

.....
Tymczasem słówko odpowiedzi na słuszne zapytanie czytelników:

— Co za dziwne losy rzuciły naszych czworo bohaterów tutaj, pośród gór Alleghanów,

w głąb Pennsylvanii — i połączyło na nowo po paru dniach tak mile przebytych na okręcie? Jakie stosunki ich łączą teraz? Jakie szczególnie były losy Jadwigi po fatalnym wypadku, którego ofiarą padła w Cleveland? Co to był właściwie za wypadek? Jaki przebieg poszukiwań, które ją przyprowadziły na drugą półkulę?

Odpowiedź na te pytania zmusza nas do cofnięcia się wstecz co do czasu. W opowiadaniu wypadków postaramy się być jak najzwięźlejsi.

Najprzód tedy o Połubajtysach, choćby dla tego, że już wiemy, jaka zmiana nastąpiła we wzajemnym ich stosunku.

Pożenili się — i było im z tem dobrze.

Nastąpićby to musiało prędzej lub później. Wielki, poważny Litwin i mała Warszawianeczka, od pierwszej chwili poznania, przyłgnęli do siebie, zapewne prawem — kontrastu. Odrazu ustaliła się pomiędzy nimi miła poufałość, która powoli przechodziła w uczucie — cieplejsze. W zwykłym toku rzeczy czekaćby może wypadło czas dłuższy na dojrzałość tego uczucia. Pobraliby się zapewne dopiero po powrocie do Polski. Niespodziewane, a smutne wypadki, które ich oboje spotkały na wstępie niemal do Ameryki, rzecz całą przyśpieszyły.

A stało się to w sposób następujący:

Kiedy Jan i Mania przybyli do kuzyna Bogusza (inaczej Boguszas lub Bogge) do Nan-

ticoke, Pa., zaraz pierwszego dnia, jak wiemy, zostali niemal zmuszeni do podpisania jakichś papierów, których angielskiej treści dobrze nie rozumieli. Papiery te były przygotowane przez rudego kuzynka i adwokata Langa, z którymi już poprzednio, ze starego kraju, prowadzono korespondencyę w sprawie spadku.

Te papiery właśnie stały się przyczyną złego.

Otrzymawszy je, adw. Lang, znany, jak to się wkrótce okazało, oszust i szwindler, nie mający nawet stałego miejsca zamieszkania, ale włóczący się tu i owdzie po Pennsylvanii, wyjechał zaraz do Pittsburga — i podjął kroki prawne. O staraniach swych coraz to pisał czułe listy.... Oni tymczasem pozostali w Nanticoke, w hotelu swego kuzyna Bogusza. Ten im nadskakiwał ze wszystkich stron i był nadzwyczaj uprzejmym.... coś przez trzy tygodnie. Po tym czasie zmienił się do niepoznania, stał się szorstkim i odrazu zapytał Połubajtysa:

— Kiedy mu zapłaci za „board” hotelowy swój i kuzynki?

Naturalnie dotąd o płaceniu za mieszkanie i utrzymanie nie było mowy.... Traktowało się to jakoś po familijnemu. W każdym razie — odrzekł Połubajtys — podług zapewnień samego Bogusza i jego adwokata Langa, ustnych i piśmiennych, sprawa spadkowa zo-

stanie ukończona za jaki tydzień lub dwa, a wtedy nastąpi ogólny rachunek z procentów, należnych dla obu, a naturalnie i ze wszystkich kosztów i wydatków, z tą sprawą połączonych.

Ma się rozumieć, już samo żądanie Bogusza zrobiło bardzo przykre wrażenie na dwoje kuzynów.

Wrażenie to było jeszcze przykrzejsze, gdy z coraz bardziej wzrastającą szorstkością rudy kuzynek na słowa Litwina oświadczył, iż sprawa spadkowa idzie swoją drogą, a rachunek za jedzenie i mieszkanie — swoją.... On, Bogusz — mówił — karmić damozjadów nie może; ma i tak swoich dzieci do żywienia za dużo. Zresztą sprawy spadkowe w Ameryce nie takie to łatwe do przeprowadzenia. Niewiadomo co tam z tego być jeszcze może! Dolary mogą odbierać na księżycu.... W ogóle on, Bogusz, radzi kuzynom, ażeby adwokatom amerykańskim nie wierzyli, bo to wszystko łotry, szuja i oszusty. Na ich miejscu, nie siedziałyby tu w Nanticoke i nie patrzył na skały i na „majny” (kopalnie), jak wrona w gnat, ale pojechałyby zaraz do Pittsburga zobaczyć, czy ten tam szubrawczyzna Lang jeszcze ich doszczętnie nie okradł....

Gadał im Bogusz w tym sensie coś aż cały kwadrans, a język biegał mu, jak we młynie, a brzuch aż trząsał się i oczki latały, jak robaczki świętojańskie.

Pożubajtys prawie oniemiał na widok takiej bezczelności.

— Człowieku! — huknął wreszcie, gdy się opamiętał — coż gadasz?.. Ta kto nam kazał plenipotencye i papiery dla onego adwokata podpisywać? Kto się „bożył”, że dolary za miesiąc będą? Kto nam tego Langa, jako najuczciwszego człowieka, zalecał?.. Taż to ty sam, sam! — I palnął energicznie pięścią w stół.

W oczach obecnej przy tem Mani aż łzy się ukazały.

Ale nie takie rzeczy widział w swej amerykańskiej karierze kuzynek Boguszas.... Ujął się tedy w boki — i dalejże wywodzić: — Co mu tu głupie „grynhorny” będą przewodziły?.... Po co mu mają stoły rozbijać! On tu pan.... Łapy przy sobie trzymać i być cicho, a nie, to pójdzie do „skwajera” (sędziego pokoju), wyjmie „warant” (nakaz aresztowania) i w trzy migi wsadzi ich do „dzielu” (więzienia). Jest tu jeszcze prawo na „grynhornów” w Ameryce.... nie wolno tu krzywdzić porządnych obywateli.

— Ho.... ho!... — wykrzykiwał — ja „sytyzen” (obywatel), ja „voter” (wyborca), a wy, co?.... „beggars” (żebraki). Chciałem wam pomódz, jak komu dobremu, jako niby krewnym, poczekałbym wam jeszcze z „boardem”, a wy robita tak.... A wynośta mi się natychmiast na cztery wiatry i płaćta, cośta

winni.... nie, to wam „konstabel” (komornik) ostatnią koszulinę zafantuje!

Teraz dopiero zrozumieli biedni kuzynowie, co zacz jest imć pan kuzynek Boguszas — i w jaką wpadli matnię.

Połubajtys już drugi raz nie wybuchnął, a i Mania przestała płakać.

Szorstko zostali przebudzeni ze swego spokoju. Pojęli, że i oni i cała ich sprawa spadkowa znajduje się w poważnem niebezpieczeństwie. Bezczelny łotr, jakim teraz okazał się kuzynek Bogusz, nigdy nie zdemaskowałby się tak obrzydliwie, gdyby mógł jeszcze w jakiś sposób ich wyzyskać. Musieli już być okradzeni!... Bądź co bądź, nie pozostawało im tutaj nic więcej do robienia. Śród obcych, nie znając praw ani języka, niewiele nawet posiadając środków, co mogli zrobić łotrowi, który widocznie z tamtym drugim zysk z naciągnięcia ich już podzielił? A musiał to uczynić jakoś prawnie i gładko, skoro teraz tak huczał i wyzywał.

Porozumieli się wzrokiem — i Połubajtys, któremu wróciła już zimna krew, rzekł głosem niemal spokojnym:

— A no, kiedy tak, to tak.... Będziemy teraz wiedzieli, jaka to tutaj w Ameryce familijność i chrześcijaństwo. Fantować nas nie będziecie; my nie żebraki i mamy czem ekspens zapłacić. Nie obdarli nas jeszcze dotąd do o-

statniej nitki amerykańskie oszusty.... Dajcie tylko rachunek, to się ureguluje, co trzeba, a potem pójdziemy precz. A pamiętajcie, że swoje prawo, na kogo się patrzy, znajdziemy. Poszukamy i was i tamtego waszego adwokata.... Złych Pan Bóg pokarze. Połubajtysów złamać nie tak łatwo, jak myślicie: karki mają za twarde; niedźwiedzie są litewskie. Proce-sować się będą choćby do sądnego dnia. I A-meryka też nie las.

Mówił powoli, a rudy oszust słuchał go z uwagą.

— Obaczymy, braciaszku — kończył Litwin — kto mocniejszy: Pan Bóg czy pan Rymsza....

Na twarzy jego, gdy mówił, malował się spokój, ale razem i zaciętość nieprzejednana.

Zwrócił się teraz do Mani:

— Kuzyneczko — rzekł — pakuj kuferki, jeszcze dziś ztąd wyjedziemy do Pittsburga.

Na widok tego spokoju i rudy Bogusz trochę się uspokoił.... Patrzył tylko na Połubajtysa. Krzyczał i rzucał się, bo myślał, że i oni będą płakali i krzyczeli. Teraz widział, że to zbyteczne — i zamilkł....

W parę godzin potem Mania i Połubajtys wyjeżdżali do Pittsburga.

W wagonie milczeli oboje. Połubajtys w pugilaresie miał adres pittsburski adwokata Langa i co chwila sprawdzał, czy go nie zgu-

bił. Zresztą przez cały czas myślał, a że przychodziło mu to niezbyt łatwo, mocno się pocił.

Powtarzał sobie w duchu ciągle to samo zapytanie:

— Czy też oni cały majątek ukradli, czy tylko część?

Wnet po przybyciu do Pittsburga, sprawdziły się jego i Mani najgorsze oczekiwania.

Langa pod wskazanym adresem nie znaleźli....

Oszust odebrał na zasadzie ich plenipotencji (akurat na dwa dni przed sceną, którą im wyprawił kuzynek Bogusz) połowę sumy spadkowej, czyli \$10,000 — i frunął w świat. Drugiej połowy, szczęściem, dla jakiejś kwestyi czy pretensyi prawnej, podjąć nie mógł.... Ale i tak, wskutek owej pretensyi, nie była ona do podjęcia aż za lat parę. Zresztą i co do tej drugiej połowy oszust Lang zastrzegł swoje prawa, złożywszy do akt sądowych kopię aktu, którym jakoby od Połubajtysa i Mani nabył i spłacił wszystkie ich i ich mocodawców prawa do masy spadkowej po ś.p. Wincentym. Akt to był, naturalnie, do zwalczenia. Dowieść oszustwa było można (choć zapewne kuzynek Bogusz, który, jako notaryusz publiczny, poświadczył akta, nie cofnie się przed żadnem łotrowstwem, ażeby akt utrzymać w swej mocy); — ale nim to nastąpi — ileż jeszcze walk prawnych, ile czasu, ile trzeba będzie kosztów!

Wpierw nim przy pomocy uczciwego adwokata i uczciwego tłumacza o wszystkim się dowiedzieli w Pittsburgu, wpierw nim do akt sądowych się dostali, ile już oboje znieśli trudów i przykrości! — wypowiedzieć trudno.

Położenie ich obojga było istotnie rozpaczliwe.

Pośród obcych, nikomu teraz wierzyć nie chcieli. Na sobie samych musieli polegać. Stawka jeszcze była, zmniejszona do połowy; ale jak ją wydostać?.. Co pisać rodzinie, oczekującej wieści o tym bajecznym amerykańskim spadku? Jak wytłumaczyć utratę połowy należnych pieniędzy tak odrazu, w trzy tygodnie po przyjeździe do Ameryki? Co robić dalej w ogóle?....

Połubajtysowi głowa pękała, gdy myślał o tem, spacerując po izdebce hotelowej w Pittsburgu. Mania znów w numerze sąsiednim aż zanosila się od płaczu, leżąc na łóżku — i wciśkając opasaną chustką główkę w poduszki....

Zresztą na wszystko trzeba było pieniędzy. Zkąd je wziąć?!

Połubajtys liczył się z funduszem. Miał jeszcze 80 dolarów w papierach; dwieście marek pruskich, zaszytych w koszuli, na ostatnią potrzebę, złoty zegarek z dewizką i ciężki sygnet złoty. O ile mu opowiadała Mania, miała przy sobie na jakie kilkanaście dolarów półimperyałów rosyjskich — podarunek matki,

po cichu jej wsunięty na odjeźdźnym — i trochę skromnych kosztowności....

Razem nie byli „warci” nawet półtorasta dolarów.

Rozpocząć z tem nowy proces przeciw oszustom? — to niemal szaleństwo. Wracać do Europy? — nie wystarczy... a zresztą, jak czoło krewnym pokazać? Co więc robić?!

Jan Połubajtys czoło aż do krwi tarł szeroką dłonią.

I wytarł ztamtąd nową ideę... Ot, zostanie tutaj. Ma ręce, jak śmigły wiatraka; siłę niedźwiedzia; coś nie coś rozumie się na mechanice i na machinach parowych. Tfy! czyżby u licha nie potrafił sobie zarobić na życie?... Zarobi. Zostanie tutaj — będzie żył i pracował. I nie daruje tamtym łotrom; z gardła im wyciągnie pieniądze.... Będzie w to kładł, co zarobi!

Pięści zacisnął. Białka oczu mu świeciły; na twarzy wybił się wyraz dzikiej nienawiści i zapamiętania. Już prawie był zadowolony z siebie, gdy oto przyszła nowa kwestya.

— Ba... ale co zrobi z Manią?

Odesłać do Europy? — i to wstyd... Zostałby przytem bez grosza. Na początek bez pieniędzy nie „zdużałby”. A zresztą, ona taka „miłeczka”, taka „lubeńka”... Jakże to jej biedaczce będzie wracać samej przez Ocean?

A jakże jemu tu bez niej? Boże mój! — I wielkiemu Litwinowi łza ukazała się w oku.

Stał przez chwilę, dumając, aż wydumał...

Powolnym Litwinom w niektórych chwilach życia aż nazbyt szybkie przychodzą na myśl decyzje. Pobiegnął na kurytarz — i gwałtownie zastukał do drzwi sąsiedniego numeru hotelowego, który zajmowała Mania. Wpuszczono go. W kilkunastu zaledwo zrozumiałych słowach objaśnił, o co idzie i zaproponował, ażeby dla uniknięcia wszelkich trudności — wyszła za niego za męża.

Mała pół siedziała, pół leżała w „kolebaczku”, słuchając jego plątaniny....

Z początku miała minkę bardzo żalowaną i oczy przymknięte. Nie rozumiała, o co mu idzie; ale już — zaczynała się domyślać. Powoli otwierała oczęta i przeciągała karczek, jak kotka, którą głaszczą pod włos... Twarzyczka jej okrywała się purpurowym rumieńcem aż po korzenie włosów. Wreszcie pojęła.

— Ach! — zawołała.

Jedną sekundę trwało wahanie.... Naraz fluterny uśmiech okraślił jej maleńką twarzyczkę.

— Jeżeli... jeżeli — odrzekła z komiczną powagą — to koniecznie potrzebne do wygrania naszego procesu... gotowa jestem.

On nic nie odpowiedział; tylko porwał ją w swoje olbrzymie ramiona i ścisnął, jak ogro-

mny jastrząb ściska w powietrzu małą, białą, gołąbkę.

Tak i pożenili się, coś w dwa tygodnie po tym uścisku (za jedną zapowiedzią).

Kapłan katolicki powiązał ich dłonie stułą, wymawiając słowa przysięgi po polsku, a o błogosławieństwo na nowe pożycie posłali do Europy (nie oczekując na nie odpowiedzi) — listy rekomendowane. Jednocześnie jakiś reporter którejś z gazet pittsburskich wyszperał całą historię oszustwa, którego padli ofiarą oraz romantycznego ich małżeństwa i (naturalnie z masą kłamstw i dodatków!) puścił to wszystko w świat.

Odtąd los ich jakos się poprawił.

Dowiedziawszy się o wszystkim z gazet, zainteresowali się młodą parą dwaj niegdy wspólnicy ś. p. Walentego, pp. Biermeyer i Meyerbier, dwa pocziwe, a grube, jak beczki z piwem Niemczyska, którzy po 15tu latach wspólnej z nieboszczykiem pracy poczuwali się przeciw do pewnej dla niego sympatii... Jeden z Niemców obiecał wyłożyć wszystkie koszty na proces przeciw Langowi i Boguszowi — i istotnie proces taki rozpoczął, powierzysz sprawę jednemu z najuczciwszych w Pittsburgu adwokatów; była ztąd nadzieja odzyskania przynajmniej tej części spadku, której Lang dotąd nie zdołał ukraść, a ewentualnie i wsadzenia samego Langa do kryminału. Drugi

zaś, dowiedziawszy się, że finansowe położenie nowo zaślubionej pary nie jest świetne, najprzód zmusił Połubajtysa do przyjęcia pożyczki na pierwsze zagospodarowanie, a potem nastreżył mu dość korzystną pracę w jednej z fabryk w Pittsburgu.

W trzy miesiące potem, ciągle za wpływem i protekcją Meyerbiera, zaproponowano Litwinowi lepsze daleko zajęcie mechanika przy maszynie parowej w wielkich zakładach żelaznych i koksowych o kilkanaście mil od Pittsburga.

Połubajtys przyjął chętnie to miejsce, tem bardziej, że obiecywano mu pośród gór świeże i zdrowe powietrze, którego i jemu i jego ukochanej Mańce tak było brak w wiecznie zakopconym Pittsburgu.

I oto dla czego, znajdujemy ich w białym domku, w osadzie górzystej wśród Alleghanów, ciężko pracujących, ale szczęśliwych i wzajem z siebie zadowolonych....

II.

Jakiemi losami obok tej szczęśliwej pary, nie już prawie dla siebie nie żądającej, znaleźli się: Jadwiga, pomimo napadu w Cleveland, żywa i zdrowa, a wreszcie i Homicz? — odpowiedź na to pytanie nieco dłuższa.

Szczepan przybył do Cleveland nazajutrz po pożegnalnej z Gryzińskim rozmowie, cały

rozgorączkowany. W wagonie spał nie wiele, a dużo myślał.

Gdy stanął na bruku obcego miasta, trząsł się od febry.

— Co z nią jest? — pytał sam siebie — Żyje? Czy może już słoneczny jej uśmiech zastygł na zawsze?.... Wszak 36 godzin upłynęło od chwili wypadku....

I cały na tę myśl w ogniu stawał.

Sam nie wiedział dobrze, co robić.... Coś robić musiał! Poszedł naprzód. Pomiedzy chłopcami, sprzedającymi gazety na dworcu kolei, rozpytał się o gazetę niemiecką.... Znalazł taką — i zagłębił się w jej czytanie. Nie był w tem biegły; trudno mu było oryentować się pośród gotyckich głosek niemiecczyzny. Ale wyteżał wzrok i umysł.... Żarł oczyma tekst. Nareszcie znalazł — i odetchnął.

„Żyje — jest wciąż jeszcze nieprzytomna, ale żyć będzie”.

Tak donosiła gazeta. Wzrokiem chłonał krótki jej artykułik — i Opatrzności za łaski jej dziękował tysiąckrotnie.

Leży w szpitalu miejskim. On tam zaraz pojedzie. Nie wie, gdzie to jest — mniejsza. Wyszedł, pozostawiwszy skromny pakunek na dworcu za marką. Wsiadł do doróżki i w łamanej niemiecczyźnie kazał się wieźć do szpitala.

Trudno mu było porozumieć się z woźnicą, porozumiał się przecież. W szpitalu nową przeszedł męczarnię. . . . Ani mógł w ofisie powiedzieć, czego chce, ani rozumiał, co do niego mówiono. Znalazł się wreszcie jakiś na półz Niemczony Kaszuba, posługacz, który posłużył za tłumacza. . . . I ten mu wiele nie pomógł. Jadwiga była wciąż nieprzytomna; gorączkowała; lekarze obiecywali, że dopiero może jutro lub pojutrze będzie w stanie wyjaśnić szczegóły napadu. Widzenia się z chorą naturalnie mu odmówiono. Ponieważ zaś Homicz gorąco na to nastawał i oświadczył, że jest jej znajomym i przyjacielem, urzędnicy szpitalni poradzili mu, ażeby udał się do policji.

Szczepan zrobił lepiej; kazał się wieźć nie tylko do głównej kwatery policyjnej, ale i do redakcyi „Leadera”.

I tu i tam przyjęto go z zaciekawieniem.

Zarówno p. Francis Littlejohn (znakomity reporter), jak i szef detektywów mniemali, że w mroku tajemnicy, otaczającej sprawę napadu na pannę Śląską, ukazanie się młodego człowieka stanowi pierwszy błysk światła. Znalazł się i tłumacz. . . . Badano Homicza, ale dowiedziano się nie wiele.

W każdym razie podejrzewać chłopca o jakiś współudział w napadzie nie było podobna.

W chwili, gdy go rozpytywano, nadszedł ze szpitala telegram, że panna Śląska jutro

będzie miała dość siły, ażeby być przesłuchaną. Posiedzenie tedy zostało odroczone do dnia następnego. Reporter Littlejohn uprosił sobie obecność przy badaniu (mówiąc nawiasem, młodemu człowiekowi stała wciąż przed oczyma królewska postać Jadwigi, jak ją w świetle zapalających się błyskawic parę dni temu widział!). — Kazano też przybyć do szpitala i Homiczowi (nie można też ręczyć, czy szef detektywów nie zarządził nad nim lekkiego nadzoru policyjnego, naturalnie do czasu wyjaśnienia kwestyi)

Policyjant polski, który był tłumaczem w głównej kwaterze policyjnej, zaprowadził Homicza do jakiegoś drugorzędnego hoteliku.

Tam, wypiwszy kieliszek wódki i zjadłszy porcyę mięsa, rzucił się na łóżko we wskazanym mu pokoiku — i zasnął snem kamiennym.

Obudził go dopiero świt następnego poranka.

Już na dwie godziny przed wskazanym terminem, Homicz czekał przed bramą szpitala. Doczekał się wreszcie przybycia szefa policyi, jego sekretarza, policyjanta-tłumacza i reportera. Wzięli go ze sobą, ale do pokoju, gdzie się odbywało badanie chorej, nie wpuścili. Kazali mu czekać w sąsiedniej izdebce.

Szef policyi miał w tem pewien plan.

Istotnie, gdy chora drżącym głosem złożyła swoje zeznanie, policyjant otworzył drzwi—i u

kazał się w nich Homicz.... Scena była wysoce patetyczna. Jadwiga siedziała na łożku, blada, jak płótno, w białym czepeczku i kaftaniku. Na widok znajomej twarzy Homicza, na widok bezgranicznego przywiązania, bijącego z jego szeroko rozwartych oczu, na twarzy Jadwigi ukazał się słoneczny uśmiech.

Wyciągnęła do niego ręce.

A on pobiegł do jej łożka i upadł przed nią na kolana, głowę na krawędź łoża położył — i płakał.

— Żyje.... żyje pani, panno Jadwigo!
— wołał, łkając.

Scena ta miała efekt wprost przeciwny temu, który myślał wywołać szef policyi. W głębi duszy podejrzewał on ciągle, że Homicz mógł brać udział w napadzie, może być, był napadu moralnym sprawcą. Powitanie dwojga młodych ostatecznie przekonało go, że to niemożliwe. To powitanie na usta p. Francisza Littlejohna wywołało także kwaśny uśmiech. Zrozumiał, że pomiędzy tym dwojgiem jakieś węzły muszą istnieć — — i poszło mu to nie w smak.

Sprawa sama w sobie nie przestawała zresztą być ciemną.

Zeznanie Jadwigi (o którym w parę chwil później, po części od niej, po części od policyanta-tłumacza dowiedział się Szczepan) niewiele rzecz wyjaśniło. Oto treść tego zeznania.

W obec zwłok Cybikowej Jadwiga — jak wiemy — omdlała.... Cios był dla niej zbyt ciężki. Za chwilę zresztą przysłała do siebie. Wyjaśniła jakoś swe omdlenie obecnym kobietom — i udała się potem do jednej z nich, zamieszkałej w sąsiedztwie, dla wypoczynku i poprawienia toalety. Tam rozpytywała o zmarłą, ale żadnych poważniejszych nie była w stanie otrzymać wiadomości.... Nikt nawet nie wiedział adresu córki, wydanej za mąż do St. Paul, Minn.

Ostatecznie, coś o 9ej wieczorem, po zjeździe kolacyi w domu p. Dżyczyńskiego, który ją o przyjęcie gościny usilnie prosił, postanowiła wrócić do hotelu.

Wieczór był, po burzy, dość pogodny. Tramwaj nie ukazywał się. Szła w kierunku miasta. O kilkadziesiąt kroków od domu Dżyczyńskiego, w miejscu, gdzie już przestawały się ukazywać domy, zaczepił ją jakiś człowiek. Uchylił kapelusza — i rzekł po polsku:

— Niech będzie pochwalony.... Czy to paniusia pytali się o starą Cybiczkę?

— Ja ...

Człowiek (był to, o ile zauważyła Jadwiga, drągal wysoki, niemłody, atletycznej postaci, o dość niemiłej twarzy, z krótką siwą brodą i wąsami) zdjął wtedy podarty kapelusz i oświadczył, że mógłby jej udzielić niektóre szczegóły o Cybikowej. To żywo zaczęło in-

teresować Jadwigę. Poczęła nalegać; ale on jakby się zalał. . . . Miał kapelusz — i wymawiał się. . . . To boi się mówić. . . . to przyjdzie jutro do niej do hotelu. . . . to wreszcie przyznał, że czytał już ogłoszenie w popołudniowym wydaniu „Leadersa“ i idzie mu o obiecawaną nagrodę pieniężną. Zainteresowanie Jadwigi wzrastało; literalnie nie chciała teraz puścić owego człowieka. Tramwaj, idący do miasta, przebiegł około nich, a ona na to nie zważała. Szła coraz dalej — i rozmawiała z człowiekiem.

— Powiedźcie wszystko — mówiła — pieniędzy nie poskąpię. . . . Nagrodzę was sowicie!

W owej chwili znajdowali się już dość daleko od osady polskiej. Było tu pusto zupełnie. Żadnych domostw. Chodnik drewniany był wązki, a zaraz obok otwierał się stok wilgotnej od deszczu kotliny.

Tramwaj zaledwo co przeszedł, a czerwone jego światło ginęło na zakręcie.

Drągał rozejrzał się w około okiem zezowatem (Jadwiga zapamiętała ten szczegół) — i nagle pochwycił ją w pól. Poniósł ją o parę kroków ku brzegowi kotliny — i rzucił w dół.

Upadek nie był groźny, ale niespodziany. . .

Jedno „Ach!“ — i Jadwiga leżała na trawie na stoku kotliny w jakiejś wyrwie, na pól napełnionej wodą deszczową. Nie zdołała się podnieść i przygotować do obrony, gdy obok

niej znalazły się dwie postacie. Tutaj panowała względna ciemność, nie jest więc w stanie ich opisać. Jedna z postaci wyglądała na owego drągala, który miał jej udzielić szczegółów o Cybikowej; drugi człowiek był znacznie niższy.... Miał, o ile się zdaje, twarz zasłoniętą chustką od nosa. Pochwycili ją za ręce; ona broniła się. Co dalej? — nie wie dobrze. To wszystko odbyło się tak szybko. Wie tylko, że któryś z nich przyłożył jej do twarzy chustkę czy jakiś inny przedmiot.... Poczowała dziwny zapach — i utraciła przytomność. Jak przez mgłę, przypomina sobie, że któryś z nich mówił do drugiego:

— Musi mieć na piersiach torebkę.... Rwij wszystko, a dostań to. I zmykajmy.... Tramwaj nadejdzie!

Potem już nie wie, co się z nią stało.... Obudziła się dopiero w szpitalu.

Na zapytanie szefa policyi: „Co miała w skradzionej torebce?“ Jadwiga odrzekła, iż znajdowały się tam nadzwyczaj dla niej ważne papiery familijne (pismo ojca i połowa pierścionka) oraz cztery przekazy, każdy na 250 dolarów, dwa na banki w New Yorku, jeden na bank w Cleveland i jeden na New Orleans, wszystkie na okaziciela.

— A.... przekazy — szepnął szef policyi — te może się jeszcze uda uratować!

Na jego żądanie, Jadwiga podała nazwy

banków, daty wystawienia przekazów, miejsce, gdzie je nabyła itd.. Zapisano te szczegóły. Oto i wszystko, o co ją zapytywano na razie.

Po paru jeszcze słowach, które chora zamieniła z Homiczem, audyencyę, na żądanie doktora, trzeba było zawiesić. Wszyscy opuścili pokój Jadwigi. Szczepan z poza progu oglądał się za nią jeszcze i zegnał uśmiechem. Obiecano mu, że co trzy dni będzie mógł jej składać krótkie wizyty, a codzień dowiadywać się o zdrowie.

To go uszczęśliwiło.

Na odchodnem ze szpitala, przez policyanta-tłumacza, nieśmiało zapytał jeszcze szefa policyi, czy jest odpowiedni fundusz na dogodne utrzymanie Jadwigi i czy w danym razie nie przyjęto by od niego na ten cel kilkudziesięciu dolarów? — Odpowiedziano mu, że na teraz to zbyt wiele....

Homicz rozstał się z policyantem i powoli powlókł się do hotelu.

Biedny chłopiec rozmyślał teraz o całej sprawie. Nie znał on wcale sekretów Jadwigi. Nie wiedział dobrze, po co przyjechała do Cleveland. Nie miał pojęcia, dla czego poszukiwała starej Cybikowej — i jak głębokim był tragizm chwili, w której biedne dziewczę znalazło starą kobietę na łożu śmierci. Instynktem tylko oryentował się w tej zawilej sprawie. To jedno wiedział, że w ezystencyi

kobiety, która mu na dziś była wszystkim, znajduje się jakaś dziwna tajemnica; że czychają na nią ukryte niebezpieczeństwa, tak groźne, jak to, którego dopiero co z trudem uniknęła, a może nawet o wielekroć groźniejsze; że wreszcie ona, wskutek rozbójniczego na nią zamachu, pozbawiona jest w tej chwili prawie zupełnie funduszków....

To wszystko, zamiast zmartwić, niemal ucieszyło Szczepana.

Najpotężniejsza miłość bywa niekiedy — najgłębszym egoizmem. Tak było i w danym wypadku.

— Będę jej teraz potrzebnym! — mówił do siebie.

„Ma tajemnicę — myślał — nie będzie jej nigdy o nią pytał. Dąży do jakichś celów niezwykłych, będzie jej służył. Grożą jej niebezpieczeństwa, będzie jej bronił. Ma wrogów, pokona ich i zemści się nad nimi. Jest w potrzebie pieniężnej, on będzie dla niej pracował, choćby ręce sobie po łokcie urobił.”

I uśmiech twarz mu rozjaśnił.

Jednocześnie przecież nasunęła mu się na myśl praktyczna strona kwestyi. Jeśli jej ma czem służyć, to najpierw służyćby powinien pieniędzmi. Ile ich ma? Zaledwo coś czterdzieści dolarów. To niewiele, to nic prawie. W Ameryce dolary płyną, jak woda.... Zresztą dla niego to wystarczyłoby może na długo.

Ale dla niej? Rozumiał, iż jej potrzeby i przyzwyczajenia są zupełnie inne i o wiele kosztowniejsze.

A więc trzeba pieniędzy.... Jak je dostać? Zarobić!— to naturalne.... Rozwiązanie kwestyi bardzo proste, ale wynika ztąd nowy dylemat:

— Jak zarobić?

Człowiek, który chce całą siłą woli, który musi, — robi wiele. To też i Homicz myślał niedługo. Przypomniał sobie, że mówiono mu o dzielnicy polskiej, zwanej „Warszawą”, w której potrafi przecież pozyskać wszelkie potrzebne informacye. Uśmiechnął się do siebie na tę myśl.... W ogóle szedł naprzód, nie wiedząc dobrze gdzie, cały pogrążony w myślach. Tą metodą bardzo łatwo coraz to potraçał jakiegoś przechodnia.

Jednemu z nich widocznie na najcenniejszy odcisk nadeptał. Dość, że jakiś nosowy głos rzucił mu prosto w twarz:

— *Du, verfluchter!*....

Homicz spojrział... i jakkolwiek był i zmartwiony i zajęty myślami.... wybuchnął głośnym, świeżym, wesołym śmiechem. Przyglądał się mizernej figurce, opiętej w surducinę cynamonową, wyplamioną, skrojoną obrzydliwie, długą prawie aż po kostki, z nosem zakrzywionym, z twarzą żółto-czerwonawą — i śmiał się. Miał przed sobą skończony typ żyd-

ka z Nalewek, z Warszawy, tylko bez typowych pejsów i długiej kapoty.

Widok żydziaka warszawskiego ubawił niesłychanie Homicza.

— Ny, Mojsze! — zawołał po polsku, ulegając mimowolnemu popędowi warszawskiego łobuziaka — po czym łokiecz?

I pokazał mu specjalnie sporządzone z poły surduta — świńskie ucho.

„Mojsze” śmiał się na całe gardło.

Okazał przytem bardzo ładny komplet złotych, czarnych i dziurawych zębów — i zapytał:

— Ny.... zkaąd pan „dobrodźy”.... z Berdyczowje, z Krakowa, czy z Warszawkie?..

Przyjaźń już była zrobiona.

Homicze była to kiedyś dobra, dawnaszlachta. A jak wiadomo po wieki i pokolenia, szlachcic polski nigdy się bez żyda faktora obejść nie potrafił. I naszemu Szczepanowi widok żydka (akurat takusieńkiego, jak Szłoma Mech z Nalewek, z Warszawy, któremu właśnie został winien coś z dwieście rubli procentów!) zrobił niewysłowioną przyjemność. Ten go wszędzie poprowadzi. Jakżeby żyd nie wiedział, gdzie się obrócić?

— Z Warszawy — odpowiedział tedy Szczepan na pytanie żydka.

— Nu! i mi tam buwawszy.... Warszawkie znajem!

Słowo w słowo, rozgadali się. Poszli nawet do jakiegoś niedalekiego saloonu na piwo, przy czem „Mojsze“ na „free lunch“ (bezpłatną przekąskę) zjadł całe pięć śledzi. Był to nieoceniony jegomość. O co go się było zapytać? — wszystko wiedział. Co zrobić? — na wszystko miał radę.

Zgodził się wnet (za „kwodra“ *cash*) zaprowadzić Szczepana na clevelandzką „Warszawę“, a za dolara obiecał, że mu nastreczy świetną robotę („w takiej fabryce — objaśniał żydek — co takie wielkie koła.... fur.... fur.... fur; a takie czarne maszyny — bum... bum.... bum!“)

Szczepan zaproponował, ażeby na „Warszawę“ pojechali zaraz.

— Dla czego nie?!

Istotnie, pojechali — i pomimo, że „Mojsze“, jak się okazało, nie miał o niczem pojęcia, poplątał tramwaje, pokręcił drogę — wreszcie znaleźli się w polskiej osadzie. Tam Szczepan, ujrawszy się pośród swoich, odechnął. Żydziaka odpędził precz, dawszy mu aż pół dolara na odczepne.

Było mu teraz dobrze.

Trafił akurat na „pejde“ w sąsiedniej żelaznej fabryce. Saloon, dokąd wszedł, czernił się od atletycznych postaci, o poczernionych twarzach, w brudnych kitlach. Ale te twarze były dzielne i żywe; rozlegały się wesołe śmiechy.... Byli to przeważnie Polacy.

Homicz prędko się z nimi poznał.

Postawił jeden i drugi „tryt“ (kolejkę) — i odrazu doszedł z nimi do ład. Przedstawił się im, jako kolega robotnik — i pytał, czy możnaby tu znaleźć pracę... Dla czego nie? odpowiedziano mu. Robota idzie teraz żwawo; ludzi potrzeba. Jeden z obecnych był nawet „formanem“ (werkmajstrem). Krótko mówiąc, kazał mu przyjść choćby nazajutrz, a robotę dostanie. Powinien się tylko ubrać inaczej, po roboczemu i powiedzieć, że się nazywa Schmidt. Będzie wszystko *all right!*

Homicz był uszczęśliwiony. Spadło mu to, jak z nieba. Wyprosił sobie tylko jeszcze trzy dni wolnego czasu, chciał bowiem najpierw zobaczyć i rozmówić się należycie o wszystkim z Jadwigą. Zaraz też pomyślał o stałszem i tańszem, niż hotel, mieszkaniu. Zagałdnął o to jednego z robotników, a ten mu naraił „board“ (wikt i stancję) u siebie, był bowiem żonaty i mieszkał niedaleko fabryki.

W taki to sposób Homicz zapisał się, stosownie do rady „dra“ Gryzińskiego, do szeregów wielkiej amerykańskiej armii „pracujących“.

Przed pójściem do roboty, odwiedził raz jeszcze Jadwigę w szpitalu, ale dziewczę było słabe i nie mogło się z nim obszerniej rozmówić. Rozmowa taka nastąpiła dopiero w następną niedzielę. Jadwiga czuła się już o tyle silniejszą, że mogła wstać. Była zresztą blada i smutna.

Przyjęła go w ogólnej poczekalni — i zakomunikowała względnie pocieszające wiadomości.

Był u niej jeszcze raz szef policyi i zawiadomił, iż z czterech ukradzionych przekazów jeden da się uratować. Był to przekaz na bank w New Orleans. Tegoż dnia, kiedy Jadwiga złożyła pierwsze swe zeznanie, policya zatelegrafowała do New Yorku i do New Orleans, a nadto chciała, gdyby jeszcze był czas, zrobić zastrzeżenie w banku miejscowym. Na nieszczęście, w Cleveland przekaz już wypłacono nazajutrz po napadzie; to samo stało się z przekazami, wystawionymi na New York. Tylko w New Orleans rabusie nie zdołali podnieść pieniędzy.... Co do tego przekazu uczyniono odpowiednie zastrzeżenie — i Jadwiga po przeprowadzeniu potrzebnej legitymacyi i uzyskaniu zaświadczeń od banku berlińskiego, w którym przekaz nabyła, będzie mogła pieniądze te odzyskać. Szef policyi nadto zapewnił, iż policya ma opis ludzi, którzy podjęli pieniądze w Cleveland i w New Yorku — i znajduje się na ich tropie.

Gdy Jadwiga mówiła to powoli, głosem znużonym, Szczepan słuchał jej w skupieniu i nie przerywał.... Spoglądał na jej wybladłą i smutkiem okrytą, a przecież tak poważną i piękną twarzyczkę.

Wreszcie i on z kolei zaczął mówić.

Przystąpił do kwestyi najważniejszej. Zapytał Jadwigi: kiedy wyjdzie ze szpitala? i co będzie robiła? Była to widocznie kwestya, o której chora już myślała sama. Odpowiedziała mu bez wahania. Myśli — pracować na życie. Nie ma innego wyboru.... Okradziono ją ze wszystkiego prawie i gdyby nawet odzyskała część zrabowanych pieniędzy, owe 250 dolarów, nastąpi to jeszcze nieprędko. Pracy się zresztą nie wstydzi! Jadąc tu, miała inne zamiary. Konieczność każe jej te plany chwilowo odłożyć na bok, do tego czasu przynajmniej, dopóki nie zbierze dość pieniędzy lub nie odzyska swej sumki z New Orleans.

— Ale w jakim sposobie zamierza pani pracować? — zagadnął nieśmiało Homicz.

Odpowiedziała mu, że o to szczęśliwym trafem nie potrzebuje się troszczyć.

Wypadek jej wywołał u wielu osób z dobrego towarzystwa clevelandzkiego współubolewanie. Panie wyrażały sympatyę dla cudzoziemki, której przygody tak patetycznie opisał p. Francis Littlejohn w „Leaderze”. Otrzymała parę listów. Jedną z pań, Niemka, proponuje jej miejsce w ofisie męża, bogatego fabrykanta i byznesisty. Druga, krewna p. Littlejohna, staruszka, wdowa po bankierze, chce ją mieć za pannę do towarzystwa i lektorkę. Ona najprawdopodobniej przyjmie na początek to ostatnie miejsce, a potem rozpatrzy się....

Włada dobrze paru językami i bądź co bądź mówi po angielsku. W ostatnim razie gotowa jest nawet pracować ręcznie. Będzie szwaczka, służącą, jeśli potrzeba. Bądź co bądź, nie zginie!

Gdy Szczepan słuchał tych wyrazów Jadwigi, twarz jego przedłużała się.

A więc nie będzie jej potrzebnym.... ona sama da sobie radę. A potem.... potem, gdy ona zacznie się obracać w innych, lepszych sferach towarzyskich, czyż on, czarny od kurzu robotnik, będzie miał do niej dostęp? czy ona nawet spojrzeć na niego zechce?

— I kiedy mniej więcej pani opuści szpital? — zapytał.

— Zapewne za jaki tydzień.... Nie wiem dobrze. To zależy od doktora!

Rozmawiali jeszcze dłużej. Ona zapytywała, a on odpowiadał szczerze. Chwaliła mu bardzo wzięcie się do pracy — i zapisała sobie nowy jego adres. Powiedziała, że w każdym razie da mu znać, gdy opuści szpital; prosiła, żeby tymczasem już więcej w szpitalu jej nie odwiedzał....

— Masz!.... — pomyślał sobie Szczepan. Pożegnał się z Jadwigą i odszedł, smutny, osowiały.

Upłynęło 12 dni.

Szczepan pracował i myślał o Jadwidze. Robota była ciężka, ale właśnie ten trud i mo-

zoł łamały mu myśl smutną i coraz to buntującą się. . . . Zarabiał blisko dwa dolary dziennie, wydawał na siebie — dolara. Resztę pieniędzy odkładał. Zaczął także pracować nad sobą. Rozumiał, że znajomość języka jest potęgą. Postanowił tę potęgę posiadać. Nakupił słowników i podręczników i uczył się. Jednocześnie w fabryce, przy pracy, zagadywał kolegów to o to, to o owo. Głowę miał otwartą i był młody. Postępy robił duże.

Dziesiątego dnia rano Szczepan dostał list.

Koperta była pachnąca, pismo na adresie — eleganckie. Serce — biło mocno Szczepanowi, gdy list wziął z rąk listonosza. Przechytny, że to od niej. Istotnie. Donosiła, że od wczoraj objęła obowiązki lektorki u pani Fitzhugh, owej staruszki, wdowy po bankierze, dalekiej krewnej p. Francisza Littlejohna — i obiecywała, że w następną niedzielę będzie w kościółku polskim na „Warszawie” na Mszy o godz. 9ej rano.

Nie trzeba dodawać, że przez pozostałe dni tygodnia Homicz był najszczęśliwszym z ludzi.

W niedzielę zobaczył ją w kościółku. Mógł się modlić razem z nią i obok niej. Co za szczęście! Po nabożeństwie odprowadził ją do tramwaju. Zaprowadziła go do miejsca, gdzie przed dwoma tygodniami padła ofiarą napadu — i miejsce to pokazała mu. Mówili o tem i o owem. Jadwiga wyglądała teraz da-

leko lepiej, niż przed dwoma tygodniami, choć zresztą była poważna i smutna. Stosunki u pani Fitzhugh podobały się jej niebardzo.... Staruszka była to zapewne kobieta poczciwa, ale trochę dziwaczka; zamożna, ale przytem bardzo skąpa. Zbyt często odwiedzał ją i był zanadto uprzejmym dla Jadwigi jej kuzyn, reporter „Leadersa”.

Opowiadała to wszystko Homiczowi, ulegając mimowolnej potrzebie wynurzenia się; czuła się w obec niego, jak starsza siostra w obec młodszego, ale bardzo dobrego, bardzo poczciwego brata.

Pytał ją o śledztwo, o nadzieję odebrania zrabowanych pieniędzy.

O! to właśnie rzecz najnieprzyjemniejsza.... Już trzy czy cztery razy wzywano ją do biura policyjnego; pytano ją o różne rzeczy, których albo nie rozumie, albo nie ma potrzeby im powiadać. Szef policyi stanowczo jest zbyt ciekawym. — Chce wiedzieć: po co tu przyjechała? dla czego poszukiwała Cybikowej? czemu zemdlała na widok zmarłej? co to były za papiery familijne, które jej skradziono z ceratowej torebki razem z przekazami pieniężnymi? Szef twierdzi, że bez tych szczegółów dalsze śledztwo w celu wykrycia rabusiów nie jest możebnem.... Musiała w obec tego wprost zwrócić mu uwagę, że przecież nie ona jest w tej sprawie — oskarżoną. To uczyniło sz. policyanta dość dla sprawy chłodnym.

W tem miejscu Homicz pomyślał:

— Mój Boże! jaby nie był takim. Nie pytałbym o nic, niechby mi tylko pozwoliła patrzeć codzień w swoje przedziwnie piękne oczy.

I westchnął głęboko....

Ona ciągnęła dalej: Równie natrętnym, a może o wiele natrętniejszym jest p. Littlejohn, ten z „Leadersa”. Chciałby bodaj drugie śledztwo na własną rękę przeprowadzić i policję „pobitować” (umiała już ten polsko-amerykański wyraz). Nieznośny jest!

W tej chwili Szczepan uczuł dla p. Littlejohna jakąś głęboką i ogromną nienawiść.

— A pieniądze?

Z tymi dobrze nie jest.... O odnalezieniu rabusiów, na prawdę, jak ona sądzi, myśleć trudno. Nie należą oni do kategorii codziennych opryszków. Widocznie ją specjalnie mieli na widoku, popełniając napad.

Nie tyle pieniądze jej chcieli odebrać, ile dokumenta. (Jadwiga mówiła teraz, nie rachując się z wyrazami, a Szczepan czuł, że tym razem dowie się od niej coś bliższego o jej sprawach.) Już ich pewno oddawna tu niema! Świadczy o tem odebranie nazajutrz pieniędzy z przekazów w New Yorku. Zniknęli. Obydwaj są to Polacy. Nie pochodzą zapewne z Cleveland. Nikt ludzi podobnych tu nie znał. Śledzili ją umyślnie. W jaki sposób przecież

wykonalili napad zaraz na drugi dzień po jej przybyciu do Ameryki?!.. Jest w tem tajemnica, jest spisek z góry przeciwko niej uknuty.

Gorączkowała się trochę, mówiąc. Szczepan słuchał.

— To fakt... to fakt!.. — powtarzała — Ale kto są oni? Co to za czarne postacie? Kto im daje wskazówki?..

Przez chwilę milczała, jak gdyby szukając odpowiedzi.

Zaczęła znowu: Co do pieniędzy, to pewnem jest, że 750 dolarów przepadło na zawsze.... Dobrze jeszcze, jeśli te 250 odzyszcze za cztery, może pięć, sześć miesięcy.

Była widocznie zdenerwowana i zmęczona.

Czuła w tej chwili potrzebę zwierzenia się komuś, wypowiedzenia swoich trosk. Szczepan nic nie mówił, ale oczy jego prosiły o ufność.... Biła od niego serdeczna sympatia, która przewyciężyła wreszcie rezerwę, jaką Jadwiga dotąd utrzymywała w obec rozkochanego chłopaka. Opowiedziała mu, z pewnemi zresztą niedomówieniami, co ją sprowadziło do Ameryki; a on, słuchając, przechodził z nią całe jej męki i bóle, wcielał się we wszystkie jej postanowienia; obiecywał sobie, że zawsze razem z nią walczyć będzie.

Rozmowa ich trwała nie więcej, niż trzy kwadranse; ale zbliżyła ich do siebie o lata całe.

Gdy się rozstali, Homicz czuł się i bardzo szczęśliwym — i nieszczęśliwym zarazem.

Szczęśliwym, bo zrozumiał, że już od tego dnia stał się czemś w jej życiu; że odtąd było pomiędzy nimi coś wspólnego — jej tajemnice. Nieszczęśliwym! bo Jadwiga, rozumiejąc, iż w ten sposób najskuteczniej utrzyma chłopca na pewnej w obec siebie odległości, nie oszczędziła mu wcale opowiadania o tem, że była narzeczoną Konrada Felsensteina — i jak ten związek został zerwany. „Dziś serce moje już dla nikogo bić nie potrafi!“ zakończyła, a Szczepan pojął, że obok dzielących ich różnic przybywa pomiędzy nimi jeden jeszcze wał nieprzebyty — jej w lód smutku i zawodów zakute serce.

Obiecali się zobaczyć za tydzień, w niedzielę, tak samo po wyjściu z kościoła.... Mieli wtedy obmyśleć plan dalszego prowadzenia jej poszukiwań — i walki z niewidzialnymi nieprzyjaciółmi.

Stało się zresztą inaczej, niż myśleli.

W piątek nad wieczorem Szczepan otrzymał od Jadwigi list, w którym zawiadamiła go, że była zmuszoną opuścić dom pani Fitzhugh — i prosiła, aby się z nią zobaczył jak najprędzej w hotelu „National“.... Nazajutrz rano chłopiec uwolnił się od roboty — i o godzinie 9ej rano czekał w „parlorze“ hotelowym na Jadwigę.

Weszła znacznie bledsza i smutniejsza, niż za poprzednim widzeniem się.

Opowiedziała mu w kilku słowach powód opuszczenia domu starej wdowy. „Doprawdy! jakaś fatalność prześladowuje mnie w tym Cleveland!“ — mówiła. Oto właśnie onegdaj w chwili, gdy jej pracodawczyni, pani Fitzhugh, znajdowała się na jakiejś wizycie, przybył do pokoiku Jadwigi p. Francis Littlejohn — i... prosił o jej rękę. Ta propozycja była dla niej największą niespodzianką... choć teraz dopiero zrozumiała jego postępowanie poprzednie. Zdziwionej do najwyższego stopnia Jadwidze mówił p. Littlejohn, jak ją nad życie kocha, jak od pierwszego wejrzenia uczuł dla niej sympatyę, jak bez niej żyć nie może itd. itd. Patrzyła nań zdumiona i zmieszana....

W tem miejscu jej opowiadania Szczepan nie wytrzymał.

— I co się stało? co? — zapytał gorączkowo.

— Nic wielkiego — odpowiedziała mu głosem spokojnym i smutnym.

Ma się rozumieć, oświadczyła panu Littlejohnowi, że jakkolwiek wysoce jest dla niej zaszczytną jego prośba, przyjąć jej nie może i wychodzić za mąż nie myśli. Zresztą ma pewne zobowiązania. Próżne były dalsze zakłęcia reportera „Leadera“. Odszedł mocno skonfundowany.... Jadwiga zrozumiała od pierw-

szej chwili, iż odtąd pobyt jej w domu pani Fitzhugh stał się bardzo trudnym.... I istotnie! przybyła wkrótce potem staruszka i poczęła jej robić ostre wyrzuty, z powodu nieprzyjęcia oświadczyn Francisa (widocznie pomiędzy p. Littlejohn a jego krewną istniało w tej mierze porozumienie z góry). Wtedy Jadwiga była zmuszoną oświadczyć, że dom jej opuści. Już od wczoraj rana znajduje się znów w hotelu — i szuka zajęcia.... Była w kilku biurach stręczeń, gdzie też obiecano jej znaleźć pracę.

Tu na chwilę znów zawiesiła głos.

Szczepan spoglądał na nią pytająco.

— Teraz — kończyła Jadwiga — zanim znajdę zajęcie, mam do pana pewną prośbę.... Niepodobna mi mieszkać tutaj w hotelu, czekając na pracę. Nie pozwalają na to ani fundusze, ani stosunki przyzwoitości. Otóż czy nie mógłby mi pan wynaleźć wśród Polaków w polskiej dzielnicy, jakiego taniego pokoiku umeblowanego przy jakiejś przyzwoitej rodzinie?.... Przeprowadziłabym się tam choćby dziś.

Szczepan był bardzo kontent, że po raz pierwszy miał od niej jakieś zlecenie, jakiś komis.

Zamyślił się przez chwilę. Naraz zaśmiał się — i zawołał:

— Ach.... ach! już mam.

— Co?

Szczepan nie odpowiedział na razie, ale podniósł rękę do kieszeni surduta. Wyjął z tamtąd gazetę niemiecką, którą kupił po drodze z polskiej dzielnicy — i czytał, jadąc w tramwaju. Pokazał Jadwidze jakiś ustęp i rzekł:

— Proszę, niech pani przeczyta....

Był to właśnie artykułik przejęty z jakiejś pittsburskiej gazety, a opisujący tragi-komiczne dzieje Litwina Połubajtysa i Mani Horodyńskiej w Nanticoke i Pittsburgu. Akurat przed paru dniami zakończyły się one ślubem tamtej szczęśliwej pary, o czem szeroko rozpisywała się gazeta, podając nawet dokładny adres nowo-zaślubionych.

Jadwiga przeczytała — i ona z kolei uśmiechnęła się; wreszcie podniosła pytające spojrzenie na Szczepana.

— A więc?

— Nie wpadła jeszcze pani na myśl?

— Doprawdy nie....

— A to przecież takie proste. Panna Mania i ten pan Litwin toć to obecnie para małżeńska.... Mają swoje gniazdo własne. Lubią panią oboje. Czy nie najlepiejby było u nich poprosić o schronienie? Przyjmą panią z radością.... A i w Pittsburgu tak samo, jak tutaj, może pani pracy poszukać.

— Być może — rzekła Jadwiga i zamyśliła się — Czy ztąd daleko do Pittsburga?

— Gdzie tam... Kilka godzin drogi.

— Ale przecież, nie można im tak spadać na kark nieprzygotowanym....

— O, nie... Ja do nich napiszę list, zaraz, dziś jeszcze. Poproszę o odpowiedź telegraficzną. Jutro jeszcze będziemy mogli tam pojechać.

— Jakto „będziemy”? Czy i pan chciał by się tam udać?

— A jakże... — rzucił mimowoli Szczepan i zarumienił się.

Wzrok chłopca robił jej niemy wyrzut na myśl, że ona mogła przypuścić, iż po tem, co wiedział, onby ją teraz opuścił na niebezpieczeństwa i zamachy tajnych wrogów. Wzrok ten wiązał się do jej stóp pieszczotą wiernego, przywiązanego psa, którego można zabić, ale odpuścić — niepodobna.

Tak się też stało, jak trafnie zaprojektował Szczepan.

Na list tego samego dnia wysłany, Szczepan miał nazajutrz odpowiedź telegraficzną: „Przyjeżdżajcie. Wszystko gotowe. — *Jan Połubajtys. Marya.*” A na trzeci dzień rano wyjechali do Pittsburga.

Jadwiga znalazła tam schronienie u Połubajtysów; Homicz — pracę w jednej z fabryk.

Gdy Połubajtys został niezadługo przeniesiony w góry po za Pittsburg, do pieców ko-

ksowych, wyrobił on miejsce także i dla Homicza. Potrzeba tam było właśnie mechanika do świateł elektrycznych.

Jadwiga, nie znalazłszy innej pracy w Pittsburgu, chodziła do magazynu krawieckiego. Po przeniesieniu się na nowe miejsce, postanowiły z Manią założyć na własną rękę — pracownię krawiecką.

Tak też się stało

I oto dla czego znajdujemy ich wszystkich czworo, w 8 miesięcy po wylądowaniu w Ameryce, w białym domku, w cichej osadzie górniczej pośród gór, znajdujemy zgromadzonych przy stole obiadowym w słoneczną wiosenną niedzielę.

III.

Mieszkają tu już prawie od ośmiu miesięcy — i z nimi mieszka, na pozór przynajmniej, spokój.

Osada górnicza X (tak ją nazwiemy) jest istotnie uroczem miejscem Zaległa sobie w ustronnej dolinie, jak gdyby od świata deskami zabitej; sama w sobie jest całością.

Nie zgadłbyś, widząc te białe domki, te ciche drzewa i krzewy i kwiaty, przytulające się do domostw, że kąś tak uroczy jest uzupełnieniem innego, potężnego i ponurego świata, że o pół mili ztąd są piece, fabryki, ogańska, że tam zaraz za laskiem zmienia się scenerya: powstaje kamienna ściana stoku nagiej, a nie-

wysokiej góry, że za załamem tam dalej ukażą się szeregi potężnych pieców koksowych, wznoszą się kupy ogromne węgla, ścielą się ku niebiosom czarne dymy i huczą młoty; że tam istnieje, jeden z najpotężniejszych w tym Stannie, kompleks zakładów przemysłowych.

A jednak tak jest.

U stóp kamiennieo-węglowej góry huczy stroma, ponura, dymem i węglem zabarwiona rzeka.

Po drugiej stronie skały, wszędzie tu i tam dymy.... Nad brzegiem cały szereg to drewnianych, to murowanych budynków. Kształty ich często dziwne. To jak gdyby olbrzymie ule; to niby ogromne kadzie, ustawione wysoko na palach do góry dnem; to jakieś wieże żelazne; to potworne windy, wiecznie poruszające ogromnemi ramiony, ciągle w ruchu, ciągle szemrzące ... Obok kominy wznoszą swe długie, wysmukłe formy i ciskają olbrzymiemi dymami w niebiosy. Tu i owdzie szeregi drutów poplątanych przecinają powietrze; rumocą żelazne kosze kolejek napowietrznych; parowce, stojące na ponurej wodzie rzeki, toną w mgłach obcych i własnych dymów — i nabierają węgla i wodę, jęcząc żalobnemi piskami swych kominów. A tam wysoko w środku tych długich, wysokich szop murowanych, o ponurych, zakopconych oknach — tysiące ogni, tysiące huków, tysiące rąk pracujących.

„Excelsior Coke, Iron & Steel works” —
oto nazwa tych kuźni piekielnych.

Wyrabiają tam wszystko: arkady do mostów żelaznych, płyty dla pancerników, szyny stalowe, pługi, armaty, lokomotywy i potężne części potężniejszych jeszcze machin, oskardy żelazne i kotwice dla parowców oceanowych i Bóg wie nie jakie jeszcze stalowe i żelazne potwory. Tu pracuje 10,000 ludzi, na trzy zmiany w ciągu doby. To jest serce olbrzymie, ogniste i dymem zakopcone, które żywi cały organizm, szereg kopalń, dziesiątek osad górniczych, rozrzuconych dokoła, tu i za rzeką. A niechby ruch w tym olbrzymim organizmie zatrzymał się, niech przestaną furkotać wielkie koła machin i spadać na dół potężne młoty — to jednocześnie ustanie dźwięk kilofów w kopalniach, a w osadach górniczych, którym daje jeść, pić i żyć ten kolos, zapanuje nędza i głód.

W osadach mieszkają przeważnie robotnicy, zatrudnieni w olbrzymiej fabryce. Nie byłoby dla nich miejsca tam na czarnych i wiecznie dymiących skałach, u wybrzeża tej, jak gdyby zastygłej w pyle węglowym rzeki. Rozsadzono ich w dolinach, wśród drzew, po za lasem zielonym, który obsiadł podnóża węglowych i żelaznych gór. Po stoku góry, do wiezchołka ogniem machin ziejącego, toczą się kolejki linowe. Temi kolejkami rzesza robotnicza trzy razy na dobę wspina się ku górze, do pracy — i trzy razy schodzi spracowana do

swoich schronień w białych domkach w dolinie.

Ozada X., gdzie właśnie zamieszkało czworo naszych znajomych, była jedną z tych oaz, dostarczających ludu roboczego olbrzymim zakładom, rozłożonym na górze.

Domki tu przeważnie kompaniczne: dzierżawione są tylko przez robotników, choć ci, którzy tego sobie życzą, mogą je nabywać od kompanii na niewielkie spłaty.

W domku, który oglądaliśmy, już od ośmiu miesięcy zamieszkują Połubajtysowie. Na dole to ich królestwo. Jan pracuje, jako pomocnik głównego maszynisty przy jednej z maszyn parowych, trzy dni na dzień, a trzy dni na noc. Poznajomił się o tyle z językiem, a przynajmniej z technicznymi wyrażeniami, że nie ma trudności w pracy. Zarabia dobrze; potrafi nawet odkładać pieniądze i myśli o zakupieniu na siebie domku, w którym mieszka.

Jego Mania, którą olbrzym litewski swoim ubóstwieniem jeszcze bardziej rozpieścił, pracuje także: prowadzą do spółki z Jadwigą pracownię krawiecką— i wie dzie im się dobrze.

Jadwiga odnajmuje od nich pokoik, a właściwie *bedroom* z oknem na dole.

Homicz wreszcie zamieszkuje pokoik z sypialnią na pierwszym piętrze, a właściwie na facyatce. Do jego mieszkania prowadzą oddzielne schody z zewnątrz... Porządku tu ma-

ło... Wielki stół stoi pod oknem, a na nim jakieś dziwne przyrządy, flaszeczki z płynami, druty, kawałki metalu, książki, gazety, broszury, rysunki. Na ziemi i na paru krzeselkach także książki. Są to książki polskie, niemieckie, nawet angielskie.

Trzeba wiedzieć, że Szczepan, pomimo, iż wygląda, jak każdy inny robotnik, zajmuje w fabryce stanowisko nieco wybitniejsze.

Posłużyły mu do tego praca, zdolność, a po części i przypadek.

Już podczas poprzedniego pobytu w Clevelandzie i Pittsburgu pracował bardzo wiele nad językami angielskim i niemieckim; przed przeniesieniem się do X., gdzie miał robić przy elektryczności, postarał się o poznanie się z terminami technicznymi angielskimi i z amerykańskim systemem pracy. Przyszedł więc do departamentu światła elektrycznego w „Excelsior Works” już, nie jako nowicjusz, ale pracownik doświadczony — i mający o rzeczy pojęcie. Dzięki wrodzonemu sprytowi, poznał się wkrótce praktycznie ze wszystkim, co mu było obcem — i stał się jednym z najużyteczniejszych ludzi w swoim wydziale. Wypadek zdążył, iż coś w miesiąc po rozpoczęciu pracy Szczepan z narażeniem własnego życia zapobiegł fatalnemu splątaniu się drutów naelektryzowanych, z kąd mógłby wyniknąć pożar i wielkie nieszczęście. Superintendent

przedstawił go do nagrody, a główny kierownik techniczny olbrzymich zakładów kazał powołać przed siebie.

Szczepan szedł prawie ze drżeniem przed oblicze tego potentata.

P. Andrew J. Mallory, znakomity przemysłowiec i inżynier, przed którym stanął w jego olbrzymim i wspaniałym gabinecie nasz bohater, była to istotnie postać niezwykła. Mógł mieć lat 50. Figurę miał ogromną, o szerokich barkach i wielkich kończynach, twarz kwadratową prawie, starannie wygoloną; z pod siwych brwi patrzyły rozkazująco oczy stalowe, nieprzeblągane. Była to istotnie potęga. Jednym skinieniem palca mógł on wprawić w ruch lub zatrzymać wszystkie kolosalne części olbrzymich zakładów przemysłowych; skierować wolę i pracę tysięcy ludzi w tym lub innym kierunku; narzucić im takie lub inne warunki pracy; wreszcie dać chleb lub odebrać go tysiącom mężczyzn, kobiet i dzieci, osiadłych tam w dolinach.

Na tle gabinetu, obitego od góry do dołu ciemnym safianem, z olbrzymimi biurkami, kandelabrami i piramidami ksiąg, potentat przemysłowy wydał się Szczepanowi raczej jakimś bóstwem kamiennym, aniżeli człowiekiem.

To bóstwo zresztą wyszło wnet ze swej nieruchomości.

— *How do you do, Mr. Homitch?* — rzekło — zapewne rozumiesz pan już teraz cokolwiek po angielsku?

Szczepan spojrział zdziwiony. Ten potentat go znał. Zkąd? — nie był w stanie zdać sobie sprawy.... W każdym razie pochylił nisko głowę na znak twierdzenia.

„Boss” widział tymczasem jego zdziwienie. Lekki uśmiech, niezwykle gość na tej kamiennej twarzy, rozchylił jego wargi.

— *Yes* — rzekł — pan mnie nie poznajesz.... Ale ja pana znam. Jechaliśmy razem bremeńskim okrętem, na którym pan tak dzielnie broniłeś swej rodaczki przed napadem tego *cranka*.

— Ach! — rzekł tylko Homicz i zarumienił się.

— Pan jesteś dzielny chłopiec — ciągnął dalej przemysłowiec — i bardzo mi przyjemnie, że pan pracujesz tam u mnie — wskazał ręką na szeregi gmachów i kominów, owinięte w dymy — pański *record* jest w porządku.... a wczoraj oto zrobiłeś pan naszym zakładom elektrycznym przysługę. Gdyby nie pan, mogliśmy mieć z \$10,000 szkody.... nie licząc niedogodności. Oto skromne wynagrodzenie dla pana: książeczka banku oszczędności na pańskie imię na \$50.... *for start* (na początek).

Szczepan nie wiedział, co ze sobą robić.

Chciał coś rzec, ale „boss” nie dopuścił go do słowa.

— No... no, tylko bez głupstw, jak na okręcie z tą „purse”. Tam co innego.... Tu jesteś pan Amerykaninem, a nie „grynhornem”. Powinieneś wiedzieć, co to dolar. Oszczędziłeś pan fabryce wydatku, fabryka pana wynagradza. To nie faramuszkę z ratowaniem kobiet.... Zresztą musisz pan wiedzieć, że u mnie jest jedna reguła: słuchać i pełnić, co każe — albo iść precz....

Mówił to już wprost szorstko.

Skinął ręką na znak, że audyencya skończona. Szczepan wziął książeczkę bankową z jego ręki, skłonił się i wyszedł. Istotnie od czasu pobytu na tym zaoceanowym lądzie zmieniło się wiele jego wyobrażeń i pojęć. Zrozumiał, że nagroda za praktyczną przysługę może być wyrażoną — w dolarach.

Od tego widzenia z panem Mallory, szczęściło się jakoś w fabryce Szczepanowi.

Superintendent był mu bardzo przychylnym. Dawano mu sposobność wykazania swych uzdolnień; powierzano czynności bardziej skomplikowane i poważniejsze; podwyższono wreszcie zarobek. On sam pracował, jak Murzyn — i jedocześnie uczył się namiętnie. Sypiał zaledwo po parę godzin na dobę.

Cały poświęcił się teraz elektryczności.

Za oszczędności, jakie potrafił robić na

swych zarobkach, kupował książki, modele, przyrządy. Bawić się z kolegami przestał, choć ich nie brakło w „Excelsior Works” i w osadzie X., nawet i Polaków.... Nie pił i nie hulał.

W owym czasie rozlegała się na wszystkie strony po Ameryce i po świecie całym sława Edisona, chłopca amerykańskiego prawie bez wykształcenia, a ostatecznie milionera wynalazcy. Szczepan dostał z kądś jego życiorys — i po przeczytaniu czuł się, jak gdyby oszołomionym. Mędrcem (Wizard) zwały tego człowieka gazety; świat cały niósł mu cześć i miliony.

— I czemużbym ja nie mógł stać się jemu równym?! — pytał sam siebie.

I pracował — i męczył się — i ślepiął nad swemi przyrządami. Doskonalił się w swojej gałęzi wiedzy — i marzył o jakimś wielkim wynalazku, któryby zreformował ludzkość. Niekiedy już, zdawało się, miał go w palcach; aż oto wielki wynalazek. .. zniknął, ulatał w przestrzeń, niedościgniony. Swoją drogą, w pracy trafiało się Szczepanowi robić ważne, choć drobne, odkrycia i ulepszenia praktyczne. Nie pozostawały one bez wpływu na jego karierę w fabryce.

Stawiały go coraz wyżej....

W taki to sposób w tłumie pracujących przebijał sobie drogę nasz bohater. Uśmiech

Jadwigi, rzadko zresztą się ukazujący, blask jej oczu, dźwięk jej głosu były mu drogowskazami, za którymi szedł naprzód.

.....
Pozostawiliśmy w ową niedzielę wiosenną naszych czworo znajomych — przy obiedzie.

W półtorej godziny potem, troje z nich siedzi w uprzątniętej już jadalni czy tam pracowni.

Są to Połubajtys, Mania i Homicz.

Dwoje młodych małżonków, odcyfrowawszy przy pomocy Szczepana list od adwokata z Pittsburga, z którego dowiedzieli się, że sprawa ich o połowę spadku po ś. p. Walentym idzie jak najlepiej i że nawet trafiono na pewne ślady oszusta-adwokata Langa aż gdzieś w Colorado, bawią się teraz czytaniem listów od rodziny z Europy.

Jest to istotna zabawka.

Śmieszków przy tem co niemiara. Nie w tych listach bardzo ważnego; najwięcej uścisków i pozdrowień. Mania opowiada Jankowi o swoich, on jej o swoich. Czasem przy tej sposobności przyjdzie pomiędzy nimi do krótkiego sporu, a częściej jeszcze — do pieszczot.

— Mama posyła każdemu z nas po sto całusów — mówi Mania.

— To oddaj mi moje sto — proponuje z powagą Jan.

— Ty, niedźwiedziu....

A tu niedźwiedź już nadstawia szerokiej, uśmiechniętej gęby.

Obecność Szczepana bynajmniej ich nie żenuje.

On siadł przy oknie zadumany. Trzyma jakąś książkę, ale jej nie czyta; spuścił ją ku ziemi razem z ręką. Przed nim na oknie leży list „dra” Gryzińskiego z New Yorku, jak zwykle, „gałgańskim” jakimś humorem i wesołym cynizmem tryskający. Zawsze Szczepan czytywał listy starego z zajęciem.

Teraz i to go nie bawi.

Gryziński donosi: że książkę, na którą mu Szczepan przesłał pieniądze, zakupił i wysłał; że wszyscy w New Yorku hulają i zgrywają się w karty, jak szewcy; że Piotrek Cierzan zwaryował i wybiera się na gwałt gdzieś do Pennsylvanii, gdzie z jakąś wędrowną trupą aktorów czy „minstrelów” podobno ma bawić jego Stefka („a nie spotkaj jej tam gdzie” — przestrzegał w liście stary adwokat „i nie zakochaj się na nowo... bo będzie bieda”); że on, Gryziński, dostał niedawno ni ztąd ni zowąd („zapewne z pijaństwa!” słowa listu) jakiejś gorączki i przeleżał z tydzień w szpitalu; że w tym czasie, jak się dowiedział po wyjściu ze szpitala, był w New Yorku stary Morski, przyleciał, jak wicher, dopytywał się o niego, Gryzińskiego i Homicza — i potem, jak wicher, odleciał itd. itd. Gryziński mocno żałuje, że się z nim nie widział....

Kiedy indziej Szczepana list taki zainteresowałyby mocno. Czytałby go kilkakrotnie. Szczególniej interesującą byłaby dlań wzmianka o Morskim.

Pytał się już nieraz Gryzińskiego listownie o starego hulakę; ale do tego czasu Morski nie odwiedzał New Yorku.

Teraz przecież inne myśli zajmują Homicza.

Niepokoi go Jadwiga. O ile jego interesy szły pomyślnie naprzód, o tyle jej sprawy się plątały. . . . Biedne dziewczę martwi się, coraz jest smutniejsze, marnieje mu niemal w oczach. On wie, co tego powodem — i nie jest w stanie na to pomódz. Jadwigę morduje bezczynność. . . . Od dziewięciu miesięcy nie posunęła się naprzód w swych poszukiwaniach prawie ani o krok. Brak funduszków i troska o chleb powszedni stoją tu na przeszkodzie. To ją męczy, a z nią i Szczepana. Jadwiga teraz niechętnie nawet rozmawia o całej sprawie.

W tej chwili np. za ledwo otworzyła list, otrzymany z New Orleans, za ledwo przeczytała parę wierszy — podniosła się z miejsca i wyszła, milcząc, do swego pokoju.

Znajduje się tam już od kwadransa.

Szczepanowi zrobiło się przykro. Wszak od czasu rozmowy w Cleveland był jej powiernikiem. W pierwszych szczególniejszych miesiącach powracali nieraz do jej sprawy. Omawiali ją

razem — i szukali środków wyjścia. Szczepan miał nawet swoją własną teorię, zarówno co do zbrodni przed laty spełnionej, jak i co do napadu w Cleveland; ale była to teoria zbyt śmiała, ażeby mógł ją komunikować Jadwidze. Z jego to porady Jadwiga skomunikowała się z jednym z biur detektywów w New Orleans — i oczekiwała właśnie z tamtąd odpowiedzi. List, odebrany przez nią, prawdopodobnie tę odpowiedź zawierał.

— Nie pokazała mi listu.... a więc mi już nie ufa! — myślał Szczepan i chmura smutku nasuwała się mu na czoło.

W tej chwili właśnie w drugim kącie pokoiku ustały śmiechy z powodu owych przysłanych z Europy „stu całusów” — i Mania stanowczo zaproponowała mężowi, aby zajęli się czemś „poważniejszym”.

— Zgoda — odrzekł Jan i zapaliwszy fajkę, zaczął jej opowiadać różne nowiny.

Jan dziś rano wychodził, jak mówi z powagą, „na miasto”, był nawet w hotelu (jest to najpiękniejszy saloon i główne miejsce gdzie się zgromadzali miejscowi „notable”) — i ma nowin pełny worek. A więc do szmelcarni przyjdzie nowy dyrektor; fabryka dostała obstatunek na płyty pancerne do okrętów wojennych aż z Rosyi; Jachimiaczka, ta z dużym nosem, pobiła się z mężem i zaskarżyła go do „skwajera” („czekaj, czekaj!” szepce w tem miejscu

Mania „i ja ci tak samo zrobię!” — i wygraża mu małą piastką); przyjechali jacyś aktorzy i aktorki, biali i Murzyni, i będą pokazywali sztuki w hali hotelowej....

W tem miejscu Połubajtys przerwał — i zwrócił się do Homicza.

— Ale.... ale — rzekł — posłuchaj-no, Szczepk.

— Co takiego?

— Zdaje mi się, że spotkałem niedaleko hotelu kogoś, nam wspólnie znajomego... zresztą nie jestem pewny.

— I któż to taki?

— Ten niby żydek z okrętu... co to nam zawracał głowy.

— Pan Bolo L. Kaliski? — zapytała Mania.

— Tak.... tak.... ten sam. Nie pamiętałem dobrze jego nazwiska.

Wiadomość ta, na pozór nic nie znęcająca, na Szczepanie zrobiła pewne wrażenie.

— Kaliski! — powtórzył, a przez plecy przyszedł mu, jak gdyby dreszcz.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w teoryi, jaką sobie wytworzył Szczepan o sprawie Jadwigi, wykwinąłny pasażer klasy 2ej z bremeńskiego okrętu p. Bolo L. Kaliski grał pewną rolę i to dość wybitną.

To też Homicz pytał dalej Litwina:

— I jakże, rozmawiałeś z nim?

— E, nie.... Otarliśmy się o siebie, ale albo mnie nie poznał....

— A może poznać nie chciał? — mruknął Szczepan.

— A kat go tam wie. . . albo może to ja się omyliłem i wziąłem kogo innego za Kalińskiego.

— Może.... — dorzucił Szczepan i to przypuszczenie mu ulżyło.

W tej chwili zastukano do drzwi z tyłu, od kuchni.

Mania pobiegła otworzyć; ukazało się parę osób.

Były to najpierw dwie „kostumerki” (klientki) pani „krawczki”, polska kobieta o dorodnej postaci, w chustce zarzuconej na głowę i młoda dziewczyna Słowaczka, a z niemi jakiś kolega Jana, robotnik od machin parowych.

Ten przyszedł do Litwina.

Mania usadziła obie kobiety przy stole — i zaczęła z nimi rozmowę. „Kostumerki”, głównie robotnice, w dzień powszedni zajęte, przyjmowała także i w niedzielę.

Przybyły robotnik zaproponował Połubajtysowi, ażeby poszedł do saloonu na „jednego”, bo ma z nim pogadać, — ale Litwin odmówił.

— Moja kobiecina mi zabrania — rzekł z

uśmiechem — ale poczekajcie-no ... Skoczę ja z „pajntem” (naczynie blaszane), to zaraz tu będzie piwo.

Tak też zrobił.

Tymczasem Mania wyrozumiała już od kobiet, że Polka, dawna jej klientka, przypro-wadziła nową, Słowaczkę. Przyniosły ze sobą materiały. Zaczęło się oglądanie materiału i wzorów mód, dyskusya nad „przystawkami”, falbankami, formą rękawów, guziczkami itp. Słowaczka pytała o cenę. Wreszcie, gdy wszystkie sprawy zostały omówione dostatecznie, należało wziąć miarę.

To była już sprawa Jadwigi, jako głównej krojczyni.

Mania pobiegła do jej pokoiku i zastukała.

— Jadzieczku, jest tu do ciebie interes.

Za chwilę Jadwiga ukazała się na progu... Oczy miała trochę czerwone i twarz poważną. Usiłowała ją teraz przystroić w konwencyonalny uśmiech byznesowej uprzejmości.

Tymczasem Litwin wrócił z piwem.

Trzej mężczyźni ustąpili do kuchni, aby nie przeszkadzać; nalano szklanki — i Jan zaczął:

— No, i coście chcieli gadać, Walenty?... mówcie!

Robotnik od początku z podełba jakoś spoglądał na Homicza. Widocznie nierad był

jego obecności. I teraz odpowiedział Litwinowi tylko znaczącym spojrzeniem. Szczepan dorozumiał się — i chciał wstać; ale przeszkodził temu Połubajtys.

— To nasz brat i dzielny zuch — rzekł do przybyłego — możecie przy nim gadać wszystko Ja i on to jedno.

Walenty spojrział jeszcze podejrzliwie na Homicza, wreszcie machnął ręką.

— A no niech ta będzie. Choć Bogiem a prawdą, niema ta nie tak bardzo ważnego do gadania — tu zatrzymał się i po chwili dopiero zapytał wprost Litwina: — No, i co też wy myślicie o tych tam strajkach, o których ludzie tak teraz plotą?

Pytanie było nieoczekiwane, a zbyt ogólne, to też Litwin nie wiedział, co właściwie ma odpowiedzieć.

— Niby wedle czego to mówicie? — odrzekł.

I Walenty sam rozumiał, że nie dość jasno postawił kwestyę.

Rozgadał się obszerniej Chodzi teraz i po fabrykach i po okolicy taka między ludźmi gadka, że kompania za mało płaci, a ludzi okropnie uciemięża. Obcinają ci, psiejuchy, „pejde” prawie co nie tydzień; każą robić na sztukę i dają taką robotę, że człowiek nie obstoi; „bossy” i „formany” wymyślają narodowi od pogańskich wyrazów, a jak nie, to

nieraz i pięścią między oczy luną; za wszystko płać „sztrafy”; a jak komu rękę albo i nogę urwie, to się żadnej sprawiedliwości doprosić nie można, ino ci biedaka, jak psa z domu i z wszelkiej roboty wyrzuć, niech ich, psia kość, wciórności!. Jednem słowem z robotą coraz gorzej i gorzej....

Pożubajtys teraz zrozumiał.

Istotnie, od pewnego czasu wśród robotników w niektórych departamentach wielkich zakładów fabrycznych, panowało dość silne, a nawet i usprawiedliwione rozdrażnienie. Zarząd „Excelsior Works” zmuszony był, przyjmując jakieś milionowe zamówienie za pół darmo (powodem tego była konkurencja z Europą), a teraz obcinał pensye, gdzie mógł. Ludzie, najmniej płatni, cierpieli najwięcej na tych zniżkach. W kołach robotniczych mówiono o tem wiele.... Przybyło z kądś paru agitatorów robotniczych — i mówili jedni o strajku, drudzy o zorganizowaniu się robotników w Unie.

Słowem panował w tych gromadach pewien ruch.

W sprawy te Litwin nie mieszał się, zadowolony ze swego szczęścia domowego, ale ponieważ był on jednym z lepszych i inteligentniejszych robotników, przeto postanowiono go wciągnąć w ruch, a ewentualnie zapytać o zdanie.

— *Yes, yes!* — rzekł teraz — przykre

to i bardzo Ale co robić? Czy my ich zmożemy? I jak?

— Ta . . . ja też nie wiem — odrzekł ostrożny Walenty — Ale przecież sposób na nich być musi! Kupa nas jest tutaj przeciebyśmy ich, poganów, przemogli! — i patrzył z pod oka na Homicza, którego uważano niejako za należącego do arystokracji robotniczej i dla tego obawiano się. — Bo to widzita — ciągnął po chwili — jak to jeszcze ja albo wy, to pół biedy Nam przy maszynie, a temu paniczowi przy elektryce, to dzieje się niczego. Ale weźcie ino to biedactwo, co się przy piecach smarzy, albo ciężary nosi — oj, oj! na tych to już nasze „bossy” jada, jak na łysej kobyle. A nędza u nich w domu aż piszczy Dzieci kupa, jeść co niema, długów moc. I tu im jeszcze coraz coś obetną „Polskie i Hungarskie bydło”, mówią te pogany, „to się nie śmie buntować!”

Zatrzymał się i spoglądał pytająco na Litwina.

— Tak, tak — odrzekł trochę zakłopotany Połubajtys — ale co ja wam na to poradzę?

— A no, wyście człowiek uczeńszy od innych, tobyście niejako powinni innym przodować

Znów się zatrzymał — i sięgnął do kieszeni.

— Jakem dziś wracał z kościoła, tak mi jakieś chłopaczysko do ręki tę oto czerwoną kartkę wcisnęło. Przeczytajcie no, bo mnie to z czytaniem trudno.....

Połubajtys zaczął głośno czytać.

Była to wydrukowana na bibulastym świstku jakaś niebardzo mądra, ale za to bardzo krwiczercza odezwa. Drukowana była świeczkami, lichą polszczyzną, z błędami. Piorunowała na kapitalistów, nazywała ich złodziejami, podlecami i „świniami“ (sic), tuczającemi się krwią i potem robotnika. Wzywała do wymordowania ich, ukamienowania, zdynamitowania. Radziła strajk i tymczasowo tajne zorganizowanie się robotnika. W rezultacie wzywała wszystkich „dobrze myślących“ do zgromadzenia się na „mityng“ przy saloonie Jenkinsa (była to stara rudera pod lasem, niebardzo dobrej używająca sławy) wieczorem o godz. 7ej tego samego dnia. Podpisany był pod tem: — *Komitet.*

Walenty słuchał uważnie czytania. Widać było zreszłą, że tekst odezwy już zna.

— No i jakże?!— zapytał — pójdzieta?

Połubajtys sam nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale za to Homicz zabrał teraz głos:

— Ja nie pójdę, a i wam także obydwom chodzić nie radzę. A dla tego nie radzę, bo jesteście uczciwi ludzie i dzielni robotnicy. Najpierw sama odezwa mi się nie podoba. Ten,

kto ją pisał, nie musiał to być ani człowiek mądry, ani poczciwy chrześcijanin. Rozumiem ja to dobrze, że praca musi walczyć z kapitałem, i że kapitał ciężko nas nieraz uciska. Rozumiem i to, że robotnicy muszą występować jeden za drugiego, solidarnie, razem, choćby z własną szkodą i narażeniem życia — i jeśli będzie potrzeba, gdy nadejdzie czas, obaczycie, będę z wami. . . . Ale uczciwi robotnicy nie tą powinni iść drogą, która w tej odezwie wskazana. Nie o mordowaniu swych bliźnich powinni gadać i pisać, nie o nożach, kamieniach i dynamicie!

Szczepan uniósł się trochę, a tamci dwaj uważnie go słuchali.

— Ho, ho. . . . — zrobił uwagę Walenty — gadacie, nikiiej nasz ksiądz Baliński z ambony.

A Homicz, który w ostatnich czasach wiele czytał i myślał o sprawie robotniczej, ciągnął dalej:

— Chcemy walczyć z kapitałem, walczmy, ale prawnie i rozumnie. . . . Nie o nożach gadajmy, ale się organizujmy poważnie i spokojnie, choćby nawet po cichu. Ma być strajk, niech będzie, ale spokojny, bez gwałtu. . . . I najpierw rozważyć trzeba, czy strajk do wygrania? Zła jest bieda obecna, ale jak strajk przegramy, co będzie? Śmierć głodowa — i wszystkie okropności. Zresztą niech zaczynają to nasi, swoi, ci, którzy sami pracują i wie-

dzą dobrze, co ich boli, a nie jakieś przybłądy obcy, których nie znamy i nie wiemy, co mają za cel. Kto zaprasza na „mityng” w karczmie Jenkinsa? czy ja wiem? albo wy, Walenty wiecie?.... A może to właśnie jakaś zdrada?!

Walenty już od paru chwil drapał się w głowę.

— Ha — rzekł wreszcie na pół przekonany — może i mata rację....

Od paru już sekund weszły do kuchni kobiety i, trafiwszy właśnie na dyskusję w sprawie strajków, słuchały gorących wyrazów Homicza. W tej chwili jedna z nich, gruba Polka w chustce, wystąpiła naprzód, ujęła się w boki — i rzekła:

— Oj, że mają panicz racyjom, to mają... Albo to ja nie wiem, co je strajk.... Oj, najadliśwa się onego strajku, jak mieszkaliśwa w Szenandorach. Dwoje robaków nam wtedy umarło, a ja sama nikiel szczapa wyglądałam... Chodziliśwa naonczas po lasach i korzonków szukaliśwa, bo jeść nic nie było. I co się stało? Oto strajk przegraliśmy.... „Ajryszów” (Irlandczyków) wzięni potem do roboty, a my poszli na cztery wiatry.... Hungarów i Polaków wyszczuli psami won.... I tyła!

Na to żalosne wspomnienie, aż się o mało co nie popłakało kobiecisko.

I nowa „kostumerka” Mani, Słowaczka, dziewczyna niezgrabna, ciężka od pracy, ale o

twarzyćce miłej i przystojnej, uwieńczyła masą blond włosów, uważała za właściwe coś od siebie dorzucić.

— Jo...jo... — rzekła — i moja matula podczas strajku w Scottdalach pomeerli....

Zaczęła się rozmowa. Mania zaproponowała swoim „kostumerkom” po szklance piwa. Przystały. Tymczasem Jadwiga, nie przyjmująca udziału w tej rozmowie i ciągle smutna, skinęła na Szczepana.

Zbliżył się do niej.

— Mam coś ważnego panu powiedzieć.... coś bardzo ważnego. Pójdźmy do „parloru”.

Jasność słoneczna rozświeciła teraz twarz Szczepana. Pozostawili resztę czworo w kuchni — i poszli do frontowego pokoju.

IV.

— Oto, co za list w tej chwili dostałam! — mówiła w parę chwil potem Jadwiga do Szczepana — Przejrzyj to pan, zastanów się, osądź.

Szczepan wziął kopertę do ręki.

W środku znajdowały się dwa papiery: jeden był to przekaz na \$1000, wystawiony przez bank w New Orleans na bank w sąsiednim obok X. miasteczku, drugi — zbrukany duży arkusz papieru, na którym było nakreślonych fantastycznym charakterem pisma i jeszcze bardziej fantastyczną ortografią, słów kilkadziesiąt.

Oto owe wyrazy:

„.... Dowiedziałem się dopiero w tej chwili, że paniuńcię 7 czy 8 miesięcy temu, w Cleveland napadli i obrabowali. To pewno *on*, czy tam jego ludzie.... Łotr!.... Niech ich paniuńcia unika, niech paniuńcia ucieka ztąd daleko, niech paniuńcia da pokój temu całemu byznesowi. Już z tego nic nie będzie.... Posyłam paniuńci czek na tysiąc dolarów; to zwrot tych skradzionych. Nie chcę, żeby córka mojego kapitana, w dodatku do tego wszystkiego, głód jeszcze tu w Ameryce cierpiała. Proszę przyjąć te pieniądze.... koniecznie! Ale pod warunkiem, że paniuńcia *nigdy* tych pieniędzy nie użyje na to niepotrzebne poszukiwanie...nigdy!“

Takie było to orędzie, które tak silne wywarło wrażenie na Jadwidze i skłoniło ją do dłuższego porachunku z sobą samą, a nawet widocznie łzy wywołało na oczy. Równie wielkie było wrażenie u Szczepana. Tem większe, że Jadwiga dodała po chwili:

— Przysięgłabym, że pismo to kreśliła ta sama ręka, która do mojego ojca w przedzień zgonu (nie mówiła „egzekucyi”, ale ciężka zmarszczka na czole i drzenie głosu świadczyło, że czuje dobrze, co mówi) napisała dwa listy ostrzegające. Tu nie może być żadnej wątpliwości; to pismo z przed lat 17tu nie zmienione ani na jotę....

— A więc to Miller!

— Ten sam.... ten, za którego śladami

szłam z takim trudem aż do Cleveland; ten, którego wszelki ślad zaginął mi ze zgonem Cybikowej.

Zamilkła.

W tej chwili Szczepanowi zaświtała niespodziewanie nowa myśl. Przypomniał sobie, że to nieforemne pismo widział już gdzieś.... Gdzie? Już wie. To ta sama ręka, która skreśliła niekształtne litery nazwiska Morskiego na papierze, w jaki była owinięta miniatura, znaleziona w kieszeni kamizelki Homicza po owej pełnej wrażeń nocy w New Yorku. Homicz szybko zestawiał fakta — i nawet znalazł odrazu prawdopodobne wytłumaczenie, dla czego kobieta na miniaturze była podobną do Jadwigi.

— Pani — rzekł — ten człowiek nazywa się teraz Morski.

— Zkąd pan wiesz?!

Nie wspominała mu nigdy o tem (czego się dowiedziała w Cieszynie), że takie było właściwe nazwisko Millera z przed 17tu lat z New Orleans; nie uważała tego za szczególną pierwszorzędnej wagi. Z drugiej strony on sądził dość surowo noc swego *boomu* z Morskim i dla tego nie opowiadał jej nigdy o nim; a miniaturę, przypominającą rysy Jadwigi, uważał za swą tajemnicę i skarb, którego nigdy nikomu nie powierzył. Łatwo tedy wyobrazić sobie ich zdziwienie, że

oboje wiedzieli o tej dwoistości istnienia Millera.

— Tak, tak — powtarzał Szczepan — wiem i nie tylko wiem, ale znam go osobiście... Widziałem go na drugi dzień po przybyciu do Ameryki i bodaj potrafię znaleźć.

Jadwiga pochwyciła go za obie ręce i wołała:

— O, panie Szczepanie! powiedz, powiedz wszystko....

Opowiedział jej dzieje pierwszej swej nocy w New Yorku (zamilczawszy tylko o miniatrze). Dodał, że w kartce obecnej, z New Orleans nadesłanej, poznał charakterystyczne pismo Morskiego. Oświeciła ich teraz jasność... Jawnem się im stało znaczenie sceny nad ranem, gdy Morski, pijany do nieprzytomności, widział przed sobą w lustrze jakieś postacie i ulegał dziwnym postrachom.... To postacie ofiar i katów z przed lat 17tu stawały mu przed oczyma; to jakaś straszna groźba wracała mu na pamięć. Sumienie, mimo że je głuszył hulanką i topił w winie, przemawiało....

Kara Boża za zły czyn zbliżała się do niego!

Szczepan i Jadwiga przystąpili do wyciągnięcia logicznych wniosków z faktów, których już znaczną posiadali ilość.

Wnioski były następujące:

Miller, który pisał dwie kartki do nieboszczyka jej ojca, do więzienia, żyje. Jest to

Morski. Przestał być dla nich legendową postacią, o której świadczyły tylko pozółkłe świstki papieru z przed lat 17tu, dziś nawet jej ukradzione; stał się człowiekiem z krwi i kości. Wiedzą, gdzie go ewentualnie znaleźć. Na nim teraz polega wszystko. On posiada klucz tajemnicy. Morski musiał być uczestnikiem zbrodni, albo przynajmniej znał dobrze zbrodniarza, miał może dowody jego zbrodni — i nie oświecił o tem sprawiedliwości. Uciekł, pozwoliwszy niewinnemu paść ofiarą omyłki sądowej, a raczej spisku nań uknutego. Co więcej, zapewne on, Morski, skorzystał i do dziś korzysta z owoców materialnych zbrodni. Zkądżeby wziął pieniądze, któremi od lat tylu rzuca na wszystkie strony? Zkąd przekaz na \$1,000, który przysłał tak niespodziewanie i z taką łatwością? (Na myśl, że w tym przekazie może być zawarta część ceny za śmierć i hańbę jej ojca, Jadwidze przeszedł dreszcz przez plecy....)

Ten Morski, jak go teraz poznali, to postać ciekawa psychologicznie.

Jest to człowiek bez woli i moralności; człowiek, który biernie, pod pewnymi wpływami gotów popełnić nietylko czyn nieszlachetny, ale nawet zbrodnię, — lecz zaraz potem ulegać będzie wyrzutom sumienia; człowiek bez skrupułów tam, gdzie idzie o posiadanie w nieprawy sposób nabytego majątku; człowiek co-

dzień zmieniający swe postanowienia; lecz wreszcie człowiek, któremu niekiedy nie obce są nieco szlachetniejsze impulsy, jak np. wdzięczność....

Czy na takiego człowieka można będzie wpłynąć o tyle, ażeby powiedział prawdę o tem, co się stało przed laty 17tu i dał twierdzeń swoich dowody?

Zapewne....

Trzeba do tego zresztą odpowiednich warunków i wpływów. Wszakże on sam przed laty chciał w jakiś sposób w przeddzień egzekucyi pomódz swemu kapitanowi, dla którego za uratowanie życia w bitwie czuł przecież wdzięczność, — a tylko w ostatniej chwili cofnął się z obawy czy też w obec okoliczności. Wszakże teraz, dowiedziawszy się o przybyciu córki skazanego do Ameryki i o obrabowaniu jej, wyraża jej sympatyę w sposób sobie właściwy — przekazem na \$1,000. Wprawdzie cofa się teraz od wyjaśnień i prosi o zarzucenie sprawy, ale cóż ztąd?... Jutro pod innym wpływem postąpi sobie inaczej. Zresztą liczyć trzeba na jego silny rozstrój nerwowy i na wrażenie, gdy ujrzy Jadwigę, gdy głos z poza grobu zapyta go jej usty:

— Kto tu Kainem? Jaką była twoja rola w tej ponurej sprawie?

Morski będzie też mógł chyba udzielić jakichś wskazówek co do sprawców napadu na Jadwigę w Cleveland.

Ten napad, jak to wynika choćby z niejasnych wyrażeń jego listu, nie był przypadkowy: został on urządzony dla tego, ażeby Jadwigę pozbawić broni, z którą przyjechała. Ci, którzy spełnili zbrodnię przed laty, chcieli w ten sposób zapobiedz wznowieniu śledztwa, choćby przy pomocy nowej zbrodni. Ale kto oni?....

To właśnie powie Morski.

Wniosek ztąd ostateczny: najpierw i ostatecznie znaleźć wypadka Morskiego.

Co do sposobu, w jaki to uczynić, Homicz miał już radę gotową. Radził Jadwidze udać się niezwłocznie do New Yorku. Sam z nią pojedzie, jeśli potrzeba dla jej bezpieczeństwa. W każdym razie poleci ją opiece Gryzińskiego. Ten stary wyga przyda się w sprawie podobnej.... Zbiorą najpierw wszelkie informacje. Przecież człowiek taki, jak Morski, to nie słomka w powietrzu. Pozostawia po sobie ślady....

Ale Jadwiga mu przerwała.

— Tak.... Dobrze pan radzi — rzekła — ale zkąd na to wszystko wziąć pieniędzy?

Szczepan spojrział na nią zdziwiony.

— Są przecież.... — i wskazał na leżący na stoliku przekaz.

— Te pieniądze nie są moją własnością. To nie zwrot ukradzonej mi własności; prawdopodobnie jest to jałmużna z ręki złodzieja

lub uczestnika kradzieży.... Tych pieniędzy użyć nie mogę i nie mam prawa.

Szczepanowi wzgląd ten na myśl nie przychodził. Wprost nie myślał o tem. Rozumiał rzecz w ten sposób, iż sumę skradzioną Jadwidge zwracają — kto? — mniejsza o to.... Restytucya jest słuszna — i niema nic prostszego. Dopiero delikatniejszy umysł Jadwigi doszedł do innego wniosku — i wyjaśnił sobie, że uczciwe ręce dotykać się tych pieniędzy nie powinny. I on to teraz zrozumiał.

— Ach! — rzekł i zamilkł.

Byli przed chwilą na drodze najlepszej. Zdawało mu się, że list, otrzymany z New Orleans, odsłonił połowę tajemnic, tkwiących w sprawie dramatu przed lat 17tu — i daje środki do odkrycia prawdy.... Marzył już o chwili, gdy Morski wyzna wszystko. Gdy oto gmach tych marzeń runął.

— I co pani myśli robić z tymi pieniędzmi? — zapytał.

— Nie wiem jeszcze.... W każdym razie nie użyję ich na dalsze poszukiwania w mojej sprawie, na dalszą walkę.... choćby dla tego, że ten, kto mi je ofiarował, stanowczem zastrzeżeniem tego zabrania. Wszak to napisano w liście?

— Istotnie.... A więc?

Jadwiga była teraz bardzo poważna. Brwi ściągnęła — i mówiła powoli:

— A więc... zobaczę. Widzi pan, panie Szczepanie, to kwestya honoru, to kwestya ważna. Lekkomyślnie traktować jej niepodobna. Jutro... pójdę do naszego kościołka, pomodlić się. Znasz pan naszego proboszcza, kochanego księdza Balińskiego. Jeśli idzie o sprawy sumienia, ten cichy i skromny staruszek stoi wysoko, wyżej po nad nami wszystkimi. Od kilku miesięcy, jak tu mieszkamy, przywykłam czerpać z jego jasnej i przeczystej duszy natchnienia podniosłe i wielkie. On był moim pocieszycielem w rozpacz, on mi dawał ulgę w smutku. Jego poproszę o radę i jak on poradzi, uczynię ...

Szczepan pochylił głowę.

— Pani zawsze z każdej sprawy znajdzie właściwe wyjście... Pani ma rację!

A ona po chwili kończyła swą myśl:

— Wtedy czas będzie postanowić, co czynić dalej... Mamy już teraz o co się zaczepić, o fakta — a nawet z małymi środkami pójdziemy naprzód, gdy wiemy to, co wiemy.

Na tem zakończyła się ich rozmowa.

.....
Zapadł wieczór.

Goście Połubajtysów poszli sobie. Woń kwiatów i drzew wpadała ze wszystkich stron w szeroko otwarte okna. Jadwiga siedziała nazewnątrz pod krzakiem bzu pod oknem, za-

myślona, czy też rozmarzona. Mania krzątała się w kuchni około kolacyi.

Szczepan i Litwin usadowili się pod oknem w pokoju, paląc jeden fajkę, drugi papierosa — i przerzucając się od czasu do czasu jakimś krótkim słowem.

— A więc jakże, Szczepku — pytał Połubajtys — pójść na ten mityng?

— Nie.

— I nie pójdę.... Walenty także da pokój. To musi być głupstwo i kręcicielstwo.

— *You bet*:....

Zamilkli. Po chwili zaczął Szczepan:

— Wiesz, że dziś o 10ej muszę iść do roboty (Homicz w departamencie elektrycznym pracował prawie zawsze na noc i miał tylko co trzecią niedzielę wolną)... Odprowadzisz mnie?

— Dla czego nie?

— Mam z tobą do gadania.... Wyjdziemy wcześniej i przespacerujemy się. Zgoda?

Litwin skinął głową.

W tej chwili wybiegła z kuchni wesółka Mania.

— Panie i panowie! — zawołała wesołym, dzwięcznym głosikiem — proszę na kolację... Pierwszy i ostatni dzwonek! Min poważnych nie robić, o strajkach i innych okropnościach nie myśleć.... Do kolacyi! Będą delicye.... *strawberries* (poziomki) i piwo także.... a jakże!

Wszystkich ta wiadomość zainteresowała.

A Połubajtys przy tej sposobności gorąco ucałował czerwieńskiego, niż *strawberries*, buziaka swej ukochanej „pieszczoty”, jak ją nazywał.

Kolacya przeszła dość wesoło.

Po kolacyi Homicz udał się na górę, ażeby przywdziać roboczą odzież. Potem on i Jan, pożegnawszy się z kobietami, wyszli....

Na dworze zapadł już mrok. Dwaj mężczyźni szli obok siebie w milczeniu.

Osada była bardzo kiepsko oświetlona. Kilka wysoko zawieszonych latarni elektrycznych rozlewało błękitnawe światło z góry na domki i krzewy. Lampy wyglądały, jak gdyby wielkie gwiazdy zamglone... Na dole, szczególnie w punktach bardziej oddalonych od lamp elektrycznych, panował półmrok, rozjaśniany tylko światłem w oknach. Opodal czerniała potężna masa lasu, a nad nią unosiła się czerwona łuna od fabryk. Wieczór był piękny, krzewy i trawy wydawały upajającą woń. Mieszkańcy domków, głównie kobiety i dzieci, powychodzili na ganki, usadowili się na schodach i oddychali w milczeniu świeżem powietrzem.... Wyglądali, jak plamy na tle mroku. Wszędzie panowała cisza; tylko z paru domków biło światło i buchał gwar; huczała muzyka i odzywały się niesforne śpiewy.

Przechodniów prawie nie było.

Zrzadka z któregoś z domków ukazywała się ciemna postać mężka, której rysów nie było podobna odróżnić, oglądała się w koło ostrożnie — i znikła w jednej z poprzecznych uliczek.

— To do karczmy Jenkinsa — zrobił półgłosem uwagę Homicz.

— Zapewne — odrzekł Litwin — czy o tem chciałeś mówić ze mną?

— Nie....

Przez chwilę znów panowało milczenie, wreszcie Szczepan zaczął na nowo:

— Wiesz.... pannie Jadwidze zagraża znowu poważne niebezpieczeństwo.

— Jakie?

— Nie wiem sam dobrze.... przeczuwam je tylko. Mam zresztą do tego powód. Mówiłeś mi dziś rano, że widziałeś owego Bolo L. Kaliskiego czy też kogoś, który jest do niego podobny. To on sam. Jestem tego pewny....

— Przypuśćmy... cóż ztąd? — próbował oponować Połubajtys.

— Właśnie chcę ci powiedzieć. Ów p. Kaliski jest to łotr z pod ciemnej gwiazdy. Pod elegancką skórą arystokratycznego papinka ukrywa się w nim bandyta najgorszego gatunku. Jest to człowiek bez narodowości, żyd polski czy moskiewski, na pół zniemczony, na pół zamerykanizowany. Nie ma on żadnych ideałów narodowych; o moralności już nie mó-

wię. Dość dodać, że należy do sfory szpiegów politycznych, którą Moskale uszczęśliwiają wszystkie części świata.

— Ba.... ba.... Czyż to podobna?! — pytał zdumiony Połubajtys.

— To fakt.... Spytaj się Polaków w New Yorku. Przez lata całe kręcił się on między nimi, przybywał, znikał, odjeżdżał do Europy i wracał, prowadził różne interesa i machinacje.... Lubiono go nawet. Aż oto pewnego razu trafił zwykły — przez zapomnienie pozostawiony gdzieś, w knajpie, zwitek papierów — rzucił Nowojorczanom łuskę z oczu.... Przekonali się, kogo mają pomiędzy sobą. Owe papiery były to raporty o stosunkach polskich i innych w Ameryce, pisane w ten sposób, że nie mogły być przeznaczone dla nikogo innego, jak tylko dla konsula lub agenta carskiego. Przyparto wtedy pana brata do muru. Groziło mu, jeśli nie co gorszego, to porządne wytatarowanie skóry.... Wykręcił się przecież. Z niesłychaną bezczelnością okłamał oskarżycieli, że owe papiery to notatki czy też materiały do dramatu, jaki zamierza pisać. Obiecał pokazać im inne już napisane części tego utworu; bił się w piersi i przysięgał.... Wypuścili go na chwilę, ażeby się udał do swego mieszkania po rękopism dramatu... Naturalnie, nie pokazał się więcej. Nie słyszeli o nim kawał czasu, aż znów wypłynął...

Połubajtys słuchał z uwagą i dziwił się.

— Zkąd jednak to wszystko wiesz? — pytał.

— Zkąd?... Ze źródła najpewniejszego. Lecz o tem później.... Posłuchaj dalszej historii tego ptaszka. Wypłynął on znów w New Yorku, ale nie pośród Polaków. Do naszych zbliżał się zdaleka, myśląc, że może już zapomnieli o tamtej sprawie. Gdy pokazało się, że pamiętali ją aż zanadto dobrze, prysnął znowu.... Było to coś przed 3ma laty. Od tego czasu pokazywał się, rzecz prosta pod różnemi nazwiskami, w Ameryce, w koloniach polskich, słowackich, litewskich i rusińskich. A gdzie tylko się pokazał, wszędzie coś się stało. To zaburzenie parafialne, to jakaś awantura, to strajk nieoczekiwany i do wygrania niemożliwy.....

— Aha.... strajk — mruknął pod nosem Połubajtys.

— Wreszcie poznano się na nim wszędzie. Groziły mu grube nieprzyjemności. Pojechał się odświeżyć do Europy. Bawił tam kilka miesięcy. Wrócił odnowiony i ubrylantowany, jak nigdy przedtem, a losy — ten wyraz Szczepan podkreślił w mowie — losy sprawiły, że z nami się spotkał i nawet poznał na okręcie....

Połubajtys znów rzucił pytające spojrzenie na Homicza.

— I to jeszcze nie wszystko.... te same

„losy” zrzędziły, że panna Jadwiga zaraz na peronie kolejowym w Cleveland po wyjściu z pociągu spotkała zacnego pana Bolo L. Kaliskiego. Czy ty nie myślisz, że te zrzęczenia „losowe” są wprost podejrzane?

— Hm. .hm... czy ja wiem?

— A ja tak myślę. Co więcej, mniemam, że sprawcą napadu na pannę Jadwigę w Cleveland, sprawcą moralnym, a może nawet i jedynym z czynnych jego uczestników był tenże szlachetny p. Bolo. Gdym dowiedział się jeszcze w Cleveland o całej tej sprawie ze wszystkimi szczegółami i skoro usłyszałem o niespodziewanem spotkaniu Jadwigi z Kaliskim, przyszło mi to zaraz do głowy. Miałem już pewną podstawę do mniemania, że jest to człowiek podejrzany, bo gdym podczas parodniowego pobytu w New Yorku wspomniał raz jego nazwisko, już wtedy nazwano mi go szpiegiem... Tego nie było mi zresztą dosyć. Należało stwierdzić moje przypuszczenia. Napisałem do Gryzińskiego, prosząc go o kompletne informacye o owym „szpiclu”. Na koszt ewentualnego śledztwa posłałem 10 dolarów. Gryziński ma dość wężu i sprytu, ażeby się wywiedzieć o wszystkim; niektórych zająć był zresztą świadkiem sam. Przysłał mi w parę tygodni, o ile można kompletną historyę p. Bolo L. Kaliskiego, z nazwiskami świadków, z kopią owego raportu, który szpiega w swoim czasie skompromitował, a którego oryginał

znajduje się w pewnem ręku w New Yorku, słowem ze wszystkim. Posiadam także kopię listów, które pisano o Kaliskim z Berlina, Paryża i Petersburga do New Yorku, w odpowiedzi na zapytania. Mam więc pewność co do charakteru tego człowieka....

— I co ztąd wnioskujeś?

— To, że jest on zdolny do wszystkiego. Jadwiga, jak wiesz, przybyła tu z pewną tajemniczą misją. Celem jej jest odkryć nieznanych sprawców zbrodni z przed lat wielu; ci sprawcy lub ich agenci widocznie śledzili ją od chwili wyjazdu z Poznania i zaraz pierwszego dnia po przybyciu do Cleveland zadali jej cios. Czy jednym z tych agentów, a może i samym sprawcą zbrodni z przed lat nie mógł być Kaliski? Sądząc z jego przeszłości — jest to prawdopodobne. Sądząc z obecnego zachowania się — tem bardziej. Dowiadywałem się szczegółowo o to, co robił w Cleveland i czy uwierzysz, że nie zostawił tam żadnych śladów? Jak wiesz, razem z panną Jadwigą, jednym omnibusem, przybył on do hotelu „National“, pozornie z zamiarem zatrzymania się tam. Ale sam w hotelu wcale nie stanął. Świadczą o tem rejestra hotelowe. Zakręcił się po salach hotelowych i widocznie wyszedł. Nie stanął też w żadnym innym hotelu, któryby odpowiadał jego pozornej elegancji i pozornym środkom. Kaliski zniknął jednym słowem; za to nazajutrz po napadzie, około godz.

zej po południu, czyli akurat w godzinę po przybyciu pociągu z Cleveland, w banku nowojorskim odebrał pieniądze ze zrabowanego pannie Jadwidze przekazu na 250 dol. jegomość bardzo na Kaliskiego wyglądający... Opis tego człowieka dał Gryzińskiemu, na jego prośbę, kasyer, który przekaz wypłacał. Przypadkowo zwrócił on uwagę na owego odbiorcę, a na drugi dzień telegram policyjny zakwestyonował wypłacony już, na nieszczęście, ten przekaz.... I co ty na to wszystko?

— Hm.... poszlaki są, ale dowodów stanowczych, prawnych brak.

— Zgoda. Czyż jednak w obec tak wyjaśnionych faktów nie należy uważać przybycia Kaliskiego do naszej osady za niebezpieczeństwo dla panny Jadwigi?

— Tak — odrzekł po namyśle, Jan.

— Widzisz tedy, że zgodziliśmy się na to, co było punktem wyjścia naszej rozmowy. A teraz wynik jej praktyczny.... Czy nie sądzisz, że naszym, jako mężczyzn, obowiązkiem jest strzedz przed niebezpieczeństwem tę istotę, tak szlachetną i dzielną, a przytem tak nieszczęśliwą?

Głos jego drżał w tem miejscu. Litwin odpowiedział mu krótko:

— Tak, to nasz obowiązek.

I podał Homiczowi rękę. Uścisk dłoni dwóch przyjaciół starczył za pakt przyjęty i podpisany.

Teraz Szczepan objaśnił pokrótce Litwi-
nowi, w jaki sposób postępować należy, aby
ustrzedz Jadwigę od ewentualnego niebezpie-
czeństwa. Oni obydwaj pracowali w fabryce
na zmianę tak, że rzadko razem bywali w do-
mu. Każdy więc powinien dawać specjalną
baczność podczas nieobecności drugiego, szcze-
gólniej w nocy, kiedy Homicz prawie zawsze
był w zajęciu. Jadwigi samej na teraz niema
po co alarmować, gdy brak jeszcze faktów sta-
nowczych. Zresztą jutro rano, on, Szczepan,
uda się w okolice hotelu i sprawdzi, jak to na-
prawdę stoi rzecz z tym Kaliskim....

Na tem rzecz wyczerpano.

Godzina nocnej zmiany w fabryce zbliżała
się. Szczepan i Połubajtys znajdowali się te-
raz w pobliżu lasu i stacyi kolejki linowej,
przewożącej robotników na górę....

Było tu widniej.

Nieopodal, na skraju lasu wznosiła się je-
dna z ogromnych lamp elektrycznych, zawie-
szonych na szczycie pewnego rodzaju ażurowej
żelaznej piramidy. Dokoła lampy tańczyły w
górze wielkie żółte owady, a błękitne jej świa-
tło kładło się po trawie i piasku wielkimi ru-
chomemi kołami i wywoływało niezwykle efe-
kta u góry śród zieleni...

Opodal widniały latarnie stojących na
skraju lasu wagoników. Zaczęły już też ukazy-
wać się z różnych stron sylwetki robotników,
podążających na nocną zmianę do roboty.

— No, wracaj teraz do domu; czas na ciebie i na mnie — rzekł wreszcie Szczepan do Połubajtysa i podał mu rękę.

Ale Jan nie odpowiadał.

Przy mglistem świetle elektryczności Homicz spojrział na jego twarz i ujrzał ją dziwnie zmienioną. Żrenice były szeroko rozwarte; twarz pobladła, a wargi wykrzywiły się. Zaciekle jakaś nienawiść wybiła się na tej twarzy.

— Co ci jest, Jaśku? — pytał zatrwożony, a Litwin pochwycił go za rękę, ścisnął ją, jak w żelaznych kleszczach i głosem chrapliwym, jak gdyby go kto albo coś za gardło dusiło, rzekł:

— Patrz... patrz... — i wskazywał mu ręką w stronę zarośli.

Szczepan szedł wzrokiem w kierunku, gdzie mu wskazywano. Nie ujrzał nic niezwykłego. W błękitnawem świetle elektryczności, na szmaragdowem tle zieleni, widać było jakieś dwa cienie, zagłębiające się pomiędzy drzewa. Jeden był to mężczyzna barczysty i wysoki, drugi jakiś frant niski, mały, zwinny. Twarze obydwu znajdowały się w tej chwili w cieniu.

Byli dość daleko.

Naraz twarz niższego ukazała się w błękitnem kole światła elektrycznego. Była to twarz młodego chłopaka jakichś lat 27miu. Błada,

otoczona długimi splotami czarnych włosów, ozdobiona była czarną maleńką brodką i takiemż wąsikami; w kątach ust błyskał zły i szyderczy uśmiech. Kapelusz fantazyjny, miękki, odwinięty na bok uzupełniał całości. To wszystko dawało tej niewielkiej postaci jakąś artystyczno-złowieszcą cechę.... Homicz nie znał tego człowieka wcale.

Na Połubajtysa twarz owa wywarła niesłychane wrażenie.

Wyciągnął szyję — i rozszerzonemi źrenicami patrzył w przestrzeń, jak gdyby odtwarzając sobie w umyśle twarz owego franta.

— To on.... to on.... — zawołał wreszcie -- O, nikczemnik!

I rzucił się naprzód; potykając się o kępy trawy, korzenie drzew i kamienie, rwał naprzód. Sylwetki dwóch obcych zaginęły pomiędzy drzewami, a on biegł.... Szczepan stał zdziwiony — i pytał sam siebie:

— Zwaryował czy co?

V.

Hotel w osadzie X., tak zwany powszechnie „Papa's Hotel”, była to instytucja wielkiej, społecznej nawet, że się tak wyrazić należy, doniosłości.

Hotel był utrzymywany przez „Pape” Cummingsa.

Nie trzeba mniemać, że obywatel ten na-

zwany został „papa” od znacznej ilości dzieci; przeciwnie nie był nietylko dietnym, ale i żonaty (o ile sam wiedział). Nazwę „Papy” nadano mu, ze względu na wiek i na to, że był jednym z najstarszych w osadzie obywateli. Był to stary mulat z ogromną łysiną i dużemi kępami siwych włosów zamiast brwi nad oczyma, z nieodstępna fajką georgijskiego tytoniu w gębie i psem zwanym Bud przy boku. Urodził się on jeszcze kiedyś niewolnikiem, walczył potem podczas wojny domowej w szeregach Południowców, był następnie wędrownym „minstrelem”, wreszcie osiadł tutaj w górach pensylwańskich i powoli dorobił się „hotelu”. Ów hotel był to jeden z najparadniejszych, a w każdym razie największy w osadzie budynek, ba! — większy nawet od sąsiedniego ratusza wiejskiego (Town hall), odznaczającego się tem, że miał na froncie kopułkę, a w niej dzwonek na ewentualne alarmy ogniowe.

Zresztą owe alarmy zdarzały się tutaj bardzo rzadko, prawie tak rzadko, jak obcy goście w hotelu „Papy” Cummingsa.

Ów ratusz wiejski, zarówno jak i hotel stały przy jedynym „byznesowym” placu osady X., zwanym krótko „Square”. — Obok skupiły się i inne „byznesy”, jak np. szewc, który jednocześnie sprzedawał kapelusze, „ice cream” (lody) i gwoździe do podków; dwie grocernie, w których można było kupić literalnie wszystko; jeszcze jeden „saloon”;

„sztor” krawiecki, gdzie również można było dostać „patentowanych medycyn”; drukareńka, będąca także składem starzyzny; dalej t. z. „general store” itd. Hotel był dla tych byznesistów i byznesów niejako ogniskiem życia politycznego i umysłowego. Była to razem giełda i klub. Naturalnie, tranzakcje i wymiana opinii odbywały się zawsze przy „barze” (bufecie) papy Cummingsa.

Ztąd właśnie wielka popularność starego mulata, wielkiego poczciwca i wielkiego gaduły.

W poniedziałek rano około godz. 10ej — dzień ten, po krótkim deszczu nocnym, był ciepły a świeży — znajdujemy „Pape” siedzącego pod werendą, okalającą budynek na sposób południowy. Na drugim końcu skweru ukazał się Homicz. Widocznie zbliża się on do hotelu. To też „Papa” już zdaleka wita go żywymi gestami.

Szczepan niedawno wstał.

Już przy pracy nocnej i teraz od rana zadawał sobie pytanie, co znaczyło wczorajsze wieczorne postąpienie Połubajtysa. Wracając z roboty nad ranem, po drodze spotkał udającego się właśnie do pracy Litwina — i skostatował, że ten jest żyw i zdrów. Rozmawiać z nim nie miał czasu. Po przybyciu do domu poszedł na spoczynek, ale nie mógł spać. Wstał wcześniej, a zeszedłszy na dół, przy kawie, o-

trzymanej z pulchnych rączek Mani, dowiedział się od niej, że Jan wrócił wczoraj do domu dość późno i był jakiś markotny.... Rzecz prosta, Szczepan zamilczało nocnej przygodzie. Natomiast zapytał panny Jadwigi, kiedy myśli udać się do proboszcza, ks. Balińskiego, w wiadomej sprawie. „Choćby zaraz“ — była odpowiedź. Szczepan ofiarował się odprowadzić ją — i na to nastąpiła zgoda. Obecnie, pozostawiwszy dziewczę w kościele, sam skierował się w stronę „Papa's Hotel“.

Stary mulat miał to do siebie, że, że znał każde najmniejsze dziecko w osadzie, każdego był przyjacielem i nawet z każdym potrafił się, pomimo wszelkich trudności językowych — rozmówić. Przeważał on sobie z łatwością oddzielne wyrazy i zdania z licznych narzeczy, które w tej międzynarodowej, choć tak maleńkiej osadzie, obijały się o jego uszy — i tworzył ztąd zabawny zlepek, któremu lingwiści musieliby chyba nadać nazwę „języka Papy.“

Homicza, którego stanowisko w fabryce znał, powitał z ogromnym zapałem.

Nie upłynęło chwili — — i oto Homicz siedział już pod werendą, obok starego mulata.

„Papa“ poczęstował tytuniem. Szczepan odpowiedział propozycją „eye-openera“. Był to specjalny trunek, preparowany z gin'u i innych ingrediencyj (podług recepty „Papy“) przez Murzyna, pełniącego w hotelu skombi-

nowane obowiązki: kelnera, pokojówki, bar-keepera i kucharza. „Papa“ tylko gwizdnął i za chwilę stały przed nimi dwie szklaneczki z wonnym „drink’iem“.

Teraz rozmowa potoczyła się, jak z płatką.

„Papa“ miał zawsze coś do powiedzenia, dziś więcej, niż kiedykolwiek. Stał się fakt niesłychany. Jak osada osadą i hotel hotelem, tak nigdy dotąd nie było nic podobnego. „Papa“ miał w tej chwili aż sześciu gości odrazu w swym hotelu — i jakich jeszcze gości. Najpierw onegdaj nad wieczorem spadła mu na kark cała truppa wędrownych minstrelów, pięć osób, nie! właściwie cztery i pół, bo tej małej, smarkatej Nygierki nie można przecież liczyć za całego człowieka. A więc jest tego pięcioro: najpierw dwóch mężczyzn, jeden Murzyn, ten bardzo ładnie gra na „banjo“, umie połykać ogień i pysznie przewraca oczyma; drugi to biały, znakomity śpiewak, był gdzieś na królewskim teatrze, pochodzi z hrabiów czy markizów, a po Ameryce podróżuje *incognito*... (Tu „Papa“ przekrzywił twarz i podniósł wysoko kudłate brwi, na znak, że musi w tem leżeć jakaś tajemnica). Dalej jest bardzo piękna i bardzo młoda śpiewaczka, miss Steffi... coś przepyszniejszego... głos, jak złoto! No i dwie Nygierki, jedna, gruba, śpiewa i gra na bębnie, druga, mała, tańczy *gig’a*.

— Czy myśłą tu dać przedstawienie? —
wtrącił Homicz.

Naturalnie!.... To przecież ich byznes. Przybyli z sąsiedniego miasteczka, zbankrutowani zupełnie. Nie mają ani centa przy duszy. "Papa" daje im darmo mieszkanie i życie, a oni mu bawią gości swoim talentem. O! "Papa" sam był kiedyś takim wędrownym ptakiem, to wie, jaka to bywa bieda w podróży — i jest też dla nich litościwy.... Posiedzą tu z parę dni, niech się odżywią i odpoczną, a na zakończenie urządzi im się przedstawienie tam w wielkiej hali w tyle, zarobią kilkanaście dolarów — i pójdą sobie w świat. Chociaż....

— Co niby.... chociaż? — zapytał Szczepan.

Stary mulat uśmiechnął się tajemniczo — i szepnął na ucho Homiczowi:

— Chociaż nie wiadomo, czy Miss Steffi nie pozostanie z nami na zawsze.... Gruby Harald, ten Szwed, maszynista, tak się umizgał do niej już przez dwa wieczory, że tamten drugi, hrabia czy markiz, tylko wąsy sobie gryzł (ma bardzo ładne wąsy).... Ha, ho! z Haraldem niema żartu.... Jak się uweźmie, pojedzie do "skwajera" albo do pastora — i zaraz będzie ślub.

Szczepan pokiwał głową ze zdziwienia.

Ma się rozumieć, wszystkie te historye starego Mulata mało go zajmowały. Słuchał ich

tylko po to, ażeby się dowiedzieć czegoś o Kaliskim i jak dotąd, nie znajdował nic wcale...

Homiecz zapytał więc po chwili:

— No, to dopiero pięć osób czy tam cztery i pół.... A gdzie reszta pańskich gości?

— Reszta.... Ach, mr. Homitsch, — wołał pełen entuzjazmu "Papa" — reszta! to dopiero warte widzenia. Właściwie to jedna tylko osoba, ale co za osoba! Jestto cudzoziemiec, skończony "gentleman", który przytem w gorsie od koszuli nosi takiej wielkości brylanty.

I wskazał na swój własny, potężny nos.

Teraz Szczepan prędko przerwał dalszy wylew jego wymowy krótkim zapytaniem:

— Jak się nazywa?

— Henry B. Smith, inżynier z Denver, Col. — stary znów pochylił się do ucha Homicza: — I zdaje się, że jego bytność tutaj jest trochę w związku z naszymi fabrykami. Ja mam przeczucie, że to jest *manager* jakichś wielkich konkurencyjnych zakładów; chce tu się przyjrzeć, spenetrować. Pewno zada potem naszym — bobu....

Szczepan nie słuchał tej gadaniny, ale myślał.

To, że nazwisko było obce i dodana godność inżyniera — to nic; Kaliskiemu nie winą było podszywać się pod obcą skórę.... Za to już sam opis brylantów w gorsie wyglądał akurat na tego jegomości,

To też przerwał nagle staremu i zaczął mu opisywać dokładnie postać Kaliskiego. Zapytał wreszcie, czy tak nie wygląda jego gość p. Henry B. Smith. Istotnie tak... Stary był zachwycony.

— To widocznie pański przyjaciel! — wołał.

W tej chwili Homiczowi przysłała do głowy śmiała myśl.

— Zgadłeś pan — odrzekł — I dla tego odwiedziłbym go chętnie, jeśli jest w domu.

Znakomity p. Henry B. Smith był u siebie. Kelner wskazał Szczepanowi drogę — i za chwilę nasz bohater pukał do drzwi najpardonniejszego numeru hotelu „Papy“.

— Proszę wejść — odezwano się z wewnątrz.

Szczepan otworzył drzwi. Wnętrze pierwszorzędnego numeru hotelowego nie było wcale wspaniałem — trzeba to przyznać. W głębi na prawo łóżko, lustro między oknami, jakaś starożytna kanapka w rogu; na lewo przy ścianie stolik, który przy dobrej woli można było uważać za biurko, umywalnia i parę krzesel — oto i całe umeblowanie.

Przy biurku, obrócony tyłem do wchodzącego, siedział w kamizelce tylko, jakiś niewysoki brunet, pochylony nad papierami. Szczepan poznał w nim odrazu swego niegdy towarzysza podróży okrętowej, p. Bolo L. Kaliskiego.

Kaliski *alias* Henry B. Smith nie odwrócił się wcale i nie oderwał od pracy. Widać oczekiwiał na kogoś i sądził, że ten ktoś wszedł do pokoju. Rzucił tylko przez plecy jeden wyraz po moskiewsku:

— *Sadities* (siadaj pan).

I pisał dalej.

Szczepan zatrzymał się pośród pokoiku. A więc tak! — jego przypuszczenie się sprawdziło. To Kaliski. Co teraz? Fala myśli uderzyła Szczepanowi do głowy.... Cały obrócił się we wzrok — i patrzył na biurko Kaliskiego. Przed nie domyślającym się jego obecności szpiegiem leżały na stole jakieś zwitki papierów, ściągnięte gumkami, portfel safianowy z listami — wreszcie papier listowy, na którym ten obywatel przed chwilą zaczął coś pisać. To dokumenta — w nich może być wszystko! Serce uderzyło Szczepanowi głośno. Nic nie mówiąc, zbliżał się powoli ku siedzącemu przy biurku. Głoski listu, które tamten szybkimi ruchami ręki kreślił, stawały mu się coraz widoczniejszymi. Było to pismo niemieckie.

Homicz czytał przez ramię Kaliskiego, co następuje (słowa listu podajemy w polskim przekładzie):

„X., lipca 188....

Wielmożny bar. Albert v. Felsenstein.

Berlin.

Trafiłem znów, stosownie do poleceń Waszej Wielmożności, na ślad wiadomej osoby. Może się

znowu stać niebezpieczną.... Nigdy nie zarzuciła swych zamiarów, chociaż brak dowodów i pieniędzy od czasu clevelandzkiego wypadku uniemożliwił jej wszystko. Przypuszczam, że lada chwila może znów dostać pieniądze, a wtedy będzie źle.... Niebezpieczna to przeciwniczka.... Co z nią robić?! Napisz pan.... lub zatelegrafuj. Mojem zdaniem, radykalne niebezpieczeństwa radykalnie usuwać trzeba.....“

W tej chwili obecność Homicza po za krzesłem piszącego zaczęła na tego ostatniego oddziaływać niemal magnetycznie. Przerwał pisanie i nie odwracając głowy, zapytał po rosyjsku:

— *Otczewoż nie saditieś, Aleksiej Iwanowicz? Chotitie papirosku?* (Dla czego pan nie siadasz? Chcesz pan papierosa?)

Milczenie.

Odwrócił wtedy głowę — i spostrzegł Homicza.

Zrozumiał odrazu. To był wróg. Trudno powiedzieć, czy poznał Homicza, którego od czasu przejazdu przez Ocean nie widział wcale, jakkolwiek pewno słyszał o nim z powodu Jadwigi; to pewna, że wyraz energii i oburzenia, bijący z twarzy Szczepana, nie był bynajmniej dwuznacznym.

Ten człowiek dobrze mu nie życzył.

Kaliski-Smith porwał się z krzesła z taką gwałtownością, że krzesło upadło z hukiem

na podłogę. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, widocznie po rewolwer, ale napróżno. Ręka jego w tej chwili znalazła się w kleszczach potężnej lewicy Szczepana. Prawą ręką Homicz usiłował mu wydrzeć początek dopiero co kreślonego listu, — Kaliski zacisnął jednak papier w pięści.

Zaczęło się szamotanie.

Podczas milczącej walki, myśli przebiegały im przez głowę, jak błyskawice. „Jego listy, jego papier!” mówił sam do siebie Homicz, „a nasza tajemnica będzie jasna, jak dzień!” Kaliski zaś myślał: „Już wiem, co to za człowiek, to ten przekłety głupiec z okrętu.... Czego chce? Papierów.... Tem gorzej dla niego! Nie dostanie ich, chyba ja trupem padnę!”

Milczeli, sapiąc ciężko.

Kaliski rozumiał, że krzyk spowodziłby pomoc.... Ale on nie chciałby mieszać na razie w swoje sprawy ludzi. Czuł, że jest słabszym i że uległby niezadługo. Oczekiwał przecież co chwila jakiejś pomocy czy interwencji. Spoglądał na drzwi. Jeśli te drzwi się nie otworzą, jeśli nie nadejdzie ten, kogo czeka, będzie musiał krzyknąć....

Już Szczepan trzymał go żelaznymi rękoma za ramiona, już szpieg otwierał usta...

Gdy oto istotnie ktoś znów zapukał trzy razy do drzwi. Po czerwonej od wysiłku twarzy Kaliskiego przebiegł uśmiech.

— *Spasajtie!* (Ratuj pan) — za ledwo wyszeptał po moskiewsku.

I oto znów drzwi się otworzyły.

Szczepan odwrócony był tyłem do drzwi, ale wprost przed sobą miał lustro. Jeden rzut oka w lustro -- i ujrzał tam odbitą z poza siebie twarz tę samą, która poprzedniego dnia wieczorem, pośród drzew, na tle migotliwego światła elektrycznego, tak przeraziła Połubaj-tysa. Te same długie czarne włosy, ten sam wąsik i bródka, ten sam uśmiech złośliwy i ten kapelusz zmięty, fantastyczny.

Spojrzenie w lustro ocaliło Homicza.

Uśmiech, który rysował się na twarzy nowo-przybyłego, był szkaradny. Od jednego spojrzenia zrozumiał on sytuację. Przez sekundę zastanawiał się, co ma robić. Wreszcie sięgnął do kieszeni — i wyjął z tamtąd narzędzie podobne do pałki policyanta, krótkie, elastyczne, zakończone ciężką gałką.

Skradał się teraz z tyłu, kociemi krokami, ku Homiczowi.

Widocznie nie chciał, tak samo, jak Kali-ski, robić hałasu. Jedno uderzenie w głowę — i Szczepan będzie ogłuszony, nie zabity zresztą. Będzie wtedy czas namyśleć się, co z nim robić.

Ale, jak rzekliśmy, nowo przybyły racho-wał — bez lustra.

W chwili, gdy zbliżył się ku Szczepano-wi o dwa kroki z tyłu i podniósł swą pałkę do

wysokości głowy chłopca, ten gwałtownym wysiłkiem porwał wciąż szamocącego się Kaliskiego, uniósł go w górę, i zrobiwszy pół obrotu dokoła siebie, rzucił go niemal na nowo-przybyłego. W ten sposób nadstawił na cios zamiast siebie — Kaliskiego.

Istotnie pałka spadła z głuchym jękiem na kark ubrylantowanego szpiega. Kaliski omdlał.

W położeniu nie o wiele lepszem znalazł się nowo-przybyły. Uderzenie całym ciałem Kaliskiego było tak silne, że zachwiał się i o mało nie upadł.... Przykląkł na jedno kolano, chwycając się....

Trwało to wszystko jedno mgnienie oka.

Ta chwila wystarczyła Szczepanowi. Jednym skokiem był przy drzwiach, a wnet — i za drzwiami.

W kurytarzu zatrzymał się.

Był prawie pewnym, że tamci dwaj za nim gonić nie będą ani nie zrobią alarmu. Nowo-przybyły — widocznie jego to oczekiwał Kaliski i jego nazwał imieniem Aleksieja Iwanowicza — będzie miał dość do roboty, ażeby przyprowadzić swego towarzysza do przytomności.... Szczepanowi szło teraz o to, czy hałas dotychczasowej ich walki — jakkolwiek toczony dość cicho — nie zwrócił już uwagi w hotelu. Upadek krzesła, potem upadek Kaliskiego na Aleksieja mógł wywołać zaniepo-

kojenie.... Rzeczywiście, w tej chwili drzwi numeru, najbliższego schodów, otworzyły się.

Co robić?

Szczepan nie namyślał się.... Poprawił ubranie, zmusił twarz do wyrazu spokoju i obojętności — i krokiem zwykłym, nie śpiesząc się, skierował się ku schodom. Drzwi ostatniej izdebki były istotnie otwarte, a w progu grupowały się trzy zaciekawione postacie kobiece. Dwie były to Murzynki, jedna dorosła i otyła, druga niemal dziecko, obie w odzieży mocno zaniedbanej. Od ich hebanowego tła korzystnie odbijała postać młodej kobiety białej, o twarzyczce ładnej, choć malowaniem zepsutej i czerwonych zmysłowych ustach; ubrana była w długą, zniszczoną suknię, podobną do peniuaru, a długie blond włosy miała rozpuszczone na plecach....

Był to obrazek efetowny; to też przyciągnął uwagę Szczepana.

Podniósł wzrok na twarz białej kobiety — i nie mógł go od niej oderwać. Twarz jego, przed chwilą czerwona od napływu krwi, odrazu pobladła. Ręka mimowoli wyciągnęła się do tego zjawiska.

I ona była równie wzruszoną. Spuściła oczy — i czerwony, jak krew, rumieniec wstępu oblał jej czoło.

— Pan.... ty.... tutaj -- wyszeptała.

— Pani.... — zaczął on.

Ale w tej chwili nastąpiła dywersya. Z poza pleców kobiet zasyczał po angielsku głos jakiś gardłowy:

— Steffi. . . . Co robisz?

Czar jednej chwili prysnął. Szczepan przywołał siebie samego do porządku. Zrozumiał, że młoda kobieta, którą niegdy w Warszawie znał jako Stefkę, która, jak się w New Yorku przekonał, była żoną nieszczęśliwego Cierzana, znajduje się w otoczeniu, czyniącem dla niego dostęp do niej niemożliwym. . . . I zresztą, coby z nią teraz uczynił, choćby nawet mógł ją z tej smutnej sfery wyrwać? Przecieżby jej nie wprowadził do jasnego otoczenia, w którym żyje obecnie Jadwiga. . . . Nigdy!

Otrząsł się, odwrócił — i skierował ku schodom. Tymczasem piskliwy głos ze środka pokoju coraz niecierpliwiej syczał:

— Steffi. . . . Steffi!

Na zmysłowe usta młodej kobiety wybijał się gniew. Oczy jej miotały błyskawice za odchodzącym. Poczwała, że on nią gardzi.

W kilku skokach Szczepan znajdował się pod werendą. Chciał biedz dalej, ale zatrzymał go szepleniący głos starego Mulata.

— No i jakże — pytał „Papa” — cóż pański przyjaciel?

Te słowa obudziły Homicza, jak gdyby ze snu jakiegoś przykrego. . . . Zatrzymał się. Widocznie na dole stary nic nie słyszał.

— Mój przyjaciel? — odrzekł — O, on jest *all right*. Chociaż... — nowa myśl przyszła Szczepanowi do głowy — zapomniałem mu jeszcze coś powiedzieć.... Masz pan kopertę i kawałek ołówka?

— Naturalnie.

I „Papa” gwizdnął przeciągle na swego Murzyna.

— W takim razie napiszę mu to, co zapomniałem....

Za chwilę siedział i pisał po polsku:

„....Panie! — Znam pana i wiem, kto jesteś. Mam z New Yorku wszystkie szczegóły. Czytałem przez ramię twój list do Felsensteina. Jesteś szkaradnym łotrem. Wiem, po co tutaj przyjechałeś — i żądam, ażebyś dziś do godziny 3ej po południu wyniósł się ztąd precz, razem z pańskim pomocnikiem Moskałem — na zawsze. Żądam stanowczo. Inaczej, przysięgam na Boga! zginiesz z mojej ręki. Zastrzelę cię, jak nikczemnego psa... W każdym razie obronię ją przed tobą.... Jesteśmy już ostrzeżeni. Pamiętaj o New Yorku, o Gryzińskim i o dramacie p.t. „Raport szpiega“, którego jesteś autorem.....“

Szyderczy uśmiech skrzywił wargi Szczepana, gdy kończył te słowa. Zamiast podpisu położył krzyż w formie sztyletu, liścik zamknął w kopertę, zaadresował: „Henry B. Smith” i rzekł, podając Mulatowi:

— Proszę oddać „gentlemanowi” za jaką godzinę. Teraz zapewne śpi.

I oddalił się krokiem spokojnym i lekkim. Z poza żaluzji jednego z okien pierwszego piętra śledziło go iskrzące się złością i dumą obrażoną spojrzenie Stefki z Warszawy, obecnie primadonny na pół „nygierskiej” truppy „minstrelów“.

W półtorej godziny potem p. Henry B. Smith, znakomity inżynier z Denver, Colo., *alias* szpieg Kaliski z Petersburga, odebrał krótką, a zwięzłą epistolę Homicza. Leżał w łóżku z obwiązaną głową, a przy nim z szatańskim swym uśmiechem siedział, kołysząc się w fotelu i puszczając wielkie kłęby dymu w górę, Moskał Aleksiej Iwanowicz.

Milczeli dotąd.

Kaliski zaledwie przyszedł do siebie po uderzeniu, przeznaczonem dla Homicza. Stękał ciężko.... Zbierał się na rozmowę z Aleksiejem. Ten żądał wyjaśnień, twierdząc, że brak mu czasu.

Zastukano — i Murzyn oddał list.

Kaliski przeprosił Moskala i przeczytał. „A, przeklęty!” — rzucił przez zęby po rosyjsku i podał list Aleksiejowi.

Tamten przejrzał i zapytał:

— A więc co?

Twarz eleganckiego p. Bolo L. Kaliskiego wykrzywiła się dziką złością.

— Nic — odrzekł — posłuchamy rozkazu tego panicza.... Dziś jeszcze posłuchamy!

Moskal wzruszył ramionami — i rzucił zapytanie:

— Z jakiej racyi?

Bolo L. Kaliski uśmiechnął się pogardliwie — i oparł się na łokciu, jak gdyby zabierając się do dłuższego gadania.

— Ty, Aleksy, masz zawsze dużo ognia, ale mało lub nie prawie spokojnej rozwagi. Raz ci się udało, tu przed godziną, żeś nie strzelał. (Aleksiej palił spokojnie papierosa i puszczał coraz to większe kłęby dymu w sufit.) Z jakiej racyi mamy opuścić tę dziurę? — Z takiej, że na dyabła nam skandal!.... Czy po to przyjechaliśmy w te kąty, ażeby się rozbić z jakimś durniem?

Aleksiej poruszył głową na znak, że nie.

— Otóż, jeśli chcemy dopiąć celu, do którego obydwaj dążymy, to jest, jeśli chcemy skruszyć tutaj żelazną potęgę kapitału, nie pozostawić kamienia na kamieniu, przygotować grunt do ogólno-amerykańskiej rewolucyi socyalnej i raz wytworzyć na tej ziemi porządną anarchię, musimy działać ostrożnie... Osadę X. obraliśmy tylko przypadkowo za miejsce bytu. Nie jest ona zbyt dogodną. Już zresztą po części wczorajszy mityng zrobił swoje.... Możemy dalej czuwać nad tym punktem zdaleka. I moje osobiste interesa nie wymagają także stałej tutaj bytności....

Moskal już pogodził się z myślą wyjazdu.

— Tymczasem — ciągnął dalej Kaliski — parę słów o naszych interesach.... Wybornie im wczoraj gadałeś w karczmie Jenkinsa.... Dla czegoś wieczorem, po mityngu, nie przyszedł do mnie? Gdzie Zawalidroga? Co słychać nowego?....

Aleksiej przeciągnął się w fotelu.

— Powoli.... powoli. Za komplement dzięki. Wiesz, że to robię nie dla zysku, jak wy, ale z przekonania; składniej mi więc idzie. Co do wczorajszego wieczora, nie byłem, bo mnie też spotkała przygoda. Gdym szedł z Szymkiem, spotkał nas i zaczął gonić jakiś waryat....nie wiem, czego chciał.... W każdym razie z tej samej przyczyny, dla której i ty nie chcesz skandalu.... nadłożyliśmy drogi i było zapóźno. Szymek leży na naszej kwaterze, u Wyrwidęba, pijany, jak bydlę. Od tego Niemczury Grossberga był list.

— Zkąd?

— Z osady Y.... Pisze, że mu między Niemcami idzie trudno.

Kaliski zamyślił się.

— A więc przeniesiemy się do Y. dziś jeszcze....

Uniósł się w łóżku i stęknął. Kości go bolały. „Mógłbyś też walić nie tak mocno!” mruknął pod adresem Aleksego „Kości mam przetrącone...” (A Aleksiej uśmiechał się złośliwie). Zeskoczył z łóżka, obmacał całe cia-

ło — i postępując, zaczął porządkować odzież i papiery.

W jakie 10 minut był gotów.

Podniósł jeszcze rzucony na podłogę list Homicza — i włożył do portfelu; mruknął przytem:

— I to się przyda.....

.....
Tego samego poniedziałkowego poranka, jak wiemy, Jadwiga udała się do kościołka, ażeby poradzić się w swoich trudnościach ks. Balińskiego.

Musiała czekać dość długo, zanim proboszcz był wolny. Najpierw, staruszek kapłan kończył Mszę św., powtóre miał parę osób do Spowiedzi, potem były jeszcze inne czynności do załatwienia.....

Jadwiga czekała cierpliwie.

Uklęka w ławce z boku i modliła się. Modlitwa jej płynęła prosto z serca do Pana nad Pany. Zawsze była religijna i pobożna, od roku z górą; lecz od owej chwili pamiętnej, która ją wytrąciła ze zwykłej kolei spokojnego życia i rzuciła daleko między obcych, w trudne i ciężkie dla niej stosunki, na przygody i niebezpieczeństwa, od tego czasu podtrzymywała ją i dawała jej siłę — modlitwa. Bez wiary w Bożą wszechmocność i sprawiedliwość, bez tych chwil, w których ból swój składała u stóp Pana, rozpiętego na krzyżu i garnęła się pełna

ufności pod płaszcz i opiekę Maryi Najświętszej, złamałaby się już dawno pod ciężarem który jej spadł na młodzieńcze ramiona.

Oni, Chrystus ukrzyżowany i Matka Bolesciwa, bronili ją przed zwątpieniem, pocieszali i dodawali sił.

I tym razem, rozmowa z tymi Opiekunami niebieskimi dodała otuchy i spokoju Jadwidze. Długo, długo modliła się, prosząc o oddalenie goryczy i bólu od miotającej się w niepokoju jej duszy, o przyczynienie się do spełnienia zadania, które od roku z górami było celem jej życia; modliła się nie o zemstę nad winnymi, ale o sprawieliwość Bożą, o spełnienie ostatnich próśb niewinnie skazanego — i po tej modlitwie wielka cisza objęła ją całą.

Mówiła w duchu, wpatrzona w lampkę, tlejącą złocistymi blaskami przed obrazem Ukrzyżowanego:

„O, Panie? Ty sam, Bóg i Wszechmoc, dałeś za nas, mizernych i grzesznych, krew twą i ciało.... Zawisłeś na krzyżu ze złoczyńcami, niewinny nad najniewinniejsze, najczystszy nad najczystsze.... I cóż my....my.... proch i nędza w obec Ciebie? Czem nasze bóle i hańby i cierpienia w obec Twoich ran i cierni!”

I obejmowała okiem ducha cały bezmiar odległości od śmiertelnika, skazanego na śmierć choćby najbardziej hańbiącą z wyroku sądów

ludzkich, do wszechogromu boleści Boga, Syna człowieczego, który dał swe życie, z woli własnej, za ludzkość. . . . Liche ziarno piasku, spoczywającego w głębi Oceanów — i słońce wszechpotęga!

I Jadwiga coraz się czuła spokojniejszą i cichszą. Co ona? co jej sprawa — w obec tego wszechpoświęcenia, a choćby w obec milionów istot ludzkich, bolejących i walczących, grzesznych i żałujących, nędznych i szlache-tnych, które szły przez wieki i kraje i burze wydarzeń, i idą dziś i iść będą przez wieki, oży- wione tą Bożą wszechłaskawością?

Łzy napełniły oczy jej. Uderzała się w pierś — i powtarzała:

— Bądź wola Twoja, Panie, bądź wola Twoja!

Zatopiona w modlitwie, nie zauważyła na- wet, że proboszcz wszedł już do zakrystyi. O- budziło ją dopiero dotknięcie ręki starego, zgię- tego na pół i poruszanego ciągle drżeniem, ni- by liść osiki, dziada-zakrystyana.

— Paniusieńka, do proboszcza? . . .

— Tak, mój Wojciechu.

— A to trzeba. . . . na plebankę. . . . niech panusieńka idą.

Jadwiga skończyła modlitwę ostatniem westchnieniem, położyła krzyż na czole i po- dążyła za staruchem przez zakrystyę.

Ubożuchny to był kościółek, drewniany, maleńki, dość niekształtnie z belek zbudowany; wewnątrz miał puste prawie; skromny ołtarz jeden i parę obrazów, lampka, konfesjonał i ławek kilka stanowiły cały jego wewnętrzny aparat, — ale jakkolwiek był biednym ów kościółek, o wiele mizerniejszą i biedniejszą wydawała się owa t. zw. „plebanka”, stojąca obok, tylko przez miedzę. Była to chałupinka jednopiętrowa, ledwo sklecona, chyłająca się na bok, przygniecona, czarna, jakiejbyś węglarzowi lub smolarzowi nie dał za mieszkanie.... Więcej, jak trzy izby poprzeczne, w sobie nie mieściła; okna miała maleńkie, pokrzywione.

Po schodkach koszlawych, z boku do izdebki przystawionych, weszła Jadwiga do wnętrza.

Był tu paradny pokój proboszcza, biedactwo jeszcze większe wewnątrz, aniżeli na zewnątrz. Ściany wapnem pomazane, modlitewnik, parę stołków, na ścianach obrazy, w głębi wąskie łóżko ascety — oto i wszystko. Z drugiego pokoju widniało parę ławek prostych; tam była szkoła, w której proboszcz obowiązki nauczyciela pełnił, jeśli byli uczniowie. W trzecim i ostatnim na kuchnię przeznaczonym, leżał dziad-zakrystyan i jego baba, kucharka i gospodyni w tem zaiste pustelniczem, plebańskim obejściu.

Pośród tej nędzy i prostoty niemal aureolą świętości otoczona była postać plebana.

Staruszek już był. Mógł mieć lat 70, a może i więcej. Gdy go pytano, ile miał lat, odpowiadał niechętnie: „Już ja tego i nie rachuję.... Pan Bóg mi je tam policzy, wszystkie co do jednego i ani jeden tam mi nie zginie i ani jedna zasługa, ani grzech jeden“. Postać miał pochyloną, ale krzepką, choć niewysoką. Niekiedy, podczas służby Bożej, w chwilach Podniesienia lub innych ważnych momentach, umiał ją zresztą rozprostować i podnieść.... Wtedy w Sakrament, jak w słońce patrzył.... Twarz, zawiędła teraz i siecią zmarszczek pokryta, życiem przetrawiona, piękną była nie tyle fizycznie, ile duchem, który z niej tryskał. Oczy szczególnie były głębokie, a jakiegoś wielkiego miłosierdzia pełne.

Bo też miłosiernym po nad wszelką miarę był ks. Ludwik Baliński. Żył nie dla siebie, ale dla drugich.

Trudna tu była jego rola i praca niewdzięczna. Parafijka była maleńka. Należało do niej kilkadziesiąt rodzin polskich i litewskich i to biedaków największych, z osady X. i z osad sąsiednich. Przychodzili też i Słowacy i Włosi i Niemcy. Z każdym ksiądz Ludwik potrafił się ich językiem rozmówić, każdego przyjął, pocieszył, każdemu pomocy religijnej udzielił — i jeszcze wsparcie dał w potrzebie. To też

nie dziw, że bogatym nie był; przeciwnie nie-raz w skromnej plebance nieomal jeść co nie było.

Wchodzącą Jadwigę powitał ks. Ludwik jasnym uśmiechem.

— Witajcież, panienczko — wołał — a cóż to znowu was do mnie przypędziło?..... Siadajcie i opowiedzcie. A tymczasem baba mi tu da kawy garnuszek.

Jadwiga siadła i zaczęła opowiadać o najnowszym zdarzeniu, o liście z czekiem na \$1000, otrzymanym dnia poprzedniego. Przedstawiała rzecz w ten sposób, że nie uważa za możebne użyć na własne potrzeby i sprawy tych pieniędzy, niewątpliwie ze złego pochodzących źródła; chciała tylko aprobaty kapłana, ażeby, jak mówiła, nie mieć sobie do wyrzucenia, iż nie dość uczyniła dla swej świętej sprawy, nie dość pamiętała o przywróceniu czci nieszczęśliwemu swemu ojcu.

Ksiądz Ludwik znał sprawę Jadwigi.

Powierzyła mu najpierw na spowiedzi niektóre wątpliwości, jakie sumieniem i sercem jej targały; potem ośmielona dobrocią starca, była parękroć u niego w tej skromnej izdebce na plebanii, opowiedziała rzecz całą — i radziła się go w różnych trudnościach.

Starzec słuchał jej i teraz uważnie, a wysłuchawszy, zamyslił się głęboko.

— Nie.... nie.... — rzekł wreszcie —
To pieniądze przekłete, tych pieniędzy, dzie-
cko moje, użyć nie powinnaś. Krew i brud na
nich.... Przywarło do nich zło i występki, a
takiego środka do osiągnięcia celu szlachetne-
go używać nie wolno. Słusznie mówisz, że nie
jest to zwrot tego, co tobie zabrano, ale jał-
mużna z ręki nieczystej.... To, co twoje, je-
śli tak Bogu podobać się będzie, odbierzesz.....
a nie, to i cóż? Marne to wszystko dobro na-
sze na ziemi, było.... przeszło.... i niema go.
Zdrowa jesteś i młoda, da Bóg! na siebie za-
pracujesz....

Kapłan przerwał, zamyślił się, a potem
znów zaczął:

— Ot, widzisz tę rękę... — podniósł nie-
co do góry dłoń małą, elegancko do dziś utrzy-
maną, rasową — Garściami wyrzucała ona niegdyś,
przed laty, złoto i srebro, garściami czerpała ze
skarbcza, zdawało się, niewyczerpanego....
wszystkiego, co stanowi, rozkosz i dumę świa-
ta, mogła dosięgać... i cóż że dziś sama nieraz
kołki strugać musi do rozlatującej się tej tu
chałupiny? Czy człowiek przez to naówczas
był szczęśliwym, a teraz jest nieszczęśliwym?
Przeciwnie. Dziś w duszy spokój i cisza, a
wtedy była rozterka.... huczały huragany na-
miętałości, biły się ze sobą grzechy i wystę-
pki....

Jadwiga nie zdziwiła się tym słowom.
Znała ona z urywkowych słówek kapłana szkic

jego życia poprzecznego. Był kiedyś możnym panem, grzeszył wiele, aż dopiero, gdy w życiu jego padł cios jakiś, w późniejszym już wieku, pokajał się — i został kapłanem.

— Tak... tak, nie bierz, dziecko drogie, tych pieniędzy przeklętych!

— Cóż więc mam z niemi zrobić? — zapytała Jadwiga, wydając czek z portmonetki.

— Co?... Zostaw u siebie i czekaj. Przyjdzie czas; los, jak wy mówicie, a jak ja powiadam, wyroki Boskie, postawią cię może w obec tego, który ci to przysłał, oddasz mu.... A że do tego czasu gdzieś bez użytku będzie leżało złoto, którego wartość przedstawia ten zwitek papieru, to i cóż ztąd? Bogactwa nieprzebrane, z woli Boga, leżą od wieków w głębi ziemi — i złoto i brylanty i srebro i to wszystko, co ludzi tutaj na ziemi i mami i nieczystem szczęściem uszczęśliwia, — a jednak nigdy może tych miliardów pomnożonych przez miliardy dłoń ludzka nie dotknie....

Jadwidze jednak takie nieprodukcyjne pozostawianie pieniędzy bez użytku jakoś nie bardzo przemawiało do przekonania. Mogły lata upłynąć bez wieści o Morskim, — w takim razie sumka ta niepotrzebnie powiększy fundusze banku, któremu cała ta sprawa jest obojętną i który dostanie w ten sposób to, co mu się nie należy.

To też Jadwiga zaproponowała nieśmiało:

— A możeby te pieniądze użyć w ten sposób: odczekać pewien czas, a potem rozdać je pomiędzy ubogich, wesprzeć niemi nędzarzy?... Jeśli z krzywdy czyjej pochodzą, niechby prawdziwemu cierpieniu i nieszczęściu przyniosły ulgę.

— Nie....nie.... — odrzekł na to z energią staruszek ksiądz — to być nie może. Pieniądzy takich nawet i na ten cel jabym nie użył. A o krzywdzie, co mówisz, dziecko moje, to wiedz, że wyroki Boskie są niezbadane. Nie naszą rzeczą ludzką jest sądzić.... Wszehmocność Boża wie o wszystkim i wszystko osądzi sama. Gdy krzywda ma być naprawioną, będzie; jeśli nie, muszą być na to powody, o których nie nam w mizerocie rozumu naszego sądzić. Pan jest sprawiedliwy. On karze i nagradza wedle wszechrozumu swego.... Sprawiedliwość Boża nie ma granic. Idzie ona za grzesznikiem czy winowajcą przez góry, morza, lasy i Oceany.... Jest zresztą nietylko surową, ale i pełną zmiłowania. Daje czas grzesznym do żałowania i naprawy złego. Ale przychodzi chwila, że uderza grom Boski — i złe zostaje zmiążdżonem. Sąd następuje i kara.... Weź swoją własną sprawę. Czy nie jest to najdziwniejsze właśnie zrządzenie Opatrzności? Po latach, z poza Oceanu, z drugiej półkuli globu ziemskiego, przychodzi do ciebie głos ojca twego, który padł ofiarą zbrodni, i oto ów shańbiony znajduje w tobie,

jeśli nie mścicielkę, to wykonawczynię wyroków Bożych.... Na zbrodniarzy już czas, na karę Bożą czas! Drżą oni, niewiadomi dziś jeszcze, ukryci, — ale przyjdzie chwila i uderzy grom Boży. Tak, moje dziecko, dziw się wyrokom Opatrzności... Czyż nie mogłoby się zdarzyć, że po latach 18tu złoczyńców owych mogłoby już nie być na świecie? Ileż to istot ludzkich umiera na olbrzymim naszym globie? Czemu żaden z nich nie był w liczbie tych milionów i miliardów, które umarły?.... Bo tak chcą wyroki Boże! Bo kara ma być na nich wykonana. Że są, że żyją, czujesz to dobrze... Te napady tajemnicze na ciebie, te sieci dziwne, któremi cię oplątują, to dowód ich istnienia.... Nie bój się mimo to! Włos ci z głowy nie spadnie.... Bądź mężną, czyń z wiarą, odpychaj pokusy, jedną z których są niewątpliwie te pieniądze przeklęte, a sądy Boże się spełnią.... Nie uciekną oni przed karą Bożą, choćby się schronili za lasy i morza, w głębinę pieczar ziemi i na wierzchołki gór, choćby skrzydła mieli i w przestrzeń, jako ptacy, unieść się mogli.... Kara ich dosięgnie. Kara Boża idzie przez lądy i idzie przez Oceany!

Skończył zmęczony wysiłkiem starzec, a Jadwiga, która już przed chwilą osunęła się z krzesła na ziemię, klęczała u stóp jego, płacząc....

VI.

Upłynęło znów kilkanaście dni.

Przez owe dni w cichej dolinie, kryjącej w swojej głębi osadę X., życie przyśpieszonym pulsowało tętnem. Na pozór, na zewnątrz, nic się nie zmieniło, — pomimo to wszyscy czuli, że zbliża się jakaś burza.

Obejmowała ona szerszy zakres; szła dalszemi kołami. Czuć już było podziemne jej pomruki.

P. Bolo L. Kaliski *alias* Henry B. Smith (nie licząc całego półtuzina innych jego nazwisk) zniknął wprawdzie z osady X. tegoż dnia, gdy nastąpiły wypadki w ostatnim rozdziale opisane i więcej się tam nie pokazał sam, ale za to widziano go często to tu, to owdzie w sąsiednich osadach, a stałą kwaterę miał on w jednym z pobliskich większych miasteczek — i ztamtąd przez swych adjutantów kierował akcją w sąsiednich dolinach. Była to bowiem istotna „akcja”, obliczona na to, ażeby wywołać gwałtowną burzę robotniczą w tej okolicy. Skierowaną ona była przeciwko pięciu lub sześciu zakładom w kilkunastomilowym promieniu.

Naturalnie na pierwszy sztych musiały być wystawione największe i najpotężniejsze „Excelsior Works”.

Jaki był cel robót Kaliskiego? — Wiemy już z własnych słów, otwarcie wypowiedzianych przezeń do pierwszego jego adjutanta, Moskala Iwanowicza. Ci dwaj niewiele mieli po-

między sobą tajemnic. Widzimy zresztą, że Aleksiej wyraźnie uwydatnił w tej akcji różnicę pomiędzy sobą a Kaliskim. Kaliski był głową przedsięwzięcia, ale działał w czyimś innym interesie, za pieniądze, — gdy przeciw- nie Moskal, jeden z najdzikszych apostołów a- narchii i przewrotu, nihilista, który umknął z Rosyi przed wyrokiem śmierci, chciał ruiny społecznej z zasady, dla przyjemności niszcze- nia, z niepohamowanego fanatyzmu i wstrętu do wszelkiego społecznego porządku.... Je- den był zapłaconym łotrem, drugi — dzikim szaleńcem.

W czyim interesie działali? — wiedział to na pewno jeden Kaliski, podejrzewał tylko A- leksiej. W tych pennsylwańskich osadach, na dnie dolin, osiadło gromadnie tylu poddanych z pod różnych berł carskich, że rządy cesarskie zaczęły się nimi już oddawna niepokoić i zaj- mować. Sztandar polskości, rusińskie idee na- rodowe, duch litewski rozwijały się tu obok siebie. Powstawały świątynie — i lud uczył się swobody. Czyż podobna, ażeby to nie zwróciło uwagi pewnych rządów, tłumiących wszelkie zarzewia swobody, obawiających się kiełkowania ich na obczyźnie — i przyniesienia z powrotem do kraju?.... Zwróciło. I oto najpierw probowano nawracać, a potem bu- rzyć. Uczynić imię Polaków, Rusinów i Li- twinów w Ameryce tak wstrętnem i poniżają- cem, aby niejako byli wykluczeni od obcowa-

nia i korzyści społecznych, ażeby uważano ich za niebezpiecznych opryszków, niegodnych pracy w przemyśle — cóż to za cel piękny dla odwiecznych ich wrogów.... Stłumić pośród nich myśl i duch swobody i zamienić w niewolników, ciemnych i brutalnych — co za zwycięstwo! Czy istotnie dla tej nikczemnej idei, jako agent prowokacyjny, pracował Kaliski; czy może był on tajnym agentem jakichś cudzoziemskich konkurentów, chcących zburzyć przemysł w pewnym obwodzie przemysłowym amerykańskim, albo nawet i wprost przedstawicielem międzynarodowo-anarchistycznej kombinacji? — kto to wie....

To fakt, że Kaliski miał dużo pieniędzy — i rzucał nimi naokoło, nie bardzo się rachując.

Czego chciał w rzeczywistości — nie mówił nikomu; tylko dla Aleksieja był otwartym. Jawnie, w obec innych swoich agentów, pracował on — dla sprawy robotniczej. Z New Yorku i Philadelphii przywiózł upoważnienia jakichś drugorzędnych, o rewolucyjnym duchu organizacyjek robotniczych — i występował, jako ich delegat, agent i organizator. Po cichu jednak robił robotę, do którejby się nawet te organizacyjki nie przyznały.

Kaliski agentów miał w okolicy kilkunastu.

Bezpośrednio komunikował się tylko z kilkoma. Byli to: Moskal Aleksiej Iwanowicz, Polak Szymek Zawalidroga (drab wysoki z

bezczelną twarzą, który tłukł się już po wszystkich kątach Europy i Ameryki), Niemiec Grossberg, towarzysz i wielbiciel Mosta, jeden „Ajrysz” i jeden Szwed. Ci w pewnej przynajmniej mierze działali — jakkolwiek za pieniądze — szczerze.... Ożywiała ich, jeśli nie specjalna przyjaźń dla robotników, to przynajmniej nienawiść dla kapitału.

Byli to przeważnie zapaleni i doświadczeni agitatorzy robotniczy. Do nich wiązała się rzesza agentów dobrej wiary, przeważnie bezpłatnych, zrekrutowanych z grona niezadowolonych robotników miejscowych. Trzeba też przyznać, że np. w „Excelsior Works” powodów do niezadowolnienia nie brakło.... Było ich aż za dużo.

Żelazna ręka głównego dyrektora zakładów, p. Andrew J. Mallory'ego ciążyła nad wszystkimi.

Robota Kaliskiego i jego towarzyszków szła bardzo ostrożnie.... Zachowywano wielką tajemnicę we wszystkim. Zebrania odbywały się po cichu, po kątach. Rozdzielano wiele pamfletów, podobnych do tego, jaki wpadł w rękę kuma Walentego, w niedzielę przed dwoma tygodniami. Ukazała się w znacznej liczbie egzemplarzy jakaś polsko-amerykańska anarchistyczna gazeta ze Wschodu, nakazująca, krótko mówiąc: „księży bić, a bogaczy wieszać....” Krążyły też podobne świstki

i w innych językach. Robotnicy stawali się coraz bardziej rozdrażnieni. Chodzili, spoglądając na siebie z podełba, milczący i zamyśleni. Kobiety były niespokojne.

Niepokój ten udzielał się także i naszym bohaterom, zamieszkałym w dworku Połubajtosów.

Homicz szczególnie był nerwowym. Przeważał niejasno zbliżanie się jakiejś katastrofy, jakiegoś przełomu. Czuł obecność jakichś niewidzialnych wrogów. Denerwowało go to i męczyło.

Dzień, w którym miał owo pamiętne spotkanie ze szpiegiem Kaliskim, nie pozostał dlań bez dalszych jeszcze sensacyj.

Najpierw, po przybyciu do domu, dowiedział się od Jadwigi o konferencji z szanownym księdzem Ludwikiem — i słowa starca kapłana powtórzone mu w skróceniu przez Jadwigę, wzruszyły chłopca do głębi.... Zgodził się na nie ostatecznie, co znaczyło, że w sprawie poszukiwań Jadwigi i nadal mieli zachować się biernie. Jednocześnie przecież pomyślał, że to widać sama Opatrzność postawiła na drodze biednego dziewczęcia jego, jako strażnika i opiekuna....

I dziękował za to Opatrzności!

Postanowił też po namyśle nie mówić nic Jadwidze o Kaliskim i starciu z nim, i o tem, co widział u szpiega w hotelu.... Po co ją niepokoić na próżno?!

Za to tegoż samego popołudnia, gdy Połubajtys wrócił ze swej kolejki od pracy, odbył z nim ponowną długą konferencyę u siebie na górze.

Mówili o różnych rzeczach.

Najpierw Jan pierwszy wyjaśnił Szczepanowi powód uniesienia się poprzedniego wieczora na widok złowrogiej twarzy Moskala, którą ujrzał pośród drzew....

Był to dramat prosty i codzienny.

W Wilnie, gdzie Janek znajdował się, jako chłopiec 19letni na praktyce w zakładzie mechanicznym, widział on już tego człowieka. Aleksiej Iwanowicz, starszy od niego o lat parę, był wypędzonym z rozporządzenia władzy za „niebłagonadiożność” studentem uniwersytetu petersburskiego i przebywał w Wilnie, pracując u fotografa. Poznał się tam ze siostrą przyrodnią Jana, młodziutkiem jeszcze dziewczęciem, mieszkającym, jak Jan, dla kształcenia się w mieście u krewnych. Nastąpiło nieszczęście.... Dziewczę zapatrzyło się w czarne oczy młodego Moskala i uwierzyło jego deklamacyom o wspólności dusz, o potędze uczuć, o swobodzie i rewolucyi. Uwodziciel Moskal umknął z Wilna dalej siać zło, a uwiedzione dziewczę zażyło trucizny.

Przy jej trumnie Połubajtys zaprzysiągł zemstę łotrowi. Spotkał go po latach tutaj. Nie dziw, że był poruszonym do głębi!

— I co myślisz z nim robić, jeśli go spotkasz? — pytał Szczepan.

— Zabiję....

Homicz próbował perswadować Litwinowi, ale na twarzy Jana taka wybiła się zapamiętałość i gwałtowność, że trudno było myśleć o jakimś skutku perswazyi. Pokiwał tylko głową.... Miał nadzieję, że po dzisiejszej porannej scenie z Kaliskim, Aleksiej Iwanowicz nieprędko ukaże się w osadzie X.

Gdy Litwin się uspokoił, przeszli do innych przedmiotów.

Połubajtys opowiedział to, co się dowiedział o zebraniu w karczynie Jenkinsa od kolegów. Była kupa ludu. Przemawiali jacyś obcy w różnych językach. Jeden z mówców był nawet podobny do Moskala i bardzo być może, że to on. („Aha” — pomyślał Szczepan.) Bunt pomiędzy robotnikami grozi.... Wszyscy o tem tylko gadają. Z kolei i Szczepan przeszedł do opowiadania swych przygód w hotelu „Papy”. Wywołały one zdumienie i oburzenie Jana.

— Tem lepiej — zawołał — łotry idą razem, są obaj nieprzyjaciołmi panny Jadwigi... damy im!

Obaj ze Szczepanem umówili się co do różnych spraw; obaj postanowili kupić rewolwery.... Homicz kazał Janowi dowiadywać się o wszystkie szczegóły ruchu robotniczego. Bę-

dą mieli także i z tej strony oko na knowania szpiega i nihilisty.

Kilka dni zresztą przeszło bez wybitniejszych zdarzeń. W osadzie X. było dość cicho, wrzało więcej w okolicy.

Dopiero ku końcowi tygodnia zaszły dwa nowe wypadki.

Jednym było przybycie listu z Cleveland, O. Naczelnik policyi tamtejszej zawiadamił Jadwigę, że po przeprowadzeniu wszelkich formalności prawnych, bank w New Orleans, La., zgodził się na unieważnienie zrabowanego czeku i na wypłatę pieniędzy w sumie \$250. Pieniądze te Jadwiga może podjąć w Cleveland; na żądanie przekaz zostanie jej wysłany do Pennsylvanii.

Druga wiadomość była innej, więcej sensacyjnej natury.

Dotyczyła ona „minstrelów”, osiadłych w hotelu „Papy” Cummingsa. Zdarzył się z nimi skandal....

Wbrew pierwotnym planom pozostali oni w hotelu dłużej, niż sobie zamierzeli. Powodem tego było — powodzenie. Koncert, który im urządził „Papa”, ażeby zyskać środki na odjazd, udał się nad wszelkie spodziewanie. Gruby Harald, Szwed maszynista, sprowadził na ten wieczór do sali hotelowej przeszło dwa tuziny swych przyjaciół, którzy robili mniej więcej tyle hałasu, jak spore stado słoni. Miss

Steffi, po odśpiewaniu jakiejś piosenki, została obdarzona bukietem — rzecz w dziejach osady niesłychana! Sukces był ogromny, postanowiono tedy powtórzyć wielki koncert. Tymczasem wieczorami odbywały się zwykłe popisy, ku uciechu stałych gości „Papy”. Asystował im zawsze gruby Harald, zakochany, jak kot. Coś w piątek przyszło do awantury.... Gdy Harald siedział właśnie przy miss Steffi, po za fortepianem, tłumacząc młodej śpiewaczce, że w jakiś sposób musi wyjść za niego za mąż, naraz wyrósł ni ztąd ni zowąd, ów „hrabia” czy tam „markiz”, znakomity śpiewak i towarzysz Steffi z trupy „minstrelów” i zaproponował Szwedowi, ażeby się oddalił do — piekła ... Nastąpiła wymiana niezbyt miłych komplementów, a skutek był taki, że zazdrosny śpiewak wyjął rewolwer i strzelił (w sufit szczęściem, gdyż Szwed w chwili strzału podbił mu rękę). Po chwili leżał na podłodze i o mało co nie został stratowany przez kolosalnego przeciwnika. Rezultat ostateczny nie był pocieszający dla „minstrelów”.... Wypędzono ich haniebnie z hotelu (w gospodzie „Papy” Cummingsa wolno było bić się i strzelać tylko porządnyim gościom, płacącym *cash*, a nie lada przybłędom!), a co więcej truppa utraciła swą primadonnę.... Miss Steffi zgodziła się na pozostanie w osadzie X. na stałe, a nawet na uszczęśliwienie grubego Haralda (w mniej lub więcej oddalonej przyszłości) swą rączką.

Tymczasem zamieszkała przy rodzinie zamężnej siostry Szweda, który naturalnie, płacił za nią — board.

Romantyczny ten wypadek wywołał w cichej zazwyczaj osadzie wielkie wrażenie.

Wszystkie kobiety gadały o nim przez dni kilka, sądząc „artystkę” przeważnie bardzo ostro; a sensacya, szczególnie w kółku polskim, stała się jeszcze większą, gdy się okazało, że miss Steffi była właściwie — Polką.

Przekonano się o tem dowodnie, gdy była śpiewaczka udała się z jakąś towarzyszką do zakładu krawieckiego pani Połubajtys — i najczystsza w świecie polszczyzną obstałowała suknię do ślubu. Młoda i przystojna, dość elegancka, względnie inteligentniejsza, aniżeli przeciętny typ mieszkanek osady, zainteresowała ona szczerze poczciwą Manię, szczególnie od chwili, gdy powiedziała, że pochodzi z Warszawy, — a nawet zwróciła trochę i uwagę Jadwigi. Obie za mało znały życie, ażeby sądzić ją surowiej.... Zresztą była przecież ich „kostumerką” i wychodziła za mąż!

Odtąd pod pozorem sukni zaczęły się dość częste wizyty panny Stefanii (bo tak się teraz kazała nazywać) w białym domku Połubajtysów.

Żenowały one mocno Szczepana.

Dotąd unikał szczęśliwie wszelkiego widzenia się z dawną swą znajomą, w obec Jadwi-

gi i Połubajtysowej. Musiałby z nią wtedy zamienić choćby konwencyonalnych słów parę, co byłoby mu nadzwyczaj przykrem. W ogóle Szczepana mocno irytowała i niepokoiła obecność Stefki w osadzie X., a szczególnie jej małżeńskie projekta. „Jakże to — mówił sam do siebie — mając w New Yorku męża, drugi raz wyjdzie tu za mąż? Popełni dwużeństwo, które przecież jest kryminalnem przestępstwem. Czyż to podobna?!” Choć brały go niekiedy wątpliwości co do przyszłego jej zamążpójścia. Przeczuwał instynktownie, że Stefka pozostała w X. dla niego samego. Szukała z nim widocznie spotkania; gdy ją widział raz czy dwa razy zdaleka, wzywała go literalnie — wzrokiem i uśmiechem.

On za nic w świecie nie chciałby dojść z nią do wyjaśnień.

Sympatya, jeśli jaką dla niej kiedyś żywił, wygasła zupełnie. . . . Przeszła w pewnego rodzaju obrzydzenie. Znał on młodą kobietę w Warszawie; była wtedy chórzystką w teatrze cgródkowym. Ona lubiła się bawić wesoło, a on właśnie w tym czasie trwonił swą sukcesyjkę. . . . Podobała mu się bardzo swą wyzywającą pięknoscia, — ztąd znajomość. Naturalnie, wesoły i lekkomyślny chłopiec, jakim był w owym czasie Homicz, brał całą tę sprawę z wesołej strony. Odtąd jednakowoż zmienił się z gruntu. To, co dawniej zdawało mu się wesołem, teraz wyglądało na wstrętne.

Mierzył dziś wszystko miarą czystej, jak kryształ, Jadwigi.

Jeszcze jeden wzgląd oburzał Szczepana: zapomnienie Stefki o mężu. Nie wiedział nawet dobrze, kiedy Stefka wyszła za Cierzana i gdzie to nastąpiło, w Ameryce czy w Europie; ale stawała mu przed oczyma postać biednego chłopaka o poczciwych, smutnych oczach, który, pomimo zdeptania jego uczuć najdroższych przez lekkomyślną kobietę, widocznie w głębi serca chował dla niej ciągle uczucie głębokie i niezatarte.

Homicz czuł, że w każdym razie powinien przeszkodzić powtórnemu, zbrodniczemu związkowi małżeńskiemu Stefki.

Po namyśle, napisał o wszystkim do Gryzińskiego do New Yorku.

Nietylko ten jeden kłopot miał w głowie nasz Szczepan.

Oto Jadwiga, odebrawszy list z Cleveland, objawiła zamiara pojechania po pieniądze i nawet udania się potem do New Orleans. Pałała ją gorączka czynu.... Szczepan był innego zdania. Sądził, że wyjazd jest niepotrzebny, a zbyt kosztowny... Pieniądze mogą być bez kłopotu odebrane z banku w sąsiednim miasteczku. W New Orleans najtaniej będzie zarządzić początkowe przynajmniej poszukiwania przez agencję detektywów, która już odpisała, podając bardzo umiarkowane warunki...

Jadwiga przeciwnie była zdania, że osobiste dojrzenie sprawy na miejscu jest konieczne.

Po raz pierwszy posprzecjali się.... Wreszcie Homicz zaproponował oddanie sprawy na sąd księdza Ludwika. Jadwiga przystała.

Tymczasem sprawy robotnicze w osadach, otaczających „Excelsior Works”, wikłały się coraz bardziej....

Tajne mityngi były coraz częstsze, agitacja coraz silniejsza. Za kilka dni miała się ona nawet stać jawną.... Na nadchodzące święto narodowe amerykańskie miał być urządzony w miasteczku wielki mass mityng; zamówiono mówców z obcych miast, urzędników jednej z wielkich Unii — i miano na mityngu gromadnie do organizacyi przystąpić.

Wiść o całej tej agitacyi musiała wreszcie dojść i do zarządu zakładów „Excelsior Works”.

P. Mallory zwołał niespodzianie na naradę dyrektorów oddziałów. Co tam mówiono w tym ponurym, safianem obitym gabinecie naczelnego dyrektora, to pozostało tajemnicą. Ale odtąd zarządzono różne prace około fabryki. Kopano długie i głębokie doły około budynków fabrycznych; tu i owdzie stawiano płoty z drutu kolczastego; przeprowadzano druty elektryczne; w oknach gmachu głównego zarządu dano kraty stalowe. Liczba strażników nocnych została zdwojona.

Wyglądało to, jak gdyby zbrojono forte-
cę.....

Robotnicy, widząc to, mruczeli coś pod
nosem — i spoglądali na czarne, zakopcone od
dymu gmachy, ze złością.

Wreszcie naczelny dyrektor wyjechał na
kilka dni. Był podobno w Philadelphii, New
Yorku i Pittsburgu, w których to miastach
zamieszkiwali główni akcyonariusze fabryk.
Powrócił jeszcze bardziej milczący i poważny,
jak zwykle.

Wkrótce po jego powrocie, zaczęto coraz
to wzywać do biura zarządu niektórych z ro-
botników, szczególnie znanych z pilności, sta-
teczności i trzeźwości.... Wracali oni ztam-
tąd milczący i jak gdyby przerażeni, — a na
pytania towarzyszków nie odpowiadali zazwy-
czaj ani słowa.

Przyszła wreszcie kolej i na Homicza.

Superintendent kazał mu się stawić do
głównego ofisu. Wprowadzono go do dużego
pokoju, gdzie za kratką siedziało dwóch *gen-
tlemanów*. Jednego znał. Był to sekretarz
osobisty naczelnego dyrektora. Siedział zagłę-
biony w książkach i papierach. Drugi, nie-
znajomy, wysoki brunet, w kapeluszu, kołysał
się lekko w fotelu bujającym (rockingchair),
położywszy nogi na kratce. Gdy Szczepan
wszedł, jegomość ten wziął do ręki książkę no-
tatkową i ołówek.

Obydwaj obrzucili wchodzącego Szczepana badawczym wzrokiem, jak gdyby mówiąc do siebie:

— No! z tego będzie niezły rekrut....

Sekretarz odrazu przystąpił do pytania przybyłego.

— Szczepan Homicz? — pytał.

— Tak.

Wiek? Narodowość? Czy dawno przybył z Europy? Jak dawno tu pracuje? Służył kiedy w wojsku? Żonaty czy kawaler? Umie się obchodzić z bronią palną? W jakim jest departamencie? Ile zarabia? itd. itd. — oto szereg następnych pytań, które mu zadawano. Na wszystkie odpowiedział zadawalniająco.

Wtedy sekretarz zmierzył go ponownie oczyma — i zapytał:

— Wiesz pan zapewne, że w zakładach naszych może dojść wkrótce do strajku, zaburzeń, rozlewu krwi?

— Nie wiem.... Domyślać się tylko mogę — wyszeptał Szczepan.

— W takim razie, czy zgodzisz się pan na następującą propozycję?.... Obecny tutaj pan — wskazał na wysokiego jegomości z wąsami — jest szeryfem naszego powiatu. Jeśli pan zechcesz, zaprzysięgnie pana w tej chwili na jednego ze swoich pomocników (deputy). Jako taki, w chwili niebezpieczeństwa staniesz pan pod jego rozkazami i będziesz bronił bez-

pieczeństwa naszej fabryki. Będziesz bronił krwią i życiem... na to przysięga!... Otrzymasz odpowiednią broń i 5 dolarów dziennie podczas, gdy razem z innymi będziesz w czynnej służbie, a nadto gwarancję naszej firmy, że w ciągu trzech miesięcy po prawdopodobnych wypadkach, będziesz pan otrzymywał płacę taką, jaką dziś bierzesz, choćby nawet fabryka nasza nie szła... Czy zgoda?

W dłoń ujął pióro, ażeby nazwisko Homicza wpisać do książki. Widocznie uważał zapytanie prawie za formalność. Z ludzi, których dotąd zapytywał, nikt nie śmiał mu widocznie odrzec przecząco.

Czekał tylko odpowiedzi, — ale ta odpowiedź nie przychodziła.

Twarz Homicza pobladła, a wargi mu drżały. Na usta nie mogło się wybić słowo, które chciał wypowiedzieć.

Rozumiał on, że w tej chwili stawia na kartę swe stanowisko, zyskane z takim trudem w „Excelsior Works”, możliwość dalszego kształcenia się, gromadzenia pewnego funduszu i nawet oddychania tem samym powietrzem, co Jadwiga... Wiedział, czego od niego żądano... ażeby w chwili stanowczej, gdy przyjdzie do krwawego starcia pomiędzy pracą a kapitałem, on, robotnik, stanął pod sztandarem kapitału... ażeby ewentualnie zabijał i mordował swych braci robotników... i w

każdym razie przeciwko idei robotniczej walczył. A jeśli nie zrobi tego, co będzie? Gdy już dowiedział się ich sekretu, uznają go za swego wroga. Straci pracę; będzie prześladowanym.... Przeraził się; ale w tej chwili przyszła mu na myśl Jadwiga. Zapytał sam siebie: „Coby ona o tem powiedziała?” Co? — że zdrada swoich, to podłość... Nie! on podłości nie popełni.

Podniósł twarz dumną, choć bladą — i rzekł krótko w odpowiedzi na pytanie sekretarza.

— Nie....

— Nie?... Czy pan zrozumiałeś, co pan mówisz?

— Powtarzam, nie.... — odrzekł z mocą i powagą Homicz — Jestem robotnikiem.... Sumienie nie pozwala mi walczyć przeciw robotnikom, którzy są moimi kolegami i braćmi.

— Ach.... ach.... ach! — rzekł na trzy odmienne tony sekretarz, zrozumiałwszy nareszcie, że wynikło nieporozumienie, że stał się błąd — Źle nam pana wskazano.... Pan może właśnie należysz do prowodyrów buntu?

I podniósł na Szczepana z poza złotych okularów oczy zimne, jak stal; a szeryf przestał się kołysać w fotelu i nawet sięgnął do kieszeni spodni, jak gdyby chciał się przekonać, czy ma na miejscu rewolwer.

Szczepan stał teraz nie zmieszany. Rzekł:

— Nie, panie! Prowodyrem niczym nie jestem.... Zbrodnię i niszczenie cudzej własności potępiam. Trupem położyłbym się, ażeby bronić waszego dobra. Ciemnemu warcholstwu, gdybym umiał, wytłumaczyłbym, że źle czyni.... Ale strzelać w pierś tych, którzy razem ze mną trują się i pracują w pocie czoła, nie będę!

Mówił powoli, bardzo kiepską angielszczyzną, pasując się z trudnościami języka; ale mówił z siłą i wiarą, bijącą z twarzy i z dźwięków głosu.

Ci dwaj zrozumieli, że mają z kimś wyjątkowym do czynienia.

Szeryf zabrał teraz głos:

— A czy wiesz pan, że już na zasadzie tego, co powiedziałeś, mógłbym cię zakuć w kajdanki i pociągnąć do śledztwa, jako oskarżonego o spisek (conspiracy) w celu mordu i niszczenia cudzej własności?....

Homiczowi nowy postrach przeleciał przed oczyma; ale na nowo myśl o Jadwidze dodała mu siły,

— Nie znam dobrze waszych praw.... nie wiem, czy to możebne.... wiem, że byłoby niesprawiedliwem. Zresztą róbcie, co chcecie. Sumienie mi wyższe nadewszystko!

Była to odpowiedź stanowcza.

Szeryf gwizdnał. Ze drzwi bocznych wyszedł jeden z jego pomocników, drab wysoki i kiepsko ubrany; na piersi miał gwiazdę metalową.

— Kajdanki.... — rzekł krótko szeryf.

Drab zbliżył się do Szczepana. Temu krew uderzyła do głowy. Przez jedną sekundę myślał o walce. Ale zrozumiał, że to szaleństwo.... Ilu takich ludzi tam ukrytych za drzwiami? — kto wie.... W milczeniu wyciągnął ręce do draba.

Już mu miano włożyć kajdanki na ręce... Ale w tej chwili nastąpiła dywersja.

Skrzypnęły drzwi z drugiego boku pokoju — i w nich ukazała się posągowa postać pana Andrew J. Mallory.

— To zbyteczne — rzekł naczelny dyrektor fabryki i skinął ręką — Tego człowieka znam i ręczę za niego.... Pozostanie u nas w pracy.... Każcie mu tylko dać słowo honoru, że nikomu nie powie o tem, co się działo przed chwilą.

I wyszedł.

Stało się stosownie do rozporządzenia „bossa”. Szczepan dał żądane słowo honoru — i wyszedł.

.....

Wieczorem tegoż dnia w safianowym gabinecie naczelnego dyrektora zakładów „Excelsior Works” odbyła się nowa wielka narada.

Byli obecni wszyscy dyrektorowie i najzaufańsi urzędnicy zarządu. Było cicho, jak w kościele, gdy p. Andrew J. Mallory odwrócił swój fotel od biurka i zabrał głos:

— Znacie panowie położenie, rozwodzić się więc nad niem nie będę. . . . Dziś trzeba coś ostatecznie postanowić, tem bardziej, że odebrałem nowe wiadomości. Są one bardzo ważne. . . . Faktem jest, że nasi ludzie chcą przystąpić do Unii „Amalgamated”. Telegrafują mi o tem z Philadelphii. O tem samem pisze mi autor jakiegoś bezimiennego listu. . . . skończony widać nikczemnik!

Szyderczy uśmiech ukazał się na wargach p. Mallory. Podał list komuś siedzącemu obok niego — i mówił dalej:

— Łotr, który przysłał anonim, widocznie jest obznajomiony wybornie z tem, co się między naszymi ludźmi dzieje. . . . Może nawet on sam ich podburza. Zawiadamia mnie, zupełnie zgodnie z depeszą filadelfijską, że w przyszłym tygodniu będzie w miasteczku miting, na którym się zorganizują. Daje mi przytem dobrą radę. . . .

Dyrektorzy spoglądali pytająco; ta „dobra rada” od autora listu bezimiennego zdawała im się więcej, niż podejrzana.

— Tak jest, „dobrą”! — powtórzył z naciskiem Mallory i uderzył ręką w stół — Radzi mi uprzedzić robotników; nie pozwolić im zor-

ganizować się i nabrać siły.... Łotr musi strasznie nienawidzieć tych ludzi. Tem gorzej dla nich! My jego rady posłuchamy....

Zatrzymał się — i obwiódł wzrokiem dookoła.

— Nie pozwolimy na nowo rozsiać się w naszych fabrykach — mówił dalej — organizacyom robotniczym.... Zanim nas zaatakują, my uderzymy pierwsi. Tak nam każe żelazne prawo interesu. Dziś zatelegrafować po Wintertończyków. Jutro przed południem wywiesić w fabrykach rozporządzenie, że od przyszłego poniedziałku wszystkie zarobki zostają obcięte o 20 procent....

Słów tych słuchano w skupieniu.

Każdy rozumiał, że naczelnny dyrektor dąży wprost do katastrofy. Wybuch musiał nastąpić.... Jeden ze starszych dyrektorów próbował jeszcze coś oponować, ale Mallory jednym wyrazem zamknął mu usta:

— Tak postanowiono....

Podniósł się z krzesła; to znaczyło, że narada skończona. Zimnym ukłonem głowy zegnął wychodzących. Gdy wyszli, usiadł przy biurku i głowę pochylił na ręce. Pozostawał w tej pozycyi przez chwil kilka, a kiedy podniósł głowę, miał czoło poryte zmarszczkami.

— Co robić! — rzekł głośno, a głos jego był twardy i chropawy — Tak być musi.

Siadł i pisał szczegółowe rozkazy i dyspozycje na dzień jutrzejszy.

VII.

Plan, obmyślony przez p. Andrew J. Mallory, był matematycznie niemal ścisły i dokładny.

W sobotę przed południem wywieszone zostaną zawiadomienia o nowem, aż o 5tą część, obcięciu płacy. Już pierwsza zmiana ludzi, powracająca do domów po południu zanieśnie wieść o tem w doliny. Pierwsze zarzewie zostanie rzucone.... Nad wieczorem odbędą się burzliwe mityngi i rozpocznie się gwałtowna agitacja. Robotnicy z następnej zmiany wrócą do domów z tą wieścią fatalną dopiero późnym wieczorem. W niedzielę dopiero akcja się rozwinie. Przez masy będą przechodziły ponure wstrząśnienia nienawiści już od dnia poprzedniego, — ale dopiero w niedzielę ludzie znajdą czas do wygadania się i postanowienia czegoś. Agitatorzy, pragnący doprowadzić do czynnych starć, nie będą też zasypiali sprawy... Hasła i rozkazy zostaną rozesłane dopiero tego dnia. Zresztą wybuchu nie można się spodziewać prędzej aż w poniedziałek wieczorem. Zwyczajem przyjętym w fabryce, „pejda” (wypłata) odbywa się co dwa tygodnie w poniedziałek, trzy razy dla ludzi pracujących w trzech zmianach. Ostatnia zmiana bierze płacę dopiero wieczorem. Żaden z robotników

nie będzie chciał stracić tego ostatniego przed oczekiwanymi wypadkami zarobku.... Z tego powodu, choćby wewnątrz w każdym z nich wszystko wrzało, przez cały poniedziałek będą jeszcze na pozór spokojni. Będą pracowali, tając w sercach złość i nienawiść. Akcya zacznie się tedy dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek, a najprędzej może we wtorek rano. Zapewne w poniedziałek przyjdą do ofisu jakieś delegacje robotnicze z prośbą o cofnięcie edyktu, obcinającego zarobki; z propozycjami polubownego załatwienia sprawy, wreszcie z groźbami opuszczenia pracy.... Te się przyjmie zimno i ostro. W każdym razie już od rana we wtorek zakłady muszą stanąć.

— Będzie to akurat w sam czas! — rzekł głośno do siebie Mallory.

Istotnie. W następny czwartek miał się odbyć mityng organizacyjny. Ale organizatorzy przybędą już za późno.... Zamiast spokojnej masy robotniczej, zastaną motłochy dziki, może już krew, pożogę, walkę.... Z organizacją będzie już wtedy zapóźno... Za późno!

Usta naczelnego dyrektora skrzywiły się konwulsyjnie.

Ten kolos ponury i milczący, o twarzy, jak gdyby wykutej z kamienia, miał przecież w sercu jedną wielką miłość i jedną wielką nienawiść. Przedmiotem ani jednej z nich nie była istota ludzka....

Kochał on nadewszystko swoje zakłady przemysłowe, które zdawały mu się nieomal organizmem, żyjącym własnym życiem, huczącym, ziejącym ogniami, poruszającym się ludzkim mrowiem i potężnymi uderzeniami maszyn. Niedarmo nazwał on te zakłady „Excelsior Works”. Coraz wyżej! — oto było jego hasło. Wcielał on w ten organizm fabryczny całe swe życie, wszystkie swe trudy i ambicje.... I postawił go istotnie na stanowisku wyjątkowem, potężnem. Miliony dolarów i tysiące ludzi zaprzął do wspólnej, cyklopowej pracy. A ile go to kosztowało walk i trudów, nocy nieprzespanych i burz wewnętrznych! — on jeden tylko mógł powiedzieć.

To była jego miłość; miał przecież i nienawiść.

Całą siłą swej potężnej istoty nienawidził — organizacje robotnicze. Nienawiść ta płynęła z umiłowania, o którym wyżej. Olbrzymie organizacje robotnicze, tak poważną rolę grające w Ameryce, były wrogiem kapitału, zaklętego w jego ogromne gmachy i maszyny. Nienawidził tego wroga — i walczył z nim całe życie. Wszystkie swe miliony oddałby, ażeby go tylko zmiażdżyć....

Była to namiętność dzika, niepohamowana, z niczem się nie licząca.

To też nie dziw, że pan Mallory odczuwał w tej chwili dwa różne uczucia: dziką radość

na myśl o tem, że jednak nie da organizacyom zagarnąć tysięcy ludzi z „Excelsior Works” w ich ręce — i ciężki ból na myśl, że te kolosalne zakłady, ten utwór jego rąk i dziecko jego przedsiębiorczego ducha, będą musiały stanąć i zamilknąć na czas nieokreślony.... Że może przyjdzie im wytrzymać ataki.... i widzieć szalone wściekłością masy robotnicze.... i walki i pożogi. Ludzie go zresztą nie obchodzili; drżał o swe dzieło, o gmachy i maszyny.

Dziwne zaiste zwyrodnienie moralne!....

Długo jeszcze w noc siedział naczelnny dyrektor, kreśląc szereg instrukcyj dla swych podwładnych, w jaki sposób mają wygaszać piece, zatrzymywać maszyny, przecinać prądy elektryczne i zdejmować transmisyje tak, ażeby ten olbrzymi organizm przemysłowy nie odniósł poważniejszej szkody w chwili przejścia z potężnego ruchu do bezwładnej ciszy.

Przewidywania Mallory'ego co do robotników i co do całego przebiegu ich akcji sprawdziły się prawie co do joty.

Nazajutrz, w sobotę około południa, na robotników, pracujących na pierwszą zmianę, wieść o nowem tak znacznem obcięciu płac spadła, jak grom.... Z zaciśniętymi wargami i ponuremi twarzami wracali od pracy. Nie było tym razem zwykłych rozmów i wesołych śmiechów.... Czarne od dymu ręce zaciskały się w milczeniu.

W dolinach zawrzało teraz. Poleciały wieści do przewodyrów ruchu.

Ludzie, przybyli późnym wieczorem z drugiej zmiany, doleli oliwy do ognia.... Nie jedli nawet kolacyi, nie myli się, nie przebierali, jak to bywało zazwyczaj z soboty na niedzielę, ale zbierali się na ulicach gromadkami i szeptałi pomiędzy sobą, a w oczach świeciły im złe błyski.

W osadzie X. było to samo, co i gdzieindziej.

Tutaj atamanował Szymek Zawalidroga, jeden z najzaufańszych agentów Kaliskiego.

Wysoki drab o bezczelnej, trędowatej gębie, mówił on z kiepska paru językami, pił dużo, klął siarczyście, to też miał pewien wpływ. Miał on poleconą swej specjalnej opiece osadę X., (a i na Jadwigę kazał mu dawać baczenie Kaliski). Tutaj też zamieszkał Szymek — i nawet postarał się od niedawna o pracę w fabryce.

Przez całe popołudnie był on pośród robotników.

Przy karczmie Jenkinsa było jedno ognisko niezadowolonych; drugie na „Skwerze” przed hotelem „Papy”. Od jednego miejsca do drugiego biegał, jak opętany, nasz Szymek, rozdzielając po drodze obficie klątwy, szturchańce, dowcipy i przygadywki w różnych językach — i zachęcając swoich pomocników do rozżarzania ognia.

— Ho, ho.... Na śmierć chcą nas zagłodzić te psiakoście... Niech ich choróbsko! — mówił jednemu.

— *Donnerwetter*.... — wołał zdaleka do drugiego i potrząsał w powietrzu pięścią wielką, jak głowa ludzka,

— Powiesić oczajduszów! ze skóry obdrzeć! — ryczał za chwilę do jakiegoś gapio-watego Słowaka i kończył energicznem zaklęciem: — *Teremtemte!*....

Odpowiadano mu równie dosadnemi przekleństwami.

Huczek więc szedł przez osadę coraz głościejszy.... Wódka i piwo odchodziły wybor-nie u Jenkinsa i „Papy”. Mózgi się rozgrze-wały. Niektórzy zapalniejsi radzili, ażeby od-razu iść na zakłady „Excelsior Works”, palić i rozbijać, — ale propozycja ta nie znajdowała poparcia. Wzgląd na nieodebraną, a właśnie należną „pejdę” powstrzymywał wszystkich.

— Co im, psom, mamy darować naszą ciężką krwawicę!.... — mówili robotnicy.

Inni wprost nie pochwalali żadnych gwał-tów. Radzili czekać czwartku i mass-mityn-gu w miasteczku. Wtenczas dopiero, z pomo-cą organizacyi „Amalgamated” będzie można rozpocząć strajk spokojny, regularny, jak się patrzy....

Ale tych zakrzyczano.

— Po co czekać?! — wołała większość — ażeby nas tamte łotry wytruli albo wydusili.

Z konieczności, w tym całym ruchu, musieli brać udział Szczepan i Połubajtys.

Szczepana szczególnie niepokoiło to wszystko. Wiedział on ze swej audyencyi w gmachu zarządu fabrycznego więcej, niż inni; ale skrepowany słowem nie mógł nic powiedzieć... Zresztą, gdyby powiedział, to i cóżby to pomogło? Troszczył się zresztą o wszystko: i o swoją pracę i przyszłość i o Jadwigę i nawet o tych ludzi, których istotnie ciężko krzywdzono — i którzy jutro lub pojutrze, uniesieni namiętnością, pójdą na rzeź pewną lub sami będą mordowali....

Czytał niedawno historję strajków w Ameryce — i wiedział, czem to grozi.

Po południu wychodził z Połubajtysem na osadę. Probowali uspokajać ludzi, naturalnie — bez skutku.

Po kolacyi, o 8ej wieczorem raz jeszcze poszedł Szczepan, sam, na „Square”. Połubajtys został w domu, pilnować kobiet. Scena na placyku była malownicza. Fala ludzka przelewała się przez placyk w niejasnem świetle — dopiero co zapalanej lampy elektrycznej.... Z drzwi i okien hotelu „Papy” Cummings’a, buchało światło i gwar. Pomiedzy mężczyznami było tu i wiele kobiet, niektóre w swej narodowej, przywiezionej jeszcze z Europy odzieży. Gestykulowały one jeszcze energiczniej i krzyczały głośniej, niż mężczyźni. Chłopcy palili

ogniska — i, dziko wyjąc, udawali przy nich Indyan.

Szczepan przedzierał się przez tłum do hotelu. Nagle tuż przed nim stanęła zgrabna i wysmukła postać niewieścia. Była to Stefka.

Szczepan zdreptał prawie.

Młoda kobieta śmiała się do niego ustami i oczyma. Nareszcie spotkała go.... Co za szczęśliwy przypadek! Wyciągnęła do niego ręce, a on — cofnął się mimowoli.

— Panie.... panie Szczepanie! — zaczęła a głos jej dźwięczał uczuciem i niepokojem.

Szczepana zaskoczyło to niespodziane spotkanie. Myśli jego były daleko, daleko, w chwili gdy wyrosła przed nim ta postać pięknej czarodziejki, życiem i temperamentem tchnąca.... Jej twarzączka, okolona zwojami blond włosów, wyglądała w tej chwili uroczo zarumieniona, z pod kolorowej chustki, którą bez ceremonii na głowę zarzuciła; jej usta, czerwone, jak ogień, roztwierały się niby do pocałunku....

Porwała go nagłym ruchem za ręce — i pociągnęła w cień po za wielki szyld kapelusznika, który jednocześnie buty sprzedawał.

Mówiła z pośpiechem:

— A więc pan, panie Szczepanie, nie poznajesz mnie.... poznać mnie nie chcesz! Dla czego?.... Czemu panu zawiniłam? Wszakże.... wszakże, zaledwo parę lat temu byliśmy przy-

jaciołmi — przyjaciołmi najserdeczniejszymi.
Co się stało?

On nie odpowiadał.

Ona czuła się w niezręcznym położeniu — i ażeby pokryć zakłopotanie, mówiła coraz prędzej:

— A tak pragnąłam pana widzieć.... tak gorąco.... Boże! czemuż pan milczysz? Odpowiedz, proszę.... Przecież ja dla pana tu zostałam. Nie zrozumiałeś tego? Dla pana muszę znosić zaloty tego głupiego Szweda, Haraldra.... Ale ja za niego nie wyjdę, nigdy!

Milczenie Szczepana podniecało ją. U-
rwała i znów zaczęła:

— Nieznośne bydlę ten Szwed! Nie mogę na niego patrzeć. I czemu pan jesteś, jak z marmuru? — Mów pan.... — tupnęła nóżką — Mów, proszę. Czy zapomniałeś, jak byłeś we mnie zakochany w Warszawie? O! ci mężczyźni....

Jej gadatliwość nie była przecież w stanie rozruszać Szczepana. Spostrzegła to; jakaś myśl nowa przebiegła jej przez głowę.

Zmieniła ton — i składając ręce, mówiła:

— Panie Szczepanie..... pan nie uwierzysz, jaka ja jestem nieszczęśliwa! — głos jej zdawał się teraz nabrzmiwać łzami — Ja muszę się ztąd wyrwać.... te stosunki mnie zabi-
jają. Panie Szczepanie! pan mi do tego do-
pomóżesz....

On patrzył na nią głęboko zdziwiony, pytając.

— Wyjeżdżajmy ztąd..... ucieknijmy, dziś jeszcze.... razem.... Tu piekło, tu będą się działy straszne rzeczy. Tam, gdzieś daleko, we dwoje.... będziemy szczęśliwi.

Drżała cała; zdawało się, że upadnie. A usta jej płomieniem zdawały się palić. Ale Homicz odwrócił wzrok ze wstrętem. Oburzała go. Rozumiał, że tę fałszywą sytuację trzeba zakończyć.

Rzekł głosem spokojnym i zimnym, nawet z pewnem szyderstwem:

— Wybacz pani.... Co było, to przeszło. Wszyscy tu w równem jesteśmy niebezpieczeństwie i gdybym widział, że pani co zagraża, broniłbym panią tak samo, jak i każdą z tamtych kobiet lub mężczyzn. Wszyscy bliźnimi jesteśmy. A o żadnych specjalnych względach dla pani, a tembardziej o jakimś wyjeździe razem i mowy być nie może.

Zatrzymał się, a ona stała na pozór chłodna, wyprostowana, ale ze złem w oczach spojrzeniem.

— Wreszcie — kończył Szczepan — jeśli kto ma prawo do opieki nad panią, to nie ja.... Jest kto inny. Nie mówię tu o grubym Haraldzie, z którego pani zresztą drwiesz sobie bez ceremonii.... ale o mężu pani.... o biednym Cierzanie z New Yorku....

Cios był straszny; ugodził ją w samą pierś.

— Ach! — syknęła tylko i pochyliła się, jak tygrysyca, gotująca się do skoku.

— Jest on już zawiadomiony o pani tutaj pobycie....

Tego było za dużo.

Stefka wyprostowała się i nagłym ruchem ręki wycięła Szczepanowi — policzek.

— Masz.... — syczała — to dla ciebie... i dla twojej ładaczniczki.... twojej kochanki z białego domku.... Masz, nikczemny!

.....
A jednak p. Andrew J. Mallory przewi-
dzał wszystko do najmniejszego szczegółu.

Nazajutrz dopiero, w niedzielę, robotnicy w osadach, otaczających „Excelsior Works”, mieli czas do porozumienia się wzajem. Stało się to zaraz rano, gdy spokój nocy ochłodził trochę głowy. Radzono zresztą bezładnie — i stanowczych uchwał nigdzie nie przyjęto.

Stanoło na tem, że w poniedziałek pośle się do zarządu fabryki delegacye. Co potem będzie? — zobaczy się....

Tej niedzieli w osadzie X. panował nawet względny spokój.

Przyczynił się do tego w pewnej mierze ks. Baliński. Na kazaniu wspomniał on w kilku słowach o sprawie strajkowej, o której wieść doszła i do jego ustronia. Surowo po-

tępiął pijatyki dnia poprzedniego — i błagał parafian, ażeby, broniąc swoich praw w obec krzywdzicieli, nie dochodzili do ekscesów — i nie popełniali czynów grzesznych, a tem bardziej zbrodniczych.

— Ciężką jest wasza krzywda! — wołał starzec — rozumiem to dobrze.... ale znoście ją, jak na Chrześcijan przystało. Dusz nie gubcie! Pan nad nami, On krzyż z ramion naszych zdejmie.... Jeno bądźcie godni Tego, który za was na krzyżu skonał!

Ludzie płakali i bili się w piersi, chociaż byli i tacy, co pod nosem coś sobie pomrukiwali.

Przed kościołem gromadzili się w kupki i rozmawiali o kazaniu. Był tu także obecny Szymek Zawalidroga — i o ile mógł, psuł efekt słów kapłana.

— Ho, ho! — wołał — co tam „popom“ będziecie wierzyli.... Oni zawsze z panami trzymali.... Podsypali mu dolarów, to ci i gada!

I tak na różny sposób ich przekonywał.

Ludzie wreszcie rozeszli się z pod kościoła. Wtedy i Szymek poszedł za swoimi interesami. W pół godziny potem widzimy go jadącego pożyczonym od kowala wózkiem do miasteczka, gdzie była główna kwatera p. Bolo L. Kaliskiego.

Trafił tam na największy rozgardyasz.

Kaliski, Moskał Aleksiej Iwanowicz i pół-

tuzina innych wodzili rej pomiędzy górnikami i robotnikami, przybyłymi z osad. Ci zdawali raporty, których brzmienie było mniej więcej jednakowe. Lud był wszędzie wzburzony i gotów na wszystko.... To, co zrobi, zależeć będzie od pokierowania.

Jak pokierować ten lud?— dawali rady Kaliski i Moskal.

Były to rady i wskazówki, dawane półgębkiem, z półuśmiechem, ale działały one straszniej, aniżeli jawna zachęta do rzezi i pożogi. P. Bolo dziś był jeszcze ruchliwszym, niż zwykle: uwijał się wśród przybyłych, jak fryga. Jednemu szepnął słówko, drugiemu rzucił uśmiech, trzeciego poklepał po ramieniu.... W ogóle zapewniał on, że ci panowie z wielkiej organizacyi, którzy przyjadą we czwartek, nie mieliby nic przeciwko temu, ażeby robotnicy pokazali przedtem, że nie pozwolą sobie w kaszę dmuchać.... Wtedy dopiero pójdzie wszystko, jak po maśle.

A Aleksiej Iwanowicz ze złem, tryumfującym spojrzeniem swych zielonkowatych oczu, powtarzał te zagadkowe słowa:

— Obcięli wam 20 procent.... obcięli.... ha, to i wy im tyle obetnijcie!

Wreszcie wszyscy się rozeszli. I Moskal Aleksiej Iwanowicz wstał z krzesła, a przeciągając się, rzekł powoli, obojętnym głosem:

— No, jutro wieczorem będzie ciepło....

Trzeba wypocząć! Upiję się teraz i położę spać. Wstanę dopiero jutro w południe. *Good bye!*

Pozostali teraz sami tylko Kaliski i Szymek Zawalidroga.

Ten ostatni, trzeba wiedzieć, był nie tylko agitatore; pełnił on również obowiązki specjalnego agenta do osobistych spraw Kaliskiego. Znali się oddawna — i niejedno już łożowstwo popełnili do spółki.

— No, i cóż? — zapytał Kaliski.

— Ba... nic wielkiego. Wiesz pan, co będzie jutro. U nas to samo, co gdzieindziej.... Co do sprawy z tą gołąbką, jutro także musi być koniec.

— Masz plan szczegółowy?

— Jeszcze nie. Zrozumiemy najpierw, o co nam idzie.... Ponieważ ta dziewczyna panu zawadza i chce wyrabiać jakieś tam „szopki”, sprzątniemy ją. Czy tak?

Kaliski skrzywił się lekko.

— No tak.... — odrzekł — ale przecież rozumiesz, że.... tego.... nie chciałbym....

— Rozumiem.... i ja tego nie lubię. Rozlew krwi nie będzie, chyba w ostateczności. Idzie o zwyczajne uprowadzenie. W osadzie X. będzie jutro tyle awantur i hałasu, że chyba wszyscy dyabli spiknęliby się na nas, gdybyśmy tego jakoś nie załatwili....

— I dokąd ją chcesz uprowadzić?

— O, miejsce mam już przygotowane.... Trzeba panu wiedzieć, że tam w górach, na północ od Beaver Creek, w dzikim ustroniu, dokąd chyba dyabli mogą kogo zapędzić, mieszka mój kum.... *Yes, sir!* nie trzeba się śmiać — mój kum. Nazywa się Szymulis, Litwin. Podobno w starym kraju, przed 30tu laty, był skazany na całe życie na katorgę — i zdołał uciec.... Przywłókł się tu do Pennsylvanii i zapadł w najdziksze zakąty gór. Ludzi nie lubi, a i z tutejszą amerykańską sprawiedliwością ma podobno grube porachunki.... Mieszka już w tamtych dziurach od jakich lat 25. ciu razem z jakąś rudą megerą, Ajryską, którą sobie tutaj w Ameryce zkadś wynalazł — i dochowali się już trzech synalów, chłopów, jak dęby. Mieszkają w lecie w chałupinie z *logs'ów*, w zimie w jaskini. Trochę polują, trochę ryby łowią, trochę kradną.... a niekiedy nawet, w razie potrzeby, rozbijają.... i żyją sobie, jak się da.... Dyabeł ich nie potrafi znaleźć, tak się zaszyli w debry.

— No, no — mruknał Kaliski — romantyczna historyjka, tylko opowiadaj ją prędzej, bo jak wiesz — nie mam czasu.

I spojrzął na zegarek.

— Tedy, coś pięć lat temu — ciągnął dalej Szymek — wypadek zdarzył, że się poznałem z Szymulisek. . . Oddałem mu nawet jakąś przysługę. Zresztą wisielec z wisielcem łatwo się zapozna i zaprzyjaźni. . . Tak i ów

Szymulis nabrał do mnie wielkiej serdeczności. Odwiedziłem ich dziury — i przy tej okazji, ponieważ Ajryszka była bardzo pobożną Metodystką i bardzo się martwiła, że jej chłopcy, choć wysokie, niby dęby, nie były jeszcze chrzczone w nijakiej sekcie; — urządziliśmy im chrzest u jakiegoś sąsiedniego *pryczera*. Tak i stałem się kumem owego Szymulisa.... Czy rozumie pan teraz?

— Nic a nie....

— Otóż do tego kuma Szymulisa, zaprowadzę sobie moją gołębicę — i tam wśród dzikich gór, w prześlicznej, chłodnej jaskini, przybranej w skóry niedźwiedzi, upolowanych przez Szymulisa i jego synków, będziemy mieli miodowe miesiące.... A co, czy nie romantycznie?

I ohydny drab, otworzywszy szeroko trędowną gębę, śmiał się bezczelnie.

— A więc ty koniecznie chcesz sobie wziąć tę dziewczynę? — zapytał niechętnie Kaliski.

— Naturalnie.... Już w Cleveland, jakśmy jej „zbuchnęli” torebkę ceratową z czekami, podobała mi się siarczyście.... Gięła mi się w rękę, jak wosk. Zgodziłeś się pan zresztą już dwa tygodnie temu, że to będzie moja nagroda! Czy nie tak?

— Tak.... ale....

— Nareszcie, jeśli panu o to chodzi, mogę panu odstąpić tę gołąbeczkę.... chociaż....

co pan z nią będzie robił? Panu ona narobi dyabelnego kłopotu, a ja to sobie z nią poradzę. Naturalnie odstąpię ją za *cash*.

Elegancki Bolo L. Kaliski zdawał się uczuwać teraz ostatni skrupuł, ostatni wyrzut sumienia. Wydać takie dziewczę, jak Jadwiga na łup takiemu łotrowi! — to istotnie straszne.... Ha! w każdym razie lepiej, aniżeli pozbawić je życia. I wreszcie płacić jeszcze za nią! To za dużo.... Walka Kaliskiego ze sobą trwała krótko.

Machnął tylko ręką — i rzekł:

— Nie potrzeba... Bierz ją sobie!

Trędowata twarz Szymka skrzywiła się bezczelnym uśmiechem.

— Ale jakże ją myślisz wziąć? — pytał dalej Kaliski.

— To zależy.... Wie pan dobrze — ciągnął z szyderczym uśmiechem Szymek — że tej słodkiej gołąbki strzeże aż dwóch dzikich brytanów. Jedno szczęście, że jutro będą mieli aż za dużo do roboty.... Jedno z dwojga, albo są osobistymi przyjaciółmi pana Andrew J. Mallory i w takim razie pójdą w noc z poniedziałku na wtorek do pracy, ewentualnie zaś bronić będą jego posiadłości przed naszym atakiem; albo przeciwnie, są z naszym ludkiem, to w takim razie pójdą z nami razem palić i rabować fabryczne klatki p. Mallory'ego. Tak czy inaczej, w domu na noc naszych brytanów nie będzie... Czy prawda?

— Przypuśćmy.

— Otóż, co robimy?.... Krótko mówiąc, postaramy się — pod jakimkolwiek bądź pozorem — wywabić późnym już wieczorem jedną z czeczotek — a choćby i obie — w las, a tam już będą czekali z wózkiem trzej młodzi Szymulisowie — i jazda w góry do jaskini.

— No, a jeśli, przypuśćmy, zdarzy się trzecia, nieprzewidziana ewentualność.... jeśli brytany, jak ich nazywasz, cudem jakimś zostaną w domu?

Oczy Zawalidrogi zapaliły się złem światłami.

— Niech się strzegą!....niech się strzegą! — zawołał, podnosząc rękę — będziemy probowali ich wyprowadzić gdzieś na *outside*, a kobietę weźmiemy siłą.... A nie! to się to może skończyć krwawo....

Bolo L. Kaliski znów pobladł. Widocznie wyraz „krew” źle mu działał na nerwy.

— No, no.... nie bój się pan — Ja tam do tego nie będę przykładał ręki. Od czego są te niedźwiadki, synowie starego Szymulisa? A jeszcze lepiej, to pokażemy ich białą chałupkę kilku chłopakom z naszej bandy — i powiemy, że tam siedzą zdrajcy, szpiegi Mallo-ry'ego. Dadzą im pieprzu.... Dadzą!

Zaśmiał się brutalnym, dzikim śmiechem.

Elegancki Bolo L. Kaliski czuł, że na widok tego ohydneho cynizmu krew mu tężeje w żyłach. Na czoło wystąpił mu gruby, kroplisty pot. Pytał teraz drżącym głosem:

— No... i co potem, po porwaniu, będziesz z nią robił?

— Co? Zostanie moją żoną.... pewno dwudziestą dziewiątą z kolei!

— Nie zgodzi się na to nigdy.

— A ktoby ją o to pytał?! — i znów się roześmiał cynicznie.

Kaliski patrzył na niego prawie z przerażeniem.... A on wyjął z kieszeni jakiś mały flakonik i mówił chełpliwie:

— To indyjska „medycyna”.... Kupiłem ją za *cash* od jednego wodza indyjskiego — nazywał się „Zielony Ptak” — który w „Dime Muzeum” w Chicago sztuki pokazywał.... Dam jej tego dziesięć kropli.... Najpierw będzie spała przez 48 godzin, jak trup; potem będzie przez parę tygodni, jakby odrętwiała, a wreszcie już przez całe życie nie dojdzie do rozumu.... Będzie przygłupkowata!

— I chcesz z nią żyć, jak z żoną?

— A, bo ja głupi?.... Jak się miodowy miesiąc skończy, odprzedam ją Szymulisom...

Kaliskiego drzszecz przeszedł.

— Jakto? — zapytał.

— A tak.... Alboż to trzy młode Szymulisy

nie chłopcy, jak dębczaki? Alboż to nie potrzeba im żon? Jeden nazywa się Bartek na pamiątkę ojca, drugi Pat, trzeci Dennis. . . . Jednemu z nich ją sprzedam za skóry niedźwiedzie i bobrowe, a jak zechcę, to i darmo dam za gościnność. . . . A i starzy będą kontenci. Będzie im miał kto prać i warzyć strawę

Kaliski mimowoli zadrżał na całym ciele.

Ostatnia fala, ostatni wyrzut uderzał mu do głowy. Ale w jedną sekundę przemógł to wszystko.

— Dobrze — rzekł — W każdym razie zdasz mi o tem pojutrze raport. . . .

— Naturalnie.

Dwaj nikczemni twórcy piekielnego planu rozeszli się.

VIII.

Krwawo wschodziło słońce następnego dnia, w ów pamiętny poniedziałek.

Dzień od rana był parny. . . Ludzie w dolinach wstawali ze snu, po pełnej udręceń nocy, smutni i zasepieni. Pierwsza, najmniej liczna zmiana robotników, powróciła z pracy nocnej wczesnym rankiem — i przyniosła ze sobą „pejdę”. Zazwyczaj sprawiało to wielką uciechę w domach robotniczych. Teraz robotnicy oddawali pieniądze swym żonom lub gospodyniom, milczący i osowiali.

W liczbie robotników, którzy powrócili rankiem z fabryki, znajdowali się Połubajtys i

Homicz. Litwin teraz od paru dni także pracował na noc.

Zaraz po powrocie do domu złożyli wielką radę, przy udziale kobiet. Co robić? — oto pytanie, które sobie postawili.

Już wcześniej obaj mężczyźni razem z pewną liczbą stateczniejszych kolegów, zarówno tu, jak i w innych osadach zamieszkałych, uchwalili, że roboty aż do czwartku, to jest do czasu owego zapowiedzianego mass-mityngu nie porzucą. I oni uznawali obcięcie płacy za niesprawiedliwe i niesłuszne; i oni gotowi byli strajkować, ażeby zmusić fabrykę do przywrócenia dawnej stopy zarobkowej; ale mniemali, że strajk należy rozpocząć rozważnie.

Przypuszczali nadto — jak już zkądinąd wiemy, zupełnie mylnie — że pośrednictwo organizacyi „Amalgamated” przyczyni się do ułatwienia strajku w drodze polubownej.

Dodać wreszcie należy, iż każdy prawie z tych ludzi zajmował jakieś bardziej odpowiedzialne stanowisko, głównie przy maszynach różnego rodzaju, — to też nagłe, bez uprzedzenia, opuszczenie przez nich pracy mogłoby zrządzić wiele szkody w fabryce, wywołać najzgubniejszą katastrofę.... Gdyby nawet ogół robotników dziś wieczorem, po otrzymaniu ostatniej wypłaty, zdecydował „zasztapować” zupełnie, — to i tak ci, którzy pracowali na nocną zmianę, a bodaj i na pierwszą zmianę

jutrzejszą, musieliby udać się do fabryki, ażeby ogień powygasać, powstrzymać ruch maszyn i zarządzić wszelkie środki ostrożności.

Tem bardziej powinni być na stanowisku, jeśliby masa robotnicza, rozwścieczona nieludzkością zarządu „Excelsior Works”, miała tej nocy uderzyć na fabryki....

Tej ostateczności zresztą nie przypuszczali.

Innego pod tym względem zdania był Homicz. Badał on uważnie usposobienie masy, przyglądał się jej ruchom. widział prowadzoną pokątnie i jawnie agitację — i był pewny, że późnym wieczorem lub w nocy nastąpi wybuch.

Z jego to właśnie inicjatywy zebrano w białym domku Połubajtysów ową naradę.

W paru słowach objaśnił Szczepan obecnym, jakie jest położenie. Oni obydwaj dziś na noc muszą iść do pracy — i pójdą. Tak im każe obowiązek. Stawić się mają nawet o godzinę wcześniej, niż zwykle — takie otrzymali polecenie.... Tymczasem wieczorem w osadzie, a bodaj i w fabrykach będzie burza; będą awantury. Czy w obec tego można panie bezpiecznie pozostawić same w domu?

Tak postawiona kwestya wywołała ożywioną wymianę zdań.

Połubajtysowa — mały zuch — odrazu zaczęła się naśmiewać z obaw Szczepana. „A cóż to” mówiła „zjedzą nas, czy co?... Czy my

to nie kobiety, jak się patrzy? Czy w domu niema coś aż pięciu rewolwerów? Zastrzelimy każdego, kto nam tylko w okno zajrzy!” I robiła ogromnie odważną i bardzo zabawną minkę. Ale mężczyźni prędko jej wytłumaczyli, iż to brawowanie nie jest na czasie — i że rzecz całą należy brać poważniej. Połubajtys nadto szepnął żonie na ucho, że pannie Jadwidze grozić mogą jakieś specjalne niebezpieczeństwa od jej wrogów osobistych. Wtedy pani Mania spoważniała. Sama zwróciła się teraz do Homicza, z zapytaniem: — Co on radzi?

Szczepan odpowiedział z pewnem wahaniem.

Przypomniał Jadwidze, że niedawno wyrażała zamiar wyjazdu do Cleveland po pieniądze. Wtedy jej to odradzał; ale teraz zmienił zdanie.... Otóż czy obecnie nie chciałaby pojechać, dziś jeszcze? Odwieźliby ją na stację kolei — możeby zechciała jej towarzyszyć i pani Połubajtys....

Ale pani Mania już zawiesiła się na szyi swemu Jankowi.

Nie, nie! ona nigdzie nie wyjedzie... Ona go nie opuści. Jemu grozić może niebezpieczeństwo; niech i ona przy nim będzie!

Oświadczenie było stanowcze.

Poparła je także Jadwiga. I ona również oświadczyła, że w chwili niebezpieczeństwa nie

opuści przyjaciół. To byłoby nieszlachetnie.... Zresztą jej pomoc może się bardzo przydać przyjaciółce (mówiąc nawiasem, pani Połubajtys była w stanie, który zdawał się zapowiadać zwiększenie rodziny Połubajtysów!)

Nakoniec zaproponowała, co następuje: Na tę noc grożącą tyloma niepokojami, poproszą o schronienie dla kobiet na plebance u ks. Balińskiego. Zaczny staruszek nie odmówi ich prośbie; a kościółek i chałupka przy nim tak leżą na uboczu, że niema obawy, ażeby w razie rozruchu w osadzie, myślał kto zajrzeć aż tam. Jutro rano, po wypadkach w nocy zobaczą dopiero, co robić dalej.

Ta rada podobała się wszystkim. Przyjęto ją.

Szczepan poszedł zaraz do ks. Ludwika — i rozmówił się z nim. Naturalnie, staruszek zgodził się chętnie na wszystko. Oddał kobietom do rozporządzenia na tę noc środkowy pokoik, służący zazwyczaj za szkołę.

Dodał zresztą z pewnem zaambarasowaniem:

— Tylko, jeśli chcą jako tako wypocząć, niechże ze sobą choć poduszczynę jaką przyniosą, bo Bóg widzi, u mnieby nawet i tego nie dostały....

Szczepan ucałował księdza w ramię i uspokoił go, że jakoś to będzie.

Wieczora doczekali w głuchym niepokoju.

Homicz miał przeczucie czegoś złego. Zda-
wało mu się uparcie, że dziś wieczorem już po-
raz ostatni opuści ściany tego białego domku,
w którym bądź co bądź przeżył wiele chwil
radosnych.... To też przebrał swe papiery,
książki i przyrządy — i z najcenniejszych zro-
bił mały pakiecik. To samo radził zrobić Po-
łubajtysom i Jadwidze, a ci rady jego usłuchali.

Na osadę nie wychodzili.... Zauważyli
już od rana, że niektórzy patrzą na nich z po-
deśbą, jak na wrogów.

Po południu Szczepan zaniósł na plebanię
ich pakuneczki, a nad wieczorem, zamknawszy
domek (przyczem pani Mania przeżegnała swą
chałupkę znakiem Krzyża św. i aż popłakała
się), powoli, niby spacerem, w dwie oddzielne
pary skierowali się bocznemi drogami, w stro-
nę kościołka.

Przyjęcie u ks. Ludwika było serdeczne;
pożegnania z kobietami krótkie.

Zapadał już zmrok, gdy się znaleźli na
stacyi kolejki linowej, prowadzącej z osady do
fabryk. Na nocną zmianę powinno się było u-
dać do fabryki stukilkudziesięciu ludzi; nie sta-
wiło się więcej aniżeli trzydziestu.... W mil-
czeniu siedli do wagonów i pojechali. Byli to
wszystko robotnicy wytrawni, trzeźwi i spo-
kojni. Rozumieli oni całą powagę położenia.
Pozostawili tam w dolinie szczupłe swoje mie-
nie i rodziny na łaskę lub niełaskę rozognione-

go motłochu; wszystkiego mogli się obawiać tam na górze.... Pomimo to jechali tam, bo czuli, że woła ich obowiązek.

Szeptem tylko komunikowali sobie o tem, co się dzieje w osadzie.

A w osadzie istotnie działo się źle.

Do południa było jeszcze jako tako. Ale po południu, gdy przybyli robotnicy z pierwszej zmiany dziennej, wszystko zaczęło wrzeć, jak w ulu.... Przynieśli oni nową, oburzającą wiadomość. Do ofisu udała się delegacya, złożona z 9ciu starszych robotników. Nietylko nic nie wskórała, ale nawet p. Mallory kazał zapisać członków delegacyi do kary za samowolne opuszczenie roboty — i zapowiedział, że jeśliby jeszcze ktokolwiek chciał przyjść do ofisu z jakim poselstwem, zostanie w tejże chwili wydalony z roboty.

Oburzenie na tę wieść było ogromne.

Ponowiły się sceny sobotnie, tylko bardziej gwałtowne.... Pito daleko więcej, bo pieniądze z wypłaty były w kieszeni. Masa rwała się do jakiegoś czynu: chciała na kimś wyrzucić swą złość i oburzenie.

Ruch cały ogniskował się na „Skwerze”. Przed Townhall gadano mowy i wykrzykiwano ogromnie na przeklętych „bossów”.

Nikt tu już nie myślał o powrocie do pracy.

Wszyscy czekali tylko na przybycie z fabryki drugiej zmiany dziennej. Gromada lu-

dzi poszła na spotkanie tej zmiany o dziesiątej wieczorem. Przy sposobności chcieli się też przekonać, czy kto z kolegów nie jedzie do fabryki na trzecią, nocną zmianę. Tych gotowi byli zatrzymać — perswazyą lub siłą....

Spotkała ich niespodzianka.

Dowiedzieli się, że kilkudziesięciu ludzi z trzeciej zmiany pojechało do fabryk już o godzinę wcześniej.... Powiedział im o tem oczekujący na stacyi motorman. Oburzenie przeciwko tamtym było niesłychane.

— A zdrajcy, łotry, szubieniczniki! — wołano.

— Powiesić ich!....

— Niech no się tylko w nasze ręce dostaną!

Dopytywali, którzy to robotnicy udali się do fabryki. Wymieniono kilkanaście nazwisk, w tej liczbie Połubajtysa i Homicza.

— A.... ten z elektryki.... ten panicz!
— wołał z tłumu Szymek Zawalidroga — To najgorsza jucha... to on ich pobuntował....

— A psi syn!

— Zalać mu sadła za skórę... Uszy łotrowi poobcinać! — ryczał pijany, jak nieboskie stworzenie, gruby Harald, wielbiciel i narzeczony miss Steffi....

Przybycie pociągu z wracającą od pracy drugą zmianą robotników, dolało tylko oliwy do ognia. Przynieśli nową wiadomość. W dyre-

kcyi była druga delegacya po południu. Nie przyjęto jej; a ludzie, należący do delegacyi, zostali zaraz, na miejscu wypędzeni z pracy.

Oburzenie wzmagalo się coraz więcej.

Ale to nie jeszcze.... Przybyli opowiadali cuda o tem, jak w ostatniej chwili uzbrojono „Excelsior Works”.... Podług ich opowieści, robotnicy, którzy udali się dopiero co do fabryki, zostali zaopatrzeni w karabiny i będą zabijali swoich braci, za judaszowe srebrniki.

Tego już było za dużo.

Teraz burza wybuchła na seryo. Setki rąk grożących podniosły się do góry; z setek ust wyleciał okrzyk:

— Śmierć im! śmierć wrogom i zdrajcom!

Tłum uczuł potrzebę nagłej, doraźnej zemsty na kim albo na czemś. W którejś głowie naraz zaświtała myśl.

— Połamać im wagony!

Teraz tłum rzucił się na wagony kolejki linowej. Motorman zaledwo zdążył zeskoczyć z wozu.

Pijany Harald porwał za żelazną sztangę, służącą do kierowania wagonu motorowego i herkulesowym wysiłkiem wyrwał ją z obsady. Podniósł ciężką sztabę żelaza nad głowę, wywinął nią — i uderzył z całej siły w oszklony bok wagonu....

Fryśło szkło i rozdarło się drzewo. Okucia mosiężne porwały się, jak nitki — i zwisły pogięte.

W boku wagonu otworzyła się czarna szczyrba.

Potężny ryk stu głosów odezwał się pośród drzew. To pierwsze uderzenie było hasłem. Czem kto mógł, żelazem, kamieniami, kawałkami drzewa, rękoma, walił w ściany wagonów, szczyrbił je — i rozrywał na kawałki.... Z jakąś dziką zaciętością pastwił się tłum nad tymi martwymi przedmiotami, jak gdyby miały one życie — i jak gdyby to życie chciał im z piersi wydrzeć.

Nie upłynęło dziesięciu minut — i z trzech wagonów kolejki linowej pozostały trzy potworne szkielety, powywracane na bok lub sterczące do góry kołami....

Części ich leżały obok w kupie żelaztwa i drzewa.

Był to pierwszy tryumf zbuntowanych przeciw uciskom kapitału robotników.

Tryumf ten zresztą ochłodził wielu.... Uczuwali oni jak gdyby wstyd z popełnionego czynu. Ręce niektórych, pokaleczone przy rozrywaniu wagonów, broczyły krwią. Rozważniejsi zrozumieli, że istotnie bezcelowem było niszczenie wagonów, skoroby zamierzali iść na górę do fabryk.

Ostattecznie ktoś rzucił myśl, aby wrócić na „Skwer” dla narady z pozostałymi.

Tak uczyniono.

Mrok stawał się coraz gęstszy; to też niektórzy powyrywali z drzew smolne gałęzie -- i zapalili je.... Tak szli przez ulice osady, w fantastycznym oświetleniu, z zaimprovizowanymi pochodniami.

Na „Skwerze” oczekiwano ich niecierpliwie....

Podniecenie tam panowało wciąż ogromne. Nikt nie szedł spać. Obok mężczyzn były tu i kobiety, zajadłe, z rozczochranym włosiem, niektóre oszołomione trunkiem. Dzieci płątały się pod nogami starszych.

Przez chwil parę zapanował zamęt, większy jeszcze niż poprzednio. Podawano sobie nowiny.... I oto naraz, gdy ta masa zrozumiała, co się stało, wybuchnął z jej łona potężny okrzyk tryumfu.

— Do fabryk! do fabryk! — huczało w tłumie.

Teraz jedną wolą i chęcią tego tłumu stała się zemsta i nienawiść. Próżno niektórzy radzili iść spać, odpocząć i dopiero nazajutrz rozpocząć walkę. Nikt o tem nie chciał słuchać, a radzących wprost zdrajcami nazywano.

Tłum zresztą był dotąd bez wodza; miotał się i przelewał po placyku, jak fala nieokiełznana.

Szymek Zawalidroga zrozumiał, że teraz czas jemu wystąpić.

Skinął na trzech silnych chłopaków w li-

sich czapkach, ażeby na wszelki wypadek znajdowali się niedaleko niego — byli to trzech młodzi Szymulisowie, którzy jakkolwiek tu nieznani, wmieszali się w tłum rozogniony i razem z nim szaleli — i szybko przedarł się do Townhall. Drzwi urzędowego budynku były otwarte, a w drzwiach stał stary Niemiec, robotnik, obrany tej wiosny na wójta (prezydenta) osady. W ręku trzymał pęk kluczy — i przypatrywał się na pół z trwogą, na pół z ciekawością temu, co się działo na „Skwerze”.

Szymek uderzył go po ramieniu — i rzekł:
— Hans, zadzwoń na alarm...

Niemiec spojrział na niego zdziwiony.

— Przecież niema pożaru — odpowiedział flegmatycznie.

Oczy Szymka zapaliły się złością.

— Dzwoń, powiadam, bo....

Podniósł grożąco rękę z prętem żelaznym, wyrwanym przed chwilą z jednego z rozbitych wagoników. Niemiec zrozumiał, że niema się co opierać. Nie mówiąc ani słowa, wdrapał się na schodki na lewo — i po chwili z kopułki zaczęły się rozlegać głośne, ponure dźwięki dzwonu....

Przemogły one huk ludzkiej fali.

— Bum.... bum.... bum! — huczało w powietrzu.

Tłum zatrzymał się i na pół umilkł. Oczy wszystkich skierowały się w stronę ratusza....

A tam już stał na podwyższeniu, z jakichś pak i beczek, Szymek Zawalidroga.

Kazał on zaprzestać dzwonienia — i zaczął mówić:

— Bracia robotnicy! — krzyczał to po angielsku, to po polsku, płacząc zresztą wyrazy z różnych języków — Dość tych wrzasków i tego szamotania się.... Nadszedł teraz czas do roboty. Pili oni tak długo naszą krew — i my się teraz ich krwi napijemy!

— Napijemy się — huczał w odpowiedzi tłum.

— Dość marudzić. Idźmy na fabryki! Kto ma broń, niech ją bierze i maszerujemy naprzód.... Kto nie ma broni, niech chwytaj kij, kawał żelaza, pałkę, co będzie pod ręką.... Szykować się w szeregi i naprzód!

Głos Szymka brzmiał donośnie, rozkazująco.

Tłum zrozumiał, że ma wodza, który go poprowadzi. Wrzało jeszcze wszystko, ale mimowolnie porządkowało się, przygotowywało do — roboty.

Teraz Szymek wyciągnął z za pazuchy jakąś szmatę — i rozwinął ją. Był to czworokątny kawał czarnej tkaniny, w środku którego widniała biała trupia główka i dwie na krzyż złożone piszczele.

— To będzie nasz sztandar! — zawołał uroczyście.

Podano mu długi kij, do którego przytwierdził ową szmatę. Podniósł go w górę — i rzekł znowu:

— Na ten sztandar przysięgamy, że nie będziemy mieli litości, że śmierć i pożoga będzie naszym hasłem. W imię tej trupiej głowy niesiemy zniszczenie i zemstę.... Zemsta wrogom i zdrajcom!

Gdy to mówił, wyglądał istotnie imponująco: niby żywy posąg zła.

Już od pewnego czasu, na horyzoncie, od południa, gdzie po za borami znajdowały się inne osady, mrok zaczął się jak gdyby rozwidniać..... Ciemne niebo, pokryte haftem gwiazd, zaróżowiło się. Po nad ścianą boru wreszcie wstała łuna czerwona, jak krew, łuna pożogi. Odblask jej oświetlał potężną postać Szymka i twarz jego brutalną i czarną chorągiew z trupią główką — i dodawał całemu obrazowi jakiejś tajemniczej grozy.

Teraz dopiero ludzie zwrócili uwagę na łunę.

— Tam już się pali!.... — mówiono.

— Tamci już zaczęli!

— Tem zwawiej i my musimy brać się do roboty — odpowiedział Szymek i zeskoczył z pak.

Zaimprovizowany swój sztandar oddał w ręce pierwszemu lepszemu drabowi, który mu

się pod ręce nawinał. — Był to przypadkowo gruby Harald, Szwed.

— Ty będziesz chorążym! — rzekł mu.

Harald był uszczęśliwiony tem odznaczeniem. Wywijał czarną szmatą w powietrzu — i wołał:

— Naprzód, naprzód!....

Tymczasem Szymek krzątał się energicznie. Potrzeba było pochodni do oświetlania drogi.... Ci i owi szukali sobie jakiejś broni. Wreszcie sformowano się.

Gromada wyruszyła.

Maszerowano środkiem ulicy, gromadnie. Przodem szedł potężny Harald, machając swą chorągwią i wrzeszcząc. Za nim waliła gromada, z pałkami, kijami i pochodniami. Migotliwe, ostre światło smolnych drzazg oświetlało twarze, czerwone od napływu krwi, oczy rozszerzone od złości, wykrzywione wargi. Dwóch czy trzech ludzi miało fuzye, kilku potrasało rewolwerami, inni mieli siekiery w ręku. Pomiedzy mężczyznami były i kobiety: wyglądały one, jak furye.... Mężowie i bracia kazali im iść do domów, a one słuchać nie chciały. Gnała je razem z innymi — ciekawość i namiętność.

Szła ta gromada, hucząc i wrzeszcząc.

Naprzód wysforowało się jakichś dwóch malców, jeden z trąbką, drugi z bębniem i probowali przygrywać pochodowi.... Odgłosy

bębna ginęły jednakowoż w wrzasku ogólnym. Jedni miotali przekleństwa, drudzy wrzeszczeli, trzeci probowali śpiewać jakieś pieśni.... Dysbarmonia była nieopisana.

Upłynęło minut kilkanaście, pochód zbliżał się do domku Połubajtysów.

Na kilkadziesiąt kroków przed tym domkiem Stefka, która także znajdowała się w liczbie kobiet, towarzyszących gromadzie burzycieli, wysunęła się naprzód. Niezwykłe, a dziko wyglądała ona z twarzą zaognioną od blasku pochodni, którą niosła, z rozpuszczonymi blond włosami, na które narzuciła tylko jakąś chustkę. Kobieta przysunęła się do idącego na przodzie Haralda — i coś mu przez chwilę szeptała.

Harald słuchał uważnie.

Gdy odeszła, olbrzym zatrzymał się nagle. Odwrócił się przodem do idących za sobą i w ten sposób powstrzymał cały pochód.

Hałas i wrzawa nagle ustały.

— Co? co się stało? — pytali idący w dalszych szeregach.

— Cicho tam! — wrzasnął stentorowym głosem Harald, a gdy istotnie uciszono się zupełnie, dodał, wskazując swoją chorągwią na biały domek Połubajtysów — tutaj będzie nasza stacya....

Tłum nie rozumiał. Spoglądano na Szwe-
da pytająco; on ciągnął dalej:

— Tu jest mieszkanie dwóch zdrajców...
A czy nie przysięgaliśmy zdrajcom zemsty?

— Tak.... przysięgaliśmy....

— Otóż cobyście tak powiedzieli, moje baranki, gdybyśmy zajrzeli do tego domku? Może tam pod pierzyną znajdziemy ukrytego ktorego z naszych ptaszków.... a może też znajdzie się tam i co innego, ciekawego?!

Pomysł ten podobał się wszystkim.

— Hurra, Harald! — wołano.

Do wykonania przystąpiono w jednej sekundzie. Gromadka „chłopców” poskoczyła do domku. W pierwszym rzędzie byli trzej Szymulisowie. Drzwi frontowe pękły, jak drzazga, pod naciskiem jednego z nich. Wtedy tłum wpadł do mieszkania, ale — nie znalazł nikogo.

Napróżno trzej Szymulisowie szukali Jądwi.

Próżno Stefka razem z Haraldem zaglądała w każdy kątek.... Młoda kobieta szalała na myśl, że nie może stanąć naprzeciwko swej, jak mniemała, współzawodniczki — i zorać jej twarzy paznogciami i drzeć włosów z głowy.

Tłum zaczął się gniewać, że nie znalazł nikogo.

Ktoś już chciał zacząć rąbać sprzęty, ale wściekła ze złości Stefka wyrwała mu siekierę.

— Po co tracić czas? — zawołała — spalić tę budę....

Sama rzuciła płonąca pochodnię w kąt izby. Za chwilę pięć innych pochodni przytknięto do węglów opróżnionego już budynku. Ogień, zlekka trzaskając, ukazał się w różnych punktach domku biało-czerwonemi chmurkami.... Jeszcze chwila — i płomienie, jak na komendę, wystrzeliły do góry.

Tłum tupał i klaskał w dłonie w obec tak wspaniałego widowiska.

Po chwili sformowano się na nowo, na komendę chorążego Haralda. Tłum ruszył znów naprzód, a na ową drogę fatalną przyświecał mu, jak olbrzymia pochodnia, strzelający płomieniami w czarne niebo domek Połubajtysów.

.....

Tymczasem Jadwiga z Połubajtysową przebywały ciężkie chwile w skromnej chałupince, służącej za plebanię księdzu Ludwikowi.

Mrok już dawno zapadł.

Baba przyrządziła jakąś polewkę, zamiast kolacyi, dla księdza proboszcza, a ksiądz częstował tą polewką dwóch swoich niewieścich gości.... Żartował przytem z siebie, z polewki i ze świata całego. Przedziwnie bo piękna dusza tkwiła w tej piersi staruszka-kapłana. Przejrzysta, jak kryształ.... Życiowe trudy, walki i brud nie były w stanie zmącić jej przezroczystości ani na chwilę. Tak i teraz. Starzec pocieszał pół żartem dwie młode kobiety,

a ostatecznym wnioskiem i wywodem z jego słów było:

— Bogu ufajcie! W Panu połóżcie nadzieję, a On was nie zawiedzie.

Wreszcie na staroświeckim zegarze uderzyło wpół do jedenastej. Staruszek proboszcz aż zląkł się, widząc tak późną godzinę. Dawno powinien już udać się do wieczornych modlitw; rankiem o 5ej ma wstać nazajutrz do ofiary Pańskiej.

— Idźcież na spoczynek, moje panienecki! — rzekł i pobłogosławił je obiedwie.

Poszedł potem do swojej izdebki. Zaledwo przecież ukląkł do modlitwy, w okno zaczęła mu zaglądać przedwczesna zorza. Niebo różowiało, czerwieniło się, aż całkiem stało się krwawe. Ksiądz Ludwik skończył modlitwę, wstał — i aż w ręce plasnął.

— Gore! — zawołał.

Podniósł okno — i spojrział. Płomienie zalały niebo. Zewsząd igrały na tle ciemno-błękitnych niebios fale czerwieni.... Płonęło na prawo i na lewo; w tyle i w przedzie. „Okropność!” pomyślał ksiądz Ludwik. „Co się tam dzieje, co się tam dziać może?!”

Nikt wreszcie teraz nie spał w małej ustronnej plebance.

Jadwiga i Połubajtysowa przy drugim oknie obserwowały pilnie, co się dzieje po za drzewami, w stronie ich białego domku. Serca

miały sparte trwogą.... Nawet i stary dziad zakrystyan zwlokł się razem z babą ze swej pościeli — i wyczekiwał: co to będzie?.

— Jezu — modlił się ksiądz — daruj im, bo nie wiedzą, co czynią....

I szeptał modlitwę za modlitwą, z oczyma wlepionemi w niebo, zwykle ciemno-błękitne, dziś ogniste i krwawe.

Naraz z poza drzew, gdzie ukryta była wśród zieleni osada X., wytrysnęła w górę kita płomieni.... Podrywała się w górę, jak ptak zraniony, to opadała. Pluła w niebo setkami złotych iskier, to kołysała się od podmuchów wiatru....

Połubajtysowa wpatrzyła się w tę kitę ognia — i uczuła, że robi się jej niedobrze.

— Boże.... — wyszeptała — tam musi być nasz dom.... nasz biały domek.

Opuściła się nieruchoma, blada, jak trup, na jedną z ławek szkolnych, zazwyczaj dla dzieci służyących — i jak małe dziecko, płakała.

— Boże mój! — mówiła — Dziuńka tam został.... Co z nim będzie? (Dziuńka — tak się nazywał ulubiony kanarek Połubajtysów).

Teraz wybiła godzina jedenasta.

Łuny coraz się stawały ognistsze.... Z pomiędzy drzew, naprawo, zaczęły dochodzić jakieś huk i nawoływania. Wiatr powiewał i od czasu do czasu przynosił jakąś zmieszana

wrzawę. To znowu pukało, jak gdyby strzelano z rewolwerów. W dali, na stoku góry migotały światełka, wspinały się w górę, to spadały na dół.

Ksiądz Ludwik zaczynał się domyślać, co to jest.

Przywołał małego chłopca, 11letniego Frącka, prawnuka starych dziada i baby, który od paru dni u nich siedział, przybywszy z osady — i kazał mu kopnąć się zobaczyć, co to jest. Ale chłopiec już gotów był z raportem. Sam już wybiegał parę razy ku osadzie.

Wypaplał tedy proboszczowi wszystko: i jak tramwaje rozbijali — i jak domy palili — i jak teraz pieli się w górę, ku fabrykom, wąską ścieżką, obok toru kolejki linowej bieżąca. Szli, a krzyczeli i strzelali z rewolwerów.

Zachmurzyło się na te wieści czoło sędziwego kapłana.

— W grzech wpadli ... ku zbrodni idą!
— szeptał sam do siebie, smutny.

Zaczął się prędko ubierać. Sutannę wytartą włożył na siebie, na wierzch komżę, do ręki wziął duży krzyż czarny z Chrystusem na nim rozpiętym, który stał zwykle nad klęcznikiem — i kazał dziadowi zapalić latarnię, z którą chadzali po nocy, gdy kapłana od czasu do czasu wzywano do ostatniej posługi choremu.

— Pójdziemy.... — rzekł krótko ze słodkim na ustach uśmiechem.

Ale dziad drżał, jak liść osiki. Latarnia latała mu w ręku. Pochylił się ku kolanom księdza.

— Jegomościulku.... jegomościulku.... nie chodźmy tam — błagał.

— Boisz się! — odrzekł proboszcz dobrotliwie — a no, co robić? I ja szedłbym tam nierad.... ale cóż! gdy obowiązek każe. Dla jednego chorego każe mi sumienie iść do jego łoża, a tu, gdy dusz tyle na zgubę się naraża, nie miałbym może spełnić obowiązku kapłańskiego?....

Skinął na malca, zuchowato patrzącego z kąta.

— Pójdiesz ty ze mną? — zapytał.

— A cobym zaś nie miał iść z proboszczem.... — zaśmiał się chłopczyzna.

Kazał mu wziąć latarnię — i poszli.

Szli niedaleko. Im bardziej zbliżali się do ścieżki, pnącej się po urwisku, tem światła migały gęściej, tem większa dochodziła wrzawa. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze parę drzew — i oto znaleźli się na ścieżce.

Na zaczerwienione od ognia niebo wypłynął teraz księżyc i oświetlił malowniczy krajobraz. Ścieżyna górską pięła się pomiędzy drzewami, tonąc w mroku u góry, u dołu gwarliwa teraz i oświetlona krwawemi odblaskami.

Sylwetki drzew i ich spletanych konarów odbijały się niejasno jakimiś potwornymi konturami na tle krwawej łuny i blasków księżyca.

Tłum cieni posuwał się teraz od dołu, a na czele szedł gruby Harald, z czarną chorągwią o trupiej głowie. Wszyscy zdawali się teraz o wielekroć więcej podnieceni. Istotnie! — przechodzili koło karczmy Jenkinsa i tam, niewiadomo jakim już cudem, pękła beczka wódki....

Ksiądz Ludwik oparł się o drzewo, krzyż ścisnął w dłoni — i czekał.

Ukazali się wreszcie z poza ostatniego zakrętu. Kapłan wystąpił z cienia. Ostre blaski pochodni upadły na jego twarz bladą i pomarszczoną, w tej chwili dziwnej powagi i słodczy pełną.

— Bracia! — rzekł donośnym głosem i krzyż podniósł do góry.

Tłum stanął nagle zdziwiony. Ta postać szlachetna ukazała się im tak niespodziewanie. Kapłan katolicki, ów przedstawiciel Boga, stawał przed tymi ludźmi, jak żywy wyrzut sumienia.

— Bracia! — rzekł ponownie ksiądz Ludwik — i postąpił ku nim bliżej — Co robicie? Dokąd dążycie? Czyż to wy jesteście, pośród których widzę tylu moich wiernych parafian, ludzi poczeiwych i pobożnych? Co za szal dzi-

ki was opętał?.... Czyście zapomnieli, żeście Chrześcijanami—katolikami? Dokoła — tu kapłan obwiodł wzrokiem po niebie od łuny różowem — widzę pożogę.... Mamże wierzyć, że wyście sprawcami? O, stokroć grzeszni i występni! I któż to wam dał prawo niszczyć mienie bliźnich, nastawać na ich życie i swoje życie na szwank narażać? Ludzie! opamiętajcie się... Gdy sprawiedliwość ludzka was nie przeraża, wspomnijcie na karę Bożą.... Ona straszna, ona was dosięgnie, jeśli mnie nie uśłuchacie....

I tak mówił długo, wzywając do zarzucenia zbrodniczych zamiarów. Groził i błagał; a głos starca—kapłana brzmiał to potęgą i siłą, to rozrzewnieniem i boleścią bezgraniczną.

Niezwykła, dramatyczna to była scena.

Ten tłum jak gdyby nagle skamieniały od słów kapłana — i ów starzec nieustraszony, stojący im zaporą na drodze do zbrodni.

Coraz wyżej wznosił ksiądz Ludwik krzyż Pański.

— Na rany Chrystusa ukrzyżowanego zaklinam was! — wołał, gdy niektórzy z tłumy zaczęli się już niecierpliwić i rwać naprzód — wstrzymajcie się....Przez trupa mojego chyba przejdziecie. Plamy na imię swe nie bierzcie! Krwi nie rozlewajcie.... A wy, Polacy — dodał do skupionej w rogu gromadki swych rodaków — co tu robicie? Nie dość—że wam

strasznej chłosty, którą Pan na Ojczyznę naszą od lat stu za ciężkie grzechy zsyła; nie dośćże tego, iżemy wygnańcami, prześladowanymi przez wszystkich, rozpędzeni po świecie całym, jako liście z uschłego drzewa?..... Czyż zamiast pokuty, na nowy gniew Pana chcecie zarobić? czy błędami, gorszymi niż dawne, z przed lat, na nowo chcecie Ojczyźnie naszej pierś rozranić?..

Gorące łzy toczyły się po policzkach kapłana. Czuł teraz gorycz i ból niewymowny. Słowa jego przemówiły do Polaków, którzy należeli do bandy, bo ci zaczęli odrzucać od siebie pałki i pochodnie.

Ksiądz Ludwik ukląkł teraz.

— Bracia, na kolana! — zawołał wielkim głosem, i na jego słowa runęło na klęczki kilkudziesięciu ludzi — Bracia! pomódlmy się do Najwyższego, ażeby od nas zło i szaleństwo tej chwili odpędzić raczył....

Przez chwilę panowało milczenie; tylko w tylnych, stojących szeregach objawiał się niepokój. To między zbitymi tam Szwedami myszkował coś Szymek Zawalidroga.

Kapłan podniósł rękę do czoła.

— W imię Ojca i Syna.... — zaczął.

W tej chwili coś szcęknęło w tylnych szeregach. Jeszcze sekunda. Błysnął ogień... raz, drugi i trzeci. Zabrzmiał huk paru wystrzałów. I szlachetny starzec, żołnierz obo-

wiązku i stróż prawdy Pańskiej, runął twarzą na murawę, rażony dwiema kulami w pierś.....

Dzika i ohydna zbrodnia została spełniona.

VIII.

Noc ta straszna, noc prawdziwa, tyle i tak rozmaitych liczyła wydarzeń i epizodów, że i najbujniejsza fantazya wymyśleć ich nie byłaby w stanie. Przemknęły one przed oczyma jej działaczy i świadków, jak jakiś miraż porury, pozostawiając po sobie chaotyczne, na pół krwią i pożogą przesłonięte wspomnienia.

Gdyby nie straszne następstwa, jakie noc ta po sobie pozostawiła, gdyby nie zgliszcza, ruiny i trupy, gdyby nie zastygnięcie w milczeniu, od tego czasu na długie miesiące, wielkich zakładów fabrycznych „Excelsior Works”, gdyby wreszcie nie nędza i cierpienia, jakie potem spadły na doliny i kryjące się wśród nich osady, — niejednemu tych krwawych godzin dwanaście zdawaćby się mogło tylko — snem strasznym i dręczącym.

Pokrótkie tylko opowiemy dalsze dzieje tej nocy.

Istotnie, nietylko osada X., ale i prawie wszystkie inne osady wyruszyły na fabryki owego pamiętnego wieczora. Odbyło się to bez umówionego z góry planu, bez skoncentrowania ruchów, ale instynktownie, prawie równocześnie. Jedna tylko osada bardziej oddalona,

gdzie znaleźli się i potrafili uspokoić ogół ludzi rozważniejsi, nie ruszyła z innemi.

Zaczęło się to wszędzie, jak w osadzie X., od zebrań burzliwych, podniecań się wzajemnych, palenia domów tych, których uważano za „zdrajców”. Wreszcie, jak wzbierające fale, z kilkunastu odrazu miejsc, ruszyły w górę, ku fabrykom, tłumy, pijane zemstą i nienawiścią.

Pochód jednego z takich oddziałów rozpaczy widzieliśmy.

Inne szły w podobny mniej więcej sposób.... Niektórym zresztą udało się skorzystać z niezniszczonych jeszcze kolejek elektrycznych — i te przybyły na miejsce, przed fabryki, wcześniej.

Ci odrazu chcieliby przystąpić do ataku.... Przedstawiały się jednak pewne trudności.

W ciągu ostatnich dni, na rozkaz Mallory'ego, zakłady „Excelsior Works” literalnie zostały ufortyfikowane. Robotnicy wiedzieli o tem wprawdzie, ale w chwili wzburzenia nie pomyśleli..... Teraz dopiero spotkali przed sobą płoty z kolczastego drutu, wysokie czarne parkany z potężnemi, zamkniętymi na klucz bramami, wreszcie rowy głębokie, służyć mogące zarówno za schronienie dla obrońców tej twierdzy przemysłowej, jak i za pułapkę dla atakujących ją.

Ta twierdza wreszcie nie była bez obrońców.

Dowodził nimi szeryf, którego już znamy. Trzydziestu kilku urzędników administracyi i jakich czterdziestu robotników (więcej z zaprzysiężonych przez szeryfa nie przybyło) stanowiło jego armię, wybornie zresztą uzbrojoną. Ten oddział, gdyby dotrzymał placu, gdyby miał dość odwagi do masakrowania swych towarzyszków pracy, mógłby być dla nich straszny.... Swoją drogą nie był on w stanie przeciąć kilkutysięcznym tłumom dostępu do zabudowań fabrycznych, których ogromny obwód, do dwóch mil angielskich dochodzący, czynił to — wprost niemożliwym.

Garść ludzi szeryfa mogłaby być siłą, zebrana razem, w jednym punkcie; rozproszona wzdłuż dwumilowego obwodu fabrycznego była niczem.

To też szeryf i naczelny dyrektor p. Mallory niepokoił się mocno.

Obliczenia Mallory'ego zawiodły go tylko w paru drobnych punktach, ale były to punkta bardzo dotkliwe. Najpierw z liczby 200tu robotników, zaprzysiężonych poprzednio przez szeryfa do czynnej obrony fabryki, na których dyrekcyja liczyła, jak na Zawiszę, przybyło za ledwo około 40tu. Widocznie reszta byli to tchórze, którzy nie mieli dość odwagi odmówić zaprzysiężenia i (jak to uczynił Homicz) narażać się na groźbę oddalenia i inne niemiłe następstwa; ale którym znowu w chwili stanow-

czej strach nie pozwolił dotrzymać zobowiązania. To nie jeszcze.... Gorszy zawód zrobili dyrekcji fabryki Wintertończycy (policya prywatna). Agencya pittsburgska słynnego Wintertona telegraficznie zapowiedziała, że o godz. 8ej wieczorem do przystani „Excelsior Works” przybędą dwa jej parowce z 250ciu uzbrojonymi w Winchesterówki i zaprzysiężonymi ludźmi, gotowymi do „obrony posiadłości fabryki”.

Tymczasem zbliżała się godzina 11ta, a o Wintertończykach nie było ani słyhu.

To też mieli się czem niepokoić p. Andrew J. Mallory i szeryf, którzy z wierzchołka pewnego rodzaju obserwatoryum, znajdującego się na wierzchołku granitowego domu administracyi fabryk, kierować mieli obroną.

To obserwatoryum było punktem dobrze obranym.

Kamienny, ogromny gmach administracyi, stał na pagórku i był wyższym po nad inne fabryczne budowle. Wznosił się on prawie w środku innych zabudowań, z bezpośrednim dostępem do rzeki — i sam w sobie niejako stanowił fortecę. Uwieńczony był rodzajem kopułki czy też wieżyczki, na której z rozporządzenia naczelnego dyrektora, zaledwo przed dwoma tygodniami założono potężne słońce elektryczne (search light).

Drugie podobne światło paliło się na wierzchołku budynku elektryczności.

Obydwa miały oddać wielkie usługi przy obronie „Excelsior Works”. Szerokie, błękitnawo-złociste smugi ich promieni, ruchliwe, jak śmigła wiatraka, oświetlały jasno, jak w dzień, kolejno coraz to inne, bliższe lub dalsze punkta czarnego, zabarwionego łuną horyzontu. Pozwalały one odrazu odkryć wroga — i skierować w dany punkt odpowiednią siłę.

Te światła, jak dwoje wielkich oczu ognistych, spojrzały w twarz pierwszym kupom zbuntowanych robotników, przybywających z doliny.

Tłum zatrzymał się dla krótkiej narady.

Potężne gmachy fabryczne sterczały w ponurym półmroku pod słońcami elektryczności. Zakłady „Excelsior Works”, jak wiemy, szły dzień i noc. Naturalnie w nocy pracowano w niektórych tylko departamentach; ale bądź co bądź zazwyczaj panował tutaj spory ruch. Skrzypiały windy, świstały gwizdawki parowe, ryczały parowce na rzece, z kominów dym się unosił i w oknach płonęły światła. Teraz było inaczej.... Fabryki milczały lub przynajmniej milkły. Zamiast zwykłego kompletu półtora tysiąca ludzi, przybyło na noc zaledwo paruset — i ci właśnie pod kierunkiem inżynierów i superintendentów zajęci byli zatrzymywaniem ruchu skomplikowanego mechanizmu „Excelsior Works”.

Bezładna narada tłumu w obec milczących fabryk, trwała tylko parę chwil.

— Naprzód! — odezwał się krzyk.

I cała masa runęła ku płotom z drutu i czarnym parkanom. Uderzyły siekiery w bramy i deski parkanów. Zaczęto rozrywać druty.... Pierwszy wyłom w parkanie powitano okrzykiem tryumfu. Już pierwszą żagiew miało przyłożyć do desek. Gdy wtem.... na prawo, z poza płotów drucianych, z ciemności.... wykwitły jak gdyby z pod ziemi dymy i światełka; dał się słyszeć huk niewielki.... potem stuk suchy.

Kule zaświstały nad głowami tłumu.

— Boże! jestem trafiony.... — odezwał się jakiś głos.

— Ach! och!

I nagle jakieś ciało wśród tłumu głucho upadło na ziemię.

Wszyscy szybko cofnęli się w zarośla. Literalnie uciekano.... Tego, który upadł, niosło dwóch drugich na ręku. Czarna krew sączyła się mu z otworu w skroni i broczyła o dzież niosących. Gdy go złożono w krzakach, był już trupem.

Innych kilku, siedząc, przewijało sobie rany. Jęczeli głośno, a pozostali milczeli lub naradzali się szeptem, jak gdyby nie chcąc obudzić echa wystrzałów karabinowych tam w ciemności.

W sercach tłumu bunt jednak budził się coraz głośniejszy.

Upłynęło kilkanaście minut.

Naraz z różnych stron zaczęły przybywać nowe posiłki. Błyskały wśród drzew pochodnie; rozlegały się krzyki.... To byli ludzie z innych osad. Fala ludzka szerokiem kołem zalewała krzaki, wieńczące wzgórze i stanowiące wybrzeże lasu.

Jeśli „Excelsior Works” miały oczy, którymi patrzyły na to mrowie ludzkie, to jednocześnie z trwogi musiało im drżeć serce....

Nowi ludzie nadchodzili z hałasem i gwarem na ustach. Witała ich ponura wieść o pierwszej porażce.

Pokazywano im trupa, opartego o konar wielkiego drzewa, bladego, jak prześcieradło, z wykrzywionemi od konania ustami, oświetlonego krwawym odblaskiem pochodni.... Najtwardsi olbrzymi bledli od przerażenia; ale jednocześnie pięści im się zaciskały — aż do krwi.

Szaleństwo znów chwyciło wszystkich.

— Naprzód.... jeszcze raz naprzód! Śmierć nam, albo im! — rozlegało się w tłumie.

Ukazał się teraz pośród nich Moskał Aleksiej Iwanowicz. On miał odegrać rolę ich wodza. Mówił krótko, głośno, a spokojnie. On jeden zdawał się być dobrze poinformowany o położeniu w fabrykach. Kazał się im rozsypać, na jak obszerniejszej przestrzeni dookoła zakładów, nie uderzać wielką gromadą,

ale iść małemi grupkami, nawet oddzielnie, atakować w wielu, różnych miejscach odrazu, parkany rozbijać lub podpalać, płoty przecinać, rowów się strzedz. Gdy dójdą do budynków, palić. . . . Ogień jest najpewniejszy.

Tym, którzy mieli broń, kazał iść w odwodzie i nie strzelać dotąd, dopóki nie ujrzą w ciemności błysku strzałów nieprzyjacielskich, a wtedy mierzyć w ich karabiny.

Gdy to mówił, Moskal wyglądał, jak sam szatan: oczy mu się paliły dziką złością, na ustach igrał dziki uśmiech. Szał zniszczenia nim władał.

Każdy zresztą zrozumiał praktyczność rozporządzeń.

— Gromadą wystrzelają was, jak wróble — mówił Moskal — pojedynczo niełatwo trafić, szczególnie po ciemku.

W parę chwil rozkazy zostały wypełnione. . . . Sam Moskal szedł na czele kilkunastu ludzi w stronę płotów, z poza których wytrysnęły pierwsze zabójcze strzały.

I oto zaczęło się.

Jak na komendę, to tu to owdzie zaczęły pukać strzały. Zajęczały bramy, wałace się pod siekierami; wytrysnęły w górę tu i owdzie płomienie. Napadano ze wszystkich stron. Trzaskać zaczął niemal regularny ogień karabinowy. Gdzienigdzie odnosił on skutek. Już dwóch czy trzech ludzi upadło rannych.

Jęki i dzikie okrzyki czyniły scenę — zai-
ste piekielną.

Taktyka Aleksieja okazała się zresztą bar-
dzo skuteczną.

Rozproszenie napadających czyniło ich
względnie bezpiecznymi w obec strzałów ludzi
szeryfa. Zamiast gromadnej rzezi wytwarzało
lekką tyralierską rozprawę. Nadto widocznem
było, iż ludzie szeryfa rozstawieni z konieczno-
ści na długiej linii, jakkolwiek w dogodniej-
szej znajdujący się pozycyi, bo w przekopach
umieszczeni i osłonięci ciemnością, nie mogli
się długo trzymać przeciwko wielekroć liczniej-
szemu, choć słabo uzbrojonemu przeciwniko-
wi, szczególnie od chwili, gdy płomienie,
strzelające z płonących parkanów, oświetliły
ich kryjówki — i wyrównały szanse.

Istotnie położenie się zmieniło.

Teraz robotnicy, posiadający broń palną,
nie potrzebowali już strzelać na oślep, ale mo-
gli brać przeciwników na cel. W ten sposób
ludzie szeryfa mogliby zostać wystrzelani, jak
kaczki. I oto już paru z nich upadło z
głośnym krzykiem.... Zresztą napadający wi-
dzieli teraz, jak nielicznymi są obrońcy fabryki
— i brała ich otucha i zuchwałość.... Czuli
się zwycięzcami. Rwali naprzód, nie bacząc
na niebezpieczeństwo.

Położenie stawało się nadzwyczaj groźnem
dla ludzi szeryfa.

Zrozumiał to dobrze on sam; zrozumiał i naczelny dyrektor p. Mallory, razem z nim przypatrujący się walce z obserwatorium na głównym budynku administracyjnym. Patrzyli oni od kwadransa na fantastyczny obraz, rozwijający się o parę tysięcy stóp przed nimi we mgłach dymów, w błyskach wystrzałów, pośród ognistych języków płomieni. Obydwaj mieli twarze ponure.

Szeryf klął wszystkimi dyablami, Mallory zęby zaciskał.

Ten ostatni coraz to kazał kierować promienie słońca elektrycznego w kierunku północnym, na rzekę, ażeby się przekonać, czy Wintertonczycy nie przybywają. To znów nasłuchiwał, jak gdyby oczekując sygnałów przybywających parowców.

Ale nic się nie pokazywało od strony rzeki.

— Trzeba naszych ludzi ściągnąć do budynków — rzekł wreszcie Mallory.

— *Yes, sir*.... Inaczej piekło i dyabli ich wezmą! — odrzekł szeryf i zaklął siarczyście.

Dano sygnały.... I oto zaczął się odwrót.

Ludzie szeryfa cofali się teraz szybko; wyskakiwali z rowów; chowali się za załomami parkanów i kupami węgla; kryli się w mroku, panującym jeszcze w pobliżu budynków, i słabo tylko rozświetlonym blaskami pożogi. Nie-

którzy (byli to zwerbowani przez szeryfa robotnicy) rzucali broń i przechodzili na stronę napadających. Z dwojga niebezpieczeństw woleli to, jakie ich miało spotkać wśród swoich.

Witano ich okrzykami groźby, ale nie podnoszono na nich rąk.

Scena teraz zmieniła się.... Tłum stał się obecnie panem położenia. Szalał z tryumfu — i rwał naprzód. Ognie otaczały teraz cały niemal obwód zakładów. Zewsząd huczała wrzawa ludzka.

Zresztą posuwać się można było naprzód tylko powoli.

Trzeba było usuwać różne przeszkody, zważać na przekopy, baczyć na moźebne zasady. Coraz to dolatywały jeszcze kule od cofających się ludzi szeryfa. To też Moskal Aleksiej Iwanowicz, jakkolwiek sam rozogniony walką, musiał powstrzymywać innych.

— Zwolna.... zwolna! — wołał do tłoczących się naprzód — Po co się wystawiać na ich strzały?.... To niepotrzebne, to głupstwo! Palić tylko wszystko, co po drodze, a wykurzymy ich, jak lisów z jamy.

I istotnie migotały coraz to nowe ognie.

Napadający zapalili wielki i długi skład węgla, stojący naprawo, niemal naprzeciwko głównego gmachu administracyi fabrycznej.... Zajmował się on powoli. Z wierzchołka składu wydobywał się — i płynął, jak wielka chmura, dym gęsty, czarny i duszący.

W tej chwili szeryf, stojący po za Mallory'm w oszklonej izdebce pod słońcem elektrycznym, uderzył tego ostatniego w ramię.

— Wiesz pan co... — rzekł.

Mallory odwrócił się do niego; twarz miał bladą, jak marmur.

— Co? -- zapytał, a szeryf wyjął zegarek.

— To, szanowny panie, że mamy teraz dwadzieścia pięć minut do dwunastej. Jeśli pańscy Wintertończycy nie będą tutaj za pół godziny, możesz się pan uważać za pobitego przez tamto hungarskie bydło — wskazał pogardliwie ręką w kierunku szalejącego tłumu — a w każdym razie za dwie godziny zostaniesz pan upieczony w tym swoim kamiennym domu razem z tymi, którzy tu z panem zechcą dłużej pozostać.

— Przypuśćmy.... cóż ztąd?

— To, że ja do liczby takich należeć nie chcę.... Dyabła dbam o życie i nieraz już naprawdę śmierci zaglądałem w oczy. Biłem się z Indyanami na dalekim Zachodzie i z rozbójnikami kolejowymi, ale tu nie mam żadnej szansy ani potrzeby narażania swej skóry.... Hołota tutaj gorsza, niż Indyanie, a sytuacja nie do uratowania. Myślę także, że i ludzi, których zaprzysięgłem, niema co narażać na wytłuczenie do nogi.

— A więc? — pytał dalej Mallory.

— A więc... trzeba zmykać. To naturalne! Wszak pan mówiłeś, że na wszelki wypadek tam na rzece, stoją gotowe statki parowe... Proszę o jeden taki dla mnie i dla zaprzysiężonych przezemnie ludzi. Powiniennem ochraniać ich życie. To mój obowiązek. A swoją drogą radziłbym panu także, ażebyś ludzi, jeszcze zajętych przy „sztapowaniu” machin, dłużej nie narażał na niebezpieczeństwo... I ich należy także wsadzić na statki — i wywieźć gdzie... Inaczej może im być bardzo gorąco... To, jak sędzę, jest z kolei pańskim obowiązkiem.

Mallory patrzył przez chwilę na szeryfa niemal z pogardą, wreszcie rzekł:

— Masz pan rację... Uczynię jedno i drugie. Statki są do waszego rozporządzenia... pod pewnym warunkiem zresztą... Cóż więcej?

— Więcej... ot, radziłbym i panu, ażebyś się także ztąd wynosił razem z nami. Tu zaczyna być za gorąco!

— Ja?... — zapytał Mallory i znów zmierzył surowem spojrzeniem szeryfa — ja zostanę tutaj sam jeden, choćby mnie wszyscy opuścili... Zostanę pomimo wszystko... na śmierć i życie... rozumiesz pan. To mój najpierwszy obowiązek.

Szeryf spoglądał nań, jak na waryata. Machnął ręką — i przeszedł do czego innego.

— Ale — rzekł — mówiłeś pan o warunku... Jakiż to warunek?

Teraz Mallory, na którego bladą twarz wrócił już posągowy spokój, wyjął z kieszeni od kamizelki zegarek.

— Mamy w tej chwili dwadzieścia minut do dwunastej. Pozostaniesz pan tu jeszcze ze swymi ludźmi 15 minut... i będziesz pan bronił fabryk, o ile można, nie narażając ich życia. Robotnikom, pracującym tam na fabrykach, każę zaraz wsiadać na statki parowe. Zgoda?

Szeryf myślał przez sekundę, wreszcie rzekł:

— *All right!*...

W tej chwili zdawało mu się, że w oczach posągowego naczelnika „Excelsior Works” mignęła jakaś dziwna radość...

Wzruszył na to obojętnie ramionami.

Przy pomocy gwizdawki dał odpowiednie sygnały, rozniesione dalej przez jego pomocników. Oznaczały one, że należy chronić się w budynkach i w ogóle cofać w tył, ku gmachowi administracyi. Wyjął znów z kieszeni zegarek — i położył go na krawędzi okna.

Potem założył na piersi ręce na krzyż — i czekał.

Fala ognia i burza ludzka, która szalała tam na dole, tak niedaleko, zdawała się nie obchodzić go nic a nic...

Mallory'ego już tymczasem od paru chwil nie było.

Z szybkością, niezwykłą u niego, zbiegł na dół po schodach. Po drodze dał rozkaz, ażeby zwolnić ludzi jeszcze zajętych w fabryce — i sam, bez nikogo więcej skierował się w kryte wejście, prowadzące z gmachu administracyi do innych budynków fabrycznych, a najpierw do budynku elektryczności.

Upłynęło pięć minut.

Szeryf stał nieruchomy, nie patrząc na walkę. Wzrok miał skierowany w stronę zakładu elektrycznego. Mimowoli ciekawiło go: Dokąd też i po co poszedł Mallory? i dla czego żądał tylko 15tu minut czasu? Co zamysła zrobić przez ten czas, tak krótki?

Naraz zadrzał.

Wzrok jego zatrzymał się przypadkiem na słońcu, osadzonem na wierzchołku zakładu elektrycznego. Obracało się teraz ono powoli, a jego promienie muskały zlekka czarną masę lasu, skąpaną w ogniach pożogi. Pod światłem elektrycznem, tak samo, jak i na gmachu administracyi, znajdowała się oszklona izdebka, również stanowiąca coś w rodzaju obserwatoryum. W tej izdebce znajdował się człowiek, kierujący obrotami owego *search light*.

W tej chwili zdawało się szeryfowi, że spostrzegł na tle okien oszklonej izby dwie jakieś postacie; jedną z nich musiała być potężna figura Mallory'ego; druga była jakaś dość

szczupła i wiotka postać, widocznie młodzieńcza.

Obie postacie przybierały na tle okna takie postawy, jak gdyby jedna z nich żądała czegoś lub prosiła, a druga odmawiała.

Pochylały się ku sobie, gestykulowały, miotały się.

Naraz postać większa i potężniejsza, jak gdyby rzuciła się ku jakimś machinom, ustawionym pośród izdebki. Druga sylwetka stanęła jej na przeszkodzie. Pochwyciły się w ramiona i zaczęły mocować. Cień szczuplejszego odrzucił cień większy od siebie. Ten upadł.... Powietrze przeciął w tej chwili ryk jakiś potężny, głos prawie nieludzki.

Coś się zakotłowało po za tą szklaną szybą, coś mignęło ostrym blaskiem.

Szeryf już więcej nic nie widział.

Nagle światło na zakładzie elektrycznym zagasło.

Cały ten budynek pogrążył się prawie w mrok. Szeryf patrzył i nie rozumiał. Spojrzał na swój zegarek: upłynęło już minut dziesięć.

— Jeszcze pięć.... — szepnął sam do siebie.

Spoglądał uważnie, jak wskazówki zegarka posuwały się powoli: jedna minuta, dwie, trzy.... Za chwilę da sygnał, zwoła swoich ludzi (uśmiechnął się gorzko na myśl o tem, że to są niby „jego” ludzie) — i zaprowadzi

ich w bezpieczne miejsce na parowiec. Popłyną potem w górę rzeki.

I czas już będzie.... istotnie. Płomienie coraz bardziej okalają „Excelsior Works”. Dymy coraz stają się duszniejsze.

Jeszcze minuta....

W tej chwili huk jakiś podziemny, potężny wstrząsnął powietrzem. Był to raczej szereg jęków podziemnych, aniżeli jęk jeden.... Zdawało się, że to ziemia drży. I istotnie, w trzech, czterech miejscach odrazu wytrysnęły z pod ziemi jak gdyby fontanny ognia, kamieni, gruzu. Te ogniotryski, te gejzery żaru, wybuchały w miejscach, gdzie gromadził się najgęstszy tłum napastników.

I leciały w powietrze ciała ludzkie i w ogniu krzywiły się piekielnymi kontorsyami ludzkie twarze. Jak kartacze rozlatywały się w przestrzeń członki ludzkie, krwawe, poodrywane.

— Raz... dwa... trzy... cztery — liczył z podziwem szeryf i pytał: — zkad to?!

Nagle ten tak silny zwykle człowiek zachwiał się. Zakrył twarz rękoma, ażeby nie patrzeć na okropność tego widowiska: zrozumiał.

— To eksplozje prochu lub dynamitu.... — szeptał do siebie — przypadkowe.... lub prędzej umyślne. O, jeśli to on zrobił, to nie człowiek, to szatan!

Stał tak, przerażony, przez chwil kilka.

Zapomniał o odwrocie ze „swymi” ludźmi, o sygnałach, które miał dać, o terminie, przez samego siebie określonym. Było to zresztą w tej chwili prawie zbytecznym: po olbrzymich detonacjach wybuchów, nastąpiła cisza ogromna.

Tylko ogień syczał i huczał, tylko dym kłębił się dokoła.

Ludzie cofnęli się i milczeli w obec majestatu śmierci.... Szeryf, zwany przez znajomych „nieustraszonym”, czuł śmiertelny przestach w żyłach. Za nic w świecie nie chciałby patrzeć tam, gdzie przed chwilą widział latające członki ludzkie.

W tej chwili usłyszał ciężkie kroki na schodach, prowadzących do obserwatorium. Ktoś jemu z kolei położył rękę na ramieniu.

— Widziałeś pan?! — spytał go ochrypły, zdławiony głos Mallory’ego.

Nie odpowiedział nic.

Tylko ze wstrętem usunął się z pod ciężkiej dłoni naczelnego dyrektora „Excelsior Works”. Mimowoli podniósł wzrok na twarz Mallory’ego; była ona blada, jak przedtem, nieruchoma, jak zawsze, tylko z oczu jej tryskał wyraz demonicznego tryumfu.

Lewa ręka Mallorego wisiała bezwładnie; wyglądała, jak gdyby poparzona..... Rękaw surduta był podarty.

— Co panu? — zapytał szeryf.

— Nic! — odrzekł szorstko dyrektor.

Milczeli przez chwilę.

— A teraz.... gdy wszystko już skończone — odezwał się znów Mallory — czy jestem panu jeszcze co winien?

Myśl o pieniądzach przyprowadziła do realnego poczucia chwili biznesowego Yankee. Szeryf stał przez chwilę, rachując coś widocznie.

Rzekł wreszcie głosem zimnym i spokojnym:

— Oprócz zaliczonego poprzednio, jeszcze dwa tysiące siedmset czterdzieści pięć dolarów.... centy opuszczam.

— Oto są.

Mallory wyjął z pugilaresu trzy banknoty po 1000 dolarów każdy.

— Pokwitowania niepotrzeba..... i reszty także.... — rzekł wyuiosłe — Możesz pan za to dać się napić „swoim” ludziom.... skoro już będziesz w miejscu bezpieczniejszem. A teraz, do widzenia.

Zaśmiał się ironicznie i odwrócił się tyłem do szeryfa.

Ten ostatni wahał się, co uczynić: zostać czy odejść? Gdy oto nagle nastąpiło coś nowego. Zahuczało w powietrzu. Był to ryk przybywającego z kądś, z rzeki parowca. Obydwom serce uderzyło ze wzruszenia.

Byliżby to Wintertończycy? Czy może to tylko parowce, odwożące robotników?

„Nie! to nie mogą być one!” myślał Mallory „kazałem przecież odjeżdżać w najgłębszym milczeniu”.

— Światło na rzekę! — krzyknął zachrypłym głosem na człowieka, kierującego słowcem.

Wychylił się na pół za okno — i oto w złotawo-błękitnym promieniu, szeroką smugą rozświetlającym czarny nurt rzeki, ujrzał: jeden, dwa, trzy parowczyki, pełne ludzi w półwojskowym stroju, w miękkich, szarych kapeluszach na głowie. Lufy ich Winchesterówek połyskiwały i w świetle księżyca i w odbłyśkach słońca elektrycznego.

— To oni! — krzyknął kolosalny dyrektor.

Za chwilę był już na dole. W dziesięć minut potem, na tylnej platformie, po za gmachem administracyi, od strony rzeki, defilowało przed nim 250 chłopów. Wszyscy uzbrojeni byli aż po uszy, a każdy chłop, jak dąb.

Wysoki i łysy Allen Winterton, Jr. ścisnął mu dłoń.

— Spóźniliśmy się o cztery godziny — mówił — nie nasza wina.... Później wyjaśnię.... Teraz: co robić? Widocznie jeszcze nie za późno, skoro pana widzę żyjącego.

Mallory odprowadził go naprzód — i szeptał przez chwilę.

— Dobrze! — odrzekł wreszcie Winton — Niech pańscy robotnicy i ludzie szeryfa gaszą pożar.... chociaż w tamtej stronie — wskazał w kierunku długiego magazynu węglowego — nic, zdaje się, niema do czynienia. A ja rozdzielę moich na trzy kolumny. Pan mi dodasz do każdej przewodnika. I runiemy!

Stało się, jak mówił.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy znów zagrzmiały gwizdawki,... Z pomiędzy zabudowań wysunęły się trzy kolumny wysokich ludzi z karabinami i kordelasami — i poszły.

W tłumie, oblegającym zakłady „Excelsior Works”, po czterech strasznych eksplozyach min podziemnych, Bóg wie przez kogo założonych i przez kogo wyrzuconych w powietrze, panowała konsternacya.... Jęki szły od końca do końca linii ataku.... Nikt nie wiedział, ilu ludzi zostało zabitych, ilu utraciło członki. Nikt tego nie śmiał badać. Niektóre bandy cofały się ku lasowi. Pozostałych nic nie mogło skłonić do posuwania się naprzód.

Ludzie drżeli ze strachu i wściekłości.

Tylko płomienie szły naprzód nieustraszone. Zdobywały budynek za budynkiem, przeskakiwały z dachu na dach.

Trwała wciąż trwoga i niepewność.

Wtem coś się stało....

Z fali iskier i płomienia, z poza obłoków dymu wysunęły się szybko, biegiem, trzy ko-

lumny ludzi uzbrojonych; przedarły się przez zgliszcza — i runęły na zdemoralizowany już wskutek eksplozyi tłum robotniczy.

I stał się chaos....

Ani pióro ani pędzel nie jest w stanie opisać tego, co potem nastąpiło. Jak burza, szli naprzód Wintertończycy. Ani strzału, ani uderzenia.... Parli własnym tylko impetem. Ale ten impet był straszny. Roztrącał on wszystko

Przestrach objął tłumy.

I jak przedtem rwały one szalone wściekłością i zemstą naprzód, tak teraz w panicznym przerażeniu, porzucając broń i pochodnie, rozpryskiwały się na wszystkie strony. Trzy kolumny zbrojnych ludzi gnały ich przed sobą w głąb dolin.... Oblężenie zakładów „Excelsior Works” przez tłum było skończone. Po walce pozostali tylko trupy i ranni.... Rozpoczęła się teraz obrona od obejmujących je ze wszystkich stron płomieni.

IX.

Co podczas opisanych powyżej wypadków robili Homicz i Połubajtys?—oto pytanie, które nam słusznie może zadać czytelnik.

Oto parę słów o nich.

Obydwaj, Połubajtys i Homicz, po przybyciu do fabryki, udali się na swe stanowiska pierwszy do machin parowych, drugi do zakładu elektrycznego. Obydwaj byli bardzo

poważni, rozłączając się. Uścisnęli sobie serdecznie dłonie, a Szczepan rzekł do przyjaciela:

— Pamiętaj, że mamy spełnić obowiązek., ale przeciwko swoim nie zwrócimy się.... nigdy!

Pożubajtys skinął głową na znak potwierdzenia — i odszedł.

Pójdziemy najprzód za Szczepanem, dla którego ta noc miała być jedną z bardziej pracowitych. Wiedział on o tem z góry — i nawet mówił poprzednio z superintendentem. Przewidywali najpierw, że zbraknie im niektórych z ludzi.

Powtóre, podwójna szykowała się im robota.

Na wierzchołku ich gmachu znajdował się przyrząd do t. zw. słońca elektrycznego (search light), zresztą nie funkcyonujący. Otóż z polecenia naczelnego dyrektora już przed paru tygodniami naprawiono ten przyrząd i dopełniono wszystkie braki. Co więcej, umieszczono drugą taką latarnię na wierzchołku domu głównego zarządu — i połączono ją z zakładem elektrycznym. Nie oświetlano zresztą temi „słońcami” fabryk co noc, robiono tylko z niemi kilkakrotnie próby.

Tego rana wyszedł rozkaz, ażeby na noc oba światła były gotowe do funkcyonowania przez całą noc.

Homicz rozumiał, że jest to konieczne.

Jeśli istotnie ma nastąpić napad nocny na fabryki (a wciąż jeszcze ludził się tą nadzieją, że takowy nie nastąpi), to niezbędnem jest, ażeby cały teren był jak najlepiej oświetlony. Usunąć to może starcia najgorsze i najstraszniejsze. To też Szczepan mówił sobie, że nie popełni zbrodni, pracując przy manipulowaniu światłami.

Chociaż... chociaż... budziły się w nim pewne obawy i niepokoje.

Jeszcze inne miał wątpliwości...

Widział on dokoła fabryki pewnego rodzaju roboty, których celu nie rozumiał. Oto przeprowadzano druty, jak gdyby do światła elektrycznego, na słupach, z takim jednak urządzeniem, że w danej chwili mogły być one opuszczone na dół.... Te druty stanowiły rodzaj długiej roгатki, zamykającej dostęp do głównych gmachów fabrycznych. Robiono około tego w dzień, to też Homicz, przeważnie na noc zajęty, mało zwracał na to uwagi. Nie wiedział też, czy owe słupy i druty, na pozór luźno stojące, były połączone z głównym zakładem elektrycznym czy też nie.... W każdym razie to urządzenie mimowolny budziło w nim niepokój.

— Co to jest? do czego to przeznaczone?
— pytał sam siebie — i nie znajdował odpowiedzi.

Napastowała go niekiedy myśl jedna, na

którą dreszcz przechodził go od stóp do głów... ale odpędzał ją.

— To niepodobna — mówił sam do siebie.

I teraz o tem myślał, wchodząc do zakładu elektrycznego. Ale gdy już raz wziął się do roboty, nie było czasu na rozmyślanie o rzeczach postronnych. Praca nie czekała. Dziś Szczepan musiał robić za trzech. Czas tedy płynął mu szybko.... Nic niezwykłego z początku nie zwracało jego uwagi. Pracował on na dole — i na chwilę nawet nie mógł wybiedz na górę, ażeby rzucić okiem z szklanego pokoi-ku, mieszczącego przyrządy do słońca elektrycznego, na okolicę....

Dopiero około wpół do jedenastej widok nieba, rumieniącego się zorzą łuny, zwrócił uwagę Szczepana. Serce zaczęło mu bić niepokojnie.

— Co się tam dzieje? gdzie pożar? — pytał z trwogą.

Twarze innych jego towarzyszy chmurzy się tak samo, jak i jego twarz.... Niepokój i ich napastował. Milczeli jednak.... Niepokój ten zresztą wzrastał coraz więcej w miarę, jak z zewnątrz zaczynała dochodzić to oddalona wrzawa tłumy, to wreszcie pierwsze odgłosy karabinowe.

— Strzelają! — rzekł jeden z młodszych.

Ale nikt mu nie odpowiedział.... Sam superintendent wydziału elektryczności nadzo-

rował teraz pracę. Było nadzwyczaj ważnem dla fabryki, ażeby elektryczność nie zagasła, gdyż mogłoby to wywołać najgroźniejsze następstwa. Rozumieli to wszyscy — i pracowali pomimo tamującego im dech niepokoju.

Minuty płynęły za minutami, ciężkie niewymownie.

W miarę, jak rozwijała się opisana w rozdziale poprzednim walka, położenie stawało się coraz bardziej męczącym. Grzmoty strzałów i pomruki tłumu coraz wyraźniej dochodziły do uszu pracujących.... Przez szyby gmachu widać było zapalające się w dali mniejsze budynki i ogrodzenia. Przy świetle pożaru, po za dymem, widzieć nawet było można niektóre epizody rozgrywającego się dramatu.

Dreszcze gorące i zimne przechodziły pracujących.

Wreszcie jeden z nich, młodszy aniżeli inni, nie wytrzymał. Porzucił robotę — i podnosząc ręce do góry, zawołał:

— Nie mogę tu pracować, kiedy tam zabijają naszych!

Przez chwilę zdawało się, że wyniknie ogólny bunt; ale uratował położenie superintendent. Wyjął rewolwer z kieszeni i rzekł:

— W imieniu prawa, aresztuję pana.... A co do reszty panów, czynię was wszystkich odpowiedzialnymi za skutki. Rozumiecie, jak straszne niebezpieczeństwo grozi wszystkim,

zarówno nam, jak i wam, jeśli nasze światła pogasną. Może to być śmierć dla wielu, bardzo wielu.

Zrozumieli — i wszystkie głowy, przed chwilą podniesione, pochyliły się ku ziemi.

Superintendent powierzył czynność buntującego się robotnika komu innemu, a sam poszedł z nim na dół do ofisu. Robotnik szedł teraz nie opierając się.

Była to chwila największego napięcia walki....

W chwili, gdy po wyjściu superintendenta ludzie chcieli zamienić parę uwag, z bocznej przejścia wybiegł nagle na galeryę sam p. Mallory. Błada twarz i zaciśnięte jego usta świadczyły o silnym wzruszeniu. Pierś jego dyssała gwałtownie.

Wpadł prawie na Homicza.

— Gdzie superintendent? — zapytał.

Homicz objaśnił. Mallory zmarszczył brwi. Przez jedną sekundę myślał, wreszcie rzekł:

— Dobrze.... pan go zastąpisz, pójdiesz ze mną. Tylko prędko.... to nie cierpi zwłoki.

Skierował się ku schodkom, prowadzącym na wyższe piętro. Szedł szybko — i tłumaczył urywanemi wyrazami Homiczowi, czego od niego chce. Tam na samej górze, pod słońcem elektrycznym, jest przyrząd, przy pomocy którego należy puścić prąd elektryczny dla oświe-

tlenia pewnych lamp. Homicz to zrobi....
zaraz.... to pilne.... to konieczne!

Już byli u samej góry.

Homicz zaczynał rozumieć.... To straszne! Włosy mu stanęły na głowie. Miał przed sobą mordercę, który z zimną krwią nastawać chce na życie setek ludzi. I oto w Homiczu nastąpiła nagła zmiana.

Pomyślał sobie: — Służyłem mu wiernie. W tej chwili jeszcze pracuję dla niego i strzegę jego dobra. Ale do zbrodni nie dopuszczę. Nie pozwolę na spełnienie piekielnych planów..... I zęby zacisnął, gotów do działania.

Byli już na górze.

Mallory ciężko oddychał.... Pomimo to nie czekał ani chwili. Pokazał Szczepanowi przyrząd, znajdujący się na środku — i objaśnił, co ma robić, ażeby wywołać i przeprowadzić prąd do owych mniemanych lamp elektrycznych. Ale Szczepan wiedział, co to za lampy.... Intuicyą odgadł plan Mallory'ego. Owe druty, zawieszzone tam na słupach, spadną na dół — i naelektryzowane, zadadzą od jednego dotknięcia śmierć cisnącym się na nie tłumom.... To jasne! Trzeba tylko jednego pociśnięcia palcem tutaj, a tam, o tysiąc kroków, nastąpi katastrofa straszna, ohydna, niesłychana.

Tysiące może padną!

Ale on, Szczepan na to nie pozwoli.

Stanął zdecydowany przed dyrektorem tak, ażeby mu zagrozić drogę do przyrządu elektrycznego — i rzekł surowo, podnosząc głowę:

— Gdzie są te lampy, które mają być zapalone?

Mallory podniósł nań wzrok zdziwiony.

Nie sądził, ażeby ktoś mógł odgadnąć jego plan; nie zdawało mu się możebnem, ażeby ktokolwiek jego zamiarom mógł stanąć w drodze. To był jego własny pomysł, wykonanie zaś zwierzył najwierniejszemu i najzaufańszemu ze swych podwładnych; nikt inny o tem nie wiedział. Czegoż więc chce ten chłopak? Czemu staje w drodze temu, co się spełnić musi? Czy oszalał?....

Ale nie szaleństwo patrzyło z oczu Homicza, tylko stanowczość.

— Gdzie lampy? — pytał tonem oskarżyciela.

A Mallory'ego ogarniał gniew potężny.

— Nie twoja rzecz, najemniku — rzekł wreszcie, tłumiąc wściekłość — Nie chcesz słuchać, co każę?.... idź precz. Obejdę się bez ciebie.

I silną ręką chciał usunąć z przed siebie Homicza. Ale ten ani myślał ustąpić. Rękę Mallory'ego przytrzymał w swej dłoni — i mó-

wił, zbliżywszy prawie twarz do jego twarzy:

— Nie, panie Mallory, nie obejdiesz się bezemnie.... Ja stanę pomiędzy tobą, a tym tam przyrzędem.... Ja stanę pomiędzy tobą, a zbrodnią. Ja nie pozwolę ci popełnić piekielnego zamachu. A żeby zamach udaremnić nie tylko na teraz, zniszczę za chwilę twój przyrząd.

I wzrokiem szukał czegoś dokoła.

Mallory teraz zrozumiał.... Z gardła, zamiast przekleństwa, wyrwał mu się nieomal ryk. Rzucił się na Homicza.

I wtedy to nastąpiło krótkie pasowanie się, które na tle szyb kopułki gmachu elektrycznego, z takim zdziwieniem obserwował szeryf z wierzchołka budynku administracyjnego.

Walka trwała jedną sekundę.

Rezultat jej był następujący: Mallory został ciężko rzuconym na ziemię, a jego ręka, którą dotknął przypadkowo do naelektryzowanego drutu, strasznie poparzoną.... Co do Szczepana, ten w tejże chwili z młotkiem i nożycami rzucił się ku przyrządowi — i od paru uderzeń uczynił go niezdatnym do działania.

Czyniąc to w pośpiechu, bez ostrożności, narażał się w każdej sekundzie na śmierć.... Nie myślał o tem przecież!

W chwili, gdy przeciął ostatni drut, zgasło słońce elektryczne na wierzchołku gmachu.

Szczepan uczynił to umyślnie.... Chciał mieć odwrót ułatwiony, Mallory bowiem już gramolił się z podłogi....

Duma tylko nie pozwalała mu — wołać o ratunek.

Szczepan zrozumiał, jakie groziłoby mu niebezpieczeństwo, gdyby dostał się teraz w moc dyrektora; a zresztą nie chciałby za nic pozostawać i pracować dalej w tym domu zbrodni.

Korzystając z półmroku, który teraz zapanał, poskoczył ku kręto wijącym się schodkom. Przebiegł przez nie, jak błyskawica, rzucił kolegom na galeryach jedno słowo ostrzeżenia: „Tu mordują!” — i pędził dalej na dół, znanemi tylko sobie przejściami.

Dopał wreszcie do małej furtki bocznej.

Serce mu drżało, jak ptak. Poruszył klamką.... Otwarta! A więc jest wolny. Naraz zatrzymał się. Przyszła mu nowa kwestya na myśl: Czy ma prawo opuścić towarzyszków, tam pracujących? Po króciutkim namyśle przyszedł do wniosku, że — tak. Nie grozi im przecież żadne niebezpieczeństwo....

On sam powinien oddalić się jak najprędzej, nie ma tu nic do czynienia.

Pójdzie ztąd precz — i więcej nie wróci do tego piekła, gdzie ludzie-tygrysy, ze stron obiedwu równie są krwawi i dzicy. Pójdzie tymczasem do stóp Jadwigi, ażeby jej strzedz od

groźnych niebezpieczeństw.... Szedł naprzód szybko w cieniu budynków, omijając przeszkody, drogą sobie znaną, na prawo, w stronę, gdzie panowała względna cisza i ciemność.... Nie odwracał nawet oczu ku szalejącej na lewo orgii płomieni i gniewu ludowego. Czuł w sercu burzę i ból ogromny. Obejdzie tamtędy na prawo — i pośpieszy na plebanię. Nagle przecież zatrzymał się.

A Połubajtys? — przyszło mu na myśl.

Nie ma prawa zostawiać wiernego i zanego druha w tem piekle, pośród zbrodniczych zasadzek i szarów tłumu.... W obec tygrysa takiego, jakim się okazał Mallory, nikt już z robotników nie mógł mieć żadnych zobowiązań, żadnych powinności do spełnienia. Powie to Janowi i weźmie go ze sobą.

Rozejrzał się dokoła.

Tam nieco w głębi na lewo wznosi się dom machin, w którym pracuje Połubajtys. Zbliżać się w tamtą stronę, to znaczy zbliżać się ku niebezpieczeństwu, ku miejscu walki.... Nic to. Iść trzeba. Homicz przypomniał sobie Połubajtysową, przyjaciółkę Jadwigi — i spokojnie, bez wahania się, zwrócił krok w tył.

Na wszelki wypadek, dla obrony, ścisnął jeszcze młot, którym rozbił przed chwilą przyrząd elektryczny; w kieszeni miał rewolwer.

Szedł krokiem szybkim naprzód.

Teraz przed jego oczyma roztaczał się

straszny widok walki i pożogi.... Musiał na to patrzeć, z rozdzierającym się sercem, zresztą nie tracąc czasu na roztkliwianie się; szedł naprzód.

Był coraz bliżej tych scen ponurych.

Teraz zaczynało mu już grozić niebezpieczeństwo. Jakkolwiek starał się ukrywać w cieniu, światło pożogi odsłoniło parę razy jego wysoką postać. Dostrzeżono go i wzięto za nieprzyjaciela.

Parę kul świsnęło obok.

Szczepan przyśpieszył kroku. W kilku skokach znalazł się przy bocznych drzwiczkach domu machin.

Otworzył drzwi.

Blade, błękitnawe światło rozjaśniało ogromną halę, podobną do nawy kościoła. Cicho, powoli dyszała machina, poziomy tłok wykonywał zwykłe swe ruchy, a olbrzymie koło obracało się zwolna, jak gdyby mając lada chwila stanąć.... Z głębi, z otworu prowadzącego na dół, odbijały się blaski od pieców kotłowych.

Zdawało się, że w tej olbrzymiej świątyni przemysłu, wspaniałej, okolonej galeryjkami, błyszczącej stalą i miedzią, niema nikogo.

— Janie, Janie! — zawołał Szczepan.

Nic mu na to pytanie nie odpowiedziało.... Łoskot koła i tłoku głuszył dźwięk.

Szczepan zaczął się rozglądać naokoło.

Naraz w zaciemnionym kącie, na galeryjce tuż obok koła, ujrzał dwie jakieś postacie ludzkie, splecione w uścisku walki. Oparte o lekką żelazną balustradę, wisiały one niemal nad przepaścią. Gdyby spadły na dół, zostałyby w jednej chwili zmiażdżone przez koło.

W jednej z tych postaci poznał Połubajtysa.

Nie namyślał się ani chwili. Zawołał: „Janie! trzymaj się.... idę!” — i poskoczył krętymi schodkami w górę.

Przybył na czas, nie dla Jana zresztą, ale dla jego przeciwnika.

W chwili, gdy znalazł się na galeryjce, Jan już niemal zdusił w swych potężnych ramionach przeciwnika. Ten, na pół zemdłony, leżał na balustradzie; ciężko dysząc, w dłoni miał on dopiero co wystrzelony rewolwer; a Jan stał nad owym człowiekiem z ciężkim żelazem w ręku.

Jeszcze chwila — i głowa leżącego zostałaby zmiażdżoną.

Ręka Jana wznosiła się już do góry, a oczy jego świeciły dziką nienawiścią. Człowiekiem, który leżał przed nim, był nihilista moskiewski Aleksiej Iwanowicz.

Szczepan zrozumiał.

Poskoczył ku Połubajtysowi i powstrzymał jego rękę, gotową do zmiażdżenia głowy wroga. Namiętność Litwina była jednako-

woż zbyt silna. Wyrывał się z rąk Homiczowi, mocował się z nim prawie. Przytem zamieniali ze sobą krótkie, urywane zdania.

— Na Boga, co robisz?

— To żmija. . . . zmiażdżę ją.

— Zaklinam cię na wszystko, co najświętsze. . . . Powstrzymaj się!

— Strzelał do mnie. . . .

— Ależ on bezbronny, to zbrodnia!

— Och, ileż on zbrodni popełnił. . . .

Połubajtys szarpał się w objęciach Homicza, jak szalony . . . Twarz mu krwią zaszła. Trudno go było utrzymać.

Homicz rzekł wreszcie głosem pełnym powagi i smutku:

— Janie! Zaklinam cię na twoją żonę, na dziecko twoje, które lada dzień przyjdzie na świat. . . .

To zaklęcie poskutkowało w jednej sekundzie.

Litwin zbladł, jak płótno. . . . W oczach pokazały się mu łzy. Z dłoni wypadło mu ciężkie żelazo — i zabrzękło o metalową podłogę.

Chciał się rzucić na szyję Homiczowi; ale ten rzekł mu krótko:

— Nie czas na czułości. . . . Chodź, bracie. Połubajtys szedł za nim posłuszny.

Nie zstąpili jeszcze na połowę schodków, gdy nagle odgłos strasznej detonacyi uderzył o ich uszy. . . . Detonacya powtarzała się: raz. . . dwa. . . trzy. . . cztery. Były to właśnie owe wybuchy, które widział z wierzchołka gmachu administracyi szeryf i co do których przypuszczał, że były one ohydny dziełem Mallo-ry'ego.

.....

W jaki sposób, pośród pożogi zgliszcz, zwłok ofiar eksplozyi, pośród szeregów Wintertończyków i masy uciekającego ludu, Szczepan z Janem potrafili się nareszcie przedostać bez szwanku w okolice kościołka ks. Ludwika — ani oni sami dobrze nie wiedzieli, ani tego opisać niepodobna.

Szli naprzód, coraz to naprzód, kołowali, chowali się w cieniu budynków, potem przemykali się przez gęstwie leśne, biegli przez górskie drożyny. Goniły ich jęki i wystrzały; to wrzawa tłumów przerażonych, to sygnały Wintertończyków, przetrząsających doliny, — oni szli ciągle naprzód.

Dotarli wreszcie po godzinie krążenia do ustronia, w którym mieścił się kościółek i plebania.

To ustronie niezwykły obecnie przedstawiało widok.

Ustroniem nazwać go teraz chyba nie było podobna. Małą chałupkę, zajętą na plebanę,

otaczało w tej chwili kilkadziesiąt osób. Mrok rozświetlały pochodnie, zatknięte w ziemi lub na drzewach.... Ludzie ci, a byli to zarówno mężczyźni jak i kobiety — siedzieli na ziemi, stali lub klęczeli.... Słychać pomiędzy nimi cichy szmer rozmów, a tu i owdzie odzywały się głośne szlochania. Drzwi, prowadzące do pierwszej komnatki, służącej za mieszkanie ks. Ludwika, były na rozcież otwarte; z głębi pokoiku odbijał się blask gromnic.

Przed dziesięciu minutami oddał Bogu szlachetnego swego ducha zacny kapłan-męczennik.

Dwie kule, które otrzymał w pierś, nie przecięły odrazu pasma jego dni.... Gdy upadł, żył jeszcze.

Trudno wyobrazić sobie straszną grozę owej chwili, gdy spełnioną została — zbrodnia.

Widok padającego na twarz starca, widok Krzyża św., który, wypuszczony z jego dłoni, z brzękiem uderzył o kamienie dróżki, przeraził nawet najzatwardziajszych. Reakcya dokonana się w jednej chwili. Postrach okropny padł na tych, z grona których padły strzały... Rzucili się, jak stado wilków spłoszonych, w bok, w gąszcza — i tylko słychać było tętent ich stóp po stokach wzgórza.

Nikt zresztą ich nie ścigał.

Reszta stała lub klęczała, jak gdyby w kamień obrócona. Po szaleństwie przychodzi-

ła im przytomność i razem z nią: przestkach i oburzenie i poczucie okropności zbrodni — i jak gdyby obawa, że w tej chwili niebo spadnie i przytłoczy ich swoim ciężarem, że pioruny zaczną z niego tryskać i stanie się coś strasznego.....

Nic z tego wszystkiego nie nastąpiło.

Ale nastąpił cud inny: oto krew wylana przez kapłana-męczennika odrodziła serca tego tłumu, przed chwilą tak zacieklego, odwróciła ich myśl i wolę od krwawych czynów zemsty — i wywołała skruchę ogromną i poznanie zła; co więcej, niejednego z nich uratowała od niechybnej śmierci tam w walce z obrońcami „Excelsior Works”.

Bo o tem, ażeby iść na fabryki, nie było teraz mowy. Sama myśl podobna zdawałaby się im — zbrodnią!

Coś zresztą trzeba było począć.....

Wszyscy, przy świetle pochodni, z przerażeniem patrzyli na postać kapłana w białej komży, rozciągniętą wśród dróżki górskiej..... Sądzieli, że jest zabity. A mały Frącek, wnuk zakrystyana, który przyprowadził tutaj księdza z latarnią, przypadł do ciała, siadł na ziemi i zaczął głośno płakać.

Z tłumu odpowiedziały mu inne szlochania.

To kobiety — niedawno Furye, szalone nienawiścią, gotowe mordować i zabijać — pła-

kały teraz gorzko, skruszony, klęczący w prochu, podobne do pokutujących Magdalen ze swymi rozrzuconymi w nieładzie włosami.

Starsi mężczyźni mówili po cichu:

— Trzeba podnieść ciało dobrodzieja.... obmyć.... zanieść na plebankę.

W tej chwili mniemane zwłoki przeszedł lekki dreszcz.... wydobył się cichy jęk, westchnienie raczej.

— Żyje.... — przeszedł szept przez szeregi i niezmierna nadzieja i radość zawitała do serc skruszonych.

Wszyscy rzucili się ku kapłanowi. Jedni podnosili go z ziemi, kobiety słały mu pościel z chustek i okryć, inne ocierały krew występującą na białą komżę na piersi. Zapanował przez chwilę zamęt niesłychany. Wszyscy śmieli się lub płakali.... Po chwili zresztą, dzięki usiłowaniom jednego ze starszych robotników, który pono był nawet niegdy felczerm w Płocku, zapanował pewien porządek. Ow człowiek przyjrzał się uważnie twarzy ranego, przysłuchał jego oddechowi — i orzekł:

— Żyje....

Potem kazał dać wody i wódki, wreszcie trochę płótna — rozdarł odzież ranego na piersi i sporządził coś w rodzaju tymczasowego opatrunku. Gdy to czynił, kiwał głową z niepokojem — i twarz jego stawała się ponurą.

— Sporządzić nosze z gałęzi, chłopcy, wy-

słać je odzieżą i zanieść do plebanki.... tylko żywo!

Rzucono się do wykonania jego rozporządzeń.

Robotnik-felczer tymczasem medytował... Doktora byłoby potrzeba i jak najprędzej. Ale zkad go wziąć?.... Zapytywał o doktora kilku innych. Ci wiedzieli, że jakiś „Ajrysz” doktor, mieszkał w osadzie Y., ale czy teraz, po nocy, wśród szalejących dokoła zaburzeń, zechce przyjść? — oto sęk. W każdym razie paru chłopców poleciało po niego.

Tymczasem nosze były już gotowe.

Włożono na nie rannego z niesłychanemi ostrożnościami. Przy wkładaniu jęknął parę razy — i nawet oczy na pół otworzył.... Z trwogą i nadzieją w te oczy spoglądano. Ruszył wreszcie pochód żałosny.

Przy świetle pochodni podobny on był raczej do korowodu pogrzebowego.

Łuna pożog go opromieniała z niebios; huk strzałów i dzika wrzawa tłumu, dochodzące z góry od fabryk, były mu muzyką.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie stałych i tymczasowych mieszkańców plebanki, gdy przyniesiono księdza Ludwika, na pół nieżywego.... Baba zawodzić zaczęła, jak obłąkana; dziad nie wiedział, za co się chwycić. Połubajtysowa, chora, leżała na pościeli, rozestanej w kącie drugiej izdebki, jęcząc od czasu do czasu żałośnie....

Tylko Jadwiga, jakkolwiek przerażona i ciężko przygnębiona, stanęła na wysokości zadania.

W kilku słowach porozumiała się z przybyłymi. Zrozumiała. Straszny był to cios. Cóż jednak robić! Znieść go wypadało; nie płakać, ale ratować, co i jak można.... Z obliczem zalanem łzami, Jadwiga ani na jedną chwilę nie utraciła męskiej siły woli i przytomności. Ona wszystkim rozporządzała, jej wszyscy słuchali....

Byli to ci sami ludzie, którzy przed półtora godziną spalili dom, w którym razem z Połubajtysami mieszkała.... Gdyby ich wtenczas napotkała, mogłaby się od nich spodziewać — rzeczy najgorszych.

Teraz co innego. Stali się z wilków bankami....

A znajdowali się w tej skruszonej gromadzie i najgorsi jej wrogowie: byli dwaj olbrzymi Szymulisowie (trzeci gdzieś się zawieruszył) i nawet Stefka, obecnie łzami zalana i razem z innymi kobietami około rannego starca się krzątająca.

Ta zresztą, gdy ujrzała Jadwigę, aż się cała wstrzęsła.... Na twarz wybił się jej gorący rumieniec.

Na barki Jadwigi spadło ciężkie zadanie.

Od łóża ciężko rannego kapłana, który teraz znów przyszedł na chwilę do przytomności,

biegać wciąż musiała do cierpiącej mocno Połubajtysowej. Szczęściem, przybyła jej niezadługo niespodziewana pomoc. Ktoś miał dobrą myśl, ażeby poskoczyć do osady X. — i przyprowadzić „Pape” Cummingsa, starego Mulata, który obok zajęcia hotelisty, bawił się też niekiedy i w leczenie ludzi.... Miał u siebie różne krople — i znał się na chorobach.

Od ukąszenia węży leczył znakomicie.

Przybył on w pośpiechu, ze skórzanym workiem ręcznym, w którym mieściła się jego podręczna apteczka, mocno wzruszony. Od wzruszenia i pośpiechu aż się trząsał... Ponownie obejrzał rany, opatrunek poprawił — i dał się napić rannemu jakiegoś płynu z jednej z przyniesionych ze sobą flaszcerek.

Kręcił mocno głową — i wreszcie, zbliżywszy się do Jadwigi, szeptem rzekł:

— I pół godziny nie przeżyje.... ale będzie jeszcze przytomny.

I istotnie oczy rannego otworzyły się.... Ze zdumieniem oglądał się po obecnych i izdebce; ze zdumieniem patrzył na kupę ludzi, fantastycznie oświetloną na zewnątrz, a tłoczącą się w drzwi otwarte. Znów zamknęły się te biedne oczy na chwilę. Widocznie duch walczył z niemocą fizyczną.... Wreszcie zwyciężył. Pamięć wypadków, przecięta kulą zbrodniarza, wróciła. Myśl się rozjaśniła i skupiła na nowo.

Jadwiga stała tuż przy łożu chorego.

Kapłan oczyma dał jej znak; pochyliła się nad nim. Rzekł głosem bardzo cichym, robiąc pauzy pomiędzy wyrazami:

— Czy ci ludzie...wrócili się.....z drogi?.... nie poszli tam.... do fabryk?

— Tak.

Radość niebiańska oświeciła twarz starca. Przymknął oczy.... duch jego potężniał coraz więcej w chwili konania.

— Powiedz im.... — rzekł znów do Jadwigi głosem już nieco pewniejszym — niech się tu zbliżą.... wszyscy.

Stało się żądaniu jego zadość.

Ludzie zapełnili całą izdebkę. Poklękali wszyscy.... Cisza zapanowała, jak w kościele, przerywana tylko stłumionem łkaniem, które się tu i owdzie z piersi mimowolnie wyrwało. Po twarzy wielu płynęły łzy, ciche, powolne, czyste, jak krople rosy porannej.

Starzec leżał cokolwiek uniesiony. Jadwidze kazał podnieść sobie jeszcze trochę głowę. I zaczął mówić.

Mówił cicho.... z przerwami.... z wysiłkiem.... ale tak wyraźnie, że w ciszy każdy jego wyraz było słychać.

Mówił, jak prorok.... Zdawało się, że oczyma ducha widzi straszny dramat, który w owej właśnie chwili rozgrywał się tam, na

wzgórzu, u stóp „Excelsior Works”. Dalekie huk strzałów, detonacje wybuchów, wrzawy dzikiej odgłosy, nadlatujące w nocnej ciszy, zda się, opowiadały mu, co się tam działo. Widział to — i malował słuchaczom te straszne obrazy.... I w ostatniej chwili ból przeżywał palący, niewypowiedziany, na myśl o tych okropnościach, o ciałach porozrywanych, o duszach zagubionych, o jękach i cierpieniach.... I modlił się do Pana za wszystkich, za katów i krzywdzonych, za opętanych szaleństwem i złych.... Modlił się o nawrócenie żywych.... o przebaczenie dla konających, on sam w skonania chwili. I błogosławił tym, których śmierć jego od zguby doczesnej i wiecznej obronila — i kazał im grzechem się brzydzić, z Panem iść, braci miłować bez granic, dla prawdy i dobra życie dać....

Była to chwila dziwnie uroczysta i podniosła.

Z ust człowieka, rozstającego się z powłoką doczesną, szły wyrazy, zda się, przez Boga samego natchnione — i żłobiły w sercach ślady nigdy niezapomniane.

Konający urwał.... dyszał ciężko. Stary Mulat dał mu się napić swej mikstury.

Kapłan zaczął się znów modlić....

Teraz oczyma szklistem i na obecnych nie patrzył. Z Panem rozmawiał. Prosił Go o przebaczenie win, które głośno, na sposób

Chrześcijan wieków pierwszych wyznawał; o zmiłowanie dla duszy swej.... dla bliźnich.... dla ludzkości całej.

Wyrazy jego były coraz cichsze, coraz niewyraźniejsze, twarz coraz bledsza....

Cienie śmierci kładły się na czole starca, jak chmury na niebie, a ludowi, zgromadzonemu przy jego łożu, żalność nie do opisania rwała serca na widok męczennika, który odchodził w świat lepszy.

Zamilkł na chwilę.... Naraz uniósł się trochę na postaniu, ciężką ręką krzyż nakreślił w powietrzu, zawołał głosem silnym i doniosłym:

— Panie! Zbaw lud ten..... zbaw Polskę!
I upadł.

Już nie żył.... Twarz starca blada, niewielka, pomarszczona, spoczęła na bieli poduszki, w spokoju i majestacie ogromnym. Oczy roztwarte w niebo patrzeć się zdawały. Od tej głowy trupiej jasność niemal biła.

Zrozumiał wreszcie lud: on umarł.

I ryknął lud głośnym płaczem, dotąd wysiłkami woli tamowanym. I zakołysał się, chyląc głowy do ziemi.... i poczuł żal.... i wdzięczność — i innych uczuć moc.

Jadwiga płakała razem z innymi.

Łzy popłynęły jej całą falą, nietamowane. Klęczała u zwłok — i modliła się bez słów o spokój dla tej duszy czystej, jak kryształ.

Wtem ktoś dotknął jej ramienia.

— Miss Slaski....

Jadwiga drgnęła. Obejrzała się. Stała za nią starsza już kobieta, Niemka, która przybyła tutaj razem z tłumem — i z Furyi szalejącej zemstą obróciła się w siostrę miłosierdzia. Jadwiga powierzyła jej opiece Manię Połubajtysową, wijącą się z bólu w sąsiedniej izdebce.

Kobieta pochyliła się do ucha Jadwigi i coś jej szeptała przez chwilę.... Jadwiga porwała się z klęczek i pomiędzy klęczącymi ludźmi zaczęła sobie torować drogę do sąsiedniego pokoiku.

Śpieszyła się bardzo.

Gdyby nie to, spostrzegłaby, jak dziwne spojrzenie rzucił na nią w chwili, gdy wymówiono jej nazwisko, stary Mulat Cummings, który razem z innymi, równie głęboko, jak inni wzruszony zgonem kapłana, stał przy ścianie.... Twarz „Papy” Cummingsa, gdy usłyszał ten wyraz „Slaski”, nagle skrzywiła się jakoś dziwnie.... Zadrżał.

Po chwili, gdy Jadwiga wyszła, schylił się do swego sąsiada, jakiegoś starego górnika, Polaka — i zapytał:

— Czy ta „miss” nazywa się Slaski?

— Tak.

— I jest Polką?

— A jakże....

Znów mimowolny dreszcz przeszedł Mula-
towi przez plecy. Zamilkł — i widocznie coś
sobie rozważał.

Tymczasem łkania i płacze milkły powoli.
Łez już brakło. Lud klęczał tylko w odrę-
twieniu i modlił się.... Niektórzy wstawali i
wychodzili na świeże powietrze. Inni tłoczyli
się na ich miejsce, aby się przyjrzyć zastygłym
w ostatnim śnie rysom starca.

Otóż w chwili, gdy zapanowała względna
cisza, z sąsiedniej izdebki, gdzie znajdowała
się Połubajtysowa, rozległo się głośnie, krzy-
kliwe kwilenie niemowlęcia.

Było to pierworodne dziecię Połubajty-
sów.

Przyszło ono na świat w chwili tak pełnej
tragizmu, a jego głos pierwszy połączył się
niemal z echem ostatniego westchnienia kona-
jącego kapłana. Aniołowie zgonu i narodzin
spotkali się ze sobą w drodze.

W tej właśnie chwili, pełnej podwójnego
tragizmu, stanęli w obec plebanii, przybywa-
jący z „Excelsior Works” Homicz i Połubaj-
tys.

Zdziwienie ich było wielkie....

Zrozumieli, iż stało się coś niezwykłego.
Co? oto pytanie, które sprawiło, że serca obu
zabiły gwałtownie. Nie namyślali się zresztą
ani chwili. Jeśli jakiegokolwiek niebezpieczeń-
stwo grozi ich najukochańszemu — tem gorzej!
i oni tam być powinni.

Jedno mgnienie oka — i znaleźli się wśród tłumu.

Parę zapytań i wiedzieli już wszystko.... Ból i radość odrazu przeszły im serce. Zaczny kapłan, ofiarą swego poświęcenia — to ból ciężki; ich bracia skruszeni i żałujący uniesienia, Jadwiga i Mania bezpieczne wśród tego tłumu — to radość. Posuwali się szybko ku drzwiom plebany, ażeby ujrzeć po raz ostatni zastygłą twarz zmarłego — i ażeby wreszcie stanąć obok swych najdroższych.

Połubajtys jeszcze nie wiedział o tem, co go spotkało.

Dopiero, gdy wszedł na próg izdebki, ktoś trącił go w ramię.

— Panie Janie! — szepnięto mu na ucho — jesteś ojcem.... Tam — dodano, wskazując na drugie drzwi.

A ztamtąd znów teraz zaczęło dochodzić kwilenie niemowlęcia...

Wszystka krew zbiegła olbrzymiemu Litwinowi do serca. Zbladł.... Tyle wrażeń dziś już przeżył, że zdawało się upadnie z wzruszenia. Ale oparł się o ścianę — odzyskał siłę — i po chwili z twarzą poważną, ale uśmiechniętą, z radością i troską razem w sercu, szedł ku owym drzwiom, po za którymi ukrywała się zagadka jego szczęścia lub nieszczęścia, gdzie znajdowała się jego najdroższa żona i jej dziecię.

Usta jego poruszały się cichą, jak milczenie, modlitwą:

— Panie! Panie! Nie karz mię za to, że przed chwilą chciałem spełnić zbrodnię.... Nie karz mnie, błagam, na niej szczególnie i na tem niemowlęciu.... Oni niewinni!

Wszedł do drugiego pokoiku, a Szczepan, równie niemal wzruszony, stanął niedaleko drzwi — i nasłuchiwał.

Jeśli przed chwilą w sercu Litwina zrodziło się jakieś tragiczne przeczucie, to nie było on bez podstawy. Wprawdzie dziecię przyszło na świat zdrowe, ale za to stan matki zdawał się dość groźnym. Godziły się na to wszystkie kobiety. Nie wiedziały one, co robić z chorą.... Obawiały się złych następstw. Byłaby tu potrzebna specjalistka lub nawet lekarz....

Niepokój wypisany na twarzach kobiet, odrazu zrozumiał Połubajtys.

Mania była na pół nieprzytomna.... bledziutka. Pomimo to męża poznała odrazu. Oczy jej roztwarły się szeroko — i uśmiech rozchylił usta. Ręką pokazała mu niemowlę, które owinięte w jakieś gałgany piastowała stara Niemka. Jan ukląkł i z niewymowną delikatnością pochyliwszy się nad chorą, złożył na jej czole leciutki pocałunek. Następnie zwrócił się do dziecka i przyglądał mu się z czułością — i małeńkie piąstki tej drobnej istotki do ust tulił....

Tymczasem kobiety krzątały się dokoła chorej. Niektóre naradzały się: co robić?

W tej chwili znów skrzypnęły drzwi. To weszła Stefania. Zbliżyła się ona do Jadwigi i pochyliwszy się do niej, coś szeptała.... Jadwiga narzuciła chustkę na głowę — i obie wyszły pośpiesznie. Przecisnęły się przez pokój, w którym leżały zwłoki księdza — i znikły na zewnątrz.

Szczepana, stojącego z boku, nie widziały.

On jednak szedł za nimi wzrokiem, zdziwiony i nawet przerażony. Zkąd pomiędzy dwiema młodemi kobietami taka zażyłość? dokąd poszły? co tu robi Stefka, ta Stefka, którą widział ostatni raz na „Skwerze” szaloną od złości, i miotającą obelgi na Jadwigę? i czy nie grozi przez nią jakieś niebezpieczeństwo Jadwidze? — oto pytania, które mu w jednej chwili przebiegły przez mózg.

Zadrzał mimowoli.... Po chwili i on też skierował się ku drzwiom.

Lecz gdy wyszedł na otwarte powietrze, otoczył go mrok. Pochodnie blado oświetlały lud, zbity teraz w gromadki i naradzający się, co czynić.... Dalej czerniały kontury kościołka na tle lasu, od góry tylko oświetlonego czerwonymi odbłaskami dalekiej pożogi.... U dołu ciemność.

Homicz obejrzał się niespokojnie: nie widział nigdzie dwóch młodych kobiet.

Pytał paru z ludzi, stojących przed plebanią, czy je widzieli? Nie! — nie zauważyli. Zniknęły, jak kamień w wodzie. Ogromny niepokój zaczął obejmować Homicza. Wyrwał jedną z pochodni, osadzonych w ziemi i świecąc nią sobie, przechodził od grupy do grupy. Szukał Jadwigi i Stefki — napróżno....

Zęby zacisnął.... Zimno czuł w sercu.

Przez chwilę namyślał się. Chciał już zapuścić się w las i zbliżał się do ukrytego w cieniu kościołka; gdy naraz z ciemności wyrwał się krzyk przerażający — krzyk rozpaczny.... Zabrzmiał i urwał się.

To był krzyk Jadwigi.

Szczepan poznałby ten głos pomiędzy tysiącami.... A więc tak! — jego przeczucia sprawdziły się. Jadwidze grozi niebezpieczeństwo. Jakie? — przekona się zaraz... I szybko, jak błyskawica, poskoczył w mrok, po za kościół, z kąd odezwał się ów okrzyk rozpaczliwy. W jednym ręku trzymał pochodnię w drugim — rewolwer.

Biegł na oślep.

Minął kościółek.... i znalazł się w ciemnej gęszczy drzew.

Odrąz stanął w obec zagadki: w którą iść stronę? Była to zagadka prawie nie do rozstrzygnięcia. Mrok go otaczał zewsząd; tylko jego pochodnia roztaczała szerokie koło światła.

Tem niebezpieczniejszem było jego położenie. Wróg, ukryty w ciemnej gęszczy, mógłby go w każdej chwili poczęstować śmiertelną kulką.

On przecież o sobie nie myślał.

Ona i jej niebezpieczeństwo, w którem musiała znajdować się w tej chwili — oto treść myśli, które chaotycznie, jak wichur, przebiegały mu przez głowę....

Pomimo że krew krzepła mu w żyłach z trwogi o nią, usiłował rozumować na zimno.

Tak jest! — widocznie porwano ją.

Naturalnie gwałtem. Urywany okrzyk dowodzi, że pochwycono ją z nienacka, że przejął ją przestach ogromny, — że okrzyk jej stłumiono w jakiś sposób. Czy nie ciosem śmiertelnym? (W tem miejscu Szczepan uczuł śmierć w sercu). Nie. Znalazłoby już tutaj jej zwłoki. Kto ją porwał? Mniejsza o to... Teraz rzecz główna, co robić? Ścigać... Ale jak? Mrok i milczenie otaczały go dokoła. Noc i las skryły troskliwie tajemnicę rozpaczliwego okrzyku Jadwigi. Żadnego śladu....

Szczepan czuł, że szaleje.

Wysłuchiwał się przez chwilę w ciszę nocną. Czy nie zabrzmiał nowy okrzyk, któryby dlań był wskazówką? Nic.... Naraz zadrżał. Od północy, z pomiędzy ciemnych drzew, dosłyszał jak gdyby chrzęst łamanych gałęzi, jakby oddalony tętent kopyt.... Ryk radości wyrwał mu się z piersi.

Chciał rzucić się w tamtą stronę.... ale
rozwaga zatrzymała go.

Zrozumiał, że sam niewiele zdziała. Po-
trzebował pomocy. Będzie ją miał w tej chwi-
li. Podniósł dłoń do góry — i dwukrotnie
strzelił z rewolweru w powietrze.

Jedna sekunda i otaczało go kilkunastu
mężczyzn. Przybyli na alarm z przed plebanii.

— Naszą panienkę porwano! — rzekł im
Homicz.

W paru słowach objaśnił im, co się sta-
ło.... Ludzie ci byli jeszcze pod wpływem na-
tchnionych słów kapłana, jeszcze im stała w
oczach postać Jadwigi, schylonej nad łożem
konającego męczennika. Oburzenie ich było
wielkie. Wybuchły nawet przekleństwa.

— Co robić? — zapytał któryś z nich.

— Ścigać nieczemnych zbójów.... Roz-
sypmy się dokoła z pochodniami. Zbójce ucho-
dzą zapewne na mułach. Nic to! — wśród plą-
taniny ścieżek górskich dogonimy ich.... Tyl-
ko prędzej! na miłość Boga prędzej!

Zaczęto już wykonywać jego rozporządze-
nia. On ciągnął dalej:

— Ja idę tam.... — wskazał ręką w stro-
nę, z kąd słyszał niedawno odgłos podobny do
tętnienia kopyt końskich — Kto za mną?!

I już ruszył naprzód w mrok i gęstwinę.

Za nim biegło trzech czy czterech młodych

chłopaków.... Jeden niósł drugą pochodnię; dwaj mieli w ręku pałki grube. W liczbie tych chłopców znajdowali się dwa olbrzymy litewskie, młodzi Szymulisowie.

Darli się tak przez zarośla chwil parę, milcząc.

Naraz starszy z dwóch Szymulisów, Pat imieniem, wysunął się naprzód ku prowadzącemu tę gromadkę Homiczowi — i położył mu swoją ciężką rękę na ramieniu. Szczepan aż się zachwiał pod łapą olbrzyma.

Stanął — i zwrócił się do chłopca zdziwiony.

— Pane... — wybełkotał twardo, z trudem Pat — mam wam coś powedzieć....

— Nie czas teraz.

— Czas!.... to potrzebne, to ważne.

— A więc mów, tylko prędko.

Wszyscy czekali z ciekawością, co on powie. Pat tymczasem w ogóle do mówienia nie mający wielkich zdolności, i naprawdę nie mówiący dobrze żadnym z języków, pocił się, bełkocząc dalej:

— Panie.... ja wiem, kto ta panienska ukradł....

— Wiesz?!

— I jak go złapać....

— Mów, na Boga!

— On ma naszego muł.... — Jo i brat — wskazał na drugiego olbrzyma — to som dwa

Szymulisy.... My byli zły. My mieli razem z duży Szymek łapać ta panienska. Ale my się napravili.... My byli słuchać tego kunigas, co umierał.... On dobrze mówił! My nie chcemy teraz dać Szymkowi ta panienska. To grzech....

I na dowód tego, że tak jest w istocie, na dowód swej skruchy, Pat z całej siły grzmotnął się w szeroką pierś — a Dennis go naśladował.

— Oni są tam.... — rzekł dziki chłopiec — Będziemy ich mieli... Tam jest duży Szymek — i nasz brat trzeci... Bartek.

Homicz spojrział niespokojnie na chłopaka.

— O, on zrobi, co my każemy....

Szczepan słuchał z początku słów chłopaka, jak bajki o żelaznym wilku. Ale za chwilę zrozumiał.

O Szymulisach chodziły w okolicy różne wieści. Wiedział, że to były niebezpieczne draby, niemal dzicy ludzie — i łatwo zrozumiał, że ich wybrano do wykonania planu, uknutego przeciwko Jadwidze.... Śmierć ks. Ludwika ich skruszyła — i to łatwo zrozumiał.

Zresztą szczerłość dzika była teraz z twarzy dwóch olbrzymów.

Namyślać się nie było czasu. Każda chwila stanowiła o wszystkim. Szczepan rzekł tedy krótko:

— Dobrze.... wierzę ci. Prowadź.... Pan Bóg ci wynagrodzi!

Pat uśmiechnął się z zadowoleniem — i skinął ręką, aby szli za nim.

Skierował się teraz w bok.... Szli z jakie dziesięć minut, drąc się przez gąszcza, kalcząc sobie ręce i nogi.... Naraz Szymulis zatrzymał się. Byli u wejścia na jakiś rodzaj ścieżki górskiej. Pat nasłuchiwał chwilę, aż widocznie dosłyszał, co mu było potrzeba, bo aż klasnął w ręce z radości.

Istotnie słychać było chrzęst łamanych gałęzi.

I Pat podniósł rękę do ust.... Policzki nadał — i wydał trzy okrzyki, jak gdyby jęk nocny puhacza....

Objaśnić tu wypada, że istotnie Szymek Zawalidroga porwał w zuchwały sposób Jadwigę — i uprowadził ją ze sobą....

Po zawróceniu jego bandy z drogi do fabryk przez księdza Ludwika, ani myślał chodzić na górę i narażać się na strzały obrońców „Excelsior Works”. Na to był za mądry.... W chwili gdy zacny kapłan upadł śmiertelnie raniony, Szymek skrył się tylko wraz z najstarszym z Szymulisów w zarośla — i obserwował, co będzie.... Dwaj pozostali Szymulisowie zamieszali się w tłumie i pociągnęli z innymi ku plebanii. I Szymek powlókł się za tłumem, trochę z ciekawości, trochę dla tego, ażeby na nowo zebrać swoich chłopaków — i na nowo zacząć poszukiwać za Jadwigą. Przy-

padek usłużył mu lepiej, aniżeli by się mógł spodziewać. Pierwszą osobą, którą spostrzegł na plebanii, była Jadwiga. . . . Na jej widok oczy mu się zaśmiały piekielnie. W tej chwili osnuł plan zachwały do bezczelności. Natychmiast przywołał Bartka Szymulisa — i kazał mu sprowadzić po za kościółek muła, który stał przywiązany i gotów do wyprawy w innem miejscu lasu (użycie „buggy” uznał Szymek za niepraktyczne). Następnie oczekiwał. . . . Kręcił się wśród ludzi — i szukał sposobności wywabienia Jadwigi od domu. I znalazł ją. Usłużyła mu w tem jego własna pomysłowość — i Stefka. Już podczas owej dramatycznej sceny, gdy spalono domek Połubajtysów, zaobserwował on, że młoda kobieta żywi jakąś zajadłą nienawiść do mieszkańców domku. Postanowił jej użyć w chwili odpowiedniej. Ta chwila nadarzyła się. Gdy wśród kup ludu, zebranego przed plebanią, rozeszła się wieść o niebezpiecznym stanie młodej matki, Połubajtysowej i o tem, że byłaby potrzebna pomoc lekarska, Szymkowi błysnęła myśl piekielna. . . . Przeciśnął się do Stefki — i prosił ją, aby powiedziała Jadwidze, że doktor „Ajrysz”, po którego posyłano do sąsiedniej osady, przybył, na nieszczęście już po zgonie księdza, a zirytowany niepotrzebnem niepokojeniem go po nocy, chce odjeżdżać z powrotem; ale gdyby ktoś, np. Jadwiga, poprosił go grzecznie i do tego obiecał odpowiednie wynagrodzenie, zapewne zgodził.

by się pozostać przy chorej. Była to naturalnie bajka, ukuta najniezręczniej w świecie, ale Szymkowi nie szło wcale o to, ażeby Stefka mu wierzyła.... Spojrzeli sobie w oczy — i zrozumieli się. Co do Jadwigi, łotr wiedział, że ta nie będzie podejrzewała zuchwałego podstępu.... Istotnie wyszła z pośpiechem, gdy jej Stefka powiedziała o doktorze. Wyprowadzono ją po za kościółek pod pozorem, że doktor już odjeżdża.... Co tam nastąpiło, domysleć się łatwo.

Szymek wraz z Bartkiem Szymulisem (dwóch drugich chłopaków nie mogli na razie odnaleźć w tłumie) pochwycili Jadwigę z nie-nacka, zawiązali jej twarz płachtą, aby nie mogła krzyczeć, nałożyli postronki na ręce, aby się nie rwała, zgasili latarkę, którą miał przy sobie Szymulis, poczem Szymek Zawalidroga siadł na muła i wziął młodą kobietę, nie opierającą się, bo już zemdloną, na siodło przed siebie....

Zagłębili się w zarośla. Szymulis prowadził muła ścieżkami, sobie tylko wiadomemi.

Mrok pokrył ich czyn ohydny. Widziała go tylko niejasno ukryta w gęstwinie Stefka — i tryumfowała. .. Zbrodnia porwania została dokonana. Gdyby nie szczęśliwy przypadek, który zdarzył, że Homicz przybył jeszcze na czas na plebanię i niedostrzeżony przez Szymka i Stefkę, widział tę ostatnią wycho-

dzącą z Jadwigą, gdyby nie złowrogie przecucie, które go w owej chwili tknęło, a wreszcie gdyby nie niespodziany przewrót w ciężkich umysłach dwóch młodszych Szymulisów, przewrót, który nastąpił pod wpływem szlachetnych słów konającego kapłana, — wszystkie ohydne plany nikczemnego bandyty, które z takim cynizmem przedstawił przed paru dniami Kaliskiemu, spełniłyby się co do joty.

Szczęściem Opatrzność czuwała.

W chwili, gdy opuściliśmy Homicza i jego towarzyszków, znajdowali się już oni na najlepszym tropie.

Co więcej, mieli przy Szymku Zawalidro-dze sprzymierzeńca. Był nim trzeci Szymulis. Trzeba wiedzieć, że trzech Szymulisowie była to — jedna dusza. Żyli oni ze sobą tak, że co chciał jeden, to chcieli wszyscy, a w razie kwestyi, Pat, jako najmądrzejszy ze wszystkich, decydował. Trzy okrzyki pułacza, które naśladował tak umiejętnie Pat, nie było bez celu.... Stanowiły one formalny sygnał dla Bartka Szymulisa. Mówiły mu one: „Opóźniaj pochód — i nie pomagaj tamtemu.... My jesteśmy przeciwko niemu.”

Sygnał ten rozumiano.

Wkrótce otrzymano na takowy odpowiedź. Odezwał się z oddali przygłuszony odgłos puszczyka.... i wnet urwał się. Odpowiedziano: „Tak”.

Szymulisowie, wychowańcy lasu i gór, mieli swoje specjalne hasła. Poznawali się po nich w gęstwinach leśnych i wąwozach.

— Idźma.... — rzekł znowu Pat.

I wszyscy ruszyli za nim. Biegli teraz nieomal.... Ścieżka jakkolwiek wązka i kręta, ułatwiała im pogoń. Upłynęły tak dwie minuty. Nagle przed nowym zakrętem, Szymulis zatrzymał się.

— Zgaśta pochodnie.... — rzekł — teraz ich niepotrzeba.

I istotnie niedaleko z poza drzew biła jakaś złoto-czerwona jasność.... Wszyscy byli posłuszni Patowi. Minęli teraz zakręt — i oto ujrzeli niezwykły widok.

O paręset kroków przed nimi i ścieżka i las ucinały się nagle.

Był to widocznie jakiś parów, rozpadlina, przecinająca górę. Być może płynęła tam rzeczka. I istotnie słychać było szum wody, toczącej się po kamieniach. Las rozpoczynał się dopiero po drugiej stronie rozpadliny, bardziej ponury jeszcze, niż po tej stronie, a oba brzegi wąwozu łączył lekki mostek drewniany, dziurawy i huśtający się. Całą wreszcie tę szczelinę pomiędzy dwiema ścianami czarnego lasu zapełniała w tej chwili fala światła ognistego; widocznie odblask pożaru, szerzącego się na wierzchołku góry w „Excelsior Works”.

Był to widok czarodziejski....

Homicz stanął niemal oślepiiony tym blaskiem niespodziewanym. Przyłożył rękę do oczu — i patrzył przed siebie przez sekundę.... Naraz zadrżał cały, jak gdyby elektrycznością tknięty.

— To oni! — zawołał do swych towarzyszków i runął naprzód.

Istotnie to, co ujrzał, mogło go do czynu pobudzić.

Tuż nad brzegiem parowu u wejścia na mostek, w fantastycznym, czerwono-złotem oświetleniu, widniała grupa, złożona z trzech osób. Szymek Zawalidroga, unosząc przed sobą na siodle postać kobiecą, usiłował zmusić swego muła do wstąpienia na mostek, — podczas gdy ogromny Szymulis trzymał muła za uzdę. Nie można było zdaleka rozróżnić, czy chce on upartego muła wprowadzić na mostek, czy też przeciwnie powstrzymuje zwierzę.

W tej chwili Pat wydał urywany, przeciągły gwizd..... Był to nowy sygnał dla brata.

I istotnie, scena się zmieniła.

Bartek żelazną dłońią osadził muła na miejscu, — a drugą ręką chciał odebrać Szymkowi Zawalidrodze gnącą się w omdleniu Jadwigę.... Jednocześnie Szymek zrozumiał, że ma w nim nie pomocnika, ale wroga. Słyszał teraz za sobą głosy pogoni. Ruchem szybkim, jak myśl, sięgnął do kieszeni....

Nastąpił strzał rewolwerowy — i Bartek Szymulis, rażony kulą w twarz, padł w tył na murawę.

W tej samej chwili odezwały się dwa dzikie ryki....

To Pat i Denis szli, jak burza, niosąc pomstę za brata. Z nimi razem rwał Szczepan i dwaj inni. Szymek Zawalidroga obejrzał się i zrozumiał wszystko.... Pomiędzy nim a nimi szło teraz o życie. Pogoń znajdowała się w tej chwili o sto kroków od niego.

Piekielny uśmiech wybił mu się na twarzy.

Myśli przebiegały mu przez mózg, jak błyskawice.... Cokolwiek bądź i jakkolwiek bądź nie da im kompletnego tryumfu. Najpierw nie odda im tej dziewczyny, o którą poszła cała ta awantura.... Niech ich i ją dyabli wezmą — ich z rozpaczy, ją.... tam na dnie wąwozu. A on — zobaczy jeszcze....

To, co pomyślał, wykonał.

Zeskoczył z muła i pobiegł na brzeg wąwozu.... Jadwigą, ciągle nieprzytomną, zasłaniał się, jak tarczą, przed ewentualnymi strzałami tamtych.

Szymek Zawalidroga stanął teraz nad brzegiem wąwozu.

Ciało Jadwigi uniósł w górę — i nagłym ruchem rzucił w parów. Piekielnym śmiechem odpowiedział na jęk rozpaczy, jaki się wyrwał z piersi Szczepana i na okrzyki zgrozy pozo-

stałych; jednym susem znalazł się na chwiejnym mostku i cofał się tyłem, trzymając rewolwery w obu rękach.

To wszystko trwało tylko jedną sekundę.

Szczepan biegł teraz, jak błyskawica. Wyprzedził innych — i już dopadał brzegu parowu, gdy oto zabrzmiał strzał — jeden i drugi. To bandyta strzelił do niego: i lewą rękę przeszył mu kulą. Zwiesiła się mu bezwładnie.... Szczepan zachwiał się; zdawało się, że upadnie.

Ale trwało to jedną sekundę....

Syknął tylko z bólu i dopadł brzegu. Nie groziło mu już w tej chwili niebezpieczeństwo od kul Szymka, który teraz żywo wymieniał strzały z Szymulisami; Szczepan zresztą o tem nie myślał.... Ukląkł nad brzegiem parowu — i patrzył w dół.

Parów nie był zbyt głęboki; miał ściany skaliste, pokryte tu i owdzie krzakami; na dnie sączyła się, przeskakując z szumem z kamienia na kamień, wązka rzeczulka.

W tej chwili zdawała się ona ognisto-złotą od czerwonej łuny płonących w górze fabryk....

Szczepan nie myślał zresztą podziwiać wspaniałego widoku, jaki przedstawiała ta kamienna szczelina z płomienistym wieńcem u wierzchołka.... Pochylił się — i szukał wzrokiem Jadwigi. „Ach!” — wyrwał mu się krótki okrzyk z piersi. Widzi ją! Tam, na dole

spoczywa ona zawieszona na krzaku, jak ciemna plama na tem tle ognistem. Czy żyje?.... Może. Widocznie suknia jej zaczepiła się o krzak — i to zapewne ocaliło jej życie.... Tak.... Ona żyć musi. Upadek na kamienie równałby się śmierci — i dla tego Homicz patrzył najpierw w parów z rozpaczą w sercu. Teraz budziła się w jego umyśle nadzieja.... Jego biedne serce, wstrząsane coraz to sprzeczniejszemi wrażeniami, uczuło nieskończoną wdzięczność dla Opatrzności. Modliłby się głośno i dziękowałby Panu za cud, za świtający mu rąbek nadziei, — gdyby nie wołał go czyn.

Musi się dostać tam do niej.

Zmierzył głąb.... Skąła była w tem miejscu gładka i stroma na znacznej przestrzeni, a dopiero tam, gdzie się zatrzymała w upadku Jadwiga, znajdował się występ, na którym rosły obficie krzaki i murawa.... Zejść po skalistej ścianie było niepodobna, chyba spuścić się na linie lub zeskoczyć.... Homicz nie namyślał się ani chwili. Przeżegnał się — i skoczył.

.....

Kiedy obudził się z chwilowego omdlenia, poczuł najpierw, że wszystkie kości go bolą. Upadek na krzaki był dość przykry. Szczepan mocno się podrapał o gałęzie i nawet pokaleczył. Ręka, w którą dostał przed chwilą postrzał, paliła go teraz ogromnie.

Spadłszy, na krótką chwilę omdlał....

O ile się zdaje, uderzył głową o skałę; szczęściem skałę tę pokrywał mech, a uderzenie było lekkie. Zresztą siła żywotna i podniecenie woli u młodego chłopca były tak silne, że wnet powróciła mu przytomność. Przez jedną sekundę oglądał się dokoła, jak gdyby nie wiedząc, gdzie jest i co czyni; ale świadomość wnet powróciła.

Już wiedział, co robić

O parę kroków od niego spoczywała, jak gdyby we śnie głębokim, blada, oświetlona krwawą łuną, dziewicza postać Jadwigi Suknia jej była podarta; na czole sączył się wążutki, czerwony pask krwi. Czy żyje? — zapytał sam siebie Homicz i tchu mu zbrakło. Dźwignął się z trudem z krzaków, znalazł grunt twardy pod nogami — i wzdłuż ściany kamiennej posunął się ku Jadwidze.

Pochylił się nad nią — i słuchał.

Była ciągle zemdloną, na ustach miała coś w rodzaju knebla, chustkę dużą, mocno zawiązaną Szczepan zerwał ten knebel I okrzyk tryumfu wyrwał mu się z piersi. Żyła — oddychała!

Teraz trzeba ją było najpierw ocucić przenieść gdzieindziej Dokąd? W jaki sposób?

Szczepan rozejrzał się dokoła. O kilka kroków dalej spostrzegł, iż występ skały, na którym się znajdowali, kończył się łagodnym

spadkiem, jak gdyby rodzajem schodów....
I na tym spadku rosły krzaki, a prowadził on
aż na dno parowu, do strumienia.

Szczepan zrozumiał odrazu, jak dogodnie-
mi dlań być mogą te schody naturalne.

Znów pochylił się ku Jadwidze ... Z nie-
wypowiedzianą delikatnością wziął ją na ręce
— i zaczął zstępować na dół. Trudna to była
droga, istnie cierniowa.... Owe schody w
skale nie były tak dogodne, jak się zdaleka
zdawało. Trzeba było nieraz przedzierać się
przez splątane kłęby krzaków i cierni; każdy
krok nieostrożny mógł go narazić na upadek
na skały w dole; gdzieniegdzie występ stawał
się tak wązkim, że zaledwo było miejsce na po-
stawienie stóp; wreszcie ręka lewa Homicza,
przestrzelona i krwawiąca, utrudniała mu zstę-
powanie na dół... Te wszystkie przeszkody
przewyciężył. Bólu i umęczenia nie czuł. Jak
matka dziecię, piastował ten drogi ciężar na
zbołałych rękach — i niewysłowiona błogość
przejmowała mu duszę.... Uśmiech słoneczny
rozjaśniał mu twarz, gdy nogi ślizgały się po
mchu, gdy groził im obojgu śmiertelny upa-
dek ze skał.... Szedł — i marzył.

Myślał sobie:

— Śmierć?... Ha, niech będzie i śmierć...
Z nią razem!

Skończyła się wreszcie ta droga trudna.
Ciężar swój drogi złożył na skale mchem obro-

szej tuż obok strumyka.... Jego rozmarzenie musiało się teraz przerwać. Rzeczywistość kazała się liczyć ze sobą. Należało teraz w jakiś sposób przywrócić Jadwigę do przytomności, opatrzyć skaleczenia, wreszcie znaleźć ztąd wyjście. W ręce zaczerpnął wody u strumyka i prysnął jej w twarz.... Ale przytomność nie wracała; oddech zresztą stawał się wyraźniejszy, twarz zabarwiała się lekkim rumieńcem.

Znów pochylił się nad nią.

I napłynęła mu do serca fala rozrzewnienia.... Oto jest ona tutaj przed nim, prześliczna, blada, jak gdyby we śnie spoczywająca — i czuje on, że jeśli ona żyje i krzywdą jej się więcej nie dzieje i wyrwaną została z rąk wrogów, to stało się to za sprawą jego poświęcenia bezgranicznego, opłacił on to swoim bólem serdecznym i własną krwią ciepłą, która mu sączy się tam po rękę. I zdawało się Szczepanowi, że to wszystko zadzierzgnęło pomiędzy nimi jakieś nowe węzły, takie mocne, jak śmierć i trwałe, jak stal; węzły, których nic nie jest w stanie zerwać.... I zdawało mu się, że ona jest jego niemal, bo przez niego niebezpieczeństwu wydartą, a raczej, że to on jest jej i psem i niewolnikiem i stróżem — na całą wieczność....

Znów zaczerpnął wody i prysnął na jej twarz. Lecz czemuż ona się nie ocuca? Czemu ciągle tak blada?

Lęk ogromny przejął biedne serce Szczepana.

Wziął ją za rękę — i dłoń tę drobniutką wstrząsnął. Nic.... Po imieniu ją nazywał i mówił do niej. Nic. Rozpacz go chwytając znów poczyniała. Czyżby się już nie miała obudzić? Taka blada, taka blada....

Twarz jego dotykała się prawie jej twarzy.

I oto nagle usta jego pochyliły się do jej czoła i mimowoli złożyły na niem pocałunek palący, jak ogień.... Zdawało się mu, że tym pocałunkiem rozgrzeje i przyprowadzi do życia sztywne jej ciało, ale to on sam przy nim się spalił. Utracił świadomość tego, co czyni — i okrywał gorącymi pocałunkami jej czoło, włosy i ręce....

I istotnie pocałunki przebudziły ją.

Westchnęła.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zdawało się jej, że śni. Przechodziły ją jakieś gorączkowe dreszcze. Wreszcie otworzyła oczy — i ujrzała jego klęczącego przed nią. Trzymał jej rękę przy ustach.

Zrozumiała — i pomimo słabości, energicznym ruchem wyrwała mu rękę.

Ognisty rumieniec dumy dziewiczej wypłynął jej na twarz. Z trudem dźwignęła się i usiadła na kamieniu. Gięła się jeszcze pod wpływem słabości, ale siłą woli odzyskiwała zwykłą tęgosc.

— Siądź pan tam.... — rzekła głosem słabym i pełnym rzewnego wzruszenia, wskazując Homiczowi głaz o kilka kroków oddalony — i odpowiedz mi pan na parę pytań....

Homicz, który dotąd klęczał, jak winowajca, spełnił jej żądanie.

— Uratowałeś mi pan życie?

— Tak....

— Jesteś pan ranny?

— Zdaje się....

— Opatrzę panu ranę.... Inaczej grozi panu śmierć z upływu krwi.

Wykonała, co rzekła, a on poddawał się jej rozkazom, posłuszny i milczący.

Znów usiadła na swym kamieniu. Milczała przez chwilę.

— A teraz.... — rzekła głosem drżącym — musimy się rozstać.... na zawsze. Tak jest, na zawsze! Przed chwilą, gdym się obudziła z omdlenia, czułam na czole mojem pański pocałunek.... Rękę moją od ust pańskich oderwać musiałam. Komu innemu powiedziałabym, że to niegodnie, że to haniebnie.... Słabą kobietą jestem, zemdloną byłam. Panu jednak, któryś mnie bronił przed niebezpieczeństwem tyle razy, którego serce znam, przebaczę to zapomnienie.... ale pod jednym warunkiem....

Zatrzymała się. Homiczowi zdawało się, że łyzy czuje w jej głosie.

— Pod jednym warunkiem.... — ciągnęła po chwili głosem już silnym i stanowczym — że się nigdy odtąd nie zobaczymy....

Zamilkła.

Homiczowi zdawało się teraz, że wszystkie te skały, że góra cała spadła mu na głowę. Osunął się ze swego głazu — i klęcząc, wznosił ku niej ręce. Z piersi wyrywało mu się łkanie.... Cała jego postać błagała ją w milczeniu — o łaskę.

Ale ona była nieubłagana.

Spokojna już teraz, tłumaczyła mu powoli, pieszczotliwie niemal, że to niemożliwe. Pamiętać o nim będzie zawsze.... wdzięczną mu jest i będzie. Ale żyć obok niego nie może. To skończone. Ona przyjaciółką i siostrą mogłaby tylko być dla niego.... niczem więcej. Zna jej życie — i wiedzieć powinien, że tak być musi, a nie inaczej. On niedość panuje nad sobą.... Obojgu im będzie lepiej, jeśli będą od siebie daleko. Szaleństwem byłoby w jej położeniu myśleć o jakichś uczuciach.... Zresztą serce jej obumarłe. Rozstać się muszą i to zaraz. Muszą koniecznie! Niechaj on ją odprowadzi na plebanie — i koniec.... Lepiej zresztą niechby ją odprowadził kto inny, jeśli można....

Mówiła tak długo, długo; a on wsparty o kamień, z twarzą rękami zakrytą i łzami zalaną, słuchał nie już tego, co mówiła, ale wprost — melodyi jej głosu.

Cokolwiekby mówiła, co to go wreszcie obchodziło?

Wyrok jej był stanowczy: rozstać się muszą.

I rozstali się.

Przybyli wkrótce zmęczeni, klnąc, z bezskutecznej za bandytą pogoni Szymulisowie, a z nimi gromada ludzi, mężczyzn i kobiet, zwabionych strzałami. Tym powierzył Szczepan Jadwigę z prośbą o odprowadzenie na plebanię.

Sam pozostał jeszcze w parowie.

Stał tu, jak ogłuszony ciężkim ciosem.... Myśli plątały się mu w głowie. Czuł, że coś w nim pękło, rozerwało się.... Czuł ciepło jej dłoni, którą mu na odchodnem podała — i szaleństwo go ogarniało.... Spoglądał tam w górę, gdzie na tle budzącego się świtu strzelały słupy płomieni i z trzaskiem zapadały się gmachy fabryczne „Excelsior Works”. Tak samo runęły gmachy jego marzeń, tak samo zapadała się jego dusza, a jego szczęście obracało się w popiół i zgliszcze.



CZĘŚĆ IV.

Obrazki i dokumenta z lat 3ch.

I.

Urywek z pamiętnika Szczepana Homicza (w 2½ lat po opisanych poprzenio wypadkach).

.... *Chicago*, w kwietniu. — Dopiero co powróciłem z *New Orleans*. Widziałem ją trzykrotnie, naturalnie zdaleka, w tłumie ukryty.... Przywykłem teraz od pewnego czasu zwierzać moje wrażenia tej oto książeczce. Piszę mój pamiętnik. Pensyonarskie to przyzwyczajenie, ale naprawdę niktby się nie domyślił, ile sentymentalizmu, nieomal pensyonarskiego, tkwi w głębi serca zimnego i spokojnego na pozór byznesisty, na jakiego dzisiaj wyglądam. ..

Zresztą wszystko mi jedno: nie mam przy sobie nikogo, komu mógłbym się tu zwierzyć, nie mam serca, któreby razem z mojem było wspólnością uczuć i sympatją, — zwierzam się więc papierowi.

Tak — nikogo....

Ksiądz Ludwik, zacny starzec, śpi pod murawą gór pensylwańskich snem wiecznym. Połubajtys z Manią daleko. A ona.... O! ona stracona na zawsze.

Widziałem ją tydzień temu po raz ostatni.

W pochodzie karnawałowym, barwnie wijącym się po ulicach tego starego i dobrego miasta New Orleanu, pośród głośnego wesela ostatniego wtorku (Mardi Gras), widziałem ją, jechała ze swą pupilką i jej rodzicami, poważna, w stroju czarnym, dziwnie odbijająca swą twarzą tragiczną od szaleństwa tłumu, upojonego zabawą, promieniejącego barwami, flagami i kwiatami.

Ach! jaka ona piękna.... codzień staje się piękniejsza.

Każde jej widzenie, z ukradka, z daleka denerwuje mnie do korzeni włosów.... A jednak nie mogę się obyć bez tej przyjemności gorzkiej, jak cierpienie, drażniącej serce i wyrzucającej mnie ze zwykłej kolei bytu. Pamiętam, przedostatnim razem, widziałem ją na wybrzeżu Oceanu, w Atlantic City, N. J., przed 6miu czy 8miu miesiącami. Przechadzała się ze swoją pupilką po piaskach nadmorskich, a wicher, przylatujący od Oceanu, zaróżowił jej twarzyczkę. Dziewczynka, jej uczennica, skakała, jak młode koźle, po piasku, a szczęście dziecka wywoływało od czasu do czasu na usta Jadwigi uśmiech pogodny.... Ja, ukryty po za jedną z budek kąpielowych, śledziłem ją — i ten jej uśmiech budził we mnie niemal nienawiść.... Szalencie! Czyżbym śmiał przypuszczać, że od tego dnia pamiątnego — od tej

chwili mej winy i rozstania — ona obowiązana jest nosić żałobę po mnie i po moich uczuciach? Niedorzeczność!

A jednak stężałem wtedy na widok jej uśmiechu. Zdawał mi się on nieomal świętokradztwem.

Powiedziałem sobie, że nie będę próbował widzieć jej więcej. Powrócę do Chicago — mówiłem sam sobie — i zacznę żyć spokojnie, nie troszcząc się o nic, nie zwracając sobie głowy żadnymi mrzonkami. Będę jadł, pił, bawił się, flirtował, jak inni; będę woził do teatru znajome damy i grywał w klubie w pokra; ożenię się nawet, jeśli trzeba (z kim?...). I wykonywałem ten program przez pewien czas, aż mi zbrzydł ostatecznie. Rzuciłem precz klub i flirt — i wziąłem się do pracy.... Nocami całemi siedziałem w mojem laboratorium. Raz, zdrzemnąwszy się z utrudzenia, o mało co nie wysadziłem w powietrze całego skrzydła fabrycznego. Ale za to następnej nocy wynalazłem przyrząd do telefonu, który mi za parę dni przyniesie \$50,000 *cash*.

Zresztą czułem tęsknotę bezgraniczną. Nawet praca mnie nie zadawalniała. Do niej znowu zwracała się moja myśl.

Siadłem i napisałem do mego agenta w New Orleanie z poleceniem nadsyłania cotygodniowych raportów o tem, co ona robi. Odpowiedź telegraficzna była: „Zdrowa. Nic

nie zmienione. Państwo Fairmount na ostatni tydzień karnawału opuszczą swą plantację i przybędą do New Orleanu. Na *Mardi Gras* na pewno można ich tu będzie widzieć...”

Nie zwlekałem dłużej.

Zapakowałem się; napisałem dwa słowa memu wspólnikowi, co ma robić z fabryką — i wyjechałem.

Wróciłem — i cóż ztąd?... Widziałem ją. Wspanialsza, niż kiedykolwiek: istny posąg smutku. Com na tem skorzystał? Niepokój wewnętrzny, którego ułagodzić nie jest w stanie nawet obecne pisanie, zazwyczaj tak mi skuteczne, gdy mam na sercu jaką troskę.

Rzucam pióro.

....(*W parę dni później*). — Miałem dzisiaj przykry sen. Śnił mi się Mallory, ten mieszaniec słonia z tygrysem, ten zbrodniarz bez wyrzutów sumienia; śnił mi się na tle pożogi i zapadających się gmachów fabrycznych i porwanych ciał ludzkich, wylatujących w powietrze, jak wtenczas...

Ten sen mnie zmęczył.

Mówiłem o tem dziś rano Jenningsowi. Śmiał się — i odpowiedział, że zapewne wczoraj wieczorem jadłem zbyt twardy befsztyk.

Być może. W każdym razie ten człowiek jest moją zmorą. Zbrodnia jego, spełniona tam w „Excelsior Works” przed dwoma i pół laty, nie daje mi spać. Zdaje mi się, że sam

Pan Bóg każe mi się przyczynić do jej pomśzczenia i ukarania. A jednak pozostała ona nieukarana.

Gdybym nie opuścił wtenczas, natychmiast po owym strasznym dniu, po owym dniu krwi i pożogi, okolic „Excelsior Works”, byłoby wszystko inaczej.

Ale nie mogłem, nie mogłem...

Po tem, co ona mi powiedziała tam na dnie parowu, po jej rozkazie tak stanowczym, tak decydującym, nie mogłem tam dłużej pozostać. O świcie przekradłem się do plebanki, zabrałem mój mały pakunek, ucałowałem pocziwego Janka Połubajtysa, wziąłem w rękę kij — i powędrowałem w świat. Nie zachodziłem nawet do naszego białego domku: wiedziałem, że tylko zgliszcza tam zastanę.... zupełnie tak, jak w sercu mojem.

Jak szedłem? długo szedłem? co robiłem? — nie wiedziałem dobrze przez dni kilka z początku...

Potem trudy życia przywołały mnie do przytomności. Postanowiłem jechać na Zachód, daleki Zachód. Miałem jeszcze około stu dolarów. Dotarłem do Washingtonu, nad Ocean Spokojny, przeszedłszy i przejechawszy Amerykę na wskroś... Ztamąd losy wyciągnęły mnie aż do Alaski, o której polach złotodajnych pierwsze naówczas rozchodziły się wieści. Przeżyłem tam, zdala od świata cywilizowane-

go, w twardej walce o złoto, ciężkie chwile i trudy, o których trudno mieć pojęcie... Ale kiedy wróciłem w ośm miesięcy potem, byłem już prawie bogatym.

Mnie i dwom towarzyszom posłużyło szczęście.... Przywieźliśmy każdy po jakie \$15,000 w złocie. Ale za to siedmiu naszych towarzyszków zostawiło swe kości tam, na błotach Alaski.

Te złoto nie uczyniło zresztą mnie szczęśliwym... tak samo jak i dziś szczęśliwym mnie nie robi to wszystko, co posiadam.

Złoto dało mi zresztą pewną swobodę myśli.

Przyszły mi na pamięć stosunki dawne... Zaczęła mnie interesować przeszłość. Przedtem bowiem, od czasu owych strasznych wypadków, żyłem wyłącznie walką o byt, żyłem chwilą bieżącą, nie myśląc, szczęśliw, że kamień zapomnienia przywalił wszystko, co było. „Excelsior Works” i osada X. i ludzie tamtejsi i ich sprawy zdawały się przez ten rok włączyć po Ameryce i walki o złoto na Alasce, nie istnieć dla mnie.... Była to raczej jakaś zmo-
ra, dusząca myśl, aniżeli rzeczywistość.

Gdym przybył tu do Chicago, gdzie wreszcie postanowiłem się osiedlić na stałe i dalej pracować nad moim bytem i fortuną, to przynębnienie przeszło.

Gdy już nabyłem niewielki zakład elektro-

techniczny i zacząwszy pracować w ulubionej mi branży, uspokoiłem się trochę ze sprawami bieżącymi, przyszła mi najpierw ciekawość dowiedzieć się: jak się skończył dramat w „Excelsior Works” — i co się stało z moimi przyjaciółmi?

Nie nie wiedziałem ani o jednym, ani o drugich.... Do czasu powrotu ze złotodajnej Alaski, nie czytałem żadnych gazet.

Musiałem aż użyć pomocy jakiegoś biura detektywów — i istotnie dowiedziałem się rzeczy dość niespodziewanych.

„Excelsior Works”, do połowy zburzone owej nocy pamiętnej, nigdy nie wróciły do swej świetności.... Idą teraz, po półrocznej prawie stagnacji, ale podobno tylko czwartą częścią poprzedniej siły. Pracują w nich Negrzy, sprowadzeni z Południa, bo z rozkazu pana Mallory ani jeden dawny robotnik nie znalazł w nich zajęcia.... Mallory sam wyjechał zresztą do Anglii i mieszka tam stale. Miał on ciężką przeprawę ze sprawiedliwością z powodu owych eksplozji — i zdaje się, że dla uniknięcia dalszych z nią starć, opuścił Amerykę. Musiał się grubo przepłacić sądom. Mówią, że schudł do połowy — i stał się bardzo ponurym i zgryźliwym.

Tak jest — to zbrodniarz... to zbrodniarz!

Śledztwo wykazało, że w owych tajemniczych eksplozjach zginęło przeszło 50 osób.

Okropne. . . . Gdybym ja był świadkiem w tej sprawie, złoczyńca nie uszedłby kary. Moje zeznanie zabiłoby go!

Nie było mnie przecież. . . . Kopałem wówczas złoto w Alasce.

I to mnie właśnie męczy niewymownie.

....(*W tydzień później*). — Spotkała mnie dzisiaj niespodzianka.

Gdym przyszedł rano do ofisu, Jennings powitał mnie tryumfalnym okrzykiem dzikiego Indianina. Potrząsał jakąś kopertą. Był to telegram z Londynu. Firma Crackson & Co. ofiaruje wreszcie za prawo eksploatacyi na Europę mojego pierwszego wynalazku — \$75,000 i koszta patentów. Hurra! — jak mówi Jennings.

Istotnie, stawia to nas na nogi.

Jennings jest dzielny chłop — i jemu tylko zawdzięczam, że moje złoto, z takim trudem zdobyte w Alasce, nie rozplynęło się dotąd w powietrzu. . . . Gruby, niski, o szerokich barkach i jeszcze szerszych bakenbardach, nie wygląda on na Yankee, a przecież jest uosobieniem amerykańskiej energii. Spotkałem go niedługo po przybyciu do Chicago i po nabyciu owego zakładu elektrotechnicznego. Było mi wtedy bardzo ciężko. . . . Prawie cały mój kapitał włożyłem w zakład; nie miałem doświadczenia biznesowego; podkopała mnie nieuczciwa konkurencya — i w pięć miesięcy po

rozpoczęciu interesu chwiałem się literalnie.....
Wszystko mogłem stracić.

Wtedy zjawił się Jennings.

Był on reprezentantem jednej z firm, z którą miałem do czynienia. Raz kiedyś byliśmy razem na kolacyi i opowiadałem mu o wynalazku, nad którym już od pewnego czasu pracowałem. Miał to być przyrząd, ułatwiający transmisję siły elektrycznej. Jennings słuchał uważnie, wreszcie rzekł mi:

— Kiedy to pan już skończysz, powiedz mi....

Zapomniałem o tej rozmowie, aż oto w 2 tygodnie potem, gdym był w najgorszych tarapatach, przychodzi Jennings i pyta o mój przyrząd. Był gotów, ale pośród kłopotów nie pamiętałem o nim. Na żądanie, pokazałem jego działanie Jennings'owi; nie objaśniałem zresztą konstrukcyi. Jennings namyślał się przez minutę, wreszcie rzekł:

— Masz pan patent?

— Jeszcze nie....

— All right. Chcesz pan za prawo do jednej trzeciej wszelkiego zysku, jaki się da otrzymać z tego wynalazku, \$25,000?

Zrozumiałem, że musi być w tem wielki interes; ale nie miałem ani chęci ani odwagi targować się. Zresztą te pieniądze spadały mi w tej chwili, jak manna z nieba. Przystałem.

Wieczorem zawarliśmy kontrakt — i otrzymałem pieniądze.

W parę tygodni mieliśmy patent na Stany Zjednoczone i jednocześnie Jennings przedstawił mi nową propozycję.... Chciał przystąpić do spółki w mojej fabryce, rozszerzyć ją — i wyrabiać w niej moje przyrządy. Włożył w interes znów \$25,000, ja jeszcze \$10,000 (z otrzymanych poprzednio od niego) — i dziś po roku każdy z nas jest wart w samej spółce fabrycznej swoje \$50,000.

Otrzymana dziś z Londynu wiadomość czyni mnie bogatszym o \$50,000, a Jenningsa o \$25,000.

Jennings dziś przez cały dzień ryczał z radości tak, jak gdyby to było na odwrót. Wieczorem kupił mi szampana. Chce, żebyśmy znów wsadzili w fabrykę każdy po 25 tysięcy.

Być może, iż zgodzę się na to.

Summa summarum, jeśli sprzedam w tych dniach drugi mój wynalazek, ulepszenie telefonów, (a targ już przychodzi do skutku), będę „wart” — nauczyłem się już tak mówić po amerykańsku — coś około \$150,000.

Trzykroć sto tysięcy rubli! Sześć kroć sto tysięcy marek! Siedmset pięćdziesiąt tysięcy franków!

To jednak brzmi ładnie....

Złoto jest złotem, bądź co bądź. Głupcy tylko twierdzą, że pieniądz jest niczem. On daje siłę, środki działania, pewną pogodę.... On pozwala nam nie nękać się drobiazgami i małemi cierniami życia.

Weźmy na przykład mnie samego.

Wiem dobrze, że jestem smutny, że życie moje bez słońca i nadziei.... Cierń mam w piersi. Nie stroję się w ból, ale tkwi on zbyt głęboko w mem sercu. A przecież dzień dzisiejszy zdaje mi się jaśniejszym o wiele, niż poprzednie.... Czyżby dla tego złota? Czy to może wpływ szampana, który piłem dziś z Jennings'em?...

...(*Nazajutrz*). — Znów niespodzianka. Zakomunikował mi ją dziś rano Jennings.

Jest on przyjacielem S. D. Ashforda, jednego ze znakomitszych tutaj adwokatów. Otóż Ashford oznajmił mu, że chce się ze mną widzieć; ma do mnie jakieś ważne i sekretne polecenie od bawiącego w Anglii Mallory'ego.

Co to być może?...

Odpowiedziałem Jenningsowi, że nie myślę szukać Ashforda. Jeśli chce, niech do mnie sam się zgłosi.

...(*W tydzień potem*). — Co kłopotów znów spada na biedną moją głowę! Póltuzina odrazu.

Najpierw dziś rano dostałem depeszę od mego agenta z New Orleans ... Jadwiga chora. Nic to groźnego na razie, ale w przyszłości może być bardzo niepokojącym. Lekarz, który ją leczy, mówi o wyczerpaniu sił — i hypokondryi....

Trawi ją rozpacz i smutek. Przez lat blisko cztery pobytu w Ameryce zrobiła tak niewiele dla wiadomej sprawy.

Boże, Boże! Gdybym jej był w stanie co pomódz....

To kłopot pierwszy. Drugi (właściwie kłopot dość miły) jest taki: Muszę jechać do New Yorku, a tu Jennings od paru dni coś mi choruje. Powód wyjazdu następujący: Targ o mój drugi wynalazek dobity, ale formalności trzeba załatwić na miejscu, w New Yorku. Zasypują mnie telegramami, ażebym przybywał.

Ha! — pojechać trzeba.... Być może, że mnie to rozerwie.

Trzeci mój kłopot, już, szczęściem, przeszedł. Zresztą na myśl o tem, czuję wzburzenie w całym organizmie.

Odwiedził mnie adwokat S. D. Ashford — i powiedział mi krótko, że Mallory gotów jest powrócić z Anglii do Ameryki, jeśli ja razem z nim stanę na czele „Excelsior Works”. Ofiaruje mi wysoki udział w przedsiębiorstwie... Rozumiem: chce kupić moje milczenie o jego zbrodni.

Krew mi uderzyła do głowy, gdy o tem usłyszałem. Rzekłem:

— Nie. . . .

I pokazałem znakomitemu adwokatowi drzwi.

....(*We dwa tygodnie później*).— Wracam z New Yorku, interes z wynalazkiem załatwiony. Zdeponowałem dziś w banku \$50,000. Jenningsa znalazłem tu zdrowego. Byznes idzie świetnie.

Przywiozłem ze sobą wiele nowości i wrażeń.

Odwiedziłem także New Orleans— i ztamtąd mam coś nowego. Jadwiga nieco zdrowsza, chociaż ciągle smutna.

W New Yorku widziałem się i długo parę razy gadałem z drem Gryzińskim. Co się z tego człowieka zrobiło!.... Zmiana jeszcze większa aniżeli ze mną. Ani kieliszka wódki ani szklanki piwa do ust nie bierze; kart nie dotyka. Wyrobił się, został amerykańskim adwokatem.

Gryziński dał mi świetną radę.

Dla tego pojechałem do New Orleans. Udało mi się tam.... jak dotąd. Czy jednak plan, projektowany przez Gryzińskiego, da się przeprowadzić w całości? To kwestya.

Być może, iż Gryziński przyjedzie tu do Chicago. Chciałbym tego bardzo.

Ale... ale... dowiedziałem się od niego czegoś bardzo ciekawego. Interesowało mnie dotąd bardzo, co się mogło stać od czasu wypadków w „Excelsior Works” ze znakomitym Bolo L. Kaliskim. Znikł bowiem, jak kamień w wodzie. Otóż zagadkę tę wyjaśnił mi Gry-

ziński. Elegancki p. Bolo siedzi zapewne do tej chwili w kryminale. A stało się to tak: Sprawa „Excelsior Works” uszła jakoś temu łotrowi płazem.... Ale w miesiąc potem wynikły podobne awantury w innej fabryce, o kilka mil oddalonej. Tam przychwycono pana brata, jak sprawę tę całą aranżował, ludzi podburzał, rznąć i palić kazał....

Zrobiono z nim krótki sąd: poszedł na 3 lata do więzienia.

Pokazuje się ztąd, że i sprawiedliwość ludzka niekiedy potrafi być pożyteczną na świecie....

II.

Była to niedziela bardzo uroczysta w polskiej parafii św. Wita w Chicago.

Dawny, mały kościółek okazał się niedostatecznym dla wiernych i dla tego przystąpiono do budowy nowej, wielkiej, murowanej świątyni. Dziś właśnie odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół. Była to wzruszająca i wspaniała ceremonia. Tłumy ludu polskiego na tej obcej ziemi zapełniły ulicę. Orkiestry prowadziły naprzód umundurowane towarzystwa, przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła”. Migotały lance Ułanów i żywe barwy Krakusów i wiały polskie proporce. Kapłani dopiero co ukończyli swe modły i obrzędy, przebrzmiało ostatnie słowo patryotycznej i pełnej wiary przemowy.... Tłum,

jak wielka fala, rozpływał się po sąsiednich ulicach.

W tłumie tym znajdujemy Szczepana.

Jest on samotny pośród tych polskich tysięcy. Przez półtora roku pobytu w Chicago Homicz tak był zapracowanym i wreszcie tak troską swoją przygnieciony, że nie miał ani czasu ani chęci wchodzić w polskie stosunki. Wiedział wprawdzie, że w Chicago istnieje kilka porzucanych po całym mieście dzielnic polskich, że każda z nich ma swój kościół i parafię, że ogółem w Chicago mieszka kilkadziesiąt tysięcy Polaków, zamierzał nawet pierwotnie udać się pomiędzy swych braci, ażeby się przekonać, czy pośród nich nie będzie mógł pracować, — ale wypadki pokierowały nim inaczej. Jeszcze w drodze do Chicago, w wagonie kolei poznał się i rozgadał z jakimś Amerykaninem, który nastęrczył mu do kupna ów zakład elektryczny, obecnie przekształcony w wielką fabrykę i do spółki z Jenningsem prowadzony.

Odtąd Szczepan nie komunikował się z Polakami.

Mieszkał w obcej dzielnicy, fabrykę miał daleko od Polaków, ofis w środku miasta.... Raz tylko czy dwa razy widział w przejeździe przez jakieś ulice polskie szyldy, znak, że w danej miejscowości, Polacy są licznie osiedleni. Swoją drogą myślał o nich niekiedy: czuł potrzebę poznajomienia się z braćmi.

Właśnie wczoraj, w sobotę (w tydzień coś po powrocie z New Yorku) przeczytał przypadkowo w angielskiej gazecie wieczornej zapowiedź uroczystego poświęcenia w parafii św. Wita. I odrazu powiedział sobie: — „Pójdę tam!”

Poszedł — i wracał teraz, pełen jakiegoś nowego życia.... Upojony był melodią pieśni polskich, gwarem mowy ojczystej, której już tak dawno nie słyszał, widokiem tego ludu, postrojonego w narodowe mundury, widokiem orłów białych na tle amarantowem.... Brzmiały mu jeszcze w uszach podniosłe słowa kapłana, który Polskę kazał piastować w sercach tu na obczyźnie, miłością Boga i miłością ojczyzny żyć, dla wiary i Polski pracować!

Myśląc o tem, uczuwał mimowolny wyrzut.

Dla czego jego niema pośród tych uznożonych tłumów? Dla czego on razem z nimi i dla nich nie pracuje?.... Rozumiał, że to gromada, połączona jedną wiarą i wolą, a on odbity od niej, jak liść z drzewa oderwany. I czuł się teraz smutnym — i samotnym.

Tłum tymczasem rozchodził się gwarny...

Wlewał się do sieni domów.... Na rogach tworzyły się gromadki i prowadziły ze sobą rozmowy. Odzywały się śmiechy hożych dziewcząt i błyskały ich białe, podobne do pereł, zębki. Ze szeroko otwartych drzwi saloonów buchała wrzawa.

Upał był ogromny. . . . Ludziska czuli potrzebę ochłodzenia się.

Szczepanowi przyszło na myśl, ażeby wstąpić do jednego z tych saloonów na szklanekę piwa. . . . Chciał posłuchać jeszcze przez chwil kilka gwary ojczystej; zresztą miał nadzieję, że może znajdzie tam kogo znajomego lub choćby z kimś się poznajomi.

Wszedł do saloonu, którego drzwi znajdowały się przed nim w tej chwili.

Był to zakład, urządony wspaniale, z wielką „barą”, błyszczącą od bronzów i lakierów, pełen luster, obrazów i szklanych witryn. Dokoła „bary” tłoczyła się cała gromada polskich obywateli: szły kolejki, rozprawiano głośno. Szczepan skierował się powoli ku drugiemu pokojowi, w głąb. Słyszał było ztamtąd stuk kul bilardowych. Znalazł tam miejsce przy stoliku, zażądał piwa — i pił je powoli, przyglądając się paru młodym chłopcom, którzy grali w bilard.

Siedział tak dość długo.

Owionęła go teraz swojska atmosfera. Obok niego siedziało w paru kupkach kilku obywateli polskich. Rozprawiali o kościele, o towarzystwach, o swoich rodzinach; przerzucali się żartami; witali, pytali o nowiny. . . . Szczepan pełną pierśią pił ich słowa i tę atmosferę swojską, którą tu uczuwał.

Wreszcie zaczęło się opróżniać. . . .

Szczepan siedział ciągle, wsparłszy głowę na rękę. Nie chciało mu się wstać i odejść ztąd.

Wtem usłyszał coś, co zwróciło jego uwagę.....

Stolik jego znajdował się tuż przy szeroko otwartych drzwiach do samego saloonu. Siedział on zresztą tyłem do drzwi. W tej chwili do uszu jego dobiegły następujące wyrazy:

— A więc pan może mi dać dokładny adres panny Śląskiej?

— O tak.... — odpowiedział głos drugi — to nawet bardzo proste — Miss Śląski, care of Sen. Fairmount, Fairmount View, La. To o parę mil od New Orleans. Panna Jadwiga jest już blisko od lat dwóch wychowawczynią jedynej córeczki Senatora Fairmount. Pisze nam niekiedy. Jest jej tam bardzo dobrze. Senator i jego żona to podobno najcenniejsi ludzie....

Homicz znał zkadś oba te głosy. Tak... Znał je dobrze. Ale zkad?

Porwał się nagle z krzesła.... Już wie, już wie....

Staął we drzwiach saloonu — i ujrzał następującą scenę: Za „barą” znajdował się widocznie właściciel saloonu, wysoki, silnie rozrośnięty mężczyzna o blond włosach i wąsach, o pocziwem spojrzeniu niebieskich oczu.

To Połubajtys: niema wątpliwości... niewiele się zmienił przez ten czas. To on właśnie udzielał objaśnień drugiemu mężczyźnie, stojącemu przy „barze”, widocznie gościowi. Na „barze” stały dwa kieliszki wina; widocznie gość „trytował” (częstował).

Kto był ów gość? — nie odrazu odgadł Szczepan.

Twarz szczupła, dość długa czarna broda, przetykana już gdzieniegdzie siwizną; czoło było pomarszczone, cera żółta.... Indywiduum to, ubrane dość elegancko, robiło zresztą dość niemiłe wrażenie swą nadmierną, nerwową ruchliwością i ukośnemi spojrzeniami oczu.

Te spojrzenia przekonały nareszcie Szczepana, że ma przed sobą B. L. Kaliskiego, zestarzałego i zbiedzonego w więzieniu, ale nie mniej jego we własnej osobie.

Homicz szybko zbliżył się do „bary”.

— Janie! — zawołał do Połubajtysa — ani słowa więcej do tego człowieka.... To zdrajca.

Jak gdyby grom padł pomiędzy dwóch rozmawiających.

Połubajtys patrzył przez chwilę w Szczepana.... I on nie odrazu go poznawał. Twarz Homicza zmieniła się bardzo przez te lata. Ale wreszcie poznał.

— Szczepek... to ty!

Rzucili się sobie wzajem w objęcia. Połubajtys płakał ze wzruszenia.

Gdy się uspokoił, Kaliskiego już nie było.

Umknął, nie zapłaciwszy nawet za „tryt”. Podszedł on pocziwego Litwina. . . . Przedstawił mu się, jako daleki krewny Jadwigi, poszukujący jej w jakiejś sprawie spadkowej. Połubajtys naturalnie nie poznał go — i wziął jego prośbę za dobrą monetę.

Homicz słuchał tego wyjaśnienia tak niespodzianie odnalezionego przyjaciela z niepokojem. Wreszcie machnął ręką i rzekł:

— Stało się. . . . niema co. Postaramy się jednak tego ptaszka ubezwładnić.

Do późna w noc bawił tego dnia Homicz u Połubajtysów. Mieszkali oni na górze nad saloonem.

Opowiadali sobie wzajem o swoich losach od czasu rozłączenia się. Połubajtysowa pokazywała swoje dzieciaki (a było ich już troje, razem z tamtem, które ujrzało świat w straszną noc wypadków w „Excelsior Works”) — i mówiła mu o Jadwidze, której listy z Fairmount View przechowywała, jak relikwie. Jan opowiadał Homiczowi, jak nareszcie odebrał połowę spadku w Pittsburgu i odesławszy część pieniędzy do kraju, za resztę założył tu byznes, czekając na odzyskanie i drugich dziesięciu tysięcy. . . .

Homicz z kolei olśnił ich też opowieścią o swoich pomyslnych losach.

Spoglądali nań niemal z uszanowaniem. Zapytaniom, wykrzyknikom, wspomnieniom nie było końca. Gdy późno już w noc Szczepan opuszczał domek swoich przyjaciół, był niemal szczęśliwy.

III.

Nazajutrz rano pierwszą czynnością Homicza było udać się do znanej mu agencji detektywów.

Zażądał, ażeby postarano mu się jak najprędzej o wiadomość: gdzie się obraca w Chicago i co robi niejaki Bolo L. Kaliski, skazany przed dwoma i pół laty na trzyletnie więzienie w Stanie Pensylwanii — i dla czego znajduje się teraz na wolności?

Naczelnik agencji, elegancki, wysoki blondyn o złotych okularach, znał dobrze Szczepana i jako swego klienta (robił już dlań poszukiwania w sprawie „Excelsior Works” i Jadwigi) i jako mającego dużą przyszłość byznesistę. Zadał on cały szereg pytań Homiczowi, wreszcie rzekł:

— To jest w porządku Dziś po południu będzie pan miał raport.

Istotnie o godz. 5tej tegoż dnia przybył do ofisu Homicza *errand boy* z biura detektywów — i przyniósł mu następującą notatkę:

„Bolo L. Kaliski, skazany w listopadzie roku 1885 w Pensylwanii na 3 lata więzienia stanowego za podburzanie do mordów i buntów, został, z

powodu dobrego zachowania się w więzieniu, ułaskawiony przez gubernatora w kwietniu 1888 r. (po przebyciu dwóch lat i 6 miesięcy w zamknięciu), z warunkiem, że opuści natychmiast Stan Pensylwania.

Uczynił to — i przybył przed półtora miesiącem do Chicago.

Tutaj odrazu pozyskał zajęcie, jako „krupier“, w szulerni na State ul. Nazywa się tu John Dix. Mieszka na 37ej ulicy i State.

Z nikim nie miewa stosunków, oprócz z niejakim „Funny Harry“, posługaczem z tejże szulerni. Obydwóch ich podejrzewa policya o obrabowanie farmera Haywood z Nebraski, który odwiedził ich szulernię, ze \$700 gotówką. W ogóle jest to indywiduum nadzwyczaj podejrzane i zdolne do wszelkiej zbrodni....

Co robić dalej?

Agencya

per — X. Y. —“

Homicz odpisał krótko:

„....Pilnować go na każdym kroku. Może zechce wyjechać! Gdyby wyjeżdżał, iść za nim trop w trop i nie tracić śladu. Raporta o wszelkich podejrzanych ruchach. Koszta gwarantuję. Potrzebna koniecznie wiadomość: do kogo wysyła i od kogo odbiera listy? Gdyby można dostać brulion jakiegokolwiek listu, specyalna nagroda. Bardzo ważne.

H.....“

Gdybyśmy o tym samym czasie udali się do mieszkania p. Bolo L. Kaliskiego (inaczej Johna Dix'a), do „pokojów umeblowanych” przy 37ej i State, — znaleźlibyśmy także owego jegomości, mocno przez dwuletnie więzienie zmizerowanego, przy biurku.

Pisze on list, a usta jego krzywią się co chwila dyabelskim uśmiechem.

Oto słowa listu:

.....Szanowny panie baronie! —

Gdybyś pan zobaczył mnie dziś, po przejściu dwóch lat ciężkiej, a niczem nieusprawiedliwionej męczarni, męczarni, którą przebyć musiałem wskutek bezgranicznego poświęcenia się pańskim interesom, nie poznałbyś mnie pan baron nigdy i w żadnym wypadku..... Z człowieka w kwiecie wieku, stałem się starcem. na pół złamanym. Więzienie wybiło na mnie straszne swe piętno.....

A jednak w całym toku mego procesu, którego przyczyną w gruncie rzeczy była pańska sprawa z ową panną, podczas dwuletniego więzienia, nigdy z ust nie wyrwało mi się ani jedno słowo potępiające pana, ani jeden zarzut, ani jedna insynuacja. Byłem panu wierny, jak pies.....

Zresztą jeśli ja siedziałem w kryminale, tak samo, a zapewne i daleko więcej winien jesteś kryminału — pan.

Pan kazałeś mi wyjechać za tą panienką do Ameryki.

Pan mi na to dałeś pieniędzy.

Pan mi kazałeś odebrać jej w Ameryce papie-

ry i pieniądze, ażeby była pozbawiona możliwości osiągnięcia jakiegoś celu tajemnego, celu, co do którego mam już dziś pewną teorię.

Uczyniłem to, stosownie do pańskich rozkazów, w Cleveland, O.— i o mało co nie popełniłem przytem zbrodni.

Kosztowało mnie to grube pieniądze.

Nie próbuj pan żartować z tego zapewnienia, jak to czyniłeś w liście przed trzema laty. Sam wszystkiego załatwić nie mogłem, a pomocnicy — drogo kosztują....

Nie koniec na tem.

Ona, ta młoda kobieta, znalazła się znów w Pensylwanii. Szukała ciągle sposobów osiągnięcia swego celu. Dowiedziałem się o tem i zawiadomiłem pana. Kazałeś ją pan usunąć. (List pański, jakkolwiek pisany cyframi, mam dotąd w ręku). Uczynić chciałem, co pan kazałeś. Przekaz na 10,000 marek, otrzymany przy pańskim liście, nie pokrył ani połowy moich kosztów....

Jakkolwiekbaż, pracowałem.

Sukces nie uwieńczył moich starań.

Nie udało mi się.... Ta kobieta potrafiła wymknąć się przez oczka moich sieci. Za to ja — wpadłem. To przerwało na pewien czas nasze stosunki.

Dziś je wznowić uważam za właściwe.

Powody tego są następujące: 1o. Należy mi się za moje nieszczęście pewne odszkodowanie. 2o. Pański własny interes to nakazuje. Wiadoma osoba, jak się z wielkim trudem po wyjściu na wol-

ność dowiedziałem, znajduje się teraz właśnie w położeniu, w którym najwięcej panu może piwa nawarzyć. Mieszka w samym New Orleans i prowadzi pilne poszukiwania. Przyjacielem jej osobistym jest znany powszechnie senator Stanów Zjednoczonych W. V. Fairmount, człowiek wpływowy, który poruszy wszystkie sprężyny, ażeby dopomódz tej panience w tem, o co jej idzie.

Każ pan to sobie sprawdzić, jeśli chcesz, w innej drodze....

Tymczasem stawiam otwarcie i wyraźnie moje żądania: Przyślesz pan niezwłocznie pod adresem: „John Dix, Chicago“ sumę 30,000 marek pruskich (przyznasz pan, że to niewiele), a w przeciągu miesiąca od daty otrzymania pieniędzy, nieprzyjaciółka pańska nie będzie już panu szkodliwą. W jaki sposób? — moja rzecz. Za dodatkowe 30,000 marek dostaniesz pan z powrotem listy, które pan do mnie pisałeś — i ten rękopism Śląskiego, o który panu tak chodzi.

Przypuszczam, że pan będziesz miał ochotę w pierwszej chwili cisnąć tę moją propozycję do kosza.

Powiesz pan sobie, że przecież tyle już lat znajduje się ta dziewczyna w Ameryce, tyle lat szuka, śledzi i bada — i nie panu dotąd złego nie zrobiła. Rozumowanie na pozór słuszne, ale w gruncie rzeczy bardzo omylne. Przyjdiesz pan sam do tego wniosku, po bardzo krótkim zastanowieniu się.

Najpierw, zapominasz pan o tem, że obecnie

dopiero żyje ona w dostatku — i że ma za sobą wpływy senatora Fairmounta.

Po drugie, zapominasz pan o mnie.

Jestem obecnie, co prawda, w dyabelnych tarapatach (przez pana barona! — słowo honoru) i chcę z nich jakoś wyjść.... Ta sprawa, tak pięknie przez nas zaczęta, a dotąd jeszcze nie ukończona, posłuży mi do tego za środek. To sobie powiedziałem, jeszcze siedząc za żelaznymi kratkami.

Obmyśliłem wszystko, jak się należy....

Nie zechcesz mi pan baron zapłacić! — zapłaci ona.... Czem? Pieniędzmi, które się w głębi tej sprawy bądź co bądź ukrywają. Czy zechce zapłacić? — I owszem.... jeśli jej powiem, kto był mordercą woźnego Casey'a i złodziejem bankowym z przed 20tu z górą laty.

A powiem jej krótko, że złoczyńcą tym był baron Albert von Felsenstein (z całym tuzinem innych przydomków i tytułów), szlachetny i możny pan, głowa rodu tak wspaniałego, jakiemu równego niema w całych Niemczech.

Powiem, że to on był w New Orleans owym baronem Adalbertem, o którym wspomina rękopism nieboszczyka Śląskiego.

Powiem, że ten sam możny pan już podczas bytności panny Śląskiej w Ameryce nastawał na jej życie i cześć przez płatnych zbójów.

Powiem — i dowiodę.

W ogóle, choćby mi się i ten plan z jakichkolwiek racyj nie udał, nie dam za wygranę. Nie pozwolę, ażebyś pan przewracał się na puchach,

używał życia i udawał wielkiego męża bez plamy i skazy, podczas gdy ja tu nędzę żrę.... W każdym razie zemszczę się. Rzecz całą opublikuję, przekażę sądom, i uczynię imię pana barona tak głośnem, jak imię każdego innego — zbrodniarza.

Własnoręczne listy barona, wystarczą za dowód.

Powiesz pan, że to szantaż. Niech będzie! Pomiędzy dwoma łotrami, jak my, niema się co wstydzic ostrzejszych słówek. Wszak wiemy, o co nam chodzi.

Piszę otwarcie, bom głodny.... Zresztą jestem pewny, że pan policyi tego listu nie pokażesz.

Czekam na 30,000 marek w dwa tygodnie po odebraniu tego listu. — Przesłać telegraficznie.

Sługa

B. L. Kaliski

Gdy nędznik skończył to pisać, piekielny uśmiech zaigrał mu na twarzy.

Kaliski zadowolniony był ze swego utworu, istotnie stanowiącego szczyt łotrowskiego cynizmu. Poplątał tu fakta z fałszem, wymyślił z prawdą — i pewny był skutku. Jeszcze raz czytał list i robił różne poprawki. Potem siadł do przepisania listu na czysto.

Pisząc, mruzczał pod nosem:

— 30,000 marek pewne.... Dyabła zje prędzej ten piekielny skąpiec, aniżeli ośmieli się odmówić mej delikatnej prośbie. I nie będzie to próba ostatnia.... Będę go ssał tak, jak jednoroczne niemowlę matkę! Na nieszczęście

nie mam w ręku broni, którą go tak straszę, tych tam listów i rękopismu (skradł mi to wszystko ten wisielec Szymek Zawalidroga, — niech go wszystkie pioruny zabijają!); ale to nic.... Od czego rozum? Nie zawsze wygrywa ten, kto ma karty, ale ten, kto potrafi dobrze bluff'ować.

Zaśmiał się głośno. Podobał mu się ten koncept.

IV.

Przenieśmy się na chwilę na Południe.

Willa senatora Fairmount w miejscowości przez niego nazwanej Fairmount View, niedaleko New Orleans, była istotnie czemś w rodzaju raju ziemskiego. Biały wielki dom o prześlicznych, lekkich konturach włoskiego renesansu, przystrojony mnóstwem ozdób, rzeźb, kwiatów, gorzał literalnie w blaskach południowego słońca. Po za domem znajdował się olbrzymi ogród o wspaniałej roślinności.... Kwitły tam pomarańcze, myrty i drzewa migdałowe.

Jadwiga siedziała w bujającym się fotelu na wspaniałym tarasie, który biegł wzdłuż całej willi — i łączył dom z ogrodem.

Była sama.

Krzewy w wazonach dawały tu cień; marmurowe posągi pociągały wzrok swemi idealnie czystymi liniami; fruwały motyle o złocistych prążkach; szemrały tu i owdzie srebrzyste fontanny.

A jednak postać Jadwigi na tem tle uroczem pełna była powagi i tragicznego smutku.

Państwo Fairmount wyjechali przed chwilą, razem z jej małą pupilką, na wizytę do znajomych.... Ona wymówiła się niezdro-
wieniem — i została sama. Nie będzie się po-
trzebowała chociaż przez parę godzin krępo-
wać ani stroić twarzy w uśmiechy konwencyo-
nalne; odda się myślom swoim własnym, swej
własnej trosce.

Siedzi teraz zamyślona, z głową opartą na
ręce.

Istotnie, przedziwnie wypiękniała od cza-
su, gdyśmy ją ostatni raz widzieli.... Twarz
jej blada, wykutą się zdaje z marmuru; wyraz
głębokiej myśli wytryska z dużych, przedzi-
wnie pięknych oczu. Gdyby odrzucić tę zasło-
ną melancholii i troski, która jej lica okry-
wa, jakże pełną życia, jakże czarującą byłaby
ta twarz!

O czem myśli Jadwiga?

O Szczepanie. Tak jest. Widzi go w myśli
przed sobą w owej ostatniej, pamiętnej chwili
rozstania w parowie, a potem myśl przebiega
dzieje ostatnich lat od owego czasu. Przeżyła
i przepracowała przez ten czas wiele. Naj-
pierw po powrocie na plebanie, złożyła ją na
łoże boleści ciężka choroba nerwowa. Leżała
tak zapewne ze trzy tygodnie. Ona i Połubaj-
tysowa walczyły tam obie ze śmiercią.... Co

wtenczas przeszedł pocziwy Jan, dogładając je obiedwie z troskliwością najpocziwszej matki — Bóg to jeden wiedzieć raczy!....

Wreszcie wyzdrowiały.

Wyjechali potem wszyscy do Pittsburga. Tam zaczęło się życie dość ciężkie... Jan nie odrazu znalazł pracę. Krawiectwo szło niebardzo, a zresztą pani Połubajtysowa miała wiele zajęcia z dzieckiem. Jadwiga ostatecznie wyszukała tam sobie niejsce lektorki i damy do towarzystwa w domu angielskim. Tak się rozdzieliły ich drogi.

Zaraz po przybyciu do Pittsburga, stosownie do rady, jaką jej niegdyś dał Homicz, Jadwiga zawiązała stosunki z agencją detektywów w New Orleans, która zaczęła prowadzić śledztwo w jej sprawie.

Upłynęło pół roku, a rezultaty były bardzo nieznaczne....

Wtedy postanowiła przenieść się do New Orleans, ażeby rzecz poprzeć osobiście. Ponieważ w tym właśnie czasie w jednym z poczytnych miesięczników amerykańskich umieściła dwie prace swego pióra, traktujące o wychowaniu, które zwróciły powszechną uwagę na ich autorkę, nie trudno było Jadwidze pozyskać z Pittsburga odpowiednie rekomendacje do New Orleans, a w tem ostatniem mieście — dobre miejsce.

Trafiła na dom senatorstwa Fairmount,

ludzi bogatych, zacnych i wybornie wychowanych.

Byłaby tu szczęśliwą zupełnie, w otoczeniu tak miłym i pełnym komfortu, kochana przez swą pupilkę i ceniona przez jej rodziców, gdyby nie dwa źródła smutku.... Jednym z nich była sprawa ojca, która szła naprzód bardzo powoli, raczej stała w miejscu.

Istotnie, sprawa ta trafiała na nieprzewyżnione trudności.... Zdawało się, że wszystko spiknęło się na to, ażeby przeszłość zataiła w sobie tajemnicę, od której zależał spokój Jadwigi i cześć ojca.

Jadwiga miała w swoim biurku całą plikę kosztownych raportów od agencji, która prowadziła śledztwo w jej imieniu. Cóż, gdy te raporta były małej wartości!....

Dowiedziała się z nich, że gmach sądowy wraz z archiwami, w których możnaby znaleźć ślady sprawy, zgorzał. Bank, w którym spełniona została kradzież, już nie istniał. Egzemplarzy gazet, w których była opisana ta sensacyjna sprawa, nie można było dostać.

Lat dziewiętnaście, dwadzieścia....

Ileż to nowych zdarzeń, sensacyj, wypadków, ludzi przechodzi w parękroć stutysiecznym mieście! Ktoby tam zbyt pamiętał specjalne wydarzenie w zgiełku innych wydarzeń?

Agencya mimo to wszystko pracowała dla sprawy Jadwigi.

Nie mogąc znaleźć wiadomości w dokumentach, szukała ich pomiędzy ludźmi. Kolejno dowiedziała się, kto był adwokatem, broniącym sprawy Stefana Ślaskiego, kto zarządzał bankiem w czasie spełnienia kradzieży i morderstwa, wywiedziano się nawet nazwisk paru świadków. Ale i tu nowe stawały na drodze przeszkody. Adwokat wyjechał gdzieś na daleki Zachód, ówcześni kierownicy banku już nie żyli. Co do świadków, tych nie można było odnaleźć.

Słowem wszystko niemal rwało się.

Agencya szczególnie dowiedzieć się chciała o miejscu pobytu dwóch z liczby świadków: niejakiego Cummingsa Mulata czy też Murzyna, naówczas czyściciela butów w New Orleans — i ówczesnego klerka w banku „National Trust & Loan Co”, Mallory’ego.

Ale jej usiłowania, jak dotąd, były bez skutku.

Nie pomagały nawet ogłoszenia w gazetach, któremi zapewniano nagrodę za dostarczenie bliższych wiadomości o procesie Ślaskiego i o miejscu pobytu różnych związanych z takowym osób.

Tak samo bezskutecznem było poszukiwanie Millera (inaczej Morskiego).

Agencya poszukiwała go, stosownie do wskazówek Jadwigi, w New Yorku — i nawet skomunikowała się w tym celu z Gryzińskim.

Ale „Papa” Morski zapadł gdzieś i nie pokazywał się teraz w nowojorskich knajpach. Raz tylko, mniej więcej w czasie, gdy działy się owe straszne sceny w „Excelsior Works”, wpadł, jak po ogień, do New Yorku — i widział się z Gryzińskim.... Był wtedy dość niespokojny i nie hulał. Pytał Gryzińskiego o Homicza — i dowiadywał się, czy podczas jego przedostatniej bytności kto z „chłopców” nie znalazł „czego”.... Gryziński nie uważał za właściwe mówić mu o miniaturze, znalezionej przez Homicza, lecz za to zatelegrafował do tego ostatniego, a Morskiego zatrzymywał przez dni parę, pod pozorami poszukiwania zguby.... Tymczasem jednak Homicz nie przybywał (telegram już nie zastał go w osadzie X.) — i Morski odjechał, ażeby więcej nie wrócić.

Ma się rozumieć, „dr.” Gryziński szczegółów o miniaturze i Homiczu nie komunikował detektywom agentury z New Orleans.... Zachował je dla siebie. Opowiedział tylko wszystko, co wiedział o Morskim i jego wizytach w New Yorku.

Jak wiemy, było to niewiele....

Poszukiwania, czynione w Śt. Paul, Minn., u zameżnej córki nieboszczki Cybikowej z Cleveland, nie odniosły lepszego skutku. Kobieta wiedziała tyle, że gdy była jeszcze dziewczyną, odwiedzał czasem jej matkę „wuj” Morski i że mieli ze sobą jakieś tam konsza-

chty, ale więcej nie ... Gdzie się obecnie obraca? — nie obchodziło ją to wcale.

Jednem słowem, gdziekolwiek się zwrócono — była próżnia.

To też Jadwiga mogła być smutną, mogła sobie mówić, że widocznie prześladowuje ją i tę sprawę — jakaś nieubłagana fatalność!

Gdyby nie modlitwa, która ją pokrzepiała, gdyby nie wspomnienie słów świętego kapłana, księdza Ludwika, zwątpiłaby o wszystkim.

Inny jeszcze powód do smutku tkwił w duszy dziewczęcia.... Tym powodem był — Szczepan. Coraz to przychodził jej na myśl... widziała go znękanego, rozbitego, w podartem ubraniu, z ręką krwią zbroczoną, takiego, jakim był w chwili, kiedy wydała nań wyrok ostry i nielitościwy.... Czuła wtedy litość nad nim i ciężki żal do samej siebie.

Oskarżała się sama nieraz:

— Czym nie zbyt surowo z nim postąpiła?... Co się z nim stało? Czy nie doprowadziłam go właśnie do zguby?

I przypominała sobie jego dzielność, szlachetność i poświęcenie bez granic — i czuła w takich chwilach, że smutek jeszcze głębszy, że jakaś dziwna tęsknota ogarniała jej serce.

Iteraz tak siedziała zamysłona.

Wtem roztworzyły się drzwi od pokojów wewnętrznych — i ukazała się w nich służąca.

— Listy i gazety, proszę panienki.

Jadwiga podniosła się z krzesła — i skierowała ku stolikowi, na którym dziewczyna położyła listy.

— Ach! — rzekła — list do mnie.

Poznała po kopercie i piśmie, że jest to raport od agencji z New Orleans. Śpiesznie rozerwała kopertę — i zaczęła czytać list. Brzmiał on, jak następuje:

„*New Orleans*, we wrześniu.

Szan. Pani: —

Udało się nam w tych dniach, dzięki energii jednego z naszych agentów, zrobić w interesie sz. pani dwa nadzwyczajnej wagi odkrycia.

Oto najpierw wykazało się, iż świadek z procesu Stefana Ślaskiego, owoczesny klerk bankowy Mallory, jestto ta sama osoba, która stoi obecnie na czele wielkich przedsiębiorstw przemysłowych „Excelsior Works“ w Pensylwanii. Pan Andrew J. Mallory (obecnie zresztą bawiący od pewnego czasu w Anglii) uważany jest powszechnie za milionera i przemysłową potęgę — i dla tego też nikomu nie przyszło na myśl, iż może to być ów biedny klerk z przed lat 20tu. Przypadek tylko naprowadził nas na to odkrycie, niesłychanej dla sz. pani wagi.

Rzeczą jest teraz naszą wybadać p. Mallory — i dowiedzieć się, jaką grał rolę w tej całej sprawie

Drugie odkrycie bodaj jest ważniejszym. W jednej z bibliotek prywatnych w naszym Stanie odkryliśmy białego kruka. Jestto komplet gazety „*Leader*“ z r. 1867. W komplecie tym znajdzie-

my wszelkie szczegóły co do procesu Stefana Ślaskiego. Książka jest do sprzedania, ale żądają za nią wysokiej ceny.

Prosimy o porozumienie się z nami co do dalszych kroków w tej sprawie, a nadto o dostarczenie zaliczki na koszt, ponieważ dawniej otrzymane zaliczenia zostały już zbalansowane.

Fox & Goggin.

Agencya detektywów.“

Żywy rumieniec okrył twarz Jadwigi, gdy czytała ten list. Była istotnie wzruszoną.... Zrozumiała od pierwszych słów doniosłość tych dwóch odkryć. Wprowadzały one istotnie całe śledztwo na nowe tory. Był to na prawdę początek czegoś....

To też fala radości uderzyła silnie do serca biednego dziewczęcia.

Po chwili zresztą zachmurzyła się.... To wzmianka o zaliczce, której żądała od niej agencya detektywów, zaniepokoiła biedną Jadwigę. Poszukiwania dotychczasowe, pomimo tak słabego rezultatu, kosztowały ją już bardzo wiele, aż nazbyt wiele.... Włożyła w nie sumkę \$250, uratowaną z rozboju clevelandzkiego, kładła swe zarobki literackie, a wreszcie włożyła nawet sumkę tysiąca z czemś marek, otrzymaną z Poznania, jako zwrot jakiejś należności, przy regulowaniu jej mająteczku zapewnionej.

Obecnie była prawie bez pieniędzy.

Ha.... co robić! Poprosi panią Fairmount o zaliczenie na pensję — i jakoś to będzie.

Siadła i rozmyślała przez chwilę.... Wreszcie machinalnie sięgnęła po jedną z gazet. Zaczęła czytać. Wtem zadrżała jej ręka.

Wzrok jej padł na wizerunek mężczyzny, umieszczony w 6ej szpalcie pierwszej strony u góry.

Pod tym wizerunkiem widniał podpis: „Współzawodnik Edisona”. Był to artykuł o wynalazkach Homicza, a wizerunek przedstawiał — jego. Artykuł, napisany w tonie extra-pochwalnym, przedstawiał Homicza, jako nową gwiazdę, świtającą na horyzoncie Ameryki. Wspominał on o wynalazkach, już poczynionych przez Szczepana — i o tych, nad którymi pracuje; wymieniał bajeczne sumy już otrzymane przezeń za owe wynalazki; podawał wreszcie krótki życiorys wynalazcy, ma się rozumieć, upstrzony różnemi reporterskimi fantazyami. Był to artykuł w gruncie rzeczy bardzo przesadny, widocznie puszczonej w kurs, w celach byznesowej reklamy, przez ową firmę nowojorską, która nabyła ostatni patent Homicza.

W tem wszystkim, co artykuł opowiadał, było wiele amerykańskiego humbugu; ale nie mniej ten humbug robił Homicza odrazu wielkim człowiekiem.

Jadwiga pochłaniała wzrokiem ten artykuł.

Była to pierwsza wieść o Szczepanie, jaka doszła do niej od lat blisko trzech. Równie surowa dla samej siebie, jak i dla niego, nie pytała się o niego nigdy i nigdy nie starała się dowiedzieć, co się z nim robi, czy żyje, gdzie przebywa? Wyobrażała go sobie zgnębionym i ginącym; gdy oto ów artykuł pouczył ją naraz, jak wysoko stanął jej niegdy rycerz i obrońca.... Radość szczerą ją przejęła. Dumną była z niego.... Rozumiała dobrze, przez jakie walki i trudy musiał przejść, zanim doszedł do takiego stanowiska — i mimowoli przychodziło jej na myśl, że jeśli tak pracował i walczył, to albo pchać go musiała naprzód jakaś wielka rozpacz, albo też przyświecała mu przez mgłę smutku terazniejszego jakaś niejasna gwiazda nadziei na przyszłość.

Gorący rumieniec oblał twarz Jadwigi.

Czuła w tej chwili, pomimo oddalenia od niego, pomimo trzyletniego milczenia, że to ona jest jego gwiazdą przewodnią, że miłość dla niej jest treścią życia jego.... Czuła to po tderzeniach własnego serca.

Przyglądała się przez chwilę portrecikowi Szczepana, aż nagle, podniosła gazetę do góry — i przycisnęła go do ust.

Stało się to mimo jej woli, odruchowo.

Nie wiedziała sama, jak to nastąpiło.... To pewna, że po chwili nierozwagi nastąpiła chwila zawstydzenia. Nowa fala krwi przy:

płynęła jej do twarzy. Upuściła gazetę na ziemię — i siedziała przez chwilę, zasłaniając lice rękoma....

Gdy podniosła czoło, była blada, ale zdecydowana.

— Winnam mu jakieś zadosyćuczynienie — rzekła.

Siadła przy biurku i skreśliła na ćwiartce listowego papieru kilka wyrazów:

„Oddalonemu — słowa zachęty i szczerzej życziwości.

J.....“

Dziwny ten liścik włożyła w kopertę, zapatrzyła w adres — i zadzwoniła na służącą.

— Proszę to oddać na pocztę.... zaraz.

Wzięła parasolkę i udała się na przechadzkę w głąb ogrodu. I dopiero teraz spostrzegła, że marmurowe posążki białych Amorków i Nymf kąpią się w słońcu, jak urocze wizye piękna; fontanny szeleszczą srebrzystymi dźwiękami; motyle promieniste trzepocą się w słońcu, a kwiaty promienieją przedziwnymi barwami i wyziewają woń uroczą.... Spostrzegła, że świat jest piękny, a miejsce, w którym się znajdowała, nieomal — kawałkiem raj.

V.

Rzeka Missouri jest jedną z najwspanialszych i największych w północnej Ameryce i na świecie.

Wielką rzeką zwali ją Indyanie.... Szeroką falą rwie ona przez lądy amerykańskie aż do połączenia się ze swą równie potężną siostrzycą Mississippi.

Wybrzeża tej olbrzymiej rzeki przedziwnie są piękne....

Przed okiem zdumionego podróżnika, płynącego parowcem po rzece Missouri, rozwija się panorama niesłychanego bogactwa roślinnego.... Widząc ją, niepodobna prawie uwierzyć, iż po za masami zieleni splecionej, piętrzącej się wysoko, jak kolosalny las dziewiczy, znajdują się miasta, osady i farmy, że żyją tam ludzie cywilizowani, korzystający z wszelkich współczesnych komfortów i zdobywszy wiedzy, pracujący w kantorach, bankach, sklepach, fabrykach, uprawiający rolę machinami najnowszej konstrukcyi, politykujący i bawiący się.

Do wspaniałości sceneryi nadbrzeżnej przyczynia się mnóstwo kęp i wysepek rozrzuconych po rzece. Nurt Missouri rwie zuchwale — i nie oszczędza swych wybrzeży.

Gdy przyjdą wylewy wiosenne lub letnie, trudno się nieraz poznać z owemi wysepkami i wybrzeżami. Nikną całe kawały lądu i lasu dziewiczego; gdzie była fala, wyrastają piaszczyste kępy; tworzą się nowe kanały i zatoki.

Są jednak i wysepki, trwające lata bez zmiany.

Przeważnie są one niezamieszkałe....

Wysepki takie leżą nieraz pomiędzy dwoma Stanami — i najczęściej przez lata całe niewiadomo, dokąd właściwie należą. Nikt się o to nie procesuje, bo i komuż jaką wartość przedstawia kawał ziemi, gąszczem nieprzebytym zarosłej i na pół w rzece utopionej, którą jutro lub pojutrze jakiś kataklizm zupełnie zatopić i zniszczyć może. Jedynymi mieszkańcami tych wysepek, otoczonych sitowiem, są roje nieprzebrane ptactwa błotnego, szczury wodne, niekiedy dzikie koty i wilki.... Za tą zwierzyną zapędzi się tu chyba od czasu do czasu jakaś partya myśliwców.

Nie wszystkie zresztą wysepki tak są bezludne....

Niekiedy z ponad stuletnich drzew ukazują się tu i owdzie dymy białe — i jak mdłe chmurki, rozpływają się po błękiecie niebios. To znak, że na tej lub tamtej wysepce obozuje gromada „tramps'ów” (włóczęgów), a może i banda rabusiów....

Opowiadają też i o dziwakach, którzy pobudowali sobie chałupki w tych chaszczach i żyją tam samotni. Czy to jednak nie bajki?

Jedną z takich wysepek nieco większych, trwalszych i ciekawszych była wysepka zwana „Cat Island” (Kocia wyspa), położona o mil kilka na północ od dość zamożnego, 60tysięcznego miasta St. Joseph, Mo.

Jak widzimy, posiadała ona nazwisko, co więcej — miała i swą własną historję.

„Cat Island” nazwano ją niegdy, przed laty, dla ogromnej obfitości dzikich kotów, jakie się na niej rozrodziły.... W owym czasie odbywano wyprawy myśliwskie na ową zwierzynę; ale gdy podczas jednej z wypraw, dzikie zwierzęta zagryzły w ostepie dwóch strzelców, dano pokój polowaniom. W kilka lat potem i koty wyniosły się z wyspy. Wypędzili ich ludzie. Osiedliła się tutaj, jak się o tem dopiero w lat parę przekonano, słynna banda „Jima” Boltona, będąca postrachem dyliżansów i pociągów kolejowych na dalekim Zachodzie.... I ona tu trwała niedługo. Szeryf sąsiedniego powiatu odbył wyprawę na zbójców, stoczył z bandytami regularną niemal bitwę — i wystrzelawszy ich prawie co do nogi, wysepkę opróżnił.

Odtąd nikt tam już nie mieszkał.

Niewiadomo z kąd się wzięła i rozeszła po okolicach legenda o krwawych cieniach pomordowanych zbójców, które miały się ukazywać w gąszczach wysepki. Mówiono także, iż rozrodziły się tam bardzo węże. To odstraszało od odwiedzania przeklętej wysepki nawet ciekawych turystów, nawet zwolenników piknikowych wycieczek.

A jednak „Cat Island” (czego się nikt nie domyślał) miała mieszkańców. Byli to: starzec i młode dziewczę, głuchoniemy Murzyn — i wielki pies.

Murzyn i pies mieszkali tam stale, starzec i dziewczę przebywali tam od czasu do czasu.

Wysepkę od zarośli wybrzeża oddzielał niezbyt szeroki, cały sitowiem zarośnięty kanał. Otóż przez ten kanał przemykała się niekiedy, najczęściej o zmroku wieczornym, lekka łódź, wioząc jedną lub więcej osób. Znajdowała ona przystań pośród korzeni wielkich drzew, zwieszających masę swej roślinności ku ziemi. Od owej przystani, ścieżką ledwie widomą, poprzecinaną wyrwami i odłamami skał, istnym Labiryntem, w kilkanaście minut dochodziło się do niewielkiej polanki, będącej właśnie siedliskiem ludzkich istot.

V.

Pośród polanki stał dom z kłoców, raczej blokhauz; był on widocznie zbudowany dość dawno, a nawet widniały na nim ślady uzupełnień i przebudowań; w głębi stały jeszcze jakieś mniejsze budyneczki, a obok — ogródek dość starannie utrzymany.

Zachodziło słońce....

Na kłocu drzewa u wejścia do chałupki siedział Murzyn stary, brzydki, nieco garbaty, istny Quasimodo. Drzemał on na pół.... Do koła niego uwijał się wielki, czarny pies, zlekka od czasu do czasu poszczekując.

W tej chwili skrzypnęły drzwi blokhauzu.

Ukazała się w nich uroczą postać. Było to młode dziewczę lat może 17tu, blondynka o

włosach złocisto-słomianej barwy i drobniutkich, śliczniutkich rysach twarzy.... Oczy jej błękitne kryły się wstydliwie pod prześlicznymi dużymi rzęsami....

Ukazanie się dziewczęcia odrazu obudziło Murzyna. Wstał pośpiesznie i czekał rozkazu. Pies rzucił się do swojej pani—i łasił się natrętnie. Aż odpędzić go musiała.

— Precz, Zbój! — wołała po polsku — precz z łapami!

Następnie zwróciła się do Murzyna i coś pokazywała mu na migi. Zrozumiał i poszedł za nią....

We wnętrzu blokhausu panował już nieomal zmrok.

Ustąpił on wkrótce, gdy zaraz u wejścia Murzyn zapalił wiszącą u ściany lampę naftową. I dopiero przy jej świetle można było dostrzedz, że wewnątrz ten dom z kłoców był urządzone prawie z komfortem.... Było tu coś więcej, niż komfort, bo miejscami nieomal — przepych.... Zresztą widniały i różne braki.

W ogóle było to wszystko bardzo niejednolite, a przytem — bardzo oryginalne.

Sień np., do której się najpierw wchodziło, była dość obszerna, ale niebielona i bez wewnętrznego oszalowania; ale za to znajdował się tutaj wspaniałe przyrząd do zawieszania odzieży, z wielkim lustrem, bronzami i złoceniami, obok zaś kilka krzeseł stylowych, rzeźbionych....

Dwie duże lampy naftowe oświetlały ten niby przedpokój.

Dwoje prostych drewnianych drzwi prowadziło w bok, na prawo do legowiska Murzy-
na i psa, na lewo — do kuchni i jadalni.

Wprost znajdowały się szerokie drzwi, zasłonięte ciężką turecką kotarą.... Po za tą zasłoną otwierał się oryginalny widok. Był to największy w tym domku pokój, a urządzono go niejako na wzór namiotu tureckiego. Ściany były tu oszalowane i wybielone, przybrane gustownie materią wzorzystą; sufit safianem wybity, a od sufitu zwieszał się brązowy kandelabr o szklach różnobarwnych. Dwie duże sofy tureckie, parę niskich krzeseł wyściełanych, trzy stoliczki niskie, zbiór fajek na ścianie, rodzaj gablotki ze szkłem i świecidłami, wreszcie dwa nieuniknione nowożytnie *rocking chairs* (kolebacze) — oto i całe umeblowanie tego oryginalnego pokoju. Na stołach porzucane były gazety, książki i nuty, leżały nawet skrzypce; wreszcie na jednym ze stolików widniała na pół opróżniona butelka whiskey i kieliszek.

Przy tym stoliku kołysał się w fotelu bujającym człowiek lat pięćdziesięciu kilku, o twarzy czerwonej, siwych wąsach i takiejże brodzie.

Był to Morski, inaczej Miller.

Tak jest — to jego znajdujemy w tem nie-

zwykłym otoczeniu.... To on, uciekając przed jakimiś niebezpieczeństwami czy też postrachami z New Orleans i pragnąc ukryć się choćby na krańcach świata, odnalazł przed 19tu laty, właśnie po wytrzebieniu zbójców z bandy owego „Jima” Boltona przez ludzi szeryfa — ową wysepkę — i tu się osiedlił. Przez pierwsze miesiące nie oddalał się ztąd wcale; żył, jak pustelnik, w ruinie z kłoców, którą tu po sobie pozostawili rabusie z bandy krwawego „Jima”.... Później zaczął się wychylać na świat. Przemieszkiwał od czasu do czasu to w St. Joseph, Mo., to w Kansas City, to w innych miastach.... Z jednej z takich wycieczek sprowadził sobie głuchoniemego Murzyna. Ten stał się odtąd stałym mieszkańcem tej sadyby, kucharzem, budowniczym, gospodarzem, dostawcą żywności — wszystkim. Później znalazł się i pies, jakiś zapewne przodek Zbója, który przed chwilą tak zapamiętale łaścił się do młodego dziewczęcia. Wreszcie pewnego razu z dłuższej, bo coś z półrocznej wycieczki Morski przywiózł ze sobą niemowlę, dziewczynkę.

Głuchoniemy Murzyn oczy szeroko, jak wrota, otworzył na ten widok.

Nic nie pomogło. Do dotychczasowych swoich obowiązków musiał dołączyć jeszcze jeden: niańki.... Mamką stała się koza, którą zkadś sprokurował głuchoniemy. I dzieciątko wychowało się jakoś cudem Bożym w tej pu-

stelni. Gdy doszło do lat 5ciu, wyniósł je znowu gdzieś stary Morski, zapewne na wychowanie i wykształcenie pomiędzy ludzi.

Na nowo zawitało dziewczątko na wyspę bezludną, dopiero, jako pannica 15letnia, piękna, wesoła i dobrze rozwinięta.

Na dłuższy czas zamieszkała teraz z Morskim, którego nazywała „tatką” — i w owej to epoce, za jej sprawą, nastąpiła istna rewolucya w domku z kłoców. Ona kazała przerebować to brzydactwo na coś bardzo oryginalnego. Podług jej gustu został urządzony ten, jak go nazywała „turecki parlor” i jej sypialnia, przeszliczne dziewicze gniazdko — i inne pokoiki. Kosztowało to ogromnie dużo trudu: trzeba było potajemnie zwozić różne meble i graty, sam Morski i Murzyn musieli być murarzami i tapicerami, ale te wszystkie trudności były niczem: „Sarenka” (takim przezwiskiem wołał ją stary) kazała — wszyscy musieli słuchać...

Od owego czasu zresztą ani ona ani stary Morski nie mieszkali tu stale. „Sarenka” całe miesiące pozostawała na pensyi panien w Kansas City, Mo., gdzie poprzednio ukończyła wykształcenie; Morski podróżował.

Przybywali na wyspę tylko w lecie, niejako na wakacye.

Morski z początku tylko uważał „Cat Island” za kryjówkę. Od lat już czuł się bezpiecznym i włóczył się po świecie; zachowywał

zresztą dawną siedzibę i pozory tajemniczości przez przyzwyczajenie. Co więcej, wywie-dziawszy się, czyją nominalną własność stano-wił ten nieużyteczny nikomu szmat ziemi, ku-pił go po cichu, a za tanie pieniądze od właściciela — i w razie, gdyby mu kiedykolwiek chciano czynić jakieś kwestye co do prawa za-jęcia wyspy, mógłby się wykazać — najpra-wniejszym w świecie tytułem posiadania.

„Sarenka” stanowiła jedną z jego pociech.

Było to dziewczę dobre i miłe, chociaż z główką trochę po amerykańsku przewróconą. Samodzielną była bardzo. Starego Morskie-go, „tatka” swego, kochała ogromnie, a pie-ściła go razem i mustrowała, jak dziecko.

On, zawsze szorstki i gniewny, przed nią miękki był, jak wosk.

Jednego tylko nie mogła na nim wymódz, aby przestał pić.... Kazania mu nieraz pra-wiła z tego powodu, kłócili się o to: nic to nie pomagało. Najwyżej, gdy go bardzo przycisnęła do muru, znikał nagle i nie pokazywał się przez całe miesiące.

I w chwili, gdy „Sarenka” weszła do tu-reckiego „parloru”, stary Morski znajdował się już pod wpływem trunku.

Twarz miał, jak gdyby w płomieniach; oczy przymknięte. Marmotał coś pod nosem — i w kącie pokazywał palcem.... A gdy za-błysło światło lamp, zapalonych przez Murzy-

na, podniósł się nagle na fotelu, wyprostował — i zawołał wielkim głosem:

— Co to?

Ale „Sarenka” już stała przy nim.... Położyła mu pieścotliwie małą rączkę na czoło — i uspakajała:

— Nic....nic.... ty, stary krzykaczu, tatku niegodziwy.

Powoli uspokoił się, opadł znów w fotel — i tylko dość ciężko dyszał. Ona gładziła go wciąż po głowie — i mówiła:

— Widzisz.... znów piłeś za dużo.... Znów masz przywidzenia. Do czego to podobne? Wziąć tamto?

I wskazała na butelkę z wódką.

— Nie! — odrzekł Morski i na twarzy jego wybił się gniew.

Ona znów pieściła go i prosiła. Ale on aż się uniósł.... Tupnął nogą — i krzyknął brutalnie:

— Dość tego... Chcę pić jeszcze. To mi gasi ten piekielny ogień w żołądku.... Nalej mi jeszcze i idź sobie precz!

Dziewczynka umilkła i posmutniała. Zrobiła, co kazał — i usunęła się na bok. Stary wypił kieliszek whiskey i znów legł w fotelu nieruchomy....

Serce małej Amerykanki buntowało się przeciw podobnemu traktowaniu jej choćby

przez najukochańszego „tatkę”. Przecież ona jest *lady*..... Wprawdzie on otacza ją dostatkami, czyni zadość wszelkim jej kaprysom, ale dla czego ją i siebie taką okrywa tajemniczością, dla czego nic nie powie nigdy o jej matce, dla czego traktuje ją czasem, jak niewolnicę? Wszakże ona, gdyby o to szło, mogłaby sama zarobić sobie na życie.... Miss Hunter (właścicielka pensyi w Kansas City, Mo.) mówiła nieraz, że gotowa jej dać w każdej chwili miejsce nauczycielki.

Myśli podobne już parę razy, w podobnych okazyach, przychodziły do głowy „Sarence”, ale prędko ulatniały się.... W gruncie rzeczy była to wielka trzpiotka.

I teraz szybko gniew ustąpił.

Stary Morski, po chwili milczenia, odezwał się:

— „Sarenko”! Co robisz?

— Nic.

— Chodź ino tutaj.....

Zbliżyła się, a on wziął ją na kolana — i ucałował jej rękę.... Wzdrygała się jeszcze trochę, mówiąc: „fe... fe... wódka od tatula śmierdzi”, — ale w końcu dała się przebłagać.

— Zagraj mi co.... — rzekł wreszcie.

Zeskoczyła z jego kolan i wzięła skrzypce. Naumyślnie nauczyła się grać na tym instrumencie, gdy się pokazało, że fortepianu na wyspę sprowadzić nie było podobna.... Zagrała

mu jakąś melodyę smutną i rzewną, a chwila-
mi buntującą się dziko; zdawałoby się, iż wy-
lewa z serca resztę goryczy, którą ją napoiło
przed chwilą postępowanie ojca.

Morski słuchał przez chwilę w milczeniu,
aż wreszcie zachnął się na nowo.

— Dość... dość tego! — zawołał — Zwa-
ryować od tej muzyki można... Czy dyabeł
w twoich tam skrzypcach siedzi, że tak jęczy?..

Urwała nagle i skrzypce upadły jej na dy-
wan, pokrywający podłogę.

Znów przez chwilę trwało niezręczne mil-
czenie; Morski znów je przerwał:

— Przeczytaj mi co lepiej... — rzekł.

— Po angielsku?

— Nie... po polsku. Tam na stole leży
numer „Czerwonej Jutrznii”. Podłe pismo...
anarchistyczne, ale czasami bywa zabawne.

Gazety polsko-amerykańskie, których
Morski pliki całe odbierał na poczcie w St. Jo-
seph, Mo., były drugim, po dawniejszych wi-
zytach nowojorskich, łącznikiem jego z Polonią
amerykańską. Przez nie wiedział, co się śród
Polaków działo — i szczerze nieraz śmiał się z
ich, jak ją nazywał, „głupoty”.

„Sarenka” wzięła gazetę i zaczęła czytać.

Czytała płynnie, choć z akcentem cudzo-
ziemskim, zwykłym bardzo u Polaków, urodzo-
nych w Ameryce i wychowanych między ob-
cymi. Akcent ten zachowała, pomimo gorli-

wego oddawania się nauce języka polskiego i pomimo licznych lekcyj, udzielanych jej specjalnie przez jakiegoś emigranta profesora z Polski, który dziwnym trafem zabłąkał się do Kansas City. Swoją drogą ten akcent obcy nadawał głosowi „Sarenki” wdzięk duży.

Czytała rzeczy, które ją wcale nie obchodziły: kłótnie rynsztokowe, plotki i potwarze na księży, deklamacye anarchistyczne, pozbawione sensu, korespondencye, wiadomości o rozruchach parafialnych, przedruki ztąd i zowąd pochwytnane bez ładu i bez krytyki — słowem to wszystko, co stanowi, na nieszczęście, treść niektórych szpargałów w Ameryce.

Stary słuchał w milczeniu.... Chrząkał tylko od czasu do czasu — i podśmiewywał się.

Naraz „Sarenka” figlarnie zawołała:

— Acha, coś tutaj ciekawszego.... Portret jakiegoś ładnego chłopca.... Jak Bożę kocham, przystojny!

— No.... czytaj.... czytaj.

Zaczęła czytać. Był to znów artykuł o Homiczu, przetłumaczony z jednej z gazet angielskich i opatrzony ryciną od niej pożyczoną. Tego artykułu stary Morski nie słuchał już spokojnie. Kręcił się w fotelu — i co chwila to przerywał jakimiś wykrzyknikami. Gdy zaś „Sarenka” doszła do zakończenia artykułu, gdzie wymieniony był chicagoski adres Szczepana, porwał się z fotelu.

— Ach, ach! — zawołał głośno, a po chwili dodał już spokojniejszym tonem — I mówisz, że tam jest portret?

— Tak....

Wyrwał jej z rąk gazetę — i przez chwilę przyglądał się wizerunkowi.

Widocznie już wytrzeźwiał....

— A no, moja dziewczyno — rzekł wreszcie — dziś, zaraz musimy ztąd wyjechać. Wybieraj się w drogę.

Podziw wybił się na twarzy „Sarenki”, podziw i niezadowolenie. Zkąd? co? jak? — taka nagła decyzja? Wszakże przybyli tu za ledwo przed trzema dniami i obiecywali spędzić w tem ustroniu jakie pięć lub sześć tygodni. Umyślnie odmówiła udziału w jakiejś wycieczce do koleżanki na wieś, wymyśliła nawet specjalne kłamstewko, ażeby tę odmowę usprawiedliwić.... Tak liczyła na dobrą, serdeczną zabawę ze starym „tatką” i z brytanem Zbójem.

Tymczasem wszystko stracone; trzeba wracać do miasta.

— Tatku.... — zaczęła.

Ale stary ani chciał słyszeć. Uszy zatknął — i pochylając się nieco na krótszej, kulawej nodze, prawą tupął gwałtownie.

— Nie.... nie.... nie chcę słuchać, nie mogę słuchać. Czasu nie mam. Interes, nagły i niespodziewany interes zmusza mnie do

wyjazdu. Od tego zależy wszystko: życie moje — i twoja przyszłość.

Biedna „Sarenka” już nie nalegała.... spuściła tylko głowę, jak lilia uwiędła — i przystąpiła do porządkowania swych pakuneczków.

W pół godziny potem, pod sklepieniami drzew, zwieszających się nad wodą, ślizgała się w ciemności łódź cicho; pluskała fala od uderzeń wiosła; a w łodzi odzywał się ledwo dosłyszalny szept:

— Tateczku, tateczku — szeptała żałośliwie „Sarenka“ — obiecałeś mi tym razem powiedzieć wszystko... o mateczce... o tobie, dla czego mieszkasz w tem odludziu... dla czego ciągle podróżujesz... co ze mną będzie? Obiecałeś — i nie dotrzymałeś. Uciekasz znów w świat.... daleko.

Morski odpowiedział głosem przyciszonym:

— Ciszej, dziecino.... Powiem ci to przyszłym razem, stanowczo, ostatecznie.

— I kiedy to będzie?

— Bo ja wiem....

Przeciągły, cichy pocałunek zakończył tę rozmowę. Oczy Morskiego tym razem na prawdę wezbrały — łzami.

VI.

Wycinek z gazety chicagoskiej „Herald” z dnia 12 września:

„....Wczoraj późnym wieczorem w znanej szulerni „Mike Flattersa“ na State ul. zdarzył się

wypadek, który raz jeszcze wykazuje jak na dłoni, jakie skutki pociąga za sobą fatalna namiętność gry.

Każdy obywatel miasta Chicago zna ten zakład, a raczej jaskinię zbójecką, której wrota (dzięki występnej tolerancji naszej policyi) na roście są otwarte dla każdego młodzieńca i starca, gdzie grają we wszystko, począwszy od zwyczajnego pokra i bakkarata, do rulety, koni wyścigowych itd. itd.

Od pewnego czasu jednym z krupierów w sali B. tego zakładu szulerskiego był niejaki John Dix, człowiek już niemłody, jak przypuszczano, szuler profesyjny ze Wschodu.

Był on zupełnie w porządku, o ile w porządku może być człowiek podobnej profesji.

Otóż wczoraj o godz. w pół do 11ej prowadził on, razem z jednym ze swych towarzyszków, niejakim „Funny Harry“ małą ruletkę; jednym z zapamiętalszych graczy przy jego stole był stary, wysocki, kulawy jegomość, który już od godziny tracił tam spore sumki. Pił on dużo whisky — i był widocznie w stanie mocnego podniecenia. Przegrawszy kilkanaście lub kilkadziesiąt dolarów, coraz wyjmował, z grubo naładowanego pugilaresu, nową garść banknotów.

Zauważył to widocznie John Dix — i razem z drugim osnuł pewien plan.

Gdy po raz już piąty ów jegomość otworzył pugilares, ażeby wydobyć zeń pieniądze, krupier niby niechęć, zdejmując żetony z miejsc, potra-

cił go silnie w rękę.... Pugilares upadł. Pomo-
cnik Dix'a „Funny Harry“ schylił się, aby go pod-
nieść, a Dix, pochylony pod stół, przeproszał sta-
rego jegomości.... Co i jak się stało dalej? — nie-
wiadomo.... Dość, że stary jegomość nie był je-
szcze dość pijany, ażeby nie spostrzedz, że został
okradziony. Zajrzał do pugilaresu.

Nagle podniósł się — i krzyknął na cały głos:
— Jestem okradziony.... tu brak 100dola-
rówki!

Zrobił się tumult.

John Dix, jakby go to zajście wcale nie
nie obchodziło, prowadził dalej grę. Nie on wszak-
że podniósł pugilares.... Podejrzanie starego je-
gomości, który widocznie nie po raz pierwszy był
w podobnem otoczeniu i w podobnych tarapatach,
zwróciło się najpierw ku pomocnikowi krupiera, ale
gdy ten głośno wyparł się wszystkiego i prosił o
natychmiastowe zrewidowanie go, ażeby się można
było przekonać, że nietylko studolarówki, ale na-
wet pięciu dolarów przy sobie nie ma; — podejrze-
nia poszkodowanego odrazu zwróciły się do Dix'a.

Jak później zeznał, ujrzał on znaczące spoj-
rzenie, szybko zamienione pomiędzy dwoma ludźmi,

— Ty, łotrze — rzekł do Dix'a — masz moje
pieniądze....

I silną dłońią wywłókł go z poza stołu.

Dix głośno protestował; awantura przybierała
groźne rozmiary. Przybyli inni krupierzy i posłu-
gacze szulerni i chcieli wyrwać Dix'a z rąk rozju-

szonogo starca, ale ten, obdarzony dużą siłą, nie puszczał swej ofiary.

— On ma moje sto dolarów... ma! do kroćset tysięcy szatanów! — wołał głośno — dajcie mi go zrewidować, a zaraz się to pokaże!

I literalnie dusił krupiera.

Ten ostatni zdołał się wreszcie wysunąć z rąk napastnika, ale położenie jego nie było przez to lepsze. Wprawdzie starego jegomości, który się rwał do niego, przytrzymywali teraz posługacze szulerni, ale za to tłum rozgorączkowanych graczy wziął stronę poszkodowanego,

— Zrewidować go! zrewidować! — wołano.

Stary jegomość ze swej strony dolewał oliwy ognia.

— Tak... zrewidować! — krzyczał — To niebezpieczny, przekłety łotr... poznałem go dopiero w tej chwili. Wiem, wiem, co za jeden.

I wyrwał się znów z rąk krupierów.

To, co nastąpiło, trwało jedno mgnienie oka tak, że nikt ani zorientować się ani zapobiedz temu nie był w stanie... Krupier Dix niespodziewanie wy dobył rewolwer i strzelił. Stary jegomość został trafiony. Tymczasem Dix, grożąc rewolwerem, przebił sobie drogę pomiędzy graczami do okna w rogu sali — i wyskoczył tamtędy.

W zamieszaniu nikt nie pomyślał o ściganiu łotra.

Przybyły lekarz opatrzył ranę starego jegomości. Pokazało się, że nie jest ona groźna. Raniiony znajduje się w szpitalu.

Jest on zresztą w bardzo złem usposobieniu.

Początkowo nie chciał wcale powiedzieć swego nazwiska.... Później przyznał, że się nazywa Ludwik Morski i jest bogatym farmerem z Missou-ri. Co do słów, które mu się wyrwały, a które zdawałyby się wskazywać, iż poznał w Dixie jakiegoś niebezpiecznego złoczyńcę, tych wprost wyparł się.

Sprawa ta ma pewne cechy tajemniczości ... Dix jest poszukiwanym przez policję. „Funny Harry“ został aresztowany.“

Wycinek z tejże gazety z dnia następnego:

„....Ofiara zamachu ze strony krupiera Dix, farmer Morski, ma się lepiej. Kulę mu wyjęto.

Sprawy zamachu dotąd nie przytrzymano.

Pokazuje się istotnie, że był to niebezpieczny ptaszek.... Właściwe nazwisko jego jest Bolo L. Kaliski. Był już skazany na długoletnie więzienie w Stanie Pennsylvania.

Charakterystycznym jest, że nazwiska obu aktorów tej sprawy kończą się na „ski“. Są to Polacy czy też Żydzi....“

Do tych dwóch notatek gazety chicagowskiej dodać należy słów parę.

Scena strzelaniny w „gamblerii“ odbyła się na trzeci dzień po wyjeździe Morskiego z wysepki „Cat Island“. Przybył on do Chicago, a nie zastawszy w domu Homicza, chwile oczekiwania skracał sobie kartami i wódką w szulerni.

Tam go właśnie spotkała niemiła przygoda.

Co do Kaliskiego (który teraz był już zmuszonym porzucić pseudonim Dix'a), temu jeszcze raz udało się uniknąć sprawiedliwości... Wyskoczywszy z okna, znalazł się na jakimś daszku, a ztąd zbiegł na dół po szczeblach t. z. *fire escape*.... Znalazł się w chwil parę w ciemnym zaułku, a wybiegłszy ztamtąd, wziął pierwszy lepszy tramwaj, idący ku granicom miasta.

Dodać trzeba, że uciekając z „gamblerni”, był tyle przezornym, iż porwał będący pod ręką kapelusz jakiegoś gracza.

Noc przepędził na ławce w parku podmiejskim, a nazajutrz rano wędrował już w świat. Szedł pieszo — i zakradał się do wagonów kolejowych....

Po pięciu dniach takiej podróży widzimy go przybywającego w wagonie towarowym do St. Joseph, Mo. Wyglądał brudny, oberwany, jak szczerzy, prawdziwy „tramp”.

VII.

Jeszcze urywki z pamiętnika Szczepana Homicza:

(D. 11go września). — Jestem szczęśliwy, jestem prawdziwie szczęśliwy.... Niebo dziś się przedemną roztwarło. Śpiewałbym i tańczył — i śmiałbym się, jak szalowiec. Dzień cały byłem, jak gdyby odurzony szczęściem. Spotkało mnie coś niesłychanego, coś tak dziwnego i nieprawdopodobnego, że prędzej przy-

puszczałbym, iż złote słońce w dłoń pochwycę, niżby się to zdarzyć mogło.

Mam list od niej.

Sześć słów zaledwo, ale w tych słowach mieści się cała zagadka mojego szczęścia.... Uśmiechają się mi one, jak sześć gwiazd promiennych; śpiewają hymny radosne i pieśni słodkie, jak srebrzyste trele słowika. W nich wszystko moje — życie moje.

List bez podpisu: tylko pierwsza litera imienia i kropki.

Ale w każdej z tych kropek czuć uderzenie jej serca szlachetnego i miłosiernego, serce, które przebacza mi moją zbrodnię.... Zachętę mi śle swoją i życzliwość. To znaczy, że już się nie gniewa na mnie.... Pierwsza odzywa się do mnie; to dowód, że naszej rozłące, którą sama nakazała, kiedyś nastąpić musi koniec.

Powiada mi tym króciutkim listem: — Nie nienawidzę cię! Nie złorzeczę ci! Życiem twojem interesuję się!

Jeszcze jeden krok — i pozwoli mi stanąć w obec siebie....

Czyżby nadzieja, którą mi uczynił Gryziński podczas mojej ostatniej w New Yorku bytności, miała nie być ani szaleństwem ani bluznierstwem?

.... Gadaliśmy długo; wyznałem mu wszystkie bez wyjątku moje troski.

Słuchał uważnie — i myślał długo, wreszcie rzekł:

— Znam ludzi i świat. . . . Możesz polegać na moim rachunku psychologicznym. biorąc wszystko na uwagę, przychodzę do wniosku, że ta młoda kobieta, jeśli cię jeszcze nie kocha, to kochać będzie.

Rzuciłem mu się na szyję, a on po chwili, uwolniwszy się od moich uścisków, ciągnął dalej:

— Tak jest. . . . wykazuje to prosty rachunek prawdopodobieństwa. O ile widzę z twego opowiadania, jest to istota szlachetna, idealistka czynu, entuzyastka, aż nazbyt egzaltowana. . . . Samo przedsięwzięcie przez nią wyprawy po za Ocean w celu rehabilitacyi czci ojca, niewątpliwie w ten lub inny sposób od lat prawie 20 nie żyjącego, samo uparte trwanie przy tej sprawie przez lata jest dowodem — niezwykłej energii, ale i niezwykłej egzaltacyi. Pomyśl, czy panienka o zwykłym, codziennem usposobieniu, z mieszczańskiej bądź co bądź pochodząca sfery, zrobiłaby coś podobnego? Płakałaby, martwiła się, a w najgorszym razie cofnęłaby się od świata i ludzi, zostałaby może zakonnicą, ale nigdyby nie pomyślała o czynie, o wyprawie do Ameryki. . . .

— Przypuśćmy. . . . Cóż ztąd? — przerwałem mu.

— To, że ta jej egzaltacya, to głębokie

poczucie wszystkiego, co szlachetne i wrażliwość na każde poświęcenie, były właśnie najlepszymi obrońcami twojej sprawy w obec jej serduszka. Pomyśl: dwa razy ocaliłeś jej życie, tuzinami całymi można liczyć twoje dla niej poświęcenia; wreszcie na jeden jej rozkaz idziesz w świat, jak przestępca, skazany na wygnanie, bez słowa protestu, z rezygnacją niewolnika, pomimo bezgranicznej dla niej miłości, która przecież nie jest jej żadną tajemnicą.... Idziesz i w niecałych lat trzy zdobywasz, pchany rozpaczą czy jakąś nieokreśloną nadzieją — rzecz mniejsza! — fortunę i rozgłos.... Pomyśl i zastanów się, czy to na jej serce wrażliwe i szlachetne nie powinno oddziaływać.... czy nie powinno wywołać najgłębszego wrażenia?

Powtarzam tu słowa Gryzińskiego. Istotnie ja sam, do tego czasu, nigdy jeszcze nie pomyślałem o niczem podobnem.

— I nie biorę tu jeszcze w rachubę zalet twoich osobistych — ciągnął dalej Gryziński — bo przecież do kroćset stutysięcy fur beczek jesteś, bądź co bądź, chłopiec, jak malowanie (Roześmiałem się na ten sąd przesadny). — Co do mnie, jestem solennie przekonany, że już podczas waszego ostatniego widzenia w parowie, żywiła dla ciebie jakieś gorętsze, może zresztą nieświadome uczucie.

— Czemuż mi tedy kazała iść precz?

— Dla tego właśnie, że cię kochała.... ty.... wielki żółtodzióbku w sprawach miłości! — zaśmiał się głośno Gryziński.

Kazałem dać drugą butelkę wina (znajdowaliśmy się w restauracyi hotelowej) — i począłem stawiać nowe zarzuty i kwestye. Wspomniałem o pierwszym narzeczonym Jadwigi, Konradzie Felsensteinie. Ale Gryzińskiego tem wcale nie stropiłem.

— Nie myśl o nim — rzekł — tak jak ona już od lat czterech nie myśli.... Było to uczucie pierwsze, przelotne, miraż uczucia raczej. W innych warunkach skleiłaby się ztąd miłość spokojna, beznamiętna, wystarczająca na całe życie dla dwojga istot dobrych i rozumnych. Pod wpływem fatalnego wypadku prysło to wszystko i nie pozostawiło śladu.... u niej przynajmniej. Czy słyszałeś kiedy, ażeby ona o nim wspominała?

— Nie....

— Otóż widzisz.... Sąd mój tedy jest krótki i ostateczny. Jeśli odpychała ciebie dotąd, jeśli nie chciała ci żadnej dać nadziei, główną tego przyczyną jest to, iż jej egzaltowana główka uroiła sobie, jako pierwszy i najgłówniejszy obowiązek — załatwienie tej sprawy ojca.... Dopóki z tem nie dojdzie do jakiegoś rezultatu, dopóty ciągle nie będzie uważała się za wolną i uprawnioną do rozporządzenia sobą według własnej woli, do pójścia za

głosem własnego uczucia.... Egzaltacya! egzaltacya!

Tu Gryziński urwał.... Przez dłuższą chwilę dumał o czemś, aż wreszcie rzekł powoli:

— Chociaż właśnie w tem może być twoja szansa....

— Mów, mów, na miłość Boga! — zawołałem — Jaka szansa?

— Bardzo prosta.... Przyczyni się ty do rozwiązania tej ponurej zagadki jej życia; rozplącz węzły jej tajemnicy — i przyjdź do niej z owem rozwiązaniem, a przekonasz się, nie będzie wtedy mowy o dawnym, zresztą przedawnionym już dzisiaj zakazie oglądania jej oblicza. Z wdzięczności przyjmie cię z otwartemi rękoma, — ba! — taka entuzyastka gotowa sobie nawet odrazu wyrozumować, że obowiązek czy tam Opatrzność każe jej wynagrodzić bohatera, który spełnił wielkie dzieło, własną jej prześliczną osóbką...

Gryziński mówił na pół żartobliwie. Pomimo to przed mojami oczyma otwierały się nowe, dotąd niewidziane horyzonty.

— I jakże to zrobić? — zapytałem.

Gryziński uśmiechnął się.

— Acha, podobała ci się kombinacya!... Jak zrobić? To tak odrazu powiedzieć trudno.... Sprawę należy zbadać do gruntu, zobaczyć, co w niej jest. A do rozwikłania jej

ty właśnie masz wszystkie szanse: niepospolitą energię, inteligencyę, a przede wszystkim pieniądze... W Ameryce pieniądze to wszystko. Powiadasz mi, że jesteś wart w tej chwili, nie licząc nadziei na przyszłość, coś około 150 tysięcy dolarów. Otóż, czy gotów jesteś trzecią część tej sumy poświęcić na kosztą tej sprawy?

— Wszystko, jeśli potrzeba...

— A więc sprawa jest prosta: Idź pomiędzy specjalistów, którzy bawią się odgadywaniem najzawilszych tajemnic — i płać. Dawaj wskazówki — i płać! Nie cofaj się przed żadnym wydatkiem. A tajemnicę ziemi wydrzesz, jeśli jest w ziemi, powietrzu — jeśli się pod chmurami ukryła....

— Ależ ona już prawie od trzech lat zatrudnia tym interesem agencję detektywów Foxa i Goggina w New Orleans i nic ztąd....

— O, to nie argument — odpowiedział mi Gryziński — Widzisz, w Ameryce, detektywi prywatni i ich agencye rosna, jak grzyby po deszczu.... To też są agencye i agencye; są detektywi i partacze.... Zdarzają się agencye, stanowiące potęgę policyjną i obracające milionami; są i agencye do niczego lub gorzej, wprost oszukańcze.... I kto mi zaręczy, że właśnie ci pp. Fox i Goggin, którzy przez lat trzy potrafią od biednej dziewczyny wyciągać pieniądze, nic nie robiąc, nie są takimi oszustami?

Istotnie, zaczęło mi się to wydawać możebnem.

— I wiesz, co jabym na twojem miejscu zrobił? — ciągnął dalej Gryziński.

— Co?

— Najpierw, pojechałbym do New Orleans i postarałbym się poznać bliżej z owymi Foxem i Gogginem, a przede wszystkim wy-dostałbym od nich, w ten lub inny sposób, kopie raportów, składanych przez nich od lat trzech Jadwidze.... Jeśli to istotnie szubrawcy, zachód będzie żaden: kilkadziesiąt dolarów w zęby — i wydadzą ci wszystko bez gadania.

— Zrobię to.... — rzekłem — a następnie dopiero zobaczę.... postanowię.

Odpowiedź moja nie była stanowczą, a wynikało to ztąd, że po pierwszej chwili zapału dla projektu Gryzińskiego, nastąpiły mi się pewne wątpliwości: Czy właściwem będzie tak brutalnie mieszać się w jej interesa nieupoważnionemu? Czy szlachetnie byłoby liczyć nie na jej swobodne, niczem nieskrępowane uczucie, ale na obowiązkową niejako wdzięczność po oddaniu jej usługi? Czy nie byłby to raczej niegodny przymus moralny itd. itd? Wiedziałem dobrze, że na te kwestye odpowiedziałby mi zwycięzko „doktor”; ale jest w nim zawsze kawał sofisty.... Wolę to wszystko przemyśleć sam.

Powtórzyłem tedy Gryzińskiemu:

— Zobaczę i pomyślę.... A tymczasem mam do ciebie, doktorze, jedną prośbę.

— Sto.

— Czy w razie, gdybym się zdecydował rozpocząć akcyę, zgodziłbyś się mi w tem pomagać?

Stary potarł kilka razy łysinę ręką, wreszcie rzekł:

— A no, zgoda.... Mam teraz wprawdzie tu w New Yorku, jako adwokat, trochę polskiej, słowackiej i żydowskiej praktyki, ale — mniejsza o to. Idzie!

Podaliśmy sobie ręce na zgodę — i na tem się skończyło.

.... Umyślnie tak dokładnie zapisuję tę rozmowę z Gryzińskim, ona bowiem rozpoczyna, czuję to dobrze, nową w mojem życiu epokę. Istotnie uczyniłem, jak radził „dr.” — i wstąpiłem do New Orleans po kopie raportów Foxa i Goggina. Dostałem je bez trudu, za \$100 *cash*, co dowodzi chyba, że Gryziński sądził tych jegomościów trafnie.

Potem przez dni parę biłem się z myślami....

Wreszcie przyszedł dziś ten liścik od niej wonny, uroczy, w paru słowach tak serdeczny. Przyszedł i wlał mi w duszę nadzieję. Poznałem jej pismo odrazu.... W 10 minut po przybyciu tego listu, byłem zdecydowany.

— Będę działał! — rzekłem sam do siebie.
I wysłałem zaraz do New Yorku depeszę
następującą: „Dr. Gryziński. — Przyjeżdżaj natychmiast!”

Czekam go teraz z niecierpliwością.

(*Nazajutrz*). — Ubiłem dziś dobry interes. Jennings już od pewnego czasu proponował mi, ażebym mu odprzedał mój udział w naszej fabryce. Idzie ona wprawdzie świetnie, ale dla mnie sprzedaż jej bądź co bądź byłaby interesem. Mam na warsztacie parę nowych wynalazków i ulepszeń z dziedziny elektryczności. Otóż Jennings twierdzi, że korzystniejszym mi będzie poświęcać czas i pracę w tym kierunku.

— Tam są miliony! — woła z entuzjazmem.

I gotów jest brać udział czynem i kapitałem w eksploatacyi tych przyszłych wynalazków. Obiecuje nawet stworzyć w tym celu specjalne konsorcyum finansistów.

Dotąd nie decydowałem się....

Dziś, gdy potrzebuję mieć wolne ręce, przyszedłem do Jenningsa i powiedziałem mu:

— Idzie!

O mało co nie zwaryował z radości....
Jutro sporządzimy akt. Dziś zrobiliśmy obrachunek. Pokazało się, że na tej operacyi znów zarabiam 25,000 dolarów.

(*Jeszcze o dzień później*). — Opatrzność sama zaczyna czuwać nademną! Wolą Opa-

trżności jest widocznie, ażeby prawda po latach 20tu się wykryła, a krew niewinnego została pomszczoną.... i ażeby to wszystko stało się za mojem pośrednictwem.

Oto fakta:

Dziś rano czytałem przy kawie gazety angielskie — i oto naraz znajduję artykuł o krwawem zajściu w szulerni na State ulicy. Nazwisko jednej z osób, działających w tym dramacie, zkadś mi znajome. John Dix.... Boże! wszakże to pseudonim Kaliskiego. Uciekł...

Nie skończyłem jeszcze czytać artykułu, gdy wtem — dzwonek.

Po chwili służący wprowadza do mego gabinetu naczelnika mego chicagoskiego biura detektywów (*nb.* co do uczciwości i dzielności tego człowieka nie można mieć żadnej wątpliwości, to nie Fox ani Goggiu z New Orleans). Jest to jegomość o wyglądzie ministeryalnym, zawsze nadzwyczaj poważny....

Tym razem uśmiecha się do mnie. Musi mieć coś nadzwyczaj ważnego!

Istotnie.

Podaje mi gazetę z zakreślonym czerwonym ołówkiem artykułem, który dopiero co sam czytałem, — a nadto dużą kopertę. Na kopercie jest napis: „Brulion listu w języku niemieckim, znalezionego w mieszkaniu zbiegłego z Chicago krupiera Johna Dix’a (inaczej Bolo L. Kaliski).”

Rozrywam kopertę.

Przerzucam wzrokiem pokreślone, brudne kartki brulionu — i sam oczom swoim nie wierzę.....

List to niesłychanej dla mnie wagi!

Dowód to nieprzepłacony — i nieoszacowany. Zawiera on wszystko: i wymienione nazwisko sprawcy zbrodni z przed lat 20tu i przyznanie się Kaliskiego do zamachu na życie Jadwigi — i nawet wzmiankę o jakichś dowodach przeciw owemu baronowi Felsensteinowi, co do winy którego od czasu owego gwałtownego widzenia się z Kaliskim w hoteliku „Papy” Cummingsa, miałem moralne przeświadczenie.....

Na twarzy mojej musiało się wybić jasno jakieś wielkie uradowanie, bo aż mój poważny gość raczył się uśmiechnąć.

— Jest to istotnie majstersztyk jednego z naszych agentów — wycedził przez zęby.

Nie pytałem go o szczegóły, ale on sam uważał za właściwe udzielić mi parę słów objaśnienia.

— Wczoraj o godz. wpół do 11ej zdarzył się wypadek Kaliskiego; w 10 minut potem mieliśmy raport o tej sprawie w naszym biurze ... Widzi pan ztąd, jak czuwaliśmy nad pańskim człowiekiem. W pięć minut potem powstał plan zdobycia chociaż cząstki papierów zbiegłego złoczyńcy.... papierów, o któ-

re panu tak szło. Plan ten powziął jeden z naszych ludzi. Rzecz opierał na tem przypuszczeniu, iż John Dix *alias* Kaliski nie zechce w obecnych tarapatach powrócić do swego umeblowanego pokoju — i że policya, bądź co bądź, nie zna jego adresu. Plan ten — zresztą nie zawierający w sobie nic występnego — został wykonany i o godz. 5ej rano nasz agent był w posiadaniu tego brulionu.... Mniemam, że ma on dla pana pewną wagę!

Naturalnie! — przypuszczam.... To też głośno dziękowałem szefowi biura detektywów. Ponieważ zaś już teraz rozumiem dobrze, że w Ameryce wdzięczność mierzy się najłatwiej i najwłaściwiej dolarami, przeto wyjąłem z kieszeni moją książeczkę czekową i doręczyłem dzielnemu człowiekowi czek na \$300.

— To dla waszego biura — rzekłem.

— A to specjalne honorarium dla waszego detektywa — dodałem, doręczając mu oddzielnie trzy złote 20dolarówki.

Szef detektywów był olśniony.

Dziękował mi głośno i chciał już wychodzić.... We drzwiach jednak zatrzymał się — i zapytał:

— Czy pan życzy sobie wiedzieć, co się dalej dzieć będzie z Dixem-Kaliskim? Policya go wprawdzie poszukuje, ale czy kiedykolwiek znajdzie, można o tem wątpić.... Zresztą Kaliski na pewno umknął z miasta.

— O, tak — odrzekłem — Proszę go śle-
śledzić.... Chcę w każdym razie wiedzieć,
gdzie się podział i co robi.

Serdecznie żegnany, opuścił szef detekty-
wów mój gabinet.

Ja rzuciłem się znów do czytania listu Ka-
liskiego. Czytałem go dwa, trzy, pięć, dzie-
sięć razy....

Kiedyż nareszcie przyjedzie Gryziński?...

(*Nazajutrz*). — Całą noc dziś nie spa-
łem.... Kombinowałem. Przesuwały mi się
przez głowę tysiączne wizye, pomysły, fanta-
zye. Już....już.... byłem na tropie spraw-
ców zbrodni z przed lat 20tu; już trzymałem w
ręku wszystkie dowody ich winy, — gdy oto
naramaz wszystko się rwało.... nici pryskały...
i budziłem się, potem gorącym zlany, bez ni-
czego. Miałem sen dziwny.

Śniło mi się więzienie stanowe, a właściwie
kamieniołomy przy więzieniu stanowem; podo-
bno w niektórych Stanach południowych wię-
źniów zatrudniają jeszcze w takich kamienio-
łomach. W lizbie skazańców znajdował się
jeden, starzec umęczony, wyczerpany trudem,
zabity na duchu, Polak... Sen kazał mi się
wcielić w jego duszę, czuć jego cierpienia, prze-
żywać razem z nim jego tęsknotę do Polski. I
dziwna rzecz, twarz tego starca tak mi była po-
dobną do twarzy Jadwigi. Reszta szczegółów
rozpływa mi się we mgle....

Ten sen — nie wiem, dla czego — zrobił na mnie głębokie wrażenie.

Bóg wiara, sen mara! — chociaż... opowiem o tym śnie Gryzińskiemu.

...Znów wielkie odkrycie dziś zrobiłem. Właściwie, jeśli go nie uczyniłem wczoraj, wina w tem tylko moja własna. Było to wydrukowane w gazetach, a tylko moja nieuwaga, moje roztargnienie i zajęcie się listem Kaliskiego nie pozwoliło mi zwrócić uwagi na ten ważny szczegół.

Człowiekiem, którego postrzelił Kaliski, jest Morski.

Dziwne bywają zrządzenia losów!

Napisałem w tej chwili do mojej agencji te słowa:

„...Ofiara zamachu Dixy-Kaliskiego, farmer Morski, jest dla mnie osobistością nadzwyczaj ważną. Proszę ani na chwilę nie spuszczać go z oczu. Ja chciałbym zobaczyć się z nim w szpitalu, jak tylko to będzie możebnem. Proszę nie żałować ani pieniędzy ani trudów. *Bardzo ważne!*

H.“

Zaledwo to wysłałem, znów dzwonek.

Otwieram sam — depesza. Gryziński donosi, że za dwa tygodnie będzie w Chicago. Chwała Ci, Panie! Nareszcie wejdziemy na drogę czynu....

CZĘŚĆ V.

Kara Boża.

I.

Wspaniałym jest pałac Felseinstenów w Berlinie.

Jeden to z historycznych gmachów w obecnej stolicy Niemiec. Wzniesiony przed laty w stylu bałtyckim, sterczy on dumny i ciężki, z krużgankami i wieżycami z czarnego kamienia, podobny do zamku średniowiecznego. Gmach ten przeraziłby może współczesny, elegancki i kokieteryjny Berlin, gdyby się ukazał wśród niego w całym swoim majestacie i potędze; lecz smak nowożytnych Felsensteinów zapobiegł temu kontrastowi. Szczerniałe mury pałacu okryto zielenią; od lat przebudowano już nieraz jego skrzydła; obok pierwotnego zamczyska stanęły późniejszej konstrukcyi eleganckie i lekkie pawilony; wreszcie wysoki mur odgrodził to pańskie wnętrze od plebejuszowskiej ulicy. Tylko wysokie, uherbowane i starożytne wrota z kutego żelaza, otwierają dostęp do arystokratycznego Edenu — i ukazują po za drzewami parku spowite w zieleni krużganki i okrągłą basztę gmachu.

Różne koleje przechodziło od lat to dumne gniazdo magnackie.

Było tu nieraz gwarno do szaleństwa i ponuro, jak w grobie. Mieszkali tutaj wielcy mężowie polityczni i rozpustnicy bez mózgu i sumienia, niewiasty bogobojne, które służyły za wzór światu chrześcijańskiemu i filozofowie z końca wieku 18go, dzielni żołnierze i mężowie pióra... biskupi i jawni heretycy. Ród Felsensteinów, niegdy bardzo liczny i połączony z najznakomitszemi rodzinami całego świata, miał kilka gałęzi: niektóre były protestanckie, inne katolickie. Z czasem ród ten coraz szcupleł, gasł, zmniejszał się, aż obecnie pozostało tylko dwóch jego przedstawicieli: baron Albert von Felsenstein, głowa rodu i syn jego Konrad, spadkobierca całej świetności i bogactw historycznej rodziny.

Obydwaj byli to ludzie niepospolici, zwracający na siebie uwagę.

Stanowili zresztą niezwykły pomiędzy sobą kontrast.

Ojciec, baron Albert, był istnym typem wielkiego pana. Postawę miał imponującą; wysoki, o rozrosłych barkach, pomimo lat blisko 70, trzymał się prosto i sztywno. Twarz jego, jak gdyby z medalu pamiątkowego którego z jego przodków skopiowana, odznaczała się wyrazem dumy. Duże i wyraziste oczy patrzyły ostro z pod nawisłych, siwych brwi; nos orli nadawał obliczu wyraz powagi; tylko usta

obwisłe i zmysłowe, psuły tę harmonię. Siwe bakenbardy i wąsy wojskowego zakroju, czyniły starego barona, nieco podobnym do zmarłego już naówczas cesarza Wilhelma.

Zupełnie inaczej wyglądał syn jego i przyszły naczelnik rodu Felsensteinów, baron Konrad.

Urodzony (jak już wiemy) z Polki, hrabiny Z. . . ., drugiej żony barona Alberta, Konrad był podobny do nieboszczki matki. W niczem nie przypominał dumnych Felsensteinów. Wysoki, szczupły blondyn o twarzy bladej i jakby wiecznie zażawionej, nie robił on wrażenia wielkiego pana. Oczy miał piękne i głębokie; nosił krótko przystrzyżoną blond brodę i złote okulary. Wyglądał na uczonego lub marzyciela. Jak wiemy, jeszcze przed laty 4ma, uprawiał z upodobaniem profesję lekarza. Było to w Poznaniu, przed odesłaniem mu pierścionka zaręczynowego przez Jadwigę.

Ojciec i syn różnili się nietylko powierchownością, ale i usposobieniem i wszystkim.

Baron Albert był światowcem, przywykłym do życia hałaśliwego i szumnego, do elegancyi, zbytku, wyrzucania pieniędzy garściami.

Podczas pobytu w Berlinie, pełno go było wszędzie: na dworze cesarskim, w kołach politycznych i arystokratycznych, na spacerach i w teatrach, na wyścigach i za kulisami, w sa-

lonach pięknych pań i w klubach, w których arystokratyczni panowie zabawiali się w wysoką grą.... Opowiadano sobie legendy o jego młodzięczych niemal wybrykach i sukcesach. Za ledwo przed dwoma laty o mało co nie miał pojedynku o jakąś piękną i młodą aktorkę. Nazywano go też najpospoliciej „pięknym i nieśmiertelnym baronem”.

Inaczej zupełnie z baronem Konradem.

Pomimo swoich lat trzydziestu kilku zaledwo, był on uosobieniem powagi. Nie uśmiechał się prawie nigdy, szczególnie od lat 4ch, od wypadków, które dotknęły jego rodzinę — i jego samego. Powołany do Berlina, Konrad zmuszony został przez nowe stosunki, w które wszedł, do przedstawienia się na dworze cesarskim i w salonach rodzin zaprzyjaźnionych i skuzynowanych z Felsensteinami; ale ostatecznie nigdy się nie oddawał szczerze nowym wykwiutnym i wysokim stosunkom, ani przez jedną chwilę nie żył w nich całkowicie.... Składał obowiązkowe wizyty, bywał na urzędowych przyjęciach (otrzymał bowiem nawet jakiś tytularny urząd dworski); ale zresztą o ile mógł, stronił od tego świetnego i błyszczącego świata. W towarzystwie młodych arystokratów pruskich nie gustował; zabaw ich nie rozumiał; przyjaznych stosunków z nimi nie zawiązywał.

Z początku odosobnienie to kładziono na

karb smutku po nagłym a tak fatalnym zgonie dwóch przyrodnich braci i siostry.

Ale z czasem osądzono, że takie ciągłe dążenie do samotności, usuwanie się od ludzi i świata, nie przystoi potomkowi tak wielkiego rodu i przyszłemu właścicielowi tylu milionów. Nazwano go dziwakiem, odludkiem — i przestano o nim myśleć. „Ein Pole” — oto urągliwe przezwisko, które mu nadawali niekiedy buńczuczne pruskie „junkry”. Tylko utytułowane panie, mające córki na wydaniu, zamyslały się nieraz nad tem: o ile właściwym będzie na zięcia ten młodzieniec, tylu obdarzony zaletami, tak utytułowany i bogaty, a jednak tak smutny?

Bo postanowionem było, że bądź co bądź głównym obowiązkiem młodego Felsensteina jest i będzie: ożenić się.

Ostatni potomek rodu, tak niespodzianie i w fatalny sposób przed 4ma laty ogołoczonego z najbardziej kwitnących swych gałęzi, miał on przed sobą wielką misję: ród ten na nowo odbudować, w przyszłość przedłużyć — i przy pomocy małżeństwa, na odpowiedniej wysokości arystokratycznej zawartego, zaszcześcić na próchniejącym pniu domu Felsensteinów, nowe latorośle. O tem jego zadaniu powiedział mu ojciec, baron Aibert, zaraz po wezwaniu go do Berlina — i od tego jednego żądania nie odstąpił. Stary baron chciał Konrada nie

raz i nie dziesięć razy przerobić z gruntu, chciałby go mieć podobnym do jednego z ukochanych swych nieboszczyków, do eleganckiego Herberta lub do zuchowatego Ottona; ale usiłowanie to było daremne. Konrad w niczem nie był podobny do swych starszych braci. Ojciec więc odstąpił od tego niewdzięcznego zadania — i pozostawił syna samemu sobie.... Pozwolił mu iść swoją własną drogą, zastrzegł przecież, iż nastąpi chwila, kiedy będzie on musiał uczynić zadość obowiązkom rodu — i wstąpić w związki małżeńskie.

To było nieuniknione.

Konrad zgodzić się musiał; wymówił sobie przecież jedno: odroczenie terminu tej ofiary. Prosił o zwłokę kilkoletnią. Baron Albert przystał na to, że o małżeństwie Konrada zacznie się mówić dopiero za lat cztery lub pięć. Na nieszczęście dla Konrada, chwila ta już się zbliżała.

Konrad myślał o niej z trwogą....

Tymczasem żył w ciszy, odosobniony. Przemieszkiwał pół roku w Berlinie, część lata w jednym ze swych zamków w Brandeburgii (do Poznańskiego baron Albert zabraniał mu wyjeżdżać), niekiedy odbywał wycieczki po Szwajcaryi, Włoszech, południowej Austryi itd. Na wyraźne żądanie ojca, przestał praktykować, jako lekarz. Za to pracował energicznie na polu naukowem. W pałacu ber-

lińskim, w starożytnej baszcie urządził sobie kompletne laboratorium i muzeum naukowe; tam dniami całymi przesiadywał nad retortami, książkami, wagami, sam lub w towarzystwie asystenta. Zajmowała go głównie fizjologia mózgu ludzkiego; pod pseudonimem dra Konrada wydał w tej sprawie dwie czy trzy broszury, które wywołały wielki rozgłos i nawet walkę w świecie naukowym. Na zasadzie ścisłych doświadczeń i faktów naukowych, bronił dr. Konrad w tych broszurach teorii ducha wszechpotężnego, objawiającego się widomie w człowieku, a teoria ta, niezwykła w owych czasach, wywoływała wśród uczonych, zasklepionych w formułkach materjalizmu naukowego, całą burzę. Nazywano młodego uczonego maniakiem, spirytystą, marzycielem; walczono z nim na ostre.

Swoją drogą te prace zwróciły uwagę ogółu.

Wiał z nich duch niezwykły i podniosły.... Sam młody cesarz raczył kiedyś przeczytać jedną z broszur Konrada p. t. „Duch przeciw materji” — i odwiedzić autora w jego pracowni. To mocno pocieszyło barona Alberta, który dostrzegł (po raz pierwszy w życiu), że i praca naukowa stanowić może jakiś tytuł do podniesienia człowieka.... Rzecz ta uczyniła nawet dra Konrada na czas pewien bohaterem dnia w kołach arystokratycznych.

Jednej rzeczy nie przebaczał baron Albert synowi, a i świat arystokratyczny nie przebaczyłby mu nigdy: oto jego pobożności.

Baron Albert był protestantem, tak samo jego synowie i córka z pierwszego małżeństwa; Konrad, urodzony z drugiej żony barona, Polki, wychowany został w katolicyzmie. Zawsze wierzył głęboko i pełnił sumiennie obowiązki religijne.... Wypadki zdarzone przed laty czterema, które rozbiły to serce milczące i ciche i wykoleiły człowieka z wymarzonej sobie kolei, spotęgowały jeszcze tę religijność. Konrad oprócz pracy naukowej żył jeszcze ekstazą i wiarą.... Obok jego pracowni znajdowała się niemal zakonnej surowości cela, zawierająca krucyfiks, klęcznik i twardy tapczan.... Tam godziny nieraz trawił młody lekarz-arystokrata na modlitwie; tam na deskach, kilimkiem okrytych, noce całe przesypiał zamiast w złoconej swej sypialni, pod adamaszkową kotarą, spiętą u góry orłami Felsensteinów.

Jeden ojciec wiedział o tem (jak je nazywał) dziwactwie Konrada — i ostro je ganił.

Początkowo namawiał syna, ażeby przyjął protestantyzm, wnet przecież przekonał się, że ani mowy o tem być nie może.... Później wyrzucał mu nieraz to, jak twierdził, ośmieszanie się dewocją. Do przykrych scen nieraz pomiędzy nimi dochodziło z tego tytułu. Raz Konrad oświadczył, że najchętniej zakończyłby

życie w zakonie.... Trzeba było widzieć, jaką wtedy burzą wybuchnął baron Albert. On tak zwykle elegancki, tak lekki i *correct*, aż pienił się.

— Nie wolno.... nie wolno ci o tem myśleć.... nigdy... nigdy! — wołał.

I istotnie Konrad zrozumiał, że jest to niepodobieństwem. Czuł on dobrze zobowiązania, jakie wkładało nań imię i stanowisko.. Nie mniej modlić się i zamykać w swej celi nie przestawał.

I teraz oto — w dwa lub trzy tygodnie po wypadkach, zdarzonych w Ameryce, a opisanych w części poprzedniej — znajdujemy go w tem ustroniu w baszcie berlińskiego pałacu.

Skończył modlitwę, położył znak krzyża na czole — i skierował się ku drzwiom.

W gabinecie, dokąd wszedł, nie było nikogo. Służący dopiero co złożył na wielkiem biurze środkowem listy, gazety i broszury otrzymane z poczty. Była tego spora kupka, ponieważ Konrad znajdował się w dość ożywionej korespondencyi z niektórymi z uczonych, a nadto ojciec, chcąc go przyzwyczaić do samodzielnego zarządu obszernym majątkiem, powierzył mu wyłączną administracyę niektórych posiadłości.

Konrad siadł przy biurku — i zaczął segregować listy.

Podczas tej czynności uwagę jego zwróciła dość duża koperta, pokryta obcemi stęplami.

Marki były amerykańskie, a stempel wyjścia brzmiał: „Chicago”. Konrada list ten zdziwił, nie pozostawał bowiem w korespondencyi z nikim w Ameryce — i o ile wiedział, nikt z jego znajomych nie zamieszkiwał w Chicago. Od kogo więc mógł pochodzić ten list?.... Serce uderzyło mocniej Konrazowi. Przyszła mu do głowy myśl pewna. O Jadwigę, stosownie do zalecenia w jej liście pożegnalnym, nie dowiadywał się nigdy przez tych lat cztery; niepodobna było przecież, ażeby się o jego uszy nie obily te lub inne o niej wieści.... Wiedział, że wyjechała do Ameryki, słyszał nawet, iż ostatnio mieszkała w New Orleans; miał w swej bibliotece miesięcznik nowojorski, w którym ukazywały się od czasu do czasu jej artykuły.

Czyżby to od niej? Czemu jednak list wysłany z Chicago? Zresztą adres na kopercie nie jest pisany jej ręką.... To chyba pismo męzkie.

Nerwowym ruchem Konrad rozdarł kopertę.

Podniósł do oczu dużą ćwiartkę listowego papieru, zapisaną drobnem, męzkim pismem — i zaczął czytać.... Zaledwo jednak przeczytał kilka wierszy, gdy na bladej jego twarzy wybiło się wielkie wzruszenie. Przez chwilę zdawał się być w niepewności, co dalej czynić. Istotnie zastanawiał się, czy czytać list lub nie.... Ćwiartkę papieru zmiął — i rzucił

na stół. Podniósł teraz rozdartą kopertę z kosa i przyglądał się jej.

Tak jest! — list prawdopodobnie nie był przeznaczony dla niego.

Napis na kopercie zawierał obok nazwiska „von Felsenstein” tylko pierwszą literę imienia adresata — i dziwnym zbiegiem okoliczności kleks z atramentu, zrobiony zapewne już w jakimś z biur pocztowych, przez które przechodził list, uczynił tę literę nieczytelną. Jeśli to było „A”, list był przeznaczonym dla ojca Konrada, jeśli „K” — dla niego samego.

Konradowi zimno się zrobiło na całym ciele.

Odczuł, że stoi w obec katastrofy — i że ta pomięta ćwiartka papieru, leżąca tam na stole, przynosi mu z za mórz, z poza dalekich lądów, jakieś wielkie nieszczęście, jakiś nowy przełom w życiu. Życie Konrada na pozór tak szczęścia pełne, dziwnie się plotło.... Przed 4ma laty wmieszała się w nie jakaś fatalność, jakaś tajemnica ponura. Czemu Jadwiga zerwała z nim tak niespodziewanie, czemu nastąpiło to w chwili zgonu jego rodzeństwa? Czemu potem ona wyjechała do Ameryki i co tam robiła? Nieraz zadawał sobie te pytania — i nie znajdował na nie odpowiedzi.... Trawił się przeto bólem i niepokojem. Teraz po drganiach swego serca odczuł, że stanie się coś, co rozedrze choć w części zasłonę owej tajemni-

cy, ale jednocześnie po za tą zasłoną ukaże mu mrok jeszcze bardziej ponury

Wyciągnął rękę do leżącego na stole listu — i znów ją cofnął.

Tak! — nie może się łądzić Ten list nie jest przeznaczony dla niego; to list do jego ojca. Zrozumiał to odrazu, po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy Czy ma prawo czytać dalej to pismo? czy to uczciwie? Nie — a jednak jego ręka mimowoli wyciąga się do ćwiartki papieru.

Bo też te kilka pierwszych wierszy, na które padł jego wzrok, są aż nazbyt pełne treści.

Jest w nich grom i truczna, jest w nich zapowiedź czegoś strasznego. Mowa w niej o jakimś dziewczęciu, śledzonym przez kogoś z polecenia jego ojca, tam w Ameryce. Co to za dziewczę?

Nie. — Konrad nie ma siły cofnąć się przed odczytaniem listu.

Precz ze skrupułami; tu idzie o jego całe życie Nie stał się posiadaczem cudzego listu świadomie; list ten wpadł w jego ręce przypadkiem, wskutek niezwykłego zbiegu okoliczności. W pierwszych zaraz słowach tego listu skierowano jakieś niejasne, straszne oskarżenie przeciwko jego ojcu Musi je poznać! Nie kochał nigdy zbyt gorąco ojca, którego znał mało, ale przywykł go szanować Mieli wspólne nazwisko — i wspólny honor. Czy

nie ma prawa dowiedzieć się, jakie oskarżenia podnoszono przeciwko temu honorowi? Czy nie ma prawa bronić przed niemi własnego ojca? Bronić.... lub gdyby wina była dowiedziona, gdyby krzywda została wyrządzoną istotnie (na myśl o tem ból pałacy uczuł w piersi), krzywdę naprawić.

On musi dowiedzieć się, co jest tam, w liście.

Przez chwilę jeszcze toczył ze sobą walkę. Targały się w nim: poczucie niewłaściwości czynu, który miał popełnić — i żądza rozwiązania dziwnej tajemnicy całego życia, pragnienie wyjścia z ciemności. To ostatnie nareszcie zwyciężyło.

Porwał list i zaczął go czytać.

Był to ten sam list, który z Chicago wysłał pod adresem barona Felsensteina (Alberta) krupier Kaliski *alias* John Dix.

Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie wywarł on na Konradzie.

Błady, jak trup, z gorącymi na twarzy wypiekami, z rękami zaciśniętymi kurczowo, czytał go raz po raz.... Z początku, ogłuszony, nic nie rozumiał. Słowa wirowały mu przed oczyma i nie chciały się łączyć w myśli i zdania. Oskarżenia były tak ciężkie, że zdawały się raczej jakąś olbrzymią mistyfikacją, aniżeli czemś faktycznem i rzeczywistem....

Mgła dziwna zdawała się zasnuwać umysł i oczy Konrada.

Aż naraz, po przeczytaniu listu, już po raz piąty czy szósty, przejrzał.... Światło przedarło się przez mgłę. Odzyskał władzę sądenia — i zrozumiał. List zawierał wiele jeszcze rzeczy dla niego niejasnych; ale jednocześnie było w nim aż za wiele rzeczy strasznie jasnych. Ohydna otwartość i zuchwalstwo, z jakimi odzywał się z poza Oceanu do jego ojca zbrodniarz, skalany wszystkim brudem kryminału, same w sobie były już niemal dowodem. Jego ojciec miał popełnić kiedyś jakąś zbrodnię, związaną z losem Jadwigi; on miał wysłać za nią za Ocean złoczyńców, nastających na jej życie i mienie.... Czy to podobne, czy to podobne?! A jednak list mówił jasno i groził dowodami. A jednak....

Nowa myśl przyszła do głowy Konradowi. Zaświeciła mu, jak błyskawica.

....A jednak czy logika faktów nie kazała upatrywać ścisłego związku pomiędzy tajemniczem, przed 4ma laty, ustąpieniem Jadwigi z jego drogi, a tymi mniemanymi zamachami, jakich miała być ofiarą w Ameryce?

Wszystko kołowało się w głowie Konradowi.

— Boże! za co mnie karzesz? — zawołał. Głowę opuścił na dłonie — i siedział tak długo, nieruchomy.

Łzy płynęły mu twarzy, obfite i gorące, a w tych łzach wylewały się: ból niezmierny i gorycz straszna i wstyd olbrzymi, i upokorze-

nie i ogromne pragnienie zgłębienia aż do dna tej strasznej rany, którą w tej chwili odkrył pod błyszczącym blichtrzem swego istnienia.

Wypłakawszy się, udał się Konrad do swej celi — i tam modlił się.

Gdy wrócił do gabinetu, zapadł już wieczór.... Przy blasku świateł gazowych, które zapalił przed chwilą służący, twarz młodego arystokraty zdawała się teraz postarzałą o lat 20: obwisła, pobladła, pozółkła.... Przez tych godzin kilka przeszedł on mękę, która go niemal złamała fizycznie.

Ale za to umysł miał spokojny.

Gdy stanął znów przy biurku, rzekł sam do siebie półgłosem:

— A jednak sprawiedliwość musi być wykonana.... Opatrzność tak chce. Mnie widocznie obrał Bóg za narzędzie!

Siadł i namyślał się przez chwilę. Tak jest.... Ponieważ w całej tej sprawie jest ktoś oskarżony, logicznem będzie najpierw wysłuchać jego obrony.

Wziął pióro — i pisał ręką pewną i silną.

Był to telegram do barona Alberta von Felsensteina, bawiącego od dni paru na polowaniu w dobrach jednego ze swych przyjaciół, węgierskiego magnata. Telegram wzywał starszego barona do natychmiastowego powrotu do Berlina, w interesie niesłychanej wagi.

II.

Jesteśmy znów w Ameryce.

Tuż obok Chicago znajduje się ciche i utopione w zieleni przedmieście Evanston, siedziba uniwersytetu i miejsce zamieszkania wielu byznesistów i urzędników, pracujących w samem Chicago.

Godzina 11ta rano.

Szczepan Homicz i dr. Gryziński dopiero co wysiedli z pociągu podmiejskiego — i idą powoli przez jedną z cienistych alei miasteczka. Szczepan wygląda, jak zwykle, tylko z oczu jego bije ożywienie i nadzieja. Gryziński, odkąd go nie widzieliśmy, zmienił się ogromnie. Zupełny teraz z niego „gentleman”. Ubiera się wykwintnie; wygląda bardzo poważnie; mówi z pewnem wyszukaniem.

W tej chwili zatrzymał się — i mówi do Homicza, wskazując laską:

— Tak.... to tutaj.

W poprzecznej alei, w kierunku przez niego wskazanym, znajduje się niewielka murowana willa z pięknym renesansowym frontem, przybranym w marmur, przystrojonym balustradą i całym oplecionym w kwiaty i bluszcze. Wchodzą na ganek willi. Na drzwiach blacha mosiężna — i prosty napis: „R. Robbins”.

Dr. Gryziński zadzwonił.

Za chwilę, wprowadzeni przez niemłodą, poważną kobietę w białym, tiulowym czepe-

czku, znaleźli się w dużym i widnym gabinecie o meblach skórą obitych, z wielkim biurkiem pośrodku. W drugim kącie pokoju widniała szafa dębowa oszklona, pełna ksiąg.

— Mr. Robbins będzie za chwilę — rzekła kobieta i znikła.

Szczepan obejrzał się uważnie po pokoju.

— I to ma być biuro tego czarodzieja 19go wieku, odkrywcy najbardziej ukrytych myśli i najzawilszych tajemnic! Wyobrażałem to sobie inaczej....

Gryziński uśmiechnął się lekko.

— Pozory najczęściej są omylne....

Wtej chwili drzwi w głębi pokoju skrzyknęły — i ukazał się w nich człowieczek niewielki, o twarzy nic nie mówiącej, wieku średniego. Zwracały uwagę tylko jego włosy, rude, niemal płomieniste — i jakiś sarkastyczny uśmiech, który, zdawało się, przyrósł mu do twarzy.

Dr. Gryziński, który już znał gospodarza, przedstawił Homicza Robbinsowi.

Ten powitał uprzejmie przybyłych; przez chwilę spoglądał uważnie na Szczepana, jak gdyby chcąc sobie dobrze zapamiętać jego rysy; wreszcie zacierając ręce, mruknął pod nosem:

— Acha.... wiem już.... wielka przyszłość.... wynalazki.

Siedli potem wszyscy.

Mr. Robbins wyjął z którejś szuflady ogromnego biurka plikę papierów — i zapytał, zabawnie mrugając do Gryzińskiego:

— Sprawa Ślaski?....

— Tak.

— Zabójstwo i kradzież na \$300,000 z Banku „Merchant's Loan & Trust Co“ w New Orleans w r. 1867 — recytował dalej Robbins, zaglądając do papierów — Stefan Ślaski skazany na śmierć.... Ma być niewinny.

Tu zatrzymał się i przyłożył palec do czoła.

— Dać wskazówki i rozplątać zagadkę sprawy! — rzekł po chwili, podnosząc swą rudą główkę do góry i wlepiając wzrok w sufit.

— Tak jest — przytaknął mu znowu dr. Gryziński.

Szczepan zaś mimowoli uśmiechnął się.... Wielkiem jakimś dziwadłem zdawał mu się ten ekscentryczny człowieczek, którego najpoważniejsze referencje zaleciły mu, jako mistrza od odgadywania tajemnic kryminalnych.

Gdy po przybyciu Gryzińskiego do Chicago odbyli oni obydwaj walną naradę z szefem chicagoskiej agencji detektywów, który tak dzielnie zasłużył się już Homiczowi, musieli przyznać wszyscy trzej, że sprawa, pomimo listu Kaliskiego i ostatecznych raportów Foxa i Gogginsa z New Orleans, jest niejasna.

Wtedy szef detektywów poradził im udać się do Robbinsa.

Miał to być człowiek cudowny w swoim rodzaju. Detektywem z profesyi nie był; żył sobie z majątku własnego w zacisznem Evanston, a zajmował się trudnymi procesami kryminalnymi — z amatorstwa. Prowadzenie śledztwa pozostawiał zresztą komu innemu. Sam rozwiązywał zagadki przy pomocy kombinacyj umysłowych — i bardzo rzadko brał się do pracy czynnej. Był to dziwak skończony. Zresztą bystrość umysłu miał posiadać niesłychaną.

Nie ostała się przed nim żadna najzawilsza zagadka.

Do tego to człowieka zwrócił się z polecenia Homicza już przed dwoma tygodniami dr. Gryziński.

Pomimo zapowiedzianego z góry znacznego wynagrodzenia pieniężnego, a może właśnie dla tego, Robbins przyjął go dość kiepsko.... Słuchał relacyi o sprawie niedbale, a nawet z początku nie uważał jej za dość interesującą i godną swego zajęcia (nb. brał tylko takie sprawy, które mu się podobały). Twierdził nawet, że na razie zajęty jest inną sprawą, której nie może porzucić. Dopiero gdy usłyszał nazwisko Homicza, zmiękł. Kazał Gryzińskiemu zostawić papiery — i obiecał odpowiedź za tydzień.

I istotnie, w tydzień potem nadesłał Gryzińskiemu te dwa słowa:

„...All right. — Wezmę to. Sprawę „dya-
mentów Orsetti“ kończę w tych dniach i będę miał
czas. We czwartek, za tydzień, proszę być u mnie
z tym drugim panem, o 11ej rano punkt. —

Robbins. “

Wizyta Gryzińskiego i Homicza u Robbin-
sa była właśnie następstwem tego listu.

Widzieliśmy, jakie dziwne wrażenie zro-
bił on na Homiczu. Po wygłoszonych przez
Robbinsa słowach zapanowało milczenie. Ma-
ły człowieczek, zdawało się, zapomniał o obe-
cności dwóch swoich gości. Po sztukateryi su-
fitu nad jego biurkiem łaziła mucha; otóż zda-
wało się, że w tej chwili cała jego uwaga sku-
piła się na obserwowaniu tej muchy....

Siedział tak nieruchomo minut parę.

Gdyby nie oczy otwarte, sądzićby można,
że śpi.... Wreszcie jednak ocknął się. Za-
mruczał coś niezrozumiale pod nosem i zaczął
przeglądać papiery, które niedawno wyjął z
szuflady. Ołówkiem robił na nich jakieś zna-
czki, krzyżyki i hieroglify.

Gdy skończył, rzekł:

— Przepraszam za chwilę zwłoki.... Mam
pewne metody pracy, które mogą dziwić pa-
nów, ale to moja słabostka, którą mi wyba-
czycie. Możemy przystąpić do biznesu.

Gryziński chciał zacząć mówić, ale Rob-
bins nie pozwolił.

— Chcesz pan opowiedzieć przebieg spra-

wy — rzekł — to zbyteczne. Znam ją tak dobrze, jak panowie, z tych papierów ... Potrzebne mi tylko niektóre dodatkowe informacje. Będę pytał; proszę mi łaskawie odpowiadać.

Obaj, Gryziński i Homicz, skinieniem głowy wyrazili zgodę.

— A więc — pytał Robbins — co się stało z osobistością, noszącą ciekawe nazwisko Bolo L. Kaliskiego? O ile widzę z papierów, jegomością tego kazaliście panowie śledzić. Jaki rezultat tego śledztwa? Co robi? gdzie się obraca?

Pytanie było skierowane do Homicza, on też odpowiedział:

— Dziś rano, właśnie przed chwilą odebrałem raport od mojej agencji. Zawiera on pierwszą o Kaliskim wiadomość. Przez dwa tygodnie poszukiwano go na próżno. Dopiero dziś rano zatelegrafował jeden z detektywów agencji, aż z St. Joseph, Mo., że znalazł naszego ptaszka.... Pyta o dyspozycję: czy ma go kazać aresztować? Proszę, oto raport.

Homicz podał papier Robbinsowi.

Ten aż podskoczył na krześle.

— Co za pomyślny traf! — zawołał — szczęście nam sprzyja.... I co odpowiedziała agencja swemu człowiekowi?

— Jeszcze nic stanowczego... Kazała mu czekać. Ostateczną decyzję odłożyłem do widzenia się z panem.

— Bardzo dobrze.... bardzo dobrze — odrzekł Robbins, zacierając ręce — To prawdziwa przyjemność mieć do czynienia z ludźmi inteligentnymi. A teraz siadaj pan przy biurku....

Sam podniósł się z krzesła — i wskazał mu swoje miejsce. Homicz, jakkolwiek zdziwiony, był posłuszny.

— I napisz pan telegram do swej agencji tej treści: „Nie aresztować, pod żadnym pozorem! Posłać zaraz, w tej chwili, drugiego zdolnego agenta do St. Joseph, do pomocy pierwszemu; człowieka z oczu nie tracić; dalsze dyspozycje będą.”

Homicz napisał.

Robbins zadzwonił teraz; do gabinetu weszła niemłoda kobieta, która wprowadziła tu przed chwilą Homicza i Gryzińskiego.

— Niech chłopiec odniesie to zaraz do biura telegraficznego — rzekł Robbins.

Po chwili siedział znów przy biurku i mówił, zacierając ręce:

— To jedno.... A teraz punkt drugi. Czy niema wiadomości o Morskim?

Teraz odpowiedział mu Gryziński.

Sprawa z Morskim stoi bardzo źle. P. Robbins wie, że już przed półtora tygodniem, w trzy dni po strzelaninie w szulerni, zniknął on w tajemniczy sposób ze szpitala. Homicz zaraz zgłosił się do szpitala z żądaniem widzenia się

z Morskim, ale ten był tak słaby, iż lekarze na razie na wizytę ową nie pozwolili. Homicz czekał. Widzenie się ich miało wreszcie nastąpić, gdy oto w noc poprzedzającą ten fakt, Morski w niespodziewany sposób zniknął ze szpitala.... Powiedziano mu przedtem, że Homicz żądał widzenia go — i Morski bardzo był nawet z tego zadowolony. Ale nad wieczorem dostał jakiejś febry czy nawet delirium.... Widział jakieś strachy — i krzyczał tak, że z trudem go uspokojono. Rano znaleziono łóżko próżne. On sam zginął.... Gdzie się podział? — nikt nie wie.

Te wszystkie okoliczności były już wiadome Robbinsowi. To też Gryziński objaśnił teraz tylko to, że pomimo wszelkich poszukiwań i starań, niema o Morskim dotąd żadnej wieści. Była to istotnie przeciwność bardzo poważna.

Robbins na słowa Gryzińskiego skrzywił się nielitościwie tak, że przez chwilę był podobny do orangutanga — i rzekł:

— To źle... bardzo źle.

Zaczął się potem drapać energicznie po za lewem uchem. Naraz roześmiał się i twarz mu się rozjaśniła. Wyglądało to tak, jak gdyby z za ucha wydrapał jakąś nową ideę, bo zawołał:

— All right. . . Znajdziemy go.

Paru jeszcze informacji zażądał Robbins od Homicza i jego towarzysza.

Co słychać od Focha i Goggina z New Orleans? — Nadeszły kopie dwóch raportów, przesłanych przez tę agencję Jadwidze. Nie wiele te raporta przynoszą nowego. Ów rocznik gazety, tak potrzebny dla dokładnej relacyi z procesu Śląskiego, jakoś wydostać im trudno. Wyślizguje im się z rąk, jak węgorz... Obawiają się, że ktoś, mający w tem interes, chciałby ten rocznik zniszczyć. W każdym razie cena rocznika podnosi się. Ktoś go formalnie licytuje. Jeden i drugi raport kończy się żądaniem pieniędzy od Jadwigi.

Homicz podał obydwaj raporty Robbinsowi.

Ten przejrzał je, przypatrywał się przez chwilę papierowi i literom, skrobał paznokciem, wreszcie nawet podniósł papiery do nosa, jak gdyby je obwąchiwał.

— Oszuści! — mruknął wreszcie pod nosem i rzucił raporty na stół.

Jeszcze miał parę pytań.

Czy Homicz znał kiedy barona Felsensteina? Nie. Czy słyszał o nim? Tak.... Szczepan powtórzył tutaj w paru słowach to, co mu opowiadała Jadwiga o dawniejszym jej stosunku z Konradem i o tem, jak ten stosunek został zerwany przez jego ojca barona Alberta.

— Ach....ach... ach.... — mówił Robbins, słysząc tę opowieść.

Dalej pytał: — Czy Mallory wrócił już z Anglii? — Nie.... i nie wiadomo, czy kiedy

wróci. Czy nie byłoby sposobu skłonienia go do powrotu do Ameryki?... Tu Homicz zamyslił się głęboko — i rzekł:

— Być może.

Robbins spojrział nań bardzo znacząco, ale już dalej tej sprawy nie poruszał. Zapytał jeszcze, czy Homicz na własną rękę nie poszukiwał Mulata Cummingsa, czyściciela obuwia, świadka, o którym wspominają raporta Focha i Goggina? — Nie, Homicz nie wpadł na tę myśl.

— Szkoda! — rzekł krótko Robbins.

Teraz już miał dość informacji.

Poprawił się na krześle przy swem biurku, zadarł do góry głowę — i rzekł:

— No, teraz możemy przystąpić do wyświeślenia sprawy....

Wyglądał jakoś poważnie i imponująco, mówiąc te wyrazy, aż Gryzińskiemu mimowoli zatrzymało się na ustach pytanie, które chciał mu rzucić.

— Czy to nie zawcześnie?

Pytanie to odgadł jakąś dziwną intuicyą mały człowieczek. Bo podniósł nań wzrok surowy i odrzekł na niewypowiedziane pytanie:

— Nie.... nie za wczześnie. Sprawę całą mam tu w głowie, tak jasno, jakbym czytał o niej raport urzędowy — i to co o niej wiem, w paru słowach opowiem.

— A więc mogę panom stanowczo powiedzieć — zaczął znów po chwili Robbins — że skazany na śmierć w r. 1867 Stefan Ślaski był niewinnym. Moralny tego dowód, dowód najwyższy, znajduję w owym liście czy pamiętniku, który pan — wskazał na Holmicza — tak szczegółowo mi streścił, na zasadzie opowiadań jego córki.... Wielebym dał, ażeby mógł widzieć i choćby w przekładzie, przeczytać cały ten pamiętnik. Wyobrażam go sobie... Jeśli nie jest zniszczony, znajdę go — i wtedy będę prosił panów o podarowanie mi w nagrodę za moją pracę tego dokumentu, tak ciekawego dla badacza natury ludzkiej w jej kontorsjach, w walce z przeciwnościami życiowymi. Pamiętnik ten, pisany przez niewinnego, a jednak skazanego na śmierć hańbiącą, tę spowiedź umęczonego, kreślona dla Boga i istot najdroższych, włączę, jako jedną z najdroższych relikwii, do mego zbioru niezwykłych i cennych pamiątek, odnoszących się do cierpień i zwyrodnienia ludzkości, jak się one wyrażają w niezliczonych szeregach zawiłych i ponurych proce ów kryminalnych....

Gdy Robbins mówił te słowa, zdawało się, że postać jego przeobraziła się.

Wyprostował się; oczy jaśniały mu zapamiętem; głos dźwięczał siłą. Wypiękniał i spoważniał w oczach swych gości ten mały człowieczek. Dopiero teraz Homicz pojął, że w tem ciele duży duch może gościć.

— Przepraszam, że odbiegam od przedmiotu — ciągnął po chwili zawieszenia głosu Robbins — ale myśl sama o tym dokumencie wzrusza mnie głęboko. W ogóle, ponieważ nam wypadnie pracować nad tą sprawą przez pewien czas razem, chciałbym, ażebyście panowie poznali moje właściwości, jakkolwiek są one dziwne.... Widzicie przed sobą nie policyanta z zawodu lub upodobania, bynajmniej! Nie mam ani celu ani ambicyi uchodzenia za najdoskonalszego w świecie ogara policyjnego, który zdoła trafić na każdy ślad lub odkryć każdą najbardziej zawiłą plątaninę faktów. Nie pracowałem nigdy w policyi. Kształciłem się dla kariery naukowej — i przed laty zajmowałem katedrę profesora filozofii i psychologii na uniwersytecie w New Yorku. Jako psycholog, poświęcałem się badaniu cierpienia i występku — i przedmiot ten wziął górę nademną.... Porzuciłem katedrę — i pracuję nad nim od lat dwudziestu paru. Pracuję teoretycznie i praktycznie, a moją praktyką są właśnie trudne i ciekawe sprawy kryminalne, z którymi od czasu do czasu zwracają się do mnie pp. detektywi z profesyi.

Teraz i Homicz i Gryziński zrozumieli — i spojrzeli z uszanowaniem na małego człowieka.

On zaś ciągnął dalej:

— Owocem mej pracy teoretycznej będzie dzieło, dziś już prawie na ukończeniu się znaj-

dujące, dzieło, jak mniemam, pomnikowe: „O cierpieniu i występku”. Praktycznym owocem mych trudów jest zbiór pamiątek i dokumentów, odnoszących się do tej kwestyi, zbiór, jakiemu równego nie znajdziecie na świecie. Znajduje się on tam — wskazał drzwi boczne — w testamencie zapiszę go ludzkości... Jedną z pereł w tym zbiorze będzie właśnie rękopism Śląskiego.

Zatrzymał się — i westchnął.

— Jeśli tylko nie został zniszczony!

Po chwili mówił dalej:

— Teraz rozumiecie mnie panowie, chociaż nie zupełnie jeszcze.... A chcę, abyście mnie poznali dobrze. Szczególniej idzie mi o pana — dodał, zwracając się do Homicza — Słyszałem wiele o panu i czuję, że jeśli pójdiesz dalej w raz obranym kierunku, staniesz się pan jednym z ludzi, torujących nowe drogi ludzkości.... jednym z duchów mnie bratnich, choć w innym zakresie.

Homicz na te słowa pochlebne zarumienił się, jak panienka — i gorąco uścisnął dłoń podaną mu przez Robbinsa.

— Otóż — ciągnął dalej ten ostatni — muszę panom wyznać, że ciągle praca w dziedzinie boleści i błędów ludzkich, ciągle rozmyślanie nad kontorsyami ducha ludzkiego, uczyniły ze mnie istotę nadmiernie wrażliwą.... Czuję zbyt głęboko — i cierpię razem z tymi,

których cierpienia badam. Wzruszam się zbyt głęboko i nieraz już obawiałem się, że ta moja nadczułość może mnie zabić... Z tej wrażliwości zresztą wynika jasność, którą potrafię widzieć tam, gdzie inni dostrzegają tylko ciemności....

Zamilkł. — Gryziński i Homicz czekali w milczeniu.

— Jeszcze raz przepraszam — zaczął znów po chwili — za odstąpienie od przedmiotu.... To było konieczne. Teraz obiecuję nie mówić o niczem innem, tylko o sprawie. Otóż rzekłem już, że Ślaski został skazany niewinnie. Dowodem jego list, ale jest to dowód moralny, dla nas tylko. Dla zwykłych sędziów on niedostateczny, choćby nie został ukradziony i zniszczony, choćby go można było przedstawić w oryginale. Córka skazanego chce zapewne żądać przywrócenia czci imieniu jego w drodze sądowej. Czy tak? — zapytał, kierując wzrok ku Homiczowi.

Homicz odpowiedział skinieniem: tak.

— Otóż, o ile znam prawo, a poznać się z niem musiałem w toku moich badań, sprawa to bardzo mozolna i trudna.... Wyrok raz zapadły zwalić trudno; ma on za sobą powagę rzeczy osądzonej. Trzeba nie przypuszczeń, ale dowodów.... Zebrać je po latach tylu bardzo trudno. Pomimo to zbierzemy je.

— Jaki plan sz. pan ma w tym kierunku? — zapytał teraz Gryziński.

— Zaraz będziemy o tem mówili.... Najpierw jednak opowiem panom, jaką jest historia zbrodni według tego, jak ja ją sam sobie wyobrażam, jak ją raczej odczuwam moim zmysłem duchowym. W sprawie tej znamy już pięć osób, nie licząc Kaliskiego. Między tymi ludźmi rozegrała się rzecz cała. W procesie byli niewątpliwie i inni świadkowie, ale czuję, że tych pięciu to główni aktorowie. Wskazuje to moje jasnowidzenie i logika.

Oto, co mówi logika:

Ślaski nie spełnił zbrodni zabójstwa — i nie ukradł pieniędzy i brylantów. Ktoś jednak uczynić to musiał. I nietylko uczynił, ale nawet postarał się obrócić tak wszelkie pozory, że wina Ślaskiego dla sądu stała się niewątpliwą. Kto to mógł uczynić? Tylko człowiek, który dobrze znał Ślaskiego i mógł mieć dostęp do jego mieszkania; człowiek, który wiedział, że danej nocy w skarbcu przechowana była znaczniejsza suma pieniędzy — i wreszcie taki, który wiedział, na jaki wyraz zamknięto kasę ogniotrwałą. Zdaniem mojem, wszystko to nie mogło być połączone w jednym człowieku; zbrodnia musiała być spełnioną, a w każdym razie obmyśloną tylko przez osobę parę....

— Istotnie, myśl trafna! — przerwał Gryziński.

— Tak jest.... panie łaskawy — zaowadził dalej Robbins — Było w tem ludzi paru, dwóch, trzech może.... I ludźmi tymi byli:

baron Adalbert czyli obecnie wspaniały i znakomity baron Albert von Felsenstein; dalej Ludwik Miller, inaczej Morski, dzisiaj farmer ze Stanu Missouri (jak sam mówi), dokładniej z pobytu niewiadomy — i wreszcie p. Andrew J. Mallory, dziś bawiący chwilowo w Anglii, magnat przemysłowy z Pensylwanii.

Dwa okrzyki zdziwienia odpowiedziały na ostatnie słowa małego człowieka.

— Czy podobna? — pytał Homicz — Co się tyczy starszego Felsensteina, podejrzewałem jego winę niemal od pierwszej chwili, gdy mi opowiedziała swą historję panna Jadwiga. Nieomal pewności nabrałem odtąd, gdym w osadzie X. przez ramię Kaliskiego odczytał początek jego listu do Berlina.... Oskarża go wreszcie stanowczo chicagoski list tego łotra, którego brulion posiadamy. Ale Morski uczestnikiem zbrodni? Ale Mallory.... Czy to tylko podobna, czy podobna?!

III.

Podobne wątpliwości co do ewentualnej winy Morskiego i Mallory'ego wyraził także Gryziński. Robbins pozwolił się im wygadać; uśmiechał się tylko zlekka i bębnił palcami po biurku.

Gdy skończyli, zabrał znow głos i rzekł:

— To, co twierdzę, nietylko jest prawdopodobne, ale nieomal pewne. Kradzież wykonali we dwóch: Felsenstein i Morski; zabój-

stwo sam Felsenstein. On był inicjatorem i głównym aktorem sprawy, ale działał nie sam. On kradł, ale Morski stróżował. Gdy nadzedł woźny Casey, zapewne drogą inną, niż ta, której strzegł Miller Morski, gdy miało się wszystko wydać, gdy miała nastąpić katastrofa, — wtedy szlachetny baron Felsenstein rzucił się na Casey'a z nożem i zamordował nie-szczęśliwego. Morski nie uczyniłby tego nigdy. Trzeba rozumieć naturę Morskiego.... Widzę ją przed oczyma ducha ze wszystkimi jej dziwnymi załamami, z mieszaniną sprzeczności prawie niepojętą. I z tych sprzeczności zderwanej, dziwnej natury wynika to, że podczas gdy główny zbrodniarz, dziś milionowy pan i magnat, pośród przepychu i pozorów najwyższej ucziwości, przez lat 20 zapomina o spełnionej niegdyś zbrodni, to ów Morski czy tam Miller, będący tylko świadkiem czynu zbrodniczego i współuczestnikiem kradzieży, miota się przez ten cały czas, jak szalencie, po obszernym kontynencie Ameryki, walcząc ze sobą i sumieniem.... Właśnie ta walka dowodzi jego winy.

— Ale Mallory? — przerwał znów Homicz.

— Zaczekaj pan.... Wiadomo już nam przecież, jaką rolę odegrał w tej sprawie baron Adalbert. To on powziął myśl rabunku; on, będąc przyjacielem Śląskiego (a mam na to dowody), mógł wiedzieć o wyrazach, na

które ten najczęściej zamykał swą kasę, tem bardziej, że, jak wiemy z pamiętnika skazanego, były to zazwyczaj drogie dlań imię żony i nazwa wsi dziedzicznej; on mógł domieszać jakiś narkotyk do „cocktailu”, wypitego w salo-
o nie w dzień zbrodni przez Ślaskiego, czem na 24 godzin odebrał mu przytomność; on, odprowadziwszy Ślaskiego do domu, przebrał się w jego ubranie, a po spełnieniu zbrodni, krwa-
wą odzież i nóż mu podrzucił. . . . To wszystko proste i logiczne. Ale jednej rzeczy nie mógł wiedzieć Felsenstein. . . .

— Czego? — zapytał Gryziński.

— Tego, że w chwili zamknięcia kasy przez Ślaskiego znajdowała się tam tak znaczna suma. . . . Kto zna manipulacje bankowe, wie, że przypadkowo tylko w kasie podręcznej mogło pozostać na noc tyle pieniędzy. O tym fakcie wiedzieć mógł tylko ktoś, pracujący w banku, znający jego manipulacje, obecny w biurze przy zamknięciu kasy, a bodaj przy deponowaniu skradzionej sumy i brylantów.

— I sądzisz pan. . . .

— Sądzę, że tym „kimś” był Mallory, na-
ówczas klerk bankowy.

— Dla czego nie kto inny?

— Dla wielu przyczyn. . . . Dla tego naj-
pierw, że jest on jednym ze świadków w pro-
cesie. Piszą o tem Fox i Goggin. Był to nie-
wątpliwie świadek oskarżający. . . . Już to coś

znaczy. Są jeszcze i inne racje. Trzeba panom wiedzieć, że ja znam Mallory'ego i osobiście i z pewnych spraw.... znam także jego życiorys.... i w tym życiorysie brakło mi właśnie klucza do pewnej zagadki.

— I ten klucz?....

— Znajduję obecnie w przypuszczeniu udziału jego w sprawie Śląskiego.

— To ciekawe, do kroćset! — zaklął teraz Gryziński.

— Istotnie ciekawe, proszę panów — prowadził dalej Robbins — A najciekawszym sam ów Mallory, jako typ.... jako charakter. O ile wiem, jeden z panów — skłonił się zlekka Homiczowi — znał go trochę. Postać sama już maluje jego duszę. Robi on odrazu wrażenie człowieka żelaznej woli i siły charakteru. I istotnie jest takim. Kamienna to twarz i serce kamienne. Człowiek ten nie posiada równowagi uczuć, rozumu i woli. Uczuć bodaj wcale nie ma.. Jest opętany pewnego rodzaju manią, którą nazwałbym — manią przemysłu. Budować, tworzyć, produkować, puszczać w ruch zakłady przemysłowe — oto cel jego życia. Bóstwem jego — machina parowa. Ta „mania przemysłowa” — pozwolicie panowie, że utrzymam to wyrażenie, jako najtrafniejsze — jest równie strasznym i niebezpiecznym obłędem, jak wiele innych. Jestem przekonany, że dla uczynienia zadość tej manii Mallo-

ry gotów jest uczynić wszystko: nie cofnie się nawet przed zbrodnią....

— I faktycznie nie cofnął się — przewał Homicz głosem pełnym powagi — Ja mogę to poświadczyć....

Te słowa wywarły na Robbinsie duże wrażenie.

— Czy tak? — zapytał po chwili; a w głosie jego brzmiało zdziwienie.... — Ach, prawda! przypominam sobie, pan przez jakiś czas pracowałeś w „Excelsior Works” w Pennsylvanii.... — dorzucił, jak gdyby sam do siebie.

Myślał przez chwilę, aż zaczął znowu:

— No.... pomówimy o tem kiedyindziej. Teraz wrócimy do roli Mallory’ego w sprawie Śląskiego. Ta rola jest wyraźną. Człowiek, który, jak panowie sami twierdzicie, zdatny jest do spełnienia zbrodni, nie cofnąłby się przed rzeczą tak bagatelną, jak dopomożenie do rabunku bankowego przez udzielenie rabusiom wskazówki, kiedy kasę najlepiej zrabować.

-- Rozumowanie słuszne — zauważył Gryziński.

— I uczynił to — ciągnął Robbins — Uczynił dla pieniędzy, nie tyle może dla samych pieniędzy.... ile dla celów, które chciał przy ich pomocy osiągnąć. Obiecano mu część zrabowanej sumy — i dostał ją.

Karyera Mallory’ego była, w dwóch słowach, następująca:

Otrzymawszy gruntowne wykształcenie w Ameryce, jako inżynier, wyjechał do Europy i tam pracował przez lat kilka w różnych fabrykach i zakładach przemysłowych w Anglii, Francyi i Szwajcaryi. Tam, o ile się zda-je, rozwinęła się jego mania.... Potrzebował on większej sfery działalności i olbrzymiego ruchu fabrycznego; potrzebował rządzić, stać na czele tysięcy. Powrócił tedy do Ameryki i za pieniądze odziedziczone po rodzicach, a w spółce z paru jeszcze kapitalistami, założył wielką przędzalnię i fabrykę wyrobów bawełnianych w Stanie Massachussets. Było to na lat kilka przed wojną domową. Prowadził ją forsownie, z prawdziwym geniuszem przemysłowym — i był na najlepszej drodze do milionów. Gdy oto zaczęło się coś psuć. Nastąpiły zatargi z robotnikami; kredyt zbyt naprężony zaczął pękać; zapowiedzi przyszłej wojny domowej wywołały stagnację.... Bankructwo zdawało się niechybne.

Wtedy nagle zakłady Mallory'ego i Sp. spaliły się do szczerbku.

Jak tam było z tym pożarem, niewiadomo. Chodziły o nim różne wieści. Gadano nawet, iż Mallory sam fabrykę spalił... Bądź co bądź, sprawa była o tyle podejrzana, że towarzystwa asekuracyjne nie zapłaciły nic za spalone zakłady, a Mallory pozostał bez grosza. Zaczynała się teraz zawierucha wojenna.... Utonął w niej i był podobno na Południu. Niektórzy mówili,

że stręczył Południowcom przeciwko Północnym jakieś piekielne maszyny swego wynalazku.

Był potem, po wojnie, krótki czas urzędnikiem banku „Merchant's Trust & Loan Co.”

Dopiero coś przy końcu r. 1867 znalazł się znów w Pittsburgu w Pensylwanii. Wypłynął tam z kapitałikiem, który obliczano na 30 40 tysięcy dolarów. Ruch w przemyśle w owym czasie był ogromny. Mallory zaczął spekulować w węglach i żelazie — i oto po latach kilkunastu doszedł do potężnego stanowiska na czele „Excelsior Works”. Co tam się z nim stało przed laty kilku, wiecie panowie lepiej odemnie.

Opowiadania tego o losach Mallorego Homicz i Gryziński słuchali w skupieniu. Istotnie było ono ciekawe i niezwykle.

— Otóż — kończył Robbins — w karyerze tego człowieka wszystko prawie było mi jasnym.... Nie rozumiałem tylko jednego: z kąd ten człowiek miał kapitał, z którym na nowo zaczął budować swą fortunę w Pensylwanii? Teraz rozumiem.... Sprawa Śląskiego to wyjaśnia.

Istotnie to było jasnym. Zasłona, okrywająca tajemniczą sprawę Śląskiego, rozdzierała się powoli przed oczyma Homicza.

Teraz już z zupełną ufnością zaczął pytać Robbinsa o szczegóły zbrodni i kradzieży tak,

jakby ten był tego świadkiem lub posiadał nadprzyrodzoną władzę widzenia w przeszłości.

A Robbins opowiadał.

— Było to tak:

Około r. 1862 wylądował w New Yorku elegancki i piękny jeszcze mężczyzna w średnim wieku i zapisał się w hotelu, w którym mieszkał, jako „baron Adalbert” z Niemiec. Było to przybrane nazwisko Alberta hr. Felsensteina, przedstawiciela młodszej naówczas linii tego starożytnego rodu. Przypędziła go Ameryki lekkomyślność i nawet... coś więcej, niż lekkomyślność. Długi już dawno zmusiły go do wystąpienia z gwardyi królewskiej w Berlinie, w której był jednym ze świetniejszych oficerów. Ożenek z bogatą Polką, hrabianką Z..., nie wiele mu pomógł; rodzina żony nie pozwoliła mu roztrwonić jej majątku. Wtedy po pewnym czasie ukazały się nowe długi i nowe weksle, tym razem nawet z podpisem starszego brata barona. O ile były autentyczne te podpisy, rzecz mniejsza; dość, że weksle zostały wykupione.

Ale za to baron Albert musiał wyjechać do Ameryki....

Przybył do New Yorku ze znaczną sumką pieniędzy, udzieloną przez starszego brata i z zapewnieniem stałej pensyi miesięcznej; pieniądze zresztą strwonił szybko, a pensya nie wystarczała mu na cygara.... Spadał coraz ni-

żej w nowym świecie. Po paru skandalicznych zajściach, które o mało go nie doprowadziły do sądów poprawczych amerykańskich, opuścił wreszcie New York— i znalazł się po pewnym czasie na Południu... Wtenczas właśnie wrzała wojna domowa. Z biedy trochę, z wrodzonego zamiłowania do rzemiosła wojennego po części, baron Adalbert, jak się ciągle w Ameryce nazywał, wstąpił do szeregów Południowców. Tam właśnie spotkał się ze Ślaskim, którego po stłumieniu powstania 1863r. losy przypędziły także do Ameryki. Walczyli obok siebie, w jednym szeregu. Na biwaku wojskowym, pośród niebezpieczeństw forpocztowych, najłatwiej zawiązują się stosunki przyjazne, wyrastają zażyłości. Baron Adalbert zresztą był przy całym swoim zepsuciu wewnętrznym, na zewnątrz oficerem bardzo gładkim, miłym i dobrze wychowanym. Ślaski został przyjacielem barona.

Po skończeniu wojny domowej obydwu znajdujemy w New Orleans.

Ślaski, posiadający odpowiednie wykształcenie fachowe, wreszcie chętny do pracy, dostał posadę w banku. Baron Adalbert, zbyt wielki pan, ażeby zniżyć się do stanowiska klerka bankowego lub jakiegokolwiek innego zajęcia, wisiał w powietrzu.... Nieregularnie bardzo dochodziły go teraz zasiłki od rodziny z Europy; stopień wojskowy, z którym wyszedł z szeregów Południowców, nie dawał za-

dnej korzyści. Żył więc z łaski przyjaciół z wojska, najwięcej zapewne z łaski Śląskiego; zresztą, jak zwykle, uciekał się do różnych wątpliwych środków i środeczków.....

Bieda znów zaglądała mu w oczy.

Postanowił z nią raz skończyć, raz wypłynąć z mętów życiowych... Pomimo, że miał w Europie żonę, próbował wtedy zyskać względy pewnej młodej Amerykanki, córki milionowego plantatora i ożenić się z nią; ale plan ten się nie udał.... Wówczas o mało co nie popełnił samobójstwa. Lecz w ostatniej chwili tchórzostwo i zamięłowanie życia przemogło. Postanowił uczynić krok ostatni.

Rozumiecie panowie, że człowiek w tem położeniu, który bigamię uważał za drobnostkę, nie namyślał się już ani chwili w obec kradzieży.

Zamierzył okraść bank, w którym pracował Śląski. Myśl tę zapewne powziął kiedyś, odwiedzwszy biura banku. Może miał interes do Śląskiego, a może odbierał tam jakiś przekaz z Europy. Olśniły go kupy złota i tęczowe barwy banknotów.... Postanowił nie mi zawładnąć.

W jaki sposób? Myślał nad tem długo, a postępował zwolna, bardzo ostrożnie. Najprzód nie znał wcale urządzeń bankowych. Nie wypadało mu wypytywać się o takowe Śląskiego. Z góry już ułożył, że Polak będzie

ofiara, która w jakiś sposób odpowie za jego winę; że wyzyska przyjaźń Ślaskiego w celu dopełnienia rabunku....

Znalazł sobie przecież inną drogę do pozyskania informacji.

W owym czasie, za protekcją Ślaskiego, posłańcem czy też woźnym bankowym był przez czas krótki Ludwik Miller, Ślązak, również szeregowiec z wojska Południowców, który opuścił szeregi z przestrzeloną nogą. On posługiwał od czasu do czasu baronowi Adalbertowi — i od niego właśnie baron dowiedział się w pogawędce wielu szczegółów, dotyczących manipulacji bankowej.

Przekonał się, że rabunek w banku nie jest tak łatwy. Wielkie sumy pieniężne lub kosztowności, które w owych czasach często deponowano w banku, przechowywały się w wielkiem murowanem sklepieniu, obitem żelazem. Zamykano je na parę kluczy, a o podkopaniu się pod sklepienie i rozbiciu jego ścian, nawet w kilku ludzi marzyć było trudno. Znajdowała się w banku druga kasa, podręczna, ale w tej bardzo rzadko pozostawały na noc znaczniejsze sumy.... Zdarzało się to wyjątkowo, gdy wniesiono jakieś pieniądze już po zamknięciu sklepionego przedziału.

W jaki sposób dowiedzieć się o podobnym momencie?

Od Ślaskiego — nie. „Szlachetny” baron miał na niego swoje rachuby.... Wypy-

tując Śląskiego o tego rodzaju rzeczy, choćby pośrednio, niby niechęć, mógłby ściągnąć na siebie podejrzenie, które w następnie wynikłym procesie, jego samego mogłoby zaprowadzić — za daleko. Zgodził się więc na myśl i na konieczność przyjęcia do tej całej sprawy współnika. Ten współnik powinien być należec do personelu bankowego. Wzrok barona odrazu padł na Millera — i już nawet zwolna zaczął go badać i przygotowywać... gdy wtem, woźny Miller, za jakieś przekroczenie służbowe, dostał dymisyę.

Nić rwała się, trzeba było szukać kogo innego....

„Szlachetny” baron Adalbert zbyt już daleko posunął całą sprawę, ażeby miał się cofnąć. Szukał — i znalazł.... Już parę razy spotykał się z Mallorym i parę razy z nim rozmawiał. Ponury fanatyk przemysłu, rzucony na nędzne stanowisko klerka bankowego, wyłał przed nim raz, w chwili wzburzenia, swe aspiracye i plany. Do ich urzeczywistnienia potrzeba mu było — pieniędzy. Głupie 50 tysięcy, niechby 30, niechby już 25,000 dolarów, a Stany Zjednoczone i ich przemysł zrewolucyonizuje! Adalbert przerwał mu i rzekł, iż może mógłby mu dostarczyć taką sumę, gdyby.... Spojrzeli sobie w oczy — i zrozumieli się. Odbyli jedną i drugą konferencyę — i rzecz została ułożona.

Nadszedł wreszcie dzień fatalny.

Felsenstein, jak zwykle, o godz. 5ej, w chwili zamknięcia biur bankowych, znajdował się na stanowisku obserwacyjnym w oknie stacyjki, którą umyślnie naprzeciwko banku wynajął.... Patrzył z niecierpliwością i nerwowym niepokojem. Już od dwudziestu kilku dni oczekiwał umówionego sygnału od Mallory'ego — napróżno. Wtem nagle w drugim oknie banku na lewo mignęła biała chustka od nosa... Jakaś dłoń jak gdyby ocierała chustką od nosa spotniałą szybę. Skreśliła przytem jakiś znak specjalny na szybie.

Felsenstein zadrżał cały. To było hasło.

Należało działać.... Felsenstein szybko uporządkował odzież — i zbiegł ze schodów. W parę minut potem spotkał na ulicy Śląskiego w towarzystwie Mallory'ego i paru innych urzędników banku, którzy dopiero co opuścili biuro. Ktoś zaproponował wstąpienie na *drink*. Przyjęto. Wszyscy weszli do sąsiedniego saloonu i tu nastąpiła scena z „cocktailem”. Baron Adalbert był zdecydowany w jakiś sposób pozbawić na pewien czas Śląskiego przytomności; nie wiedział jeszcze, jak to zrobić. Dla tego właśnie wybiegł na ulicę, ażeby go spotkać i szukać sposobności.

Ta sposobność zdarzyła się właśnie w saloonie.

Przy barze panował gwar. Rozmawiano głośno. Urzędnicy bankowi stali szeregiem przy „barze”, oczekując na „cocktail”, który

przygotowywał bufetowy. Zapadał wczesny zmrok zimowego wieczora — i dopiero zapalano gazy w dużej, wspaniałej izbie „saloonu“. Baron Adalbert stał na krańcu szeregu, obok Ślaskiego. W tej chwili właśnie bufetowy postawił przed Ślaskim kieliszek z brunatnym trunkiem; Ślaski był obrócony tyłem do barona, bo stojący z drugiej jego strony Mallory, ciągnąc go za guzik, opowiadał mu jakąś zajmującą anegdotę. Felsenstein trzymał w zacisniętej ręce szklanne naczynie z narkotykiem.... Jeden ruch ręką — i parę maleńkich czerwonych ziaren, proszków raczej, spadło do kieliszka Ślaskiego, mieszając się z takiejże barwy korzennymi ingrediencyami, stanowiącemi niezbędne uzupełnienie amerykańskiej mieszanki.

Trwało to sekundę....

Nikt tego nie widział — nikt. Tylko twarz Mallory'ego, który przez ramię Ślaskiego patrzył w stronę Felsensteina, skrzywiła się jakoś nienaturalnie. Skończył właśnie swą anegdotę — i śmiał się na całe gardło swoim potężnym, ciężkim śmiechem.

Co było dalej, opowiada pamiętnik Ślaskiego.

Narkotyk zrobił swoje, prędzej może, aniżeli chciał baron Adalbert. Odprowadzony przezeń do domu Ślaski stracił przytomność na 24 godzin. Przez ten czas jego „przyjaciel“ działał. Pożyczył sobie od niego odzienia, klu-

cza od biura i klucza od kasy ogniotrwałej. Słowo, na które była zamknięta kasa, jak sądził, znał. Było to albo „Josephine“ albo „Bronowo“. Gdyby to zresztą go zawiodło, gdyby Śląski zmienił to słowo,— wszystko byłoby stracone.... Na samą tę myśl, pot śmiertelny przechodził przez plecy Felsensteina. Ale co robić! Grał... Mógł przegrać i wygrać.

Zciemniło się już zupełnie, gdy wychodził, przebrany w suknie Śląskiego, z jego mieszkania.

Podniósł wysoko kołnierz paletota. Wzrost i tuszę miał jednakową ze Śląskim. Szedł po schodach powoli. Każdy, ktoby go spotkał, musiałby go na pierwszy rzut oka wziąć za Śląskiego.....

W tem miejscu Robbins zatrzymał się nagle ze swem opowiadaniem. Po chwili rzekł dopiero:

— Tutaj, widzicie panowie, spotykam jeden punkt niepewny.... Faktem jest, że w dalszej akcji brał udział Miller, obecnie Moriski. Jak to się jednak stało, nie mogę rzecz stanowczo. Czy Felsenstein, który, bądź co bądź, bał się spełnić kradzież sam, umówił się z nim poprzednio? Czy też przeciwnie stało się to przypadkiem?.... nie wiem. Skłaniam się do ostatniego przypuszczenia. Wyobrażam sobie, że wychodząc w nocy z mieszkania Śląskiego, w ubraniu tego ostatniego, Felsenstein spotkał Millera, a ten go poznał.... Mógłby

stać się niebezpiecznym świadkiem przeciw Felsensteinowi. Położenie staje się krytycznem! Wtedy nasz baron wpada na myśl nową, a śmiałą. W paru słowach objaśnia Millerowi, o co mu idzie — i bierze go do pomocy. Felsenstein, bądź co bądź, to natura silna i imponująca..... Wola panuje nad miękkim i zmiennym charakterem Millera-Morskiego i czyni go swoim współnikiem.

Robbins przeciągnął dłonią przez swe rzadkie włosy — i dodał:

— Tak.... w samej rzeczy tak być musiało.

Homicz i Gryziński skinieniem głowy wyrazili aprobatę tego przypuszczenia. Robbins ciągnął zaś dalej:

— Nie jest celem moim wywoływać sensacji i malować ponure obrazy zbrodni.... Fakt znane wam wykazują jasno, w jaki sposób została spełniona kradzież i zabójstwo woźnego Casey'a. Nastaje na to, że cios śmiertelny woźnemu zadał nie Miller, ale baron Adalbert. Wynika to z całego szeregu faktów i obserwacji, wynika przedewszystkiem z dalszych postępów Millera-Morskiego.... Przez całe życie przeraża go ta zbrodnia, a w obec jej sprawy uczuwa przestrah niesłychany; jego widzi w swych halucynacjach. Zresztą zbrodnia została spełniona sztyletem, a broń taką mógł posiadać Felsenstein, Ślaski wreszcie, ale nie Morski.

Robbins zamilkł — po chwili dopiero rzekł:

— Tak więc ustanowiliśmy w ogólnych zarysach stosunek uczestników tej sprawy.... Wiemy, kto jest winien i w jakim stopniu. Za wiele zajęłoby nam czasu, gdybym zaczął panom objaśniać, w jaki sposób doszedłem do takiego, a nie innego odtworzenia tych szczegółów. Chciałbym się dowiedzieć jednej rzeczy: Czy według tego, co wiecie o sprawie, wydaje się to, co wam mówiłem, logicznem, konsekwentnem, prawdopodobnem?

— Najzupełniej — była zgodna odpowiedź Homicza i Gryzińskiego.

— W takim razie możemy przystąpić do dalszych wypadków — odrzekł Robbins.

V.

Przez chwilę namyślał się, wreszcie znów zaczął mówić.

— Ważną jest teraz rzeczą wyjaśnić, co robili moralni i czynni sprawcy kradzieży i zabójstwa, po spełnieniu tych czynów występnych.... Uczynię to w paru słowach.

Nazajutrz wczesnym rankiem odkryto zbrodnię. Mniejsza o to, kto zrobił to odkrycie pierwszy i jak. Dyrektorowie banku wezwali policję, a ponieważ została okradziona kasa, pozostająca między innemi pod kluczem Ślaskiego, pierwsze przyszło wszystkim na myśl jego nazwisko. Nie przybył on do biu-

ra. Ztąd podejrzenie. Wyszukano tedy jego mieszkanie — i wywalono drzwi.

Wiemy już z pamiętnika Ślaskiego, co za stanowcze dowody jego winy znalazła tam policja.

Nie potrzebuję dodawać, że te dowody, jako to sztylet, odzież zakrwawioną, parę banknotów z liczby skradzionych i pierścień kompromitujący podrzucił w mieszkaniu Ślaskiego „szlachetny“ baron Adalbert. To też wina Polaka była jawną. Bronił się on, jak mógł, ale co mógł uczynić? Oskarżyciele na wszystko znajdowali wyjaśnienie.

To, że nie uciekł, lecz apadł w sen nie-naturalny, przypisywano obezwładnieniu trunkiem....

Felsenstein miał tyle rozumu, że obok łóżka Ślaskiego porzucił wypróżnioną butelkę rumu, to też prokurator w sądzie zapewne mówił tak:

— Zbrodniarz, ukrywszy pieniądze i klejnoty, wraca do siebie, ażeby zmienić odzież.... Lecz oto jego nerwy, dotąd strasznie naprężone, słabną.... Nie może ustać na nogach.... Ukazuje mu się widmo ofiary. Ale on liczył na to: chwytając przygotowaną butelkę z napojem spirytualnym i szuka w niej siły. Przeliczył się jednak: wysączywszy płyn ognisty, upada nieprzytomny na łożo. I oto trunek, który miał mu dać siły do uniknięcia pościgu, oddał go

właśnie w ręce sprawiedliwości. W nałogu, który dotąd tak skrzętnie ukrywał, znalazł swą zgubę i karę!

Tak zapewne mówił podczas procesu Śląskiego prokurator, wskazując wyciągniętą dłoń przysięgłym oskarżonego, jako typ wszelkiej hypokryzyi i zbiorowisko wszelkich zbrodni.

I przysięgli uczuwali słuszne oburzenie.

Bo też winowajca był uparty. Wzywano go, ażeby się przyznał. Mówił: — Jestem niewinny. Pytano go o współników — i o to, gdzie ukrył skradzione przedmioty? odpowiada: — Nic nie wiem!

To też nie dziw, że został skazany na najsurowszą karę.

Co tymczasem robił baron Adalbert? Naturalnie podzielił się najpierw pieniędzmi z Mallorym. Ten wziął zapewne jakie \$30,000 — te właśnie, z których później urosła jego fortuna w Pensylwanii. Obaj byli świadkami w procesie Śląskiego. Obaj zeznali, że widzieli Śląskiego, idącego późnym wieczorem w stronę banku. Zeznanie Mallory'ego broniło nawet Felsensteina przed ewentualnemi podejrzeniami, bo Mallory zeznał, iż większą część nocy z nim przepędził.

Byli także i inni świadkowie, przeciw oskarżonemu, fałszywi czy prawdziwi — mniejsza. Stało się! — Śląski został skazany.

Z Morskim tylko Felsenstein miał kłopot.

Wszystko zdaje się wskazywać, że zaraz po spełnieniu zbrodni, kiedy od sprawcy, barona, dowiedział się o zabójstwie Caseya, gdy ujrzał krew zabitego, Morski uciekł... Uciekł, nie otrzymawszy nawet swej części z rabunku. Błądził on, pędzony grozą i strachami sumienia, po okolicach New Orleans, a przybył dopiero wtedy, gdy Ślaski był już osądzony. Było to zapewne na parę dni przed jego egzekucją. Co wtedy się stało? Odgadnąć dokładnie trudno. Żyje Morski i dobrze wzięty w kluby, sam na to odpowie. Ja mniemam, że pod wpływem wyrzutów sumienia chciał najpierw ratować Ślaskiego, a więc pójść do sądu i wyznać wszystko. Ale zobaczył go Felsenstein. Groźbą czy w inny sposób skłonił Millera-Morskiego do zaniechania tych zamiarów.... Koniec końcem, Morski znikł z New Orleans przed egzekucją Ślaskiego, niewątpliwie unosząc ze sobą część łupu, pochodzącego z rabunku w „Merchant's Trust & Loan Co.”

— Co się stać miało, stało się.... Nie winny zapłacił krwią i czią za winnych. Oto i cały dramat....

Robbins zakończył. Gdy wymawiał ostatnie słowa, głos jego drżał głębokim wzruszeniem; czuć w nim było nieomal łzy.

Przez długą chwilę pozostawali pod wrażeniem tego opowiadania Gryziński i Homicz.

Wreszcie Gryziński zaczął się zastanawiać. Jego krytyczny umysł otrząsnął się odrazu z wrażenia — i pytał: — Gdzież jednak pozytywne dowody tych twierdzeń? Jakie źródła informacji, które posłużyły do stworzenia obrazu?

Wyraził to zapytanie głośno. Robbins odpowiedział.

Miał istotnie niektóre specjalne informacje. Z Mallorym znał się osobiście — i poznał go w toku innych spraw. Co do Felsensteina, zajrzał do Almanachu Gotajskiego i znalazł tam niektóre daty z jego życia. Czytając je, przypomniał sobie, że przed paru laty w jednej z gazet nowojorskich ukazywały się ciekawe felietony, podpisane pseudonimem „Countess Vasilieff”, a opowiadające o rodach królewskich, książęcych i arystokratycznych Europy, wykazujące zakulisową tychże rodów historię i różne ploteczki z tego umitrowanego i herbowego świata; w felietonach tych opowiedziano także historię rodu Felsensteinów. Zwróciła ona w swoim czasie uwagę Robbinsa. Przypomniał sobie, że owe felietony wyszły nawet w oddzielnej książce. Odszukał ją — i znalazł tam obfity materiał do charakterystyki barona Alberta. Ma się rozumieć, musiał umieć czytać w owej książce — między wierszami.

— W podobny sposób — kończył Robbins — gromadziłem i inne moje informacje... Panowie dostarczyliście mi dość faktów. A bra-

ki wypełniła fantazyja — i logika. Nie ręczę, że wszystkie drobiazgi mego opowiadania są ściśle zgodne z faktami, ale są one prawdopodobne. Za to główne fakta nie mogły być inne.... tego jestem pewny.

Homicz aprobował to skinieniem głowy; Robbins ciągnął dalej:

— Nie o to zresztą idzie.... Rozumiem ja dobrze sens główny kwestyi, postawionej przez p. Gryzińskiego. Idzie mu o to: jakie mam dla sądów, dla świata, dowody pewne i prawne moich twierdzeń?

— Tak jest — potwierdził Gryziński.

— Otóż to właśnie stanowi drugą część naszej pracy... Logicznie wynika ona z pierwszej. Ja sam już mówiłem panom, że przed sąd z tem przeświadczeniem moralnem, jakie mamy we trzech, przyjść nie można. Trzeba faktów.... I zapewniałem panów, że takie fakta znajdziemy.

— W jaki sposób? — pytał znowu Gryziński.

— Na zapytanie to teraz po części tylko odpowiedzieć byłbym w stanie.... Plan kompletny ułożę dopiero wtedy, gdy poznam faktyczny przebieg procesu Śląskiego, a nastąpi to dziś....

Gryziński spojrział pytająco na Robbinsa.

Ten wyjął z kieszeni zegarek.

— Kwadrans po pierwszej — rzekł — Za 15 minut służąca oznajmi, że obiad jest gotów...

Jadam punktualnie o wpół do 2ej. Na obiadek ten panów zapraszam. Prosty jest, ale smaczny. Nie, nie... nie protestujcie panowie; to postanowione. Jesteście po za Chicago, a nasze miasteczko kiepskie posiada restauracye. Zresztą obecność panów u mnie jest jeszcze potrzebna. Spodziewam się, iż około godziny drugiej posłaniec kompanii ekspresowej przyniesie mi tutaj pewną paczkę.

Uśmiechnął się — i podniósł palec do góry.

— Coś bardzo, bardzo ważnego!

— Czy dla naszej sprawy? — pytał Homicz.

— Tak jest....

— I cóż to takiego? — przerwał niecierpliwy Gryziński.

— Co?... Nic więcej, jak tylko rocznik „Leadersa” z r. 1867, ten właśnie, o którym pisali w wiadomym raporcie do panny Śląskiej Fox i Goggin z New Orleans.

Podziw Homicza i Gryzińskiego nie miał granic.

— Jak? co? w jaki sposób doszedłeś pan do posiadania tego ważnego dokumentu? — pytali obydwaj.

— W sposób bardzo prosty.... Kazałem go kupić memu agentowi w New Orleans. Zrobił to przed nosem Foxa i Goggina. Ci ludzie są to oszuści i łotrzy. Mam na to dowody. Nie tylko nie pracują oni w interesie panny Śla-

skiej, która im za to płaci; ale przeciwnie, działają przeciwko jej interesom. Zamiast rozjaśnić sprawę, zaplątują ją i gmatwają.

— Dr. Gryziński pierwszy mi to mówił — wtrącił Szczepan.

— I miał rację ... Dla mnie jasnym jest, jak słońce, że Fox i Goggin są przepłacani przez kogoś, ażeby właśnie sprawę tak zaciemnili, żeby nigdy w niej nie można było nic dojrzeć. Tym „kimś“ zaś nie może być nikt inny, jak baron Felsenstein z Berlina.

Te słowa stanowiły dla naszych dwóch przyjaciół istne objawienie.

W samej rzeczy i Homicz i Gryziński zastanawiali się nieraz nad tem: w jaki to sposób stać się mogło, że pomimo trzyletniej z górą pracy, pomimo tak kosztownych zabiegów i poszukiwań, agencya new-orleańska nie wykryła nic, nie znalazła żadnej nici przewodniej, nie rzuciła ani jednego promienia światła na tajemnicę z przed lat 21. Oświadczenie Robbinsa wyjaśniło im teraz wszystko.

Gryziński aż w łysinę się uderzył — i rzekł:

— Że też to, do kroćset, mnie staremu głupcowi nie przyszło na myśl!

-- Otóż rozumowałem sobie tak: — ciągnął tymczasem Robbins — Jeśli w samej rzeczy Fox i Goggin są agentami barona, to nie ma nic dla nas gorszego, jak wpadnięcie tego rocznika w ich ręce. Coby z nim zrobili? Zni-

szczyliby go lub sprzedali za grube pieniądze Felsensteinowi. Byłby to dla nas cios najdotkliwszy.

— Istotnie — zauważył Gryziński.

— To też postanowiłem temu zapobiedz.... Już przed tygodniem, zaledwo tylko przejrzałem papiery, poleciłem telegraficznie memu agentowi w New Orleans wyszukać ów rocznik i kupić go za jakąkolwiek bądź cenę. Polecenie to zostało wykonane. Onegdaj odebrałem telegram, że książka została wysłana przez ekspres. Podług moich obliczeń, za pół godziny będę miał ją tu w domu.

Robbins skończył, a Szczepan podniósł się teraz z miejsca — i uścisnął mu silnie dłoń.

Był głęboko wzruszony.

— Panie! — rzekł krótko — jesteś nie tylko człowiekiem rozumu, ale i człowiekiem zacnym, człowiekiem serca. Jestem i będę pańskim dłużnikiem na zawsze.

I Robbinsa wzruszyły te słowa.

Chciał coś odpowiedzieć, ale we drzwiach stanęła stara gospodyni i powiedziała:

— Obiad na stole.

W pół godziny potem, po skończeniu obiadu, podczas którego rozmawiano o rzeczach postronnych, Robbins zaprosił znowu Homicza i Gryzińskiego do swego gabinetu.

Podano tam czarną kawę i cygara.

— Za pięć minut druga — zaczął Robbins — Spodziewam się, że posłaniec kompanii ekspresowej będzie punktualny.... Tymczasem możemy na chwilę wrócić do zajmującego nas przedmiotu.

— Zgoda — odrzekł Homicz.

— Otóż, rozumiecie teraz panowie, dla czego przed chwilą wstrzymałem się od kreślenia dalszych naszych planów. Idzie nam o zdobycie dowodów niewinności Śląskiego, a winy tamtych. Plany różne pod tym względem, jak mówiłem, już mam. Ale rocznik „Leadersa”, który w tej chwili nadejdzie, da nam nowe fakta, szczegóły, nazwiska, słowem wskaże nowe ślady, za którymi iść będziemy mogli. To też....

W tej chwili odezwał się dzwonek u drzwi.

— To ekspres! — zawołał Robbins i zerwał się z miejsca.

Pobiegł szybko ku drzwiom, prowadzącym do sieni. Gdy za chwilę powrócił, niósł z tryumfem dość wielką i ciężką paczkę.

Było to pudło drewniane, czworoboczne, niskie, dość duże.

Jedna chwila — i przy energicznej pomocy Homicza Robbins oderwał wieko pudła. Ukazała się w nim starannie opakowana wielka księga, której oprawa, pomimo lat, była zachowana wcale dobrze. Gospodarz domu porwał gorączkowo księgę i poniósł ją na biurko. Roz-

tworzył książkę — i oto na pierwszej stronnicy ukazał się jej nagłówek:

„New Orleans Leader“.

Był to numer 1szy z d. 1go stycznia 1867 r. Za nim szły numera następujące.

— Hurra! — zawołał na ten widok Gryziński — nasza górą.....

Ale Robbins nie bawił się w objawy radości; pilno mu było do czynu.

— Jakiego dnia odbywał się proces Słaskiego w New Orleans? — zapytał niecierpliwie Homicza.

— Nie wiem dokładnie — odrzekł — ale data wykonania wyroku śmierci była 12 marca 1867 r. Przestępstwo samo zostało spełnione w grudniu roku poprzedniego.

— W takim razie proces musiał się odbywać w początku lutego lub w końcu stycznia.

I szybko, gorączkowo zaczął przewracać kartki księgi.

Nagle pobladł, jak płótno.....

Ręka, którą trzymał kartkę rocznika gazety, drżała mu, jak liść osikowy. Gniew i żal wybił się na twarzy.

— Jesteśmy okradzeni..... — zawołał głosem ochrypłym od wzruszenia.

Gryziński i Szczepan nie zrozumieli z początku. Ale gdy poszli wzrokiem za kierunkiem, w którym wskazywał palec badacza ta-

jemniczych przestępstw — i na ich twarzach odbiły się zdziwienie i gniew.

Spotkała ich przykra niespodzianka.

Kilkanaście czy kilkadziesiąt kart było wyciętych z księgi!

Jakaś nieznana ręka wystrzygła je równo, tuż przy samej oprawie.... Nie można było wątpić: uczynił to ktoś, kto chciał, ażeby w ręce Robbinsa nie dostał się opis procesu Śląskiego. Niewątpliwie wycięte numera musiały być te same, w których znajdowało się sprawozdanie z procesu.

Parę chwil wystarczyło do sprawdzenia, że tak jest w istocie.

Robbins podniósł teraz z ponad książki twarz ciągle bladą.

— To robota tych łotrów Foxa i Goggina.... — rzekł — Ale będzie to już ich ostatnia sprawka. Zapłacą za nią!

I pogroził w powietrzu palcem.

Homicz i Gryziński mocno byli zafrasowani.

— Cóż teraz będziemy czynili? — zapytał ten ostatni. Widocznie, uważał teraz sprawę niemal za przegraną.

Ale mały człowieczek, Robbins, już odzyskał poprzednią pewność siebie. Uśmiech już igrał na jego wargach. Wskazując gościom swoim miejsce przy biurku, rzekł:

— Siądźmy i pogadajmy. Ponieśliśmy drobną porażkę, ale to mniejsza.... Odegra-

my się kiedy indziej. Tymczasem zaczniemy działać i bez „Leadersa“ z roku 1867. A potem?... Zobaczymy. Niepodobieństwo, żeby nie było w całej Ameryce więcej egzemplarzy tej lub innej ze współczesnych gazet.

VI.

Tegoż samego dnia, nad wieczorem, rozgrywały się następujące sceny w pobliżu St. Joseph, w Stanie Missouri.

O jakie 2 mile od miasta, tuż na skrócie rzeki, gnieździ się pośród krzaków na pół rozwalona chatka.

Pusto tu i głucho... Przez wybite okienko widać w chałupce parę narzędzi rolniczych, parę naczyń, ławę spruchniałą i wiele pajęczyny. Z poza krzaków szumi mętnemi falami rzeka. O paręset kroków od chatki widzimy parę stogów siana, każdy pod drewnianym dachem. Dalej — łąka szeroka, rozplywająca się w przestrzeni, ciemno-szmaragdowa w zapadającym powoli zmroku.

Widocznie jest to szmat ziemi, należący do jakiejś sąsiedniej farmy.

Łąka ta dostarcza farmerowi siana. W dni pokosu lub zwózki gwaro tutaj; kiedy indziej panuje cisza martwa.

Niktu nie mieszka. Na pozór niema tu nikogo. Chociaż... pozory często mylą. I istotnie tym razem były one omylne. W tym samotnym zakątku znajdowali się jednak ludzie.

Było ich dwóch. Jeden ukrywał się, drugi go śledził.

Zmrok już zapadał, gdy w jednym ze stogów objawił się ruch.

Kilka garści siana osunęło się z boku — i ukazał się otwór. Z tego otworu wysunęła się najpierw z wielką ostrożnością rozczochrana głowa; oczy jej rozglądały się dokoła, jak gdyby chcąc przeniknąć półmrok i przekonać się, czy w pobliżu niema jakiego niebezpieczeństwa.... Upłynęła chwila. Badanie to widocznie wydało rezultat zadawalniający, bo oto za głową wysunęła się i reszta ciała. Postać, która teraz się ukazała, nie była zbyt ponętą; postać to typowa amerykańskiego włóczęgi (trampa). Odzież w nieładzie; na głowie słomiany kapelusz o dziurawem dnie; buty wykrzywione; siano we włosach; twarz brudna i zaspana, okolona długą roztarganą brodą czarno-siwawą — oto główne cechy tej postaci.

Gdy wysunęła się ona naprzód, pierwszym jej ruchem było podniesienie rąk do góry i przeciągnięcie się długie i energiczne.

— Aaa.... — zabrzmiało przeciągłe ziewanie.

Widocznie ów człowiek dopiero co zbudził się z długiego snu. Przeciąganie się i ziewanie zajęło mu prawie minutę. Gdy z niem skończył, zdawał się nad czemś namyślać. Pukał palcem w czoło — i mruczał coś pod nosem.

Oto treść główna owego mruczenia:

— W dyabelne wpadłeś, bratku, sidła... Na psy zeszedłeś. Od wczoraj wieczorem nic nie miałeś w gębie. Apartament masz taki, że psy by ci go nie pozazdrościły. Grosza przy duszy nie masz; łachy z ciebie spadają. A co najgorsza, to że w każdej chwili mogą cię wsadzić do kozy. Brr....

Splunął i zaklął siarczyście.

— No, mój Bołku — mówił znów po chwili do siebie — nigdy jeszcze chyba nie znajdowałeś się w podobnie głupich tarapatach. Ale, bądź co bądź, musisz z nich raz wyjść. Nie sztuka być w szczęściu, spać na złotogłowie i opychać sobie żołądek polędwicą z truflami, a pieniędzy mieć, jak lodu.... To każdy dureń potrafi! Ale być na dnie, w najgłupszem w świecie położeniu, a pomimo tego wydostać się na wierzch — to sztuka, a taką sztukę dokonać potrafi tylko człowiek w całym tego słowa znaczeniu.

Uderzył się pięścią w piersi — i rzekł już na cały głos:

— Dowiedz-że, synku, że jesteś takim człowiekiem.... A jeśli tego nie uczynisz, sam będziesz miał prawo nazwać się kpem!

Przez chwilę jeszcze myślał i coś mamrotał.

Wreszcie powziął postanowienie.

— Idziemy do miasta — mruknął — Kto

nie ryzykuje, ten nic nie ma.... Raz kozie śmierć! A zresztą, czyż, do stu tysięcy szatańców, mam napisane na czole, że mnie poszukują za tę głupią sprawę w Chicago?

Podniósł kij sękaty, leżący na ziemi i skierował się na prawo.

Trafił na ścieżkę, wijącą się wśród trawy — i szedł nią teraz szybko. Pogwizdywał sobie, a od czasu do czasu wymachiwał rękami i mówił coś do siebie.

Układał plany działania.

Dopiero w chwili, gdy wyruszył z miejsca, objawiła się w tem pastkowie obecność i drugiego człowieka. Jeśli tamten, jak to przeglądało z jego własnych słów, był zwierzyną, tropioną przez policją, — to ten był widocznie ogarem.

Ukrywał się on, przyczajony, za drugim stogiem siana.

Teraz podjął się i wyprostował swoją długą i chudą postać. Ubrany był dość przyzwoicie. Twarz jego ginęła w cieniu szerokich kres czarnego, miękkiego kapelusza. Zmrok teraz już zapadał, ale na szafirowe niebo wypłynęły gwiazdy i ukazał się rąbek księżyca. Na tle ciemno-szafirowej przestrzeni, jak ciemne plamy, odcinały się sylwetki stogów siana, chałupki — i dalej poruszająca się szybko na ścieżce postać włóczęgi.

— A.... nasz ptaszek fruwa. Idźmy za nim — rzekł do siebie wysoki człowiek i za-

śmiał się po cichu dość nieprzyjemnym śmiechem.

Teraz, z ogromnemi ostróżnościami zaczął i on posuwać się zwolna naprzód. Nie chciał, ażeby idący przed nim spostrzegł, że jest śledzony. Nie było to zadanie łatwe, ale też wysoki mężczyzna nie był widocznie w zawodzie ogara nowicyuszem....

Gdy w pół godziny potem wchodzili do miasta, człowiek, idący przed nim, ani się domyślał, że miał przez całą drogę idącego wślad za nim towarzysza.

Uliczka, na której się teraz znaleźli, była dość pusta i słabo oświetlona. Małe domki kryły się w półcieniu po za ogródkami, a tylko w dwóch czy trzech miejscach jasno oświetlone okna składów rzucały jaśniejsze smugi światła na ulicę. Rzadko tylko przesuwali się po chodniku przechodnie.

Śledzony włóczęga zbliżył się do jednego z tych oświetlonych okien.

Było to okno saloonu.

W głębi, po za szybą, niedostatecznie zakrytą jakąś czerwoną płachtą w rodzaju firanki, widać było w świetle kopcących się lamp naftowych dość brudną „barę” z ustawionemi po za nią butelkami; z boku były beczułki. Dwa czy trzy stoliki uzupełniały umeblowanie tego szyneczku, brudnego i pospolitego. Przy jednym ze stołów, gospodarz, gruby, kosooki

Niemiec, grał w karty z jednym z gości; na drugim położył się i spał jakiś widać niezbyt trzeźwy gość.... Zresztą w saloonie nie było nikogo.

Włóczęga stał przed oknem i trząsał się od zimna.

Oko jego przebiegało po szeregach butelek różnorakiej barwy i formy, stojących na pułkach; ślizgało się po okrągłych beczułkach — i pieściło się widokiem „free lunchu” (bezpłatnej przekąski), wystawionego na stole w głębi. Człowiek ten uczuwał, że mu nabiega na język cierpka i gorzka ślina.

Potrzebował jeść i pić.

W tej chwili ominął go strach przed sprawiedliwością; zapomniał o wszelkich daleko sięgających planach, jakie snuł przed chwilą.... Głód i pragnienie nad nim zapanowały, palące, ze zwierzęcą siłą.

Na wszystko był teraz gotów.

Ukradnie, będzie zebrał.... wszystko zrobi.... ale musi zaspokoić głód!

Decydować się musiał prędko; już chciał wejść do saloonu, gdy oto los uśmiechnął mu się sam.

Los przedstawił się włóczędze w postaci owego draba, który go śledził przez całą drogę od nadrzecznego pustkowia farmerskiego aż do miasta. Śledzący stanął teraz za śledzonym — i z ukosa studyował grę jego twarzy.

Mówiła ona aż zanadto wyraźnie: jeść mi się chce!

Śledzący powziął w tej chwili jakąś myśl, zdaniem jego bardzo szczęśliwą, bo uśmiech zadowolenia ukazał mu się na twarzy. Uderzył w ramię dość silnie stojącego przed nim włóczęga, aż ten drgnął i obrócił się ku niemu w postawie na pół obronnej. Ale drab śledzący go śmiał się teraz na całe gardło.

— Nie masz się co strachać, bratku....
— mówił głośno, ochrypłym głosem, po angielsku — Nie chcę ci zrobić nic złego. *Sure!*

Włóczęga patrzył nań z podełba, pytająco.

— Ot widzisz — ciągnął dalej drab głosem, któremu chciał nadać ton gburowatej dobroduszości — jestem sobie tylko biednym robotnikiem, ale człowiekiem uczciwym... Szczególniej nie mogę znieść widoku takiego, jak ty, robaka, co mu od ostatniego śniadania upłynęło ze sześć miesięcy, a w brzuchu burczy, niby w tartaku parowym.

Roześmiał się głośno z własnego konceptu — i dodał:

— Nie jadłeś?

— Nie.... — odrzekł cichym głosem, spuszcżając oczy włóczęga.

— To chodź.... — wskazał ręką na drzwi saloonu — Dostaniesz co chlapnąć i zeżreć. Mam jeszcze w kieszeni parę „kwodrów”.

Włóczęga nie chciał wierzyć sam swoim uszom. Co za szczęście nań spadało!

Kiedyindziej przyjąłby tak obcesową propozycję z pewnem niedowierzaniem. Teraz czuł tylko wdzięczność. Nie wiedział nawet, jak ją wyrazić. Skinął po prostu głową — i za wysokim drabem skierował się ku drzwiom saloonu. Ten ostatni śmiał się w duchu.

Mówił sobie:

— Dobry mi się trafił pomysł. . . . Po kiego dyabła miałbym za nim latać po różnych dyabelskich wertepach i dziurach, skoro mogę się z nim łatwo zaprzyjaźnić i przywiązać go do siebie tanim kosztem? On wtedy będzie za mną biegał, jak pies na postronku. . . .

Usiedli przy trzecim stole. Wysoki drab zażądał wódki i piwa; a włóczęga przyniósł sobie ze stołu z „free lunchem” potężną porcję kiełbasy i grochu.

Zajadał, jak ludożerca.

Mdłe światło wiszącej lampy oświetlało zakąt, w którym siedzieli. Twarze obydwu znajdowały się niemal w cieniu. Fundator milczał; widząc wreszcie, że uczta włóczęgi zbliża się do końca, chciał coś przemówić.

Zrzucił kapelusz o szerokich skrzydłach — i wtedy wyraźniej w słabem świetle lampy ukazała się jego nieprzyjemna, czerwona i trędowata twarz.

Włóczęga po raz pierwszy spojrział swemu fundatorowi prosto w oczy. Spojrział i onie-miał. Niedojedzony kawał kiełbasy wypadł

mu z ręki.... Wstał z miejsca nagle, jak gdyby sprężyną w górę wyrzucony — i zawołał:

— Szymek Zawalidroga!

Teraz i twarz włóczęgi ukazała się w pełniejszym oświetleniu. Drab, którego nazwano tem znanem nam już nazwiskiem, przyglądał się jej przez chwilę z nateżoną uwagą. Trudno mu było przypomnieć sobie te rysy, tak niefortunnie przez nędzę zmienione. Wreszcie znalazł.

— Kaliski! — ryknął.

I dwaj łotrzy rzucili się sobie w objęcia. Śledzony i śledzący poznali się — i na nowo pokumali.

Stało się to niejako odruchowo. Nawet występpek wytwarza pewnego rodzaju koleżeństwo — i właśnie ono to objawiło się w ruchu, który wywołał uścisk dwóch łotrów. Rozstali się wprawdzie ze sobą, akurat przed uwięzieniem Kaliskiego w Pennsylvanii, w sposób nie bardzo przyjazny, bo Zawalidroga, czując pismo nosem, okradł Kaliskiego z paruset dolarów i ważnych papierów — i uciekł.... Ale taka drobnostka pomiędzy takimi, jak on i były jego zwierzchnik, kompanami, nie liczyły się prawie. Zresztą, czyż następne wypadki nie okazały, jak na dłoni, iż Szymek, uciekając, miał rację?..... Wszakże, gdyby pozostał dalej z Kaliskim, napewno podzieliłby jego los w więzieniu.

Spotkawszy się w tak niespodziewany sposób, rozczulili się obydwoj.

W innych warunkach, widząc Kaliskiego w dobrobycie, Szymek starałby się może uniknąć widzenia z nim. Obawiałby się zemsty; a Kaliski może chciałby na nim tę zemstę wyrzucić... Obecnie, na razie przynajmniej, Szymek nie potrzebował się niczego obawiać od włóczęgi, którego ratował od głodu; a Kaliski słusznie przypuszczał, że drab, który go kiedyś okradł, poczuje się do obowiązku częściowego przynajmniej wynagrodzenia mu owoczesnej krzywdy.

Pchała ich do siebie wzajem sympatya i po części interes; chociaż jednocześnie przychodziła obydwom do głowy i refleksya.

Szymek Zawalidroga kazał znów dać wódki na tak szczęśliwe spotkanie się. Jednocześnie zaczęli się przerzucać, po polsku, urywanymi słówkami.

— Aaa... — mówił Szymek, odrazu wchodząc na familiarne „ty” z dawnym swoim „bossem” — obdarłeś się ogromnie... Co się z tobą zrobiło, człowieku?

Kaliski tylko ręką machnął — i rzekł:

— Iiii.... Nieszczęście!

— I dawno wyszedłeś „ztamtąd”?

To „ztamtąd” oznaczało — pensylwańskie więzienie.

— O, już kawał czasu.

— I znowu „wdepnąłeś” w kawał?

Kaliski spojrzał podejrzliwie na kompana, jakby chcąc powiedzieć: „A tobie co do tego?”

Odrzekł jednak krótko:

— Niby... trochę... ale wykaraskam się.

— Jak?

— Zobaczysz... — mówił Kaliski, ozywając się — Mam jeden... ba! dwa złote interesy w ręku. Jeden szczególnie łatwy do obrobienia. Schylić się tylko trzeba, a garściami można pieniądze grabać.

Szymek spojrzał z niedowierzaniem na łachmany Kaliskiego — i zapytał:

— Dla czegoś ich nie grabałeś?...

— Widzisz... dyabli mi nadali jedno małe nieszczęście. Stało mi się to niechcący... niespodziewanie. Przerwało mi wszystkie plany. Musiałem się ukrywać... nie zdążyłem nawet pobiedz do mieszkania po pieniądze. Ale to nic... Teraz wszystko pójdzie, jak po maśle. Bóg mi ciebie zesłał.

Trędowatą twarz Szymka wykrzywił zły uśmiech.

— Dyabeł prędzej... — mruknął.

— Mniejsza o to — ciągnął dalej niecierpliwie Kaliski — Daj mi tylko byle jakie ubranie, parę dolarów do kieszeni, a będziemy niedługo opływali we wszystko... Ma się rozumieć, zrobimy interes we dwóch.

Szymek Zawalidroga nie byłby od tego.... chociaż, przesuwają mu się przez mózg różne wątpliwości.

— Więc to dla tego interesu zmieniłeś swoje nazwisko na John Dix? — zapytał narzeczcie.

— A ty z kąd o tem wiesz? — zawołał Kaliski i skoczył z krzesła.

Istotnie Szymek spostrzegł, że zrobił głupstwo....

Szymek dotąd miał tę wyższość nad dawnym swym „bossem” i kompanem, że tamten przypuszczał, iż spotkanie było przypadkowe i nie wiedział, jaką Szymek grał w obec niego rolę. Niezręczne pytanie na pół go wydało. Bo z kąd przypadkowo spotkany człowiek mógł wiedzieć, jak Kaliski nazywał się w Chicago?

Kaliski zbyt wiele miał sprytu, ażeby nie wyprowadzić ztąd wniosków, aż nazbyt daleko sięgających....

I już je wyprowadzał.

Szymek pojął w tej chwili, że na coś musi się zdecydować.

Musi: albo zdradzić w obec Kaliskiego tych, którzy mu polecili ścigać Dix'a; albo przeciwnie wydać Dix'a-Kaliskiego w ich ręce.... Przez chwilę skłaniał się do tej ostatniej ewentualności, — ale w jakiż tu sposób okłamać dawnego kompana tak, ażeby wzbudzić jego zaufanie?! Jest to prawie nie-

podobieństwem..... Wypadałoby go więc aresztować.... A przecież otrzymana instrukcja każe mu śledzić włóczęgę, nie odstępować go na krok, do aresztowania jednak, do pomocy policji, nie uciekać się w żadnym razie.

I tak źle i tak nie dobrze.

Pozostaje więc pierwsza alternatywa: zdradzić tamtych w obec Kaliskiego..... Do tego więcej się nawet skłaniają jego osobiste sympaty.

— *Yes!* — rzekł zdecydowany, zaklął i wzięwszy za plecy wystraszonego Kaliskiego, usadził go na stołku — Uspokój się, bratku.... Wszystko będzie *all right*. Zaraz ci wyjaśnię.

Kaliski wciąż patrzył na niego z podełba, przerażony.

— Otóż wiem, że się nazywałeś czy chwilowo nazywasz John Dix, bo właśnie polecono mi śledzić Johna Dix'a.

— Kto?

— Agent policyjny czy też detektyw prywatny, który tu przybył za tobą z Chicago.

Kaliski coraz bardziej kręcił się na stołku.

— I co z tem zrobisz? — wybąknął.

— Puszczę go kantem..... — i Szymek roześmiał się głośno — Przecieżbym starego przyjaciela nie oddał w ręce Machabeuszom!

Twarz włóczęgi rozjaśniła się; ale w mózgu jego tkwiło jeszcze podejrzenie. Chciał coś mówić, ale Szymek mu przerwał:

— Siedź cicho — i słuchaj.... Widzisz, ja myślę, że ten detektyw ogromnie jest na ciebie zawzięty i dałby nie wiem co, ażeby mieć cię w swej łapie. Ale my go „sfulujemy“ i to tak, ażeby jeszcze na tym byzniesie zarobić parę groszy....

Skinął na gospodarza szynku.

— Hej, ojcie Ohm — zawołał na niego familiarnie — ołówka, papieru i waszego chłopaka.... Potrzebuję go posłać gdzieś.

Wszystko za chwilę było gotowe.

Zawalidroga napisał parę wyrazów — i kazał je odnieść pod wskazany adres małemu, rozczochanemu, o rudej czuprynie chłopakowi, którego przywołał z góry saloonista.

Rzucił chłopakowi w czapkę „kwodra“ — i rzekł:

— Gdyby cię pytali, kto ci dał tę kartkę, powiesz, że to jakiś pan nieznajomy.... na ulicy.... i nic więcej. Rozumiesz?

— *You bet* — i z pod rudej czupryny chłopaka błysnęło dwoje złych, ale sprytnych oczu.

Kaliski patrzył na to ciągle z pewnym niepokojem; ale cóż mógł robić? — musiał się zdać na łaskę i niełaskę swego dawnego kompana.

— A teraz maszerujemy — rzekł Szymek.

Przedtem jednakowoż poszeptał przez chwilę z kosookim saloonistą, którego wido-

cznie znał dobrze. Coś mu zalecał, a Niemiec odpowiedział skinieniem — na znak zgody.

Szymek nie wyszedł z Kaliskim drzwiami frontowemi.

Skierował się razem z towarzyszem w głąb saloonu — i tam otworzył małe drzwiczki. Znaleźli się w jakimś pokoiku zarzuconym rupieciami, potem przeszli przez ciemną sionkę, wreszcie znaleźli się w jakimś zaułku.... Przeszedłszy kilkakrokw, skręcili w wąską uliczkę — i znów przez kwadrans krążyli po labiryncie zaułków i uliczek, pośród kup gnoju, pudeł z śmiećmi i niemiłych zapachów.

Przez ten czas nic nie mówili do siebie.

Wreszcie w jakimś zaułku Zawalidroga zapukał do małych drzwiczek po parę razy, z przestankami. Drzwiczki skrzypnęły — i ukazała się w nich owinięta w fular głowa starej Murzynki.

— *Oh, that's you, Mr. Simon* — rzekła na widok Szymka.

Widocznie miał on u niej dobrą markę.

Nie pytając już nic dalej, Murzynka poprowadziła dwóch przybyłych przez jakieś podwórze do nowego przejścia, a ztamtąd do sieni dużego drewnianego domu, którego kontury niejasno rysowały się na tle zmroku.

W oknach domu nie było widać światła; zdawał się zupełnie opuszczonym; gdy jednak Murzynka wprowadziła dwóch ludzi do sieni i

ztamtąd do pokoju na parterze, ukazało się żywe światło lamp naftowych.

Widocznie okiennice domu były szczelnie zamknięte, ażeby światła nie przepuszczać na zewnątrz.

Pokój, do którego weszli Kaliski i Szymek, był obszerny i przyzwoicie urządzone. Miał on wygląd ofisu hotelowego. W głębi znajdował się typowy kontuar, z kluczami, wiszącymi na tablicach; za kontuarem siedział klerk.

Pośrodku pokoju palił się ogień w piecu.

Obok stały krzesła i fotele na biegunach. Na stole leżały gazety. Siedziało tutaj dwóch dość porządnie ubranych mężczyzn. Dalej w głębi widać było drzwi, a za nimi pokój z wielkim pośrodku zastawionym stołem. I tam znajdowało się parę osób, w tej liczbie jakaś kobieta.

Nikt z obecnych nie zwrócił na przybyłych szczególnej uwagi.

— Jesteśmy w prywatnym hoteliku Ciotki Sary — rzekł Szymek i zwrócił się do klerka.

Rozmawiali przez parę chwil po cichu, wreszcie drab odwrócił się — i rzekł do Kaliskiego po polsku:

— No.... to rzecz załatwiona. Zostaniesz tutaj. Wykąpiesz się, wymyjesz i uczesz dziś jeszcze, a potem dostaniesz nowe ubranie, wygodny pokój i jeśli chcesz, kolację...

Możesz nawet korzystać z towarzystwa tych panów i pań. Kompania to bardzo miła. Co do swojego bezpieczeństwa osobistego, to jest zapewnione.... Sam dyabeł cię tutaj nie znajdzie!

— Ty odchodzisz? — zapytał Kaliski.

— Tak.... Muszę iść nakłamać, co wlezie, temu ananasowi z Chicago, który kazał mi cię pilnować. Wystrychnęliśmy go pysznie na dudka!.... Jutro rano tu będę — i pogadamy o interesie... a właściwie o interesach, o których wspominałeś. A teraz.... *good bye*.

Za chwilę Kaliski pozostał na nowem miejscu sam, a program, zapowiedziany przez Szymka, wykonany został co do joty.

W ten sposób w śledztwie, które miał prowadzić Robbins urywało się znów jedno ogniwo.... Tracono z widoku jedyne go świadka, mogącego dać dowody winy barona Felsensteina.

VII.

Robbins, odkrywca najbardziej zawiłych zagadek i badacz psychologii cierpień ludzkich, nie stracił ani rezonu ani ochoty do pracy, gdy nie, którą już zdawał się trzymać, wymknęła mu się z ręki.

Karty, wycięte z rocznika „*Leader*“, nie odebrały mu wiary w powodzenie sprawy.

Nie przeraził się też wcale otrzymaną na drugi dzień wieścią, że Dix-Kaliski, którego

przed kilkoma dniami przedtem odkryto w St. Joseph, Mo., zdołał w jakiś cudowny sposób wymknąć się z pod nadzoru detektywa agencji chicagoskiej.

Wiara jego w tę sprawę była ciągle niezachwiana.

Odbył on jeszcze parę narad z Gryzińskim i Homiczem — i skreślił im ostateczny plan działania.

Plan ten, bardzo prosty i logiczny, był oparty na zasadniczem przypuszczeniu: że przeprowadzenie w sprawie Ślaskiego nowego śledztwa, po latach tylu, było wprost niemożliwem. Robbins rozumiał dobrze, iż jeśli wówczas wszystko dowodziło, że winnym jest Ślaski, niepodobieństwem było teraz, po latach, wśród zmienionych do gruntu stosunków, przy braku wszelkich podstaw faktycznych, a nawet dokładnego sprawozdania z procesu, znaleźć na miejscu, w New Orleans, prawne dowody jego niewinności.

Na czemże więc opierał swą niezłomną nadzieję wykrycia prawdy?

Na tem, że właściwi sprawcy, uczestnicy lub ukrywacze przestępstwa, za które skazano na śmierć niewinnego — jeszcze żyli. Było ich kilku, tem lepiej! Prawda żyła ciągle w ich udręczonych od lat tylu sumieniach. Tę prawdę postanowił sobie Robbins wydobyć z najtajniejszych zakątków ich serc i sumień — i wyprowadzić ją na ich usta

— Z nich samych musimy uczynić świadków przeciwko nim samym! — mówił z zapamiętem.

Robbins rozumiał jednak, że jest to trudnem. Nikt przecież nie zechce sam, dobrowolnie, świadczyć przeciwko sobie samemu. Otóż plan jego polegał na tem, ażeby tych ludzi znów postawić w obec siebie, zebrać razem i tak oddziałać na ich nerwy, namiętności, tak wprowadzić we wzajemne ze sobą starcie, ażeby w tej walce wykrzeszała się, wytrysła na wierzch — prawda.

Zadanie łatwem wcale nie było.

Trzej ludzie, o których szło, znajdowali się w tej chwili na trzech różnych, odległych od siebie punktach kuli ziemskiej.

Dwaj z nich byli w Europie, i to jeden w Anglii, a drugi w Niemczech. Trzeci, Morski, znajdował się zapewne w Ameryce, ale gdzie? — nikt nie wiedział. Wszyscy trzej nie wiedzieli o sobie wzajem. Zerwali ze sobą wszelkie stosunki. Oprócz wspomnienia o dawnem przestępstwie, nie wiązało ich nic. Jeden z nich, Morski, ukrywał się nawet starannie przed innymi.....

Jakże do nich dojść? w jaki sposób sprowadzić ich wszystkich razem — i zmusić do nowego ze sobą starcia?

W tem właśnie była trudność, zresztą nie nierozwiązalna dla Robbinsa.

Sprowadzenia Mallory'ego i Felsensteina do Ameryki nie uważał on za rzecz niepodobną.

Mallory sam musiał tu z czasem przybyć, wzywały go przecież do tego interesu. Zresztą, jeśli trzeba, możnaby na niego znaleźć sposób.

W tem miejscu rozwijającemu swe teorye Robbinsowi przewał Homicz temi słowy:

— Sposób taki mam w ręku.

— A jakież to sposób?

— Bardzo prosty.... Potrzebuję sięść przy biurku i napisać kilka słów do adwokata Mallory'ego tu w Chicago, — pozwólcie mi, panowie, przy sobie pozostawić sekret tego listu — a nasz człowiek przybędzie tu z Londynu niezwłocznie, w dwa tygodnie potem, w trzy najdalej.

— I jesteś pan tego pewny?

— Najpewniejszy....

— Tem lepiej! tem lepiej! — odrzekł Robbins tonem znaczącym — w ten sposób kwestya Mallory'ego załatwiona.

Rozwijał potem dalej swój plan. Nic trudnego także sprowadzić do Ameryki Felsensteina. Gdy się wie to, co się już wie, łatwo zagrozić mu w liście skandalem, wykryciem, jeśli nie dawnej zbrodni, to przynajmniej kon-szachtów z Kaliskim — i skłonić do przyjazdu.... Gdyby list nie pomógł, mógłby nawet ktoś do niego pojechać i rzecz mu przedstawić osobiście. Felsenstein, jeśli tylko będzie wi-

dział szansę uratowania pozorów, zgodzi się na wszystko.

Najtrudniejsza sprawa z Morskim.

Trzeba go znaleźć, a nie jest to wcale rzecz łatwa.... Ukrywa się on z prawdziwym talentem. Ale przecież Stany Zjednoczone, to nie pustynia Sahara, on nie ziarnko piasku. Postać to dość charakterystyczna, ażeby jej można było nie zauważyć. Ze wszystkiego widać, że Morski mieszka gdzieś na Wschodzie, najprawdopodobniej w Stanie Missouri. Szukać go można przez agencye, a nawet przez ogłoszenia w gazetach.

A gdy się go raz znajdzie, należy nie wypuścić z ręki.

Wtedy dopiero będzie czas na sprowadzenie do Ameryki innych; wtedy postawi się ich w obec siebie.

Praktycznie Robbins nakreślił plan następujący:

Homicz, w asystencyi jednego z najzdolniejszych detektywów chicagoskich, uda się do New Orleans i tam na nowo przeprowadzi śledztwo, tak haniebnie zagmatwane przez Foxa i Goggina. Być może, iż znajdzie nowe ślady i wskazówki, a przede wszystkim nowy rocznik gazety ze sprawozdaniem z procesu. Gdyby tego była potrzeba, w miarę okoliczności, przedstawi się Jadwidze — i będzie z nią działał razem.

Gryziński ze swej strony uda się do Stanu Missouri.

Będzie on miał podwójne zadanie: znaleźć nie tylko Morskiego, ale i Kaliskiego. Ma się rozumieć, towarzyszyć mu będą dwaj najlepsi detektywi. Poprowadzi swe poszukiwania nie tylko w tym Stanie, ale i w sąsiednich. Pieniędzy szczerdzić nie będzie. . . .

Jego punktem wyjścia będzie m. St. Joseph.

Co do Robbinsa, ten miał kierować wszystkiem ze swego gabinetu. Miano go zawiadomić o każdym najmniejszym odkryciu, o każdej zmianie w położeniu; jego zaś rzeczą będzie nadawać dalszy bieg sprawie.

Są to tylko ogólne zarysy planu.

Szczegóły jego bardzo troskliwie i skrupulatnie opracował Robbins. Udzielił on szczegółowe instrukcje piśmienne zarówno Gryzińskiemu jak i Homiczowi — i z wielką troskliwością dobrał ludzi, którzy mieli im towarzyszyć i pomagać w poszukiwaniach.

Na tych przygotowaniach i konferencyach znów upłynęło parę tygodni.

W dziesięć dni po pierwszej konferencyi z Robbinsem, Gryziński wraz ze swoimi ludźmi wyjechał do St. Joseph. Homicz pozostał jeszcze w Chicago na dni kilka; wymagały tego różne intereaa.

Lecz ubiegły i owe dni.

Szczepan miał wreszcie wieczorem wsiąść

na pociąg, udający się na Południe. Tego ranka wstał wcześnie i jednym z pierwszych pociągów udał się do Evanston. Pomiedzy młodym wynalazcą, a starym badaczem tajemnic serca i duszy ludzkiej wywiązała się tymczasem, oprócz stosunku biznesowego, szczerą i prawdziwą przyjaźń. Przed wyjazdem Robbins zaprosił Homicza na śniadanie i na ostateczną gawędę w sprawie śledztwa.

Było nie więcej, niż wpół do 9ej, gdy Szczepan przybył do domku Robbinsa.

Gospodarz powitał go przy drzwiach — i poprowadził do stołowego pokoju. Śniadanie było wykwiłtne, bo też Robbins był trochę smakoszem.... Dla tej właśnie racyi, ażeby nie psuć sobie trawienia, miał on zwyczaj nie rozmawiać przy stole o interesach. I tym razem mówili o rzeczach obcych, o polityce europejskiej, na tle której w owym czasie ukazywały się poważne chmury....

Mieli zresztą na interesa całe przedpołudnie. Sprawa Śląskiego dla obydwu przedstawiała niewyczerpane tematy do rozmowy. Nadto Robbins obiecał, że tym razem odsłoni przed Homiczem rąbek swego tajemniczego muzeum. Był to duży zaszczyt i dowód wielkiej przyjaźni.

Skończywszy śniadanie, przeszli do gabinetu.

Tam gospodarz ujrzał najpierw leżące na stole gazety poranne.

— A... — rzekł, zwracając się do Homicza — Czytałeś pan już dzienniki?

— Jeszcze nie... Nie miałem czasu.

— To może pan pozwoli... Ja także ciekaw jestem, co się dzieje na Bałkanach. A przytem interesuje mnie ten wielki strajk w Colorado. To nam zajmie przed przystąpieniem do rzeczy właściwej po 5 minut czasu. Czy dobrze?

Szczepan skinął głową na znak zgody.

Robbins podał mu jedną gazetę, sam wziął drugą — i zaczęli czytać. Była chwila ciszy. Nagle mały psycholog podniósł się z krzesła. Twarz miał jakąś pełną myśli i opromienioną, jak niegdyś w chwili, gdy po raz pierwszy objaśnił Homiczowi i Gryzińskiemu powody zainteresowania się sprawą.

— O... palec Boży! — rzekł.

I zaraz potem podał swą gazetę Homiczowi.

Szczepan zaczął czytać ustęp, który mu pokazał Robbins. I zdumiał.

W chwili, gdy oni myśleli nad niezwykłymi sposobami sprowadzenia mordercy z prze lat 20tu do Ameryki, — w tej samej chwili depesza telegraficzna z Berlina w tonie nieco tajemniczym donosiła, iż baron Albert von Felsenstein, głowa jednego z najszlachetniejszych rodów Prus i Niemiec, padł ofiarą jakiejś fatalnej katastrofy... Tknął go przed paru

dniami w Berlinie atak apoplektyczny. Powód niewiadomy.... rzecz niejasna. Jednakowoż lekarze zdołali na razie uratować szlachetnego barona (tu następował szczegółowy opis ratunku, do którego przyczynił się wiele rodzony syn barona, również znakomity lekarz i uczony Konrad von Felsenstein); ale polecili mu dla rozrywki, uspokojenia się i odnowienia organizmu udać się za morze....

I oto szlachetny baron w tych dniach miał opuścić Europę i wyjechać, pod opieką własnego syna i innych lekarzy, w podróż do Ameryki i potem bodaj naokoło świata. Data wyjazdu będzie oznaczona w następstwie.

Tyle depesza.

Otworzyła ona szeroki horyzont myśli przed Szczepanem. Ujrzał znów przed sobą jeden z tych faktów, które zdawały się dowodzić, że Opatrzność Boska zbliża godzinę kary... że gniew Boży zawisł już nad złymi...

I przypomniał sobie słowa ś. p. ks. Balińskiego, słyszane niegdy w osadzie X.:— „Kara Boża idzie przez lądy i przez Oceany i przez doliny i góry i przepaści!”

A jakby echo potężne tych słów zabrzmiało mu nad uchem odezwanie się Robbinsa:

— Wiem teraz i wierzę... Palec Boży zsyła go nam tutaj. Czas kary już przyszedł. Zwyciężymy. Winni zostaną ukarani.... Sprawiedliwi będą podniesieni!

VIII.

Bolo L. Kaliski, obywatel całego świata, w życiu swoim przeszedł wiele już przygód. Był, jak to powiadają, na wozie i pod wozem; widział złe i dobre chwile — i w ogóle przywykł niczemu się zbytecznie nie dziwić.

Ale nie mniej t. z. hotel Ciotki Sary, w którym go ulokował przyjaciel i dobroczyńca Szymek, wydać mu się musiał miejscem dość niezwykłym.

Był to sobie hotelik niewielki, czyściutki, nawet urządzone wewnątrz z pewnym komfortem. Ale czemuż tak był odosobniony i ukryty w kącie? czemu droga do niego prowadziła przez takie zaułki i dziury? czemu wszystkie okna tego domu były szczelnie zamknięte okiennicami? czemu w niektórych z nich były nawet kraty? a wszędzie w korytarzach panowała prawie klasztorna cichość?

Tego wszystkiego Bolo L. Kaliski, jakkolwiek wielki głowacz, w żaden sposób nie umiał sobie objaśnić.

Leżąc teraz na sofie w sąsiednim obok kąpieli pokoju — i oczekując na przybycie służącego Murzyna z obiecaną garderobą, już od 10 minut łamał sobie nad tem głowę — bez rezultatu.

Naturalnie, w jego położeniu niepodobna było nie być podejrzliwym.

To też w pierwszej chwili przyszło mu na

myśl, że Szymek nie jest jego zbawcą, ale zdrajcą, a dom, do którego go sprowadził, to nie hotel, lecz więzienie. Wkrótce przecież wyrozumował sobie, iż to nie jest możebnem.... Znał przecież więzienia i wiedział, jak one wyglądają.... Ten komfort, który go otaczał, nie miał w sobie nic więziennego.

Ostatecznie, nie znajdując rozwiązania zagadki, przestał sobie nad nią łamać głowę.

— Niech się dzieje, co chce — mówił sobie — Tymczasem jest mi dobrze!

Leżąc na miękkiej sofce, otulony ciepłym kocem, wymyty cały, doznawał po trudach swego kilkotygodniowego włóczęgoskiego życia, uczucia głębokiego zadowolenia.... To uczucie wzmogło się jeszcze, kiedy ujrzał wchodzących Murzyna z drugim jakimś człowiekiem.

Ten drugi miał twarz chudą, o typie żydowskim; obaj nieśli spore paczki garderoby....

Istotnie, wydawałoby się, że ten hotel jest jednocześnie — składem ubrań.

Człowiek o żydowskich rysach począł zaraz rozkładać na stole i krzesłach przyniesioną odzież i bieliznę. Wybór był obfity, rozmiary ubrania odpowiednie do figury Kaliskiego. To też nie upłynęło pół godziny, gdy Kaliski znalazł się ubranym stosunkowo dość przyzwoicie od stóp do głów.

Wyglądał, jak inny zupełnie człowiek.

— Fiu.... fiu.... — mówił do siebie — co za wyborny hotel!

Teraz Murzyn skłonił się przed nim i zapytał, co będzie robił dalej. Kaliski oświadczył, że gotówby zjeść kolację.... I temu jego żądaniu uczyniono zadość. Jadalnia znajdowała się na dole, tuż naprzeciwko ofisu; była umeblowana przyzwoicie, a jedzenie było dość smaczne.

Widocznie z powodu względnie spóźnionej pory, Kaliski obiadował tylko sam.

— Dobrze mi jest — mówił — Jeśli to więzienie, to prawdziwie „pyszne więzienie” — Niech tego Szymka kaczki zdziobią, albo niech go przynajmniej minie szubienica, której jest na pewno dobrze wart.

Po obiedzie Murzyn pokazał Kaliskiemu jego pokoik, bardzo czysty, choć skromny — i zapytał: czy odrazu uda się na spoczynek?

Kaliski odrzekł, że jeśli to zgadza się ze zwyczajami domu, poszedłby jeszcze na kwadrans do ofisu — poczytać gazety.

— Do usług — odrzekł służący, oddał mu klucz i wskazał drogę.

W ofisie i sąsiednim pokoju, który służył niejako za czytelnię, Kaliski znalazł to samo, a nawet liczniejsze towarzystwo, aniżeli przed półtora godziną. Wkrótce o tyle, o ile poznał się z niem. Nie mówiono sobie nazwisk, ale — tytuły i godności. Był tam „doktor”, „advokat”, „dyrektor” i nawet „hrabia”. Towarzystwo bardzo urozmaicone! Były i dwie

kobiety, jedna już staruszka o siwych włosach i twarzy spieczonej, jak jabłko; druga jeszcze dość młoda, zapewne dawniej piękna, obecnie o twarzy dość zmiętej; tylko oczy błyszczały jej gorączkowo.

Kobiety siedziały w kącie razem, robiąc jakąś robotę.

Mężczyźni czytali gazety lub przerzucali się różnemi uwagami. Niektórzy kołysali się na fotelach, żuli tytuń lub palili cygara... Parę słów, które Bolo L., już obecnie podobny do ludzi, zamienił z nimi, niczego go nie nauczyły o ich sytuacji. Zagadka była wciąż zagadką. Z drugiej strony nikogo też nie dziwiło przeobrażenie się Kaliskiego z brudnego „trampa” we względnie przyzwoitego „gentlemana”.

Widocznie, było to tutaj dość zwykłe.

Po przeczytaniu gazet, z których zresztą Kaliski nie dowiedział nic zbyt nowego, zaczął on obserwować młodszą z dwóch kobiet. Zdało się mu konieczne, że ją zkadś zna.... Tarł głowę ręką — i nie mógł sobie przypomnieć. Wreszcie mimowoli, półgłosem, wyrwało mu się polskie zaklęcie:

— Do stu tysięcy szatanów, zkad ją znam?!

Te słowa, jakkolwiek przyciszone, zwróciły uwagę młodej kobiety. Spoglądała na niego uważnie przez chwilę, a potem podniosła się z krzesła — i zajęła miejsce obok niego.

— Pan Polak? — zapytała.

— Tak....

Roześmiała się.

— A to dziwne spotkanie....

— Istotnie — wybąknął Kaliski, a potem dodał: — Czy pani pozwoli się sobie przedstawić?

— Niepodobna — odrzekła — tu niema tego zwyczaju.... Zresztą ja pana znam.

— Zkąd?

— Z Pensylwanii....

Nachyliła się mu do ucha i powiedziała jego nazwisko. On zbladł....

Ale ona zaraz dodała:

— Nie bój się pan.... Nie będę tego krzyczała na cały głos. Jesteśmy swoi; po co mamy sobie robić krzywdę? Zresztą na dowód zaufania powiem panu i moje nazwisko....

Tu znowu nachyliła się do ucha Kaliskiego i szepnęła:

— Jestem miss Steffi, śpiewaczka z trupy „minstrelów”. Widzieliśmy się przed paru laty w osadzie X. i w sąsiednim miasteczku. Pamiętasz pan?

— A.... — przypomniał sobie — Co za dziwny zbieg okoliczności!

Teraz zresztą miły uśmiech rozjaśnił twarz Kaliskiego. Istotnie, zauważył ją jeszcze w hotelu „Papy” Cummingsa, a później, gdy po strasznych wypadkach w „Excelsior Works”

opuściła osadę X. (jej narzeczony Harald został zabity), spotkali się w sąsiednim miasteczku, gdzie miał swą główną kwaterę Kaliski.

Ona śpiewała znów z „minstrelami”; on robił do niej czułe oczy.... Urwało się to w chwili, gdy Kaliskiego uwięziono.

Znajomość była przelotna, ale przyjemna...

Poczęli więc przypominać sobie to i owo z tych krótkich chwil. Mówili po polsku, swobodnie, w obec zapewnienia Stefki, że niema tu nikogo więcej, władającego tym językiem.

Ona wiedziała już o losie Kaliskiego („Co za niesprawiedliwość w tej Ameryce!” — ubolewała nad jego uwięzieniem); o dalszych dziejach swoich dołgał jej jakąś historyjkę.

Ona z kolei opowiedziała mu o swoich losach.

Wkrótce po tamtych wypadkach opuściła minstrelów i nawet Pennsylvanię. Przyjechał po nią mąż i zabrał do New Yorku („Acha! więc ma męża!” — dziwił się Kaliski). Była tam coś pół roku, potem uciekła z domu („Wie pan — mówiła z miłym uśmiechem — w żaden sposób nie mogę znieść mego męża.... Straszny nudziarz i idyota!”). Potem podróżowała, występowała w teatrze, uciekała przed mężem, który, jak głupi, wciąż się za nią ugania.

Wreszcie zdarzyło się jej w St. Joseph.... tu zapłonęła się.... małe nieszczęście. Musiała szukać schronienia w tem.... ustroniu,

Kaliski szybko pomiarkował się — i postanowił skorzystać z takiego obrotu rozmowy.

— A propos.... — rzekł — czem naprawdę jest ten przytułek, w którym oboje szukamy schronienia?

— Więc pan nie wiesz! — zawołała Stefka i roześmiała się — To.... to.... — dokończyła szeptem, nachyliwszy się mu do ucha — to.... „Hotel złodziejski”. Tu znajdzie pewne schronienie każdy mający drobne nieporozumienia z policją!

Kaliski zrozumiał.

Teraz dopiero zaczął z nią swobodnie rozmawiać. Kamień mu spadł z serca. Więc istotnie Szymek go nie zdradził. Gadali jeszcze o tem i o owem. Stefka, która mieszkała tu już od kilku dni, opowiadała mu różne anegdotki i historyjki o innych gościach „hotelu”. Ona sama oczekiwała tutaj pieniędzy od jednego ze swych przyjaciół. Potem pojedzie gdzieindziej.

Obiecali sobie zresztą, że się jeszcze zobaczą.

Była już blisko dwunasta wieczorem, gdy goście „złodziejskiego hotelu” zaczęli się rozchodzić do swoich pokoi. Stefka, wezwana przez swą starszą towarzyskę, poszła z nią na górę.

Kaliski wyszedł niemal ostatni.

Spał tej nocy przewybornie. Nie niepo-

kończyły go teraz żelazne kraty w oknach stacyjki, na które przed dwiema godzinami spoglądał tak podejrzliwie.

Sny miał przyjemne....

Sniło mu się, że kąpał się w ogromnej wannie, pełnej złotych dwudziestudolarówek i papierowych pieniędzy. Pływał w tem wszystkim, pieścił się miękkimi, jak aksamit, papierami; przerzucał z suchym szelestem złote monety. A po nad tą wanną stał z jednej strony stary baron Felsenstein, z drugiej siwy, potężny Morski — i rzucali w nią coraz to nowe złoto i nowe papiery....

Gdy oto, w samym środku tego uroczego snu, Kaliskiego przebudzono — i to dość gwałtownie. Stał nad jego łóżkiem Szymek Zawaldroga — i potrząsał nim energicznie.

— Wstawaj stary.... — wołał.

— A..... — rzekł Kaliski, otwierając oczy.

Sen zniknął. Trzeba było wrócić do rzeczywistości. Żywo wyskoczył z łóżka — i za chwilę już był ubrany.

— Pogadajmy najpierw — rzekł Szymek — a potem pójdziemy na śniadanie.

Kaliski się zgodził.

Zaraz też Szymek przystąpił do rzeczy. Krótko, nie tracąc słów, opowiedział mu swoje koleje. Powodziło mu się dość dobrze przez tych lat parę. Uciekłszy z Pennsylvanii na daleki Zachód i zmieniawszy nazwisko (nazywał

się teraz Simon), przyjmował tu i owdzie różne zajęcia, mniej lub więcej uczciwe. Wieształ się przy drugorzędnych agencjach detektywów, był zastępcą szeryfa, gdzie trzeba, to znów agentem politycznym przy wyborach itd. itd. Już od roku mieszka w St. Joseph — i nieźle mu się tu dzieje.... Najczęściej pracuje dla pewnego agenta, który ma biuro niby adwokackie, niby policyjne.

W tem biurze znalazł go przed paru dniami agent przysłany z Chicago.

-- Ten właśnie — kończył swe opowiadanie Szymek — powierzył mi śledzenie ciebie pod nazwiskiem Dix'a. No! i pokazuje się, że niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło, skoro akurat w owym Dixie poznałem dawnego przyjaciela....

— No, a teraz co będzie? — zapytał z niepokojem Kaliski.

— Teraz.... jesteś wolny od twego „ananas” z Chicago... „Sfulowany” całkowicie.... Opowiedziałem mu historję z tysiąca i jednej nocy, w jaki sposób straciłem cię z oczu. Wściekał się; ale pretensyi do mnie mieć nie może. Będzie cię szukał.... naturalnie.... ale dyabła znajdzie.

— Czy tu miejsce pewne?

— Jak najpewniejsze.... Zresztą po co masz siedzieć dalej w tej głupiej mieścinie?

— W tem sęk — przerwał mu Kaliski —

że muszę.... Tego wymaga jeden z dwóch interesów, o którym ci wczoraj mówiłem.

— Ach.... interesa — mruknął Szymek — Czas już pogadać o tych interesach. Jeśli to co warto, choćby przez wdzięczność powinienś mnie wziąć do spółki. Zobaczymy zresztą, co to za interesa. Wiem, że dawniej umiałeś wydobywać z pod ziemi sprawy, które się grubo opłacały, istne kopalnie złota... Ale teraz skapcaniałeś mi, bratku, okropnie....

Słowa te nie uraziły wcale Kaliskiego.

Podniósł głowę — i spojrział hardo na swego kompana. Chciał mu powiedzieć spojrzeniem: — Nie bój się; Kaliski, choć upadł chwilowo, wart jeszcze tyle, co dawniej.... Będzie jeszcze „bossem”!

— Słuchaj więc.... — rzekł po chwili.

Nachylił się do Szymka Zawalidrogi — i szeptał mu coś długo do ucha... Szymek przerywał Kaliskiemu to szeptanemi zapytaniami, to wykrzyknikami podziwu, to uderzeniami w dłoń. Widocznie sprawa cała podobała mu się bardzo.

Kaliski skończył wreszcie.

— To sprawa jedna: złoto Morskiego.... Weźmiemy je napewno — rzekł. — A teraz druga!

I znów zaczęły się szepty, tym razem krótsze. Zakończył je Kaliski temi słowy wypowiedzianemi głośno:

— Widzisz więc, że muszę tu pozostać...

— Naturalnie....

— Idzie o to, ażebym pozostał w mieście tak, żeby mnie nie poznano.... Gdybym miał dawny mój komplet peruk i przyrządów aktor-
skich, byłaby to drobnostka.

— Ba, ba! — zawołał Szymek — jakież ze mnie głupiec.... Wszakże tu w tym „hotelu” mamy znakomitego artystę fryzjera, który ludziom na poczekaniu gęby przerabia. Zrobimy z ciebie Murzyna.

— *Good*.... niech będzie Murzyn!

— A teraz na dół na śniadanie.... — zawołał wesoło Szymek — i niech żyją dolary, dolareczki.... tysiące.... setki tysięcy dolarów!

Śniadanie było smaczne — i przeszło im bardzo wesoło.

W jadalni spotkali Stefką. Przedstawił ją Szymkowi, a właściwie przypomniał Kaliski. Wracając zaś na górę, rzekł do draba:

— Mam co do niej pewne widoki.... Może się nam przydać i bardzo.

— W jaki sposób?

— Zobaczymy.

Po powrocie do pokoju Kaliskiego, ten ostatni siadł do pisania obszernego listu. List był do barona Alberta Felsensteina w Berlinie. Ponawiał on żądanie nadesłania pieniędzy (pod nowo wskazanym adresem) — i (przy pomocy

paru delikatnych kłamstw) wyjaśniał, dla czego John Dix był zmuszony opuścić Chicago i w ogóle nie ma zamiaru używać nadal tego nazwiska.... Gdyby pieniądze były już w Chicago, prosił o nadesłanie takowych do St. Joseph (adres nowy). Ponawiał wreszcie dawne groźby — i kłamstwa.

Po napisaniu listu, przeczytał go głośno Szymkowi; ten zaaprobował.

— Pieniądze na pewno muszą już być w Chicago.... Przysłać je musiano z Berlina. Cóż kiedy John Dix, obecnie nieistniejący, ugryźć ich nie może.... Ale zmieni się to wszystko!

Szymek wyszedł teraz oddać list na pocztę.

Kaliski tymczasem poszedł znów na dół, tym razem do czytelnicy — i długo tam coś rozmawiał ze Stefką.

Zawalidroga (inaczej Mr. Simon) wrócił dopiero po południu.

Przywołał on zaraz do pokoju Kaliskiego owego fryzjera hotelowego, który miał być takim artystą od przerabiania fizyognomii — i długo coś razem operowali.

Gdy ściemniło się, z zaułków, prowadzących ze złodziejskiego hotelu, wyszedł Szymek Zawalidroga, a obok niego poważny o siwych włosach starzec Murzyn, ubrany dostatnio — i nawet elegancko.

IX.

Czytelnicy nasi domyślili się już zapewne, że zapowiedziane w gazetach przybycie do Ameryki szlachetnego barona Alberta v. Felsensteina wraz z jego synem drem Konradem nie było bez związku z wypadkiem, który niedawno przedtem oddał w ręce byłego narzeczonego Jadwigi list, przeznaczony dla jego ojca, a wysłany przez Johna Dix'a z Chicago.

Tak jest. — Wyjazd obu Felsensteinów z Europy był bezpośredniem tego wypadku następstwem.

W trzy dni po otrzymaniu tajemniczego i niepokojącego telegramu Konrada, przybył z polowania z Węgier baron Albert. Już po drodze niepokoili starca groźne przeczucia. . . . Pomimo swej zewnętrznej lekkości, pomimo że istotnie w głębi tej duszy zaskorupiła się moc chłodnego cynizmu, miewał on nieraz w życiu, w samotności swej sypialni, straszne chwile.

Nie niebios wyroki go niepokoili, ale ludzkie względy.

Bał się przedewszystkiem, ażeby jego syn Konrad, ostatni rodu potomek, nie dowiedział się kiedyś tajemnic w przeszłości złożonych. . . . Drżał na samą myśl o tem. Już samo postawienie córki skazanego na śmierć w drodze życiowej Konrada było wysoce niepokojącem. . . . Niebezpieczeństwo to odwrócił; ale coraz to ukazywało się mu znowu przed oczyma.

Śmierć trojga starszych dzieci prawie odrazu, przed czterema laty, nie pozostała także bez śladu na baronie Albercie. Przeraziła go... Zdawało mu się, że jakiś grom przed nim spadł! Przez chwilę zdawało mu się, że to piorun z nieba, kara za coś, zapowiedź rzeczy jeszcze straszniejszych.... Ale wkrótce wrócił mu dawny cynizm — i zimno. „Drwię sobie z nieba“ — powiedział i robił swoje....

Bawił się życiem i użyciem — i o zmarłych zapomniał.

Niemniej serce jego, a może duma rodowa, miała swoje potrzeby.... Całą przyszłość swego rodu złożył w Konradzie.

Z niepokojem tedy jechał do Berlina.

Pierwszy rzut oka na syna zmienionego do niepoznania, przekonał starego barona, że zaszło coś strasznego.... Przeczuł. Odrazu przypuścił, że stało się coś najgorszego.

Zapewne Konrad otworzył tajemną skrytkę w jego biurku — i znalazł papiery, odnoszące się do sprawy Śląskiego.

— Tem gorzej! — pomyślał baron Albert — niechaj raz ten wrzód pęknie....

W tej chwili dopiero okazał się jego charakter, zimny, jak stal, pozbawiony wszelkich skrupułów, gotów na wszelkie ostateczności.

— Po co mnie wezwalesz? — zapytał z twarzą spokojną i chłodną, jak gdyby cała fala myśli nie kłębiła mu się wcale w mózgu.

Wbrew zwyczajowi, na powitanie nie podał ręki Konradowi — i stał przed nim z dumnie podniesionem czołem, wyzywając go wejrzaniem.

Ale znalazł w Konradzie silnego przeciwnika.

Młody baron miał także w żyłach krew Felsensteinów. W razie potrzeby potrafił znaleźć w sobie ich siłę. Wytrzymał spojrzenie ojca — i rzekł mu krótko:

— Siądź, ojcze.

Sam siadł po drugiej stronie wielkiego biurka i wyjąwszy list Kaliskiego, podał go staremu baronowi.

— Wpadło mi to — rzekł — do ręki przypadkowo, bez mej woli i chęci.... Przeczytałem to.

Baron Albert wziął list do ręki i zaczął czytać.

Zagadka była mu teraz jasną.... Odetchnął mimowoli. Niebezpieczeństwo było, ale nie tak straszne, jak przypuszczał.... Konrad nie dotarł do skrytki w biurku; nie wiedział wszystkiego.

List Kaliskiego był kompromitujący — to prawda.... Ale cóż ztąd? Wyprze się wszystkiego. Będzie walczył do ostatniej kropli krwi.

Obudził się w nim duch kłamstwa i przewrotności.

Czytał pismo Kaliskiego powoli, niby nie-
dbale, właściwie jednak starając się zyskać na
czasie i ocenić, o ile właściwie mogły i musia-
ły słowa listu przekonać Konrada o jego wi-
nie. A podczas całego tego czytania nie drgnął
ani jeden muskuł jego twarzy pod palącym
wzrokiem syna.

Przeciwnie usta jego zaczęły się przystra-
jać w uśmiech drwiący.

Skończył — i rzucił list na stół.

— Co za waryat, co za obłąkaniec mógł
napisać to błazeństwo? — rzekł wreszcie, ce-
dząc wyrazy przez zęby — Nie wiem, kto to i
czego chce....

A Konrad spojrzał nań zdziwiony i obu-
rzony. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie
tego.

Chciał zacząć mówić, ale ojciec nakazał
mu milczenie gestem.

— Pochodzi to.... — rzekł znów stary ba-
ron i spojrzał na kopertę listu, jak gdyby dla
upewnienia się — aż z Chicago, z Ameryki.
Trochę daleko! Gdyby było trochę bliżej, po-
słałbym moich psiarków, ażeby harapnikami
po skórze nauczyli tego pana szaleńca, iż w ta-
kich obłąkanych pisaninach nie używa się
imion ludzi tego rodzaju, co ja.

Wyprostował się dumnie — i spojrzał na
syna surowo.

Konrad nie wiedział, co odpowiedzieć. Ze
zdumienia cały był jakby skamieniały.

Korzystając z tego, baron Albert dodał:

— Co do samego listu, to najwłaściwiej z nim postąpić tak....

Skreślił papier powoli, niedbale, w fidibus — i chciał go zbliżyć do płomienia lampy gazowej, stojącej na biurku. Jedna chwila — i list nie istniałby więcej.

Ale nie pozwolił na to Konrad.

Ocknął się ze swego osłupienia. Podniósł się i szybko zbliżył do ojca. Pochwycił rękę, w której ten trzymał list Kaliskiego — i przytrzymując ją z siłą, rzekł:

— Nie spalisz tego, ojcie....

Teraz dopiero stary baron zbladł, jak trup.... Z ręką w górę wzniesioną, którą dłoń Konrada trzymała, jak w kleszczach, powstał i on z miejsca — i tak stali naprzeciw siebie przez chwilę, z ogniem w oczach, jak dwa jastrzębie, gotowe do rzucenia się na siebie wzajem.

Pierwszego siła opuściła starego barona.

Roztworzył dłoń i upuścił list na podłogę, a gdy Konrad podniósł go i starannie schował w zanadrze, baron Albert opuścił się ciężko na krzesło — i wskazując synowi drugie miejsce, zapytał:

— A więc czego chcesz?

Konrad, blady, jak płótno, przez króciutką chwilę namyślał się, aż odrzekł:

— Chcę wiedzieć wszystko....

— Co?

I zaczęła się pomiędzy nimi szermierka słów, zapytań, szermierka logiczna. Twardymi obydwoj byli zapaśnikami. Ani jeden z nich nie ustępował ani na krok. Walczyli na zimno, ale chwilami dochodzili do wybuchów... Szczególniej głos starego barona podnosił się od czasu do czasu — i huczał głośno.

Konrad był daleko spokojniejszy.

Walczył on z nieubłaganą logiką. Wykazywał, jak na dłoni, co z fatalnego tego listu wynika. Chciał wiedzieć wszystko.... Tłumaczył, że honor ich i imię i fortuna i przyszłość są wspólne i nierozłączne; że więc nie może stać w obec tajemnic ponurych, niebezpieczeństw grożących co chwila, niesławy ogromnej, jaka spaść może na stary ród w każdym momencie, nie może stać bezradny, nie oświecony o rodzaju niebezpieczeństwa, ślepy w ciemności.... Musi wiedzieć!

Życ tak dalej nie jest w stanie.

Ten list nieomal starcem uczynił go w ciągu godzin paru.... Z niego śmierć jego lub życie musi wyniknąć. Nie groził ojcu, ale stawiał mu swoje *ultimatum*.... Jeśli ojciec odmówi mu dalszych wyjaśnień, on sam ich poszuka. Pojedzie do Ameryki, zbrodnię, jeśli była spełniona, odkryje; niesławę swego domu sam w świat rzuci i światu odkryje, krzywdę, jeśli można, naprawi.... A potem w klasztorze do końca dni swoich pokutować będzie!

Mówił to powoli, cicho nawet; ale w tych jego wyrazach, w głosie samym brzmiała żelazna moc postanowienia.

Krew Felsensteinów grała całą siłą w piersi Konrada.

Stary baron czuł się w obec niego bezsilnym.... Chwilami przychodziło mu na myśl, ażeby rzucić się na syna, porwać go za gardło i udusić; ale to wnet przechodziło.... Czuł się za słabym, rozbitym fizycznie i moralnie. Chwilami plamy krwawe przesłaniały mu wzrok.

A Konrad mówił wciąż dalej:

— Tak jest.... Zbrodnia, jeśli została spełnioną, musi zostać ukaraną; krzywda musi być naprawioną.... Bóg sam, który jest sędzią najwyższym, postawił na mej drodze Jadvigę; On to pismo z poza Oceanów włożył w moje ręce.... On mnie każe być mścicielem....

Na ustach barona mimowoli ukazał się w tej chwili blady uśmiech cynizmu.

Konrad podniósł teraz głos.

— Nie wierzysz, ojcze, w Boga.... — mówił — Nie wierzysz w karę Bożą! A jednak ona jest.... ona się łączy ciągle w życiu.... straszna... nieubłagana... do niespodziewanych gromów z nieba podobna. Czy myślisz, ojcze, że nagły zgon trojga twoich dzieci odrazu, zgon, wskutek którego ja, dzisiaj mściciel, tutaj w tym pałacu miejsce zająłem, nie może być właśnie jednym z takich niezbadanych

zrządzeń Dłoni niewidzialnej, która w ostatniej instancji karze i nagradza?.... Czy to nie straszne ostrzeżenie dla sprawców zbrodni? Czy to nie sprawdzenie słów o klątwie, spadającej nie tylko na tego, który zło spełnił, ale i na jego potomstwo do dalekich, dalekich pokoleń?....

Głos Konrada huczał teraz, jak burza.

Ostatnie jego słowa trafiły widocznie starego barona w samo serce. Drżał teraz konwulsyjnie — i twarz pochyloną nad biurkiem w dłoniach chował.

Wreszcie podniósł głowę — i skinieniem nakazał synowi milczenie.

Został złamany.

— A więc dobrze.... — rzekł głosem głuchym i bezdźwięcznym — będziesz wiedział. Weź ten kluczyk i idź do mojego gabinetu.... Tam w bocznej ścianie mego biurka, znajdziesz u góry rodzaj szufladki, oznaczonej literą *a*. Pociśnij dwa razy literę, a płytka drewniana odsunie się na bok.... Ujrzysz wtedy otwór zamku. Włóżysz ten klucz i zakręcisz trzy razy na prawo i na lewo. Wtedy szufladka się otworzy. Tam są papiery.... dowiesz się z nich wszystkiego ...

Konrad wziął kluczyk z rąk ojca — i chciał wyjść, nic nie mówiąc. Ale stary baron zatrzymał go znowu.

— Ja wyjdę teraz.... na miasto.... muszę odetchnąć.

Pokazał ręką na gardło, jak gdyby czuł duszącą go jakąś obręcz żelazną.

— Wrócę jutro.... może później.... ty czytaj tymczasem. Po moim powrocie pogadamy.

I rozeszli się: Konrad — po papiery wyjaśniające tajemnicę; stary — szukać jakiegoś sposobu zapomnienia.... ogłuszenia się pośród gwaru wielkiego miasta.

Powrócił w 48 godzin zaledwo.

Syn czekał go już. Był równie zimny na pozór, jak poprzednio; ale zdawało się, że jest znowu o lat kilkanaście starszy. W oczach, głęboko zapadłych, paliły mu się sine ognie...

Z listów, wycinków gazet, notat dowiedział się wszystkiego.

I teraz nowe uczucie domieszało się do skomplikowanej skali wzruszeń, które odczuwała jego dusza, harfa rozbita. Było to uczucie dzikiej, zwierzęcej niemal nienawiści do ojca, zmieszane z uczuciem bezgranicznej czci dla Jadwigi. Dawna miłość dla dziewczycy, przysypana popiołem czasu, teraz wykapała się w powietrzu cierpień, wybuchała znowu w górę — i paliła się żarem. Więc to ich serca, w dodatku do swych zbrodni, złamał ów człowiek... więc to ją, niewinną i szlachetną, prześladował dłońią swej nienawiści aż po za Ocean!

I na myśl o tem Konrad aż drżał ze wzruszenia i zaciekleści.

Powiedział ta wszystko staremu baronowi w oczy, bez zawahania się, z okrucieństwem, — a ten na nowo ugiął się pod tym ciosem.

Konrad przedstawił mu teraz swoje żądania.

Były one następujące: — Najpierw poślą temu szantażyście z Chicago żadaną sumę i nakazą mu milczenie; potem jakoś kupią go zupełnie.... Jednocześnie pojedą obydwaj do Ameryki, zaraz, w tej chwili.... Odnajdą Jadvigę i powiedzą jej wszystko. A ona będzie sędzią.... Co każe, to zrobią! Pokutę, jaką naznaczy, wypełnią.... Zadosyćuczynienie dadzą. Jeśli ona, teraz, po tem wszystkim, przyjmie jego, Konrada, za męża, on ofiaruje jej resztę złamanego życia i dziurawy płaszcz czci, otaczający ich imię; jeśli nie, jeśli odepchnie go, tem gorzej.... on pójdzie precz.

Głos Konrada brzmiał, jak dzwon rozbity, gdy wymawiał te wyrazy.

Była w nim siła żelazna — i rozpacz rozdzierająca. Był to wyrok sędziego, nieodwołalny i nieubłagany.

Widział to baron Albert; pomimo to jednak usiłował jeszcze walczyć.

Nie walczył przeciw wyrokowi w zasadzie. Żądał ustępstw, złagodzenia warunków... Tak! Owemu człowiekowi z Chicago gębę zamknąć — zgoda. Kupić od niego dokumenta, choćby po cenie najwyższej... niech i to będzie.

Jechać do Ameryki; niech jedzie Konrad, ale sam.... Niech się ożeni wreszcie z tą dziewczyną.... mniejsza o to. Ale powiedziec jej o wszystkim, ale wystawiać się na kaprysy tej obłąkanej — nigdy....

Zaczęła się nowa walka pomiędzy tymi dwoma: walka straszniejsza, aniżeli ta, którą toczyli dwa dni przedtem.

Skończyła się znów złamaniem starego barona.

Tym razem został on złamany nie tylko moralnie, ale i fizycznie.... W sekundę potem, gdy głosem bezdźwięcznym powiedział do syna: „A więc zgoda, zrobię, jak każesz”, — w sekundę potem padł ciężko na fotel, dotknięty atakiem apoplektycznym.

Uratowano go.

Ale odtąd wola jego i inteligencya zostały złamane.... Z arystokraty, jeszcze przed tygodniem, pomimo wieku, świetnego i elegancckiego, został automat prawie. Dał sobą rządzić — i nie miał słowa opozycji....

Syna bał się. Drżał w obec niego literalnie.

Plan Konrada zresztą został wykonany co do joty.

I oto dla czego gazety europejskie i amerykańskie donosiły o ataku, którego ofiarą padł baron Albert i o jego wyjeździe do Ameryki... Oto dla czego na olbrzymim parowcu oceano-

wym „Helvetia”, torującym sobie drogę przez szalejące fale Atlantyku do Ameryki, w dwóch najwspanialszych kabinach znajdujemy dwóch Felsensteinów: jednego na pół bezwładnego i bezmyślnego; drugiego, zadumanego i drżącego na myśl o możebnem niezadługo ujrzaniu tej, w której przed 4ma laty zogniskowała się treść jego życia i od której dziś zależało znów i życie jego i cześć i imię jego rodziny.

Różne targały ich uczucia i myśli. Obydwóch przecież prowadziła za Oceany jedna i ta sama myśl wyższa, jedno i to samo przeznaczenie.

X.

Upłynęło znów sporo czasu, tygodnie i miesiące. Ulewy jesieni przeszły; lody zimowe stopniały.... Na świecie promienieć zaczęła wiosna.

Sprawa Śląskiego, jasna, jak słońce, Robbinsowi w na pół proroczem jego widzeniu, w faktycznym i prawnym swoim przebiegu, nie posuwała się wcale tak szybko, jakby tego sobie życzył Szczepan Homicz i jego przyjaciele.

Zrobiono w tym czasie, co prawda, wiele... bardzo wiele.... ale bądź co bądź, mniej, a niżeli było potrzeba.

Rezultat tych prac opowiemy w paru słowach.

Powiemy też krótko o pewnych zmianach w losach niektórych z osób, grających wybitne role w tej długiej opowieści.

Zmiana taka dotknęła przedewszystkiem Jadwigę.

Nastąpiła ona niespodziewanie. Matka jej pupilki, senatorowa Fairmount, zmarła prawie nagle. Było to jakoś w początku listopada. Niespodziewane zaziębienie złożyło zagnę tą panią na łożę boleści. Wywiązało się ztąd zapalenie płuc — i oto, pomimo najtroskliwszych starań, pomimo pomocy najznakomitszych doktorów, najlepsza matka i najszcześliwsza małżonka oddała Bogu ducha.

Ponura żałoba okryła dom w Fairmount View.

Łatwo sobie wyobrazić rozpacz osieroczonego męża.... Tracił on niemal przytomność i odchodził od zmysłów. Gdyby nie Jadwiga, która w tej trudnej chwili wzięła wszystko na swoją głowę i zarządzała sprawami domu, gdyby nie pomoc i współczucie kilku przyjaciół senatora, niewiadomo, _coby się z nim i z dzieckiem stało.

Po złożeniu zwłok ukochanej żony do grobu, senator zobojętniał na wszystko — i całymi dniami siedział, zapatrzony w przestrzeń, milczący.... Ani zmarła ani sam senator nie posiadali bliższej rodziny, to też Jadwiga rozumiała, że jej, jako mimowoli stojącej na czele domu, wypada przedsięwziąć jakieś kroki w celu wydobycia ze zgubnej apaty tego nieszczęśliwego, a tak zacnego człowieka.

Pewnego popołudnia zgromadziła ona na naradę kilku przyjaciół senatora (w tej liczbie znajdował się generał Sheffield i powszechnie ceniona powaga lekarska doktor Minters) — i przedstawiła im rzecz całą.

Powzięto zaraz pewne decyzje....

Dr. Minters orzekł, iż biednego człowieka potrzeba przedwszystkiem wyrwać z pośród otoczenia pełnego bolesnych wspomnień, otrząsnąć z boleści, poddać jego umysłowi i oczom nowe wrażenia — i odrazu zaproponował podróż do Europy. W przeciwnym razie obawiał się najgorszych następstw.... Myśli tej przykłaśnięto. Generał Sheffield zaraz zaproponował, że gotów jest pojechać razem z synem swego niegdy towarzysza broni i być mu niejako przewodnikiem i opiekunem. Ofiarę przyjęto z wdzięcznością.

Pozostało do zdecydowania, co zrobić z maleńką Florą, wychowanicą Jadwigi.

Gen. Sheffield chciał ją także wziąć do Europy, ale oparł się temu dr. Minters, twierdząc, że widok dziecka coraz to budziłby w umyśle chorego bolesne wspomnienia.... Wtedy generał przypomniał sobie, że nieboszczka miała w Kansas City, w Stanie Missouri, daleką krewną, która utrzymywała tam pierwszorzędnny pensjonat i wyższą szkołę dla panien. Nazwisko tej pani było: Miss Hunter. Na owej pensyi kształciła się niegdy sama niebo-

szczka senatorowa. Otóż generał zaproponował, ażeby na czas europejskiej podróży senatora Fairmount, wysłać małą Florę dla dalszego kształcenia się do zakładu miss Hunter. Naturalnie dziewczynka musiałaby się udać do Kansas City razem ze swą ukochaną nauczycielką, Jadwigą, któraby i nadal, na pensyi miss Hunter, kierowała jej wykształceniem.

I ten plan przypadł wszystkim do gustu.

Szło tylko o to, ażeby uzyskać dlań aprobatę samego senatora. Podjął się tego generał — i przeprowadził rzecz bardzo łatwo. Biedny senator pozwalał sobą kierować, jak dzieckiem.

Wyjazd jego do Europy nastąpił w pierwszych dniach grudnia, a w tymże czasie i Jadwiga z sierotką Florą wyjechały do poczciwej miss Hunter, która zawiadomiona listownie, najchętniej w świecie zgodziła się na przyjęcie, do swej pensyi małej swej kuzyneczki wraz z jej nauczycielką.

Istotnie na pensyi miss Hunter obie, Jadwiga i jej mała wychowanica, znalazły spokój i odetchnienie po ostatnich bolesnych przejściach.

Pensya miss Hunter była znaną prawie na całe Stany Zjednoczone, jako zakład dystyngowany i wzorowy. Mieściła się ona na jednej z odleglejszych ulic miasta w wielkim gmachu, zbudowanym na ten cel przed laty kilkudziesięciu, pośród obszernych ogrodów.

Oprócz uczennic zwykłych, mieszkały tam i panny starsze, takie szczególnie, które czy to dla dokończenia studyów czy dla braku odpowiedniego otoczenia rodzinnego w domu, wolały przebywać u dawnej swej wychowawczyni... Opieką iście macierzyńską otaczała je miss Hunter, osoba już w wieku podeszłym, bardzo zacna i pełna wiedzy, a przy wielkiej powadze serdeczna i kochająca.

Jadwidze ta wysoka, poważna staruszka odrazu przypadła do serca — i nawzajem ona sama zrobiła jak najlepsze wrażenie na miss Hunter.

Wkrótce zresztą poznała się ona i z całym otoczeniem.... Było ono bardzo miłe. Od lat czterech, po raz pierwszy, odżyła nieomal Jadwiga pośród tego świątka na pół dziecinnego, na pół dziewiczego, śród gwaru srebrnych głosów dziecięcych i pustot starszych towarzyszek. Odrazu potrafiła sobie zrobić pół tuzina przyjaciółek i wielbicielek.

Najgorętszą z nich była „Sarenka” Morskiego, w której ku wielkiemu swemu zadziwieniu i radości Jadwiga, w parę dni po przybyciu na pensję, odkryła — Polkę.

To je właśnie zbliżyło.

Rzecz prosta, na pensyi „Sarenka” nie nosiła tej oryginalnej nazwy, nadanej jej przez „Tatula” Morskiego. Zwano ją tutaj pod nazwiskiem miss Morse. Pod takim też nazwi-

skiem poznała ją Jadwiga; poznała — i odrazu pokochała.

Stały się wkrótce przyjaciółkami.

Ani różnica wieku (Jadwiga była starsza od „Sarenki” o jakie lat 7) ani różnica usposobień („Sarenka” była znaną na całej pensyi roztrzepanicą, szczebiotką i pieszczołą) nie stanęły temu na przeszkodzie. Przeciwnie prawem uzupełniających się kontrastów zbliżały je jeszcze do siebie.

Tak oto losy dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności postawiły obok siebie, nieświadome tego, córki dwóch ludzi, którzy przed laty byli uczestnikami fatalnego dramatu w New Orleans.

Dotąd jeszcze, pomimo wzajemnej sympatii, obie panny nie doszły do zwierzeń, do wywnętrzenia się ze swoich małych i wielkich tajemnic, ze swoich bólów i smutków.... których, jak wiemy, obiedwom nie brakło. Stała temu na przeszkodzie powaga Jadwigi; onieśmielała ona już nie raz i nie dziesięć razy rwące się z ustek „Sarenki” wyznania.... Z drugiej strony Jadwiga sama niechętną była do wywnętrzania się ze smutkiem, który nosiła w głębi duszy, jak coś świętego. Ale pomimo to przyjsć mogło w każdej chwili jakieś wzruszenie, jakiś ból lub radość niespodziana, wypadek jakiś, wywołujący otwarcie się dla zwierzeń dwóch serc dziewczycych.... I co wtedy?

Przyszłość dać miała na to odpowiedź.

Nie los już dziwny, nie traf niezbadany, ale logiczne następstwo wypadków sprowadziło do tego odległego miasta Ameryki jeszcze dwie znane nam osoby. Są to ojciec i syn Felsensteinowie.

Obydwaj przybyli tu już przed miesiącem. Ojciec leży ciężko chory. Syn go dozoruje. Przybyli tutaj z New Orleans, La., a do tego ostatniego miasta przyjechali z New Yorku. Po przybyciu do Ameryki Konrad logicznie i z nieubłaganą konsekwencją szedł do celu, jaki sobie postawił; ale spotykał po drodze ciągle trudności.

To opóźniało jego działanie.

Stan zdrowia ojca szczególnie niepokoił młodego Felsensteina.... Siedmdziesięcioletni starzec, po owym ataku apoplektycznym w Berlinie, na prawdę nigdy nie wrócił do zdrowia. Przejazd przez Ocean zrobił mu dobrze; ale gdy tylko wylądowali w New Yorku, czy to pod wpływem klimatu czy prędeż pod ciężarem wspomnień, z ziemią amerykańską związanych, stary baron zasłabł mocno — i musiał się odrazu położyć do łóżka....

Przez miesiąc cały ciężko chorował, a najczulszym opiekunem, najtroskliwszym stróżem jego łoża boleści był Konrad.

Nocy całe przesiadywał wpatrzony w tę twarz, niegdyś tak dumną i pełną życia, dziś zapadłą i żółtą — i wsłuchiwał się bacznie w

gorączkowe majaczenia starca. I dziwne, nowe uczucia budziły się wtedy w sercu Konrada.

Czuł, że jedynem, wielkiem jego pragnieniem było uratowanie życia starca. Ale jakie nim kierowały pobudki? — sam nie był w stanie określić. Czy jako mściciel nieubłagany i twardy, chciał zachować jego życie dla tego, ażeby w dni sądu żywym jeszcze stawić go przed sędzią, Jadwigą — i wtedy dopiero zadać mu cios ostatni? Czy może tylko nie chciał, ażeby na nim, jako na synu, ciążyła odpowiedzialność, że ojca zabił wzruszeniami zbyt silnemi dla fizycznie zrujnowanego starca? Czy wreszcie była to może miłość synowska?..... Konrad nie był w stanie rozplątać tej sieci wrażeń, jakie odczuwał.

To pewna, że na widok tego starca, który jakkolwiek wielki przestępca, był jego ojcem, uczuwał, w tych chwilach ciszy nocnej, litość ogromną.

Pytał się nieraz sam siebie:

„Kto jemu, synowi, kazał sądzić tego, którego lada chwila sam Pan Bóg mógł na swój sąd powołać?”

To wszystko wpływało nań o tyle, że przybywszy do New Yorku, nie zaraz przedsięwziął starania w celu wywiedzenia się dokładnego adresu i miejsca pobytu Jadwigi. Dopiero, gdy staremu baronowi było już znacznie lepiej, zarządził odpowiednie kroki. Do-

wiedziawszy się adresu Jadwigi, napisał do niej krótki list. Nie miał odwagi wyłuszczać jej rzeczy całej.

Prosił tylko o pozwolenie widzenia się (w swoim i ojca swego imieniu) w ważnej sprawie. Obiecywał, że stawi się w czasie i miejscu, które ona sama oznaczy.

Odpowiedzi na list przez parę tygodni nie otrzymywał.

Niecierpliwiło go to bardzo. Tymczasem stary baron przychodził do zdrowia o tyle, że mógł ruszyć w dalszą drogę... Teraz na nowo głos sumienia przypominał Konradowi obowiązek do spełnienia.

Wyruszył więc sam, wraz z ojcem do New Orleans, La.

Tu przekonał się ku swemu zdziwieniu, że Jadwiga już opuściła wille w Fairmount View — i wyjechała do Kansas City. Chciał za nią gonić, ale słabość ojca znowu stanęła mu na przeszkodzie....

Musiał znowu przebyć parę tygodni u łóżka gorączkującego starca.

W tym czasie otrzymał odpowiedź Jadwigi. Przyszła ona z Kansas City, już z pensyi pani Hunter, przez New York, dokąd była pierwotnie adresowana. Listy obydwu goniły adresatów po różnych miastach — i ztąd właśnie zwłoka.

Pismo Jadwigi było krótkie.

Oświadczała, że nie życzy sobie widzieć ani Konrada ani jego ojca i nie wie o żadnych ważnych sprawach, które mogłyby powodować potrzebę ich widzenia się. Robiła wyrzut Konradowi, że nie zastosował się do jej próśb, wyrażonych w liście z przed lat 4ch. Wreszcie ostrzegła, iż na przyszłość listy, pochodzące od któregokolwiek z baronów Felsensteinów, będzie musiała zwracać — nierozpieczętowane.

List był grzeczny, ale zimny, jak lód....

Zadał on Konradowi cios w pierś samą.

Zmroził on niejasne nadzieje i mgliste marzenia, które jedynie stanowiły jaśniejsze świty na tle jego życia szarego i ponurego. Jednocześnie przecież przywołał go do poczucia smutnej rzeczywistości i żelaznego obowiązku. Konrad, po otrzymaniu listu, ani na chwilę nie pomyślał o zaniechaniu swych zamiarów. Przeciwnie z większą, gorączkową energią prowadził rzecz swoją.

Jak tylko pozwoliło na to zdrowie ojca, powlókł go za sobą, śladami Jadwigi, do Kansas City.

I oto dla czego znajdujemy obu Felsensteinów w oddalonym mieście Stanu Missouri.

Dodać trzeba, że stary baron znów zanie mógł po przybyciu do Kansas City. Ciężko był teraz chory.... Duszę Konrada znowu zaczęły nawiedzać dawne niepokoje. Razem z ojcem zamieszkał w pięknej willi, niedaleko gmachu pensyi miss Hunter.

Od Jadwigi oddzielały go teraz tylko trzy, cztery ulice....

Cóż ztąd, gdy on sam nie miał siły zrobić kroku stanowczego!.... Posłał do niej list; otrzymał go z powrotem. Odtąd dalszych kroków nie czynił. Krążył tylko często w pobliżu pensyi, na której, jak wiedział, znajdowała się Jadwiga. Czy miał nadzieję ją spotkać i przedstawić rzecz ustnie? Czy też szło mu tylko o samo jej zobaczenie? — kto to wie....

Co się tymczasem robiło ze Szczepanem?

Pracował gorąco i energicznie. — Te ostatnie miesiące należały do najpracowitszych w jego życiu. „Zwycięzę! — albo padnę!” — powiedział sobie.

I szedł naprzód.

Swieciły mu oczy Jadwigi, jak gwiazdy promieniste. Po przybyciu do New Orleans, widział ją kilkakrotnie z ukradka, ale sam się jej nie pokazywał. Wchłaniał w siebie jej wdzięk... Coraz ognistszym dla niej płonął afektem.

Brała go razy parę chętką ukazania się jej, złożenia wizyty, stanięcia przed nią.

Upadłby przed nią, jak wówczas, w głębi wąwozu na kolana i całowałby rąbek jej sukni — i wołałby: „Pani! pani! Pozwól mi tylko widzieć ciebie codzień, pozwól słyszeć jedno słowo z ust swoich — a będę szczęśliwym na wieki!” Albo porwałby ją w swe

silne, muskularne ramiona — i uniósł gdzieś na kraniec świata i szczęściem i miłością otoczył.

Ale wnet reflektował się.... Nie, nie! I jedno i drugie niemożliwe.

Straciłby ją mógł po raz drugi tak, jak naówczas w wąwozie... i to stracić na zawsze. Przed oczyma stawała mu wówczas jej twarz poważna i surowa, smutna i pełna energii, taka, jaką była naówczas, w chwili rozstania. A ponieważ czuł, że gdyby stanął przed nią, popełniłby jakieś szaleństwo, przeto wolał trzymać się zdaleka. Mówił sobie, że stanie przed nią dopiero z dowodami niewinności jej życia.

A wtedy?....

Na myśl o tem ogniste dreszcze przecho-
dziły mu przez żyły — i szalał z nadziei i nie-
pokoju razem.

Tymczasem pracował z energią i poświę-
ceniem bez granic, nad zagadkami, których
rozwiązanie dać mu miało prawo ujżenia jej,
mówienia z nią, prawo do jej wdzięczności.
W zajęcie detektywa, tym razem tak trudne i
niewdzięczne, włożył całą swą duszę, całą in-
teligencyę i wynalazczą siłę umysłu.

Zatrudniał dwóch najzdolniejszych dete-
ktywów — i razem z nimi pracował dzień i noc.

Schodzili każdy kamień ulicy, gdzie nie-
gdy stał bank „Merchants Trust and Loan Co.”
Rozpytywali wszystkich ludzi, którzy coś mo-

gli wiedzieć o ówczesnych stosunkach; badali i szukali.

Szczęście im zresztą w tych poszukiwaniach nie służyło.

Wyjaśnili sobie wiele rzeczy, dotąd niejasnych, znaleźli cały szereg faktów ubocznych, stwierdzających teorię Robbinsa o sposobie spełnienia zbrodni, ale do punktu ostatecznego, do dowodów stanowczych, nie dotarli. Najwięcej niecierpliwiła i męczyła Szczepana pogoń za rocznikiem jakiegokolwiek gazety współczesnej procesowi Śląskiego....

Roczników takich było przedtem w New Orleans i okolicy parę, ale wyłowili je Fox i Goggin — w interesie barona Felsensteina.

Szczepan miał teraz dowody, że byli oni przekupieni i świadomie działali na niekorzyść Jadwigi, zacierając ślady i niszcząc dokumenta. Tak np. w redakcyi jednej z gazet znalazł się jej komplet z r. 1867, ale gdy Szczepan dotarł wreszcie z trudnością do tego rocznika, znalazł w nim wszystkie ważne dla siebie kartki... wystrzyżone tak samo, jak w owym roczniku, który przysłano Robbinsowi do Evanston. I tu widocznie była ręka Foxa i Goggina.... O innym roczniku dowiedział się Szczepan, iż takowy znajduje się w bibliotece Kongresu w Washingtonie, D. C. Pojechał tam tegoż dnia, ale po to tylko, ażeby się przekonać, że ów rocznik gdzieś się zapodział, czy też został skradziony.... Zostawił w Washingtonie roz-

porządzenie co do poszukiwania owego rocznika — i sam wrócił do New Orleans.

W obec takich niepowodzeń rozpacz niekiedy brała Szczepana.

Byłby się w jakiś sposób zemścił na oszustach, działających tak nikczemnie przeciwko interesom osoby, która ich zatrudniała, a w najgorszym razie byłby ich po raz drugi przekupił tak, ażeby zdradzili z kolei Felsensteina; ale właśnie w tym czasie, gdy Szczepan przybył do New Orleans, oszukańcza agencya Foxa i Goggina pękła.... Spełnili oni jakieś łotrństwo, większe i ważniejsze, niż zwykle — i zagrażało im więzienie.

Zemknęli tedy, jeden do Meksyku, drugi gdzieś na daleki Zachód.... Szukać ich? — byłoby to szukać wiatru po polu....

I ta więc nadzieja, że coś za pieniądze od Foxa i Goggina wydobędzie, prysła.... Jedno tylko pocieszało Szczepana, że Jadwiga, która dotąd rujnowała się kompletnie na opłacanie oszustów, zaniecha bezowocnego śledztwa.

I tak się stało istotnie.

Biedna Jadwiga przyjść musiała wreszcie do wniosku, że wysiłki jej są na razie bezowocne.... Była zresztą ogołocona z funduszów i nawet pensję swą wybrała na kilka miesięcy naprzód od senatora Fairmount. Zrezygnowała tedy chwilowo z dalszych starań — i oddała swoją sprawę Opatrzności. Pocieszył ją do

pewnego stopnia w tej rezygnacyi Szczepan; posłał bowiem do niej list bezimienny, proszący, ażeby była cierpliwa i sama śledztwa zaniechała, ponieważ sprawę tę podjął kto inny — i kamienia na kamieniu nie pozostawi, dopóki jej nie wyjaśni. List był podpisany: „Przyjaciół”.

Wprawdzie list nie był pisany ręką Homicza, ale niemniej Jadwiga przeczuła, że od niego pochodzi....

Twarz jej w ogniu stanęła — i usta wyszeptały miłośnicie jakieś imię.... Na dwa dni przedtem czytała w gazecie notatkę, że znakomity wynalazca-elektryk, Mr. Homicz, bawi od pewnego czasu w New Orleans.

Wieczorem tego dnia modliła się długo i gorąco, a modlitwę swą zakończyła temi słowy: — Panie! Ty wiesz, co czynisz....

Wkrótce potem nastąpiły już wyżej opisane wypadki: śmierć pani Fairmount — i wyjazd Jadwigi z małą Florą do Kansas City.

Szczepanowi niesłychanie przykrym był jej wyjazd.... Tchu mu w piersi brakowało na myśl, że ona przestała oddychać tem samem, co i on powietrzem.... Porwał się zrazu — i chciał jechać za nią. Zatelegrafował o tem do Robbinsa — i otrzymał od niego również telegraficznie surowe upomnienie, aby dał pokój temu szalonemu pomysłowi.

Pozostał tedy w New Orleans — i prowadził śledztwo dalej.

W chwilach zniechęcenia lub oczekiwania, często po nocach całych, gdy sen nie chciał ukończyć zmęczonego burzą wrażeń mózgu, pracował w specjalnie urządzonej laboratorjum nad nowym zagadnieniem elektrycznym, nad wynalazkiem, który mu mógł przynieść nową sławę i miliony. Był zresztą ciągle zdenerwowany — prawie chory. Walka z trudnościami sprawy Śląskiego z jednej strony, a z komplikacyami owego zagadnienia naukowego z drugiej, trzymała jego nerwy w ciężkiem napięciu.

I jedno i drugie szło mu przez jakiś czas bardzo trudno....

Aż wreszcie pewnego pięknego poranku — a było to w tym mniej więcej czasie, kiedy Konrad Felsenstein wyjechał do Kansas City z New Orleans — zawzięta dotąd fortuna uśmiechnęła się Szczepanowi aż z dwóch stron odrazu...

Pewnej nocy, w półśnie niespokojnym, objawiło mu się rozstrzygnięcie największej trudności jego nowego wynalazku. Objawiło się! — inaczej powiedzieć niepodobna....

Siłą woli przebudził się. Nieubrany, wyskoczył z łóżka — i pobiegł do swej pracowni. Po godzinie pracy, miał przed sobą szkic rysunkowy i krótkie objaśnienie, stanowiące jego tryumf. Zwyciężył! Najnowsze zagadnienie elektryczne zostało rozwiązane.

Pół miliona dolarów — oto suma, na którą praktycznym zmysłem nowożytnego wynalazcy-biznesisty oceniał wartość swej pracy.

Bądź co bądź, chwała i pieniądz coś znaczą... Tego ranku był prawie szczęśliwy.

Jak zwykle, rano przybiegł doń z raportem jeden z jego detektywów.

Był cały rozogniony, radości pełny. Przyniósł wiadomość niesłychanej wagi. W stnowym przytułku dla starców odnalazł Murzynkę (była to staruszka, licząca już lat 98), u której przed laty 20tu stali na stancyi: Morski (naówczas Miller) i ów tak poszukiwany, a niewiadomy z pobytu świadek z procesu Ślaskiego, czyściciel butów, młody naówczas Mulat Cummings. Murzynka ta była napół obłąkana.... Chwilami tylko odzyskiwała przytomność; ale wówczas mówiła rzeczy tak dziwne i tak wielkiej wagi dla sprawy Ślaskiego, że istotnie rzecz całą mogły one zwrócić na nowe tory.

Było to wielkie odkrycie.

Przyjął je z wielką radością Szczepan. Chciał w tej chwili razem ze swoim agentem lecieć do zakładu starców; gdy oto nowe wiadomości zatrzymały go niespodzianie.

Służący doręczył mu w tej chwili telegram od Robbinsa z Evanston; brzmiał on, jak następuje:

„Jeżeli masz pan sposób sprowadzenia Mallo-ry'ego do Ameryki, użyj go teraz. Czas najwyż-

szy. Telegrafuj. Mallory musi tu być za trzy do czterech tygodni najwyżej.”

Jednocześnie przybył drugi detektyw, zatrudniony przez Szczepana.

Ten od czasu przybycia Konrada Felsensteina z ojcem do New Orleans, miał sobie polecone strzedz ich kroków. Była to misya, może ściśle ze sprawą Śląskiego nie połączona, której przecież Szczepan nadawał równą z tą sprawą wagę, większą jeszcze, jeśli podobna...

Przyniósł on niepokojącą wiadomość.

Pomimo choroby starego barona, obaj Felsensteinowie wyjechali. — Dokąd? — Do Kansas City, Mo.

Szczepan o mało co na tę wieść nie oszalał....

Wyjechali! — i to do miasta, gdzie bawiła obecnie Jadwiga.... Najbardziej ponure myśli zaczęły przechodzić mu przez głowę. Co oni mieli za cel? czego chcieli?

I już przed oczyma biednego Szczepana ukazywała się droga, przedziwnie piękna, jak zawsze, promieniejąca, jak słońce, stojąca przed ołtarzem do ślubu z odrzuconym niegdy przez siebie narzeczoną, Konradem?

Błądł i szalał....

Bo i po cóż innego mógł tutaj z tak daleka przybyć Konrad wraz z ojcem? Na myśl o tem krew zastygła w żyłach Szczepana. Znów rwał się do wyjazdu za nimi.

Ale znowu przychodziła mu refleksya.

Jak porzucić nowo odkrytą nić przewodnią, wiodącą do prawdy w procesie Slaskiego? Jak przerwać prace, odnoszące się do wynalazku? — Nie wiedział sam, co robić....

Wreszcie zatelegrafował do Robbinsa.

W paru słowach, odpowiednio rzecz omawiających, przedstawił wszystko.... Pytał, co robić? Otrzymał w dwie godziny po wysłaniu telegramu, następującą odpowiedź:

„Trwaj. Rób swoje. — Tamten w Kansas City nie niebezpieczny. — Swoich ludzi tam poślę. — Gdyby było cokolwiek, natychmiast będziesz zawiadomiony. — Nie wyjeżdżaj. — Jeszcze raz, rób swoje.“

Telegram uspokoił Homicza. Nastąpił w 24 godzin potem list.

Ten list skłonił Szczepana do pozostania w New Orleans. Pracował dalej, pewny, że dojdzie do jakiegoś poważnego rezultatu....

I istotnie, codzień coś zyskiwał.

Dwa czy trzy razy widział się ze 100-letnią Murzynką Ethel Lee i coraz coś nowego od niej się dowiadywał. Od Robbinsa odbierał ciągle raporta o ruchach Konrada Felsensteina — i te go uspakajały. Z drugiej strony jego własne doświadczenia i prace nad wynalazkiem szły naprzód.

Burzył się zresztą w środku i ciągle niepokoił.

Upłynęło znów kilka tygodni.

Wreszcie nadszedł dla Szczepana dzień wielki, dzień tryumfu. Dostał klucz sprawy w rękę. Zrobił odkrycie niespodziewane i niesłychanej wagi.... Mógł teraz stanąć z podniesionem czołem przed Jadwigą — i pewny był, że zostanie przyjęty przez nią, jako zbawca, powitany z otwartemi rękoma....

Cała dusza jego grała teraz radością i tryumfem.

Co to było za odkrycie? — dowiemy się niezadługo ... Teraz na krótką chwilę zając się winniśmy innemi postaciami, grającemi wybitne role w tem opowiadaniu.

XI.

Co się tymczasem działo z Morskim i Gryzińskim, Kaliskim i Szymkiem Zawalidroga?

Straciliśmy ich z oczu....

Najpierw słówko o Morskim. Pamiętamy, że jeszcze na jesieni przybył on do Chicago widocznie po to, ażeby tam zobaczyć Homicza. Zapewne chciał go rozpytać z powodu zgubionego jeszcze w New Yorku medalionu.

Ale wypadek pokrzyżował jego plany.

Nastąpiło zajście w szulerni, wskutek którego Morski musiał pójść do szpitalu.... Wtedy to właśnie sam Szczepan, przeczytawszy w gazecie o tym wypadku, zgłosił się z zamiarem zobaczenia go w szpitalu. Z początku Morski

przyjął tę wieść z radością.... Ale gdy nad-
szedł dzień widzenia się z Homiczem, w umy-
śle starego, zawsze niespokojnym, zawsze drę-
czonym podejrzeniami, obudziła się nagła nie-
ufność.... „Czego od niego chce ten Homicz?
Co ma do niego za interes? Po co się sam zgła-
sza?” — Takie pytania zadawał sobie stary
Morski, gorączkując wieczorem w łóżku szpi-
talnem....

Aż około północy porwał go lęk straszny,
przerażenie ogromne.... Była to chwila, jakie
przychodziły nań często.

Uciekł ze szpitala.

Podążył odrazu do swej tajemniczej sie-
dziby na „Cat Island”.... Powitali go z rado-
ścią głuchoniemy Murzyn i pies Zbój — i cisza
bezgraniczna. Morski uczuł, że odżyje na
nowo. Zaszył się tedy w ustroniu na całą zi-
mę — i wyspy prawie nie opuszczał.

Pił i palił fajkę....

Niekiedy miewał halucynacje, gadał gło-
śno i widywał dawne swe widma, na co Mu-
rzyn nie zważał wcale, a pies, stojąc w progu
„tureckiego saloniku”, szczyrzył zęby i głośno
warczał.... Na zakończenie takiego napadu,
stary kładł się do łóżka; wstawał za dni parę,
osłabiony i znękany. Wtedy na jaki tydzień
nie powracał do kieliszka. Włóczył się z psem
po wyspie, nie zważając na najgorszą choćby
niepogodę....

Szczególniej często zaglądał w pewien kąt wyspy, gdzie nagromadzone kamienie utworzyły rodzaj skalistego pagórka.

Pukał tam laską w kamienie — i jak gdyby szukał czegoś.

Dwa razy tylko pisał list do „Sarenki” przez te parę miesięcy, posyłając jej pieniądze. W sąsiednim St. Joseph był tylko parę razy, i to ukradkiem.

Uspakajał się powoli.

Nie dochodziły do niego żadne niepokoje, ani podejrzenia. Słoneczne wiosenne powietrze ożywiało jego pierś. Od czasu do czasu myślał sobie, że niezadługo, kiedy się już zupełnie ociepli, sprowadzi tu sobie „Sarenkę” na jaki tydzień, a nacieszywszy się z nią, wywiezie potem gdzieś, daleko, gdzie ich nikt nie zna, na wybrzeża morza, bodaj do Europy — i raz odetchnie.

Aż oto pewnego dnia — a było to w tym samym prawie czasie, gdy Szczepan zrobił wielkie swe odkrycie — znów spadł na Morskiego nowy niepokój.

Murzyn głuchoniemy powiedział mu znakami, że zrobił pewne ważne odkrycie.... Zaprowadził starego na wybrzeże wyspy, do ich tajemnej przystani i pokazał mu ślady pobytu jakichś obcych ludzi. Były one wyraźne nawet dla każdego profana, a tem bardziej dla Morskiego i Murzyna, którzy w swem ukryciu

przez lata nauczyli się, obcując z naturą, poznawać ślady przelotu ptaków i pochodów mrówek wśród traw nadbrzeżnych.

Tak jest! — łódź ich była przesunięta z miejsca; na ziemi leżał niedopałek cygara; dalej gałęzie drzew były poprzecinane....

Widocznie tu ktoś był.

Morski zaklął strasznie.... Schylił się ku ziemi — i jak Indianin, śledzący wroga na łąkach dalekiego Zachodu, zaczął poszukiwać dalszych śladów. Nie brakło ich.... Na wybrzeżu wyspy widoczne były ślady kilku wyładowań; zapuszczano się też w głąb wyspy.

A nie byli to myśliwi; nie słyszano przecież huku strzałów.

— Kroćset tysięcy szatanów! — zaklął stary Morski — co za piekielne zwierzęta tutaj pyskały....

Namyślał się przez chwilę.

Wreszcie kazał Murzynowi strzedz jak najpilniej domu i wyspy, a sam, przebrawszy się, wsiadł w łódź. Pojechał do miasta.

Tyle o Morskim.

Co tymczasem robił Kaliski — i śledzący go Gryziński?.... O losach ich niektóre wiadomości mogłaby nam zakomunikować agencja detektywów w Chicago, którą zwykle zatrudniał Szczepan.

Ta agencja we właściwym czasie złożyła raport Robbinsowi i Homiczowi, że suma 30

tysięcy marek, przysłana do Chicago dla Johna Dix'a (Kaliskiego) przez barona Felsensteina z Niemiec, po miesięcznym z górami opóźnieniu, wynikłym ztąd, że adresata w Chicago nie znaleziono, została wskutek zlecenia nadawcy przesłana do banku w St. Joseph, Mo. Tam po otrzymaniu nowego zlecenia telegraficznego bar. Felsensteina, wysłanego już z New Yorku, pieniądze wypłacono osobie, o której bliższe szczegóły miał posiadać p. Gryziński.

Tak brzmiał raport agencji, zdający się wskazywać, że John Dix *alias* Kaliski wszedł w posiadanie przysłanej mu przez Felsensteina sumy — i w ten sposób załatwił już pomyślnie jeden z dwóch interesów, omawianych z Szymkiem Zawalidrogą w „Hotelu złodziejskim” w St. Joseph.

I o Gryzińskim musiała coś wiedzieć agencja detektywów w Chicago.

Była bowiem w ciągłej z nim komunikacji, odbierała od niego listy i telegramy, wysyłała doń agentów — i czyniła na jego rozkaz różne poszukiwania.

Z tym Gryzińskim była dość dziwna historia.....

Oto listy jego i telegramy przychodziły z m. St. Joseph, ze Stanu Missouri, a jednak jawnie, publicznie, nikt nie znał i nie widywał tam Gryzińskiego. Były lwowski adwokat istotnie, po przybyciu do St. Joseph, zamieszkał

w hotelu i podając się za reprezentanta jakiegoś wielkiego domu handlowego z New Yorku, spokojnie tam przyjmował raporta detektywów, uchodzących za jego komisantów. Ale po upływie miesiąca z górą, pewnego pięknego poranku „byznesista” Gryziński oświadczył, że załatwił swe interesa — i hotel opuścił.

Odwieziono go omnibusem hotelowym na dworzec kolei i odtąd już nikt w mieście nie widział ani p. kupca z New Yorku ani jego agentów.....

Pozornie więc Gryzińskiego w m. St. Joseph nie było, a jednak listy, przybywające od niego do Chicago, New Orleans, Evanston i innych miejsc, nosiły na kopercie pieczętkę pocztową z tego miasta.... Była w tem tajemnica, trochę podobna do tej, jaka otaczała Kaliskiego, którego ze świecą w ręku nie znalazłby w St. Joseph, a który przecież (według raportu agencji chicagoskiej do Robbinsa) odebrał w tem mieście przesłane z Chicago pieniądze.

Być może, iż pewne wskazówki do rozwiązania tej tajemnicy znajdziemy w opowiadaniu o wypadkach, które w dniu niepokojącego odkrycia, zrobionego przez Morskiego na „Cat Island”, odgrywały się w dwóch schludnych i nawet eleganckich domkach, położonych na jednej z ustronnych ulic w m. St. Joseph.

Była to uliczka cicha i spokojna, po obu stronach zasiana ładnymi willami i domkami, otoczonymi zielenią drzew i krzewów.

Niektóre z tych domków stały próżne; w innych mieszkali ludzie porządni i spokojni, o obyczajach bardzo regularnych. Nie było tu żadnych składów i byznesów, przejazd wozu lub powozu był niesłychanym zjawiskiem, a i przechodnie zdarzali się rzadko. Uwagę naszą na tej uliczce zwrócić powinny dwa domki, a raczej dwie obok siebie stojące wille.

Podobne są do siebie, jak dwie krople wody.

Przed każdą znajduje się trawnik z fontanną i żelazne sztachetki od ulicy; każda ma wejście po kamiennych wysokich schodach i ganek oparty na kolumnach; każda jest dwupiętrowa z rodzajem baszty na froncie i dziwnie załamany dachem z tyłu; każda opleciona bluszczem z frontu i od boków; obie wreszcie, jak to wiadomo każdemu w tej ulicznej stronie, odznaczają się tem, że przynoszą swoim lokatorom — nieszczęście.

Zbudował je przed laty czterema pewien „kontraktor” (przedsiębiorca) murarski i sam w jednej z nich zamieszkał.... Nie upłynęło i sześciu miesięcy, gdy zbankrutował i w łeb sobie palnął. Jednocześnie prawie w sąsiedniej willi ukazał się pierwszy wypadek ospy, który właśnie dał początek pamiętnej w dziejach miasta epidemii. Odtąd zaczęła się serya fatal.

na. Ktokolwiek się tu wprowadził, zawsze dotykało go jakieś nieszczęście.

W rezultacie dwie wille wyrobiły sobie taką złą opinię, że ostatnio przez kilkanaście miesięcy stały próżne....

Dopiero coś ostatniej jesieni sprowadził się do jednego z tych domków jakiś lokator. Był to Murzyn, ale widocznie człowiek dość dystyngowany i zamożny, jak można było sądzić z jego powierzchowności i umeblowania. Przez parę dni urządzano pod jego kierunkiem mieszkanie — i przez ten czas w willi panował, ku zdziwieniu mieszkańców samotnej uliczki, ruch i gwar.

Potem nastąpiła cisza i spokój.

Nowy lokator willi, (nie wiedziano nawet jego nazwiska, a mówiono tylko, że pochodził z Georgii, był tam doktorem i zrobiwszy majątek, przybył tu odpocząć sobie na starość) nie wychodził w ciągu tygodnia nigdy z domu; tylko w niedzielę udawał się do sąsiedniego kościoła Metodystów. Żył widocznie bardzo spokojnie i regularnie. Nikogo nie przyjmował. Gospodarstwo jego prowadziła służąca, Mula. tka w średnim wieku, dość przystojna, ale zakrywająca oczy, widocznie słabe, dużemi ciemnymi okularami.... I ta rzadko wychodziła na miasto, a była przytem bardzo małomówna. Wkrótce do tej dwójki przyłączył się jeszcze jeden lokator; był to biały, wysoki i chudy,

jak tyka jegomość z długimi rudymi bakenbardami.

Miał to być cudzoziemiec, przyjaciel gospodarza domu.

Z początku mówiono o nich wiele na tej ustronnej uliczce, ale gdy życie tych trojga, nadzwyczaj monotonne i spokojne, nie dawało materiału do żadnych kombinacyj i uwag, gdy dom ich faktycznie był najcichszym w tym cichym zakątku, przestano się nimi interesować.

Nawet wdowa Smith, utrzymująca niedaleko ztamtąd pokoje umeblowane, największa plotkarka w okolicy, musiała przyznać, że są to ludzie bardzo spokojni. A jednak... zmieniłaby prędko swe zdanie, gdyby zechciała kiedy w nocy, o późnej godzinie, gdy cała uliczka była już pogrążona we śnie głębokim, pół godziny stróżować niedaleko willi. Przekonałaby się wtedy, że w nocy panował tu ruch, że wchodzono i wychodzono ztamtąd często....

Lokatorzy willi w dzień nie dawali żadnego znaku życia; ale za to w nocy ruszali się... Dziwni ludzie!

Tak czy inaczej, fatalność, która dawniej ciążyła nad jednym przynajmniej z dwóch domków siostrzanych, zdawała się być złamaną. Mieszkańcom willi nie przytrafiało się żadne nieszczęście. Co więcej i druga willa dostała także mieszkańców.

Było to jakoś w półtora miesiąca po zajęciu pierwszego domku.

Lokator drugiej willi był osobistością zupełnie innego rodzaju, aniżeli jego sąsiad.

Był to człowiek już niemłody. Nizki, pękaty, miał pełną siwą brodę i siwe mocno nastroszone brwi. Każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać, opowiadał, że się nazywa Griffith i jest pensyonowanym majorem wojsk Jej Królewskiej Mości, królowej angielskiej Wiktoryi. Służył w Indjach i Australii, a przyjechał do Ameryki dla tego, że mu się inne części świata znudziły. Była to w ogóle osobistość dość hałaśliwa — i wielki dziwak. Nieodłącznymi jego towarzyszami był wielki pies, zwany „Nero” — i fajka na długim cybuchu w ustach. Oprócz niego zamieszkało w willi dwóch służących, jeden wysoki drab z sumiastymi wąsami (ten zastępował majorowi, nie znoszącemu kobiet, kucharkę), drugi chłopak młody, bezwasy, którego głównym obowiązkiem zdawało się być opiekowanie się drogocennym psem „Nero“.

Major Griffith zdawał się być człowiekiem bogatym. Fieniądze rzucał garściami.

Z początku hałaśliwa osobistość robiła trochę niepokoju, ale powoli przyzwyczajono się do niej i jej dziwactw. Jednem z takich dość dziwacznych upodobań majora Griffitha była — astronomia. Twierdził, że zna się na niej, jak nikt inny, a każdego, któryby o tem

wątpił, gotówby zaraz wyzwąć na pojedynek... Urządził sobie nawet na dachu swej willi coś w rodzaju obserwatorium astronomicznego — i nieraz w różnych porach dnia i nocy wyłaził tam sam lub w asystencyi małego swego grooma i, jak mówiła wdowa Smith, przy pomocy swoich rur i szkieł „szukał po niebie tego, czego nie zgubił”.

Śmiano się z tego tylko.....

Z najbliższym swym sąsiadem, mieszkańcem sąsiedniej willi, major Griffith, pomimo, że mieszkał obok niego już od paru miesięcy, do żadnych przyjaznych stosunków nie doszedł. Najpierw Murzynem się brzydził — i twierdził, że jego pies „Nero“ jest stokroć inteligentniejszy, aniżeli trzech doktorów i siedmiu adwokatów murzyńskich, razem wziętych. Powtóre, pałając nienawiścią do kobiet, zaraz po wprowadzeniu się do willi posłał swego służącego do sąsiada z przyjacielską radą, by ten precz oddalił swą służącą kobietę i na jej miejsce wziął sobie mężczyznę; gdy zaś stary doktor Murzyn groom'owi, przybywającemu z tą propozycją, drzwi pokazał, nasz major zaklął tylko siarczyście wszystkimi piorunami i dyablami — i rzekł krótko o swym sąsiedzie:

— Niech idzie do piekła! Nie będziemy się patrzyli na tę wysłankę Beliala....

Pod tem malowniczym określeniem rozumiał Mulatkę (jeszcze wcale przystojną).

Tak więc żyli sobie już od kilku miesięcy w dwóch siostrzanych willach na cichej i ustronnej uliczce m. St. Joseph, dwaj ludzie, każdy swoim dworem, robiąc, co im się podobało, nie znając się wcale ani się o siebie troszcząc.... Chociaż domy ich (wskutek wąkości „lot”) stały tak blisko siebie, że dobrze się wychyliwszy z okna, można było ręką od jednego do drugiego sięgnąć, nie było między nimi nic wspólnego na pozór, nie łączyło ich nic.

Czy tylko tak było istotnie?

O tem właśnie chcemy rzec słówko.... Przywilej powieściopisarski pozwala nam widzieć rzeczy dla innych niewidzialne. Jak już mówiliśmy, front i boki dwóch willi oplatał bluszcz, a w niektórych miejscach bluszcz ten zwijał się w gęste sploty i szczególnie w pobliżu dachu stykał się, tworząc jedną gęszcz. Rozpięty on był na drutach. Otóż gdyby jakiś uważny badacz wszedł na dach willi majora Gryffitha i chciał uważnie obserwować sploty bluszczu, dostrzegłby pośród zielonych liści, ciemnych łodyg i czarnych, pordzewiałych po skręcanych drutów, coś — błyszczącego.

Były to także druty, ale złoto-czerwonego koloru, dwa świecące druty miedziane, najwidoczniej nie mające wcale na celu podtrzymywanie krzewów, ale niejako na sposób telegrafu lub telefonu pomiędzy dachami dwóch dom-

ków przeciągnięte.... Dla wszystkich ginęły one we zwojach bluszczu.

A więc był jakiś łącznik pomiędzy dwiema willami, jeśli nie umysłowy i serdeczny, to mechaniczny, przy pomocy elektryczności.

Jaki jednak cel tego tajemniczego połączenia?

Zaraz się dowiemy, jeśli tylko zechcemy wejść na chwilę do małego pokoiku na wieżchołku willi majora Griffitha, umieszczonego w rodzaju baszty czy też pawilonu, wieńczącego front domku.... Przy tym pokoju major ulokował na dachu swoje obserwatorium pod szklanym daszkiem. Jeśli nie w obserwatorium, to w tym pokoiku najczęściej go można było znaleźć.

Miał tam różne tajemniczej formy przyrządy, druty i maszynki.

I w tej chwili (jest to właśnie wieczór tego samego dnia, kiedy Morski spostrzegł tajemnicze ślady na swej wyspie), znajdujemy w owej szczytowej izdebce, przypominającej mocno laboratorium mechanika lub elektryka, majora Griffitha.

Na wieży dalekiego kościoła wybiła co dopiero godzina ósma.

Griffith siedzi, obrócony twarzą do ściany. Przed nim znajduje się przyrząd w rodzaju telefonu, różny jednakowoż od zwykłych telefonowych urządzeń. Rurkę gumową major trzy-

ma przy uchu, a do oczu podnosi rodzaj wgłębionego zwierciadełka, połączonego ze ścianą drutem mosiężnym, złocistym i błyszczącym, zupełnie takim, jak druty na zewnątrz, pośród bluszczu, ale owiniętym spiralnie skrawkiem gutaperki.... Z rurki gumowej dochodzi do uszu Griffitha jakaś oddalona wrzawa, jak gdyby pochwycony w fonograf gwar głosów paru; na tle zwierciadełka ukazują się jakieś iskry ogniste, rozświetlające zmrok, który panuje w szczytowej izdebce — i uwydatniające na niem jak gdyby momentalne obrazki fotograficzne.

Posłuchajmy rozmowy, która dochodzi przez ten tajemniczy telefon do uszu majora. Jest to — o dziwo! — rozmowa w języku polskim.

— A więc jutro! — mówi głos jakiś basowy.

— Jutro, jeśli naturalnie on dziś przyjdzie do miasta — odpowiada inny głos zachrypnięty, niemiłego dźwięku, ale usiłujący wymawiać wyrazy w sposób wykwintny, dystygowany.

— I kto mu doręczy list? — pyta go głos nr. 1szy.

— Ja.... ja koniecznie — odzywa się teraz głosik kobiecy.

— Zobaczymy — reflektuje głos zachrypnięty — o to zresztą mniejsza.... Doręczyć

list może lada kto. Rzecz główna: kto weźmie udział w małej komedyjce, którą chcemy urządzić jutro w tem rozkosznem ustroniu?

I głos ten śmieje się długo cynicznie, obrzydliwie.

— Kto? — przerywa bas — My trzej.... ja.... ty.... i adwokat Laing. To proste. Po kiego dyabła mamy innych w to wtajemniczać? Skórkaby za wyprawę nie starczyła.

— *What are you saying about Laing?* (co mówicie o Laingu?) — zapytuje głos jeszcze inny, suchy i świszczący, głos nr. 4ty.

Nikt jednak na to pytanie nie zważa.

Tylko słuchacz tej tajemnej rozmowy, major Griffith, wzdryga nagle ramionami i powiada sam do siebie:

— A to co?

Natomiast z rurki telefonu odzywa się ponownie głos kobiety:

— Jakto?.... więc wy, niegodziwcy, na mój udział w tej wyprawie nie liczycie?.... Więc chcecie mi odmówić tej przyjemności? Więc myślicie, że Stefka nie ma dwojga ramion, silnych, jak stal?... Wstydzcie się, ty Szymku — i ty Bolo, najbardziej!

W otworze telefonu brzmi jak gdyby szmer protestu; na zwierciadełku szybki ruch iskier elektrycznych wydobywa szereg obrazów, które śpiesznie nikną.

— O, niegodziwcze stary.... — błaga w

otworze telefonu głos kobiety i potem następuje coś, jak gdyby grad stłumionych całusów.

— No, już dobrze... już dobrze — mruczy głos zachrypni ty — będzie, jak chcesz.

— Dyabła tam z babami! — protestuje głos basowy.

Przez chwilę brzmi w telefonie śmiech osób paru.

— Do rzeczy zresztą... — zaczyna na nowo głos nr. 2gi — Otóż ja, Bolo L. Kaliski, jako wasz wódz i dyrektor, rozporządzam, co następuje: Mamy teraz 15 minut po ósmej. Stefka, stosownie do swego życzenia, niech się zaraz przerobi na chłopaka... będzie to chłopiec ładny i apetyczny — zaśmiał się głośno — Ma być gotowa na dziesiątą, o tej godzinie wyruszy z poselstwem do Morskiego.

— *All right*... już idę — odezwał się głos kobiety.

Głos zachrypły ciągnął dalej:

— Tymczasem ty Szymek, możesz sobie isć na złamanie karku. Masz tu pięć dwudziestodolarówek. Trzy dla ciebie. Dwie złote monety wystarczą ci na kupno tego, co potrzeba... Wiesz.

— Wiem. Jeszcze jeden rewolwer... trzy pary kajdanków podwójnych, na ręce i na nogi... dwie kieszki z piaskiem... cztery pałki, nabijane ołowiem...

— *Yes, yes*... to wszystko. A drzazg

na „Cat Island” nie zbraknie.... A... jeszcze jedno. Kup dużą pakę zapalek!

— Co dalej?

— Nic. My z Laingem zostaniemy tutaj — i ja podyktuję mu list, który Stefka zanie- sie temu staremu pijakowi i waryatowi. Pi- smo Lainga będzie najlepsze... Nigdy go nie widział w życiu. Dyktować będę powoli, bo trzeba zastanowić się nad każdym wyrazem. Bardzo drażliwe bydlę z tego Morskiego!

— I co mu powiesz w tym liście?

— Że pojutrze... co dziś mamy? — czwar- tek.... otóż, że pojutrze, w sobotę.... po- wiedzmy w nocy z soboty na niedzielę.... nie- znani złoczyńcy, już od paru dni włóczący się po wyspie, zamierzają wykraść mu jego skarb z „Cat Island”. Zbaranieje, kiedy to prze- czyta! List dostanie dziś około północy w go- spodzie „Old Rooster”, gdzie ma stałą kwate- rę, skoro przybywa do miasta. Będzie już zbyt pijany, gdy się o tem dowie, ażeby coś przedsięwziąć tej nocy.... zresztą musi się na- myśleć. Akcja więc nastąpi dopiero jutro. W każdym razie najpierw Stefka, potem ty będziecie go przez tę noc obserwowali.... Na- turalnie, ty, załatwiwszy sprawunki, udasz się pod „Old Roostera” — i zluzujesz Stefkę.

— Znów dyabelstwo.... noc nieprzespa- na — mruknął głos basowy.

— Cicho tam.... nie buntować się! —

skarcił go głos zachrypły — Chcesz mieć pieniądze? To pracuj. Zresztą idę dalej.... Akcja Morskiego przypadnie niewątpliwie dopiero na wieczór dnia jutrzejszego, raczej na noc z piątku na sobotę. Tak jest.... ten ptaszek światła dziennego się boi i będzie robił w nocy.... Otóż od jutra rana musimy mu siedzieć na karku. Ty z Laingiem udacie się wcześniej na „Cat Island” — i tam zapadniecie gdzie w pobliże kupki kamieni. My we dwoje, ja i Stefka, jednocześnie, jak najwcześniej, zajmiemy stanowisko obserwacyjne w obec gospody „Old Rooster“. Z tylnych okien „Hotelu złodziejskiego” Ciotki Sary będziemy mieli gospodę na oku — i odtąd nie opuścimy.... niewidzialni naturalnie.... nie opuścimy naszego bałwana, aż do śmierci....

I głos zachrypły zabrzmiał śmiechem długim, a złym.

— Albo przynajmniej, dopóki nie wyżyga swej mamony.... — zreflektował głos basowy.

Przez chwilę panowała cisza; przerwał ją znowu głos ten sam.

— Jakkolwiek bądź — zaczął — twój plan jest w zupełnym porządku.... Wart Kaliskiego z dobrych, dawnych czasów.

— Ho...ho... zobaczysz.... Nie takich jeszcze rzeczy dokaże Bolo L. tu w Ameryce. Skończmy tylko ten kawał, a wtenczas zabierzemy się do Felsensteina.... Obłuskaliśmy

go już z 30,000 marek, ale to mucha. Będzie nam jeszcze tańcował. Sam dyabeł go tu przyniósł do Ameryki.... Siedzi teraz w Kansas City.... pojedziemy do niego.

— A Morski?

— Nie bój się.... ten nam „trublu” robić nie może. Czy myślisz, że jeśli go przypadkiem nie zadusimy, będzie na nas się skarżył do policji i sądu?

— *You bet*, że nie....

— A więc widzisz.... Zresztą dość już tej gadaniny. Jazda, Szymek, do roboty.

W otworze tajemniczego telefonu nastąpiła cisza chwilowa, potem odezwał się znów głos zachrypły, tym razem po angielsku:

— *Are you ready Mr. Laing?*

I zaczęło się dyktowanie listu.

Widocznie nie przedstawiało ono wielkiego interesu dla operatora tajemniczego telefonu, bo otwór rurki gumowej od ucha odjął — i pocisnął jakąś sprężynkę....

W tej chwili szmery w rurce ucichły; widocznie telefon został zamknięty.

Za to major Griffith położył ostrożnie na specjalnej podstawie swoje tajemnicze zwierciadełko i nacisnął nową sprężynę. Niewielka skrzyneczka, umieszczona po za zwierciadełkiem, otworzyła się — i wypadło z niej na podstawkę kilkanaście jak gdyby miniaturowych

klisz fotograficznych z jakiegoś cienkiego, przejrzystego materiału, podobnego do żelatyny. Griffith skąpał te klisze w jakimś płynie w obok stojącym naczyniu — i następnie umieścił je w przyrządzie podobnym do latarni magicznej, który jednocześnie oświetlił promieniem światła elektrycznego.

Pokręcił powoli śrubką — i przyłożył oczy do otworu latarni.

I oto zaczęły się przed jego okiem przesuwać kolejno momentalne, do połowy niemal naturalnych rozmiarów powiększone obrazy fotograficzne scen, które odgrywały się w siostrzanej willi podczas dopiero co przytoczonej rozmowy.

Jakiś mistrz wynalazł przyrząd, który przy pomocy dwóch miedzianych drutów, ukrytych w bluszczach i przeprowadzonych z jednej willi do drugiej, nie tylko przenosił do pracowni majora Griffitha wszystkie dźwięki z willi murzyńskiego doktora, ale nawet fotografował sceny, odbywające się w gabinecie tego szanownego Negra. Ktoś inny miał tyle odwagi, że zapewne w nocy dostał się na dach sąsiedniej willi i bez wiedzy jej mieszkańców przeprowadził druty mosiężne aż do gabinetu pana domu, gdzie wylot przyrządu, chwytający dźwięki i fotografujący obrazy, ukrył w gzemsach sufitu. Tym wynalazcą był Szczepan Homicz; tym mechanikiem major Griffith, albo raczej powiedzmy odrazu Gryziński.

Telefon, połączony z przyrządem fotograficznym „na dystans” był właśnie ostatnim wynalazkiem Homicza, tym, który, jak liczył, miał mu przynieść kiedyś przynajmniej pół miliona dolarów. Odebrawszy przed półtora miesiącem z St. Joseph, Mo., list Gryzińskiego, w którym stary wyga narzekał, że pomimo iż już od kilku miesięcy śledzi Kaliskiego, pomimo iż mieszka w sąsiednim z nim domu, nie jest w stanie odkryć nic ważnego, bo, jak pisał, „ściany sąsiada nie chcą mieć uszów”, Szczepan wpadł na śmiałą myśl....

Oto postanowił ścianom Kaliskiego (którego już zapewne czytelnik poznał w przeobrażeniu murzyńskiego doktora z Georgii) dać nie tylko „uszy”, ale nawet i „oczy”.

I uczynił to....

Przesłał w tej chwili model swego nowego, nieznanego jeszcze całemu światu wynalazku, Gryzińskiemu z obszerną instrukcją co do sposobu jego użycia, a ten pewnej nocy, gdy cała ludność sąsiedniej willi wymknęła się z domu (tym razem tylko na wesołą pohulanekę), przeprowadził druty najpierw na dach, a potem do wnętrza domu (na dach wychodziło okno, szczęściem nie zamknięte).... Trudna to niesłychanie była praca, ale Gryziński wykonał ją.

Przez sufit zapuszczone zostały odpowiednie przyrządy — i oto wynikił rezultat, zaiste cudowny, gdyby nie to, że w wieku 19tym

niema już cudów, którychby nie dokonała lub nie była pewna dokonać — elektryczność.

Wynalazek Homicza wytrzymał zwycięzko stanowczą próbę; Gryziński nareszcie dotarł do głębi tajemnic sąsiedniej willi.

I był już czas.

Właśnie teraz zamierzali uczynić pewny krok stanowczy Kaliski (stary doktor Murzyn) i jego banda, złożona ze Stefki (ucharakteryzowanej na służącą Mulatkę, a teraz połączonej ściślejszymi z Kaliskim stosunkami), z Szymka Zawalidrogi (ten nie mieszkał z nimi, ale odwiedzał ich często), oraz długiego i wysokiego Amerykanina, którego nazywali adwokatem Laingiem.

Krok stanowczy, o którym mowa, dotyczył Morskiego.

Chwila wykonania zbliżała się. Miała ona oddać w ręce Gryzińskiego i jego agentów nie tylko Kaliskiego wraz z jego tajemnicami, ale nawet i Morskiego, którego dotąd z takim trudem, a bez wszelkiego skutku poszukiwał... Na trop Kaliskiego Gryziński wpadł ze swymi ogarami już dawno, coś w miesiąc po przybyciu do St. Joseph, kiedy pozwolił mu bezkarnie odebrać z banku 30,000 marek Felsensteina. Odtąd śledził trop za tropem Kaliskiego, ukrywającego się pod przebraniem murzyńskiego doktora — i w tym też celu został jego sąsiadem.

Mniemał, że idąc za Kaliskim, dotrze do źródła innych tajemnic i nie omylił się.

Obecnie Gryziński jest bardzo zajęty oglądaniem fotografii, przeniesionych tutaj tak wyraźnie z sąsiedniego domku: stoją przed nim, jak żywe, postacie Kaliskiego i Stefki Cierzanowej, scena pocałunku, gestykulacja rąk przy rozmowie, wreszcie długa, chuda o rudych bakenbardach postać tego, którego inni nazywają „adwokatem Laingiem“.

Gryziński kombinuje, namyśla się, co ma dalej czynić....

Szczególniej zaciekawia go nazwisko Lainga. Słyszał już je kiedyś.... Zresztą jest to nazwisko tak pospolite. Gdzie je mógł słyszeć? Zastanawia się przez chwilę, wreszcie uderza się w czoło — i mówi:

— Mam....

— Tak! — to bardzo prawdopodobne.... Będąc w Chicago z Homiczem, zanim przybył do St. Joseph, poznał się z saloonistą Połubajtysem i zacną panią Manią, a jako prawnik, nasłuchiwał się od pocziwego Litwina wiele o nieszczęsnym ich procesie spadkowym w Pennsylvanii.... Przypomina sobie teraz. Nazwiska oszustów w tej sprawie brzmiały: Boguszas — i „adw.“ Laing. Ten „adwokat“ z połową spadku zemknął gdzieś na daleki Zachód — i zginął, jak kamień w wodzie.

Uśmiech ukazał się na ustach Gryzińskiego.

— No....no — szepnął sam do siebie — To byłoby ciekawem, gdybym za jednym zamachem i Połubajtysowi dopomógł do odzyskania straty lub przynajmniej do ukarania złodzieja ... Opis tego człowieka, o ile pamiętam z opowiadania Połubajtysa, bardzo odnosić się może do Lainga.

I przyglądał się znowu fotografiom. Wreszcie zrobił energiczny ruch ręką.

— Ha.... kupić nie kupić.... potargować można.

Dwie z płytek fotograficznych, na których najwyraźniej przedstawiała się figura długiego i chudego, jak kościotrup, Amerykanina, odczyścił skrupulatnie, obwiązał w papier metalowy — i zrobił z nich paczkę....

Siadł i napisał krótki list.

Potem zadzwonił.... Za chwilę stanął przed nim bezwąsy groom, mówiąc nawiasem jeden z najzdolniejszych detektywów agencji chicagoskiej, oddany do rozporządzenia Gryzińskiego.

— *Hello, boss* — rzekł detektyw.

— *Hello, Pete*....

— Jest co do roboty?

— Jest.

Detektyw zatarł ręce, a Gryziński ciągnął dalej:

— Dziś przed południem wszyscy musicie się tu zebrać do raportu... Ilu was jest?

— Oprócz mnie i wielkiego Dicka, przy-
było przed tygodniem z Chicago, na pańskie
żądanie, jeszcze trzech naszych. Ci są w mieście.

Gryziński namyślał się przez chwilę.

— *All right....* — rzekł wreszcie — niech
będą tu dziś wszyscy, oprócz jednego.... Je-
den z nich musi wyjechać, zaraz, w tej chwili,
do Chicago. Niech jedzie ślepy Johnny... Po-
ciąg do Chicago wyrusza za godzinę. Johnny
zabierze ze sobą to — wskazał na paczkę i list
— i odda pod wskazanym adresem, w dzień
czy w nocy, wszystko jedno... Pośpiech bez-
względny konieczny! Dostanie odpowiedź:
„tak” lub „nie”. Jeśli „nie”, jest wolny; gdy
przeciwnie ten pan, Mr. Połubajtys, powie mu
„tak”, ma natychmiast pierwszym pociągiem
przyjeżdżać razem z nim do nas, do St. Joseph.
Zrozumiałeś, mój chłopcze?

Groom słuchał bardzo uważnie.

— *All right....* — wszystko będzie wyko-
nane.

I zniknął w drzwiach. Gryziński pozo-
stał w półcieniu swego laboratorium. Długo
myślał nad czemś, wspierając głowę na rękę.

XII.

Wybiła godzina jedenasta rano. Było to
nazajutrz po opisanych w rozdziale poprzednim
wypadkach.

Na pensyi Miss Hunter w Kansas City by-
ło gwaro....

Panienki wysypały się z klas. Dziesięcominutowa przerwa, pomiędzy lekcyami sprowadziła ten rój małych motylów na barwne trawniki ogrodu.

Jadwiga odpoczywała w swoim pokoju.

Dopiero co ukończyła lekcyę prywatną z małą Florą, teraz mała jej pupilka miała trzy godziny lekcyj ogólnych, ze wszystkimi pensyonarkami. Po południu zuów wypadało kilka godzin ich pracy wspólnej. Teraz Jadwiga miała chwil parę odpoczynku.

Usiadła przy swem biurku i zamyśliła się głęboko.

Machinalnym ruchem otworzyła szufladę biurka. Wyjęła z niej list zapieczętowany. Koperta była zaadresowana do niej; charakter pisma wyraźnie wskazywał, że list pochodził od Konrada. Na kopercie oprócz angielskiego adresu znajdowały się w rogu następujące polskie wyrazy: „Bardzo, bardzo ważne.”

Położyła dłoń na kopertę — i rzekła po cichu:

— Już czwarty! Czy odesłać go tak, jak tamte?

Pod jej oknem, na trawniku, szczebiotały wesołe głosiki dziecięce, promieniały w blaskach słońca wiosennego jasne sukienki dziewcząt i złociste kosy warkoczy; a jej umysł powlekała chmura ciemna i ponura.

Co robić?

— Odeślę! — mówiła sama do siebie, a pomimo to była niepewna.

Odrzuciła list ruchem gwałtownym. Sięgnęła głębiej do szuflady i wydobyła ztamtąd inne pismo, zmięte, oblane łzami... Był to list angielski, pisany ręką obcą, ale niewątpliwie od Szczepana pochodzący.

Kilka tylko słów zawierał, ale jakże był pełen wymowy...

Czytała go sto razy i naczytać się nie mogła. Obiecywał, że sprawę jej ojca w swoje ujmie ręce i do końca ją doprowadzi; a pomimo że upłynęło już od tego czasu parę miesięcy, a sprawa faktycznie naprzód się nie posunęła, pomimo że dalszych brakło od niego wiadomości, — wierzyła, jak w Ewangelię, że tego, co obiecał, dotrzyma.

I ilekroć napastowały ją wyrzuty sumienia, że sama już nic więcej dla sprawy nieboszczyka ojca nie czyni, — wydobywała ten list i łzami oblewała — i całowała ukradkiem.

On jej służył za wytłumaczenie...

I teraz widok tego pisma magicznego rozmarzył ją i upoił. Obok listu leżał wycinek gazety angielskiej. Zawierał on telegram z New Orleans, a w tym telegramie coś tajemniczego, wielkiego, pełnego niejasnych zapowiedzi dla Jadwigi. Drżała na całym ciele, gdy onegdaj znalazła w swojej gazecie tych wierszy paręset.

Wycięła to i zachowała, jako relikwię.

Był to urywek *interview*'u ze znakomitym polsko amerykańskim wynalazcą i elektrykiem „S. Homischem”, bawiącym od kilku miesięcy w New Orleans.

Opowiadał on o jego najnowszym wynalazku.

Homicz określił go, jako „dalekowidz”. „Za pomocą tego wynalazku będziemy widzieli na setki mil” — mówił, a reporterzy byli zdumieni i zdjęci podziwem dla tego mistrza mistrzów. „Dla czego jednakowoż pan nie wystawisz zaraz swego modelu, nie okażesz go światu, nie powiesz, co on zacz?” — pytał wynalazcę któryś z reporterów. A Homicz uśmiechał się i odpowiadał:

— Mam przedtem inną wielką sprawę do załatwienia, sprawę niemal osobistą, sprawę serca i uczucia. . . wielki wymiar sprawiedliwości... odkrycie pewnej wielkiej tajemnicy!

Brzmiało to zagadkowo, niemal aż cudownie.

To też reporterzy rozdymali te wyrazy setką domyślników; opowiadali na to *conto* niemal całe legendy, wszystkie, rzecz prosta, z palca wyssane. Któryś z nich trafił jakoś na trop. Opowiadał tedy o śledztwie, które wynalazca prowadzi w sprawie romantycznej, w sprawie z przed lat 20tu czy 25ciu... A podniebienie moralne publiczności, nawykłej do

codziennych sensacyj dziennikarskich, te wieści łechtały, jak pieprz z Kajenny.

Jadwiga rozumiała, że to idzie o jej sprawę. . . .

I teraz siedziała wpatrzona, jak w słońce, w ten list wyblakły i w brudny wycinek gazety, gdy wtem.... uderzyły gwałtownie drzwi.... odezwało się łkanie spazmatyczne.... potem jak gdyby śmiech serdeczny.... wreszcie w objęcia jej padła jakaś postać biała, prześliczna, słoneczna, o złotych włosach, tym razem — zamglona, zapłakana.

Była to „Sarenka“.

Wpadła z impetem kuli. Pewna serdecznego przyjęcia, dziewczeczka rzuciła się na łono starszej przyjaciółki, przytuliła zażawione swe lica do jej piersi — i szłochała, szłochała... W sercu Jadwigi obudził się mimowoli instynkt „mateczki“, jak ją jeszcze na pensyi w Hamburgu nazywano; przycisnęła dziewczynkę do swego łona, zapomniała na tę chwilę o swoich własnych troskach i zmartwieniach i zaczęła pocałunkami okrywać oczy, włosy i czoło małej swej przyjaciółki.

Pytała:

— Co ci jest, droga moja Ethel? (takie imię nosiła na pensyi „Sarenka“.)

Ta w odpowiedzi zaniosła się tylko płaczem; wreszcie przecież i to ustało.

Łzy „Sarenki“ oschły.

Podniosła do góry oczęta i całując gorąco Jadwigę, rzekła tonem na pół fluteryi, na pół rozpaczy:

— Zdarzyły mi się dwa nieszczęścia.

— Jakie?

— Dwa wielkie nieszczęścia.... — i znowu zaszlochała głośno.

Pieszczoty Jadwigi ją uspokoiły.

Rozpoczęła teraz nareszcie opowiadanie o swych nieszczęściach. Było ono bezładne, przerywane westchnieniami łkaniami, wykrzyknikami. Po dobrej półgodzinie wyrozumiała Jadwiga z tej opowieści, że „Sarenka“ jest — zakochana.

Okropność!

W kim? — sama dobrze nie wie.... Opisała jej wreszcie przedmiot swoich westchnień. Jest to człowiek młody (naturalnie), ale niezmiernie poważny.... Ach, jaki on jest poważny! Jakie ma oczy błękitne... głębokie, jak morze. Jakaś boleść niezatarta przywarła mu do twarzy — i z tą boleścią, ze zmarszczkami, które podkrążają mu oczy, wygląda, jak męczennik — tak boleściwie... tak boleściwie.

„Sarenka“ załkała z głębi serca.

— Na imię ma Konrad. . . — ciągnęła po chwili; a serce Jadwigi uderzyło nagle z siłą.

— Zkąd wiesz o tem?

— Zkąd... Sam mi to powiedział.

Teraz trzeba już było bliższych objaśnień.

Udzieliła je „Sarenka” chętnie. Już oto blisko od miesiąca przed ich pensją przechadza się po parę razy na dzień — „on”. Widziała go kilkakrotnie z okna — i zainteresowała ją. Spotkała go potem na ulicy i uczuła głęboką sympatyę i litość dla tego człowieka tak młodego i szlachetnego, na którego twarzy ból jakiś niezatarte zostawił ślady.

— Raz nawet — mówiła „Sarenka” — szliśmy we dwie... On stał po drugiej stronie ulicy. Ty nie patrzyłaś w tę stronę; ale ja wyraźnie widziałam, jak twarz pobladła mu więcej, niż zwykle.... jak wyciągnął ręce, ni by do nas dwóch.... i stał tak przez jedną sekundę nieruchomy.... Gorąco mi uderzyło na twarz; zmieszałam się, pociągnęłam cię szybko naprzód.... Przeszliśmy... on znikł mi z oczu....

Jadwiga zrozumiała tę scenę.

Konrad chciał na ulicy prosić ją o chwilę rozmowy. Po co? Czyżby ją jeszcze kochał?... Mogło to być. Czemuż tedy fatalność rzuciła na drogę Konrada to młode dziewczę i w tem małym serduszku zbudziła jakieś uczucie... miłość może... litość prędeej.

— Kiedyż jednak mówiłaś z nim? — pytała „Sarenki”, ażeby coś powiedzieć.

— Dzisiaj.... w tej chwili.

To była znów cała historia. Wybiegła dziś rano na miasto kupić włóczki. Już idąc

w tamtą stronę, spotkała „jego“: patrzył na nią dziwnie, jak gdyby chciał coś mówić.... ale widocznie jeszcze nie śmiał. Dopiero gdy wracała zastąpił jej drogę, tam na sąsiedniej, pustej uliczce, zdjął kapelusz i prosił o jedno słówko rozmowy.

— Ach! jak ja się przelęknęłam — szczeniotała dalej „Sarenka”, której łzy powoli się już osuszały — jak ja się przelęknęłam.... Boże mój! Cała w płomieniach stanęłam.... Chciałam się na niego rozgniewać, krzyknąć, uciec wreszcie.... ale nie mogłam. Stałam, jak przykuta do chodnika, a nogi podemną drżały.... On zaczął mówić. Ach!.... jaki piękny ma głos.... Cichutki, smutny tak, jak on sam, ale melodyjny.... srebrzysty. Mówił po angielsku. Tak byłam zmieszana, że nie wszystko pamiętam, co mówił....

Tu podniosła do góry oczęta, które jej znowu łzami zaszyły.

— To jedno wiem.... że „on” ciebie musi kochać bardzo.... bardzo.

Twarz Jadwigi okryła się nagłym rumieńcem.

— Dla czego? — wyszeptała.

— Bo o tobie tylko mówił.... Mnie, jako twoją przyjaciółkę, prosił, ażebym cię skłoniła, iżbyś jakiś jego list przeczytała.... odpowiedziała mu.... widziała się z nim choć chwil parę.... że idzie tu o czyjaś cześć.... o czyjeś życie....

„Sarenka” porwała się przed chwilą z kolan Jadwigi. Mówiła, stojąc, urywanemi zdaniemami, niemal tragicznie.

— Ty go kochasz? — zawołała wreszcie.

Ale twarz Jadwigi, zachmurzona przez chwilę, rozjaśniła się.

Słoneczny tryskał z niej blask teraz. Cierpienia Konrada i uniesienie „Sarenki” zdawało się jej teraz nie obchodzić wcale. Czara uczucia, które owładnęło nią tak niespodziewanie, a do którego dotąd sama nie chciała się przyznać przed sobą, przepelniła się.... Nie dla tego, ażeby uspokoić przyjaciółkę; ale dla tego raczej, ażeby głośno, przed kimś trzecim przyznać się do tego, co jeszcze przed chwilą zdawałoby się jej zbrodnią, rzekła głosem spokojnym i silnym:

— Nie.... dziecko drogie.... nie Kocham tamtego człowieka, kimkolwiekby on był i jakkolwiekby żywiłby dla mnie uczucia. A dla tego go nie Kocham, że Kocham innego....

I wydobyła ze swej szuflady gazetę z wizerunkiem Homicza.

— Oto on.

Duma i jasność biła z jej twarzy, gdy pokazywała portrecik „Sarence”. Ta w jednej chwili przeobraziła się. Na pół dzieckiem jeszcze była, ale już miała wszystkie kobiece instynkta. A istotnie, biorąc rzecz po kobiecemu, Jadwiga nie mogła jej dać bardziej sta-

nowczego dowodu, że tamtego nie kocha, jak ów portrecik — tego ukochanego.

To też tragiczne akcenta jej głosu znikły odrazu.

Oczęta jej znowu zaszyły łzami, ale tym razem łzami radości.... i znów rzuciła się w objęcia przyjaciółki. I tak splecione ze sobą, bliższe o stokroć sobie przez poznanie swych tajemnic, szeptały sobie dalsze zwierzenia....

Jadwiga czuła się w obowiązku objaśnić w paru słowach „Sarence” historię swego stosunku z Konradem. Uczyniła to w ogólnych wyrazach, nie bawiąc się w szczegóły. Był jej narzeczonym przed laty 4ma; tajemnica rodzinna, dramat pewien ponury rozdzielił ich wtedy na zawsze i nigdy już zbliżyć się im nie pozwoli — oto i wszystko.

W tem miejscu przerwała jej „Sarenka”.

Tajemnica?.... dramat? — Istotnie i on o tem samem mówił. Ona myślała wtedy, że to mowa o jego miłości; teraz rozumie.... to musi być co innego. Tak! — przypomina sobie.... On twierdził, że chce się widzieć z Jadwigą, ponieważ ma jej do zakomunikowania coś bardzo ważnego....

— Dla czegożbyś się z nim zobaczyć nie miała? — nastawać zaczęła „Sarenka”.

— Nie.... nie — broniła się Jadwiga — Zresztą namyśle się.... zobaczę....

— No, a jeśli go zobaczysz, to co mu po-

wiesz? — zapytała szeptem, z figlarnym uśmiechem „Sarenki”.

Jadwiga nachyliła się do jej ucha i odpowiedziała również szeptem:

— Że.... że tu jest jedna grzeczna i śliczna dziewczeczka.... która.... która interesuje się nim bardzo.

„Sarenka” zarumieniła się aż po same korzenie włosów.

Nowy uścisk połączył dwoje dziewcząt. Po chwili córka Morskiego uważała za właściwe zainteresować się też trochę przedmiotem uczuć Jadwigi. Przed oczami jej myśli stał Konrad; ale ciekawość i polityka kobieca kazały zobaczyć, jak wygląda — tamten drugi.

— Pozwolisz, Jadzieczku? — zapytała wskazując na leżącą na biurku gazetę i pochyliła się nad wizerunkiem Szczepana.

— Śliczny.... co za oczy, jakie czoło! — szczebiotała.

A Jadwiga, która dawniej w podobnej chwili cała spaliłaby się ogniami wstydu, czuła teraz, że jej serce rozsadza nieopisana duma i szczęście bez granic.... Chciałaby krzyczeć z radości, tańczyć, rzucić się komuś na szyję, całować.

W tej chwili jednak zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

„Sarence”, schylonej nad biurkiem wysunął się z poza stanika jakiś żółty papier, wi-

docznie telegram. Wzrok jej padł na ten papier — i twarz spochmurniała na nowo. Przypomniała sobie....

Do ruchliwego jej mózgu przyplłynęła nowa fala wrażeń.

— Ach! ja nieszczęśliwa.... — rzekła, prostując swą figurkę.

Oczy miała znowu łez pełne.

— Co ci takiego, dziecko najdroższe? — pytała zaniepokojona Jadwiga.

— Ten.... telegram.... od starego tata.... — łkała już „Sarenka” — to nowe nieszczęście.... nowe zmartwienie....

Jadwiga nie rozumiała.

O stosunkach rodzinnych swej małej przyjaciółeczki nie wiedziała dotąd nic nad to, że ta miała gdzieś ojca, wdowca, żyjącego samotnie. Co za nieszczęście wskutek telegramu? — pytała się teraz sama siebie....

Umarł kto? czy zachorował? czy jaka klęska?

Tuliła więc „Sarenkę” i pytała, a ta zaczęła jej bezładnie opowiadać swoją troskę z ojcem; mówiła o jego dziwactwach, o siedzibie tajemnej na „Cat Island”, o tem, że nigdy matki nie знаła....

Łkania przerywały jej wyrazy.

— I teraz.... teraz — kończyła — ten telegram....

Jadwiga wciąż jeszcze nie wiedziała, o co idzie.

— Przeczytaj — rzekła „Sarenka” — tulo mnie chce ztąd uwieźć... teraz... szczególnie teraz....

I znów łkała.

Jadwiga wzięła żółty papier, rozwineła go i podniosła do oczu. Telegram składał się z kilku zaledwo wyrazów. Jednym rzutem oka ogarnęła te wyrazy córka skazanego na śmierć przed laty w New Orleans — i zbladła, jak trup.

Telegram, napisany po polsku, brzmiał, jak następuje:

„*St. Joseph, Mo.* Piątek. — Lada dzień będę sam w Kansas City. Zabieram cię ze sobą i jedziemy do Europy na zawsze.

Ludwik Morski.“

Jadwigę ten telegram, a właściwie nie tyle sam telegram, ile jego podpis ugodził w głowę, jak gdyby obuchem. Zrozumiała. A więc ten, którego poszukiwała od lat tylu, który miał w ręku klucz tragicznej zagadki zgonu jej ojca, stawał sam na jej drodze; więc to jego córkę w tej chwili przyciskała do ramion.

Uczuła coś, jak ostrze noża, w sercu. Twarz jej ściągając się zaczęła tragicznie w kamienne rysy posagu.

— Więc to ty.... jesteś.... córką Ludwika Morskiego? — pytała „Sarenki” głosem przerywanym i spartym.

— Ja.... — odrzekło dziewczę.

Wtedy ruchem nagłym i gwałtownym Jadwiga silnie odepchnęła tulącą się jeszcze do niej dziewczętkę. Ta, wąta i słaba, o mało co nie upadła.... Zatrzymała się tylko ręką o ścianę, a na twarzy jej wybiło się i przerażenie ogromne i podziw — i ból niespodziewany.

— Com ci zrobiła, Jadzieńku.... co? — pytała półgłosem.

Z oczyma łez pełnemi, na pół klęcząc, do ściany przytulona, z włosami, które rozwinęły się w upadku i okoliły jej twarzyczkę przeleknioną aureolą złocistą, dziewczę wyglądało istotnie, jak płochliwa i przerażona sarenka....

Współczucie głębokie budzić musiała ta postać bezradna.... ofiara losów, którym niczem nie zawiniła.

I oto do serca Jadwigi napłynęła nowa fala uczuć....

Wstyd ją zdjął, że tak gwałtownie postąpiła — i litość głęboka. Przypomniała sobie ciepło serdeczne i niewinność tej duszyczki dziewiczej, która jeszcze przed chwilą roztwierała się przed nią, jak kielich lilii kwitnącej. I w sercu własnem odczuła jej boleść. Za cóż ma tamtą duszyczkę białą w dni zaraniu znaczyć krwawym stygmatem cierpienia? Serce

łamać temu dziewczęciu jasnowłosemu? Czyż nie dość, że ona sama tyle cierpiała i cierpi?

Tragiczny ból Jadwigi rozplynął się w litości bezmiernej.

Uklękała przy przelęknionej „Sarence” i wzięła ją w swoje objęcia. Przebaczyła dziewczeczce, że jest córką Morskiego. Pieściła ją i łzy z oczu scałowywała i szeptała do ucha:

— Wybacz mi, dzieciątko....wybacz. Nie wiem, co się ze mną stało.... To nerwy! Nie płacz.... Poczekaj. Kiedy twój ojciec przyjedzie, ja najpierw się z nim zobaczę.... A wtedy, zobaczysz, zmieni swe zamiary.... nie porwie cię, do Europy nie uwiezie!

Pieszczoty jej skutkowały.

Twarcyczka „Sarenki” wyjaśniła się, jak słońce, a widząc te dwie postacie dziewczęce, w nowym połączone uścisku, w uścisku miłości i przebaczenia, anieli radować się musieli w niebie.

XIII.

Sceny, opisane powyżej, odbywały się w przedostatni piątek kwietnia.

Dni poprzednich i następnych odbywała się bardzo ożywiona wymiana listów i depesz pomiędzy naszymi znajomymi, Gryzińskim, Homiczem, Robbinsem i innymi osobistościami, grającymi pewne role w tej długiej i skomplikowanej opowieści.

Dokumenty owe rzucają jasne światło na dalszy rozwój interesujących nas wypadków.

Przeważnie są to depesze, jedne pisane po polsku, inne po angielsku, niektóre nawet specjalnym szryftem, wiadomym tylko Gryzińskiemu Homiczowi i Robbinsowi.

Oto niektóre z tych listów i depesz:

I. List *Gryzińskiego* z St. Joseph do *Homicza* w new Orleans (po polsku — urywek):

„...Szczepek: — Jesteś geniuszem.... Niech cię Dunder świśnie! Przez tydzień namęczyłem się, nim zdołałem założyć w willi nieprzyjaciół twój dyabelski wynalazek: fonograf z fotografią połączony. Spociłem się piekielnie. — Wlazłem przez okno na dach; świderkiem specjalnym przebiłem sufit i umieściłem przyrządy w rozecie na suficie. Gdyby nie to, że nasz szanowny Murzyn-doktor ma swój gabinet na piętrze, gdyby nie to, że on i jego hołota nocami całami wyłazi na „boom“ do miasta, — nigdybym tego nie dokonał. Piekielna robota! Namęczyłem się i napociłem ze strachu.... niech pioruny zatrzasną! Najgorszą była chwila, kiedy dostałem się do gabinetu naszego Negra (niech kolki zepną tego Kałskiego, co on ma za pomysły ze swem przebieraniem się! — ale i ja przecież nie gorszy, jako major Griffith...) Majstrowałem tam trzy kwadranse, a przez kark ciarki mi przechodziły. Niechby tak kto przyszedł! — kryminał dla mnie pewny: włamanie się do cudzego domu.... Ale to nic! — Zrobiłem swoje...

Wiórki nawet zmiotłem i ze sobą zabrałem. Trzy dni jeszcze majstrowałem nad twoimi przyrządami. Myślałem, że zwaryuję. Ale wreszcie trudności przemogłem. Dziś widzę i słyszę, jak gdybym siedział z nimi. Co za cudowny wynalazek. Niech żyje największy geniusz 19go wieku, Szczepan Homicz!”

II. *Szczepan Homicz z New Orleans, La., do dra Gryzińskiego w St. Joseph, Mo., (depesza):*

„*Sroda*, 9ta rano. — „All right”, mój synu... Telegrafuj, co zobaczysz i usłyszysz ciekawego. Całuję cię!”

III. *Szczepan Homicz z New Orleans, La., do Robbinsa w Evanston, Ills. (depesza angielska):*

„*Sroda*, godz. 2ga po południu. — Hurra! Niech żyje nasza sprawa.... W tej chwili dostałem do rąk jedyny zapewne komplet „Louisiana News“ z r. 1867, jaki istnieje na świecie. Ani jednej kartki nie brak. Proces Śląskiego zajmuje całe stronnice. Coś wspaniałego. Siadam do czytania. Przyjedziesz pan tutaj, czy zrobimy jak inaczej? Telegrafuj.“

IV. *Robbins z Evanston, Ills., do Homicza (depesza):*

„*Sroda*, 4ta po południu. — Brawo, mój chłopcze! Czytaj i telegrafuj, mniej więcej, co godzinę, w miarę zresztą, jak znajdziesz co ciekawego. A znaleźć powinienes. Trzymam gruby zakład, że

za godzinę będziesz szalał z radości.... Powinieneś. Ja przyjechać nie mogę. Pracuję dla ciebie. Trzymam drugą nić sprawy w ręku. *Good bye*”.

V. *Robbins do Homicza (depesza):*

„*Sroda*, 4 m. 50 po południu. — Doczytałeś się? Ja już wiem to z innego źródła. Zatelegrafuj, „nie powieszony”, jeśli już wiesz.....”

VI. *Homicz do Robbinsa (depesza):*

„*Sroda*, 5ta po południu. — Nie powieszony, nie powieszony, nie powieszony.... Boże mój! co robić?”

VII. *Dr. Gryziński z St. Joseph do Robbinsa w Evanston, Illis., (depesza cyfrowana):*

„*Sroda*, 6ta wieczorem. — Wiem już, gdzie szukać Morskiego.... Ukrywa się na wysepce „*Cat Island*”, niedaleko ztąd. Jutro niesłychanej wagi szczegóły.”

VIII. *Robbins do Gryzińskiego (depesza):*

Sroda, 7ma wieczorem. — „*All right*”.... O najmniejszym drobiazgu donoś pan zaraz. Czas skończyć tę grę. Dość zabawy.... Chwila kary nadeszła. Instrukcye zatelegrafuję. Może sam będę.“

IX. *Robbins do Homicza (depesza):*

„*Sroda*, 7ma wieczorem. — Sprawdzić najpierw, czy „nie powieszony” w zarządzie więzienia stanowego. Od tego wszystko zależy.”

X. *Homicz do Robbinsa* (depesza cyfrowana):

„*Sroda*, 15 min. do 12ej w nocy. — Żyje. Kosztowało mnie to 500 dolarów, Ale dowiedziałem się dziś jeszcze wieczorem. Żyje!... Co dalej?”

XI. *Robbins do Homicza* (depesza):

„*Czwartek*, 7ma rano. — Dziś zaraz uzyskaj audyencyę u gubernatora Stanu Louisiana. Twoje nazwisko, wielkiego wynalazcy, dopomoże ci. Przedstaw mu wszystko z tą gorącą wymową i żelazną logiką, na które potrafisz zdobyć się tak często. Nic nie taj. Powołaj się na mnie i powiedz, że Robbins z Illinois powiedział, iż ten człowiek, który już od lat 21 cierpi kaźń w stanowym więzieniu, jest niewinny. Myślę, że gubernator mnie zna. Proś o ułaskawienie.... Nie powinien ci odmówić. Potrzebne będą formalności, ale postaraj się zrobić tak, ażebyś w przyszły wtorek rano, w Kansas City, Mo., mógł już odebrać telegram o ułaskawieniu tego, którego „nie powieszono”. Wyjedziesz do Kansas City w sobotę lub w niedzielę.”

XII. *Homicz do Robbinsa* (depesza):

„*Czwartek*, 9ta rano. — Dzięki za wszystko, a szczególnie za nadzieję wyjazdu do niej.”

XIII. „*General Electric Co*” z Bostonu do *S. Homicza* w New Orleans, La., (depesza):

„*Czwartek*, 10ta rano. — \$300,000 za prawo eksploatacyi pańskiego „dalekowidza”, jeśli potrafi on osiągnąć rezultaty takie, jak objaśniono w

pańskim „interview” onegdajszem z reporterem „Heralda”. Czy patent gotów? — Odpowiedź zapłacona.”

XIV. List *J. Robbinsa* z *Evanston, Ill.*, do bar. *Konrada von Helsensteina* w *Kansas City, Mo.*, (urywek):

„Czwartek. — Szan. Panie: — Nazwisko moje nie powinno być panu obce. W broszurze swojej „O duszy i występku” wspominasz pan pochwlebnie o mnie i moich pracach nad psychologią zbrodni. Ja ze swej strony znam pana z jego dzieł, które wszystkie posiadam — i wysoko szanuję dra Konrada.... Poglądy nasze w wielu punktach zgodne są bliźniaczo. — Przykro mi bardzo, że jestem zmuszony bliżej i osobiście z sz. panem się poznać w sprawie bardzo przykrej. — Wiem (w przybliżeniu przynajmniej), po co wraz z ojcem przyjechałeś pan do Ameryki. W sprawie tej muszę się z panem widzieć w tych dniach. We wtorek przyszłego tygodnia przybędę do *Kansas City, Mo.* — i o godz. 7ej rano będę w Hotelu Plantatorów. Czy będziesz pan mógł odwiedzić mnie o wpół do 8ej rano. Proszę o natychmiastową telegraficzną odpowiedź. — Idzie tu o rzeczy panu najdroższe.”

XV. *Homicz* do *Robbinsa* (telegram):

„Czwartek, 6ta wiecz. — Wracam od gubernatora. Zaczny człowiek! Wszystko, o ile się zdaje, będzie dobrze. Jutro będę u niego po raz drugi. Niechaj Bogu będzie chwała na wysokościach!”

XVI. *Robbins do Homicza* (depesza):

„*Czwartek*, 6ta m. 15 wiecz. — W tej chwili odebrałem wiadomość, że Mallory wylądował w New Yorku. Stanął w „Astor House”. Telegrafuj do niego, żeby w przyszły wtorek przybył w samo południe do Hotelu Plantatorów w Kansas City, Mo.; tam załatwisz z nim interes.”

XVII. *Dr. Gryziński z St. Joseph, Mo., do Robbinsa w Evanston, Ills.* (depesza szyfrowana):

„*Czwartek*, godz. 11ta wieczorem. — Jutro o tej samej porze będę miał w ręku na „Cat Island”: Morskiego, a nadto Kaliskiego, jego przyjaciółkę Stefkę, Szymka Zawalidrogę i jeszcze jednego podejrzanego ptaszka. Co z nimi robić?!”

XVIII. *Robbins do Dra Gryzińskiego* (depesza cyfrowana):

„*Piątek*, 7ma rano. — Poszukaj pan w papierach, które masz odemnie, koperty, oznaczonej literami bb. Tam jest instrukcja. Sprawozdanie — telegrafem.“

XIX. *Homicz do Robbinsa* (telegram):

„*Piątek*, 6ta po południu. — Zwycięstwo! Amnestya zupełna uzyskana.... Formalności potrwają dni parę. We wtorek rano w każdym razie będzie ogłoszone urzędownie. Starca mogę jutro zobaczyć w więzieniu.... Co dalej?

XX. *Robbins do Homicza* (depesza):

„*Piątek*, 10ta wieczorem. — Zobacz i pociesz go.... Uporządkuj interesa w New Orleans W niedzielę jedź do Kansas City, Mo. Nie staraj się widzieć nikogo.... Odpocznij, We wtorek dzień sądu.... Tego dnia rano o godz. 6 min. 30 czekaj mnie na dworcu „Gold Seal”. Przybędę expresem chicagoskim. To wszystko....

XXI. *Dr. Gryziński z St. Joseph, Mo., do Robbinsa w Evanston, Ills.,* (depesza cyfrowana):

„*Sobota*, 7ma rano. — Wszystko w porządku. Ptaszki są w naszym ręku; „Stuff” także: \$16,000 w złocie i kosztowności warte najmniej \$25,000. Niektóre są przedziwne i bardzo charakterystyczne; jeśli będziemy mieli wykaz rzeczy, skradzionych w grudniu w r. 1866, łatwo przeprowadzić dowód, że te brylanty pochodzą z New Orleans. Zwycięstwo kompletne. Tych dwóch, jak polecono, zawiozę do Kansas City. Pozostałych ułokowałem tak, ażeby nam nie mogli przeszkadzać. Bliższe szczegóły w liście.”

XIV.

Telegram powyższy, wysłany przez Gryzińskiego z St. Joseph, Mo., do Robbinsa w Evanston, Ills., wymaga pewnych objaśnień.

Damy je, a to w ten sposób, że opiszemy co się działo nocy poprzedzającej w głuchych zaroślach samotnej i przez lat tyle przez niko-

go nie nawiedzanej wysepki „Cat Island”. Była to noc w dziejach wyspy pamiętna; od czasów, gdy szeryf pow. St. Joseph wystrzelał na wysepce bandę zbójczą krwawego Waltona, nie było tu nigdy tak wiele gwaru i tak licznych gości.

Lecz opowiedzmy wypadki po kolei.

Godzina 10ta biła wieczorem w oddali na wieżach kościoła dobrego miasteczka St. Joseph, Mo., gdy łódź starego Morskiego wymknęła się ze schroniska szuwarów na brzegu rzeki i z wolna posuwać się zaczęła, ustronnym kanałem pośród gęstych trzcin, ku wyspie „Cat Island”. Łódź sunęła, jak cień, wiosła Morskiego uderzały o wodę bez szelestu. On rozglądał się w mroku....

Morski był cały wzburzony.

Miał znów przedsięwziąć krok w swem życiu stanowczy. Zdecydował się i będzie działał. Już onegdaj, gdy ujrział ślady włóczęgi jakichś ludzi po wyspie, powziął zamiar opuszczenia jej. Pojechał do miasta, ażeby się upić i namyśleć, wreszcie rzecz całą ułożyć. Gospoda „Old Rooster” była jego zwykłą kwaterą w mieście. Tam około północy doręczono mu list bezimienny Kaliskiego i Lainga.

Było to dlań jak gdyby uderzenie maczugą.

Obcy ludzie wiedzą o jego pobycie; wiedzą o jego skarbie. I jedni chcą go okraść, a dru-

dzy niby przestrzegają? Jaki interes mieć mogą w tych ostrzeżeniach? I co są za jedni?! Przestrach paniczny objął Morskiego.... Zamańczyła mu przed oczyma postać Felsensteina; strach mu gardło ścisnął. Drżał cały. — A może już okradli jego kryjówkę?

I rwał się, chcąc opuścić w nocy gospodę „Old Rooster” — i lecieć na wyspę....

Ale naprawdę był już zbyt ciężko pijany. Zapadł w sen głęboki. Gospodarz „Old Rooster” znał dobrze nawyczki Morskiego, jednego z najlepszych choć niezbyt częstych swych gości. Dał mu pokój oddzielny na noc — i zaopiekował się nim. Dopiero, gdy w piątek wczesnym rankiem obudził się Morski, stanęła mu na nowo ponura kwestya przed oczyma. Co robić? Brały go ciągle strachy, ale już zimniej patrzył teraz na groźby rabunku, w liście zawarte....

— Okradną! przypuścimy — mówił sam do siebie — ale niech wprzód znajdą schowek.

Nie tak łatwo wezmą starego na plewy! Chca, żeby zaraz poleciał na wyspę, pokazał im, gdzie szukać groszy i brylantów. Nie taki on głupi!

W rezultacie Morski przyszedł do wniosku, że czas mu raz na zawsze opuścić „Cat Island” i okolice. Mógł to zrobić zaraz, nie oglądając się po za siebie.... Zostawi swe skarby w kryjówce — nikt ich nie znajdzie!

Jest tego pewny. Ma przy sobie, jak zwykle, w gotówce i czekach na okaziciela jakie \$5000. W bankach, w różnych miejscach, posiada także pieniądze.... Dziesięć tysięcy ulokował przed 7miu laty na procent w banku nowojorskim, wtedy właśnie, gdy część kosztowności, jakie przypadły nań w udziale z rabunku w „Merchant's Loan & Trust Co.”, sprzedał w San Francisco żydowi lichwiarzowi, przybyłemu aż z Melbourne z Australii; pieniądze tych odtąd nie ruszał, brał tylko procent. Teraz mu się przydadzą.... Weźmie ze sobą „Sarenkę” — i wyruszy z nią w świat, do Europy.

Na tej myśli zatrzymał się ostatecznie.

Cały ranek biegał niespokojny, nerwowy, załatwiając różne interesa.... Wtedy to posłał telegram do „Sarenki”, telegram, który był powodem dramatycznego zajścia pomiędzy dwiema pannami. Wszystko załatwił, jak się należy — i wieczorem miał wyjeżdżać do New Yorku po pieniądze, a ztamtąd po swoją pieczętówkę do Kansas City.... Lecz przy obiedzie pił dużo, ażeby zagłuszyć niepokój. Wyciągnął półkwartową butelkę starej whisky, dwie półbutelki porteru, likier — i na zakończenie („dla lekkości”, tak sobie myślał) butelkę szampana.

Wstał od stołu, chwiejąc się na nogach, z nową fantazyą — i nowe myśli przyplłynęły mu do głowy.

Bo jednak po jakiego dyabła ma zostawić swe pieniądze i brylanty na wyspie? Zawsze to rodzonemu bratu warte najmniej 40,000 dolarów.... Przypomniał sobie, jak ślicznie wyglądały złote monety, żółciutki, spadające kaskadą z suchym dźwiękiem, gdy się je przelewało przez palce.... Cóż to! Dla czego by ich nie miał zabrać? To przecież jego.... i wyspa jego. Ma na nią „deed” (akt własności) tu w kieszeni....

Wstał na wódkę — i znów nabrał kurażu.

Może pojechać w dzień, jeśli mu się podoba.... A dla obrony przed możebną zasadzką weźmie ze sobą psa i Negra. A że te pieniądze i te kosztowności pochodzą z New Orleans — tu Morski obejrzał się dokoła, jak gdyby obawiając się, ażeby ktoś nie podchwycił jego myśli — to... to... nikomu nic do tego... Pomimo to zaczął się znów strachać — i przyszło mu do głowy, że bądź co bądź lepiej odbyć wyprawę na wyspę w nocy.

I oto dla czego widzimy go o 10tej wieczorem prześlizgującego się złodzieją przez trzcinę i zarośla, oddzielające „Cat Island” od stałego lądu.

Jest na pół pijany.... Pomimo to zachowuje wszelkie ostrożności — i nasłuchuje bacznie.... Nie! nie słyhać nic. Nikt go nie śledzi.... uśmiech złośliwy ukazuje się na ustach Morskiego.

— Niech przyjdą następnej nocy... Znajdą gniazdko próżne — i schowek pusty!

Morski nie myśli już teraz o możebności zasadzki.... Pijacka pewność siebie opanowała nim całym.

Wysepkę znał, jak swą kieszeń: pomimo mroku w chwil parę przebiegł ścieżkę, dzielącą go od polanki i blokhauzu; Murzyna zbudził, światło mu kazał zapalić — i wzięwszy psa za obrozę, polecił Murzynowi iść za sobą.

Głuchoniemy Negr nie okazał żadnego zdziwienia: różne awanturnicze wyprawy odbywał nieraz ze swym panem.

Kierunek drogi Morski wskazał mu znakami. Szli w takim porządku: pies naprzód; Murzyn za nim, niosąc zawieszoną na kiju miedzianą lampę naftową, której kopcący, szeroki płomień rzucał fantastyczne smugi drżącego światła pomiędzy splątaną gąszcz krzewów po obiedwu stronach ścieżki leśnej; w odwodzie kulał sam Morski....

On i Negr byli uzbrojeni w grube pałki, ołowiem nabijane; Morski miał jeszcze dwa rewolwery w kieszeniach -- i niósł ostrożnie w rękę jakiś pakuneczek.

Szli w milczeniu... Tylko pies, Zbój, od czasu do czasu szerść jeżył — i warczał z cicha, a ponuro.

Przeczuwał on raczej, niż wietrzył, obecność innych istot ludzkich na wysepce.

Upłynął tak kwadrans drogi...

Wywinęli się wreszcie z plątaniny zarośli. Jeszcze parę smug krzaków — i oto rozścięła się przed nimi polanka z owym skalistym pagórkim a raczej kupą kamieni, której tak często w ostatnich czasach przychodził przyglądać się Morski.

Noc była ciemna; szafirowe niebios sklepienie, uhaftowane gwiazdami, zaledwo rzucało jakiś daleki blask na polankę.

Cisza panowała dokoła.

Nagle... nastąpiło coś niespodziewanego. Pies Zbój ryknął dziko — i rzucił się naprzód w mrok... Jednocześnie obok niosącego światło Murzyna, wyrósł z krzaków jakiś cień wysoki — i na gołą czaszkę głuchoniemego spadło z głuchym odgłosem coś ciężkiego. Jeden jęk — i Murzyn leżał na ziemi, bezwładny i nieruchomy. Z rąk jego wymknął się drążek z lampą, która spadła na krzak sąsiedni. Szeroki płomień naftowy objął prawie w tej chwili cienkie pręcie krzaka — i z suchym traskiem zaczęły z nich wysuwać się w górę języki ogniste.

Trwało to zaledwo sekund kilka.

Morski zatrzymał się, oszołomiony, nie będąc w stanie zorientować się.... Tuż przed nim zapalał się krzak ognisty i leżało bezwładne ciało Murzyna; dalej z mroku dochodziły urywane naszczekiwania i ponure warczenie

psa, jak gdyby z kimś walczącego.... Morski sięgnął po rewolwer.

Ale w tej chwili ujęły go za kark cztery silne dłonie.

Sparaliżowanemu z przestachu, wykręcono ręce w tył.

— Kajdanki! — zakomenderował głos urywany.

I Morski uczuł, że na ręce założono mu żelazne łańcuszki. Jeszcze jedna chwila... Uderzony pięścią w kark, upadł na ziemię; w tejże chwili skrępowano mu ręce i nogi. Był w mocy wrogów; ale żył jeszcze....

W chwili upadku wysunął mu się z ręki pakiecik, który przedtem niósł tak ostrożnie. Teraz leżał on o parę kroków od coraz to szerzej zajmującego się płomieniem krzaku. Pakiecik był owinięty w żółty papier— i zamglone oczy Morskiego widziały go wyraźnie.

Dotąd wrażenia tak szybko zmieniały się w mózgu Morskiego, że nie był w stanie sam sobie zdać z nich sprawy.... Ale teraz przejął go strach, strach śmiertelny.

Pot lodowaty wystąpił mu na czoło.

Z mroku, z krzaków, dochodziły odgłosy walki zacieklej z psem.... Dwaj draby, którzy dopiero co abezwładnili Morskiego, chcieli biedz w tamtą stronę; ale powstrzymał ich nieomal ryk, który się wyrwał z jego piersi, trwożą spartej.

— Dynamit... tam... w paczce... przy krzaku... — bełkotał.

I wzrokiem wskazywał żółty przedmiot, teraz wyraźnie widoczny w pobliżu buchającego już ogniem krzaku.

Draby zrozumieli. I im przez plecy dreszcz przeszedł.

Paczka z dynamitem szybko usuniętą została na bok.... Morski teraz z wzruszenia zemdlał.

W tej samej chwili na przedzie rozległy się dwa szybko po sobie następujące wystrzały rewolwerowe. Jeden z drabów (był to Szymek Zawalidroga) porwał drąg z pochodnią, upuszczony przez Murzyna, i skoczył naprzód; drugi („adwokat” Laing) podążył za nim....

Za chwilę o kroków kilkanaście ujrzeli niezwykły obraz:

Ogromny pies Morskiego, Zbój, drgał na ziemi, szeroko rozciągnięty, zdychający, cały posoką zboczony... Obok klęczał Bolo L. Kaliski, w odzieży potarganej i podartej, z rękami od pazurów psa sinemi i z krwawą raną na policzku; tuż stała Stefka w ubraniu mężkiem, a w ręku jej dymił się jeszcze rewolwer. Mdłe światło lampy naftowej oświetlało fantastycznymi refleksami ten obraz ponury.

Przybyli zrozumieli rzecz odrazu: Kaliski musiał wytrzymać z psem walkę, której zwierzę padło ofiarą.

— To ona zastrzeliła tego wściekłego diabła — rzekł Kaliski, wskazując na Stefkę — Zagryzłby mnie chyba.

— Zuch baba! — mruknął Szymek.

A Stefka śmiała się, zadowolona z pochwały, pokazując zdrowe, białe zęby z pod czerwonych warg.

Kaliski dźwignął się teraz z ziemi i podczas, gdy Stefka zaczęła mu obmywać krew z twarzy i przewiązywać ranę chustką, on krótkim i urywanym tonem wydawał rozkazy. W jego słowach brzmiała siła woli; nie zwracał teraz uwagi na dotkliwy ból fizyczny.

Rozkazy w jednej chwili wykonano.

Murzynowi, który był tylko mocno ogłuszony, włożono kajdanki na ręce i nogi, ażeby się nie mógł ruszać — i pozostawiono go na miejscu. Płomienie, które ogarniały już sąsiednie krzaki, zagaszono. Wreszcie Morski został przeniesony przez Szymka i Lainga ku owej kupie kamieni, która widniała na polance.

Tam go złożono na ziemi.

Kaliski z piekielnym uśmiechem pochylił się teraz nad sperloną potem twarzą Morskiego, który podczas przenoszenia przyszedł już do przytomności. Oświetlił ją pochodnią i przypatrywał się przez chwilę.

— A... pan Morski — szepnął głosem syczącym — Znaliśmy się w New Yorku... Raz mnie w kawiarni nazwałś szpiegiem; potem w

Chicago chciałeś mi zrobić awanturę. Twój szatański pies usiłował mnie zagryźć. . . Porachujemy się!

W spojrzeniu jego była złość piekielna.

Ohydnie wyglądała jego twarz podarta, do połowy owinięta szmatą skrwawioną. Morski aż zadrżał i oczy zamknął na ten widok.

Kaliski podniósł się — i dalej dawał rozporządzenia.

Najpierw zrewidowano Morskiego i odebrano mu wszystko, co miał przy sobie: rewolwery, pieniądze, papiery. . . . Kaliski obejrzał wszystko; do gotówki się uśmiechnął, na czeki skrzywił. Potem kazał nieopodal od miejsca, gdzie leżał stary, nanieść stos suchych gałęzi. Zapalono je — i płomień zaczął buchać w górę, rozświetlając tę ponurą scenę. Potem zdjęto kajdanki z nóg Morskiego. Laing i Zawali-droga przytrzymali starca, a Kaliski zdjął mu z nóg obuwie. . . .

— Jestem dziś twoim lokajem, jaśnie wielmożny panie Morski. . . — mruczał przytem z piekielną ironią.

Jednocześnie Stefka wyjęła z ognia smolistą, płonącą żagiew — i czekała.

Morski spoglądał na to wszystko przerażony, oczyma, które niemal wychodziły mu z orbit. Ręce, na których leżał, zwinięte pod grzbiet, trzeszczały mu w stawach; czuł ból dotkliwy od łańcuszka kajdan, który wpijał się mu w plecy.

Zrozumiał: chcieli mu przypalać nogi, a żeby wydobyć od niego jakieś wyznanie. Jakie? — Naturalnie, o miejscu, gdzie jest schowany jego skarb... Błyskawica oświeciła teraz umysł Morskiego.

Zdawało mu się, że spada gdzieś głęboko w przestrzeń.

Fakta niedługo dały na siebie czekać. Stwierdziły one najstraszniejsze przypuszczenia Morskiego. Kaliski zabrał głos i powiedział krótko, w słowach stanowczych, czego od niego żąda.... Pieniądze! pieniądze i kosztowności z New Orleans — oto czego chce. Są schowane gdzieś tutaj, to fakt. Morski ma wskazać kryjówkę, zaraz, w tej chwili — a nie... to...

Złowrogi uśmiech rozświecił ponure oblicze Kaliskiego.

— Nie powiem.... — wyjęknął Morski.

Wtedy Stefka zbliżyła się z żagwią. Pochyliła się nad Morskim, a jej czerwone usta uśmiechały się do starca lubieżnie... „Nie?“ — zapytała. Jeden miękki ruch jej kształnej, obnażonej po łokieć ręki — i żagiew ognista dotknęła się nagiej pięty starca, najpierw jednej, potem drugiej...

I zaczęła się straszna scena.

Płomień objął miłośnie skórę nogi; zaskwierczało przypalone żywe ciało.... Ryk nieludzki wyrwał się z gardła torturowanego.

Nateżył on wszystkie siły, ażeby się wyrwać z rąk siepaczy.... Rwał się, ale napróżno. Zaciiskał zęby i język krwawił. Żył napreżyły mu się na czole, jak postronki.... Okropnie wyglądał.

Ułynęło tak sekund parę.

Trzej mężczyźni pobledli, jak trupy, na widok tej męczarni, tylko Stefka śmiała się, jak szalona — i obserwowała ciekawie, jak na skórze nogi od żaru wyrastały bąble i pękały; jak każdy nerw i mięsień drżał w obnażonem ciele.

— Dostyc... — wyrwał się wreszcie z ust Morskiego jęk — wszystko powiem....

Kaliski dał znak, Stefka odjęła żagiew.

— Mów — rzekł.

— Zaraz... tylko odpocznę.

Twarz Kaliskiego zapaliła się gniewem. Dał znak Stefce; ten znak zrozumiał torturowany starzec.

— Już... już... — zaczął śpiesznie — tam pod kamieniem....

Wskazał leżący u stóp pagórka, zaledwo widoczny w mdłym oświetleniu ogniska, głaz potężny.

— Wysadźcie to dynamitem....

Kaliski spojrział nań nieufnie. Zdawało mu się nieprawdopodobnem, ażeby pod ogromnym kamieniem było schowanko Morskiego; wietrzył jakiś podstęp.

— Pamiętaj — rzekł surowo — że nas nie wyprowadzisz w pole... Jeśli cokolwiek okaże się fałszem, drzazgi ci będziem wbijali za paznogie....

Dreszcz przebiegł całe ciało starca.

— Róbcie — wyszeptał — jak mówię. . .

I znów zemdlał.

Pokazało się, że groźba Kaliskiego była zbyt uczynna... Po odrzuceniu kamienia na bok przy pomocy dynamitu (przydała się tutaj paczka z dynamitem, którą niósł Morski), w wyrwanej ziemi ukazała się pokrywa żelaznej kasetki, a w niej — \$16,000 złotem i bogate kosztowności....

Kaliski tryumfował.

Polowanie się udało. Wprawdzie Bolo L. liczył, że gotówki będzie więcej.... ale to nic! brylanty (oglądał je okiem znawcy) to wyrównywały. Razem z gotówką znalezioną przy Morskim, dochodziło to ogółem do 40 tysięcy dolarów. Stosownie do umowy, on i Stefka dostaną $\frac{5}{8}$ tej sumy, to jest \$25,000; Szymek $\frac{2}{8}$ czyli \$10,000 (za to odda na ostateczną własność Kaliskiemu skradziony mu jeszcze w Pensylwanii pamiątnik Śląskiego i inne papiery); reszta będzie dla Lainga.

Ma się rozumieć, udział każdego z nich składać się będzie z gotówki i z brylantów. . .

Kaliski już z góry sobie obiecywał, że przy ocenianiu brylantów oszuka kompanów...

On zresztą zabierze czeki i papiery wartościowe; może i z tego coś będzie.... Rozejdą się teraz każdy w swoją stronę (naturalnie! on ze Stefką razem) — i będzie wszystko dobrze. Przy pomocy papierów Śląskiego „obłuska” nieraz jeszcze Felsensteina, a przecież i szpiegostwo także coś warte.

Różowe horyzonty otwierały się przed Kaliskim, a i przed jego towarzyszami także.... A przecież od Kapitolu do Tarpei, od najwyższego tryumfu do najgłębszego upadku — krok tylko.

Sprawdzili to i oni.... na swej własnej skórze.

Już od dziesięciu minut wszyscy, pochyleni nad denerwująco dzwoniącemi złotemi sztukami złota i nad kosztownościami, zajmowali się podziałem zdobyczy, nie zważając na jęki leżącego nieopodal Morskiego, gdy oto nagle zabrzmiał w powietrzu krótki świst....

Sześć par silnych rąk trzymało ich za karki.

Zanim zdolali się zorientować i wyrozumieć, o co idzie, już wszyscy trzej mężczyźni leżeli na ziemi skrępowani, a Stefkę, miotającą się ze swą ognistą żagwią, trzymało za ręce dwóch detektywów, pomocników Gryzińskiego.

Wprawa i praktyka policyantów chicagoskich okazała się tutaj w całym blasku.

Losy zmieniły się.

Ogary, polujący na Morskiego, zostali z

kolei zwierzyną; ze zwycięzców stali się — zwyciężeni.

I oto dla czego Gryziński mógł następnego poranka telegrafować do Robbinsa o całkowitem zwycięztwie.

Istotnie w blokhauzie Morskiego, w tureckim parlorze „Sarenki” i sąsiednich izbach, pod strażą detektywów z Chicago, leżeli pokotem, powiązani: Kaliski, Zawalidroga i Laing. Morskiego z popalonymi nogami doglądał Negr głuchoniemy, którego uwolniono od kajdan... Stefka zamknięta była w buduarze „Sarenki”.

Co do Gryzińskiego, ten znów przeistoczony w majora Griffitha udał się do St. Joseph, ażeby najpierw zatelegrafować i napisać do Robbinsa, a potem odbyć pewne tajemne poszukiwania w sąsiedniej willi, już opuszczonej odtąd na zawsze przez starego doktora Murzyna z Georgii.

XV.

Był to już poniedziałek wieczorem.

Na pensyi miss Hunter, „Sarenka”, po ukończeniu zajęć dziennych, zmęczona i spłakana trochę, poszła spać. Jadwiga jeszcze czuwała. Na pół rozebrana, bujała się w fotelu — i rozmyślała. Przeczukiwała, że jutro nastąpi jakiś przełom w jej losach.... i w losach „Sarenki”.

Niewątpliwie!

Dziś rano spotkały ją dwie niespodzianki.

O 9ej rano ją i „Sarenkę“ Morską zaprosiła do swego kabinetu przełożona pensyi, poczciwa i zacna miss Hunter. Oświadczyła dziewczętom, że odebrała od jednego ze swych przyjaciół Mra J. Robbinsa z Evanston, Ills., ważny list obiedwu dotyczący.

W liście tym Robbins prosił pannę Hunter, ażeby z dwiema panienkami, pracującemi na jej pensyi, a mianowicie z miss Hedwig Slaski i miss Ethel Morse, raczyła łaskawie przybyć we wtorek, dnia następnego, o godzinie jedenastej rano, do Hotelu Plantatorów. Tam będzie miał zaszczyt złożyć im swe uszanowanie przybyły z Chicago Mr. Robbins — i jednocześnie wyjaśni, co go skłoniło do wniesienia tak niesłychanie śmiałej prośby przed oblicze miss Hunter i jej przyjaciółek. List kończył się zapewnieniem, iż tylko niesłychanej wagi — nie dla niego, ale dla dwóch młodych panien — sprawa skłonić go mogła do zaniepokojenia miss Hunter.

Przełożona pensyi dodała od siebie, że Mra Robbinsa zna, jako gentlemana nie tylko wielkiej inteligencji, ale i wysokiej delikatności i zacności uczuć — ze swej więc strony nie ma przeciwko uczynieniu zadość jego prośbie; przeciwnie przychylić się do niej gotowa.

Zapytywała tylko: co o tem myślą dwie panny?

Obie jednogłośnie zgodziły się na wizytę w Hotelu Plantatorów, trochę z niewieściej cie-

kawości, trochę dla tego, że przeczuwały rozwiązanie którejś z zagadek, splatających się z ich życiem....

Naturalnie, każda z nich przez dzień cały czuła duży niepokój.

U Jadwigi niepokój zwiększył się jeszcze o wielekroć, gdy w godzinę po konferencji z szanowną przełożoną otrzymała telegram, który brzmiał, jak następuje:

„*St. Louis, Mo.*, poniedziałek. — Dziś jeszcze przybywam do Kansas City. Jutro ośmielę się przedstawić Pani. Mam nadzieję, że pani raczy mi wybaczyć zuchwałe przekroczenie zakazu z przed lat 4ch. Obowiązek, interes prawdy i dobra nakazuje mi przestąpić zakaz. Wyjaśnię wszystko — i winę moją zdam na sąd pani, choćby najsurowszy.

Szczepan Homicz.”

Ten telegram zrobił na niej ogromne wrażenie.

Rozumiała już na tyle naturę Szczepana, odczuwała go o tyle, że wiedziała, iż nie mając istotnego prawa i obowiązku widzenia się z nią, nie wysłałby tego telegramu tak śmiałego i pewnego siebie, nie odważyłby się w obec zakazu (który oddawna już opłakiwała), stanąć przed jej oczyma.

To też serce jej uderzyło silnie, gdy przeczytała telegram.

Przez całe popołudnie myślała o telegra-

mie i jednocześnie o jutrzejszej wizycie w hotelu Plantatorów.

Czyżby jedno z drugim pozostawało w związku?

I teraz, gdy w wielkich salach pensjonatu miss Hunter zapanowała cisza i mrok, wciąż myśli o tem samem. Z sąsiedniego pokoju dochodzi regularny, cichy oddech śpiącej „Sarenki”; lampa migoce blado... a Jadwiga trzyma ciągle przed oczyma telegram Szczepana... Zda się pragnęłaby nauczyć się go na pamięć!

Na ustach jej błądzi uśmiech....

Litery migają jej przed znużonemi oczyma.... uciekają w przestrzeń. Znużona jest. Dłoń jej z telegramem opuszcza się ku ziemi. Głowa opada na poręcz fotelu.

Zasnęła.

I widzi dziwny sen: Mgły zasnuwają przed jej wzrokiem coś tajemniczego. Opadają powoli... kłębią się.

I oto z poza mgieł wyłania się obraz niejasny... potem jaśniejszy. Jakieś skały potężne, skały z granitu wznoszą się dokoła.... Białe światło pada z zawleczonego chmurami nieba. Słychać miarowy odgłos żelaznych młotów i drągów, rozbijających skałę. Szereg postaci męzkich, milczących i ponurych, monotonnemi uderzeniami ryje skałę.... Ich odzież to bawełniane kaftany i spodnie w czarne i białe paski, ubiór kryminalisty. Obok, strażnicy, uzbrojeni w baty, pałki i rewolwery.

To kamieniołom przy więzieniu stanowem. Jadwiga to poznaje. Widziała kiedyś podobną rycinę w jednej ilustracyi.

Ból ściska jej serce na widok tylu nieszczęsnych, ofiar własnych namiętności, a może i omyłek sądowych, intrygi, ludzkiej podłości, jak niegdy jej ojciec.

— Nieszczęśliwi! nieszczęśliwi! — powtarza Jadwiga przez sen.

....Zaczyna się przyglądać szczegółom tego smutnego, a jednak tak ją pociągającego obrazu. Rozróżnia twarze, na których rozpacz i hańba wyryły niezatarte znaki, spojrzenia dzikich zwierząt, uśmiechy bezwstydnego, odblaski hypokryzyi w wyblakłych oczach....

Naraz zadrżała.

Jedna postać, wyższa nad inne, przykuwa jej wzrok do siebie. Jest w tej postaci coś, co ją na pierwszy rzut oka odróżnia od wszystkich innych skazańców.... Twarz to niegdyś piękna o oczach głębokich, błękitnych, dziś lata porały ją zmarszczkami, przywarła do niej maska bólu i obojętności. Widać jednak w rysach twarzy szlachetność, której lata męk najstraszniejszych zatrzeć nie zdołały.

Jadwiga przygląda się starcowi — i wzroku oderwać od niego nie może.

Nagle widzi zmianę w tej twarzy. Wybija się na niej jakaś ekstaza dziwna. Oczy błękitnieją, pogłębiają się... patrzą daleko... bo-

daj po za morza. Niepowstrzymana fala wspomnień przypląwa do mózgu starca. Rysują się obrazy lat dawno minionych... brzmia melodye i hasła z dalekiej przeszłości.

Te wrażenia, te wspomnień obrazy Jadwiga przeżywa we śnie razem ze starcem.

I ogląda jego oczyma wieś polską i fale Wisielki i dworki wiejskie; widzi Polskę... Słyszy jego uchem „Anioł Pański” z pochyłego kościołka i odgłos fujarki i pieśń bojową polską i na uwieńczenie całej tej symfonii, modlitwę o ojczyznę — potężne i podniosłe “Boże, coś Polskę”.

— Boże! Boże! co to jest? — pyta się sama siebie Jadwiga we śnie.

.... Tymczasem oczy starca ogniem tryskają. Ale po chwili, gdy ostatni dźwięk hymnu narodowego przebrzmiał w jego mózgu, ekstaza się kończy... Ręka z żelaznym drągiem opada bezwładnie na dół. Słychać stuk żelaza o kamień, przekleństwo drugiego skazańca, któremu żelazo potrafiło o nogę, świst bata dozorczy....

I oto straż wlecze nieszczęśliwego starca do kaźni.

Ostatni raz zwraca on do Jadwigi swe bólem zamglone oczy.... Boże! co to? Mózg jej rozświetla jakaś błyskawica.... Ona teraz czuje i rozumie, że to — jej ojciec. Zkąd jej to przyszło? sama nie wie. Ale jest pewna... pewna, że on żyje jeszcze, żyje i cierpi.

— Ojczel! ojczel! — woła i wyciąga dłonie i rwie się do niego.

... Ale mgła znów zasnuwa obraz. Wszystko znika... Tylko z daleka dochodzą to milknące dźwięki trąbki bojowej, to pomruki pieśni „Boże, coś Polskę!”

Jadwiga budzi się, cała zлана potem.

Ale sen staje przed jej oczyma w całej swej plastyczności i sile. Pamięta go do najdrobniejszych szczegółów... Zamyka oczy i widzi wszystko na nowo. I dziwne myśli przychodzą jej do głowy.

— Bóg wiara... sen mara — szepce.

Ale w tej chwili ruchem mimowolnym osuwa się pokornie na kolana przed obraz Matki Bożej i zaczyna się modlić gorąco. Modli się tak nieomal noc całą.

XVI.

Wtorek, dzień następny, jak twierdził Robbins, miał być dniem „sądu“.

Wczesnym rankiem tego dnia przybył do Kansas City, Mo., on sam. Razem z nim wysiadło z wagonu Pullmana dwóch jeszcze gentleman'ów. Byli to ludzie starszego wieku, nieposzlakowanej dystynkcyi i wielkiej powagi.

Wszystkich trzech na dworcu powitali przybyli zaledwo wczoraj do miasta Homicz i Gryziński.

Nastąpiły prezentacye. Dwaj towarzysze Robbinsa, byli to: generał Josiah Quincy z

Massachussets i senator Lewis Herbert z Louisiany, dwaj najznakomitsi pewno w owym czasie prawnicy amerykańscy. Obydwaj wyrazili najwyższą swą radość z powodu poznamienia się z Homiczem, znakomitym wynalazcą, sławą imienia którego brzmi (jak mówili) cała Ameryka. Szczęśliwi są, że mogą być użyteczni nietylko swemu przyjacielowi Robbinsowi, ale razem i Homiczowi.

Szczepan skłonił się, milcząc, na ten komplement.

Dalej Robbins poprosił panów, z którymi przyjechał, o jedną sekundę cierpliwości, a sam, odprowadziwszy Homicza i Gryzińskiego na bok, zaczął ich rozpytywać.

— Wszystko w porządku? — zagadnął.

— Wszystko — odpowiedzieli obydwaj zgodnym chórem.

— Szczegóły? — zwrócił się do Gryzińskiego.

Ten raportował:

— Kaliski i Morski przyjechali tutaj ze mną już wczoraj w nocy. Morski jest ciężko chory na nogi, które mu ci zbóje przypalili, a przytem osowiały i jak gdyby nieprzytomny. Pozwala ze sobą robić wszystko. Przywieźliśmy go w oddzielnym przedziale. Obecnie znajduje się w Hotelu Plantatorów. Spał dobrze w nocy....

— A Kaliski?

— Ten przyjechał dobrowolnie pod strażą Peta i Dicka. Dałem mu do wyboru dwie alternatywy: albo pojedzie z nami do Kansas City i powie, co wie, a wtedy będzie wolny; albo oddamy go zaraz w ręce policyi za sprawę chicagoską i za świeżą zbrodnię na „Cat Island“. Wybrał pierwsze.... Po drodze był grzeczny, zresztą miał pod pledem łańcuszki na rękach, a moich ludzi zaopatrzyłem w świadectwo, że są pomocnikami szeryfa, wiozący mi więźnia. To na wypadek, gdyby chciał robić awanturę na kolei.... Teraz i on jest w hotelu.

— Brawo. A pieniądze, kosztowności... dokumenta?

— Wszystko w porządku — recytował dalej Gryziński — dokumenta znalazłem w sąsiedniej willi u doktora Negra, pod którą to skórą, jak panowie wiecie, ukrywał się Kaliski.... Dokumenta te przed 5ma laty skradł mu jego pomocnik Szymek Zawalidroga, ale gdy doszli znów do porozumienia i przyjaźni, zwrócił je.

— I co w tych dokumentach się znajduje? — pytał niecierpliwie Robbins.

— Najpierw listy od Felsensteina do Kaliskiego, kreślone pismem cyfrowem. Do pisma tego klucz już sam odnalazłem — i mam głównejsze ich ustępy przetłumaczone.

— Brawo! Co więcej?

— Pamiętnik Śląskiego....

Na twarzy Robbinsa odbiła się teraz żywa radość.

— Masz go pan? — zapytał.

— Oto jest...

Gryziński rozpiął surdut i wyjął jakiś pakiecik. Robbins wyrwał mu niemal ten pakiecik z rąk.... Chciał go otworzyć zaraz, ale przewyciężył się.

— Nie.... — rzekł — teraz niema czasu. Co dalej? — pytał Gryzińskiego.

— Nic wielkiego.... Laing i Zawalidroga znajdują się na „Cat Island“ pod strażą naszych ludzi, do dalszej dyspozycji. Laing okazał się tym samym adwokatem, który w Pensylwanii okradł Połubajtysa i jego żonę. Połubajtys będzie jutro w St. Joseph, ażeby się z nim rozprawić.... Zdarzyło mi się tylko jedno nieszczęście.

— Jakie?....

— Oto ta kobieta, przyjaciółka Kaliskiego, Stefka, onegdaj w nocy zdołała w niewiadomy sposób uciec z „Cat Island“.... Razem z nią zgwałcił głuchoniemy Murzyn. Niepokoi mnie to!

Ale Robbins machnął ręką.

— Drobnostka.... Nie może nam być szkodliwą.

— Co u pana? — zwrócił się teraz do Homicza.

— O wszystkim już wiesz, mistrzu — odrzekł Szczepan — Przywiozłem ze sobą kom-

plet „Louisiana News“ z r. 1867 z zupełnem sprawozdaniem z procesu Śląskiego, a nadto „affidavits“ od osób, obecnych przy zeznaniach starej Murzynki.

— Dobrze, a ułaskawienie?

— Zapewnione.... Dziś około dziesiątej oczekuję depeszy.

— Widziałeś go?

— Widziałem.... — oczy Homicza mimowoli napełniły się łzami — nieszczęśliwy, nieszczęśliwy starzec. Znajduje się w szpitalu więziennym. Powiedziałem mu, że jestem jego rodakiem, że znajduję się w podróży.... Płakał, jak dziecko, na dźwięk mowy ojczystej. Pierwsze jego pytanie było: czy Polska jest już niepodległa?... Gdy mu wyraził nadzieję, że może zostanie zwolniony, o mało nie omdlał.... Obiecałem wrócić do niego za dni parę.

Robbinsowi i Gryzińskiemu mimowoli łzy stanęły na oczach.

— Dostyc już.... dostyc! — zawołał Robbins — nadużywamy grzeczności tamtych panów.

Pobiegł do nich i przeprosił. Za chwilę wszyscy pięciu wsiadali do powozów, które ich powiozły do Hotelu Plantatorów. Przybyli tam o godz. 7ej rano.

Oczekiwało już ich wykwinne śniadanie.

Całe zresztą pierwsze piętro tego najwspanialszego w Kansas City hotelu było do rozpo-

rządzenia naszych znajomych. Jeszcze przed tygodniem Homicz zamówił je telegraficznie, a tegoż dnia wysłany przezeń z New Orleans, La., czek na \$250 stanowił zapewnienie, iż zamówienie było jak najbardziej seryo. I istotnie już od wczoraj zjechał tu i sam Homicz — i Gryziński z innemi osobami z St. Joseph, Mo.

Robbins i jego towarzysze kończyli właśnie śniadanie, gdy wszedł lokaj i na srebrnej tacy przyniósł dwie karty. Jedna nosiła nazwisko prezydenta sądu najwyższego Stanu Missouri Hen. J. P. Outwaithe, a druga dostojnego dra bar. Konrada von Felsensteina z Berlina.

Robbins kazał, ażeby tych panów zabawiono przez chwilę w małym „parlorze”. Następnie dopił kawy — i spojrzął na zegarek.

— Wpół do ósmej — rzekł — Czy nie czas wziąć się do pracy?

Wszyscy wyrazili zgodę na tę propozycję skinieniami głowy.

Wtedy Robbins podniósł się i wskazał im drogę przez kurytarz do wielkiego „parloru”. Sam udał się na spotkanie gości, których karty otrzymał przed chwilą.

Za minut parę wszyscy znaleźli się w wielkim „parlorze”.

Był to jeden z najwspanialszych salonów dystygowanego Hotelu Plantatorów w Kansas City, Mo.

Ogromny, mogący pomieścić jakie pięćset osób, wysoki był na dwa piętra i miał u góry galeryjkę, opartą na białych ze złotem kolumnach. Całe umeblowanie było białe, lakierowane ze złotem, w stylu wieku 18go; składało się z niskich, miękkich kanapek, krzesełek, filigranowych „puffów”, kolumn, posążków; urządzenia do światła gazowego i elektrycznego podtrzymywały figurki bogiń marmurowe i posrebrzane; lampy miały szkła różnobarwne. Pośrodku sali wznosił się wysoki klomb z palm i fontanny; w dwóch jej końcach znajdowały się grupy posążków, otoczone kwiatami i okrągłymi kanapkami.

Tutaj odbywały się zazwyczaj zabawy arystokracji miejscowej; tu miały miejsce zebrania najbardziej dystygowanych obywateli.

W północnej stronie parloru znajdował się rodzaj estrady. Zwykle umieszczano tam muzykę. Teraz stał tam stół długi, pokryty zielonym sukniem, stół, dziwne mający podobieństwo do stołów sądowych, jak wyglądają one w Europie. Prosty, czarny krucyfiks na stole, pióra, atrament i papier, dalej żelazna kasetka i jakieś papiery — oto wszystko, co się znajdowało na stole.

Gdy do parloru weszli nasi znajomi, nie było tam nikogo: tylko u drzwi stał jeden z detektywów Gryzińskiego. Robbins, który wprowadził najwyższego sędziego Outwaithe'a

i barona Konrada, ponowił prezentacye. Dwaj prawnicy z Massachussets i z Lousiany znali dobrze sędziego z Missouri, jeśli nie osobiście, to z renomy, poznanajomienie się więc było łatwe.

Trudniej było z Homiczem i Konradem.

Pierwszy wiedział, kto jest drugi; ostatni znał z rozgłosu imię Homicza i przeczuwał w nim rywala. Skrzyżowali ze sobą spojrzenia ostre, jak stal — i zaledwo dotknęli końców swych palców....

Homiczowi przykro się zrobiło na myśl, że ten człowiek miał kiedyś jakieś prawa do Jądwigi.... Pocięszył się zresztą myślą, że zbrodnia jego ojca te wszystkie prawa złamała.

Obydwaj spoglądali na siebie z podełba.

Tymczasem Robbins poprosił wszystkich do zajęcia miejsc. Mr. Outwaithe z Missouri oraz dwaj prawnicy z Massachussets i z Lousiany zasiedli w trzech wysokich fotelach po za stołem, niby trzej sędziowie; po jednej stronie stołu zajęli miejsce Homicz i Gryziński, po drugiej — Felsenstein. Przed stołem siadł na krześle Robbins.

Zaczął on temi słowy:

— Szanowni panowie! — Mniej więcej wiadomem jest każdemu z was, dla jakiego celu zgromadziliśmy się tutaj. Mój przyjaciel p. Homicz zajął się sprawą ważną, sprawą dotyczącą pewnej osoby, którą czei i szanuje — i w sprawie tej nadzwyczaj trudnej i zawiłej nie

szczędził trudów i starań, ażeby wydobyć na wierzch prawdę, pogrzebaną przed laty w odmęcie fałszu i intrygi.... Idzie tu o sprawę Stefana Ślaskiego, polskiego szlachcica, skazanego w r. 1867 w New Orleans na śmierć za mniemaną kradzież i mniemane zabójstwo. Idzie o przywrócenie czci niewinnemu.

Zatrzymał się na chwilę.

Wszyscy oczekiwali dalszego ciągu. Tylko na twarzy Konrada wybiło się nagle pomieszanie.... Chciał coś mówić, ale Robbins mu przerwał.

— Cokolwiek cierpliwości! — rzekł, a po chwili ciągnął dalej: — W sprawie tej p. Homicz udał się po pomoc i poradę do mnie.... Sprawa zainteresowała mnie głęboko. Zająłem się nią energicznie — i oto dziś właśnie skompletowałem szereg dowodów, służyć mogących do rozplątania zagadki, pozwalających wynagrodzić zrządzoną niegdyś krzywdę. Dowody te skoncentrowały się właśnie tutaj — i tu bawi obecnie osoba, w której interesie przedsięwzięliśmy całą akcyę: córka skazanego. W sprawie tej nie chciałem się zresztą rzadzić samowolnie.... Korzystając z względów osobistych, jakimi mnie obdarzają trzej znakomici prawnicy, siedzący tam za stołem, zaprosiłem ich na obecną konsultacyę.... Idzie mnie i p. Homiczowi o to, ażeby ci mężowie nauki, zacności i doświadczenia, orzekli, jak postąpić w

obec zebranych dowodów. Konsultacya jest zupełnie prywatna i poufna. Każdy z nas pod słowem honoru zobowiązał się zachować w tajemnicy wszystko, co się tu będzie działo i mówiło.... Ażeby zakończyć ten mój wstęp, czuję się jeszcze w obowiązku zaznaczyć, że wszyscy trzej ci zacni panowie raczyli łaskawie, bez żadnego wahania, a przytem zupełnie bezinteresownie przjąć me zaproszenie na konsultacyę, skoro tylko dowiedzieli się, że idzie tu o nagrodzenie ewentualnej krzywdy, zrządzonej przed laty przez sprawiedliwość amerykańską szlachetnemu cudzoziemcowi.... Cześć im za to!

I Robbins skłonił się głęboko trzem prawnikom.

Konrad Felsenstein słuchał już od paru chwil jego słów z wielką niecierpliwością. Korzystając wreszcie z pauzy, porwał się z miejsca.

— Przypuśćmy, że to zebranie ma racyę bytu.... Obecność tych trzech panów jest potrzebną — zgoda. Ale nie rozumiem, ale nie rozumiem, co w tej sali, która bądź co bądź jest salą sądu, mają do czynienia tamci dwaj panowie?

Wskazał dłonią na Homicza i dra Gryzińskiego.

Twarz miał zachmurzoną, zęby zaciśnięte; mówił tonem gwałtownym. Robbinsowi na czole ukazała się zmarszczka; odrzekł jednak spokojnie:

— Ci panowie mają tu prawo zasiadać... Najpierw p. Homicz podjął i przeprowadził śledztwo w tej sprawie.... On ją poruszył po latach 20tu.

— Kto mu dał do tego prawo? — pytał dalej Konrad tonem gwałtownym i wyniosłym.

— Kto? — odpowiedział Robbins, podnosząc palec do góry — Bóg sam, który daje ludziom dobre natchnienia.... Co? — poczucie sprawiedliwości, które nie pozwala ucziwemu człowiekowi widzieć krzywd i bezprawi nie naprawionych.... Ośmiel się pan tym prawom zaprzeczyć!

Głos jego brzmiał uroczyście — i istotnie Konrad nie znalazł na te słowa odpowiedzi.

— Zresztą — ciągnął po chwili Robbins spokojnym już tonem, wskazując na Homicza i Gryzińskiego — ci panowie zbierali dowody w sprawie, są świadkami i choćby dla tego obecność ich jest potrzebną....

W tem miejscu sędzia Outhwaithe przerwał Robbinsowi:

— Przepraszam! O ile rzecz rozumiem, sprawa, zajmująca nas w tej chwili, ma być traktowaną jak najkonfidencyjniej. Słusznie tedy ten pan — wskazał ręką na Konrada — zapytywał, co usprawiedliwia obecność w tej sali pp. Homicza i Gryzińskiego.... Usprawiedliwiono ją. Ale logika rzeczy każe nam zapytać z kolei, jakim prawem jest obecny ten pan, sam?

Konrad chciał się podnieść z miejsca wzburzony, ale Robbins uspokoił go skinieniem.

— O tem właśnie chciałem mówić.... — rzekł — Pan Konrad von Felsenstein znajduje się w najbliższym stosunku z osobą, grającą rolę najwybitniejszą w tym ponurym dramacie z przed lat wielu.... Przybył zaś tu do Ameryki, o ile wiem, także w zamiarze uczynienia sprawiedliwości i naprawienia krzywd z przed lat. Ażeby przyjść do tego rodzaju decyzji, musiał podeptać wiele rzeczy sobie drogich, przecierpieć wiele i wiele poświęcić — w imię prawdy Bożej. Tak czynić potrafi tylko dusza wielka i serce szlachetne.... Dla tego uważałem, że mam nie tylko prawo, ale i obowiązek zaprosić pana barona na naszą konsultację.

Trzej sędziowie jednomyślnem pochyle niem głowy zaakceptowali słowa Robbinsa. Ten ciągnął dalej:

— Zresztą nikt z nas niema prawa przece niać hartu i wytrzymałości duszy choćby najszlachetniejszej, gdy uderza na nią fala cierpie nia. Od barona Felsensteina zależy, czy zechce lub nie zechce brać udział w naszej nara dzie, czy zechce lub nie zechce dostarczyć nam pewnych wyjaśnień, ułatwić pracę?.... Pod tym względem nie czynię nań żadnego nacisku. Wolno mu z nami pozostać, wolno nas opuścić, a w tym ostatnim razie liczę na jego honor, że

pracy naszej w drodze stawać nie będzie....
Sprawiedliwość swoją drogą pójść musi.

Przerwał i spoglądał pytająco na Konrada

Ten siedział przy stole, wsparłszy twarz rękoma.... Lekkie drżenia nerwowe poruszały jego ramionami. Burza przelewała mu się przez mózg.... Zdecydowany był już dawno zło, uczynione przez ojca, w jakiś sposób naprawić. . . Zdecydowany był na wszystko. Ale grała w tem pewną rolę, oprócz innych uczuć, jego miłość dla Jadwigi. Wyobrażał sobie, że jak rycerz z wieków romantycznych, złoży u jej stóp winę ojca, przebaczenie wybłaga, a dłonią swą krzywdę wynagrodzi.... Teraz wszystko to rozpadało się: Stał tu w obec innych, jako świadek, jako oskarżony niemal, a pomiędzy nią a nim wznosiła się, jako przeszkoda nie do usunięcia, postać nowa, postać Homicza, okolona aureolą poświęcenia i bohaterstwa.

To też w duszy Konrada toczyła się walka gwałtowna.

Ułynęła znów chwila.... Odezwał się teraz głos sędziego Outwaithe'a:

— Panie baronie! Czasu mamy niewiele, a pracy dużo.... Jakie pańskie postanowienie: zostaniesz pan z nami, czy oddalisz się?

W tej chwili wreszcie w umyśle Konrada nastąpił przełom. Podniósł się z krzesła z twarzą bladą, ale z wyrazem decyzji na ustach.

— Ja, syn prawdopodobnego sprawcy czynu, za który skazano Ślaskiego, zostanę tutaj — rzekł — Niech się stanie sprawiedliwość!

Obszedł potem stół i zbliżywszy się do Homicza i Gryzińskiego, podał im obie dłonie i rzekł po prostu:

— Przepraszam; wyście zrobili to, co ja już dawno zrobićbym powinien....

XVII.

Zaczął się sąd.

Trzej zaproszeni przez Robbinsa prawnicy mieli już ogólne o sprawie pojęcie. Każdy otrzymał w swoim czasie krótką notatkę, streszczającą główne jej momenta. W dwudziestominutowem przemówieniu Robbins uzupełnił i pogłębił szczegóły sprawy, przedstawiając rzecz jasno i nie oszczędzając nikogo (Konrad słuchał go z odwagą); wreszcie przedstawił nowe dokumenta i dowody.

Było ich sporo.

Najpierw Homicz przedłożył zebranym komplet gazety „Louisiana News” z r. 1867. Był to rocznik odkryty w bibliotece Kongresu w Washingtonie, D. C. Z tego rocznika Robbins odczytał kilkanaście ustępów. Stwierdzały one co do joty opis zbrodni, odtworzony kiedyś przezeń z domysłu; ale nadto podawały szeroki materiał faktyczny: nazwiska osób, których własnością były skradzione kosztowności i pieniądze, opis niektórych klejnotów, na-

zwiska urzędników i klerków banku, cały przebieg sprawy itd. itd.

Dalej Robbins przedłożył rękopism Ślaskiego w Cleveland ukradziony Jadwidze, a odnaleziony przez Gryzińskiego w domu Kaliskiego w St. Joseph, Mo. — i listy cyfrowane starego Felsensteina do Kaliskiego.

Tu gen. Quincy prosił o zakomunikowanie tych listów do obejrzenia Konradowi.

— Czy to jest pismo pańskiego ojca? — zapytał.

— Nie — była odpowiedź Konrada.

— Widocznie baron Albert kazał je pisać komuś innemu... nierozumiejącemu tajnego szryftu — zauważył Robbins.

Listy zresztą były pisane w imieniu i podpisane nazwiskiem barona Felsensteina. Koperty nosiły stemple berlińskie. Treść ich (Konrad znów, słuchając czytania listów, zakrywał twarz rękoma) dowodziła, że stary baron czynił wszystko, ażeby zrobić Jadwigę w Ameryce nieszkodliwą — i nie wahał się do nowych w tym celu uciekać przestępstw...

Następnie dr. Gryziński przedstawił pieniądze i kosztowności, znalezione u Morskiego na „Cat Island”.

Stępel i data monet złotych dowodziły, że mogły one pochodzić z r. 1867 z New Orleans. Pomędzy kosztownościami Gryziński odnalazł odrazu pięć czy sześć, których wygląd, jak

dwie krople wody odpowiadał opisowi, zawartemu w opisanu sądowem w roczniku „Louisiana News”.

Dowody były bardzo poważne! — godzili się na to wszyscy.

— Mamy zresztą jeszcze coś więcej — rzekł znowu Robbins.

I istotnie Homicz złożył na stole kilka „affidavits” z New Orleans. Zaświadczały one jednoznacznie, że pozostająca w tamtejszym domu przytułku dla starców blisko stuletnia Murzynka Ethel Lee nieraz opowiadała o dziwnej scenie, jaka się rozegrała w jej domu, na wiosnę r. 1867.

Utrzymywała ona stancyjki do wynajęcia, a w stancyjkach tych mieszkali pomiędzy innymi młody Mulat Amos Cummings, zajmujący się naówczas czyszczeniem butów po ulicach i starszy już człowiek, Niemiec czy też Polak, Louis Miller, dawniej „porter” w banku „Merchants Loan & Trust Co.” Otóż w grudniu r. 1866 ten bank okradziono, a Miller zaraz na drugi dzień potem znikł gdzieś. Powrócił do domu dopiero w parę miesięcy, po skończeniu sprawy o kradzież, kiedy kasyer banku został już skazany na śmierć.... I wtedy pewnego razu do izdebki Millera przybył z nim razem jakiś wysoki pan z brodą. Louis nazywał go „baronem”. Coś rozmawiali; potem Louis poszedł po Cummingsa.... I wtedy za-

częła się pomiędzy nimi trzema straszna awan-
tura

Stara podglądała przez szparę.

Widziała, jak Amos i Louis trzymali przy
głowie nieznanego rewolwery, a on coś pisał
i Louis schował ten papier. Potem Amos wy-
szedł, a nieznanomy wydobyl z kieszeni pakę
papierów i złota, oraz worek z kosztownościa-
mi. Dzielil się tem z Louisem, a ten trzymał
przez ten czas wymierzony do niego rewolwer.
Rozmawiali ze sobą dziwnym językiem — i o-
bydwaj byli bledzi, jak trupy

Wreszcie nieznanomy wyszedł, a po nim
znikł i Louis

Nigdy się już potem u niej nie pokazali.
I czyściciel butów Amos wkrótce potem od
niej się wyprowadził Ona bała się o tem
komukolwiek opowiadać, ze strachu przed
zemstą; dopiero po latach chętnie o tem mó-
wiła.

Tyle opowiadania Murzynki Lee.

Robbins znów głos zabrał:

— Opowiadanie to kończy szereg dowo-
dów niewinności Ślaskiego, jakie możemy w
tej chwili przedstawić Nie są to zresztą
nasze wszystkie środki do wyprowadzenia pra-
wdy na jaw. Mamy i inne sposoby, do których
zresztą, po naradzie z p. Homczem, postano-
wiliśmy się uciec tylko w razie ostatecznym.
Na teraz, sz. panowie prawnicy, chcieliśmy

was zapytać o opinię: czy na zasadzie tych, a nie innych danych, możnaby w drodze sądowej uzyskać uznanie niewinnym nieszczęsnego Śląskiego i rehabilitację jego czci?

Nastała teraz chwila stanowcza. W wielkiej sali zapanała cisza.

Tylko trzech prawnicy naradzali się ze sobą szeptem. Wreszcie po pięciu minutach powstał gen. Quincy z Massachusetts.

— W imieniu własnem i kolegów oświadczyc z żalem muszę: Nie....

— Czemu? — wyrwało się mimowoli Homiczowi.

— Ponieważ — ciągnął dalej głosem równym i spokojnym znakomity prawnik — dowody nam przedstawione, nie są takie, jakich w podobnie trudnej sprawie wymaga prawo. Rękopism Śląskiego jest wzruszający, ale prawnie niczego nie dowodzi.... Listy cyfrowe nie są pisane ręką Felsensteina. Zeznania 100letniej Murzynki są niejasne, a zresztą czyż w tym wieku może ona mieć zupełną jasność umysłu? Najbardziej cennym dowodem są klejnoty, znalezione w posiadaniu Morskiego-Millera, ale i te mogą wskazywać tylko to, że i on był uczestnikiem czynów występnych, nie są zaś dowodem stanowczym niewinności Śląskiego.

Homicz był ciężko rozczarowany.

— Na cóż więc nam przydały się te dowody? — wołał.

— Na to, ażeby dowieść świata niewinność Slaskiego z punktu widzenia moralnego — była odpowiedź — Ot, gdyby tak na przykład Slaski zamiast na śmierć był skazany na dożywotnie więzienie i gdyby żył do dziś, na zasadzie tych faktów nadzwyczaj łatwo byłoby uzyskać jego ułaskawienie....

Homicz przerwał w tem miejscu uczonemu prawnikowi. Porwał się z miejsca i zawołał:

— Ależ on żyje.... żyje. I w tej chwili zapewne jest już ułaskawionym.

-- I to jest właśnie rzecz najciekawsza, jakiej nie zdążyłem jeszcze panom powiedzieć... — dodał ze swej strony Robbins.

XVIII.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką sensacyę wywołały słowa Homicza i Robbinsa.

Prawnicy zdumieli się.

Konrad wstał blady — i wołał:

— Czy to podobna? Czy zmarli powstają z grobów? Przecież miałem w ręku wycinek gazety, w którym była opisana egzekucya nieszczęśliwego Slaskiego!

Sensacyę tę prędko przecież uciszył Robbins.

W paru słowach objaśnił Konradowi i innym rzecz całą.

Przedstawiała się ona tak:

Istotnie d. 12go marca 1867 r. miała się odbyć egzekucya Ślaskiego, skazanego na śmierć w New Orleans. Poprzedniego dnia wieczorem i w ciągu nocy nikt nie wątpił, że wyrok śmierci zostanie wykonany. Naturalnie.... Zbrodnia była zbyt ponura! Zbrodniarz wyparł się zresztą wszelkiej winy i skruchy nie okazał.... Zkąd więc, z jakiej racyi miałoby być pobłażanie? Wszyscy w wigilię wyroku byli pewni, że egzekucya odbędzie się nazajutrz w podwórzu więziennem. Miało to nastąpić o godz. 9ej rano. Rzecz zdawała się tak niewątpliwą, że jedna z gazetek, naówczas w New Orleans wychodzących, zresztą od paru miesięcy dopiero powstała, „Louisiana News”, uważała za właściwe (wypadek to w dziennikarstwie amerykańskim niewyjątkowy) opisać w swych szpaltach egzekucyę, mającą nastąpić, jeszcze — przed jej nastąpieniem.

Szło o uprzedzenie innych gazet.

I istotnie uprzedzono je... Szybkość informacyi została ocalona; prawda — nie.

O godzinie 7ej rano wyszedł z pod pras drukarskich 20tysięczny nakład „Louisiana News”, opisujący powieszenie Ślaskiego o godzinie 9ej nastąpić mające — i rozszedł się po Stanie i całej Ameryce.... A jednak, na prawdę, o godz. 9ej rano egzekucya nie nastąpiła. Na godzinę przed wykonaniem wyroku, dyrektor więzienia karnego otrzymał od gubernatora Stanu Louisiana — dekret ułaskawienia...

Było to niesłychane i niespodziewane.

Stało się to zaś cudem prawie. Żona gubernatora była katoliczką.

I oto w nocy, poprzedzającej wigilię stracenia Śląskiego, miała ona dziwny sen. Ukazała się jej Matka Boska — i srogie robiła w sennem marzeniu wyrzuty z powodu, że jakoby mąż jej miał na ciężką dozwoić niesprawiedliwość.... Pani gubernatorowa gorąco wzięła sobie do serca to upomnienie — i przez cały dzień nad niem myślała. I oto następnego dnia nad samym wieczorem, przybył do niej jej spowiednik, kapłan katolicki O. Malachiusz, S. J. — i poprosił o posłuchanie.... Oświadczył jej, że za dozwoeniem i zgodą jej męża spełnioną zapewne zostanie nazajutrz straszna zbrodnia sądowa: objaśnił następnie sprawę Śląskiego o tyle, o ile mu na to pozwałała tajemnica spowiedzi i prosił o interwencyę, o pomoc, o wstawienie się za niewinnym...

Zacną kobietę do głębi serca wzruszyła ta sprawa.

Noc tylko miała przed sobą, ale ta noc nie pozostała bez następstw. O tyle potrafiła wpłynąć na swego męża, Metodystę z religii, ale człowieka uczciwego i zacnego, że na godzinę przed wykonaniem wyroku, przesłał on, korzystając z przysługującego mu prawa, dekret ułaskawiający. Kara śmierci została zamieniona na dożywotnie więzienie... Śląski powieszonym nie został!

Stało się to cudem prawie.... cudem lub
zrządzeniem Bożem.

W ten sposób gazeta „Louisiana News”, która
na 2 godziny przed egzekucją, ogłosiła sprawo-
zdanie z egzekucyi, nigdy nastąpić nie mającej,
znalazła się (jak powiadają Amerykanie) —
„in soup”. Naturalnie, na drugi dzień wiado-
mość nieprawdziwą sprostowała ze wstydem —
i rzecz dla szerszego ogółu nie przedstawiała
żadnej wątpliwości....

Inne gazety żartowały sobie z niej z tego
powodu niemiłosiernie.

Ogół dowiedział się w czasie właściwym,
że zabójca i rabuś setek tysięcy dolarów, Sla-
ski, nie został powieszony, ale przez całe
życie miał się męczyć w więzieniu stanowym —
i wynikło ztąd nawet bardzo wielkie oburzenie
przeciw gubernatorowi za jego nieusprawiedli-
wioną łagodność....

Niemniej fakt stał się faktem.

Nie mniej, fałszywa wiadomość o egzeku-
cyi Śląskiego, tak nieopatrznie puszczona w
świat przez „Louisiana News”, wiele osób wpro-
wadziła w błąd. Do tej liczby należał między
innymi Ludwik Morski, który do dziś dnia
(tak objaśniał Robbins) niewątpliwie przypu-
szcza, iż wyrok został wykonany i Śląski nie
żyje.... Odebrawszy Felsensteinowi część łu-
pu, uciekł on z New Orleans, a na jednej z
najpierwszych stacyj znalazł numer „Louisiana

News", donoszący o powieszeniu Ślaskiego, jako o rzeczy już dokonanej.

Odtąd przekleństwem jego życia były dwa widma: widmo skrwawione Ślaskiego i wyrzut sumienia, że go nie uratował, jak to pierwotnie chciał uczynić i czego dowodziły dwa listy, przesłane potajemnie do więzienia do Ślaskiego — i widmo Felsensteina, którego zemsty obawiał się, jak ognia....

Baron Felsenstein zresztą (tak twierdził Robbins) musiał wiedzieć o tem, że Ślaski nie żyje.

To twierdzenie było ciężkim ciosem dla Konrada, który z natężeniem, niespokojny i wzruszony słuchał objaśnień Robbinsa.

— To niepodobna! — zawołał, powstając z krzesła.

— To fakt — odpowiedział mu spokojnie Robbins — fakt dla tego, że mamy dowody, iż ojciec pański pozostawał w New Orleans jeszcze parę dni po odwołaniu egzekucyi Ślaskiego.... Niepodobna, ażeby o ułaskawieniu nie wiedział!

— A więc przedemną kłamał, więc powiadając mi wszystko.... to jeszcze chciał zataić.... — wołał Konrad.

Wzruszenie ramion było mu jedyną odpowiedzią ze strony Robbinsa. Aż nazbyt wyraźnie ono mówiło:

— Widocznie....

Robbins dalej objaśniał, w jaki sposób, jakim cudem on i jego przyjaciele dowiedzieli się tej wielkiej tajemnicy, w jaki sposób odkryli, że Ślaski żyje i po latach 20tu jest wciąż więźniem.... Znow była to zasługa Homicza. Wydobył on nareszcie po całych miesiącach poszukiwań, egzemplarz „Louisiana News” z Washingtonu, D. C. — i oto dowiedział się ztamtąd wieści niesłychanej, sensacyjnej....

On też wystarał się obecnie o amnestyę zupełną dla słamanego życiem i wypadkami starca.

Wszyscy obecni spoglądali z podziwem na Szczepana.

Niesłychaną siłę woli, potężne pobudki musiał mieć ten człowiek, skoro z grobów tajemnice z przed lat dobywał, walkę zaciętą wiódł, ażeby tylko prawdę na jaw wyprowadzić.... A Konrad porównując siebie z nim, głowę na dół zwieszał — i czuł się nieszczęśliwym, bardzo nieszczęśliwym.

Robbins tymczasem kończył:

— Oto i wszystko, co mogę powiedzieć panom o ułaskawieniu Ślaskiego. Wszystko to jednak rzeczy nie zmienia.... Ułaskawiony czy nie ułaskawiony, Stefan Ślaski w obec prawa nie przestanie być złoczyńcą, a nam właśnie idzie o to, aby cześć jego została oczyszczoną.... Czy tak, panowie?

Wszystkie głowy pochyliły się na znak zgody.

— W takim razie — prowadził dalej Robbins — nie pozostaje nam nic innego, jak uciec się do środków ostatecznych.... Uciekniemy się do nich, panowie, bo tak nam każe sumienie.... Mamy teraz godzinę 10tą. Na pewien czas przerwiemy nasze posiedzenie. Przybędzie tutaj córka niegdy skazanego na śmierć, a potem przed nią staną kolejno: baron Albert v. Felsenstein, potem Morski-Miller i wreszcie milionowy fabrykant Andrew J. Mallory, wszyscy uczestnicy wypadków owej strasznej nocy w New Orleans.... Zapytamy ich o prawdę — i wszyscy ją powiedzieć muszą.

Robbins zatrzymał się na chwilę.

Wreszcie oczy utkwił w twarzy Konrada i zapytał:

— Czy tak, panie baronie?

— Tak.... Mój ojciec, jakkolwiek ciężko chory, przybędzie tu za pół godziny.... Ręczę za to.

Blady był, jak płótno, gdy to mówił, a wszyscy skłonili głowy przed jego bohaterstwem. Robbins ciągnął dalej:

— Morski jest tu obok, a Mallory przyjedzie lada chwila. Godzina sprawiedliwości wybiła; sprawiedliwość stać się musi.

— I niechaj się stanie! — powtórzyli, powstając z miejsc trzech prawnicy.

Zebranie odroczyło się na godzinę.

Gdy Homicz wychodził z sali, doręczono

mu dwie depesze. Jedna z nich donosiła, że Mallory za godzinę będzie w Kansas City, druga uwiadamiła, o zupełnej amnestyi dla ojca Jadwigi. Szczepan promieniał cały, pokazując ją Robbinsowi.

Ten mu rzekł:

— Depeszę tę doręczysz sam za parę chwil pannie Jadwidze Śląskiej.... Będzie to najlepsza dla ciebie nagroda.

XIX.

Opowieść nasza szybko dobiega do końca.

Był to dzień pamiętny wielu, bardzo wielu wypadkami, ten dzień zjazdu tak wielu osób do Hotelu Plantatorów. Wypadki te opowiemy jak najkrócej.

Gdy sesję odroczone, każdy udał się za swemi sprawami.

Konrad pojechał po ojca. Trzej prawnicy zasiedli do „lunbu”. Homicz z Robbinssem i Gryzińskim oczekiwali w wielkim i wspaniałym przedsionku hotelowym przybycia pań, to jest miss Hunter z Jadwigą i „Sarenką”....

Przechodzili się oni szerokimi krokami po marmurowych taflach przedsionka.

Homicz czuł w sercu jakiś wielki niepokój. Stanie wreszcie przed nią, władczynią jego serca i duszy.... i co jej powie? Co istotnie jej przynosi w darze? Czy ona znów nie odepchnie go od siebie i nie rzecze dumna,

jak wtenczas, iż pomiędzy nimi nic nie może być wspólnego..... Może go zabić na zawsze jednym obojętnym spojrzeniem, bez słów prawie... Jej uśmiech i serce może być dla Konrada.

I na myśl o tem serce mu lodowaciało....

Słowami urywanemi, wzruszony zakomunikował swe niepokoje dwom towarzyszom. Gryziński uśmiechnął się tylko pod wąsem; za to Robbins wziął go za rękę — i rzekł tonem poważnym:

— Rozumiem twój niepokój, mój chłopcze... Burza w sercu twojem, to naturalne... a patrz i tam na horyzoncie za chwilę burza szaleć zacznie. Czujesz elektryczność w powietrzu.... Spojrzyj, jak tam chmury bałwaną się zdaleka. Za kwadrans będziemy mieli wiosenny huragan.

Umilkł i przez chwilę przyglądał się horyzontowi.

Wreszcie rzekł:

— Może to kara Boża.... może zbliża się chwila pomsty, a pomsta owa ukaże się winowajcom w całej swej potędze i w całym majestacie.

Słowa jego brzmiały poważnie i proroczo. Wywołały one dreszcz trwogi u Homicza i Gryzińskiego.

Tymczasem na zewnątrz zaczynała się burza....

Podmuchy wiatru stawały się coraz dziksze i gwałtowniejsze. Horyzont zakryła jak gdyby czarna opona.... Od ziemi podrywały się fale pyłu i wirowały w powietrzu w jakimś tańcu fantastycznym.... Zdaleka pomrukiwał grzmot.

Na twarzach wszystkich obecnych widać było nerwowy niepokój.

Służba hotelowa szybko uprzątała krzesła i ściągała płótna na werendzie zewnętrznej, zabezpieczała wreszcie wielkie szyby okien. I w jej oczach widniała trwoga.... Nie darmo Stan ten nazywają niektórzy „gniazdem huraganów“.

Szczepan z Gryzińskim i Robbinsem zatrzymali się niedaleko głównego wejścia do przedsionka, przy porfirowej kolumnie. Homicz miał teraz nowy powód do niepokoju.

— Boże mój! Jakże one w taką burzę przyjadą? — rzekł po polsku do Gryzińskiego — Wiesz dobrze z opisów, jak straszne następstwa miewają huragany na Wschodzie....

— Niezawsze — odmruknął Gryziński, sam zły i zdenerwowany.

— Niechby zresztą wszystko, co najgorszego stało się mnie — ciągnął dalej Homicz — rzecz mniejsza.... ale jej.... pannie Śląskiej, gdyby jeden włoszek spadł z głowy, nie darowałbym sobie tego całe życie.... nigdy!

Gryziński zaśmiał się na tę, nieco przesadną troskliwość.

Obydwaj, odwrócenii tyłem do krzeseł, stojących przy ścianie, nie dostrzegli, że słów ich z wielką uwagą słuchała jakaś widocznie młoda kobieta (twarz miała zasłoniętą welonem, sądzić więc o jej wieku można było tylko z figury), siedząca nieopodal. Ubrana była w czarne suknie, a obok niej leżała na ziemi walizka. Widocznie czekała na kogoś. Polskie wyrazy, wymówione przez Homicza i Gryzińskiego, zbudziły jej baczność....

Pochyliła się naprzód — i zdawała się być cała obrócona w słuch.

Gdy Szczepan wymówił nazwisko panny Śląskiej, widocznie przeszedł ją jak gdyby dreszcz nagły. Zdawałoby się, że porwie się z miejsca i rzuci naprzód. Ale nastąpiła refleksya — i pozostała na swoim miejscu.

Nikt na nią nie zwracał uwagi. Wszyscy byli zajęci tem, co się działo na zewnątrz.

Wicher teraz ustał na chwilę, a zaczął padać gęstemi kroplami deszcz.... Ciemno było ciągle. Zdaleka odzywały się jakieś pomruki, jak gdyby stłumione ryki stada lwów. Robbins stał u samego wejścia, niespokojny.

Naraz w ręce plasnął — i zawołał:

— Jada panie.

Ukazała się w ulicy zakryta karetą, a za chwilę stanęła przed hotelowym przedsionkiem. Robbins pośpieszył na powitanie miss Hunter i jej towarzyszek. Za chwilę znaleźli się wszyscy w hotelowym westybulu.

Robbins przeprosił najpierw szanowną przełożoną pensyi, że ją fatygował w czasie tak fatalnym.

— O, to nic.... — rzekła miss Hunter, — jak pan widzisz, nawet nie zmokłyśmy....

Nastąpiły prezentacye, poczem Robbins prosił przełożoną o słówko rozmowy na osobności.

Na jedną chwilę pozostawieni zostali razem, obok siebie: Homicz z Jadwigą, a Gryziński z „Sarenką“.

Córka Morskiego figlarnie uśmiechała się do starego, wąsatego wygi lwowskiego, a on niemal z wyrzutem sumienia patrzył na dziewczę, wesołe i urocze, nie domyślające się, że w tym samym gmachu znajduje się jej stary „tutulo” i jakie nad nim zawisły ciosy.

Inna rzecz była ze Szczepanem.

Schylony do ukłonu, słyszał jak szmer jakiś daleki i niezrozumiały, nazwiska przełożonej i dwóch panien; czuł, że znajduje się przed Jadwigą, ale nie śmiał na nią podnieść oczu, ażeby nie wyczytać w jej twarzy wyroku śmiertelnego....

Trwało to przez chwilę; położenie było bardzo ambarasujące.

Naraz ciche, jak szelest wiatarka, łagodne i miękkie, jak muzyka harf eolskich, doszły do uszu jego owe wyrazy:

— Panie Szczepanie....

Podniósł oczy — i został olśniony. Niebo mu się otworzyło.... Tem niebem były jej oczy promieniejące, jak gwiazdy, twarz uśmiechnięta, jak słońce; blask rozradowania i szczęścia, który bił od niej wielki i przeczysty.

— Ona mnie kocha — przemknęło Szczepanowi przez mózg....

I uczuł, że szaleje.

— Panie Szczepanie.... — zabrzmiała jeszcze raz melodia jej głosu.

Podali sobie obie dłonie i patrzyli na siebie tak, jak gdyby nie było w obec nich nic i nikogo, ani porfirowych kolumn westibulu, ani ludzi obcych, ani burzy szalejącej na zewnątrz, ani błyskawic, które ognistymi zygzakami haftowały dziwne desenie na tle niebios, ani gromów, co coraz to odzywały się stłumione zdaleka.

Świat zewnętrzny dla nich nie istniał; ani oni dla świata.

Niewiele też kto na nich zważał... Wszystkich uwagę zaprzętała burza. Tylko „Sarenka” i Gryziński przyglądali im się trochę z ubocza, uśmiechnięci i rozrzewnieni, jedyni tu zapewne rozumiejący tę scenę....

Nie! — ktoś więcej ją jeszcze rozumiał...

Była to owa kobieta w czarnem, siedząca na uboczu. Scenę, dopiero co opisaną, śledziła z wielką uwagą, pochyłona naprzód, jak gdyby w każdej chwili gotowa się rzucić przed siebie. Dreszcze wstrząsały całym jej ciałem.

Naraz zerwała się z miejsca. . . .

Ujrzała, iż Szczepan podnosi dłoń Jadwigi do swoich ust. I oto jednym skokiem znalazła się przy dwojgu młodych. We wzniesionej w górze dłoni — trzymała coś błyszczącego.

Był to sztylet.

— Nie będziesz przecież jego. . . . — krzyknęła po polsku.

I chciała ugodzić w pierś Jadwigi śmiercionośnym narzędziem. Ale szybki, jak błyskawica, Szczepan rzucił się przed Jadwigę i zasłonił ją własną pierśią. . . .

Sztylet uderzył w biały gors jego koszuli — i jak gdyby odbity o coś twardego, upadł z brzękiem na ziemię. . . .

Odezwał się chrzęst głuchy. Na białej tkaninie gorsu ukazały się czerwone krople krwi. Szczepan zachwiał się, ale nie upadł.

Z ust jego wyrwał się tylko jęk chrypliwy.

W tej samej prawie chwili uderzył nieopodal ze strasznym bukiem piorun. . . .

Trwało to wszystko tylko jedną sekundę. Ale była to chwila ponura. Zebrani w westybulu hotelowym nie wiedzieli, czemu się przyglądać, czy dramatowi, który rozgrywał się tu, przed ich oczyma, pomiędzy ludźmi, czy też orgii żywiołów, szalejącej tam na zewnątrz. . .

Był moment osłupienia.

Przeszedł on prędko, szczególnie gdy ko-

bieta w czarnem ubraniu chciała się znowu rzucić na Jadwigę.... Wtedy Szczepan pomimo otrzymanego w pierś ciosu, silny i nieustraszony, pochwycił ją za dłoń i przytrzymał.

Pasował się tak z nią przez sekundę.

— W tej sekundzie jej czarny welon gwałtownym ruchem został odrzucony na bok — i ukazała się blada, jak płótno, ponura, jak noc, wykrzywiona namiętnością, wstrętą w tej chwili twarz Stefki Cierzanowej, ostatnio towarzyszkii i przyjaciółki Kaliskiego.

Wargi jej ognisto-koralowe zwykle, były teraz trupio blade.

— Ach... — wołała głosem, który podobny był do ryku lwicy — krwi jej chcę. Już raz dybałam na nią tam w Pennsylvanii. Wy-mknęła mi się....

I znów usiłowała przemódz mdlejącego od bólu Szczepana, któremu krew coraz obficiej zalewała gors koszuli.

— Przeklęta ona! — wołała — i ty przeklęty.... Nie dość, że się kochacie, ale jeszcze ty kazałeś uwięzić Kaliskiego, ostatnią moją nadzieję i pociechę.... Przeklęty bądź!

Śmiała się śmiechem histerycznym — i usiłowała znowu rzucić się na Jadwigę. Jak ptak drapieżny, roztworzyła dłonie — i zdawało się, że paznogciami oczy jej wydrapie....

Homicz trzymał ją wciąż, ale słabł widocznie.

Szczęściem wśród obecnych nastąpiła reakcja. Rzucono się ku obłąkanej czy też zbrodniarce. Pierwszym był Gryziński. Pochwycił ją silnie za ramiona i sparaliżował od razu jej dalsze ataki. Za chwilę odciągnięto ją na bok — i oddano w ręce obecnego w przedsiönku hotelu urzędnika policyjnego.

Jednocześnie Szczepan na pół zemdłony upadł nieomal w objęcia Jadwigi, która, wsparta o filar, podtrzymywała jego gnącą się od bólu postać w macierzyńskim objęciu....

Białe gors jego koszuli cały spłynął krwią.
.....

Upłynęło dwadzieścia minut.

Burza huczała ciągle.... Zbliżała się, to oddalała. To pobrzmiwała głośno i ponuro; to milkła i zdawała się cichnąć.

Panie udały się na piętro, do przeznaczonego dla nich saloniku — i tam oczekiwały wieści o Homiczu. Dwaj lekarze opatrywali go w sąsiednich pokojach. W tej chwili wszedł do pań (zapukawszy poprzednio w sposób dyskretny) Robbins.

Wszystkie trzy kobiety zwróciły się doń z niepokojem; ale na jego twarzy igrał uśmiech.

— Nic.... — rzekł — Mr. Homicz miał na piersi pod gorseminiaturową.... portret kobiety. Tego go ocaliło. Inaczej zapłaciłby za tę sprawę życiem.... Tak, sztylet uderzył w miniaturę, malowaną na słoniowej kości i strza-

skął się o nią. . . Miniatura pękła i części jej weszły w ciało. Ztąd upływ krwi. Co do sprawczyni napadu, zdaje się, że jest ona obłąkana. . . Uwięziono ją.

Wyjaśnienie to było jak najbardziej zadowalniające dla wszystkich, oprócz Jadwigi.

Fala krwi uderzyła jej na twarz.

Miniatura kobiety. . . . co za kobiety? I oko jej pałało ogniem, gdy stawiała sobie to pytanie. Miłość jej, o ile szło o jej uświadomienie się, była niedawnej daty. . . . Ale gdy już raz była, wynikała z niej odrazu — zazdrość. . . .

— Co to za kobieta? — pytała sama siebie Jadwiga i uczuwała ostry ból w sercu.

I zagryzła wargi — i w dziwnie twarde wyraz ściągały się rysy jej twarzy.

Robbins ciągnął dalej:

— Tymczasem zmuszony jestem prosić pannę Śląską o poświęcenie się ze mną. . . . Zbyt ważną mamy chwilę i sprawę, ażebyśmy pomimo zamętu żywiołów — wskazał na okna, po za któremi krzyszowały się ognie błyskawic — pomimo tego fatalnego epizodu, który na chwilę zamącił nasz spokój wewnętrzny, mieli rzecz odkładać. . . . Czy pani wyjaśniła pannie Śląskiej, o co idzie? — zapytał, składając ukłon miss Hunter.

— W paru słowach.

— Ja to dopełnię — rzekł i podał rękę

Jadwidze — Panie — dodał — poproszę jeszcze o chwilę cierpliwości....

I poprowadził za sobą Jadwigę. Ta szła za nim, jak automat, niezdolna zdać sobie sprawy z tego, co się z nią działo od pół godziny, myślą całą przy Homiczu i miniaturze kobiety, którą strzaskał sztylet tamtej. Robbins coś jej mówił, ale ona niebardzo rozumiała jego słowa.

Weszli wreszcie do wielkiej hali.

Tam już siedzieli trzej prawnicy, pomimo burzy szalejącej na zewnątrz, zimni i spokojni, całkowicie sprawie swej oddani.

Robbins rzekł im, przedstawiając Jadwigę:
— Córka Stefana Śląskiego.

Wszyscy trzej podnieśli się i złożyli jej głęboki ukłon. Robbins wskazał jej krzesło — i rzekł:

— A teraz przystąpimy do sprawy....

Stanął pośrodku i nie zważając na odzywające się coraz to gwałtowniej, po za oknem, pomruki burzy, na nowo w paru słowach, głównie dla Jadwigi, przedstawił rzecz.

Ona naprawdę nie rozumiała dobrze jego słów... szumiały dokoła niej, jak niegdy fala moraka wokół okrętu, którym jechała do Ameryki.

Robbins kończył:

— A więc dla wykrycia prawdy, dla osią-

gnięcia sprawiedliwości, dla oczyszczenia czci niewinnych, a skazanych na karę hańbiącą, nie pozostaje nam nic innego, jak wezwać do świadczenia samych winowajców....

Klasnął w dłonie.

— Wprowadźcie Morskiego—rzekł do detektywa.

Teraz dopiero obudziła się Jadwiga z półsnu moralnego.

Acha!.. Morski, to ten sam Miller. o którym wspomina rękopism jej nieboszczyka ojca... I ojciec „Sarenki“. Ach... tak! przypomina sobie. To idzie o sprawę i cześć jej ojca. O tem pisał jej Homicz (i znów przyszła jej na myśl miniatura kobiety, strzaskana na jego piersi).

Ale otrząsała się prędko z tego wrażenia.

Jej uczciwa i dzielna natura wróciła wnet do równowagi, skoro uświadomiła sobie całą doniosłość sprawy, która miała się w obec niej wytoczyć. Stłumiała bicie serca i cała obróciła się w słuch i wzrok.

I oto otworzyły się szeroko drzwi.

Ukazał się w nich rodzaj fotelu ambulansowego, w którym na pół leżał, na pół siedział Morski. Dwóch silnych służących niosło ten fotel. Ulokowali go w pobliżu stołu sędziów — i sami stanęli z boku. Morski strasznie w tej chwili wyglądał. Błady był, a oczy zapadły mu głęboko. Nerwowe drgania przebie-

gały mu po twarzy. Z podełba spoglądał na wspaniałą salę coraz to rozświetlaną ogniami błyskawic i na obecnych.

Obie nogi zwieszały mu się z fotelu bezwładne, obandażowane.

Wszyscy obecni przyglądali się tej dziwnej postaci z równym prawie, jak on im, niepokojem. Jadwidze szczególnie serce biło, jak gdyby młotem. Zapomniała teraz na chwilę o Homiczu. Wzrokiem wpiła się cała w twarz tego człowieka — i mówiła sobie:

— A więc to on! a więc to człowiek, który trzyma w ręku klucz zagadki.

Przez chwilę króciutką panowało milczenie. Wreszcie Robbins przystąpił do Morskiego i zaczął mówić z powagą:

— Wypadki, które zdarzyły się panu w ciągu ostatnich dni paru, musiały cię przekonać, że chwila sądu nadeszła.... To, co było przed laty dwudziestu, wychodzi na jaw. Mówię tu o sprawie Śląskiego, skazanego bez winy w New Orleans za kradzież i zabójstwo. Część pieniędzy i klejnotów, skradzionych na ówczas, znaleziono obecnie w schowaniu u pana — wskazał na stół, gdzie leżały kosztowności. — Co masz o tem do powiedzenia?

Morski milczał.

Tylko twarz zakrył rękoma, jak gdyby nie chcąc widzieć nikogo przed sobą — i silne dreszcze przechodziły mu przez ciało. Wszy-

scy spoglądali nań, zatrzymując oddech w piersiach. Oczekiwali odpowiedzi.

— Czy rozumiesz mnie pan? — pytał dalej Robbins.

Ale Morski milczał uparcie.

— Dla czego nie odpowiadasz? dla czego nie wyznasz wszystkiego co do joty, co do najmniejszego szczegółu? — zaczął znów Robbins surowo — Czy chcesz, ażebyśmy użyli przeciw panu środków ostrzejszych. Mów, jak to było, kto na prawdę spełnił zbrodnię.... W jaki to sposób chciałeś uratować Ślaskiego w przeddzień egzekucyi? Tylko zupełna szczerłość może cię uratować.

Morski słuchał teraz uważnie.

Widocznie rozumiał dobrze, co do niego mówią. I coś strasznego dziać się musiało w jego duszy. Nagłym ruchem oderwał ręce od twarzy i wyciągnął je do obecnych, jak gdyby błagając łaski.

Usta jego poruszały się; chciał mówić, ale dźwięk żaden z nich nie wybiegał.

— Nie chcesz pan uczynić zadość naszej prośbie dobrowolnie — prowadził dalej rzecz swą Robbins, zimny i nieubłagany, jak Nemezis — zmusimy pana. .. Słuchaj! W jednym z sąsiednich pokojów znajduje się istota, którą kochasz jedyną na świecie. Jest to twoja córka, istotna czy też przybrana, dziewczę, którą zwykle nazywasz „Sarenką”. Jeśli będziesz

trwał w uporze, przywołamy ją i opowiemy jej o twojej hańbie....

Jęk głuchy wyrwał się z piersi starca.

I w serce Jadwigi uderzyły te słowa. Zapomniała na chwilę o własnej sprawie — i stanęła jej przed oczyma postać „Sarenki”, złamanej bólem na zawsze.... Wstała z miejsca, chcąc protestować, ale Robbins przerwał jej gestem.

Mówił dalej do Morskiego:

— Stanie się to tylko na wypadek pańskiego uporu.... Inaczej, o niczem nie będzie wiedziała. Pozwolimy panu oddalić się z nią i żyć w spokoju.... A więc mów!

Ale Morski tylko charczał ciężko.

Robbins zaczął już tracić cierpliwość. Zbliżył się do starca — i rzekł surowo:

— A więc nie?.... Tem gorzej! Winę przypiszesz pan sobie sam. Może będziesz więcej wymownym, gdy ujrzysz przed sobą głównego winowajcę, a pańskiego współnika, barona Adalberta!

Ostatnie słowa Robbinsa brzmiały ponurą groźbą....

I istotnie stało się w tej chwili coś strasznego....

Morski, jak gdyby prądem elektrycznym tknięty, skoczył z fotelu na równe nogi. Na obandażowanych, obolałych od tortury nogach stał tak chwilę, chwiejąc się, karmazynowy od

gwałtownego napływu krwi do mózgu, z oczyma wychodzącymi z orbit, z siwym włosem rozwianym

— Adalberta! — wyrwał się z jego piersi chrapliwy jęk, jak gdyby echo ostatnich słów Robbinsa.

I upadł nagle, jak kłoda, nieruchomy, niemal bez życia, na fotel.

Widocznem było, że więcej nic od niego wydostać nie można Odniesiono go z powrotem do sąsiedniego pokoju — i oddano pod opiekę lekarzy.

Obecnych scena ta wzruszyła i przeraziła.

Nie było to przecież ostatnie wstrząśnienie, które ich oczekiwało tego dnia.

Zaledwo znikł w jednych drzwiach Moriski, gdy w drugich ukazał się Konrad Felsenstein. Błady był, jak trup; zwichrzone włosy zlepiał mu pot; odzież miał w nieładzie. Ciężkimi krokami, powoli zbliżył się na środek sali — i rzekł:

— Panowie! Ojciec mój, który miał stanąć przed waszym trybunałem, już tutaj nie przybędzie Powołany został przed inny trybunał. Nie żyje

Łzy spływały mu po policzkach, gdy wygłaszał te słowa.

Wszyscy uczcili ból jego pochyleniem głów. Konrad w paru słowach objaśnił, że szalona burza wpłynęła tak na nerwy chorego barona, że następstwem był zgon

Arterya sercowa pękła.

Istotnie, kara Boża w pościgu za sprawcami zbrodni, dosięgła ich po za morzami i oceanami.... Istotnie następowała pomsta niebios.

Bo oto w tej chwili z sąsiedniego pokoju przybył lekarz i oświadczył, że wprawdzie życiu Morskiego bezpośrednio niebezpieczeństwo nie zagraża, ale że jest obłąkanym — i pozostanie nim do końca swych dni.

Robbins ręce załamał.

Istotnie, winowajcy zostali ukarani; ale cóż ztąd! Nie zdążyli oni wydać świadectwa prawdzie.... Cześć skazanego nie będzie oczyszczona ich zeznaniem. Plan Robbinsa, tak znakomity, spełził na niczem.

Fatalność się przeciw niemu zawzięła!

To też mędrzec z Evanston wzniosł oczy do góry, jak gdyby czyniąc wyrzut Opatrzności....

Ale Opatrzność miała spełnić swe wyroki.

Bo oto znów otworzyły się drzwi i stanął w nich blady od upływu krwi, wspierając się na ramieniu służącego, Homicz. Niósł w ręku dwa papiery.

— Panowie i pani — rzekł głosem donośnym i dźwięcznym, składając ukłon Jadwidze — dobre nowiny....

Wszyscy skierowali ku niemu oczy. Jadwiga cała obróciła się w słuch, a w piersi u-

czuła znów ból nagły na myśl o strzaskanej na piersiach Homicza miniaturze kobiety.

— Dowód niewinności ojca panny Śląskiej mam tutaj w ręku.

I potrząsał w górze jednym z papierów.

— Nosilem go przez lat cztery na piersi, nie wiedząc o tem.... Wydobył go dziś na jaw cios sztyletu, który o mało co, przed chwilą, nie pozbawił mnie życia.... strzaskał on miniaturę, po za ramką której był ukryty ten papier. A brzmi on, jak następuje.

Wziął do ręki żółty, na pół podarty świstek — i czytał:

.... *New Orleans*, 2 marca 1867 r.— Pod groźbą dwóch rewolwerow, wymierzonych do mnie przez Louisa Millera i jakiegoś Mulata, zeznaję, że ja jestem winien kradzieży i zabójstwa, spełnionego w grudniu roku zeszłego na woźnym Casey'u w biurach „*Merchants Loan & Trust Bank*”. Stefan Śląski, skazany za to przestępstwo, niczem nie jest winien. Stwierdzam podpisem.

Baron *Adalbert*.”

Wrażenie, jakie wywarł ten list, łatwo sobie wyobrazić.

Stanowił on wreszcie jawny dowód niewinności Śląskiego. Pismo barona Alberta Felsensteina łatwo było sprawdzić. Widocznie był to ten sam list, który według opowiadań stuletniej Murzynki wymusił na baronie kiedyś

przy podziale łupów, w jej lokalu, Morski-Miller.

Należało wyjaśnić jeszcze, w jaki sposób ten list znalazł się na piersiach Homicza.

Objął to on sam w paru słowach.

Opowiedział, jak kiedyś, na drugi dzień po przybyciu do New Yorku, w noc pierwszego poznajomienia się i hulatyki z Morskim, stał się przypadkowym posiadaczem miniatury. Nosił ją przy sobie dla tego, że rysy postaci kobiecej przypominały mu pannę Śląską (tu zarumienił się gorąco), a nawet przypuszcza teraz, iż był to zapewne wizerunek matki Jadwigi, który w jakiś sposób po skazaniu p. Śląskiego wpadł w ręce Millera-Morskiego.... Ten zrobił za jej ramką schowanie dla najważniejszego w swem życiu dokumentu.

Wyjaśnienie było wystarczające; wywołało ono zresztą podziw głęboki.

Szczepan zbliżył się teraz do Jadwigi.

— Oto jedno.... dowód niewinności ojca pani — i złożył u jej stóp papier, znaleziony za okładką miniatury, a ona objęła jego postać wzrokiem miłości i wdzięczności pełnym.

— Ale to nie wszystko ... — dodał po chwili.

Znów oczekiwano, co będzie dalej, a on namyślał się, jak wypowiedzieć rzecz, ażeby oszczędzić jej wzruszeń i wstrząśnienia.

Wreszcie podał jej drugi papier — i rzekł:
— A oto dowód, że ojciec pani nie został
stracony haniebną śmiercią, jakieśmy do nieda-
wna mniemali....

Jadwidze ciemno się zrobiło w oczach.
Dreszcz niespodziany przeszedł jej przez całe
ciało. Czy marzy, czy też to żarty okrutne?..
Och! zbyt okrutne.

A Homicz ciągnął dalej:

— Ułaskawiono go w swoim czasie....
Ciężkich lat dwadzieścia z górą cierpiał w twar-
dem więzieniu za cudze winy. Ale Bóg się
zlitował. Od dziś jest wolny... Oto telegram,
donoszący o zupełnej dlań amnestyi.....

Zatrzymał się.

Jadwiga bladła i czerwieniła się naprze-
mian. Chwiała się na krześle.

Zemdlała ze szczęścia, a główka jej bez-
władna znalazła oparcie na piersi Szczepana.

Burza teraz umilkła....

Słońce wyjrzało z poza chmur. Pomimo
omdlenia Jadwigi radość jaśniała na wszyst-
kich....

— Kara Boża dosięgła winnych po za O-
ceanami... Wyroki niebios spełniły się —
rzekł Robbins z oczyma, łez pełnemi.

Zakończenie.

Łatwo odgadnąć dalsze następstwa opisanych powyżej wypadków.

W 6 miesięcy potem, w Poznaniu, odbył się cichutko w jednym z kościołów ślub Szczepana i Jadwigi. Świadkiem był starzec, siwy, jak gołąbek, ojciec panny młodej, któremu 20 lat niezasłużonej męczarni nie złamało ducha. Robbins przysłał państwu młodym na ślub długi a serdeczny telegram z pozdrowieniami aż z poza Oceanu.

Młodej parze uśmiechają się długie lata szczęścia i pomyślności.

Kaliskiego Homicz wysłał swoim kosztem do Australii, ażeby więcej podłości rodakom swoim nie robił w Ameryce....

Szymka Zawalidrogę wypuszczono.

Od oszusta, „adw.” Lainga, który był w kompanii Kaliskiego, poczciwy Litwin Połubajtys, przybyły na wezwanie Gryzińskiego do St. Joseph, Mo., zdołał odebrać znaczną część skradzionej sumy (Laing miał przy sobie sporo pieniędzy, pochodzących z różnych łajdactw).

Stefka, pomimo że Homicz skargi o napad

nie popierał, została skazana na parę miesięcy więzienia.

Morski już nigdy nie wrócił do zdrowego rozsądku.

Opiekuje się nim „Sarenka“, a środki potrzebne dostarczył (bez jej wiedzy zresztą) Konrad Felsenstein, który poczuwał się do zabezpieczenia losu Morskiego, niejako będącego ofiarą jego ojca.

Po odwiezieniu zwłok ojca do Niemiec, Konrad powrócił do Ameryki.

Jest zawsze równie smutny i zamyślony. Często jednak odwiedza obłąkanego Morskiego i pociesza „Sarenkę“ w Kansas City, Mo. Wtedy bywa nieco weselszy... „Sarenka“ jest także smutna bardzo, ale patrząc na Konrada, uśmiecha się.

Być może, że z tego co będzie....

Połubajtysowie mieszkają wciąż w Chicago i bogacą się w dobytek.... i dźwiatwę.

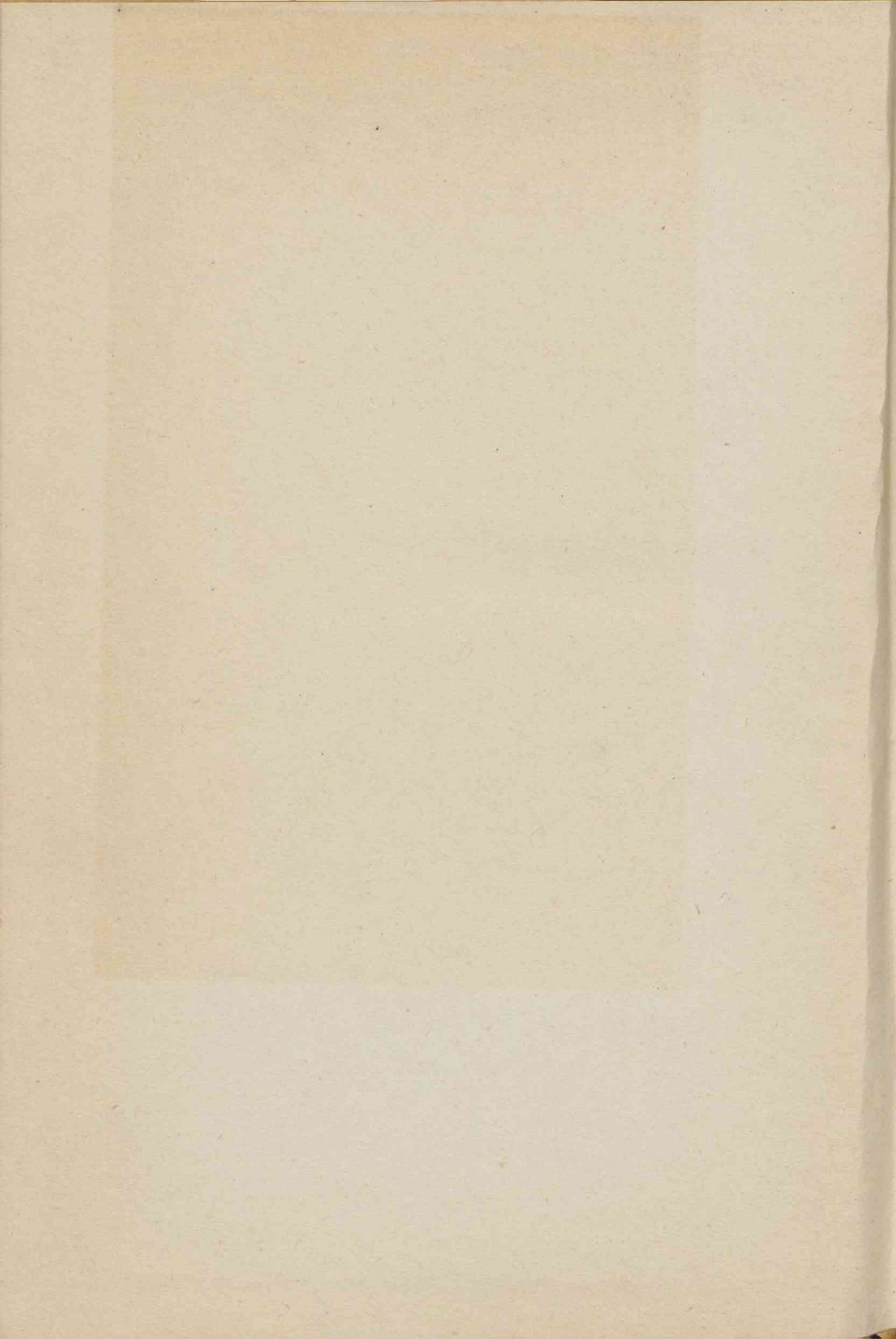
Wspomnieć wreszcie należy o losach Mallory'ego.

Był on wezwany, jak wiemy, na ów pamiętny dzień sądu w Hotelu Plantatorów, ale się nie stawił. Robbinsowi to jedno zdawało się złem, że kara niebios nie dosięgła i tego, najmniej może winnego.... Przekonał się jednak wkrótce, że tak nie jest. Mallory przybył do Kansas City, stosownie do wezwania, ale pociąg jego został opóźniony przez burzę....

Gdy wysiadał z wagonu. piorun uderzył na dworcu tuż obok niego. Mallory otrzymał straszną kontuzję, której rezultatem był paraliż połowy ciała. Nigdy już z tej choroby nie wyszedł magnat przemysłu. Stał się na pół trupem za życia.....

— Kara Boża i tego dosięgła... — mawiał o nim Robbins — Nic mu nie pomogło. że szukał ucieczki i schronienia za Oceanami....

KONIEC.



This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine of five cents a day is incurred
by retaining it beyond the specified
time.

Please return promptly.

~~DUE MAY 12 '45~~

~~DUE OCT 20 '45~~



270

